ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ W ZARYSIE

TOM DRUGI

Jadwigi Lachowiczówny

24. II. 1924.

WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

589/II
590

ODBITO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLJOTEKA POLSKA" W BYDGOSZCZY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

KLASYCYZM WARSZAWSKI.

Nowy wiek i jego widoki. Oznaki życia. Puławy. Wilno; Śniadeccy. Krzemieniec; Czacki. Warszawa; Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Kierunki i przedstawiciele literatury: w poezji (Koźmian) i w dramacie (Feliński); Woronicz. Niemcewicz. Fredro. Romans. Historja; sympatje słowiańskie; Lelewel; historja literatury. Istotne zasługi „klasyków".

Ponuro wschodził wiek dziewiętnasty. W Warszawie zagospodarowali się Prusacy, zdążając upornie ku właściwym celom, nie drażniąc niepotrzebnie, przedwcześnie; we Lwowie już oddawna, a teraz i w Krakowie, rządzili Austrjacy, nie licząc się z nikim i niczem, lecz zadowalając się pozorami samemi i stawiając zawsze drugie kroki przed pierwszemi; w Wilnie w pewnych granicach nie tykano dawnego samorządu. Po rozgorączkowanem życiu lat 1788 do 1794 nastąpiła cmentarna cisza; unieruchomiony naród leżał, niby niepomny dziejów i znaczenia; cały teraz, zdawało się, żył wedle owej zasady: niech drudzy za łby chodzą, ja się dziwuję. Ominął go kataklizm, który wywrócił Francję do góry dnem; szlachta cieszyła się, że nie grozili jej jakobini wywłaszczeniem, ani farmazoni kultem mądrości, że, choć kłótni i bójek sejmikowych już nie było, a także nie wieszano się klamki pańskiej, utrzymano ją przy prawach nad chłopem, przy religji, przy majętnościach. Jednostki używały; Berlin dostarczał kredytu lekkomyślnym, ile tylko żądali; bawiono się w Warszawie i we Lwowie do upadłego. Wyrok politycznej i narodowej śmierci sam naród niejako zatwierdzał. W istocie nie było śmierci, ani nawet letargu, tylko chwilowe odrętwienie, — narkoza, w której organizm przeboleje amputację i włoży się w nowe warunki; nawet Pod Bachą myślano nietylko o zabawach.

Niebawem ruszyło się życie wszędzie. Niby na wiosnę, porysowały się skorupy śniegu i lodu, zaczęły się sączyć nici wodne,

aby się coraz bardziej wzmagać i spływać. Samo entuzjastyczne przyjęcie, jakiego doznawała wędrująca teraz trupa Bogusławskiego we Lwowie, Warszawie i Poznaniu (na święty Jan), choć sztuki wystawiane pod żadnym względem nie zasługiwały na entuzjazm, dowodziło, jak ceniono narazie choćby słowo narodowe. Prawda, literatura milczała, publicystyka upadła zupełnie, po roku 1795 nawet marne książczyny przestały wychodzić i nie odzywała się literatura na ostatnie wypadki.

Nie za pióro, ale za broń chwytało wielu. Niedobitki dawnego wojska i gorętsza młodzież śpieszyli pod znaki francuskie, zwiastujące ludom europejskim wolność; powstały we Włoszech zawiązki legjonów polskich i wypełniały się coraz nowymi szeregowcami. Literatura, z kraju niby wypłoszona, jak ptak wędrowny, spuściła się na ich znaki i, jak przed trzydziestu laty między Barszczanami, powstała teraz poezja legjonów, anonimowa, bez kunsztu, naiwna, patrjotyczna, pozbawiona jednak nuty religijnej, bez kultu Marji — w wojskach dyrektorjatu nie było już miejsca dla niego; piosnki te spadły do kraju jeszcze przed samemi legjonami; między niemi, ów marsz Dąbrowskiego, elektryzujący, wyzywający jak fanfara bojowa, pełen otuchy i siły, przekreślający zabory, z pod pióra Józefa Wybickiego, z muzyką Ogińskiego, tropiony i tępiony daremnie przez policję. Dzisiejsze jej brzmienie jest nieco odmienne od pierwotnego („Jeszcze Polska nie umarła... Co nam obca moc wydarła" — naśladowali to Rusini w pieśni „Szcze ne umerła Ukraina") i od r. 1831 o cztery zwrotki rozszerzone. Nie brak jednak zupełnie nazwisk tej literaturze: najbardziej znany **Cyprjan Godebski**, poległy pod Raszynem w roku 1809; wydawał on w Mantui „Dekadę", mieszczącą nietylko rozkazy dzienne i wiadomości polityczne; po powrocie do kraju pisywał więcej, powieść o „Grenadjerze-filozofie", niby o sobie samym, rozczarowany co do Francuzów, którym rzeczywiście w stroju republikańskim i dziś jeszcze niebardzo do twarzy, wynosząc tem wyżej Szwajcarów; powieść ciekawa jest tem, że zamiast bujań sentymentalno-erotycznych dawała przejścia i myśli zgorzkniałego spostrzegacza. Wznowił „Zabawy przyjemne i pożyteczne" (samemi tytułami nawiązywano porwane nici przeszłości), bez powodzenia, jak wszystkie inne ówczesne próby literacko-publicystyczne; zamieszczał tam wiersze satyryczne i czułe, czy się zwracał do „legjów", czy do niewiast polskich; im bardziej mężczyźni zawodzili, tem więcej rosło znaczenie ogniska domowego, rola kobiety.

W kraju obok Warszawy zdetronizowanej, schodzącej do rzędu miast prowincjonalnych, wybijały się inne ogniska ruchu literackiego i ducha narodowego. Ogólny kataklizm nie dotknął Puław: jeżeli już za czasów Stanisławowskich żyły odrębnem życiem, teraz wpływ ich wzmógł się nadzwyczaj. Młodzi książęta bawili oddawna w Petersburgu, gdzie między cesarzewiczem następcą tronu a księciem Adamem zawiązywały się stosunki szczerej przyjaźni; generał ziem podolskich pisywał, jako Dantyszek, cenne uwagi o autorach i pismach polskich; panie zwracały się ku literaturze ojczystej dla dzieci, kobiet i chłopków, i ku zbieraniu pamiątek ojczystych. Świątynia Sybilli, domek gotycki, mieścił rzeczy najrozmaitsze, cenne nieraz tylko z powodu nazwiska czy pamiątki, jakie z niemi łączono; ważniejsze były puławskie zbiory rękopisów i książek, które później, pomnożone zakupem Poryckich, miały pozyskać znakomitego bibljotekarza w osobie Łukasza Gołębiowskiego.

Myśl zwrócona ku przeszłości, ocalająca jej resztki, cechowała ludzi, jakby odwróconych od teraźniejszości, żyjących wspomnieniami; Jan Tarnowski w Dzikowie, Tadeusz Czacki w Porycku, a na jeszcze większą stopę Józef Maksymiljan Osoliński we Lwowie, oddawali się z znawstwem i zapałem bibljomanji, tem potrzebniejszej, skoro największy księgozbiór krajowy, bibljotekę Załuskich, za zbiorami Nieświeskimi, czy Kodeńskimi, wywieziono do Petersburga. Obok tych utytułowanych zbieraczów krzątali się drobniejsi, ks. Juszyński, radca Chyliczkowski i inni.

Puławy przedstawiały typ staropolskiego dworu magnackiego, Białostoku, Nieświeża czy Wołczyna, chociaż sarmatyzm obcy był Czartoryskim już od dwu pokoleń; już kanclerz i wojewoda, którzy „familję“ wynieśli na szczyt znaczenia, w francuski się polor włożyli, tem bardziej generał ziem podolskich i feldmarszałek austrjacki; najmniej w najmłodszem pokoleniu, u synów i córki. Puławy nabrały nowego znaczenia, gdy syn najstarszy został ministrem spraw zewnętrznych i kuratorem okręgu naukowego wileńskiego. Wprawdzie książę Adam rychło karjerę dyplomatyczną zakończył, lecz urząd kuratorski przez lat dwadzieścia sprawował, skarbiąc sobie największe zasługi.

Młody cesarz, którego wstąpienie na tron witano, jakby rozkwit wiecznej wiosny, otoczony szeregiem mężów wolnomyślnych i patrjotycznych, sam uczeń republikanina i pełny najszczytniejszych marzeń, przypisywał nadzwyczajną wagę zupełnie zaniedbanemu szkolnictwu. Osobnemu ministerjum oświaty poddano okręgi naukowe,

między niemi wileński, obejmujący szkoły na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Pod kuratorem stanął uniwersytet Wileński na czele magistratury, łącząc obok szkoły uczonej obowiązki nadzoru szkół świeckich i liczniejszych klasztornych, bazyljańskich czy dominikańskich, czego dopilnowywali jego wizytatorowie. Był to czas najwyższego blasku i znaczenia szkoły wileńskiej, czas krótki, lecz płodny w następstwa.

Reformy Komisji Edukacyjnej, w braku drugiego Kołłątaja, nie przyjęły się należycie w Wilnie; musiała i nowa reforma walczyć z dotkliwym niedoborem sił umiejętnych; niektóre katedry nie były obsadzone, np. historji (po zgonie sędziwego ks. Husarzewskiego, który nie był nawet historykiem) lub polszczyzny; uczonych ziomków, jak Jundziłł (botanik), było mało, i uniwersytet rozszczepił się dlatego na polski i łaciński (obcy). Życie jednak naukowe w murach szkoły Batorowej oddziałało na młodzież, skupiającą się już w roku 1805 w Towarzystwie (pierwszych) filomatów, później nawet na szerszą publiczność — zjawiali się i sędziwi wiekiem i damy na wykładach. Między uczącymi byli, szczególniej na wydziale medycznym, liczni Niemcy: Lobewein, Szpicnagel, Bécu i inni; Groddeck, znakomity znawca filologji klasycznej, a niezgorszy polszczyzny, służył godnie nauce, odradzającej się świeżo z polihistorji i antykwarjuszostwa do prawdziwej umiejętności; najznakomitsi i najbardziej wpływowi byli dwaj Wielkopolanie, bracia Śniadeccy.

Publicznie występował starszy, Jan, matematyk, astronom, geograf (jego podręcznik geografji tłumaczono i na rosyjski), natura energiczna, nieco samowolna — tak sarkano nań w Krakowie, gdzie się odznaczył przy reformie Kołłątajowej. Większe dowody sprężystości złożył, jako rektor wileński, przez lat ośm reprezentując szkołę i wobec Aleksandra I i Napoleona, wprowadzając w życie nową ustawę, czuwając nad szkołą i jej kierunkiem.

Inaczej, niż koledzy krakowscy, dbał on o poprawną, nawet wytworną formę nietylko przemówień oficjalnych, ale i prac naukowych; umysł nieco suchy i formalistyczny, w myśli filozofji oświecenia i sensualizmu, wielbiciel jasności, wróg wszelkiej mglistości, mistycyzmu, a choćby metafizyki, przynajmniej niemieckiej. Brat Jędrzej roli Jana w życiu publicznem nie osiągnął, chociaż jako samodzielny, głęboki uczony, chemik i fizjolog, w dziejach umiejętności o wiele więcej zaważył, a i sprawom społecznym oddawał swe pióro.

Mimo przerwy, jaką wywoływały zaburzenia wojenne, nie ustawano w pracy; całe wychowanie szkolne nabrało jednolitości, spójności, kierowane w duchu narodowym i lojalnym zarazem. Aby stanąć o własnych siłach, wysyłano młodzież, rokującą nadzieje, zagranicę dla dalszego kształcenia; drogą konkursów wynajdywano w kraju zdolniejszych, Euzebjusza Słowackiego, Lelewela i innych; obok pokolenia starszego stanęli rychło ci młodsi, profesor poezji i wymowy (Słowacki, potem Borowski), historyk Lelewel, filozof Gołuchowski. Gdy we Lwowie był, niezupełny zresztą, uniwersytet niemiecki, gdzie dopiero w dwudziestych latach za podnietą Ossolińskiego katedrę literatury i języka polskiego ustanowiono i licho obsadzono; gdy się w Krakowie uniwersytet czas jakiś ważył między niemieckiem a polskiem nauczaniem i wobec szczupłości środków i niepokaźności sił naukowych nie wywierał siły przyciągającej; gdy w Warszawie zdobyto się tylko na liceum, nie na uniwersytet, szkoła wileńska stanęła, jako ognisko wiedzy europejskiej na Litwie i złożonemu zadaniu swemu znakomicie podołała.

Obudzenie duchowe nie skupiało się tylko w murach uniwersyteckich, szerzyło się na miasto i prowincję; wzmagały się zajęcia literaturą i teatrem (owacje dla Bogusławskiego); pojawiły się czasopisma, Dziennik i Tygodnik wileński; zawiązało się „Towarzystwo Szubrawców", niby *les gueux*, mających oczyszczać kraj z zastoju, z przywar i nałogów: nietolerancji, ignorancji, dumy rodowej, próżniactwa, karciarstwa. Byli to „farmazoni", — nazwa, która od nas przeszła i do Rosji; ale, jak wszystko w Polsce, nawet jezuici, tak i wolnomularze przybierali cechy narodowe, i to wyróżniało ich od kosmopolitycznej braci, niemieckiej i rosyjskiej; ostrze kierunku zwracali nie przeciw kościołowi ani wyznaniu, lecz przeciw „obskurantyzmowi", łącząc z tem cele humanitarne i filantropijne. Były to już ostatnie lata znaczenia wolnomularstwa — początkami sięgało ono jeszcze czasów saskich, Mniszków i Brühlów; za rządów „brata masona" (Stanisława Augusta) rozwielmożniło się, mimo zakazów papieskich i zabiegów nuncjuszów, nietylko w stolicy, gdzie występowało niemal jawnie, lecz i w dalekiej prowincji, gdzie powstawały loże, nawet z kobiet złożone, np. w Żytomierzu; ruch ten garnął się niegdyś i pod skrzydła Katarzyny, a główną podporę miewał w Potockich. W literaturze wolnomularstwo znamiennie nie wystąpiło, poezje i przemówienia mularskie drukowano rzadko; polemiki żywej nie toczono; nieliczne i niezbyt ostre napaści

duchownych paraliżowało jawne niemal podtrzymywanie „sekty“ przez ludzi najwybitniejszych i najpopularniejszych.

Szubrawcy walczyli z zastojem, pod jakąkolwiek się formą ukrywał: czy pod pychą z drzewa genealogicznego, sięgającego w niebiosy, a zacieniającego wszelkie istotne niedobory, czy pod gorliwą opieką propinacji i jej Żydków, czy w pastwieniu się srogiem lub głupiem nad służbą i poddanymi, czy w bezmyślnem trawieniu zasobów i czasu; wydawali „Wiadomości Brukowe“, bronią satyry, nieraz dowcipnej (bibljotekarza uniwersyteckiego Kontryma, Jędrzeja Śniadeckiego) zwalczali „obskurantyzm“; naśladowali Krasickiego i Swifta, Monitora i Spektatora, wkońcu nadto się powtarzali, a nie stronili i od osobistych zaczepek; wydawnictwo nagle zawieszono (1822). Przeciw wolnomyślnemu kierunkowi wileńskiemu występował słabo „Miesięcznik Połocki“, organ jezuitów białoruskich, ocalałych z pogromu pod egidą Katarzyny i Pawła. Zdawało się, jakby oświata, nauka i literatura przeniosły się nad Wilję.

Obok Czartoryskiego i Jana Śniadeckiego stanął **Tadeusz Czacki**, pisarz polityczny za czasów Stanisławowskich, uczony prawnik i historyk o szerokim widnokręgu, jedynie stylista niebardzo szczęśliwy. Samodzielny, nie harmonizował zupełnie z kierunkiem wileńskim; w roku 1803 zamianowany wizytatorem szkół wołyńskich, podolskich i kijowskich, w urządzeniu ulubionego swego „liceum“ w Krzemieńcu kierował się zasadami własnemi i radami Kołłątaja. Jak u sensualistów XVIII wieku, jak u Staszica, przeważał u niego kierunek praktyczny w wychowaniu; młodzież wychowywał nie dla szkoły, lecz dla życia obywatelskiego, do którego winna się natychmiast stosować; Krzemieniec jego uwzględniał więc „talenty“ towarzyskie, tańce i języki obce, nie odcinał młodzieży od świata, w świat ją wprowadzał, i rozszerzał kurs gimnazjalny przedmiotami nauki uniwersyteckiej; dobór nauczycieli, hojne środki, szafowane na bibljotekę (dziś uniwersytetu włodzimierskiego) i gabinety, odległość od Wilna, zapewniły mieścinie wołyńskiej świetną kartę w dziejach umysłowości polskiej; z nauczycielami i uczniami spotkamy się jeszcze nieraz.

Obok „kuratora“ Czackiego, niby pieszczącego się gniazdkiem, jakie uwił dla nauki zapomocą obywatelstwa i rządu, był jednak niestrudzony uczony Czacki, znający, jak nikt inny, wewnętrzne dzieje Polski, jej prawodawstwo, jej różne warstwy, aż do Żydów i Cyganów. O nim myślano w pierwszym rzędzie, gdy miano dalej prowadzić przerwane dzieło Naruszewicza. A na to zanosiło się w Warszawie·

Warszawa Stanisławowska nie zdobyła się na uczone towarzystwo czy akademję, chociaż krzątał się około tego już referendarz koronny, Załuski, urządzając to „akademje“, gdzie odczytywano własne prace (ich płodem niby był jego „Zbiór wierszów żyjących pisarzów“), całkiem na wzór włoskiej Crusca, to towarzystwa miłośników książek, sprowadzających je z zagranicy i korzystających z nich pokolei. Jabłonowski, historyk, heraldyk (próżności własnego domu) i wielbiciel Kopernika, nie dał się zrazić niefortunną obroną historyczności Lecha i formował uczone towarzystwo, chociaż nie w Warszawie, lecz w Gdańsku; wkońcu założył i wyposażył je w Lipsku, gdzie do dziś istnieje; do takich secesyj zagranicznych Polacy są zawsze skorzy, na szkodę własną. Mimo tych prób nie przyszło do zawiązku akademji w Warszawie; nie zastąpiły go ani obiady czwartkowe, skupiające pod przewodnictwem królewskiem najwybitniejsze siły umysłowe dla dyskusji i odczytów; ani Towarzystwo literatów, które w ciągu lat kilku wydało kilkanaście pożytecznych książek, tłumaczenia autorów klasycznych Minasowicza, gramatykę Szylarskiego, powstałe również z podniety Załuskiego; ani podręczniki rozmaite, podjęte pracą zbiorową, np. „Historja polityczna państw starożytnych, od pewnego towarzystwa napisana“ (r. 1782, na którą się Wyrwicz, Naruszewicz, Skrzetuski złożyli); najbardziej towarzyscy z ludzi, najmniej jednak zdolniśmy do pracy zbiorowej. Dopiero rozbiory dokonały tego, czego nie przeprowadzono za kwitnącej Rzeczypospolitej: chęć ratowania się, ocalenia, języka od zagłady, wspomnień dawnych od zatracenia, połączyło grono ludzi dobrze myślących; za staraniem byłego podstolego koronnego, Stanisława Sołtyka, popierającego gorliwie i sprawy ekonomiczne krajowe, ujęto w pewne karby dyskusje literackie i naukowe, odbywające się na zebraniach u Sołtyków, i 1 listopada r. 1800 zgromadziło się po raz pierwszy „Towarzystwo Przyjaciół Nauk“; liczyło ono 30 członków, wykluczało z zasady pytania polityczne i religijne i obejmowało wszystkich niemal członków byłej Komisji Edukacyjnej.

Celem Towarzystwa było: „przykładanie się do rozszerzenia *nauk i umiejętności* w polskim języku“ — *literatura* zjawiała się tylko między innemi w dziale ostatnim. Przedruki dzieł dawnych, tłumaczenia dzieł dobrych, samoistne artykuły i prace, odczytywane i omawiane na posiedzeniach, drukowane w Rocznikach, wysławianie pamięci członków zmarłych, przypuszczanie młodzieży, zaprawiającej się do nauk, i szerszej publiczności na posiedzenia

publiczne — to były środki do dostąpienia owego celu. Między członkami wyróżnił się Tadeusz Mostowski, który urządził własną drukarnię i zaradził najdotkliwszemu brakowi, uniemożliwiającemu poznanie skarbów dawnej literatury, drukując od roku 1803—1805 „Wybór celniejszych pisarzów polskich“ (Kochanowskiego, sielankopisarzów, Górnickiego, historyków). Wobec rozproszenia, rzadkości ksiąg polskich wybór ten jest dla nas nadzwyczaj ważny. Najzasłużeńsi byli obaj przewodniczący, najpierw historyk, ks. biskup Albertrandi, pochodzenia włoskiego, niegdyś pomocnik Naruszewicza i w wydawaniu Zabaw i w zbieraniu materjałów historycznych, malutki i szczuplutki staruszek, nadzwyczaj ruchliwy i wytrwały w zyskiwaniu coraz nowych środków i członków, choćby między wysoką biurokracją pruską ich szukał, w kreśleniu programów, w nawoływaniu do pracy, w wystąpieniach publicznych, na których przeplatał zawiłą i ciężką polszczyznę efektownemi cytatami z starożytnych autorów. Po jego śmierci Stanisław Staszic, łożący znaczne ofiary materjalne dla Towarzystwa, nudzący może odczytywaniem ustępów z prac poetyckich własnych, z ciężkiego przekładu „Iljady“ i z jeszcze cięższego wykładu „Rodu Ludzkiego“, wzamian udzielający Towarzystwu nieco swej własnej niezmordowanej energji, nieunikający kolizji, nieustawający w budzeniu ospałych i leniwych. Dalej Stanisław Potocki, ks. Aleksander Sapieha; jego hojny dar stworzył podwaliny cennego zbioru ksiąg i rękopisów, przewiezionego po r. 1831 do Petersburga.

Towarzystwo uchylało się z zasady od wydawnictwa jakiegoś czasopisma (prócz Roczników), od krytyki bieżącej, nie narażając autorytetu swego na żadne szwanki, udzielając się szerszej publiczności tylko na posiedzeniach publicznych. Na tych wyróżniły się, prócz referatów fachowych: pochwała Szymanowskiego (zmarłego w r. 1801) przez Stanisława Potockiego, nadzwyczaj wymowna, przypominająca świetne stanowisko polskie w gronie narodów słowiańskich, upominająca się gorąco o naukę i język; pochwała Krasickiego przez Dmochowskiego, pierwsza sprawiedliwa i tkliwa ocena jego zasług, znakomita pod względem formy i myśli, kończąca świetnem porównaniem Naruszewicza i Krasickiego; głównie zaś rozprawa Jana Śniadeckiego o Koperniku, odczytana przez Czackiego 16 listopada roku 1802, odpowiedź na temat konkursowy, ogłoszony przez Towarzystwo. Pierwszy to wielki sukces literacki wieku; posiedzenie „było całe w uniesieniu, a ledwo połowa przytomnych znajdować się na nim mogła, dla niezmiernego ścisku“;

rzecz samą, pierwszy znaczny postęp w ocenie i biografji Kopernika, tłumaczoną rychło na obce języki, zakończył Śniadecki przypomnieniem zasług Komisji Edukacyjnej.

Nie brakło Towarzystwu i zaczepek, np. od „przyjaciela rozsądku“, w drukowanej odezwie „Do prześwietnego Towarzystwa“, ironizującego oportunizm i lojalność Albertrandego; większe trudności sprawiało, prócz początkowego braku sił i środków, ulegalizowanie Towarzystwa, stworzenie dla niego urzędowego, dyplomowanego stanowiska, co się jednak wkońcu udało. Zogniskowano rozstrzelone dotąd usiłowania; na spólnym gruncie znaleźli się Tadeusz Czacki, Szaniawscy, Skrzetuscy i inni zasłużeni mężowie z epoki poprzedniej, a grono ich miały niebawem powiększyć nowe, młode siły.

Towarzystwo nie wytykało sobie celów wyłącznie naukowych; chodziło mu tak samo o popularyzację i o przystosowanie nauk, jak o pożyteczne wynalazki i podniesienie gospodarstwa domowego; dzieje ojczyste i język wysuwały się jednak mimowoli na plan pierwszy. Postanowiono więc poprowadzić dalej dzieło Naruszewicza i dla rychłego a pewniejszego uskutecznienia rozdzielono między członków okresy; niewielu uiściło się z zobowiązania, między innymi Niemcewicz; z tych zajęć wynikły i podręcznik dziejów polskich i Śpiewy historyczne Niemcewicza; podejmowano i inne plany, np. historję legjonów. Nad postępami wielkiego słownika Lindego, który miał objąć całą przeszłość języka Rzeczypospolitej, czuwano z niekłamanem zajęciem; w ostatnich latach przystąpiło Towarzystwo nawet do uregulowania pisowni, która i dziś jeszcze nieco u nas chroma — nie jest to jedyna rzecz, jakiej Towarzystwo nie zdążyło wykończyć. Rzetelne te trudy nie wydały same nic genjalnego, ale stworzyły środowisko, z którego wychodzą genjusze nauki i literatury. Gdy Towarzystwo zajęło nowy, Staszicowy, gmach, a mimo protestów niemieckich stanął przed nim posąg Kopernika, stopa polska stanęła silniej w gmachu nauki europejskiej.

Rozbudzenie życia umiejętnego wyprzedziło właściwy ruch literacki. Dmochowskiego a później Osińskiego „Nowy Pamiętnik Warszawski“ walczył z obojętnością ogółu. Nastąpiły przecież lata, gdy w szczęku broni, ruchu marszów i kontrmarszów, w ściąganiu kontrybucyj i dostarczaniu furażu muzy umilkły, a jeśli się odzywały, to tylko na nutę oficjalną: stawiano więc na mieście bramę triumfalną z napisami, wystawiano sztukę okolicznościową w te-

atrze galowym, lub wygłaszano odę gratulacyjną na posiedzeniu Towarzystwa: w tym kunszcie celowali Osiński i Koźmian; ze zmianą akcesorjów na scenie zapomniano jednak o tym zapale robionym, w fraku i żabotach, i tylko jeden z tych wierszów okolicznościowych przetrwał wszystkie okoliczności: Hymn do Boga Woronicza.

Szlachta i mieszczanie nie czytali nic, prócz gazetki, kłamiącej często z urzędu, prócz nakazów płatniczych i liwerunkowych, prócz manifestów, goniących jeden za drugim, pruskich, austrjackich i innych; nie było czasu i zainteresowania dla rojonych dramatów i romansów, gdy tragedje, jakich świat nie widział wstrząsały Europą, a raziły świeżutkie Księstwo Warszawskie — choćby moskiewska roku 1812. Wkońcu jednak minęły te burze; z Księstwa wyłoniło się, wbrew dyplomacji europejskiej, dzięki cesarzowi Aleksandrowi, Królestwo Kongresowe, autonomiczne i konstytucyjne.

Kraj, zawsze ubogi, teraz całkiem wyniszczony, ze zrujnowanemi finansami, ze strzępami armji, z zadłużonem po uszy obywatelstwem i jego sumami bajońskiemi, bez rękodzieł, przemysłu i fabryk, bez zbytu dla swych produktów surowych, należało podnieść, zaludnić, oświecić; należało stworzyć dogodniejsze warunki życia społecznego i umysłowego, a że tego dokonali warszawscy „klasycy“ i „sensualiści“, to najwalniejsza ich zasługa. Dowiedli, co Polacy potrafią, jakie ich ziemia wydaje płody, w stałym związku z ogólną kulturą europejską.

Postawili oni szkolnictwo wysoko; odezwały się tradycje dzieła Komisji Edukacyjnej, ocenianego chlubnie i przez Prusaków; teraz rozszerzono pieczę i na szkoły początkowe, czego Komisja nie zdążyła; niezapomniane zasługi położył Stanisław Potocki, który sprawował ministerjum oświaty z takim skutkiem, jakim niełatwo inny minister mógłby się poszczycić. Gęstą sieć szkół i szkółek, liceum warszawskie, szkoły prawnicze (nieodzowne wobec zaprowadzenia kodeksu Napoleońskiego i trybu biurokracji francuskiej) i lekarska (choćby dla felczerów w armji), uwieńczył uniwersytetem aleksandrowskim; brakło wprawdzie narazie Śniadeckich, tradycji, zasobów, ale rychło rosła bibljoteka (zasilana bibljotekami klasztornemi, zwożonemi do Warszawy, ocalonemi, gdy bibljoteki klasztorne poznańskie zmarniały zupełnie; rękopisy warszawskie, każdy z kartą, wyliczającą obszernie a sumiennie zawartość rękopisu, pisaną drżącą ręką bibljotekarza Gołębiowskiego, są dziś w Pe-

tersburgu), a niebawem pojawiały się siły, których i Wilno zazdrościćby musiało: Linde, Bandtkie, Lelewel, Brodziński, Skarbek, Hube, Maciejowski.

Dzieło oświaty prowadził zarówno mądrze, jak uprzejmie i energicznie, Stanisław Potocki sam, zarazem wyrocznia smaku, książę mowców, zawołany „patrjota“ z czasów Sejmu Wielkiego, gorliwy spółpracownik Towarzystwa; na własną rękę rozpoczął w Warszawie kampanję przeciw obskurantyzmowi, prowadzoną w Wilnie przez Szubrawców; w „Listku Krytycznym“ ustanawiał między innemi statuty smorgońskiego orderu niedźwiadkowego za zaciemniania kraju a w „Podróży do Ciemnogrodu“ (1820 roku) biczował całą Smorgonję, feudalną i zabobonną, z jedyną księgą uczoną — kalendarzem, jedyną drukarnią — inkwizycji, z Alwarem i Arystotelesem. Gniewy duchowieństwa, oburzonego kasatą niepotrzebnych klasztorów, wybuchły w skardze do króla; minister otrzymał natychmiast dymisję. Wystąpił też znacząco w dziejach wolnomularstwa: nikt inny gorliwiej i poważniej nie służył tej sprawie, niż wielki mistrz wielkiego Wschodu polskiego — mimo to przeciwnikiem duchowieństwa z zasady nie był, i zajmował się skutecznie losem i szkołami np. pijarów.

Z ożywieniem umysłowem nie szedł jeszcze w parze ruch publicystyczny; Bentkowskiego „Pamiętnik Warszawski“, zawalony rzeczami obszernemi, nudnemi, unikający aktualności, nie potrafił wcale rozruszać publiczności; ale nie udawały się i próby niezrażonego żadnemi niepowodzeniami hr. Kicińskiego, tłumaczącego wszystko, nawet Byrona i Waltera Scota; wybitnej gazety politycznej nie było; na te czasy przypadają tylko narodziny „Kurjera Warszawskiego“ Dmuszewskiego, z powołania aktora i autora, jak niegdyś Bogusławski; o farsach jego dawno zapomniano — lecz Kurjer przetrwał do dziś dnia.

Teatr warszawski, dzięki Bogusławskiemu i zięciowi jego, Osińskiemu, który z dyrekcją połączył berło krytyka, a później i profesurę uniwersytecką (literatury porównawczej), dalej dzięki Dmuszewskiemu, Żółkowskiemu (uprawiającemu komizm nietylko na scenie, ale i w literaturze), podniósł się znacznie i zajął żywo publiczność, ziewającą na tragedjach klasycznych, garnącą się na melodramaty i sztuki grubosensacyjne w rodzaju bandyty Abellina. Repertuar obejmował wszystko możliwe, od Woltera do Szyllera, od Moliera do jednoaktówek albo fars Dmuszewskiego i Jasińskiego, ale i „Barbara“ Felińskiego czy „Geldhab“ Fredry znajdo-

wały tu pierwszą a nieraz i najlepszą interpretację. W Warszawie, nabierającej powoli znowu dawnego znaczenia, poczęła się skupiać cała ówczesna literatura.

Inne miasta i prowincje z Kongresówką i Warszawą nie mogły spółzawodniczyć. Lwów wydano na łup germanizacji: w niemieckim uniwersytecie, wobec niemieckich dzienników i niemieckiego teatru polska katedra literatury, polskie „Rozmaitości", polski teatr, tolerowany raczej, niż protegowany, ustępowały całkiem. Galicja spała snem błogosławionych; tylko jednostki podtrzymywały jakiś ruch: Kamiński, zasłużony, jako dyrektor teatru, mniej, jako tłumacz, najmniej, jako pisarz ballad i sonetów; Chłędowscy, bibljografowie i poeci; świeża instytucja narodowa: Osolineum, po oślepnięciu i zgonie fundatora walczyła o byt z gubernium lwowskiem i z własnym niedostatkiem, a dyrektor zakładu, ks. Siarczyński, historyk, nie celował w energji. Kraków uzyskał niepodległość, jako Rzeczpospolita *en miniature,* licząca się na każdym kroku z reprezentantami ościennych mocarstw; zwrócony ku przeszłości, stawał się miastem drogich pamiątek, przechowywał tradycje; i uczeni jego je pielęgnowali: Sołtykowicz w obrębie dziejów uniwersyteckich, Jerzy Bandtkie, porządkując, opisując, publikując z dawnych zabytków jej książnicy. Zawiązało się tu, za przykładem warszawskim, Towarzystwo Naukowe z zakresem działania w pierwszych dziesięcioleciach nadzwyczaj skromnym; uniwersytet nie liczył narazie sił wybitnych. Poznań rywalizował chyba ze Lwowem o palmę w ospałości; literaturę przedstawiał ks. Gorczyczewski, z czasów Stanisławowskich jeszcze, przerabiający obce satyry na ład polski; publicystykę — „Wiarus" i „Mrówka", która w ciągu kilkuletniego istnienia uzbierała niemało cennych artykułów, poświęconych przeszłości i jej zabytkom.

Tak rozstrzelała się literatura; zato duch jej był jednolity, jak rzadko: duch francuski, klasyczny. Formy dawnego świata, roztrącone na zawsze w burzach rewolucji, odżyły w literaturze, brodzącej jeszcze ciągle po pustyni klasycznej, w powijakach reguł i tradycyj — poczwarka, nie motyl. Dla francuskiej, a za nią i dla literatury polskiej, jak dla niejednego autokraty niemieckiego, nie istniała rewolucja; nawiązywały do *ancien régime,* jakby Wersale i Ludwiki z strzyżonemi parkami i perukami, z menuetem i etykietą dworską, z berżerami i pejzażami rokoko, panowali niepodzielnie; literatura, wybiegająca zwykle przed wiekiem, tu się o cały spóźniała. Stanisławowska epoka była „klasyczną", wychodziła od

literatury rzymskiej; Warszawska była pseudoklasyczną, bo kroczyła wyłącznie za francuską 18 w., naśladowała, tłumaczyła (jedno i to samo, Henriadę, tragedje i Delilla). W porównaniu więc ze Stanisławowską zubożała, zwężyła się znacznie, powtarzając te same tematy na ten sam ład; straciła jeszcze bardziej na sile wyrażenia, zato gładkość, jasność wyrobiła nadzwyczajną. Chociaż dworu nie było, była to literatura dworska, arystokratyczna, dyletancka; żaden z jej przedstawicieli nie uważał jej za cel czy pracę wyłączną; każdy był ministrem, referendarzem, generałem, dyrektorem, profesorem i chwile wolne poświęcał, jeden dumaniu, drugi pisaniu; tylko ośmieszeni lub śmieszni, Molski, autor Stanislaidy, lub Marcinkowski, autor wszystkich możliwych poematów, od Rzek polskich do Gorsetu i dramatów, byli wyłącznie poetami. Spółzawodnictwo, zawiść, walki ustawały w przedsionku tych muz; wstępowano tam w stroju i minie odświętnej; witano się grzecznie, roztaczając i odbierając hołdy, racząc się przydomkami polskiego Rasyna, Kornela, Horacego, Wergila, Delilla; na tę manję chorował zresztą już wiek Stanisławowski, polskim Pindarem był wtedy Trembecki. Zachwycano się nawzajem gładkim zwrotem, antytezą, porównaniem, rymem dobranym, chociaż dla rytmu słuchu jeszcze nie miano; jeden list poetycki, oda, a sama zapowiedź epopei czy poematu opisowego upoważniały do wstępu na Parnas. Z niewyczerpaną cierpliwością, radząc i pomagając sobie nawzajem, ciesząc się z każdego nowego wiersza, czekano na „Ziemiaństwo“ Koźmiana, unoszono się nad „Barbarą“, delektowano się odami Osińskiego. Retoryka, nie śmiesznie wydęta, mimo to próżna, zastępowała uczucie i prawdę, reguły natchnienie, sucha opisowość wszelką malowniczość. Pokost jednostajny pokrywał losy i ludzi; w żalu bezbrzeżnym i w upojeniu najwyższem sadzono się na te same, mdłe i płaskie, ale poprawne zwroty. Najbardziej nie zapalonym, gdyż literatura wykluczała zapał, lecz zacietrzewionym stronnikiem tego klasycyzmu, nieskłonnym nigdy do żadnych ustępstw — Wężyk i Osiński zdradzali nieraz w teorji klasycyzm, chociaż w praktyce przy sztandarze jego niezłomnie wytrwali — był radca stanu i kasztelan - senator, **Kajetan Koźmian**, pracujący nad referatami lirycznemi, wedle „szymla“ — aby użyć wyrazu biurowego — francuskiego, wedle Russa i Etienna; zasłużony na tem polu przeszedł do biura poezji opisowej i dwadzieścia pięć lat strawił nad dwu tysiącami wierszów Ziemiaństwa, nad Georgikami polskiemi, które naciągano do polskich stosunków, jak satyry Horacego lub Boala: zgóry zarzekał się rymotwórca orygi-

nalności, jakiej przecież wymagała sama materja i którą w pewnej mierze nawet i on sam osiągnął, w epizodach mianowicie, niepozbawionych siły i wdzięku, choć wołał:

Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
Bym chciał sięgać po wieniec Wirgilego chwały;
Żaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie,
I dla świata on śpiewał, kiedy śpiewał w Rzymie;

Były w „Ziemiaństwie“ i pożyczki z Delilla, L'homme des champs, a nawet z arcynudnego „Rolnictwa“ Tomaszewskiego; autor sam przyznawał, że w całości znać więcej dzieło pamięci, niż własnego ducha, chociaż tylko zbytnia skromność mogła tak twierdzić. „Ziemiaństwo“ miał wyrzucić jako ostatnią kotwicę, miotany burzą romantyczną, klasycyzm roku 1830, lecz pojawiło się ono dopiero w roku w 1839 (gdy o klasycyzmie i o autorze już zapomniano), gdyż „poważnej klasyczności nie przystoi galopować“. Żeby przeciwdziałać „Wallenrodowi“, znienawidzonemu („nie chcę Polski, nabytej ofiarą honoru“ mówi Czarniecki), a strofować młodzież niemęską, pisał poeta w długoletniem zaciszu piotrowickiem epopeę narodową w guście francuskim, jakby niedosyć było nieskończonych tłumaczeń „Henryady“, „Wojny Chocimskiej“ Krasickiego, „Pułtawy“ Muśnickiego, „Jagiellonidy“ Tomaszewskiego, którą to w literaturze uwieczniło, że się zaprawiało na niej początkujące pióro Mickiewicza, chociaż spółcześni poezję Targowiczanina ocenili nad jej zasługi. Tomaszewski łapciastą Litwę wystrajał na bohaterów starogreckich, urządzał igrzyska i pienia olimpijskie w Trokach, szukał porównań z bitwą lipską; smak Koźmiana był wytrawniejszy. Ale i dla niego pozostała „cudowność główną sprężyną tego rodzaju poematu“, i tak powstał „Stefan Czarniecki, poemat w *dwunastu* pieśniach“, urobiony wedle reguł „mistrza sztuki rymotwórczej“, toczący się w czasie nieprzerwanym (lat pięć!), na jednem miejscu (Polska w swych granicach! raz wychyla się bohater i poza tę *jedność*, lecz przykład Eneasza i Henri Quatre rozgrzeszał autora), o jednym bohaterze — poemat, mimo starannej i zwięzłej dykcji, nużący, chociaż dla tendencji jego patrjotycznych Krasiński nim się zachwycał i naglił do wydania. Starzec był krzepkości niespożytej, jeszcze w 83 roku życia pisał z równą „siłą“, jak zamłodu, a w odzie jego na zgon Osińskiego z r. 1853 „Pindar wieńczy bohatera“. W literaturze pozostaną po Koźmianie pamiętniki jego, obfite w szczegóły, stronne w sądzie (o pedancie - jakobinie Lele-

590

welu), sięgające z wielkiemi przerwami, całkiem luźne przy końcu, aż do roku 1855.

Nie Wergil polski, lecz Rasyn zyskał najgorętsze poklaski. Alojzy Feliński, wsławiony autor hymnu narodowego*), przyjętego z woli naczelnego wodza W. Ks. Konstantego, tłumacz Delilla i tragedyj francuskich, porwał publiczność warszawską, a zachwycił i krytykę „Barbarą Radziwiłłówną“, wypełniającą tak gruntownie reguły rzemiosła, że się sama, nietylko jej przedmiot, „uleżała, jak tytoń, jak figa, ucukrowała“, nim wyszła na świat. Nie był to ani pierwszy ani ostatni pomysł udramatyzowania nieszczęsnych ślubów Zygmunta Augusta, z których tylko srogiem pogwałceniem prawdy t. j. biernego oporu króla, a naturalnej śmierci Barbary, można wykrzesać konflikt dramatyczny. Pogwałcił więc i Feliński historję; olśnił zato publiczność szlachetnością słowa i zasad. O palmę pierwszeństwa w tej szlachetności ubiegali się wszyscy jego bohaterowie, reprezentując głośne postacie z najświetniejszych czasów Rzeczypospolitej; obrobienie tematu narodowego w guście najwytworniejszym, stworzenie polskiego Cyda czyli raczej Cinny, pięknie utoczone wiersze, mądre zdania okupiły brak życia dramatycznego i niejasność zawikłania.

W sali zamkowej dowiadujemy się tylko z relacyj posłów i innych osób o akcji, toczącej się zewnątrz, o zamachu Kmity i rozprawach sejmowych; i akcja i osoby wymyślone najdowolniej, historyczne były tylko ich nazwiska; konwencjonalność, wymuszoność, nienaturalność osób i ich uczuć (najfałszywiej pojęta bohaterka sama, ona, jej familja, ich dzieje, urojone zupełnie, z bajki tysiąca i jednej nocy, nie z Gasztołdowego Wilna), pokryto grzmiącemi frazesami i nieskończonemi tyradami, ciągłemi zwrotami do Polski, od pierwszych słów Izabeli „o Polski przeznaczeniach“ aż do ostatniego okrzyku Zygmunta: „o Polsko, jakże trudnej wymagasz ofiary!“

Nie brakło nawet aluzyj politycznych, gdy np. Zygmunt godził się na myśl „Zbracić pod słodkiem berłem naszej Katarzyny Niepodległych Polaków z bitnymi Rusiny“. Szlachetnością tryskały wszystkie postaci rodzime, tylko cudzoziemka (Bona), to wcielony fałsz i obłuda, mściwość i podstęp; Barbara otruta pociesza się: „ginę zbrodnią, lecz ginę nie z Polaka ręki“; nawet Kmita, co się

*) Narodowym stał się ten hymn dopiero po r. 1860 a forma jego od pierwotnego, 4-zwrotkowego tylko znacznie odbiegła; dwie pierwsze zwrotki są Felińskiego, dwie ostatnie Goreckiego.

Bonie za nos wodzić daje, wzdryga się na jej „anszlaki“, bo „Polak nie jest zrodzonym do nikczemnej zbrodni“ i dumne czoło schyla przed królem, przyjęty okrzykiem Zygmunta: „król z tobą i ty zawsze bądź z królem i krajem!“. Wszystko więc toczy się w najprzyzwoitszym, najpatrjotyczniejszym duchu, od nieco dziwacznej intytulacji „Szanowna Izabelo“ aż do ostatniego, króciutkiego aktu, wedle najlepszej recepty dramatycznej, wymagającej nawet w każdym akcie jakiejś całości. Szczyt poezji — bo wedle kanonu estetycznego tragedja go tworzyła — był nareszcie osiągnięty; taką to najcelniejszą tragedję klasyczną, i dziś dla popisu w deklamacji i gestach odgrywaną, odumarł jednak rychło jej autor, i na teatrze i w Krzemieńcu zabłysnąwszy, jak meteor, nie jak stała gwiazda.

Koźmian i Feliński podzielili się wawrzynami; inni, Osiński Wężyk, próbowali sił na rozmaitych polach. **Osiński** zaczął karjerę literacką jeszcze w wieku ubiegłym, za przykładem Karpińskiego, Zabawkami wierszem, sielankami i satyrami; lirykę uprawiał i później, z ramienia i w duchu Towarzystwa Przyjaciół Nauk; przekładał tragedje francuskie: Cyda, Horacjuszów, Cynnę, próbował publicystyki, wydając „Pamiętnik Warszawski“, gdzie ugruntował sławę krytyka, a wkońcu, jako profesor, zgłębiał i teorję literatury: nic gruntownie ani samodzielnie, wszystko z elegancją i smakiem.

Przewyższał go talentem i pracowitością **Franciszek Wężyk**; zaczął od tłumaczeń Eneidy (wydanej po śmierci, najlepszej jaką posiadamy, mimo braku siły i mimo kucia niezwykłych słów), wsławił się pieśniami patrjotycznemi, „Rzymem Wyzwolonym“, który napisał zamiast Osińskiego, z aluzjami do Godebskiego i Raszyna. Posypały się tragedje, historyczne, skoro innych nie uznawano: Barbara, mniej „salonowa“ i frazesowa, niż Felińskiego, bardziej historyczna; Wanda, z zakusami romantycznemi, z bardem i wpływem Dziewicy Orleańskiej; Gliński, z silnemi tyradami patrjotycznemi, najwcześniejszy (z r. 1809), największe mu przyniósł oklaski; Bolesława Śmiałego duchowieństwo po dwu przedstawieniach usunęło z sceny, nie znosząc na niej św. Stanisława. W teorji zrywał Wężyk z francuszczyzną; skrytykował ostro a słusznie Atalję Rasynową, ku zgorszeniu Koźmiana i Osińskiego; nie wydrukowano też w Rocznikach Towarzystwa tej jego rozprawy, jako „powstającej przeciw uznanym już powszechnie prawidłom“. W praktyce trzymał się jednak wzorów francuskich. Zapomniano więc rychło o jego tragedjach i komedjach; najtrwalszego uznania dobił się jego poemat opisowy, Okolice Krakowa, gdzie „ojców ziemię oj-

czystym chce uwielbiać pieniem", co słusznie uchodziło za nadzwyczajną nowość. Jak Koźmian, i on, nawet u schyłku długiego życia, pracy literackiej nie rzucał, kusił się o nowe próby dramatyczne, podobał się nieraz w wierszu okolicznościowym, zachwycał się jeszcze Deotymą i, z nią rywalizując, napisał arcynudnego Piasta; najtrwalszy po nim pomnik, nie w księgach, a w murach pozostał — jak Staszic Warszawskiemu, tak Wężyk Krakowskiemu Towarzystwu Naukowemu gmach wystawił. Z licznych, ckliwych, retorycznych tragedyj wyróżniała się jeszcze bezbarwna, liryczna „Ludgarda" Kropińskiego, z zapałem w r. 1816 przyjęta, tłumaczona nawet, wywołująca spory, czy „wzorowa", czy „niewzorowa" (wedle przepisów!)

Od „poetów", takich i o wiele słabszych, roiło się na Parnasie: byli to najczęściej tłumacze, kierujący się i w wyborze przekładów również „uznanemi powszechnie prawidłami", niezależnie od tego czy sięgali do opisowej, czy do dramatycznej literatury. Lepiej powodziło się na niwie poezji „drobnej" — bo poezja klasyczna stopniowała produkcję literacką — w stylu lirycznym i komicznym. Wobec sztywności muzy poważnej uciekano się chętnie do sielanek i dum, do dumek i śpiewek, i melancholiczne czy rzeźkie ich nastroje znachodziły poklaski. Odznaczyli się tu: krakowianin przybrany, dzielny żołnierz Wincenty Reklewski, ofiara wielkiej kampanji, z „pieniami wiejskiemi", między niemi z Krakowiakami, gdzie maszkarada sielankowa zbliżała się po raz pierwszy do życia prawdziwego, wychylając się ostrożnie z pod zwojów mitologji, różu i fałszu; i inna ofiara tej kampanji, Andrzej Brodziński (brat starszy Kazimierza z Królówki), z Zabawkami wierszem i prozą, echami sielanki niemieckiej, Gessnera i Kleista, oraz inny żołnierz, Antoni Górecki, wileńczyk, którego imię rozniosły najdalej żywe „Krakowiaki", piszący i dumy i elegje żołnierza polskiego z pod Samosierry, jako Szubrawiec szczególniej cięty w satyrycznych i politycznych bajkach; Kantorbery Tymowski wreszcie, kolega po broni i piórze, później referendarz stanu, czy to dumał „w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem" i chwałę legjonów opiewał, czy też pieśń do porteru lub odę do brzucha (o niepokonanej mocy głodu, naśladując niby jeszcze sławną odę do bizuna Bohomolca) układał; tłumaczył i liryki Schillera i ody Horacego i domagał się, prócz rymów, wierszów miarowych. Kwestje prozodji i rytmiczne, mianowicie zaś rymu męskiego, wdzierającego się do śpiewek, do liryki,

nieuznawanego z początku, potem dopuszczonego, omawiali Królikowski, Okraszewski i muzyk Elsner.

Zgłaszali się i pierwsi poeci prowincjonalni; melancholiczny Tymon Zaborowski, wieszcz miodoborski, sławny ze swoich w gruncie bezbarwnych całkiem dumek podolskich i również bezbarwnych tragedyj, wystawianych w Kamieńcu, Krzemieńczanin, w „Ćwiczeniach Naukowych“ skupiający prace samych niemal Krzemieńczan; nieodbiegający od rutyny klasycznej, chociaż głębokie, nieukojone uczucie miłosne przypłacił życiem. Przyjaciel jego, Stanisław hrabia Starzyński (Staś z Zamiechowa), liberał i demokrata, więc w ciągłych kolizjach z duchownymi i sąsiadami, których dowcipnie wyśmiewał, teatroman, słynny ze satyrycznych piosenek (Niech się żeni, kto bogaty; Co już przeszło, to nie wróci; Paciorek, niby zeznanie wiary, gdy go o libertynizm oskarżano).

Ubiegając się o *couleur locale*, mimowoli odświeżali oni zatęchłą klasyczność, chociaż utartych torów nie rzucali ostatecznie. Takich zaściankowych znakomitości bywało więcej, np. marszałek zasławski, Jakób Ciechoński, sławny z piosenek humorystycznych, i inni. Jedni wydostawali się na szerszą widownię, jak Ferdynand Chotomski, z niezrównaną werwą parodjujący (nicujący) „Eneidę“, nie w krótkim wierszu Blumauera i Kotlarewskiego, lecz w aleksandrynach, wplatając przysłowia, słowa przestarzałe, najstraszniejsze anachronizmy, igrając z dźwiękiem słów: o Kumie swojej (sybili z Kum), co w piwnicy miała wina, węgra i maderę, które w głowie sprawiały zaraz czeremere; Eneasz sam zaczynał smutną opowieść: infantko (infandum), chociaż może na śmierć się zapłaczesz. Inni zaś ugrzęźli na prowincji: Jan Onoszko, słynny satyrą o wódce (Pijem, kiedy się żenim, kiedy się rozwodzim, Pijem, kiedy się bijem, pijem, gdy się godzim), Rysiński i inni. Dla zwiększenia komizmu używano i gwary ludowej: sowietnik, później wicegubernator Mańkowski pisał „Enejdę na iznanku“ (wywrót), gdzie białoruski Eol na słowa Junony „zatknuw za pojas kacatych (druty do łapci), Zwaliwsia z pieczki w adin mih“, sławną przed wiekiem po wszystkich jarmarkach mohilewskich i witebskich. Do przeszłości sięgał Rajmund Korsak; bezecnik „Bakę“ odgrzebał ze śmieci, o własne rymy tegoż kroju powiększył i w świat puścił; również „Bibejdą“ się wsławił, jak i inni innemi epopejami humorystycznemi.

Ponad rojami tej niesfornej dziatwy Apolinowej wznosili się wysoko, otoczeni czcią powszechną, w której i romantycy brali szczery udział, ludzie wyższego natchnienia i większego talentu: Woronicz

i Niemcewicz; nad nimi stanął najmłodszy, jedyny wielki talent czy genjusz komiczny, wtedy i długo jeszcze niedoceniony, Aleksander Fredro. Ci trzej, w nierównej mierze i dla przyczyn całkiem odmiennych, przetrwali i epokę warszawską i cały klasycyzm, a jeden z nich żyje i błyszczy do dziś, i na złożenie go z tronu komizmu wcale się nie zanosi.

Jan Paweł Woronicz, typowy syn polskiego wieku odrodzenia, eks-jezuita i ksiądz, jak inni, dążył i w literaturze torami Naruszewicza, w sielankach, jak i w odach, sławiąc panów i króla; rychło jednak spoważniał proboszcz liwski, wymowny kaznodzieja warszawski, trafiający jeszcze wymowniej do serc maluczkich; po rozbiorze kraju przebywał w sferze puławskiej i z niej czerpał zewnętrzne pobudki do nowych tworów. Katastrofa dziejowa zasępiła mu umysł, wyrobiła w nim pesymizm; stał się nieufny i względem zwrotów pomyślniejszych, wszędzie dopatrując źródeł nowych zawodów. W ciężkich, bolesnych rozmyślaniach doszukiwał się Woronicz przyczyn upadku:

Więc gdy Bóg nas nie może karać bez przyczyny,
Los nasz być musi płodem własnej winy;

stąd wynikała otucha, nadzieja, że pokutą, skruchą, poprawą błogosławieństwa niebios znowu okażem się godnymi. Od poniżającej teraźniejszości ulatywał wzrok jego w przeszłość świetną i ogarniał coraz dalsze przestwory, gdzie Polska się rozlewała w Słowiańszczyźnie, występującej z pomroków dziejowych. Osobliwsza historjozofja, wysokie wymagania moralne, silna nuta słowiańska stanowią cechę niezwykłej poezji Woronicza; w myślach i formie styka się nieraz z Staszicem; język twardy, obfitujący w nowotwory — po długim zastoju sadzili się wszyscy klasycy, aż do „księcia wymowy“ Stanisława Potockiego na zbogacenie języka: niektórzy błądzili przeciw najprostszym regułom składni, inni pisali raczej z francuska lub zakrawali na łacinę, mimo to kuli wszyscy nowe, nieraz wcale niekształtne wyrazy.

Woronicz wykładał historjozofję, retor, nie poeta, Wirgiljusza stale kroczący śladami (od eklog począwszy), sadzący się na szumne frazy, jak; „Troja nato upadła, aby Rzym zrodziła“, i stąd czerpiący otuchę nowej, innej, lepszej przyszłości, w obszernych, pseudoepicznych poematach; wykończył (a później i wydać pozwolił) tylko „Sybilę“, tytuł jej i wstęp zapożyczywszy od „Sybili puławskiej“, a naśladując poniekąd w planie i szczegółach prozę „Ruin“

Volneja. Prócz wstępu i zakończenia, poświęconemu domkowi gotyckiemu i Czartoryskim, jest to historja polska, włożona w usta Kazimierza Wielkiego, idealnego, i Jana Kazimierza, wieszczącego proroczo przyszły upadek, skreślony w pieśni czwartej. Krócej a dobitniej wyłożył to samo ksiądz biskup w „Hymnie do Boga“, który usunięto z programu publicznego posiedzenia Towarzystwa, „ulegając okolicznościom teraźniejszym i stosunkom“ (pruskim, r. 1805).

Od tak silnych zwrotów odwykła była poezja polska, odhartowana w miękkiej dłoni Krasickiego. Coraz bardziej zatapiał się Woronicz w obrazach wielkiej, bajecznej przeszłości; nie wahał się sięgnąć aż do kolebki narodów, w „Assarmocie“, mitycznym Sarmatów praszczurze, wieszcząc rozrodzenie plemion, gdzie „cnota naszym żywiołem, a rzemiosłem sława“. Zstępował potem do „Lecha“, ażeby, osadzając go w Gnieźnie a wywodząc z Henetów, wyłożyć dzieje bajeczne, mity i podania, wplatając wszędzie groźne proroctwa i przestrogi. W „Sejmie wiślickim“ znowu wysławiał Kazimierza Wielkiego i panowanie prawa, nie człowieka; w „Jagiellonidzie“ nakreślił już tylko plan epopei. Obok tych obszernych dzieł poetyckich myślał Woronicz o pieśnioksięgu, choćby dla ludu, moralnym (złożonym z psalmów) i historycznym, coby i same pieśni ludowe obejmował, ów skarb, „który w ustach niewygubnych pokoleń nie boi się pożaru i oręża...; aby nietylko język, ale i sławę narodową niepożytym narzędziem na rozwalinach świata wyżłobić“; wychodził z jedynie słusznej zasady, „że odmiana rządu i składu politycznego bynajmniej narodów nie umarza“.

Gdy cesarz Aleksander listem do prezesa Ostrowskiego doniósł o przyjęciu tytułu króla polskiego, odezwał się Woronicz, niebawem biskup krakowski, owym „Hymnem do Boga“:

Panie Zastępów, Twa święta opieka...
Dziś nam się w całej swej pełni stawia,
Polskę objawia...

Zesłałeś Panie Twego namiestnika...
Co razem łączy dwa bratnie narody,
Które świat poznał i z męstwa i cnoty...
Niech mężnych Słowian pobratymskie plemię
Nieszczęsne Polski odtąd broni ziemię...
Władca zaś, co nas pod swój puklerz kryje,
Niech wiecznie żyje!

Wtórował mu Staszic: „jeden tylko (z władców Europy) błogosławiony od wszystkich ludów, wzór sprawiedliwości i ludzkości,

w sercach Polaków nieśmiertelnej pamięci Aleksander I stanął obrońcą praw tego narodu i zachował mu właściwą, nadaną od samego Stwórcy narodowość, a przez tę łącząc go z pierwotną jego słowiańską rodziną... w braterstwie z Rosjanami, w złączeniu się w wielkiej naszej pierwotnej słowiańskiej rodzinie, nie zapominajcie nigdy, kochani współrodacy, tych moich do was słów ostatnich: łączcie się i oświecajcie się". „Opiekuna i Przyjaciela" (słowa Cesarza na przemowę Węgrzeckiego), witały hymny i adresy; od Towarzystwa Przyjaciół Nauk przemawiał Staszic, na ten sam temat o „dwóch braciach starszych wielkiej Sławian rodziny".

Nie było danem Woroniczowi wytrwać w pracy poetyckiej; sławnego kaznodzieję za czasów Księstwa, czy przy poświęcaniu chorągwi polskich, czy przy otwarciu pierwszej sesji sejmowej, oderwały od niej obowiązki urzędu; lecz jeszcze, jako biskup krakowski, polecał Stachowiczowi odtworzenie przeszłości narodowej w obrazach dla pałacu biskupiego. Głos znękanego wiekiem i cierpieniami starca coraz słabiej się odzywał; jako prymas, zszedł już po roku do grobu.

Rzewna miłość świetnej przeszłości, głęboki żal za jej zmarnowaniem, otucha niezłomna w wyroki Opatrzności, okupowały to, co jego obrazom poetyckim brakowało pod względem barwy i wyrazistości, słowom pod względem wdzięku i harmonji; ze czcią dla poety łączyła się cześć dla kapłana i człowieka, gardzącego „pajęczymi pasmami bezsilnych skarg", cnotą, rozumem i męstwem zdobywającego niebo.

Równie popularny i czczony, nierównie wszechstronniejszy i żywszy, a zdobywający uznanie głównie swą aktualnością, to **Julian Ursyn Niemcewicz**; nadmierna wrażliwość stanęła mu nawet na przeszkodzie, nigdy wszystkich sił nie skupił, nie zdobył się na cierpliwość i wytężenie środków artystycznych; zadowalał się pierwszym rzutem, do żadnej pracy nie powracał; wykończoną byle jak, od niechcenia, na zawsze zarzucał. Talent był nadzwyczajny, rozległy; umysł głównie zwrócony ku potrzebom chwili; z zawodu polityk i publicysta, nawet w poezji, bajką, satyrą, komedją, romansem, służył aktualności. Adjutant Kościuszki, towarzysz niedoli z pod Maciejowic i w twierdzy petersburskiej, obywatel amerykański wracał do kraju z głośnem nazwiskiem literackiem, wplecionem w wawrzyny Wielkiego Sejmu; odtąd rosła tylko jego popularność, w Puławach i w Warszawie, szczególniej między damami, w Towarzystwie Naukowem, którego prezesem został po

Staszicu. Najobfitsza czynność jego przypada właśnie na te czasy, od r. 1807 do 1830; na emigracji, w Paryżu jeszcze i Londynie lat dziesięć spędził, układając „Pamiętniki czasów moich“, sięgające aż do lat dziecięcych, chociaż dawno przedtem historję spółczesną (Księstwa Warszawskiego) spisywał; rzeczy to, które dopiero teraz dostają się do druku.

W Towarzystwie odkrył talent czy zamiłowanie do dziejopisarstwa; nietylko wykonał obraz panowania Zygmunta III, współzawodnicząc z ks. Siarczyńskim, lecz pierwszy zabrał się do zbierania i ogłaszania zabytków przeszłości, mów, opisów podróży, pamiętników, wierszów historycznych; wydał pięć tomów takiego „Zbioru pamiętników historycznych o dawnej Polsce“ (1822 — 1830) i przysłużył się tem nadzwyczaj, otwierając bogaty, ważny dział piśmiennictwa historycznego; w jego ślady wstępował „Sandomierzanin“, który pod redakcją Ujazdowskiego w dwu tomach bynajmniej nie ograniczył się do Sandomierza i Chęcin, lecz dla dawnej literatury i historji ogłosił wiele cennych przyczynków źródłowych.

Przed tą systematyczną pracą dziejopisarską, nieobliczoną na szersze warstwy, wykonał Niemcewicz, to, o czem Woronicz tylko zamyślał, ów pieśnioksiąg marzony — w „Śpiewach historycznych“, pisanych za Księstwa, wydanych w roku 1816; już w roku 1819 wydawano je po raz trzeci, i popularność ich nie ustała, chociaż, jak i w stosunku do „Bajek“ Krasickiego, zmieniła się ich publiczność i tylko młodzież je czyta. Z formą ballady i pieśni historycznej, nieistniejącej dla kodeksu francuskiego (pseudoklasycznego), zapoznał się Niemcewicz w literaturze angielskiej, gdzie ballady historyczne (ludowe) Percy'ego nadzwyczajnej zażywały sławy; tłumaczył, „dumami“ przezywając, ballady angielskie, między innemi dał aż trzy przeróbki sławnej królowej ballad, Lenory: „Alonzo i Helena“, „Malwina“, „Cień Eweliny“; zachwycał Towarzystwo Przyjaciół Nauk w r. 1804 „Michałem Glińskim“, potem innemi, np. Zamkiem Jazłowieckim“, ale najdawniejsze i najpiękniejsze, t. j. Dumę o Żółkiewskim, na której nutę improwizował Mickiewicz, i o Stefanie Potockim, utworzył jeszcze w XVIII w., 1786 — 1791 r., zawsze uwielbiając rycerskość. Z takich zawiązków urósł plan odtworzenia jakiegoś ciągu, uwiecznienia świetniejszych czy rozstrzygających chwil dziejowych pieśniami o czynach i mężach, od Lecha aż do odsieczy wiedeńskiej. W ten sposób stworzył Niemcewicz poetycki podręcznik dziejów polskich, w notach uzupełniając tok

wierszów; tak spławił pierwszy szlachetny kruszec tych dziejów i przekuł na monetę obiegową. Odbiło się to echem i w Rosji, gdzie Rylejew na ten sam ton w duchu obywatelskim swoje „Dumy“ wyśpiewał. Wierności historycznej było mało, poezji jeszcze mniej; jak w „Barbarze“ Felińskiego, zarówno tchnęły pseudoklasycyzmem ryciny dodane, z widokami wystylizowanemi, ze zbrojami i postaciami teatralnemi, dekoracyjnemi, pseudorzymskiemi, jak i tekst nie uwydatniał charakterystycznych różnic, odcieniów, rysów; w tych samych barwach i słowach przedstawiał Niemcewicz czasy pogańskie, jak i Czarnieckiego lub Sobieskiego wystawiał; wpadał w sentymentalność, główną kładł wagę na same przemowy bohaterów, na ich patos retoryczny. Zato popularyzował po raz pierwszy dzieje ojczyste, jak nikt inny dotąd; nuty i śpiewność zapewniły to powodzenie, na jakie rzecz sama, w najbardziej patrjotycznym duchu wykonana, mniej zasłużyła; żadne inne dzieło nie wywarło równie silnego wrażenia, nie podtrzymało tak ducha, nie zbudziło tak miłości ojczyzny.

Na wielki poemat epiczny nie porywał się, wiedziony trafnym instynktem; zato od dydaktycznego nie stronił i zostawił obszerne „Cztery pory życia ludzkiego“ (nie ogłoszone dotąd w całości); o wiele piękniejsze były „Dumania w Ursynowie“, gdzie ze świata roślinnego i zwierzęcego (mrówek) wysnuwał porównania i obrazy, przetykając je tęsknotą, marzeniami, niewymuszone, naturalne i tkliwe.

Celował w bajkach, nawiązując do tradycyj stanisławowskich. Inaczej niż Krasicki uprawiał bajkę pełną aluzyj aktualnych, politycznych, towarzyskich (na Ledy, co już nie łabędzi, lecz indyki na amantów biorą); czasem data sama świadczy, w co, a raczej w kogo Niemcewicz mierzył, np. na wojska sprzymierzeńców, ogładzających kraj; koty, zamiast szczurów, tępią zasoby spiżarni — niby tłumaczenie z niemieckiego; umyślnie podawano rzecz oryginalną za tłumaczenie z nieistniejących obcych autorów lub dzieł, aby ją przemycić. Inne bajki zwracają się przeciw cudzoziemskiemu wychowaniu (bobrów u papugi); przeciw fircykom, pysze nadętej, głupcom bezczelnym, krytykom niepowołanym, gasicielom światła; „Mrowisko“ z roku 1815 radziło zadowalać się małem, rzucać niepłodne marzenia, dziękować królowi za niespodziewaną łaskę i brać się do pracy. Szkodzi bajkom nadmierna rozwlekłość; są, jak i u Lafontaine'a, powiastki, nieraz bardzo niemoralne, inne smutne i tragiczne.

Jak pseudoklasycy, tak i Niemcewicz najusilniej hołdował muzie dramatycznej: pisywał komedje, chłoszcząc przywary narodowe (małpowanie francuszczyzny, politykomanję — „Pan Nowina czyli dom pocztowy“; „Samolub“; „Podejrzliwy“); tematy tragedyj, nieraz muzycznych z chórami, wybierał nie ze wschodu i starożytności, lecz z dziejów narodowych. Napisał więc Władysława pod Warną, Jadwigę, Piasta, Zbigniewa, Kiejstuta, Bohdana Chmielnickiego, pałającego nienawiścią przeciw Polakom. Temperament nawskroś polityczny i w dalekiej przeszłości nie unikał aluzyj do stosunków warszawskich, rewolucję potępiał, jakby przeczuwał rok 1830; na zausznych doradców i pochlebców sarkał, jakby myślał o koterji na Zamku — Kiejstut umierający dowiaduje się, iż „pospólstwo, sprawiedliwą zemstą uniesione sprawców wszystkich swych nieszczęść skarało śmiercią“, i wybucha:

Jakaż praw świętych ohyda!
Za czyimże wyrokiem? Jakże zapalczywość
Pełni, co pełnić winien sąd i sprawiedliwość!
Jestem obrońcą ludu, lecz lud często błądzi —
Nie uniesienia jego, niechaj prawo rządzi
Śpiesz (do Witolda), niechaj twoja czujność zuchwałość ukraca,
Niech tron będzie bezpiecznym, niech spokojność wraca!

Dotkliwsze są aluzje do „prędkiej odmiany niepewnej młodości“, do prawideł ludzi, władzy chciwych (oddalać od rządzących prawdę i poddanych skargi). Ze wszystkich prób dramatycznych podobały się najbardziej wodewile: „Giermkowie króla Jana“, „Jan Kochanowski w Czarnym Lesie“, gdzie w słowach dworzanina, prawiącego o Janie, poeta siebie samego miał na myśli: poeta, wedle niego,

Jest to stworzenie, niby coś nakształt człowieka,
Z tym wszystkim różniące się zupełnie od ludzi,
...Patrzy przez godzinę na kwiat jasnej róży...
Rzuca łoże, by widzieć, jak jutrzenka wstawa...
Rozpamiętywa przeszłość, lub w przyszłości ginie,
Wielbi wdzięki natury, ustronia osobne,
Jakąś wolność, swobodę, i głupstwa podobne.

O przyszłości miewał dziwne pojęcia czy obawy, gdy np. kreślił „Rok 3333“ i w nim Warszawę - Moszkopolis, gdzie ostatki chrześcijan, potomkowie Zamoyskich, Żydom wodę i cegły wożą. Zapomocą powieści i romansów wpływał, najbardziej obok „Śpiewów historycznych“, na publiczność; lecz o tych wspomnieć nale-

ży osobno. Pisarzem politycznym okazał się w „Listach litewskich“, omawiających wypadki roku 1812, budzących patrjotyzm, nawołujących gorąco do skruszenia jarzma, do pójścia pod znaki „Posłańca Bożego“. Swą ziemię przebiegał wzdłuż i wszerz i opisywał, co widział, w „Podróżach historycznych po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828 odbytych“ (wydanych później). Nie ubiegał się wyłącznie o górne wawrzyny; od patosu przechodził aż do komiczności, nawet w owych „Listach Litewskich“ folgował żyłce satyrycznej, tworząc pyszne sylwetki czynownicze.

Niemcewicz, acz już „za życia kanonizowany na Parnasie“, jak doń Mickiewicz pisał, ani u spółczesnych ani u potomności, jak dotąd, zupełnej, sprawiedliwej oceny nie doznał. Spółcześni znali go za mało, bo najpiękniejsze utwory jego, dla treści drażliwej, nie nadawały się do druku; później smak i moda całkiem innemu hołdowały kierunku — miejsca dla śpiewaka z Ursynowa nie było. Uderza w nim najpierw nadzwyczajna wydatność pracy niestrudzonej; z poematów wymieńmy tu jeszcze dwa: „Prometeusz“ (1826, wydany 1854), alegorja-satyra, kpiąca z ludzi i panujących, z mitologji i bożków — ze znakomitym portretem Aleksandra I, oraz „Moje Przemiany“ (rękopis z r. 1829), w czterech częściach, niby pendant do prozaicznej Historji Krasickiego: wędrówka przez dzieje powszechne, od wieży Babel aż do Bolesława Chrobrego, o wiele ciekawsza, acz całkiem luźna, bardziej urozmaicona niż owa Historja, poważna i humorystyczna naprzemian. Rzeźwość pióra zachował do dni ostatnich; jeszcze w 1839 r. zaczął powieść o dniach listopadowych, skierowaną przeciw demagogom, klubistom, Lelewelowi i Krukowieckiemu, polemiczną, ale 82-letni już jej nie wykończył. Najwybitniejszą cechą całej jego czynności literackiej, zespalającą ją mimo zupełnej rozbieżności przedmiotów i form, jest duch polskości, jej uwielbianie. Z zupełnem prawem mógł o swoich „zbyt mnogich, w zalety ubogich“ pismach twierdzić, „że zawsze dobro Polski było moim celem“. Nieskalaną tę służbę literacką pełnił w przekonaniu, że przyczyni się do zachowania, spotęgowania życia narodowego, i już spółcześni wystawiali mu to świadectwo. O jakiemś zasklepieniu w „klasyczności“ nie było i mowy; jemu zawdzięczał wiele Mickiewicz a starzec-Litwin młodego Litwina wysoko cenił. Sam przeczuwał nadchodzącą zmianę „gustu“ i stylu. Pisał nadzwyczaj wiele, mało drukował; najsłabsze jego twory, „Powrót Posła“ i „Śpiewy“, zjednały mu największą sławę, gdy nierównie lepsze albo ukrywał w stoliku (np. cztery

pieśni „Puław", wdzięcznego opisu przyrody i hołdu ludziom zacnym) albo nie miały powodzenia. Najmarniejsze, to jego tragedje; komedje nierównie wyżej stoją, ale „Podejrzliwy", piętnujący donosicieli („najpodlejsze rzemiosło jest rzemiosło szpiega"), a ośmieszający tego, co im ucha użycza, pod maską domową godzący na stosunki warszawskie, mógł się dopiero po powstaniu listopadowem na scenie ukazać — Nowosilcowy i Szaniawscy byli jak palcem wskazani. Ku własnej szkodzie lenił się z poprawkami, pozwolił wystawić np. Władysława pod Warną, bez zmian, takiego, jak go był przed ćwierćwieczem napisał, ckliwego aż nadto. Z komedji najlepsza jest „Samolub". Jedyne „Śpiewy" usilnie polerował, kilkakrotnie opracowywał, z widocznem dla wysłowienia ulepszeniem, lecz braku prawdziwego natchnienia niczem nie zastąpił. Niecierpliwiła go i nużyła ciągła podjazdowa walka z cenzurą, która niebawem wyłączyła jego „Śpiewy" z ksiąg dla młodzieży. Śpiewy i dumy Niemcewiczowe natchnęły poczęści ballady Mickiewiczowe, ale już w „Moich Marzeniach" kreślił Niemcewicz Petersburg i cara jakby pod wpływem „Ustępu" Mickiewiczowego i dowiódł tylko nadzwyczajnej rzeźkości umysłowej i zadziwiającej łatwości pióra oraz umiejętności skierowania wszelkich sił ku służbie narodowej.

Od obu tych powag uznanych odbijał ten, który najmniej wówczas mógł liczyć na uznanie, już dla rzeczy, jakie pisał, skoro służył muzie komicznej, podrzędnej w kanonie klasycznym. Ale scena narodowa oparła się nie o Barbary ani Wandy: jej kamieniem węgielnym są komedje **Aleksandra hr. Fredry.**

Po licznych, dzielnych, w żelazo zakutych rycerzach-granicznikach, co Podola i Rusi strzegli swą piersią, wysilił się w wieku XIX ród ten znakomity na pokolenia niemniej dzielne, mniej hartowne, artystyczne bardzo, obdarzone niezwykłą bystrością obserwacyj — czem już antenat-statysta, Andrzej Maksymiljan, celował i niepróżno też z „Przysłów" jego potomek późny dobierał motta do swych komedyj — wyobraźnią plastyczną, niewyczerpaną *vis comica*, lubującą się i w śmiechu dla śmiechu, jowjalnością staropolską i tendencją najzacniejszą.

Gdy bracia zawiesili na kołku oręż Napoleoński, gdy „święte" przymierze pokój nie święty, lecz zgniły Europie zapewniło, gdy w Galicji prócz wspomnień z kampanji, zdobyczy serc niewieścich, polowań, hulanek i gospodarstwa trzypolowego, niezmiennego, nic nie nęciło ani zajmowało, wylał się temperament żywy młodego

Aleksandra na tworzenie scen i postaci. Żyłkę dramatyczną, obudzającą się wcześnie, wierszomanję już obozową wzmogły pochwały i zachęty przyjaciół, a kierunek im nadał wpływ, jaki na nieobeznanego przedtem z teatrem, muza dramatyczna w Paryżu wywarła i to nie tragiczna, Talmy, z patosem i przesadą, lecz Talija, wprawiająca w ruch na scenie żywych ludzi łudząco, wiernie a charakterystycznie; rozczytywanie się w Molierze, Goldonim, Kotzebuem dokonało reszty.

Pierwsza próba, napisana od niechcenia, zachęciła do dalszych; gdy teatr lwowski, walczący z kłopotami finansowemi, w nich nie gustował, udał się Fredro do Warszawy, i tu Osiński, leniwy do nowych rzeczy i autorów, wystawił nakoniec „Geldhaba“ w lutym roku 1821. Odtąd miał Fredro zapewnione powodzenie u publiczności, trafiając u dyrektorów teatru na obojętność, u recenzentów i krytyków na złą wolę. Borykał się z nimi, nie dawał się im odstraszać, i do roku 1835 wyroiło się z dworku szlacheckiego w Jatwięgach i Bieńkowskiej Woli sztuk ze dwadzieścia. Chociaż już w Paryżu przekonał się Fredro, że utwór sceniczny dopiero w przedstawieniu nabiera wykończenia i życia, o wystawienie swych sztuk sam nigdy nie dbał, za kulisy nie chodził, teatrowi pozostał obcy. Również unikał „aktualności“ fabuły czy osób; nigdy żywych portretów na scenę nie wyprowadzał i sztuki chętnie wystawiał w Warszawie, aby w Galicji nie doszukiwano się oryginałów; tylko w „Jowialskim“ sportretował Bogu ducha winnego staruszka Grzymałę, w którym późniejsza krytyka nie wiedzieć co za bohatera czy symbol upatrywała.

W roku 1835 dał się Fredro, na całe lat piętnaście, zrazić do swego powołania, nietyle niemądrej krytyce Goszczyńskiego, oskarżającej go o niemoralność i płochość, o ślepe naśladownictwo, o niedołężne cieniowanie charakterów, jak absolutnemu milczeniu powołanych, z których nikt się słówkiem za skrzywdzonym nie ujął; romantycy, np. Mochnacki, milczeli o nim stale, bo nie cenili wcale komizmu (pierwszy Kraszewski uznał wielkość Fredry w 1842 r; jakiś „dobry przyjaciel“ upewniał Fredrę, że go „znienawidzono“) i zamilkł Fredro na długo, zniechęcony tem wszystkiem.

Niechęć krytyków demokratycznych, Dembowskiego, obudzał Fredro samą sferą, w której się jego komedje obracały, salonową i szlachecką — jakby on inne znał, malując to, co naokoło widział. Niechęci tej nie rozbrajały zacne, obywatelskie tendencje autora. Fredro nie pisał tylko dla śmiechu, nie, żeby „dudków bawił“,

i gniewało go, gdy sztuki jego tylko dla ich wesołości ceniono: uważał się on za satyryka i występował świadomie przeciw najbardziej zakorzenionym wadom owej sfery, przeciw jej cudzoziemszczyźnie bez ładu i sensu; przeciw marnotrawstwu i karciarstwu, panującemu właśnie w Galicji; przeciw płochości mężczyzn i kobiet; przeciw dorobkiewiczom i ich pysze nadętej, owym Geldhabom, porosłym w pierze na liwerunkach, i ich Florom, polującym na mitry książęce, a dostawało się przytem i owym mitrom samym. Żyłce do satyry folgował i w powiastce. I krytykę i publiczność zbijało chyba z tropu, że obok takich zakusów satyrycznych wystawiał Fredro i farse najpocieszniejsze, gdzie wybuchy nieco grubego, rubasznego śmiechu wszystko zagłuszały, a nadzwyczaj żywe tempo akcji i dialogu zgóry rozbrajało powagę, porywało widza, myśli głębsze płoszyło; aluzyj politycznych, choć były, nie dostrzegano.

O temat, intrygę, genjalny dyletant nie dbał wiele; brał, jak Molière, co się nawinęło, czy nowelę niemiecką, czy „Don Kiszota“ czy „Sarmatyzm“ Zabłockiego; nad zawikłaniem i rozwikłaniem węzła dramatycznego głowę tem mniej łamał, skoro trzymał się z zasady reguł francuskich: jedności akcji, miejsca i czasu; nie gardził nawet subretkami-pokojówkami; nie przebierał i w materjale komicznym, korzystając z *qui pro quo*, z głuchoty. Typy, coraz odmienne, brał z obserwacji.

Od typów roiło się około niego: na wsi dogorywały niedobitki sarmatyzmu, jacyś przedpotopowcy, trzymający się święcie nietylko wiary i zwyczaju przodków, ale i ich przesądów; inni zrzucali już wraz z strojem polskim samą narodowość, przebijającą jednak z pod obcych naleciałości; nowe pokolenie wyrobiło się w epopei napoleońskiej: oficerowie starsi, do rygoru nawykli, bardzo drażliwi na punkcie honoru; młodsi, używający świata, z energją niewyczerpaną, szarżujący wczoraj Samosierę, dziś serca niewieście; podkomendni, służbiści wąsale, patrzący z politowaniem czy pogardą na wszystko, co nie wojskowe, co nie służba; były tu i pasorzyty, owi Geldhaby. Damy sentymentalne, do miłostek skłonne, niebiorące tragicznie niewiary, wyrażające się frazesami, dziś niemożliwemi, wykrojonemi z tkliwych romansów ówczesnych. Obok złotej młodzieży, fircyków Zabłockiego, hulaków, poczciwych z gruntu, serca najlepszego, wykolejonych pobłażaniem, wyłamujących się z każdego rygoru i mężowie nie są lepsi, z amorami w głowie, i żony również płoche, ale poważnych zawikłań scena

nie znosi; czasy ciężkie, na wyrzuty już nie pora, więc choć na scenie rzuca się troskami o ziemię i bawi w najlepsze. Tak pojmowała to przeciętna publiczność i z nadzwyczajną wdzięcznością witała śmieszka, niewyczerpanego w coraz lepszych pomysłach.

Śmieszek ten wyrósł pod ferulą pseudoklasycyzmu; od Francuzów brał nazwy konwencjonalne: Orgonów, lub etykiety Raptusiewiczów, Milczków; śladami Francuzów popisywał się wyłącznie w komedji typów, chociaż sam najlepiej czuł, że nowoczesna scena czegoś innego już wymaga. W „Jowialskim“ prawił przecież przez usta Ludmira, że „komedja Molière'a koniec wzięła, skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni, trzymał ręce w kieszeni, teraz sknera sknerą tylko w kącie, troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota i ubogiego hojnie obdarzy, byle świat o tem wiedział... niema wydatnych zarysów... w każdym człowieku dwie osoby“.

Mimo słusznej teorji stoją komedje Fredry tylko „wydatnemi zarysami“; zazdrosny u niego jest tylko zazdrosnym, cudzoziemszczyzna tylko cudzoziemszczyzną. Zrywał się jednak Fredro do nowego lotu i pod innym względem: rozdarcie nowożytnego człowieka, pragnienie niezaspokojone ideału, rozdźwięk ze smutną, płaską, podłą rzeczywistością, odczuwał i umiał przedstawiać, choćby w krótkim szkicu, przełamując wąskie szranki komedji francuskiej, w „Odludku i poecie“ najbardziej, krocząc już za Schillerem tam, gdzie publiczność odczuwała tylko dawną sentymentalność, niby gruchanie Filona do Laury, chociaż to się nowy świat, romantyczny, otwierał. Z komedji francuskiej zachował Fredro nawet jej sentencje i tyrady nieskończone, rywalizując z Felińskim. Ale ani Molière, ani Kotzebue nie wyczerpywali jego zasobów; do wzorów, ramek, treści obcej przystępowała własna werwa, żyła komiczna niewyczerpana, genjalna, oraz duch czyli instynkt nadzwyczajny swojskości.

Tak stworzył Fredro jedyną, jak dotąd, komedję historyczną polską. W „Zemście“ historycznych nazwisk i akcji, miejsca i czasów, niema żadnych, ale i Cześnik i Rejent, Raptusiewicz i Milczek, to dawne typy polskie w dawnem otoczeniu, do których się i ociężały Dyndalski i frant Papkin dostrajają; szarży komicznej prześcignąć nie można, czy to w scenie, gdy wobec im skrytszego, tem niebezpieczniejszego Milczka hardy Papkin zachowuje się ciszej wody i niżej trawy, czy to, gdy mozolisty kułak Dyndalskiego z piórem i sensem się boryka. A w repertuarze Fredry nie są to

jedyne sceny komiczne; dziwaczny jest pomysł w „Pierwszej lepszej“ — wziąć za żonę, która się nawinie, aby, wybierając, nie wpaść gorzej — ale wobec Litwinki ze śpiewnym akcentem i przedpotopową karetą i Heraklit-by dalej płakał, tym razem ze śmiechu. Cóż mówić o „Damach i Huzarach“, z ich licznemi kontrastami od owych berodów-bab aż do kapelana wojskowego z niezmiennem „Nie uchodzi“, z owem nieprzewidzianem wtargnięciem świata damskiego w tryb kawalersko-wojskowy, kapitulujący po nieudałej obronie; i w najmarniejszej farsie, w takim „Nowym Don Kiszocie“, są sceny tak komiczne, że zapomnieć ich czy oprzeć się im niepodobna. Ale pióro Fredry nietylko jest dla szarży i farsy stworzone; już w „Mężu i Żonie“, gdzie cztery osoby trzy akty wypełniały i temat drażliwy wymagał najdyskretniejszej akcji i subtelnego dialogu, zajaśniała zdolność Fredry w prowadzeniu tego dialogu i w jego cieniowaniu; temat był ten sam, który obrabiał niegdyś Lipski aż we dwu komedjach kończył się i u Fredry również pomyślnie, chociaż obnażał płochość nadzwyczajną, francuską, niesarmacką; to, że wszyscy z ogniem igrali, że wszyscy się nawzajem oszukiwali, że najgrubiej oszukany mąż sam sztuki oszukiwania przyjaciela uczył — bawiło widza nadzwyczaj i nie dozwalało na głębszy namysł.

Prześcignął się Fredro w „Ślubach Panieńskich czyli magnetyzmie serca“, przyciągającym przeciwne bieguny, chociaż wątpić można, czy ckliwy i miękki Albin nie znudzi energicznej Klary, a łagodna Aniela nie uprzykrzy się tak dalece szaławile Gustawowi, że on — tym razem na serjo jednak — listy do Klary sam pisywać zacznie; lecz i takie skrupuły nie powstają w widzu, zajętym typowemi, kontrastowemi okazami młodzieży polskiej, głównie serdecznym, pustym, prędkim, szlachetnym w gruncie Gustawie, który zczasem się przerodzi w Radosta, srogiego nazewnątrz, istotnie zaś miękkiego, w widzu, olśnionym żywością i błyskotliwością dialogu, wytwornością i finezją słów i uczuć, porwanym scenami genjalnemi, owym odpowiednikiem listu Dyndalskiego, listem, dyktowanym przez Gustawa, najbardziej ujmującą sceną z całego repertuaru Fredrowego, szukającą równej w literaturze dramatycznej świata. W „Panu Jowialskim“, pomysł prastary, jeszcze przez Barykę niegdyś próbowany, urozmaiciła para staroświecka, obywatelska, należąca również do typów niemal historycznych.

Teatr Fredry nierówną ma wartość. Przeważają farsy, melodramaty, drobiazgi, gdzie jedna scena lub jeden typ widza zabawi;

pierwszy lepszy pomysł wykonany jakby od niechcenia; żeby się uśmiać do syta, nie waha się autor przed niemożliwością czy nieprawdopodobieństwem. Ale komik ten ma serce tkliwe, więc ubolewa nawet nad niskim stanem ówczesnej literatury; ust mu nie wykrzywia sarkazm, nie karci, tem mniej znęca się nad płochymi, słabymi, nierozumnymi; nie przeciąga więc zawikłania nigdy aż do groźnego konfliktu — „nie wódź mnie na pokuszenie, ojców moich wielki Boże"! woła niby i on sam, jak jego Raptusiewicz. I wieje od jego dzieł, nawet mimo nazw obcych i wzorów, duch szczeropolski, objawiający się nietylko w języku, którego wszystkie tajniki znał, jak ongi p. kasztelan lwowski, choć, jak ów od łaciny tak ten od galicyzmów wcale nie stronił, ale w samych postaciach, w ich sposobie myślenia i działania, z ich słabostkami i dzielnością, przymiotami i przywarami. Narodowej tragedji, rzeczy łatwiejszej, nie stworzyła klasyczność warszawska; daremnie próbował jej i inny Fredro, Jan Maksymiljan, który naturalnie popełnił i „Wandę"; narodową komedją zato uwieczniła się pamięć doby „warszawskiej" w dziejach literatury. O polskości tej typów świadczą choćby obaj bohaterowie „Zrzędności i Przekory": Fredro lubił ten sam typ, skąpca, zrzędy, anglomana wystawiać w podwójnych okazach i mimowoli je indywidualnie zabarwiał. Za dowcipem słownym się nie uganiał, kalamburów unikał, zato na śmieszności w myślach używał, szczególniej sławny jego angloman Radost.

Nawet zagranica uznawała zalety Fredry, i scena niemiecka i francuska, czeska i rosyjska przyswajały sobie jego rzeczy; niezawsze się nawet do tego przyznawano, i „Labiche" figuruje tam, gdzieby „Fredro" położyć należało. Wobec komedji Fredry (przed rokiem 1835) inne jego próby literackie całkiem nikną, tak samo jak wobec jego komedji komedje innych dziś są całkiem zapomniane.

Do śmiechu Fredro w komedjach był skłonny, chociaż sam nietylko nie był pustym i płochym, ale, jak Gogol, jak inni wielcy humoryści, głębokość uczucia, tkliwość serca, wrażliwość nawet nadmierną (czego rok 1835 dowiódł) ukrywał pod maską komiczną; z uczuciem nie wylewał się na zewnątrz, ogrzewał niem, prócz niektórych postaci swych sztuk, kółko najbliższe, rodzinne, a niby trzpiot na scenie był najprzykładniejszym obywatelem w życiu publicznem i domowem. Dzieło, poczęte przez Zabłockiego, dalej i wyżej poprowadził; jemu zawdzięcza teatr polski pierwsze i na

długi czas jedyne, trwałe sukcesy — naturalnie, cały jego repertuar nie utrzymał się, poodpadały rzeczy błahe i słabe, ale w dziejach teatru u Słowian stanął na wyżynach.

Tak więc stworzył, bezpośrednio przed „Panem Tadeuszem", pierwszą wizję historycznej, tradycyjnej Polski szlacheckiej, barwną a wyrazistą i odbiegł samą tą „couleur locale" od komedji francuskiej i klasycyzmu. Treść „Zemsty" wyczytał w aktach procesu Skotnickich i Firlejów na początku XVII w. o własnej jego żony zamek Odrzykoń (co i Goszczyńskiego do „Króla Zamczyska" natchnął), ale akcję (prowadzoną i zakończoną jak w procesie) przesunął na lata około 1770 r. (przed rozbiorem, mimo wszelakich umyślnych i nieumyślnych anachronizmów) i w strony sanockie, której szlachta najdłużej dawny tryb życia zachowała; z niej to później czerpali i Pol i Kaczkowski. A krótko przedtem roztoczył najwdzięczniejszy obraz budzącego się uczucia miłosnego w sercu dziewiczem; motywów do „Ślubów Panieńskich" dostarczały mu Kotzebuego „Mädchenfreundschaft" i „Der Mann von vierzig Jahren"; ale jakżeż daleko pozostał płaski dowcipniś za wytwornością, przenikliwością i czarującą poezją naszego psychologa! Ogólnie, i u spółczesnych i później, twierdzono, że komedji Fredrowej brak zupełnie politycznej i społecznej treści czy myśli, że nie ma bezpośredniego związku z życiem; dziś jednak podsuwają jej takie głębsze znaczenie. Najpospolitsza farsa, „Gwałtu, co się dzieje" (o rządach kobiecych, w Osieku), ma być „satyrą polityczną na stosunki, panujące w Polsce pokongresowej... kobietami w naszych szarawarach są nasi zaborcy" a druga farsa, „Pan Jowialski", „przedstawia dość wiernie opłakany stan społeczeństwa ówczesnego galicyjskiego, jego martwotę i stępienie". Na to zgody niema! Nie przeczymy, że w „Jowialskim" Ludmir przedrzeźnia pseudofilozoficzny język Kamińskiego, czcze a napuszone orędzia cesarskie ku Stanom galicyjskim, tytuły urzędowe (bez „Rozumnika"); to są jednak, a podobnie ma się rzecz i w innych farsach, tylko wkładki, szczegóły, które nie rozstrzygają o całości: pan Jowialski jest błaznem jako indywiduum, nie typem, cały jego dom osobliwszą menażerją (szczególnie z idjotą Szambelanem!), nie obrazem społeczeństwa galicyjskiego i nawet dziwaczne motto (nie jedyne podobne u Fredry), nas o tej alegorji mniemanej nie przekona. Tem mniej zgadzamy się, jakoby autor po „Jowialskim", w którym ówczesna publiczność niby przez nieporozumienie „obraz i idealizację przeszłości czcigodnej" (?) upatrzyła, „Zemstę" utworzył dla

pokazania tej publiczności „jak istotna przeszłość staropolska w sztuce wyglądać może". I bez takich sztucznych kombinacyj pozostaną wyborowe komedje Fredry najkosztowniejszemi perłami, jakiemi dotąd Talję polską ustrojono: komizmu „Dam i Huzarów", wdzięku „Ślubów Panieńskich", tradycyjnego życia „Zemsty" nikt dotąd nie przewyższył.

Drugi, coraz potężniejszy czynnik literatury pięknej, przez „klasyków" jeszcze mniej niż komedja ceniony, skoro „reguł" dla niego wcale nie było, spółzawodnik teatru, który z nim razem wydziedziczyć miał wszelkie do niedawna tak cenione rodzaje, i lirykę i epos i poema opisowe — romans, teraz dopiero poczynał stawiać pierwsze kroki. Wiek XVIII obywał się niezbyt nawet licznemi tłumaczeniami; w XIX i te poustawały i rozpierała się szeroko francuszczyzna, rugująca książkę polską szczególniej z rąk czytelniczek, wychowaniem samem na pastwę francuszczyźnie wydanych, odwykających od polskiego pisma, a nieraz i języka. Pierwsze romanse polskie wywołała chęć patrjotyczna przeciwdziałania zgubnemu nałogowi; miały one dowieść, iż i nasz język zdolny wydać „tkliwe uczucia delikatnej miłości", że monopolu na to francuszczyzna nie posiada; miały dać zasmakować w rodowitej mowie i tem ją ochronić od przemożnego wpływu obcego języka, za czem się wciska i inna obczyzna. Największe zasługi zaskarbił sobie i na tem polu Niemcewicz. Prawda, jego „Nieszczęścia Występnej Zalotności" nie ujrzały światła dziennego, bo wrażliwy nad miarę autor dawał się byle jakim kolizjom z cenzorem Szaniawskim odstraszać. Romans ten, w listach naturalnie, w formie od czasów Russa i „Nowej Heloizy" uświęconej, rozegrywał się na tle wypadków roku 1812, wolny był od ckliwej sentymentalności, zalewającej karty Kropińskiego, ks. Wirtemberskiej, Bernatowicza, chociaż i on kreślił „występną zalotność" Herburta dla Porajowej, „kanalską słabość" Chapkiewicza dla swej Puttchen, stałość i wierność głęboko skrzywdzonej Herburtowej, prawą miłość Mieleckiego i Zofji. Niegodziwy Chapkiewicz, Biurowicz, sprzedający się *plus offerenti*, Puttchen, wojująca z ortografją i gramatyką, panie scudzoziemczałe tworzyły kontrast do galerji patrjotycznych mężczyzn i niewiast, owej Zofji, której właśnie Mielecki polecał pisanie romansów dla wprawy w języku polskim — niby Niemcewicz sam księżnie Wirtemberskiej. Również nie wydał „Władysława Bojomira", romansu-pamfletu w formie dziennika z czasów Królestwa Kongresowego (do roku 1825), nicującego nielitościwie „możnych

zuchwalców i żebrzących łaski ich służalców", Nowosilcowa, Zajączka, Rożnieckiego, Szaniawskiego.

Były to więc pierwsze polskie romanse obyczajowe; pierwszy historyczny, jeszcze przed wpływem Walter Scotta, to — „Dwaj Panowie Sieciechowie" (1815), paralela dwóch pokoleń, dziada sarmaty z czasów saskich, gardłującego za *Liberum Veto* i niepłaceniem podatków, a wnuka-letkiewicza z czasów Księstwa, sfrancuziałego napoły, lecz przytomniejącego, gotowego do ofiar pieniężnych i poświęcenia osobistego: każdy z nich prawił o sobie swoim właściwym językiem.

Publicysta omówił i kwestję żydowską, gdy na porządek dzienny wypłynęła, w romansie: w „Lejbe i Siora" (1821, znowu w formie listowej) kreślił walkę, prześladowania, nienawiść ortodoksji żydowskiej przeciw oświeceńszym spółwiercom, którzy jednak nie ulegają i szerzą swoim przykładem hasła postępu, obywatelskości, ogłady. Najgłośniejszy, chociaż najsłabszy w gruncie, był romans historyczny, pierwszy narodowy, wywołany przykładem czyli epidemją naśladowniczą (Waltera Scotta), „Jan z Tęczyna" (1825) — niby „Barbara" romansu, historyczny akcesorjami, nie duchem i treścią, nęcący samą epoką świetności jagiellońskiej, doniosłością nazwisk, choćby Kochanowskiego; powodzenie „Jana z Tęczyna" zagłuszało niemal rzetelniejsze zasługi Niemcewicza. Niezmordowany publicysta, satyryk (bajkopisarz), historyk i beletrysta należał do tej generacji, jako jeden z najświetniejszych jej przedstawicieli, której wysoka kultura i niewyczerpane zasoby, fizyczne i moralne, tak imponowały Hercenowi.

Romanse Niemcewicza rychło tłumaczono; obok nich stanęła w roku 1816 „Malwina czyli domyślność serca" księżny Marji z Czartoryskich Wirtemberskiej, chciwie pożerana, tłumaczona, nie dla przebłysków obserwacji, sytuacji spółczesnych, lecz dla sentymentalności pary kochającej i nadzwyczajności jej awantur; bohaterkę skopiowała autorka z osoby własnej. Tej samej sentymentalności, narzuconej jednak XVI wiekowi, hołdowali Ludwik Kropiński (autor „Ludgardy") i Feliks Bernatowicz; pierwszego „Julja i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru" napisano już w roku 1811, wydano zbyt późno, w 1824, i wtedy już bez uroku świeżości; drugiego „Nierozsądne śluby" (1820) są mniej fantastyczne, więcej urozmaicone.

Kobiety nie stawały do zawodów literackich w odzie, eposie i tragedji, rzucały się zato na łatwiejsze pole popisowe, powie-

ściowe; jeszcze przed księżną Wirtemberską próbowała sił w kreśleniu strasznych przygód Mostowska; o sentymentalną powieść kusiła się i Łucja z Giedrojciów Rautenstrauchowa (Emmelina i Arnolf, 1821, z zawikłaniami najniedorzeczniejszemi), zasłużona więcej w opisach podróży krajowych i zagranicznych; celowała w nich Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska („Zofja i Emilja", 1827; „Wieczór adwentowy"; „Pierwsza miłość — pierwsze uczucie", 1828), trafnie i mądrze rozprawiająca o skutkach wychowania, temperamentu, pierwszego, na zawsze rozstrzygającego uczucia, dotykająca stosunków na wsi i miasteczku, krusząca nawet kopje za ludem, malująca charaktery niezbyt wybitne, wolna od przesady, tkliwa, jednak ostrzegająca przed rozczarowaniem.

O wiele głębsze ślady wyryła działalność, nietylko literacka, ale i pedagogiczna, innej autorki, Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Panna Tańska, własnem doświadczeniem, przez wychowanie wyłącznie francuskie, i radą mądrej matki kierowana, przykładała się do usuwania braków, w wychowaniu scudzoziemczałem, niepraktycznem, na polor zewnętrzny, na „talenty towarzyskie" (francuszczyznę i garstkę wiadomostek, choćby z mitologji), na robótki; na muzykę i tańce się wysilającem. Narazie oddawała się pracy pedagogicznej; stworzyła pierwsza literaturę dla dzieci i panienek, wydając „Pamiątkę po dobrej matce" (przeróbkę z niemieckiego) i „Rozrywki", czasopismo dla dzieci (1824 — 1828) i rugując niemi, za natchnieniem Brodzińskiego, „Wieczory zamkowe" i powieści pani Genlis; gruntu tradycyjnego, rodzimego trzymała się oburącz, myśli o emancypacji były jej obce, chociaż sama się wyemancypowała, uzyskawszy posadę rządową, jako inspektorka zakładów żeńskich. W beletrystyce zasłużyła się „Listami Elżbiety Rzeczyckiej" (1824) i „Dziennikiem Franciszki Krasińskiej" (1825) — pamiętnikami, napoły autentycznemi, życia polskiego XVIII wieku, po dworach i dworkach, żywemi i barwnemi, trafnemi, chociaż autorka nie wszędzie jeszcze dopatrywać się umiała znaczenia kreślonych objawów; owianych szacunkiem i miłością dla przeszłości, nie zakrywających przecież jej wad. Były to skromne napozór i drobne, nieco szare (gdyż od wszelkiej fantastyczności i nadzwyczajności stroniące) powieści, więcej jednak historyczne, malujące trafniej obrazy niezbyt dawnej przeszłości, jaką się Tańska z tradycji i listów przejęła, niż wszelkie inne spółczesne romanse historyczne, od „Jana z Tęczyna" począwszy; w „Krasińskiej" było i coś więcej, a mianowicie ciekawe studjum psycho-

logiczne kobiety, w której się obudza żądza wyższości, panowania, korony.

Walterscotyzm szerzył się gwałtownie; po tłumaczeniach barda szkockiego przyszła kolej na produkcje oryginalne w tym samym guście. Pod piórem Waltera Scotta odmienił się zupełnie dawny antykwarski romans, zapychany najnudniejszą uczonością; pogłębiono wymagania „historyczności“ do szczegółów życia, obyczajów, ubioru, do charakterystycznej mowy, do prawdziwości krajobrazów, do prawdopodobieństwa fabuły, nawiązywanej do dat i imion historycznych, chociaż bohaterów dziejowych na pierwszym jej planie nie umieszczano. Liche bywały próby oryginalne powieści pseudohistorycznej, np. Tadeusza Bułharyna powieści o Esterce (on pierwszy obrobił tę, do dziś, szczególnie po dramatach, grasującą baśń o żydowskich miłostkach ostatniego Piasta), lub pseudohistoryczne zakusy Kropińskiego i in.

Po „Janie z Tęczyna“ wzniosła się najwyżej „Pojata, córka Lizdejki albo Litwini w XIV wieku, romans historyczny w czterech tomach przez Feliksa Bernatowicza“ (1826). Żmudzin mimowoli dał się pokierować w wyborze przedmiotu ściślejszą ojczyzną, zacofaną wobec Polski, jak Szkocja wobec Anglji, mimo to narzucającą jej swych władców, malowniczą. Jak bard szkocki, wysilił się i on na oddanie najdokładniejsze tła, nie poskąpił nato trudów — zwiedził pieszo, z ołówkiem w ręku, okolice Krewa, Trok, Kowna, wsłuchiwał się w mowę ludu, chwytał cienie jakiejś tradycji. Nie rzucając stylu retorycznego, cechującego, jak wszystkich spółczesnych, autora „Nierozsądnych ślubów“, stworzył całość, bardziej łudzącą historycznością i plastycznością, niż dzieła spółczesnych, chociaż i ona się bez wymysłów ultraromansowych (obraz Jadwigi) nie obywała, przypominając „Jagiellonidę“ Tomaszewskiego. Jeszcze w roku 1898 przedrukowano ją po raz szósty; tłumaczono ją na cztery języki.

Na mniejsze powodzenie zasłużył, i słusznie, bo niewykonany z równą starannością, jego „Nałęcz“ (1828 r. i częściej), z Kazimierzem Wielkim i nieodzowną Esterką; dalszej czynności (w powiastkach i romansie, tym razem z XVII wieku i najazdu szwedzkiego) położył kres rozstrój umysłowy; tkliwość nadmierna przerodziła się w melancholję i apatję.

Ku powieści historycznej zwracali się i starzy i młodzi, i swoi i obcy: Franciszek Wężyk, klasyk niezdecydowany, sprzeniewierzał się Parnasowi, uznającemu tylko tragedję historyczną, „Władysławem Łokietkiem“ (1828) i „Zygmuntem z Szamotuł“ (1830), chociaż

nie umiał kreślić ani czasów zbyt odległych i zbyt mało znanych, ani charakterów; Zygmunt Krasiński i młodzi jego spółpracownicy jaskrawością tematu zagładzali braki historyczności i wątku, prawdy dziejowej i psychologicznej; nawet uczony profesor ekonomji politycznej w uniwersytecie Aleksandrowskim, hrabia Fryderyk Skarbek, hołdował tej manji (Tarło; Damian Ruszczyc, 1827, jeden z czasów saskich, drugi Sobieskiego), chociaż naturalny dowcip, dar spostrzegawczy, przykład angielskich powieściopisarzów obyczajowych, Fieldinga, Goldsmitha i Sterna, przewabiły go na pole powieści humorystycznej, satyrycznej, społecznej. Największy sukces odniósł też jego „Pan Starosta“ (1826), dziewosłęb ubogiego szlachcica, nadstawiającego braki imienia i majątku bohaterską służbą wojskową: obrazy życia szlacheckiego wiernie są tu oddane; w innych („Podróży bez celu“) bawił się profesor to w sentymentalność, to w humorystykę, a nawet i w filantropję, skoro nawet do więzień jego „Pan Antoni“ trafiał; w istocie był to gawędziarz, mądry a nawet dowcipny (objaśniał i przysłowia narodowe), nie powieściopisarz.

Obok swoich i obcy łatwe triumfy święcili głównie Aleksander Bronikowski, oficer pruski, polski, saski, w Dreźnie osiadły i zawadniający Niemcy romansami z historji polskiej; wszystkie z nich pojawiały się równocześnie w przekładach polskich, a niektóre dożyły do naszych czasów, np. przedrukowywany nieraz „Jan III Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII wieku“. Bronikowski bujał po wszystkich czasach i dzielnicach polskich, od Gopła i Myszej Wieży aż do Marysieńki; najlepiej udawały mu się rzeczy XVI wieku, z konfliktami wyznaniowemi, w „Hipolicie Boratyńskim“ i w „Zawieprzycach“, dwukrotnie na polski tłumaczonych. Opowiadał żywo i zajmująco, historji nie fałszował, wprowadzał najrozmaitsze charaktery, stąd sukcesy jego u Niemców i w Polsce. Zainteresowanie się historją, podawaną w sosie romantycznym, było tak wielkie, że się i do fałszerstw, acz niewinnych, udawano; Kajetan Majeranowski w „Pszczółce Krakowskiej“ umieszczał opisy zabaw, wesel, święconych, niby z starych rękopisów, które jako autentyczne powtarzali za nim Gołębiowski i Wójcicki; jego opis „Konika zwierzynieckiego“ i wytłumaczenie romantyczne zwykłej zabawy cechowej reminiscencjami z napadów tatarskich dotąd kursu nie straciły. Gorsze były fałszerstwa innych, kronik średniowiecznych Prokosza, Kagnimira i tym podobnych luminarzów, i powodzenia nie miały.

Jak za czasów Krasickiego, tak i teraz podejmował się pseudo-romans szerzenia lepszych pojęć o gospodarce i obowiązkach obywatelskich; „Pan Podstoli“ wywołał „Pana Podstolica“ Massalskiego, kreślącego w pięciu tomikach najprzód stan wiejski, czyli nędzę jego, szlachecki, czyli bezmyślne trwonienie wszelkich zasobów, miejski, czyli właściwiej brak jego i „ideały“ czyli możliwość poprawy i reformy: „romans administracyjny“ ten, a nawet ortograficzny — gdyż Massalski uzasadniał w przedmowie nową pisownię — mimo formy dialogicznej i kilku obrazów romansem nie był; równie jak i wzór jego, prowadził tylko dalej postępowe i obywatelskie dążności „Dziennika Wileńskiego“, a w przypiskach zrywał zupełnie z formą powieści i najlepsze i najnowsze wynalazki, maszyny, doświadczenia (agronomiczne) wykazywał z przytoczeniem źródeł i opisów.

Klasycyzm znosił powieść, chociaż jej nie uznawał; rzecznicy jego, w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, pielęgnowali, jak język, tak i dzieje, w celach patrjotycznych; sam Albertrandi, chociaż o narodzie, już w inne bryły przetopionym, mawiał — zwrot ten niefortunny silnie zaczepiano — głównie na tem polu pracował; badania jego i członków Towarzystwa obracały się zawsze jeszcze w kierunku XVIII wieku, poświęcone panującym i dziejom zewnętrznym, uwzględniające ubocznie dzieje kultury, uznające szczyt dziejopisarstwa w wykładzie pragmatycznym wzrostu i upadku państw; romans historyczny miał to uzupełniać kreśleniem obyczajów z życia potocznego.

Osobliwsze tory dziejów polskich należało uzasadniać plemiennemi czy rasowemi właściwościami, i mimowoli wciągnięto w dzieje polskie czynniki pierwotne, prasłowiańskie, i odwojowano dziedzinę, dotąd przystępną tylko poetom, Trembeckiemu i Woroniczowi; wyrozumowano na tle nowem i nowe sympatje słowiańskie. Rzecznikiem ich na polu politycznem, idącym najdalej, był Staszic, biadający nad rozerwaniem wyznaniowem, nad wzajemnem nieznaniem się, rwący się dla antagonizmu przeciw Niemcom ku punktowi ciężkości słowiańszczyzny, wynoszący z uwielbieniem niekłamanem monarchę słowiańskiego; i Woronicz skłonny był nawiązywać legendowe dzieje polskie do słowiańskich.

Podróżnik i naturalista, ks. Aleksander Sapieha, skierował swe kroki na Bałkan, wtedy jeszcze *terra incognita* dla Europy; zasłużony pracownik w Towarzystwie Warszawskiem, wydał w roku 1811 pierwszą część swych „Podróży po krajach sławiańskich, odbywanych w latach 1802 i 1803“, zajęty nietylko własną specjal-

nością, geologją, lecz i gościnnym szczepem, nietkniętym wtedy w swej pierwotności, i literaturą jego ludową: on pierwszy z Europejczyków, po *abbate Fortis*, na większą skalę spisywał dumy, jakie w XV i XVI wieku Serbin rzępolił w Polsce, która, nie mając żadnych własnych, zadowalała się serbskiemi (o Warneńczyku) i ruskiemi. Niestety, drugi, ciekawszy tom jego Podróży jeszcze do dziś nie jest ogłoszony. Linde w Słowniku uwzględniał wszystkie języki i narzecza słowiańskie, od cerkiewnego do „windyjskich“ i „iliryjskich“, z wielkim mozołem, i dzieło jego stanowiło epokę, nietylko w słownikarstwie polskiem, lecz w słowiańskiem, służąc jeszcze Miklosiczowi, po pół wieku, za niewyczerpaną kopalnię.

Znamiennem było wystąpienie ks. biskupa wileńskiego, Kossakowskiego, jeszcze za czasów pruskich, z uświetnieniem i przypomnieniem roli dziejowej i literackiej Czechów w odczycie o literaturze czeskiej i związku języków słowiańskich (1803); tego odczytu do Austrji bano się przewozić. Odkrycia, a raczej pseudoodkrycia czeskie witano radośnie; Dobrowski, znakomity filolog czeski, ojciec slawistyki, Hanka, w patrjotycznem uniesieniu fałszerstw *ad maiorem Bohemorum gloriam* się dopuszczający, należeli oddawna do Towarzystwa, wraz z uczonymi i literatami rosyjskimi, Dzierżawinem i Karamzinem; Towarzystwo popierało badania początków słowiańskich, i członkowie jego odznaczali się na tem polu niepomiernie; Walenty Skorochód-Majewski, „O Sławianach“ (bo wtedy i długo popłacała ta grecka, nie słowiańska forma) i ich pobratymcach, 1816, przed Franciszkiem Boppem, ojcem lingwistyki aryjskiej, wykazywał bliskie związki języka „samskredamskiego“ (sanskrytu) z słowiańskiemi i innemi europejskiemi; Rakowiecki w dwu tomach „Prawdy Ruskiej“ (1820 i 1822) nietylko objaśniał tekst tego najdawniejszego pomnika prawodawstw słowiańskich, lecz wciągał do dzieła i teksty staroczeskie (Hankowe) i staropolskie; Wawrzyniec Surowiecki, autor cennych dzieł z dziedziny ekonomicznej, dawnej i dzisiejszej, wydał i „Śledzenie początków narodów słowiańskich“ (1824), które, większy od niego, Czech P. Szafarzyk na niemiecki rychło przełożył i później, w własnych „Starożytnościach Słowiańskich“, pogłębił i rozszerzył.

Zwrot ten ku dziejom pierwotnym wywołał z konieczności zwrot ku badaniom ludowym, początki etnografji. Program jej kreślił Kołłątaj jeszcze w roku 1802, zwracając uwagę na znaczenie różnic i osobliwości w narzeczach, obyczajach, ubiorach, żądając ich zbierania: pojawiały się też pierwsze tego próby; wszystkie

prześcignął entuzjasta-romantyk, Adam Czarnocki (Zorjan Dołęga Chodakowski), należący do etnografji polskiej i ruskiej. Rozprawka jego „O słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej“ z roku 1818 była i sygnałem bojowym i odkryciem niespodzianem, czarownem: zapatrzony w swój przedmiot, w zachwyceniu niemal, kreślił w śmiałych, wielkich rysach niewyczerpane, dotąd nieznane, pomiatane, jako baśni, bogactwo starej tradycji słowiańskiej, głęboko w narodzie uśpionej, istotnej cechy jego, powołanej przez badacza do życia, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej, po zdarciu obcej, narzuconej gwałtem, wszystko rodzime zakrywającej, szaty chrześcijańskiej.

Słowa natchnionego apostoła tradycyj słowiańskich oblokły się niebawem w czyn; zasilony przez Czartoryskiego i Rumiancowa (kanclerza państwa, wielkiego miłośnika słowiaństwa i jego zabytków), odbywał pielgrzymki od sioła do sioła, od horodyszcza jednego do drugiego, zbierając pieśni i podania, doszukując się pierwotnej organizacji słowiańskiej, opierając ją o „stare-sta“. Nigdy już potem nie odznaczały się u nas badania słowiańszczyzny równą intensywnością; nigdy nie dostarczały równie bogatej podniety i płodów zarazem; nawet historję prawa polskiego, którą Bandtkie na podstawie tekstów łacińskich, a Lelewel polskich, traktowali, rozszerzono w pracach Kucharskiego, wysłanego umyślnie dla tych badań do braci Słowian, do Pragi i na Południe, wydającego po raz pierwszy najdawniejsze pomniki prawne słowiańskie; w rozprawach Maciejowskiego i Hubego dano jej te niezbędne podstawy porównawcze, do których ona dopiero dziś w pracach O. Balcera i P. Dąbkowskiego powraca. Rok 1831 przerwał i ten kierunek, jak inne prace.

Rok 1831 rozłamał i czynność **Joachima Lelewela** na dwie nierówne co do treści i znaczenia doby. Poseł żelechowski, a potem niefortunny członek rządu, rzucał z krajem i bogate swe zbiory i prace o historji polskiej: pozbawiony ich i bibljotek polskich opracowywał na emigracji, gdy niewdzięczną politykę wkońcu porzucił, obce rzeczy średniowieczne, *Numismatique du moyen-âge, Géographie du moyen-âge,* rzeczy wielkiej źródłowej wartości, dowód nadzwyczajnej wiedzy i bystrości; dopiero po roku 1841, za wezwaniem księgarza poznańskiego, Żupańskiego, wrócił do rzeczy polskich, ale w wielotomowym ich zbiorze („Polska, dzieje i rzeczy jej“; ostatnie tomy wydano już po śmierci autora) umieszczał rzeczy, przed rokiem 1831 napisane, teraz chyba dopełniane i poprawiane;

lecz znalazły się tu i nowe przyczynki, treści politycznej, humorystycznej (Wieca królowej polskiej w Sokalu), autobiograficznej (Przygody) i historycznej (Narody na ziemiach sławiańskich).

Już przed rokiem 1831 powstały więc owe prace, w których Lelewel przeprowadził nowy pogląd na dzieje polskie, obowiązujący niemal przez pół wieku, z którego się Moraczewski, Szmitt i inni nie otrzęśli.

Warszawianin — „Mazurem“ się stale przezywał i do Litwy (Wilna) ekspatrjować się nie zamierzał — od lat chłopięcych trawiony głodem historji, z początku oddawał się badaniom antykwarskim, o Eddzie skandynawskiej, albo o „dawności litewskich narodów i związkach ich z Herulami“ (roku 1808), chociaż Adam Czartoryski od tego go nawoływał „do filozoficznej części dziejów, aby zostać dziejopisem... do czego nikt u nas dotąd nie doszedł“. Zwrócił się do badań kronik dawnych, szczególniej mistrza Wincentego (Wzmianka o nim i Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa, przetłumaczone na niemiecki przez Lindego; w owym biskupie krakowskim, rozmówcy z trzech pierwszych ksiąg Wincentego, widział ich autora, co mylne, uprzątał zato bajki o Lechach); i rozwinął czynność zdumiewającą. Porzucił wąskie tory dotychczasowej nauki, sięgał do sag północnych i do pisarzów arabskich, do geografji i numizmatyki, do genealogji i heraldyki, do historji prawodawstw i ich zabytków, polskich i litewskich, do kronik średniowiecznych i pisarzów starożytnych; już wcześnie uwydatnił ten uniwersalny zakrój swych badań, którym dotąd góruje nad naszymi historykami, zasklepiającymi się z reguły w dziejach domowych. Nierychło zabierał się do tworzenia większej całości, chyba w wykładach uniwersyteckich (wileńskich), ogarniających dzieje starożytne i nowsze; chętnie zapuszczał się w kwestje metodyczne, o historyce, o rozgałęzieniu i metodach badania. Ogłaszał najrozmaitsze opracowania („Dzieje starożytne Indji“ i in.), i z nauk pomocniczych; i dziś jeszcze ciekawe są „Bibljograficznych ksiąg dwoje“ i „Dzieje powszechne bibljotek“; nikt mu nie dorównywał w uczoności i bystrości; styl był niefortunny, chropawy, z nowokutemi „dziejbami“ i „zdziełcami“ — trzebaby je tłumaczyć na język polski, żartował kolega wileński, Daniłowicz. Oprócz rzeczy specjalnych, np. „Badań starożytności we względzie geografji“, chlubnie ocenianych — w tłumaczeniach — przez mistrzów nauki, Rittera i Humboldta, należy wymienić zwięzłą a wyborną „Historyczną paralelę Hiszpanji z Polską w XVI, XVII i XVIII wieku“, tłumaczoną na

obce języki, i „Dzieje Polski“ potocznie opowiedziane (czyli Dzieje, które stryj synowcom opowiedział, doprowadzone do roku 1795, później do roku 1831, dziewiąte wydanie z r. 1859). Pogląd jego na dzieje polskie przeciwstawiał się dotychczasowemu, był w oczach klasyków, jak autor sam, jakobińskiej, rewolucyjno-republikańskiej natury: sympatje ludowe, dla gminowładztwa słowiańskiemu, reprezentowanego przez gminowładztwo szlacheckie, nienawiść ku arystokracji, nieufność ku monarchizmowi. Całości, ani dziejów uniwersalnych ani polskich, Lelewel, walczący po r. 1831 z strasznym, chronicznym niedoborem materjalnym, dobrowolnie i z zasady nie stworzył; w szczegółach nieraz się mylił, np. w wywodach etymologicznych, słabej stronie naszych badań starożytniczych po dziś dzień.

Zato zgłębił dzieje polskie, jak nikt przed nim; do prawdy docierał niezmordowanie; zebrał materjał olbrzymi, zużyty i w dziełach, które jego nazwiska nie noszą, czy to w „Zbiorze praw litewskich“ Działyńskiego, czy to w pierwszym tomie „Herbarza“ (Niesieckiego, wydania Bobrowicza — spis dygnitarzów chronologiczny jego pióra). Niepodzielny, półwiekowy autorytet jego u nas (tylko Röppel się z pod niego wyłamał) był więc rzetelnie zasłużony; w przywiązaniu do kraju i jego dziejów nikt go nie przewyższył.

Gdy etnografję i studja słowiańskie wskrzeszano dopiero za czasów warszawskich, historja literatury, już jako część historji kultury (np. w Obrazie Siarczyńskiego), sięgała początkami swemi aż w czasy saskie, Jabłonowskich i Załuskich. Ograniczała się wtedy do wyliczania poetów i dzieł ich drukowanych; potem uwzględniali głównie historyków Dubois w książce francuskiej, Mitzler w Bibljotece Warszawskiej (niemieckiej, dającej wyciągi z „Fasti Radiviliani“ i podobnych dzieł), i Załuski sam w swej białym wierszem pisanej Bibljografji, z której właśnie tylko część o historykach z przypisami Minasowicza Muczkowski w roku 1834 ogłosił: rzecz bardzo ciekawa i ważna mimo niemożliwej formy. Krasicki i in. dawali krótkie rysy pojedyńczych działów, aż Feliks Bentkowski w dwu tomach „Historji literatury polskiej“ całokształt jej objął (1814), chociaż i tu bibljografja rozumowana, z nadto pochlebnemi wzmiankami, zajęła lwią część dzieła; Bentkowski charakteryzował tylko całe epoki ogólnikowo; zresztą wyliczał dzieła, swojskie i tłumaczone. Dykcjonarz poetów polskich wydał ks. H. Juszyński, przytaczając, prócz prób tekstowych, szczegóły bibljo-

graficzne — materjałem rozporządzał olbrzymim; niejednego, z czego korzystał, najciekawszego (pieśni średniowiecznych, dialogów pobożnych), dziś już nie posiadamy. Najwyżej stanął Osoliński, w czterech tomach „Wiadomości historyczno-krytycznych“ (dwa poświęcił Orzechowskiemu), omawiając z nadzwyczajną gruntownością szereg ciekawych postaci, innowierczych (arjanów), uczonych (lekarzów) i innych, w języku, choć ciężkim i nieco dziwacznym, ale poprawnym; lecz nie wśród poetów wybierał bohaterów, raczej między historykami i teologami.

Zamiast prac historycznych (teoretycznych było nadzwyczaj mało, najobszerniejsze Stanisława Potockiego o wymowie, w czterech tomach) doba sprzyjała wydawnictwom dzieł samych, szczególniej poeci stanisławowscy doczekali się wydań zbiorowych, od Krasickiego aż do Dmochowskiego, w którego ślady syn wstępował, nie bez powodzenia, z tłumaczeniami, tragedjami i recenzjami, aż Mickiewicz poderwał jego kredyt.

Czasopiśmiennictwo nie zdobyło się na próbę wybitną, rozpraszało się w ponawianych coraz przedsiębiorstwach, najliczniejszych, choć nietrwałych, w Warszawie; większość pism tych, „Pamiętników“, „Ćwiczeń“, „Sybil“, „Astrei“, czy jak się tam nazywały, hołdowała umiarkowanemu klasycyzmowi; przynosiła rozprawy estetyczne, moralizujące, historyczne; beletrystykę reprezentowały w nich i noworocznikach, almanachach — wiersze. Pisma fachowe, jurydyczne (Temidę i t. p.) pomijamy.

Tak dobiegał klasycyzm do schyłku, ale nie było mu danem zamrzeć w spokoju ani zdawać służby publicznej wdzięcznym dziedzicom; łuna nocy listopadowej zaświeciła nad jego straceniem doraźnem.

W czasach, kiedy panował, najpierw niepodzielnie, potem, po roku 1820, z coraz liczniejszemi i znaczniejszemi uszczerbkami, zmieniła sie doszczętnie postać literatury, warunki jej i kierunki. Najpierw zeświecczyła się; gdy za Stanisława dziewięć dziesiątych piszących byli to duchowni, teraz wycofali się oni z literatury, przynajmniej z nadobnej; utrzymywali się między historykami, bio- i bibljografami, a zasilali głównie teologję; wyjątkowo wdawali się w polemikę, np. fanatyczny Surowiecki (Karol) napadał na „Podróż do Ciemnogrodu“ w „Świstaku wygwizdanym“; inni wojowali przeciw wolnomularstwu. Ich monopol gruntowniejszego wykształcenia dawno ustał; ze szkół, coraz wyłączniej świeckich, szczególniej w Królestwie, wychodziła młodzież świecka, zdolna

i ruchliwa; duchowny *panis bene merentium*, niegdyś tak obfity, teraz skurczony i obcięty strasznie, opędzał potrzeby samego kościoła, nie służył więcej jako nagroda za satyry czy sielanki. Pozbywała się literatura tonu moralizującego, kaznodziejskiego najzupełniej, i coraz się w niej uszczuplało miejsca dla księdza.

Jeszcze rychlej i gruntowniej pozbyła się nastroju panegirycznego. Nie było dworu, nie było i poetów-szambelanów; uznanie i nagrody rozdawała wielka publiczność, krytyk czy recenzent bywał jej organem. I po dworach magnackich zabrakło domowych poetów: magnat podtrzymywał odtąd literaturę, gromadząc zbiory, dla których potrzebował uczonych bibljotekarzów, łożąc koszta na wydawnictwa, których księgarz-przedsiębiorca podejmować nie mógł. Zdemokratyzowała się literatura: literat zaczął nawet marzyć o tem, by żyć z pióra, nie kłaniając się nikomu, by oddać się zupełnie zawodowi swemu, nie obciążając się zbyt inną, zyskowniejszą czy tylko pewniejszą pracą obowiązkową, i Parnas przestawał być miejscem swobodnej towarzyskości, wzajemnej admiracji, najgładszego obejścia; walki koteryjne przybierały odtąd mimowoli ostrzejszy charakter. Ale zawód był każdemu otwarty; w miarę ustępowania duchownych wzmagała się liczba mieszczan i szlachty najdrobniejszej; literatura pospolitowała się i rubaszyła, a zyskiwała na przypływie sił nowych, oryginalnych, choćby niezawsze wysoko kulturalnych. Powołani oddzielali się od rzemieślników, a choćby partaczów, krytyka czuwała nad tem, wyróżniała jednych od drugich, chociaż narazie sama z powijaków pseudoklasycznych oswobodzić się nie mogła.

Literatura stawała się coraz bardziej potrzebą, nie rozrywką, już nie niepróżnującem próżnowaniem. Odrazu straciła najwybitniejszą cechę poprzedniego okresu, satyryczną; zamiast pisania satyr zabierano się do różnej pracy na każdem polu. Osiągano zadziwiające rezultaty; nawet w najniekorzystniejszych warunkach, za Księstwa Warszawskiego, podskoczyła liczba szkółek elementarnych miejskich i wiejskich ze 137 (w roku 1807) na 1491 (w r. 1814), zasługą Dyrekcji Edukacyjnej i Stanisława Potockiego.

Ileż to przybyło potem szkół wyższych i specjalnych, — uniwersytet Aleksandrowski, szkoła agronomiczna w Marymoncie, leśnicza, górnicza, instytut czyli szkoła politechniczna (z Staszicem jako prezesem), wojskowa — tak raźnym krokiem postępowało oświecenie.

Czynność spotęgowana ogarniała wszelkie pola, brakowi przemysłu i rękodzieł miało zaradzić sprowadzanie obcokrajowców, nęconych przywilejami, wysyłanie zdolniejszych zagranicę, budowa fabryk (Żyrardów), ułatwianie kredytu wszelkim przedsiębiorstwom; szczególniej zakrzątnięto się około górnictwa; nawoływania Staszica, składającego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk wyniki swych badań geologicznych, nie pozostały bez skutku; utworzono i uposażono w Kielcach Dyrekcję główną górniczą i dodano jej szkołę. O gospodarce finansowej Lubeckiego świadczą najwymowniej cyfry: skarb niemal już zbankrutowany, z niedoborem strasznym, wobec kraju wycieńczonego i wobec moratorjum, jako ostatniego ratunku, przy końcu r. 1830 pozbył się i deficytów i rozporządzał sumą 50 miljonów złp. A wszystko szło drogą jawną, legalną i lojalną.

To są istotne zasługi „klasyków“ warszawskich, nie na polu literatury nadobnej zdobywane; energja jednostek wysoce kulturalnych zbudziła poczucie obywatelskości, otrząsnęła społeczeństwo z marazmu i zastoju, postawiła je na własne nogi, zaczęła skutecznie pracę organiczną na każdem polu, zreformowała administrację, sądownictwo i szkołę, zreorganizowała i postawiła wysoko młodą armję. Wzorowała się na Francji, z kodeksem napoleońskim i biurokracją, z jej departamentami i porządkami; ujmowała w karby całe społeczeństwo. Cóż dziwnego, że przenosiła metodę, tak zbawienną w życiu publicznem, i na rzeczy „przyjemności i smaku“, że nie opuszczała mody paryskiej i w rzeczach literatury, że w błogiem poczuciu doświadczeń z dwóch tysiącoleci, miarą francuską, jednościami, wymierzała płody „genjuszów“ i, nie czytając, zasądzała wszystko, co się z pod miary francuskiej wyłamywało.

Spała więc szczęśliwie literatura piękna, naśladownicza, przestarzała, na oba uszy, przez sen tylko odganiając muchy niemieckie i angielskie, niestety, coraz dokuczliwsze! A przecież i na tem polu zdobyła zasługi, niegłośne, ale trwałe: nawiązywała przerwane tradycje stanisławowskie, stworzyła znowu publiczność dla książki polskiej; oświata, jaką szerzyła, spulchniła twardą dotąd rolę, i ziarno już było rzucone: z szkół zawziętych klasyków wyszli bohaterowie romantyzmu.

Wyprzedziło też Królestwo Kongresowe wszystkie dzielnice polskie, i Warszawa, jakby za czasów stanisławowskich, znowu stała się środowiskiem literatury, gustu i smaku, nie umiejąc na-

wet zawsze z przywileju tego należycie korzystać, czego doświadczył nieszczęśliwy Malczewski.

Zabiegliwemu konserwatyzmowi i wydatnej jego pracy obywatelskiej, coraz płodniejszej i ważniejszej, zarówno jak i nieruchomej klasyczności wykopał nagły grób szał rewolucyjno-polityczny i romantyzm literacki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

ROMANTYZM.

Brodziński. Mickiewicz w Kownie i Wilnie; ballady i romanse; Dziady. Sonety Konrad Wallenrod. Naśladowcy. Szkoła ukraińska: Gosławski, Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Padurra. Walka z klasycznością.

Mimo wszechmocy klasyczności mnożyły się zjawiska, obce i swojskie, wieszczące rychły jej upadek; z obcych literatura niemiecka, a w dalszym rzędzie angielska, pozbawione oddawna więzów pseudoklasycznych, musiały działać na ościenną, polską, skoro i Francuzi sami, przez usta pani de Staël, poczęli zwracać na nią uwagę, a szkoły pruskie i austrjackie zapoznawały z oryginałami. Zaczął się wtedy po raz pierwszy objawiać wpływ literatury niemieckiej na polską.

Dotąd nie znano go zupełnie. Uczono się u Niemców (ich przedstawicielami byli tacy ludzie, jak bracie Bandtkowie, Linde, Grodeck, Kaulfuss i inni), tłumaczono ich dzieła, agronomiczne albo lekarskie (Hufelanda), lecz i w podręcznikach przeważały francuskie; nie znano zupełnie ani ceniono ich poezji i prozy; w przekładach utykano na Hallerze i Kleiście, na Gellercie i Gessnerze, na gramatyce Gottscheda; teatr tylko, głównie niedzielny, nie zamykał się przed nimi; Kotzebue grasował w Warszawie, jak w Petersburgu; o Lessingu, Schillerze i Göthem — prócz rzeczy dramatycznych, nic nie wiedziano. Potem zaczęły się z nich pojawiać i przekłady, luźne, nie zapowiadające jeszcze żadnego przewrotu. Nawet o metafizyce niemieckiej zaczęto rozprawiać, i już Józef Szaniawski polecił (r. 1805) czytanie filozofów niemieckich, a kra-

kowski profesor filozofji Jaroński śmiał nawet Condillakiem i jego logiką pomiatać.

W obronie filozofji szkockiej i encyklopedji francuskiej wystąpił Śniadecki (Jan) z rozprawą „O metafizyce“ (1814), którą nazywał kuglarstwem literackiem, prawił o prawdziwym spisku na zaćmienie umysłu ludzkiego, wprowadzającym na miejsce myśli prostych i jasnych język ciemny, niezrozumiały i mistyczny. Niebawem miał Śniadecki, na polu mniej sobie znanem, wystąpić wiele ostrzej.

Klasycyzm sam grób swój wykopał, choćby tylko powtarzaniem szablonu, datującego od lat niemal dwutysięcy, zakuwaniem ducha żywego w formy martwe. Gdybyż ten szablon i te formy zadowalały w czemkolwiek wymagania uczucia i fantazji! Świat nowoczesny odmienił się najzupełniej: osadzonym wyłącznie na ziemi i bycie doczesnym ideałom poganina, gardzącego ręczną pracą, jako poniżającą człowieka, przewodzącego niemiłosiernie nad niewolnikami i nad kobietą, uznającego wśród otoczenia tylko ziomków najbliższych za ludzi i bliźnich, wśród władz umysłowych jedyny rozum — przeciwstawiał ideały chrześcijańskie, braterstwo ludów, swobodę i równość płci i stanów, poszanowanie pracy, uznanie praw uczucia i serca; odrywał się od więzów ziemskich; opadały więzy antyku, roztkliwiały się serca, delikatniały uczucia honoru; obok człowieka wystąpiła i przyroda, dla której antyk zmysłu nie posiadał, traktując ją wyłącznie jako dekorację. Na miejsce szablonu antycznego, kosmopolitycznego i jednostronnie intelektualnego, realistycznego, domagały się ludy czy indywidua, psychicznej analizy głębszej, poszanowania przeszłości własnej, zniesienia klątwy, ciążącej na wiekach „średnich“, urozmaicania cechami swojskiemi myśli, obrazów i mowy, skruszenia bałwanów płytkiego realizmu i mądrości zdawkowej, dążenia ku ideałom choćby nieziemskim, ku celom wszechbytu, badania rzeczy niezbadanych. Samem wyrafinowaniem kultury, ujednostajniającej wieki i strefy, dawno gardzono: oddalano się od niej do niewymuszonej, naturalnej prostoty i szczerości; sama miłość ojczyzny przybierała inne formy, z miłości kraju i ziemi przetwarzała się w miłość ludu i gminu, niedawno nieuznawanego za ludzi, w miłość tradycji i języka własnego.

Wzbierały krępowane uczucia i fantazja; klasycy, jak Rousseau i Macpherson, jeszcze w połowie niemal wieku, nowe wskazywali tory; za nimi wychylał się Szekspir i Włosi, a z klasyków nawet

oryginalni, Grecy, zasłaniali i przyćmiewali zupełnie Rzymian — naśladowców. Zwrot ku narodowości, niezadowolenie z form życiowych, pragnienie ideału, rozdarcie i tęsknota duszy nowoczesnej, tęskniącej ku sferom nadziemskim, obce i wrogie równowadze spokojnej a płytkiej antyku — musiały się wynurzyć w literaturze pięknej. Sprzeniewierzyli się więc wszyscy ruchliwsi, gorętsi, głębsi, bożyszczom klasycznym, rychlej czy później, bez walki lub po walce zaciętej, której starzy choćby środkami policyjnemi (we Francji petycjami do króla o ochronę Parnasu) napróżno tamę chcieli przeciwstawiać.

Najłatwiej porzuciła literatura niemiecka, nie szczycąca się pseudoklasycznym Racinem ani Popem, na zawsze ten kierunek i stworzyła w Göthem i Schillerze, nie mówiąc o Lessingu, ich zwiastunie krytycznym, nową klasyczność, szczytniejszą, bardziej narodową, chociaż na greckich wzorach wyrosłą, a tem samem wywołała kroki dalsze, do zupełnego rozwichrzenia romantycznego, do przesady fantastycznej, do uczuciowości nadtkliwej, do jednostronnego uwielbienia wieków średnich, do szukania ideałów, „kwiatu niebieskiego".

Ważniejszym stawał się wpływ innej literatury germańskiej: angielskiej. Ani rwący się ku ideałom Schiller ani olimpijczyk Göthe, unoszący się w pozornej harmonji wszechbytu, głusi na krzyk sumienia i ślepi na otaczającą nędzę, niesprawiedliwość i podłość, oddzielający ściśle świąteczną sferę dumań i pragnień od życiowej, codziennej, nie mogli zhołdować natury słowiańskiej, gorętszej, rwącej się do czynu, niezaspokojonej owym rozdziałem pedantycznym między rzeczywistością a marzeniem. Oddziałał na nią głębiej, wszechstronniej Byron. Barwność i tajemniczość opowiadań jego, piorunujące wzywania do boju w imię ideałów, szyderstwa i skargi na ospałych i obłudnych, jawne rozdarcie duszy, niezadowolenie straszne, do pesymizmu ostatecznego i zwątpienia prowadzące, porwały młodzież, odczuwającą głęboko to rozdarcie i tę tęsknotę czy to dla przejść i walk osobistych czy dla jawnych niesprawiedliwości społecznych i politycznych, gardzącą spokojem i równowagą stróżów porządku i rozsądku, czcicieli jedynej maksymy: miary. Schilleromanja ustąpiła byronomanji, tkliwa idealizacja namiętnym wybuchom skarg i żalów, lecz najazd ten na warszawski Parnas klasyczny dokonał się nie bez przygotowania, przechodził pewne fazy. Pierwsza, preromantyzm, przedstawia się nader skromnie, bo polega na tłumaczeniach wszelakich uryw-

ków z książki pani Stael „De l'Allemagne“, albo z genewskiej „Revue Universelle“, z tłumaczeń wyjątków z Schillera i in., a do uświadomienia istoty romantyczności nie dochodzi wcale. Tego dokonał dopiero wychowanek niemieckiej szkoły galicyjskiej, tarnowskiej, ceniący nadzwyczaj i naśladujący idylle Hallera, Gessnera i in., wielbiący ludowość i europeizm humanistyczny Herdera, Kazimierz Brodziński, dziecko wsi polskiej, ludowiec i patrjota. Starszy brat jego **Andrzej**, tłumacz „Dziewicy Orleańskiej“, poległ już w roku 1812, lecz młodszy, ów **Kazimierz** z „Królówki“, został Janem Chrzcicielem romantyzmu, ale i jego głos przebrzmiewał niby na puszczy, aż zjawił się ten, któremu nie był godzien rozwiązać rzemyków jego obuwia, co dzieła dokonał.

Tkliwy, sentymentalny Brodziński, niby spotęgowany Karpiński, za wpływem arcytkliwego brata i mężniejszego Reklewskiego oraz ich sielanek, wcześnie do poezji się zwrócił i wierszem na pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego dał się poznać. Pisywał do „Pamiętnika Warszawskiego“ wiersze oryginalne i tłumaczone; pierwsze poświęcał świeżym jeszcze dziejom (Legjonista i in.), lub wsi polskiej (Pieśni rolników; sielanka Oldyna, gdzie tylko imię jest konwencjonalne, skarga włościanki za mężem-żołnierzem, co z rąk braci zginie — bardzo realna); ujmował się za skarbem najdroższym: mową ojczystą (Żal za polskim językiem, gdyż my „po francusku spór wiedziem o polskich pisarzów“). „Wiesław“ (1820 r.) u starych i młodych wzbudził entuzjazm; była to największa i najdoskonalsza sielanka polska. Od wczesnej młodości znał i kochał Brodziński lud wiejski i, po innych próbach, w „Wiesławie“ go wyidealizował: to niby „Herman i Dorota“ Göthego, przeniesiony z miasteczka nadreńskiego na wieś krakowską, zniżony o kilka tonów, więcej zmanierowany; unikał poeta wszystkiego, coby „prostactwem“ tchnęło, z Maćków robił Wiesławów i tem zdobył uznanie klasyków; wskutek tego tworzył jednostronne, a przecież piękne i rzewne obrazy, oddychające swojskością i rodzimością, cechami, za któremi wyłącznie się ubiegał.

Z idylli życia wiejskiego, ozłoconego słonkiem, omajonego zielenią, rozbrzmiałego śpiewem ptasząt, wybrał moment najdramatyczniejszy — zrękowiny, pozwalający wystawić lud w śpiewkach i tańcach, ochoczy do zabawy, zapominający o ciężkiej trosce i pracy; wprowadził cały szereg znamiennych postaci: drużbę Jana, bywalca, z miodopłynną wymową, godzącego zwaśnionych, dziarskiego Krakowiaka, Wiesława, który i wojakowi z drogi nie zejdzie,

a, jak pokocha, to całem sercem, poważnego Stanisława, hamującego babską wymowę Bronisławy i Jadwigi, uroczą, zapłonioną, zadumaną Halinę; nawet fabułę dramatyczną, z uprowadzonem dziecięciem, wśród zaburzeń krajowych, i rozwiązanie jej wymyślił szczęśliwe. Cały obrazek tchnął spokojem, łagodnym i cichym, wieczoru wiejskiego; żadna fałszywa nuta nie mąciła ładu wsi wesołej, wsi szczęśliwej.

Z sielanki tej biła skrycie, w innych wypowiadana jawnie, jedyna namiętność Brodzińskiego: przywiązanie do rodziny i ziomków. Już w liście do Dafny o poezji (r. 1817) ogłosił hasło, któremu życiem i pismami wiernie służył:

Na jakiej ziemi, z jakim ludem żyjesz razem,
Takiego twoje pienia niech będą obrazem.
Niechaj inni śpiewają arkadyjskie gaje...
Ty, ceniąc wszędzie piękność, własną śpiewaj ziemię...
W ziomkach ucz się znać ludzi, z nich czerpaj natchnienie,
Ich natchnieniem wzbudzone im poświęcaj pienie...

a w kilka lat później, gdy z Włoch wyjeżdżał (1826), nie nęciły go ani przyroda, ani dzieła sztuki auzońskie:

Nie zajrzę wam swobody ani wonnych gajów:
Pójdę żyć wspomnieniami do rodzinnych krajów,
Pójdę żyć jej nadzieją i dla niej poddany...
Choćby przyszło z trapiącem kochać ją milczeniem —
Byle w niej, byle dla niej z czystem umrzeć tchnieniem;

zrezygnowany żołnierz wielkiej armji powtarzał:

Czulej w naszej północy kochają swą ziemię,
Choć tam skąpiej natura posaży swe plemię;
Mniej darów, ale duszę więcej mają tkliwą,
Rzewniej się jakoś kocha matkę mniej szczęśliwą.

Jak u spółczesnych, od Staszica i Woronicza aż do Chodakowskiego, szerzyła się ta miłość ziemi i ludu mimowoli na całe „jednoszczepne plemię“; wtórował więc Czechom, Kollarowi i Czelakowskiemu, dawał się natchnąć sniełkom (sonetom) „Slawy dcery“ i w wizji „Pobytu na górach karpackich“, „długoramiennej straży sławskiej niegdyś ziemi“, „bard“ (osjańskiej pamięci, przeniesiony bez braku na piewcę „sławskiego“) Bojan zawodził skargi:

Już nad Labą, Wezerą i wśród tylu krajów
Przebrzmiał język, ślad starty dawnych obyczajów;
Jeszcze przestwór ogromny północy i wschodu

Uchował bratni język i znamiona rodu,
Lecz i ten wrychle cechę naszorodną straci,
Jeśli zapomni spólnych i ojców i braci.

Brodziński uwielbiał i okraszał ten świat słowiański; upatrywał w nim przymioty: „miłość natury, umysł pogodny i wesoły, rezygnację, jedyny entuzjazm, miłość swej ziemi, wrodzoną skromność i obyczajność“, a za przywarę ich główną uważał to, że najskłonniejsi są do naśladowania szczególniej tego, co im jest najmniej wrodzone i przyzwoite.

Bolejąc nad zaniedbaniem (u nas) dziejów słowiańskich, przywodząc długi cytat z Herdera, odnajdywał w rozsypanych kurhanach o nieznanem znaczeniu, w religijnych i rodzinnych obchodach słowiańskich, tkliwsze wspomnienia, niż w klasycznych rumowiskach i w igrzyskach rzymskich; miłością przejmowały go spokojne ludy, uprawiacze roli, nieznający oręża fanatyzmu i zaborów, nie zaś oburzające średniowiecze rycerskie; nawet mitologji słowiańskiej obca była krwiożerczość normańska. Nie dziw więc, że młodzież gorętsza sarkała na wyłączną idyliczność w tych „ciemnikach słowiańskich“, że Mickiewicz wybuchnął cierpką satyrą:

Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi,
Śpiewać naprzykład wiejskich chłopców zalecanki,
Trzody, cienie — Słowianie, my lubim sielanki.

Znając literatury nowsze, inaczej niż klasycy, którzy się sami z nieznajomości ich chlubili — szydzono przecież z Koźmiana, jakoby mawiał, że po Horacym niczego nie czytał, aby smaku nie zepsuć — wiedział Brodziński, że pochód nowej poezji nie uszanuje blokady warszawskiej i zgóry starał się o porozumienie w rozprawie programowej „O klasyczności i romantyczności, tudzież o duchu poezji polskiej“ (1818). Wysuwał na plan pierwszy to, co i inni przed nim, t. j. żądanie narodowości, oryginalności — nie bądźmy echem cudzoziemców; dzielił literaturę, zbyt ogólnikowo, na romantyczną, (naiwną, bezpośrednią, bohaterską, mistyczną, ludową) i klasyczną (wyrozumowaną i wyrafinowaną, dworską); dowodził prawa istnienia i jednej, i drugiej; wykazywał, dlaczego polska, zrywając z przeszłą, narodową, ani jedną ani drugą wyłącznie być nie powinna; zwracał uwagę na znaczenie ludu i jego pieśni. Protestował przeciwko narzucaniu poezji polskiej fantastyczności, mistyczności, okropności, kultu rycerstwa — bo wszystko

to obce i dziejom i gustom polskim; przestrzegał równocześnie przed wpływem francuskim, dla nas nieodpowiednim, przy naszych skromniejszych obyczajach, serdeczniejszym charakterze, swobodniejszym języku. Pytał, czyż prastary szczep słowiański, najobszerniej ziemię osiadający, „nie powinien równie odznaczać się duchem właściwym w guście i płodach genjuszu, tak, jak się od niepamiętnych wieków językiem i charakterem nigdy nieodmiennym piętnuje? Czuć powinniśmy naszę przeszłość, naszę potęgę słowiańską".

Rozprawa ta wywabiła rzecz Śniadeckiego: „O pismach klasycznych i romantycznych" w Dzienniku Wileńskim, 1819, sławną przez to, że wyrazy jej niektóre powtórzył niebawem Mickiewicz w „Romantyczności". Bał się były rektor, że Brodziński niedosyć stanowczo potępił „polubienie i naśladowanie przywar sąsiedzkich" i wystąpił z hatyszeryfem sułtańskim: romantyczność, wedle niego, chce bawić przywołanemi z XVI wieku bredniami zabobonu i wywietrzałemi dubami prostactwa. Uciekajmy od romantyczności, jako od szkoły zdrady i zarazy. Naśladując Szekspira, cofamy oświecenie o dwa wieki, niszczymy smak i naprowadzamy ludzi na niedorzeczności. Śniadecki myślał albo raczej udawał, że dopełnia zamiaru Brodzińskiego, kiedy ten w istocie coraz ostrzej przeciw klasyczności występował, z całym spokojem twierdząc, że jej tragedje, sławne dla swych tyrad, „w oczach myślącego żadnej nie mają ceny", a nowy (romantyczny) kierunek, mimo naśladowania Niemców i Anglików, witał, jako mający „w sobie coś więcej wzniosłego, coś nawet więcej narodowego; przebija w nim duch filozofji i religijność, bez której niemasz poezji, przebijają szlachetne uniesienia, wynoszące człowieka nad zmysłowość".

Teorji Brodzińskiego nie odpowiadała praktyka; wiersze własne, nawet sielanki i późniejsze fraszki, w stylu klasycznym pisane, przypominają Karpińskiego; tłumaczył sam właśnie tragedje, nie mające „żadnej ceny", Ducisa i Raynouarda; z Schillera i Göthego wybierał rzeczy sentymentalne i zmanierowane, rycerza Toggenburga przechrzcił w Alfreda i Malwinę, zato przełożył i „Cierpienia młodego Wertera"; wyżej wzniósł się w przewierszowaniu „Księgi Hioba" i „Pieśni nad pieśniami". W tej powodzi tłumaczeń ginęły wiersze własne: najciekawszej, idylli szlacheckiej, pendant do Wiesława, „Dworu w Lipinach", nie wykończył. Zasłużył się w poezji, prócz Wiesława, najbardziej tłumaczeniami pieśni ludowych, najrozmaitszych, aż do litewskich, szczególniej słowiań-

skich, które „prędzej na prawdziwszą drogę poezji naprowadzić zdołają, aniżeli podania romantyczne, niż pieśni ludów germańskich".

Zasłużył się jako teoretyk i historyk literatury, którą wykładał najpierw u pijarów na Żoliborzu, potem w uniwersytecie. Licznych słuchaczów nie zwabił, szeroko nie działał, z uszczerbkiem dla przedmiotu; gdyby wykłady te wcześniej ogłoszono, historja literatury, nie bibljografja, dawnoby po pewniejszych torach kroczyła, tak sumiennie i umiejętnie traktował były porucznik artylerji swój przedmiot; spółcześnie drukował tylko krótsze rozprawki i listy.

Życie literackie pojmował wyłącznie w związku politycznym i z oświatą; „działać przez literaturę na pomyślny stan narodu jest to przez miłość ojczyzny wszystkich ludzi ukochać"; literatura była mu i zwierciadłem i żywicielką narodowości; miłość ojczyzny winna poprzedzać miłość sztuki. Przy tak szczytnem pojęciu literatury, jako służby narodowej, usuwał nawet kwestję oryginalności na drugi plan; na pierwszy stawiał użytek i szerzenie się najdalsze oświaty: „nie życzyłbym nigdy narodowi swojemu ani mnóstwa filozofów Grecji, ani erudytów niemieckich, ani wierszopisów paryskich, niech ma kiedyś imię, jako naród zamożny i moralnie wykształcony". Klasyczność odstręczała go więc już jako poezja dworacka, zabawa klas uprzywilejowanych, która nie stanie się uciechą ani wyobrazicielką całego narodu — „posuwać naród do rzetelnej oświaty", nie mogło być jej dziełem; osiągało się je w zespoleniu religji, kultury, narodowości, w ich rozłączeniu upadła Polska; gdy się zaś osiągnie kiedyś cel nauki i kultury: prostotę, oszczędność, miłość pokoju, mądrość praktyczną, odrzuci się księgi, jak balast nieużyteczny, jak masy aktów po ukończeniu długiego procesu.

Nie dziw więc, że się skłaniał od klasyczności ku romantyczności; kazał jej szukać, nie w fabułach minstrelów i minezyngerów, nie po ponurych zamkach ze zwodzonemi mostami, nie w harcach wiedźm i szatanów, lecz w kościółkach naszych modrzewiowych, śpiewach dziewic i modłach kapłanów, w cichym chrzęście kłosów dostałych, pod czerwonemi dachówkami naszych miasteczek.

Romantyczność jednak kroczyła swojemi, odmiennemi torami, i coraz bardziej oddalał się od niej, z coraz większą cierpkością wyrażał się o niej Brodziński. „Jak dawniej mierni poeci tworzyli nudnosłodkich idealnych pasterzów, tak dzisiejsi tak zwani romantyczni tworzą najwięcej jakichś ludzi, z Bogiem i światem, a po-

dobno rzeczywiście z rozumem pokłóconych... wolałbym z mniejszą hojnością bogactw poetycznych i w mniej krzykliwych farbach widzieć w poematach Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarneckiego, wszystkich Nalewajków, niż Tatarów, którzy walczą dla rozbojów, kochają wolność, ale tak, jak dzikie zwierzęta". Najbardziej potępiał umyślne egzaltowanie młodzieży; widział w tem jaskrawe nadużycie poezji i oskarżał recenzentów romantycznych: „zjawiło się w Warszawie od niejakiego czasu kilku, zapewne młodych, zapewne z prowincji przybyłych pisarzów, którzy ogłaszają wyobrażenia o poezji tak nowe i górne, że miejscowym prostakom w tej sztuce pozostaje tylko usta otworzyć i milczeć... teraz kto ma rozum, ten tylko rymuje, kto zaś nim gardzi, jest poetą". Sam, dotknięty taką krytyką, przerwał wydawnictwo swoich pism krytycznych na pierwszym tomie; wiersze już dawniej zaprzestał pisać.

Było w tem wiele nieporozumienia; i jego, schorzałego i złamanego, porwała noc listopadowa, już nie do broni, lecz do pióra, zsolidaryzował się z tą młodzieżą, niedawno oskarżaną, i sam ją przepraszał. Wystąpił jeszcze na mównicy, na ostatniem publicznem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk i, chociaż z emigracją nie wyszedł, duchem do niej należał: tęskno mi do muz waszych, sam pisał. Mowa jego o narodowości Polaków i późniejsze Posłanie do braci, improwizowane w Krakowie, dzielą pojęcia o wybranym losie wybranego ludu, Kopernika świata moralnego, co odkrył, że nie świat około narodu, lecz narody około wyższego celu w porządku moralnym się poruszać winne; Posłanie nastrojone całkiem na ton „Ksiąg pielgrzymstwa", w stylu biblijnym, z przypowieściami, z idealizacją, z mistycznym wykładem znaczenia ofiary.

Powstawał tu silnie na waśni emigracyjne, na tych, co u obcych z niedorzecznemi na szlachtę polską rozwodzą się słowy... biada wam, czyniącym rozbrat z... przeszłością, co o jakimś jej przerodzeniu marzycie. Zestawiał, jak nieco później Krasiński w „Przedświcie", stan ludzkości dzisiejszy z poprzedzającym przybycie Mesjasza.

Nim rzecz tę wydrukował Witwicki w Paryżu, zgasł przedwcześnie jej autor. Należał do tych, co wedle własnych słów jego, „przy skąpszych darach natury odebrali od niej piękne wynagrodzenia: serce, bijące dla wszystkiego, co dobre, i tę jedyną wyższość nad miernych, że nie tracą nadziei przyłożyć się w jakiejkolwiek cząstce do ogólnych dążeń cnotliwych ludzi". Jego wiersze

obudziły w Tańskiej chęć służenia mowie ojczystej; jego nawoływania do poezji ludowej, tej krynicy odmładzającej, nie przebrzmiały bez echa; jego prace literackie były wzorem zrównoważonego sądu, uwzględniały warunki tworzenia, tło dziejowe i obyczajowe, wpływy obce; wszędzie biły tylko w fanatyzm, nawet u Skargi, którego on lepiej oceniał, niż późniejsi wielbiciele. W rzeczach estetycznych nie poczynał sobie nigdy radykalnie; wprawdzie żądał w dramacie zarzucenia jedności; z komedji chciał uchylić satyrę jako scenie polskiej mniej odpowiednią po katastrofie narodowej — stawał się rzecznikiem farsy, bo śmiech w ciężkich czasach potrzebny i zdrowy.

Te i inne zapatrywania bywały nieco jednostronne, zbyt utylitarne, ale dyktowały je i miłość braterska i doświadczenie niezgorsze i instynkt trafny. Ulubionym przewodnikiem jego był Herder; wpatrzony w tegoż idealizm, humanizm, ludowość, przesadzał jego myśli i cele do Polski, wielbił go entuzjastycznie i naśladował, ale brakło mu energji, wielkiego talentu, więc nie porwał za sobą niechętnych czy uprzedzonych; we wrzawie polemicznej cichy, równy głos jego łatwo zakrzyczano. Sympatje młodzieży, antypatje starszych kierowały się tam, gdzie nie teorją teorję zwalczano, gdzie zwycięsko zatknięty sztandar wabił każdego, kto wolał wcale nie być klasykiem,

> Jeśli mam przytłumiać, com otrzymał w darze,
> Jak głupie echo dawne przedrzeźniać pisarze...
> Ukraść wiersz Horacemu lub myśl Tacytowi.

Tego, czego się Brodziński obawiał i o czem marzył, dokonał wieszcz litewski. On sam, jak Mojżesz, patrzył tylko tęsknem okiem w kraj obiecany, w literaturę narodową i ludową zarazem; nieraz zwątpił: „chcemy narodowości, ale to jest duch, o którym wszyscy mówią, a który się nigdzie w swojej postaci nie pokazuje... wszystko jest narodowym prócz narodowości"; lecz już się zbliżał Jozue tej narodowości, i runąć miały mury Jerycha klasycznego, pogrzebały jednak nie samą klasyczność. Sprawdziły się bowiem przestrogi, że płody romantyczne, co Niemców ledwie rozruszają, w Polsce wzniecą gorejący pożar.

Litwa wydała **Adama Mickiewicza**, w którym obie cechy narodowości, polskiej i litewskiej, dziwnie utemperowane, docierały do kresu doskonałości. Potomek szlachty drobnej, mazowieckiej pochodzeniem i dopływem krwi, osiadłej na ziemi czarnoruskiej, w rdzenną Litwę klinem wpadającej — łączył spokój, powagę, głębokość, namiętność Litwina, litewską wzgardę wszystkiego, co

błyskotliwe, krzyczące a próżne, zaciętość jego i upór przy serdeczności i dobroci, słodyczy nawet, przy zaparciu się i poświęcaniu, — z polską ruchliwością, werwą, fantazją, z głęboką religijnością, z miłością ojczyzny, z wielkiem poczuciem obowiązku.

Rozwijał się jak najprawidłowiej, na łonie rodziny, w zapadłym kącie litewskim, śród żywej tradycji narodowej, w którą się już jako dziecko chciwie wsłuchiwał, w owe opowiadania starszych, o ludziach i zwyczajach, głęboko zapadające w poniku, aby po wielu latach potężnym zdrojem napowrót wybuchnąć.

Życie szkolne, u dominikanów nowogrodzkich, przyjaciół młodzieży, upływało podobnym, tradycyjnym trybem, i choć nauka nie kwitła, kwitły cnoty; otwierała się myśl w chłopcu, stroniącym od zabaw hałaśliwszych, zatapiającym się w dumaniu i czytaniu „Eneidy“ czy „Jerozolimy Wyzwolonej“, próbującym niebawem własne wrażenia stylem owym wypowiadać; trybem ówczesnym przewierszował nawet „Numę Pompiljusza“ Florjana — Staszica.

Przeskok od dzieciństwa „sielskiego, anielskiego“ do młodości „górnej i chmurnej“ był nieco nagły; dokonał go w Wilnie, dokąd wyruszył dla studjów na wydziale filologicznym.

Działał tu na niego korzystnie wpływ nauczycieli: filologa Groddecka, historyka Lelewela, profesora wymowy i literatury Borowskiego, umiarkowanego klasyka, niehołdującego wyłącznie francuszczyźnie, oczytanego w obcych autorach; młody uczeń nie zrywał z dawnemi zapatrywaniami, z dawną estetyką i wymową, uczył się cenić mistrzów słowa, przedewszystkiem Trembeckiego, i w ślady jego rychło wstępował.

Treść dla pierwszych swych prób zapożyczał od Woltera, bożyszcza naszego wieku oświecenia, ale trybem czasu nie tłumaczył, lecz polszczył go, przyswajał Wilnu i Litwie. W r. 1817 odczytywał towarzyszom powiastki, swawolną „Panią Anielę“ i erotyczno-patrjotycznego „Mieszka, książęcia Nowogródka“; tłumaczył wszeteczną „Dziewicę Orleańską“ bardzo swobodnie i zamaszyście; w 1808 zaczął oryginalną „Kartoflę, poemko we czterech pieśniach“, znowu heroikomiczny epos. W pieśni tegoż pierwszej (więcej nie ocalało) roił w swojej izdebce o porach roku, ale kartofel pieczona, którego zapach mile go łechce, wyrzuca mu, że ją spożywa, lecz nie chwali, i to go naprowadza na scenę w niebie, gdzie święci spór toczą o wyprawę Kolumba do „Ameryki“, zahamowaną na morzu; kartofel przeważa na szali i Kolumb jest ocalony. Obracał się poeta całkiem w pojęciach „klasycznych“, wykończył niemal tra-

gedję Demostenes, tłumaczył Pindara a naśladował wysłowienie Trembeckiego w „Zimie Miejskiej“ (pierwszym drukowanym utworze, w r. 1819), sadząc się na sztuczne opisy i wyszukane omówienia, upoetyzowania najpospolitszych rzeczy; nazwie więc herbatę z „chińskich ziół ciągnionemi treściami“, a kule bilardowe „wytoczonemi słoniami“; silne wycieczki przeciw duchowieństwu (dominikanom i in.) zabarwiały te próby o języku nadzwyczaj dobitnym, niestroniącym od prowincjonalizmów, o silnem odczuwaniu przyrody, o napięciu patrjotycznem. Równocześnie (1819) drukował i pierwsze prace prozą: ocenę „Jagiellonidy“, świadcząca o korzyści, jakie recenzent wyniósł z kursu literatury; powiastkę („Żywila“), niby w guście Florjana, tylko bardziej zwięzłą, ubraną w szatę dawnego języka i nadzwyczaj patrjotyczną a romansową.

Gdy tak z lekcyj uniwersyteckich głowa się zasobiła, na życie wewnętrzne koleżeństwo wywarło wpływy nierównie głębsze; świetlane apostolstwo szlachetnego Tomasza Zana i Mickiewicza za sobą pociągnęło, wywyższyło. Spotykali się i na niwie literackiej, gdzie Zan w wierszach opisowych i komedyjkach poetyzował i dramatyzował wrażenia z otoczenia, nie stroniąc nawet od Olimpów i Jowiszów; rozstrzygało zaś zbliżenie i zespolenie na gruncie życiowym, przejęcie się temi samemi zasadami, czcią cnoty, miłością ojczyzny, szacunkiem pracy. Podobnie dostroiło się kilku innych z młodzieży i spotkania ich przyjęły wkońcu — czas sam parł ku różnym związkom — formy towarzystwa, filomatów, zjednoczonych w imię braterskiej przyjaźni i pożytecznej pracy; zebrania wypełniali pieśniami, odczytami, dyskusją, obok Zana i Mickiewicza, Jan Czeczot, znawca i naśladowca białoruskich śpiewek, Jeżewski, klasyk, jurysta Malewski; program poetycki związku nakreślił Mickiewicz w aleksandrynach, tchnących jeszcze Trembeckim, chociaż niebawem dokonał rewolucji literackiej.

W zaśniedziałej i zaskorupiałej klasyczności wytrwać nie było sposobu dla tych, którzy znali Bürgera, Schillera, Göthego i Jean Paula; wołanie Brodzińskiego o narodowość w poezji, o wyrażanie własnej treści i własnego ducha, musiało również oddziałać.

Właśnie w latach po wyjściu z uniwersytetu (1819), tworzył poeta ballady i romanse, chociaż bynajmniej nie zerwał odrazu z dawnym trybem: pisywał wiersze dydaktyczne, „Warcaby“ podług „Szachów“ Kochanowskiego i Widy, nie kusząc się nawet o odtworzenie do nich ramek powieściowych; albo (r. 1821) „Wiersz do Joachima Lelewela“ (gdy po raz drugi w Wilnie na katedrze za-

siadł), o zadaniu i znaczeniu historji, tchnący znowu Trembeckim już od samych wierszów początkowych (O, długo naszym modłom będący na celu, Znowuż do nas koronny znidziesz Lelewelu); odwdzięczył się i Lelewel, popierając, ku największej zgrozie klasyków, romantyków, ile sił stawało.

Pierwszy tomik „Poezyj Adama Mickiewicza“ (1822) zawierał owe ballady i romanse. W kraju, nieznającym epiki ludowej, poezja romantyczna właśnie w balladach i romansach mogła się zaczynać i objawiać; formę dawały wzory obce, treść podania ludowe, a unosił się nad niemi duch Niemcewicza. Należało i przed publicznością się usprawiedliwić i wygłosić nowy program; stąd urosły przedmowa prozaiczna i wiersze o Pierwiosnku i Romantyczności. Pierwszy, to alegorja: ten pierwiosnek to sama poezja, któremu „lepsza w kwietniu jedna chwilka, niż w jesieni całe grudnie“, boć to „wiosny młodej aniołek“; drugi kruszył kopję przeciw Śniadeckiemu, jego prawdom martwym, ufności oku i szkiełku, ujmując się za prawdami żywemi, za cudem i sercem. Następowały ballady, fantastyczne i humorystyczne, legendy i romanse, czułe aż nadto.

Ludowemi ich nazwać nie można; treść tylko — i to nie zawsze — od ludu pożyczona, dowolnie rozszerzona i zastosowana, z przewagą elementu erotycznego, w romansach całkiem sentymentalnego; ton ich był zupełnie nieludowy; poeta igrał z przedmiotem; w „Tukaju“ przypominał Fausta (wielka mądrość, wielkie imię, wielkie nic, rozum czczy dymie); w „To lubię“ używał motywu (wzruszenia kochanki), który dosłyszał w „Historjach rzymskich“ czy w „Bokacjuszu“, nie u ludu; w „Świteziance“ ułożył próbę wierności aż nadto naiwną. Ale już samo wystąpienie nie z przyczesanym i przebranym ludkiem sielanek à la „Wiesław“ czy „Oldyna“, lecz z jego klechdami, baśniami, straszydłami, upiorami i zbójami — było niesłychanem pronuciamento literackiem, jak również i to, że poeta nic nie dbał w języku o gładką poprawność, lecz o wyrazistość, nie pytał, co kumoszki oświecenia o tych dubach i bredniach pomyślą, lecz wystąpił śmiało w imię fantazji i czucia, jak najściślej unaradawiając i najbardziej obce wątki. Wartość była wcale nierówna; od przepysznych „Lilji“, gdzie mimo krótkiego wiersza cała groza zbrodni przejmująco oddana, od humorystycznej „Pani Twardowskiej“ z buńczucznem zacięciem, odbijały znacznie słabsza „Rybka“, sentymentalny „Kurhanek Maryli“. Nowość treści i stylu wywarła wrażenie głębokie, nie na „starych“, lecz na młodych; krytyka mogła o tomiku przemilczeć,

lecz balladomanja rozsrożyła się natychmiast. Witwicki, Odyniec, Chodźko, aż skarykaturowali cały gatunek, zniecierpliwili mistrza, uradowali klasyków; sami niebawem z siebie szydzili, jak w owej balladzie Odyńca i Słowackiego o psie i biesie.

Przewaga żywiołu erotycznego, skargi na niewierność czy chłód, nie były przypadkowe; już w „Pierwiosnku“ zabrzmiało, a powtarzało się w innych imię Maryli. Poznał i pokochał poeta, skromny nauczyciel kowieńskiej szkoły powiatowej, romansową pannę z zamożnego domu obywatelskiego, która się nim również zajęła, lecz w końcu rękę oddała hrabiemu. Epizod ten przebolał i przechorował poeta; życie mu zbrzydło i obowiązki, nosił się z myślą o śmierci i równowagi straconej odzyskać ani chciał ani umiał.

I on, jak Göthe, zawody i bóle odtworzył w poezji; lecz inaczej niż Göthe, nie pozbył się ich przez to; nurtowały w nim tem głębiej. Hasło ludowości odbiło się jednak i na poemacie namiętności osobistej, na „Dziadach“, umieszczonym w drugim tomiku (1823); dramat fantastyczny, jaki poeta planował, wstawił w ramki ludowe. „Cierpienia młodego Wertera“, „Walerja“ pani Krüdener, uśmiercały bohaterów; więc i „Gustaw“ Mickiewicza targnął się na życie, lecz pojął to prawowierny polski poeta, jako przestrogę dla młodych; kazał mu się więc po śmierci objawić, przybyć upiorowi w noc „Dziadów“, kiedy duchy powstają i na ziemi goszczą przelotnie, podejmowane i raczone przez lud; kazał mu przeżyć godziny szału, obłędu i kary dla siebie, przestrogi dla innych.

Pomysł nie był najfortunniejszy; „Kompozycja poczwarna“, część czwarta wyłamuje się zupełnie z ramek ludowych; między „drugą“ a „czwartą“ nie brak niczego, a ballada wstępna o upiorze dowodziła chyba, że poeta zbytnio się obawiał, czy go publiczność należycie zrozumie; sam obrzęd ludowy, służący za tło, sąd nad umarłymi, egipski raczej, niż białoruski — dowolnie zmyślił; nie znała takich Dziadów Biała Ruś, tem mniej Litwa; mistyfikacja to poety, potrzebna mu dla „widowiska“, dla tematu muzycznego, dla śmiałego eksperymentu (uzupełnionego dopiero przez Moniuszkę); ludowemi były tylko luźne wiersze i przesądy, zresztą przekształcił umyślnie poważną, cichą, skupioną uroczystość ściśle rodzinną w jakiś zbiorowy obchód; obrazek męczarni pana, dla którego niema litości po śmierci, gdyż on jej za życia nie znał, odpowiadał humanitarnym nawoływaniom „Szubrawców“ i fantazji ludowej. Przy końcu tej sceny stawał niepoddający się żadnym zaklęciom

upiór, który w głównej (czwartej) części dzieje serca i życia opowiadał w olbrzymim monologu, przerywanym modlitwą, westchnieniem, prośbą czy radą księdza-nauczyciela, unity, przyjmującego tę spowiedź byłego ucznia, całkiem jak w eposie byrońskim, tylko nie w celi zakonnej i pozgonną.

Ten monolog, z ciągłemi przejściami od samooskarżań do biczowań kobiety i ludzi, od urojonego upojenia krótkotrwałem szczęściem do skarg, rozdzierających serce, od zachwytów do zwątpienia i rozpaczy, stawał przeciw całej dotychczasowej literaturze polskiej, bladej, niemej i bezsilnej wobec tej namiętnej spowiedzi i skargi, tych wzlotów i upadków, tej rzewności, smutku, nienawiści. Takiego hołdu dotąd żaden poeta swej bogdance nie składał; tak srogich przekleństw i żalów nie rzucał żaden ani na zniszczone marzenia ani na sprawczynię mąk i boleści; była to pieśń nad pieśniami miłości i jej zawodów; wobec dotychczasowej ckliwej sentymentalności Laur lub pustej zalotności Chloi anakreontowych — innych tonów erotyk polski jakby nie znał — był to rozdzierający krzyk uczucia osobistego, targającego się na wszystkie konwenanse: w obywatelskiej poezji polskiej, szanującej ogół i jego pożytki, pierwszy to silny, namiętny protest indywidualny.

Składał więc młody poeta ofiary i na ołtarzu „ludowości", którą nieraz istotnie trafnym instynktem odgadywał i odtwarzał, i występował, niesłychanie silniej, w poezji egotycznej. Jakby *antidotum* tego szału rozhukanej namiętności, tej powodzi skarg i żalów, dołączył do prób lirycznych i niby dramatycznych, epiczną, siląc się na spokój, dokładność, pełnię — chociaż wzór sam (powieść poetycka byrońska, w literaturze polskiej już w przekładach prozaicznych znana) cechy te właściwie wykluczał; wobec wygórowanego egotyzmu Gustawa, dla którego ojczyzna i sława to tylko słówka piękno-brzmiące, niby groch o ścianę miotany, poświęcała Grażyna bez namysłu tym słówkom piękno-brzmiącym szczęście i życie, swoje i męża. Temat jakby w owej „Żywili", tylko tam kara za popełnioną zbrodnię i zdradę, tutaj już katastrofa, nim jeszcze do zbrodni przyszło: zbrodnią zaś tu i tam — mszczenie uraz i zniewagi osobistej za każdą cenę, nawet łączeniem się z wrogiem.

Zarazem występowała po raz pierwszy Litwa w poezji: kiedy niedawno nie umieli Litwini nic innego prócz „Wandy" i po litewsku o niej śpiewali, teraz Litwin wywoływał poklaski śpiewem o swoich bohaterach; jak z Szkocji, balladami i powieściami szkoc-

ckiemi angielską poezję wskrzeszono i unarodowiono, podobnie Litwa miała wpłynąć na widnokrąg poezji polskiej.

I stworzył poeta pierwszą powieść polską, z ludźmi średniowiecznymi, z krajobrazem nowogródzkim, z oświetleniem ponurem; znowu jednak obawiał się, czy nieprzygotowana publiczność w „żmudnem zaplątaniu wątku nie schwyta", zniżył się do jej poziomów i dodał — zbędny — epilog wydawcy, gdzie luki byrońskiego opowiadania podopełniał szczegółami z Florjana. Kontrast był nadzwyczajny: w „Dziadach" młodzieniec, którego niegdyś ze snu zbudził triumf Miltjada, strawił się najmarniej sam w sobie, jako lampa w rzymskim grobie; „piękna" (Grażyna), poświęciła się za ojczyznę i wieki przetrwała pamięć Litwinki, niewiasty z wdzięków, bohatera z ducha. Od żywiołowego wybuchu liryzmu „Dziadów" odskakiwały epicki, chociaż pozorny, chłód i linje poprawnego rysunku; Grażyna nie wywołała też silnego wrażenia, chociaż dobierała i od Iljady i od Tassa-Kochanowskiego blasków i szczegółów.

Muza Mickiewicza święciła i na innem polu triumfy. Wyjazd do Kowna nie zerwał stosunków wileńskich, gdzie koło filomatów pierwotnych rychło się rozszerzyło. W „promienistych" i ich majówkach brały udział tłumy młodzieży, chociaż nie wszyscy dostrajali się do teorji promionkowej Zana (o własnym afekcie, promieniem wzroku trafiającym do serc czułych) i jego wzniosłej etyki; tworzyły się nowe kółka filaretów. Jak dla filomatów, pisywał Mickiewicz wiersze programowe i dla filaretów na temat ojczyzny, nauki i cnoty, a najznamienniejszy z nich to „Oda do młodości", wyzwanie martwych porządków świata w imię triumfującej młodości, wylatującej nad poziomy, przenikającej ogromy ludzkości, jednością silnej, rozumnej szałem, z orlą lotów potęgą, z ramieniem piorunowem, sięgającej, gdzie wzrok nie sięga, łamiącej, czego rozum nie złamie, bryłę z posad świata nowemi pchającej tory; pieśń wobec idealizmu Schillerowego, z którego wypłynęła, który miejscami przypomina, iście rewolucyjna, o najwyższem napięciu ducha i uczucia; spółcześnie (1820/1821) wzbierało uczucie religijne w potężnym hymnie o Zwiastowaniu N. P. M.

„Prysnęły nieczułe lody", zawitała jutrzenka poezji ludowej i romantycznej zarazem. „Poeci narodowi" lubili, wedle twierdzenia przedmowy do tomiku pierwszego, zbierać ballady gminne, poprawiać albo na ich wzór podobne tworzyć, nie oddalając się od ich naturalności i prostoty; poszedł za nimi Mickiewicz, w „Dziadach"

docierając do najtajniejszych i najoryginalniejszych objawów tej ludowości. Ucisk zewnętrzny potęgował tylko siłę twórczości.

Proteusz poetycki nie zadowolił się naśladowaniem tonu gminnego i w tychże „Dziadach“ zawodniczył z Werterem; ich cierpienia miłosne w szał się wyradzały, do którego pan Jeruzalem, zniechęcony światem i dla innych jeszcze przyczyn, dostępu nie miał: samem wyłączeniem wszelkich względów ubocznych, samem skupieniem jednego uczucia, żar jego wzmógł się niesłychanie. Jednocześnie niby dla klasyków „Warcaby“ ogłaszał, a w „Grażynie“ uchwycił ton i koloryt czasów średnich i ludzi litewskich, przenosił się, naco klasyków nigdy nie stawało, zawsze wierny tylko sobie samemu, w zamierzchłe doby i z nich wykrzesał żywych ludzi, uczucia, walki. Pieśni filareckich narazie poza Wilnem nie znano.

Mickiewicz podważył od jednego zamachu, przez dwa szczupłe tomiki, cały gmach klasyczności z jej dwutysiącoletniem doświadczeniem, i nie pomogła trusia jej polityka, jaką nasi konserwatyści zawsze uprawiają, nietylko w literaturze. Klasycy warszawscy publicznie ignorowali Pogoń litewską na Parnasie polskim; na obiadach u jenerała Krasińskiego, w korespondencji prywatnej, po salonach, mścili się czy protestowali zasądzaniem w czambuł, parodjowaniem wierszów, wytykaniem prowincjalizmów czy usterek językowych. U młodzieży z powodu samego milczenia wszelki kredyt tracili i ku zgrozie Koźmianów i Osińskich przenosiła się młodzież do obozu romantycznego, który roztasował się w najlepsze w samej Warszawie.

Że natchnienie było szczere i głębokie, że studja poważne spoufaliły poetę z ludźmi i wiekami dawnemi, że używał umiejętnie kontrastów światła i cieniów, że, i instynktem wiedziony i w pocie czoła pracując, szukał ludowości, że przemawiał językiem nowym, śmiałym, barwnym, że próbował z powodzeniem dróg najrozmaitszych, a nie zasklepiał się w żadnej — na to klasycy nie zważali, a zapominała o tem młodzież, naśladująca to, co najwięcej w oczy wpadało, więc okładki wydania, rymy męskie, wykrzykniki i dźwięki naśladowcze.

Poeta sam zdawał się być obojętnym na sukces literacki. Trawił go dalej zawód miłosny; sam jątrzył ranę sercową, wyolbrzymiał swe cierpienia, oddany melancholji, niesmakowi życiowemu, podtrzymując się w nich lekturą rzeczy Byronowych, odpychając i starania przyjaciół i widoki pogodniejsze; umysł spustoszony, niby las przez pożar, zatrważał czuwających nad nim, podejmują-

cych starania o urlop dla niego i wyjazd. Wyleczenie przyszło skądinąd. Gdy jeszcze 19 maja 1823 roku skarżył się Czeczot przed Malewskim na stan nienaturalny Mickiewicza, nadwerężone zdrowie, skrzywiony umysł, dostał się nauczyciel kowieński 23 października t. r. z powodu sprawy filareckiej, którą senator śledczy Nowosilcow, wróg Czartoryskiego i Polski, potwornie rozdmuchał (śledztwo wzbudził napis uczniowski na tablicy, przypominający Konstytucję 3 maja, i dziwaczny Massalskiego postępek), do więzienia, do celi bazyljańskiej i tu odnalazł zdrowie i pogodę umysłową; tu zapomniał Gustaw o Maryli, odrodził się jako Konrad. Pomimo, że Zan, Czeczot i Suzin główną winę na siebie przyjęli, że wszyscy poetę jak najmniej obarczali, i on musiał 24 października 1814 roku kraj na zawsze opuścić.

Lata wędrowne Mickiewicza liczą rozmaite etapy; najpierwsze były najkrótsze; Petersburg i Odesa, Odesa i Moskwa, Moskwa i Petersburg zmieniały się szybko; 27 maja 1829 podążył za granicę. Plon tych lat pod względem ilościowym był nieznaczny, przewrót umysłowy olbrzymi: z nowogródzkich wspomnień, kowieńskiej doliny i sal wileńskich, z jednostajności i ograniczoności wrażeń, rzucono poetę w świat daleki, nowy, i same porównania ludzi, stosunków, zbogaciły niesłychanie wrażliwy umysł.

Niedoszły nauczyciel odeski a czynownik moskiewski poznał Rosję wzdłuż i wszerz; pozawiązywał stosunki, z rodakami, z klasykiem, tragikiem, Chodkiewiczem, bolejącym, że „Konrad Wallenrod“ nie zna ani liczby ksiąg, ani stałej rubryki estetycznej; z jeszcze przyzwoitym napół Bułharynem; z Rzewuskimi, hrabią facecjonistą i piękną jego siostrą; z Rosjanami, począwszy od przyjaciół w Petersburgu, młodzieży-idealistów, Rylejewym i Bestużewym, aż do literatów moskiewskich, z Puszkinem, Wiaziemskim i Polewym i do mecenasek, jak księżna Wołkońska, i Polek artystek, jak Szymanowska. Oderwany od tła litewskiego zapomniał o piosnkach gminnych i poezji ludowej, a oddał się całkiem indywidualnej. Krystalizowały się najrozmaitsze wrażenia: życie „paszy“ odeskie; widoki Krymu, imponujące, wobec których bladły krajobrazy litewskie, drobne i smętne; przejścia myślowe i doświadczenia życiowe, a ślady wszystkiego pozostały w poezji.

Pamięć miłości litewskiej nie dała się usunąć, choć głuszyły ją miłostki odeskie: z obu spowiadał się poeta w „Sonetach“, pisanych jeszcze i w Wilnie, a dołączył do nich odeskie i krymskie. Sonety miłosne utrzymywał w zwykłym ich tonie, obowiązującym

od czasów Petrarki, którego naśladował i przekładał; różniły się od siebie co do siły i szczerości, niektóre z nich żartobliwe, aż do satyry, inne płoche, aż do swawoli, inne pełne żaru i bólu — nowe były raczej pod względem formy, od której poezja polska dawno już odwykła. Za to Krymskie i treścią całkiem odmienne, niezwykłe, wzbudziły podziw i, jak przed paru laty Ballady balladomanję, tak one wywołały ostrą sonetomanję. Niepospolity był to artyzm, w ciasne ramki sonetu wtłaczać imponujące krajobrazy, widoki i wrażenia, lądowe i morskie, a wszystkie nie trafem zebrane, lecz dostosowane do walk i przejść wewnętrznych, wyrażające je z mocą niesłychaną, czy o myśli-kotwicy, w niezmierność głębiny ciśnionej, czy o falach-namiętnościach, roniących za sobą nieśmiertelne pieśni, czy o polipie-hydrze pamiątek, w sercu spokojnem zatapiającem szpony. Sonety te wprowadziły orjentalizm do literatury polskiej.

Pomimo styczności Polski ze Wschodem, choćby przez Ormian własnych, znajomości języków, walk ciągłych, osiadania nawet licznych Tatarów, od czasów Witoldowych, którzy, cudem niepojętym dla Polaków, w szlachtę się wkońcu przedzierzgnęli, nie oddziaływał dotąd Wschód na literaturę polską; wczesne i piękne tłumaczenie „Giulistanu“ pozostało bez wpływu i śladu.

Jak z literaturą niemiecką przez Francję, tak przez Anglję, Byrona i Moore'a zapoznawała się poezja polska ze Wschodem i zdobywała nowe środki miary i treści, lecz przykład Mickiewicza dopiero, i tam i tu, porwał nieufnych. „Polski Walter-Scott“ — bo po balladach i „Grażynie“ na ten epitet zasłużył — otworzył widoki piękna wschodniego; narazie sam poeta myślał, że „Sonety Krymskie“, są niby tylko wysłane na zwiady, że, jak za „Balladami“ ukazał „potworne Dziady“, podobnie za Sonetami miał zamiar „coś obszerniejszego w guście orjentalnym wypracować“ i już się kopał w Hammerze i zabierał się do „Indji“ Schlegela — nie przyszło jednak do tego, choć poeta i później przystępował do ołtarzów wschodnich, obleganych zresztą przez Witwickiego i Chodźkę. Sonety były jednak i dla klasyków triumfem: o „Grażynie“ mogli powiedzieć, że „Gryzelda“ (jakby Litwinka-poganka bez włoskiego chrztu obejść się nie mogła), „nudna“; mogli „Dziady“ ośmieszać, „głupio było, głupio będzie“, albo na „a kysz“ wyjeżdżać, albo drwić z cienia cieniów — teraz mieli jawną słuszność: „wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie“, pienił się stary Koźmian; „paskudztwo“, wołał Mostowski; należy to na polski tłumaczyć, abyśmy rozumieć mogli,

drwił Andrzej Koźmian; tylko Franciszek Morawski, z żywszem poczuciem każdego piękna, unosił się wobec Koźmiana nad wierszami, godnemi Byrona: w jego (morza) szumach gra światło, jak w oczach tygrysa, lub (o świątyni w gruzach); gdzie już Bóg nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

Poeta sam, gdy go swoi i obcy (Sonety znalazły właśnie w Moskwie gorące uznanie), wielbiciele i wrogowie, w jakiem nowem wschodniem przebraniu odnaleźć się spodziewali, rzucał, jeszcze w Odesie, i minarety i mułłów; na obczyźnie powracał do Litwy, do pytań dręczących, do pomysłów wielkich. Muzie jego skrzydła opadły w Kapui-Odesie, lecz otrząsnął się poeta i choć na wyjezdnem ślubował sobie: lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu — ślubu dotrzymał do zgonu!

Jak w „Balladach“, „Dziadach“, „Sonetach“, tak i teraz znowu o sobie śpiewał najbardziej egotyczny ze wszystkich poetów i przez to najbardziej prawdziwy — o własnych uczuciach i myślach, marząc tylko o tem, aby „własne ognie przelać w piersi słuchaczów“.

Rzecz, świeżo podjęta, kosztowała wiele mozołu; nad „Konradem Wallenrodem“ pracował poeta niewiele krócej, niż nad „Panem Tadeuszem“; ukończył go na początku roku 1827. Ułatwiał pracę i przedostanie się jej na widok publiczny nacisk na historyczność tematu. Przedmowa powoływała się na słowa Schillerowe; co ożyć ma w pieśni, ginie w życiu, i zapewniała, że Litwa jest już całkiem w przeszłości, więc poeta, opiewający dawne jej dzieje „samem tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników“; więc i motto skombinowane na początku i wkładanie w usta wajdeloty tego, co sam poeta od siebie prawić zamierzał, odnosiły do przeszłości, usypiały podejrzliwość. Zupełnie jej jednak nie uśpiły i doczekali się klasycy nowego triumfu, że o Wallenrodzie i Mickiewiczu-Herostracie zabroniono rozpraw publicznych tem gorętszych, im dłużej Konrada oczekiwano, coś wyższego nad „Iljadę“ zapowiadano — u nas bez przesady nic się nie obejdzie; Osiński zawyrokował: z wielkiej chmury mały deszcz; obaj Koźmianie temu przyklasnęli; jak „Gryzelda“ była nudna, tak „ani Konrad ani Aldona nie wzbudzają interesu“; ma poema „mniej poezji, ale też mniej dzikości, mniej szusów, może być nawet chwalone“. O „poezji“ sądził inaczej znawca wyborny, Puszkin, tłumacząc wyjątki z „Konrada“.

Jakiż był plan i zamiar poety i jak go wykonał?

W kronikach i dziełach niemieckich o historji zakonnej natknął się autor „Grażyny“ na postać niejasno oświetloną, zagadkową, mistrza wielkiego o pięknie brzmiącem nazwisku, na Konrada Wallenroda, oskarżonego o przyczynienie się do walnej klęski zakonnej, otoczonego podejrzanymi przyjaciółmi, oraz na zgon jego tajemniczy i złowieszczy. Wskrzesała ta postać w rozpamiętywaniach celi bazyljańskiej i nie opuszczała już poety; czy trafem, czy umysłem, odnalazł (czy stworzył) poeta klucz tej zagadki: wallenrodyzm.

Tajemnica wyjaśniła mu się: Wallenrod, umyślnie gubiąc krzyżactwo, nie był krzyżakiem; Litwin, przybrawszy imię obce, został mistrzem, i, jak nowy Samson, obalił sklepienia krzyżackie, pogrzebał moc zakonu i życie własne pod niemi. Grażyna użyła podstępu — pierwszej i ostatniej zdrady — i przypłaciła to życiem, ocaliwszy męża i kraik; Konrad poświęcał wszystko: szczęście własne i istot najdroższych, wiarę i sumienie, cześć i spokój, aby od ojczyzny zgubę oddalić; uczył więc, jak kochać ojczyznę ponad wszystko, miłością choćby pogańską.

Dziś jeszcze odzywają się głosy, oskarżające Mickiewicza, jakoby idealizował zdradę — jakgdyby „Dziady“ idealizowały sztylet, którym się Gustaw zabija, albo „Intryga i Miłość“ apoteozowała truciznę! Rosjanom, zachwycającym się tym poematem — Puszkin nie był jedyny — nawet myśl taka nie przyszła, raczej oskarżali poetę o bajronizm, o naśladownictwo; nawet stary Koźmian, szydzący z „warjata i pijaka“ Konrada, ośmieszał tylko głowę pińską, rojącą, „w jak szlachetnym sposobie Litwini kochają ojczyznę“. Nie zdradę i jej tragiczność apoteozował Mickiewicz i nie zdradę chciał wszczepiać w piersi słuchaczów. Ale była to miłość ojczyzny, wygłoszona tak namiętnie i porywająco, z takim czarodziejstwem słów i obrazów, że pozostawiała daleko za sobą hymny i skargi miłości, wyśpiewane w Kownie; wyżej nie wzniosła się już poezja polska; cudowi poezji nawet zaskorupieli klasycy odmówić nie mogli uznania.

Sam Mickiewicz przygaszał żar, bijący z poematu; kończył okrzykiem Aldony-Paryzyny, jakby pieśń jego była o Aldony losach: niechaj ją anioł *harmonji* w niebiosach, a *czuły* słuchacz w duszy swej dośpiewa; jak we wstępie: „*serca* kochanków złączą się znowu w pieśniach wajdeloty“, w całym poemacie czułe skargi kochanków wobec grozy położenia zbytnie zabierały miejsce, chociaż i służyły za przestanek, niby wypoczynek przed burzą i katastrofą.

Byrona przypominał nietylko ów okrzyk Paryzyny; były i inne oddźwięki w postaci bohatera, w prowadzeniu powieści, urywanem, zbywającem krótkiemi napomnieniami główną akcję, w rozlewie liryzmu. Kompozycja, dla względów od poety niezależnych, nie domagała; uczta jedna pochłonęła niemal połowę poematu i nadto wiele w nią zbito: skazy drobniutkie, okupione sowicie cudownemi pięknościami, rozsianemi hojną garścią rozrzutnego poety, od wstępu z apostrofą do Niemna, od pieśni Halbana o Wilji, od pieśni Aldony z wieży, aż do pieśni przy uczcie Halbana i Konrada; do pochodu wojska upiorów, tonącego w zaspach śniegu (rok 1812!); do skarg i wyrzutów Konrada. Pomysł był nadto romantyczny, śmiały, nadzwyczajny; wykonanie prześcignęło oczekiwania. Wiek minie i nikt od Konrada nie nauczył się zdrady, ale kto wyliczy, ile się z nim górnych chwil przeżyło?

Mickiewicz, chociaż niebawem od Konrada dla siebie imię miał pożyczyć, nie był Wallenrodem; poprzestawał dla siebie na roli wajdeloty, który żyć zapragnął, aby z sławą tego czynu obiec Litwy wsi, zamki i miasta — gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci. Potęga tej pieśni olbrzymiała i w skardze Konrada:

Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
...wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny...
Słuchałem pieśni zanadto niestety!

Najcudowniej wyśpiewał ją sam poeta, w owych wierszach o wieści gminnej, którym w literaturze świata niema równych.

Jej wysławieniem miała się powieść poczynać: uczcie się, Litwini, od tej straży narodowego pamiątek kościoła, przylegającej do gruzów, wywołującej kształty i dźwięki; piastunką jej pierś poety, gdzie tlą iskry zapału, strzelająca brzmiącemi słowy do serca spółbraci. Następowało opowiadanie o porwaniu Alfa na rejzie zakonnej i wychowaniu w zakonie, gdzie go Halban ustrzegł od zniemczenia: dalej o tem, jak Walter-Alf zbiegł na Litwę, Aldonę pojął i, gdy widoki obrony wszystkie runęły, powziął myśl piekielną. Każdy szczegół był u różnych osobistości historycznie umotywowany: z prusaka Montego i chrzest nie zmył nienawiści ku zakonowi; poeta na jednę osobistość skupił wszystkie rysy. Następował obiór; sceny u wieży; uczta, gdzie Konrad podniecony przez Halbana, w balladzie mauryjskiej przedstawił inny przykład zemsty nad wrogiem; wojna i pożegnanie. Układ naturalny poeta nadwyrężył umyślnie, z obawy przed cenzurą.

Zmieniał się ton, rozmiar, rym wiersza; zmieniały się obrazy, nastroje, szczegóły, coraz inne, coraz piękniejsze; sztywność czy chłód, wiejące od Grażyny, ustąpiły już nie ożywieniu epicznemu, ale liryzmowi, wybuchającemu skrami, kolorami, tęczą; uczucia miłosne, wykluczone z Grażyny, rycerskie, patrjotyczne, aż do inwektyw szyderczych przeciw duszom podłym, znalazły wyrazy potężne: obrazowość poety, dźwięczność wysłowienia, panowanie nad formą wiersza, walczyły o lepsze z bogactwem fabuły, urozmaiceniem tła, pogłębieniem uczucia i znowu poeta pozostawiał daleko wtyle naśladowców wierszem i prozą.

Zresztą tworzył mało, rozpraszał siłę w licznych improwizacjach, tworząc w nich i całe dramaty (o Zborowskim; z niego zrysował Puszkin improwizatora swych „Nocy egipskich"); pisywał wiersze okolicznościowe, z których najpotężniejszy — „Farys", elegja (kasyda), poświęcona emirowi Rzewuskiemu, niby oda do młodości, transponowana na nutę Arabistanu. Dziwny człowiek i dziwna poezja. Bohater, syn targowiczanina, mąż osoby, nienawidzącej jakobinizmu i „wolności" (jej matka padła ofiarą „terroru") uciekał przed hańbą ojcowską i nienawiścią żony do Arabji, między szejchów i ich namioty, zbierając księgi i pieśni, broń i wierzchowce, słynny, jako jeździec nieustraszony, hetman złotobrody, prowadzący potem na Ukrainie, między swoimi kozakami żywot niby atamana-mołojca.

Wystawił Mickiewicz takiego jeźdźca szalonego, wyzywającego i żywioły i sępa złowrogiego i samum-niszczyciela do walki, kruszącego wszelkie zapory, głuchego na przestrogi, pędzącego coraz wdal, niepowstrzymanego, patrzącego dumnie ku gwiazdom, myśl zatapiającego w otchłaniach błękitu — pean żelaznej woli i siły ludzkiej, którąby i świat z posad ruszyła, a zarazem owego uroku tajemniczego, jakim groźne niebezpieczeństwo człowieka przyciąga, co Puszkin wyraził w wierszu: „Jest upojenie w boju i na mrocznej głębi brzegu... w arabskim huraganie".

Vous nous l'avez donné fort et nous vous le rendons puissant, twierdził słusznie ślepy poeta-romantyk, Kozłow (jemu owa kasyda poświęcona), o Mickiewiczu do Odyńca. Ważniejsze jest świadectwo Puszkina, po latach złożone, gdy katastrofa polityczna wyżłobiła przepaść nieprzebytą między obu poetami: „wśród nas żył, śród plemienia obcego; w duszy swej ku nam nie żywił złości, myśmy go kochali; cichy, błogo usposobiony odwiedzał nasze zebrania. Z nim podzielaliśmy i czyste marzenia i pieśni — natchniony był

z nieba i zwysoka na życie spozierał. Nieraz mawiał o czasach przyszłych, kiedy ludy, zapomniawszy o waśniach, w wielki ród się zjednoczą. Chciwie słuchaliśmy poetę. Ku Zachodowi uszedł i błogosławienie słaliśmy za nim". Niemniej uczcił Polak pamięć wieszcza rosyjskiego, duszy wyższej nad ziemne przeszkody. Gdy go przyjaciele w Moskwie, od Wiaziemskiego do Polewego, żegnali, dzielili jakby tęsknotę i drżenie jego serca; otwartością, szlachetnością postawy i mowy, myśli i serca, jednał wszędzie zwolenników i wielbicieli; teraz rwał się, jak Farys, za słońcem na Zachód, na swobodę.

Na Parnasie polskim panował już niepodzielnie, otoczony zgrają naśladowców, dyskredytującą chyba mistrza, jak ów zasłużony dyrektor teatru, a niefortunny sonecista, Kamiński; możnaby o nim chyba myśleć, że parodjował sonety (od parodji, nawet Farysa, Baszy roiło się i wtedy i później), gdyby słynne „Wypiłem duszą duszę kałamarza" albo „Okropny powóz jedzie w mojej duszy" nie w najlepszej myśli się skleiły.

A takich prób czy przedrzeźniań było więcej. Witwicki, krzemieńczanin, sam niebawem tępił dwa tomiki „Ballad i romansów", które zbroił w roku 1824, przesadzając w przesadzie; potem „Edmundowi" kazał, jak Gustawowi, ginąć z własnej ręki, tylko wybrał tło romantyczniejsze, bo szwajcarskie, zato zapomniał umotywować deklamacje i cierpienia.

Klasycy drwili z tych dziwolągów, i romantyczność odpowiadała za szaleństwa „gąsiąt i osiołków", a Mickiewicz, wystawiany jako mistrz „szkoły litewskiej", która z niego wyszła, choć się do niej wcale nie przyznawał, pomijał milczkiem zaczepki, krytyki, insynuacje. Po czasie dopiero, jakby zazdroszcząc wawrzynów Byronowi, zerwał się do odpowiedzi, „O krytykach i recenzentach warszawskich", gdzie właściwie ostrzelał plac, bo przeciwnika nie zastał i na najmniej winnym z klasyków, na Franciszku Dmochowskim, pofolgował żyle wojowniczej; Dmochowski też obszernie, całą książką, odpowiedział, ale w niej nie klasyczności, tylko pamięci ojca bronił.

Dowcip, tryskający z listów poety (i z utworów spółczesnych prozą, lecz te zaginęły), zwyciężał i w tej polemice: miał to być wstęp do rozpraw; poeta to chciał szerzyć myśli, cudze wprawdzie, ale u nas nowe, to rozbierać zasługi różnych chwalonych autorów, przestraszony zacofaniem warszawskich mydlarzy („Kleinstädters"), gorszem, niż w literaturze ościennej. Wyjazd zagranicę temu przeszkodził; pozostał ów niby wstęp, chłoszczący nieuctwo, jałowość,

powtarzanie oklepanych frazesów i etykiet, „hatiszerif literacki, napisany z dziwną zarozumiałością, z impertynencją nawet — już oni (klasycy) podeptani od Litwinów wraz z Potockim“ wołali Koźmianie. Lecz na pomoc nikt nie śpieszył.

Nie od Litwy jedynej i „szkoły litewskiej“ szło romantyczno-ludowe odrodzenie literatury; i Ruś, ukrainna i podolska, kijowska i kozacka, stawiła się na Parnasie z niewyczerpanemi zasobami podań i pieśni, szczegółów i motywów, barw i dźwięków. Na Rusi tej, obfitej w ziemię, bogatej w dostatki, toczyło się życie polskie innym torem, niż na piaskach wielkopolskich i mazowieckich, czy na błotach pińskich — „bywszy w Rusi, do domu musi“, mawiano o „dniach Aranżuezu“, „i na Rusi robić musi“ pocieszano się filozoficznie.

Życie to polsko-ruskie, im dalej ku Ukrainom i stepom, tem silniejszego, oryginalniejszego nabierało rozmachu; nie zmiótł go nawet huragan „ruiny“, nie zatopiły fale hajdamaczyzny. Składały się na nie świetne tradycje kozactwa; jego urokiem pociągnięci nawet magnaci zbliżali się albo całkiem zlewali z ludem. „Panie Kochanku“ na Litwie chyba szlachcie imponował; Starosta Kaniowski jest dziś jeszcze bohaterem ludowym, umarł przecież unitą w celi bazyljańskiej, a za życia srożył się przeciw pankom i Żydom; Dymitr Jabłonowski schłopiał zupełnie, a Emir z kozakami swymi pod Daszów pociągnął; tradycje kozackie, obce zupełnie ludowi polskiemu i litewsko-ruskiemu, żyły wśród Rusi; bandurzyści śpiewali o siczy, o Chmielu i Nyczaju, jak walczył z Polakami, z Panem Potockim, o Goncie i Żeleźniaku. Wobec spłowiałych legend litewskich, głuchych podań i mętnych bajań, biło tu żywo, jaskrawo, w pierwotnej dzikości i smętku, źródło poezji ludowej; należało się tylko schylić do niego, ukochawszy przyrodę bogatą, lud dumny, ziemię uroczą.

Zato też antagonizmy, narodowy, wyznaniowy i socjalny, występowały tu nieskończenie silniej. Na latifundjach wielkopańskich rozsiadła się drobna szlachta — komisarze, dzierżawcy, pisarze, ekonomowie, za nimi Żydzi po arendach i karczmach. Panowie bawili zagranicą lub w Warszawie, wyzyskiwano więc niemiłosiernie lud, a to prowadziło do strasznych wybuchów, obcych innym ziemiom.

Po ich stłumieniu popłynęło życie dawnym trybem, i na dworach wielkopańskich (stąd ruszyli targowiczanie) i po dworkach szlacheckich. Targowiczanie nie wracali, zato ich stronnicy: ów

Tomaszewski, sam autor manifestu, działający w najlepszej wierze, potem niemogący ukoić wyrzutów sumienia, a najmniej w pobliżu swego pana, rozjeżdżającego bezcelowo albo dumającego ponuro w Hamburgu — pracujący literacko z powodzeniem nad przekładami i oryginalnemi tworami, silący się bez powodzenia na rehabilitację Targowicy, witający nową erę; albo ów Hulewicz, „bard polski“ (Henryka Rzewuskiego), bezecnik w mowie i facecjach, wstydliwy i skromny w życiu, niezdarny tłumacz Owidjusza. Były i oryginały: Ścibor Marchocki, zaprzątający fantazję Słowackiego, pan Ladawy, czciciel Cerery i konstytucji ladawskiej; niefortunny statystyk Podola, Marczyński, i inni.

Dla romantyka otwierały się tu widoki poetyckie, innej doniosłości i rozmaitości, niż litewskie; za przykładem od Wilna, pod ożywczym promieniem Krzemieńca i szkół humańskich, powstawał tu nowy ruch poetycki. Po pierwszym, tonącym w powijakach klasycznych, z Zaborowskim i Starzyńskim, nastąpił romantyczny, lecz nieujęty żadną silną ręką — Ruś czerwona i ukraińska anarchją żyła od XIII wieku — rozprószył się; mówią wprawdzie o „szkole“ ukraińskiej, ale „uczniowie“ jej szli całkiem luzem, wybierając spólne tło, „ukraińskie“, lecz pielęgnując każdy swoją odrębność.

Zdawało się, że krzemieńczanin **Maurycy Gosławski**, nie żywił wyższych aspiracyj — miał powiększyć grono pisarzów prowincjonalnych, pozostać piewcą Podola. Zrazu pisywał humorystyczne i satyryczne piosnki, bajki; w „Balladzie i ja“ wyszydzał poecików i recenzentów, opisywał kary, jakie ich w piekle czekają, wyśmiewał Marczyńskiego; sentymentalizmowi folgował, tłumacząc tragedje sentymentalne Ozierowa. Rzeczy te jednak, trącące piżmem klasycznym, tak zarzucił, że ich nie włączył później między swe dzieła.

Nęciła go idyla Wiesława, ale jeszcze bardziej rozdarcie romantyczne, skargi na utraconą młodość, miłość i wiarę w ludzi. Więc wyśpiewał, łącząc oba motywy, swoje „Podole“, najpierw jego piękności, i krajobrazy, potem, całkiem na etnografa schodząc, ludowy dramat weselny, obrzędowy, ze śpiewkami i zwyczajami; trzecią pieśń poświęcił „klęskom Podola“, podaniom o dżumie, o napadach tatarskich; powtarzał nieraz sam tekst pieśni ludowej, każdy szczegół obrzędowy, aż do mieszania „korowaja“; czwarta pieśń odskakiwała całkiem od tego tła sielskiego spowiedzią autor-

ską, o niewinnem dzieciństwie, o burzliwej młodości z jej altruistycznemi zapędami, owianej byronowskiemi zwątpieniami i goryczami, tęsknotą i smutkiem.

Później również „szukał z dziedzin ojczystych pokrewnych utworów", wiódł swój wzrok „na zarośle, na bezdroża, na czahary, na obłoki, to na synów Zaporoża", żałując „błogich czasów", śpiewał „Dumę o Nyczaju", „Oblężenie Niemirowa", „Bondarównę" (zaginione poczęści). Wypadki wykoleiły ułana i obrońcę Zamościa z Podola i poezji podolskiej; po pieśniach lirycznych tworzył powieści romantyczne, dawniej jeszcze „Tęsknotę", niby pendant do Kordjana, gdzie wieść o wojnie zmieniała rozpaczającego nad zmarłą kochanką w żołnierza; potem „Odstępcę", wieszczącego i usprawiedliwiającego przyszłych Sadykbaszów, z wycieczkami przeciw poetom, „co za Polskę walecznie umierali w rymach, bez rozlewu krwi drogiej, po Dreznach i Rzymach"; osobno wzywał i Mickiewicza do walki; „Banko", z gryzącą ironją o wojnie i wodzach, z wycieczkami przeciw cnocie, knutowi ludzkości, której bałwochwalczo ofiary znoszą łzy, bo trzy młode piękne serca, które biły dla szczęścia, owiał oddech trucizny w święte imię cnoty (Władysław, mimo zmienionego uczucia, w imię cnoty wytrwać musi przy niekochanej). Czynny, jak Goszczyński, zgorzkniały i zwątpiały, umarł niebawem, i tylko kilka „Podolanek" i pieśni („Gdyby orłem być, lot sokoli mieć, lotem orlim lub sokolim, unosić się nad Podolem", duma z „Odstępcy") przeżyło pamięć, która rozwiała się, jak ów wiatr, opiewany tylokrotnie przez niego. Dziwaczna, ultraromantyczna była i forma owych utworów, mieszana: są tu liryczne i opisowe kawałki z „działaniami", t. j. z dialogami; gryząca ironja i szały uczuciowe wikłały się kolejno; brakło artyzmu, nie siły.

Od etnograficznego Podola Gosławskiego odbijała zupełnie „Marja", acz „powieść ukraińska", Antoniego Malczewskiego: Ukraina tu, mimo wiersza pierwszego, z pędzącym na szybkim koniu kozakiem, i ostatniego („I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie"), była tylko tłem i przyborami, lecz bohaterem i treścią ani ona, ani kozacy, ani boje tatarskie, ani duma magnacka, ani złość ludzka; zato śmierć, co „na tym świecie wszystko zmiecie", robak, co „się lęgnie i w bujnym kwiecie". Wszystko tu smętne, posępne: i autor i poemat — samo imię Marja, fatalnie wróżące, umyślnie dobrane, wedle znanego przesądu, kołującego już w XVI wieku — lecz los nienawistny oszczędził Wacławowi śmierci fizycznej, aby go wydać męce stokroć gorszej.

I nie wiedzieć, z kogo boleśniej los zadrwił, z człowieka, z pisarza, czy z jego bohaterów? Bogaty i urodziwy młodzian, wykwintnie wykształcony, bywalec w świecie, Don Żuan rozmaitych romansów, schodzi przedwcześnie do grobu, nieznany, w największym niedostatku, z obcą żoną, jakby z kamieniem, u szyi; pisarz, lecz o nim nawet i ten się nie odezwał, któremu poemat — ostatnią nadzieję, jedyną deskę zbawienia — poeta ofiarował. Milczała o nim krytyka, a publiczność ani słyszała nawet; a jakie dzieje autora-człowieka, takie i pienie jego.

I Malczewski, jak Gosławski, jak Mickiewicz, zaczynał na ład klasyczny, lecz sam trafił do Byrona, którego i znał osobiście, i któremu jak powiadają (bajek krąży u nas co niemiara), temat do Mazepy nasunął. Krzemieńczanin, którego sam Czacki ufnie polecał władzom, starłszy w szkole dopiero ślady domowego, francuskiego wychowania, czuł pociąg do pióra, a po różnych opisach i próbach, listach poetyckich, gdy nad nim samym horyzont życiowy groźnie się zasępiał, wziął przed się kanwę smutnego wypadku, aby na niej dosnuwać tem smutniejsze refleksje.

W domu targowiczanina — Targowicy zawdzięczał ojciec szlify jeneralskie — dobrze znano młodzieńczą awanturę Szczęsnego i Gertrudy; awantura to komiczna, gdyby się przypadkiem nie kończyła arcytragicznie. Instynkt, takt i smak artysty odrzuciły z fabuły wszystko to, co osobiste i anegdotyczne, płaskie i trywjalne; cofnęły ją o wiek cały, podłożyły tło heroicznych walk Polski, przedmurza chrześcijańskiego, zmieniły okolice, pogłębiły różnice.

Wacław — tu byrończyk się zdradzał, — ze zniechęcenia i niesmaku życiowego wypłynął, zyskawszy serce i rękę Marji, córki miecznika, „równego“ szlachcica. Lecz ojciec, dumny wojewoda, straciwszy syna, cel życia, niesyty coraz nowych honorów i świetnych koligacji, postanowił swobodę jego odzyskać i ze zdradą szatańską, obcą polskiej naturze, plan wykonał; udał pogodzenie, syna z teściem na taniec tatarski wyprawił, a niewczesnej nieco, bo kuligowej, zapustnej, nie letniej, maskaradzie-czeredzie kazał Marję porwać i utopić, licząc widocznie, że syn stratę przeboleje i sam mu kiedyś wdzięczny będzie: o miecznika nie dbał ten, kto ani króla ani prawa się nie obawiał, a wkońcu, gdyby nadto krzyczał, można mu było wioszczyną jedną i drugą gardło zatkać.

Rachuby nie omyliły wojewody: w życiu i w dramacie wszystko gładko poszło; miecznik ani się porwał do zemsty, tylko na Wacławie się zawiódł.

W czemże piękność, znaczenie „Marji“? Jakiem prawem mógł w parę lat później Mochnacki, krytyk romantyczny, od niej zaczynać przegląd nowej poezji, nazywać ją „ofiarą nieumiejętnej krytyki, jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej“, a przed nim jeszcze Grabowski twierdzić: „gdybyśmy tylko mieli „Marję“ i „Grażynę“, mielibyśmy już oryginalną literaturę?“ Nawet Goszczyński, kruszący nielitościwie maczugą demagogiczną pseudoreputacje i zasługi prawdziwe, nie wahał się położyć „Marji“ między dziełami, „jeżeli nie zupełnie narodowemi, to zbliżającemi nas wielkim krokiem do czystopolskiej literatury“, a sądy te podziela publiczność, skoro ani wyliczyć wydań. tłumaczeń, ocen tego brylantu poezji polskiej, chociaż nie najlepiej osadzonego.

Stworzył otóż poeta bez domieszek fantastycznych, nie wywołując ani średniowiecza strupieszałego, ani upiorów czy demonów, ani błyskotliwego orjentu czy południa — bez czego Byron się nie ruszał, na czem opierały się „Grażyna“ i „Dziady“ — z materjałów ojczystych dramat wzruszający, prawdziwy, prosty. Osób niewiele, trzy — bo wojewoda ledwo od ciemnego tła odbija — akcja skupiona, jakby jedność czasu i miejsca zachowywał; tętno przyśpieszone, kontrasty najsilniejsze, a w szczupłe ramki — nawet „Grażyna“ liczy tylko o paręset wierszy mniej — wstawiono tyle najrozmaitszych kolorów, rysów i przejść, że i fantazja Byrona Malczewskiemu zazdrościćby mogła.

W szczegółach mógł się Byron w „Marji“ odzwierciedlić — nigdy w całości, w duchu. Styl jego przypominała pogoń Malczewskiego za przenośniami i alegorjami, dziś najbardziej czytelnika rażącemi: „czapka na lewem uchu, *zniszczenie* w prawicy“; „gdy patrząca czujność nadzieję utraca“; „zapylona sława upięknia zniszczenie“; „przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie“. Z Byrona łaski pojawiło się owo tajemnicze pacholę, co za rycerzem w świat pogoni, nieodstępny duch jego losu, czy anioł, czy szatan, który tyle domysłów naraił komentatorom: jest w druku i wytłumaczenie jego całkiem alegoryczno-polityczne, jako losów Czerwonej Rusi! Nawet Wacław przypominał miejscami ulubieńców Byrona, nadludzi, z duszą zagadkową, wyolbrzymiałych nad otoczenie, z niem niezgodnych.

Już „Wacławem“ różnił się Malczewski od Byrona; skończył on tam, gdzie Byron byłby zaczął; dla Byrona byłby Wacław istniał dopiero od chwili, gdy w zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,

gdy w zdziczałej duszy wypleniono radość a powstała ta ponurość dzika, ta chciwość szalona krwi, krzyku, dzwonów, co zbrodnią karze zbrodnię — poeta polski ani się ważył uchylać tej ciemnej, skrwawionej zasłony.

Jeszcze więcej różnił się samą Marją. Na bohaterów Byron nie wybierał kobiet, nie występowały one u niego poza kresy istot czy niewinnych, czy namiętnych, zawsze niewolnych, haremowych branek czy sułtanek; pierwszy ideał kobiety stworzył Malczewski. Nie znała takiego dawniejsza poezja polska, wyłącznie męska, obozowa, obywatelska, księża; chyba „Barbara“ Felińskiego za taką uchodzić mogła, wahająca się między miłością i pragnieniem szczęścia osobistego, a obowiązkami wobec ojczyzny, do ofiar gotowa, podtrzymująca męża króla: lecz nad całym gronem idealnych doskonałości ona jedna nie nadto się wznosiła. „Grażyna“ przypominała nieco amazonki, bohaterki Tassa, Tomaszewskiego, Niemcewicza (Jadwigę), chociaż słabe jej ramię źle mieczem władało, i nie zrównoważała namiętnych skarg i przekleństw, jakie miotał zawiedziony Gustaw na kobietę: „puchu marny, ty wietrzna istoto, Postaci twojej zazdroszczą anieli, a duszę gorszą masz... niżeli...“. Pierwszą idealną niewiastę stworzył Malczewski; jego Marja, wiotka i słaba na ciele, blada i smętna, godna ojca i męża; sama słaniająca się, jak trwożna gołębica, i ojca podtrzyma i męża na boje pożegna, spokojna i zrezygnowana, chociaż mu właśnie powtórzyła wyznania miłości, tak gorącej, tęsknej, jedynej, że się aż sama lęka, bo może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie; rozmowa jej z ojcem, gdy sama ciężko zraniona koi jego smutki, żegnanie z mężem, należą do największych ozdób literatury i okupują wysłowienie miejscami twarde czy niejasne, pożyczki z Byrona i rysy nieco sentymentalne, nie z kresowej niewiasty zdjęte.

Lecz na kogoby się Byron najmniej zgodził, to na Miecznika; tej rezygnacji chrześcijańskiej nie pojąłby nigdy: ten bohater, co gotów „skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje“, mignąć choćby wojewodzie pod oczy święconym w szabli obrazkiem, ten postrach tatarski i szwedzki, co liczy na raźną młodzież okoliczną - teraz: ni żalu ni skargi

> Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi,
> Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki,
> Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki

— może byłby on i u Byrona napozór taki, lecz pewnieby Tatarów wojewodzie w gości sprowadzał, niby nowy Bielecki. Niezmien-

nym wyrokom poddaje się bez szemrania, klęczy nad mogiłami, aż uśnie na wieki.

Smutek i rezygnacja, to udział nietylko Miecznika; wieją one z każdej karty, przemawiają z każdego obrazu: na los swój nie zasłużyli, nie zarobili bohaterowie powieści, zacni, szlachetni, bujni:

Ach! pytaj raczej naco dobroć się tu przyda,
Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci,
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda!

Świata kołacze gorzkie są a i zatrute, twierdzi ów paź, co, kiedy się rozśmieje, to jak za pokutę, a kiedy będzie śpiewał, to na smutną nutę. Nuta ta przebrzmiewa ciągle; pierwszą pieśń kończy wiersz: i pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie, a drugą:

I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie,
I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

Słusznie też, w przedmowie (do Niemcewicza) mówi poeta o „posępnem malowidle, tęsknem i jednostajnem, jak nasze pola i jak mój umysł ciemną tylko farbą zakreśla Wam niewykończone obrazy". Stąd-te smutne przeczucia; Marja nawet szczęśliwa „szczęściem niewiast, dla których słodkie w życiu chwile są, jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi wtyle" odczuła: ach, z jak okropną trąby zagrały żałobą, w Wacławie samym brzmi głos straszliwy: zdobędziesz ty trumnę i w serca głębi pisk taki, jak gołębia pod dziobem jastrzębi. Ta ponura a tak wymowna, przejmująca jednolitość była nowym, nadzwyczajnym przymiotem dzieła.

Mimo to podnosiło ono i krzepiło ducha. Wskazywało Boga; nawet szczęście nasze pełnem nie będzie nigdy, i człowiekowi „tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba"; Marja sama do nieba należała, do aniołów grona dążyła: w ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota. Ucznia Czackiego i Krzemieńca wskazywała i miłość ku ojczyźnie: chwała jej i jej rycerstwa brzmiała ze zwycięskiej wyprawy tatarskiej, z ojcowskiego poświęcenia się i zaparcia siebie samego; jej imię czystym gorzało ogniem, a serce, jak w wiośnie ptak do słońca, do niego skakało radośnie! Do poematu rycerskiego, szlacheckiego, lud nie wchodził, tylko sylwetka kozaka, co „wśród wiodącej go zgrai (służalców) jak władca wygląda", nakreślona z widoczną lubością. Wobec takiej całości, z jednego kruszcu ulanej, ginęły drobne skazy, głównie językowe, parę anachronizmów o „grafie" Wacławie i „szwadronach" tatarskich; lecz Warszawa, która w roku 1825 wszystkiem, tylko poe-

tycką nie była, na pięknościach się nie poznała: „u nas nikt tego nie czyta“, rzucił literat warszawski rozentuzjazmowanym Lwowianom w oczy, — Zaleski jednak wyuczył się powieści napamięć.

Prędzej poznali się na „pięknościach“ powieści hajdamackiej. Jak „Marja“ nie wprowadzała ludu ukraińskiego na widownię, tak „Zamek Kaniowski“ Seweryna Goszczyńskiego bez panów się obchodził, chyba o ich winach prawił i na smętny finał Marji odhuknął donośnie:

Piekła za wojną zatrzaśnięto bramę:
Znów tenże pokój i zbrodnie te same,

— tak uzupełnia się niedociągniony wiersz. „Zamek Kaniowski“ — jedyne to w swoim rodzaju nokturno poezji polskiej, oryginalne, jak jego autor. Malczewski i Goszczyński, „Marja“ i „Zamek Kaniowski“ — większych sprzeczności i pomyślećby nie można, chociaż dzieli je tylko lat parę (1825 i 1828): panicz przystojny i bogaty, poeta rezygnacji smętnej, aż ponurej, a „hajdamak“ ciałem i duchem, nieugięty żadną nędzą, ni głodem ni zimnem, jak z żelaza wykuty, wiecznie biedą gnany, na łonie natury raczej, pod wpływem chłopki-babki (nie stanem, lecz życiem) wychowany, niż na ławach szkolnych, na których zasiadał z Padurrą, Zaleskim, Grabowskim, choć niezbyt wiele z nich wyniósł, przejęty duchem protestu, rzucający się w wir agitacyjny, już od ławy szkolnej tropiony przez policję. Temuż celowi i poezja jego służyć miała; do niej się na tłumaczeniach i erotykach zaprawiał, nim na swój ton trafił, i długo go nie rzucał. Ten ton zaś był ponury i posępny, skargi jednak wybuchały gwałtowne i namiętne, na twardy los własny, na ludzi, ich wady i winy, spotęgowany lekturą rzeczy smętnych, Junga, obrazowością poety, lubującą się w dzikich, poszarpanych rysach — nawet natura nie kojąco, raczej drażniąco działa — fantazją, piętrzącą okropność na okropnościach. Pierwszy demokrata czy demagog na Parnasie polskim przekuwał zwrotki swoje na broń twardą i ostrą, o estetykę nie dbał i sam się w kilka lat później (1834) uniewinniał:

O moi bracia, wam się nie podoba,
Żem wybudował poezji bożyszczu
Świątynię, w której kapłanem żałoba,
A płomień śmierci na ofiarnym zgliszczu...
Szemrzecie na mnie, że po jej sklepieniach
Ustawna burza mroczy się lub błyska,
Że dzikie tylko wiatry brzmią w jej pieniach,
Że w niej okropność i nieład, zwaliska,

Że się w niej roją same grobów larwy,
Że w jej obrazach same czarne barwy...
O! póki ciemne słońce miljonów,
Póty o bracia! niech mię nikt nie wini,
Że tak ponuro w mych uczuć pustyni...

Najtrafniejsze to motto i dla „Zamku“, gdzie poeta bez litości odkrył ranę, jątrzącą od wieków. Ze smutnych dziejów wybrał epizod, jeden z najdramatyczniejszych, rzezi hajdamackiej. Ogólna treść jasna, ale takie ciemności zalegają obraz, że szczegółów nie wszystkich dopatrzeć się można, że pozostaje i domysłom wiele miejsca; tu-by raczej, niż w „Grażynie“, czytelnik domagał się epilogu, objaśnienia. Główne postaci, kozak pański, dzielny Nebaba, ze strony pańskiej na hajdamacką się przerzuca, gdy mu jego Orlikę rządca odebrał: on nieczynnego pijaka, Szwaczkę, z dowództwa usunie i hajdamaków na zamek poprowadzi; Orlika, ślubująca rządcy, aby brata od śmierci niechybnej ocalić, porywa się do noża, zabija męża, goniona przez kozaków, okrwawionemi rękami ślady niestarte zostawia po murach; Ksenia wreszcie, uwiedziona przez Nebabę, który skorzystał z przesądu o latawcu, i pozbawiona zmysłów, z hukiem nieludzkim sioła i pola przebiega za swoim latawcem, aż go na palu odnajduje. Obok tych trojga, inni: Szwaczka, krótko, lecz po mistrzowsku skreślony; lirnik stary, ślepy, w istocie szpieg, śledzący Nebabę, jego wróg osobisty, prześladuje go, i jakby o Ksenię i pomstę za nią mu szło, śpiewa o niej, i inni.

Postaciom, dzikim, pierwotnym, namiętnym, akcji, przyśpieszonej, gwałtownej, okropnej, odpowiadały czas, miejsce i przybory, styl, porównania i obrazy. Przed oczami czytelnika przesuwały się trzy noce; słońca w tym poemacie nie było, zato wszystko groźne i straszne, co fantazja ludu ukraińskiego wyśniła: od sceny pod szubienicą, gdzie chichot pijanych szatanów otumania kozaka, z duszami niechrzczonych dziatek, jęczącemi w górze, z wiedźmami, zbierającemi z rosą pożytek, z upiorami, ssącemi krew; Nebaba jako latawiec z Ksenią, Orlikę całuje z takim żarem, jaki upiór w drzewie wypieka, gdy niedowiarek zeń szydzi (!). To znowu mowa o górach dzikich, jak rozpaczy czoło, a nawet w ustępie o olbrzymim dębie-gadule, co i do „Pana Tadeusza“ się dostał (bo „kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa“), gdy Nebaba nań się wdrapuje, by śledzić lirnika-szpiega, i dalekie widoki odkrywa:

jak w duszy jego, posępno w tym lesie,
jak żądze jego, kraj tu ceraz nowszy.

Nadmiar ten cieniów zgęszczonych, fizycznych i moralnych, trącił Byronem, szczególniej, gdzie poeta wlewał w Nebabę inną już duszę:

Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca.
Szyderski uśmiech kazi hoże lica,

albo, gdzie o sobie samym prawi, tułaczu „obojego bytu, ze wstrętem przesytu“: „losy piorunowały tyle, obyłem się ze zgrozą ich ciosów — i serce tyle wichrzyło, że już omdlało, czczość, mgłę zostawiło“. Nie dziw więc, że po kilku latach, sam autor wyrzekał się „Zamku“, jako jednego z licznych grzechów poezji, spłodzonego pod nieszczęśliwym wpływem czarnej fantazji Byrońskiej.

Spółcześni romantycy zachwycali się utworem; Mochnacki policzył go „do rzetelnych ozdób literatury polskiej“, a Grabowski nie mógł wysławić dosyć i prologu i opisu nocy współzawodniczącego z scenami „Makbeta“ i „Fausta“; w pieśni do latawca upatrywał ową prawdziwą poezję ludową, o jakiej w naszym wieku niemal już zwątpiliśmy, a kogo rozmowa puhaczów raziła, temu nałajał od bielma klasyczności, nie zdjętego przy chrzcie romantycznym. Żegnali się klasycy, nawet *justemilieu* Morawski sarkał, że „po lirycznych strofach pędzi brodacz Donu... puszy się Hajdamak w epopei“, że nie Kochanowskiemu „mruczały sosny piosenek żeglugi ni szczekały wiatry“, wołał:

Przebóg, pókiż nam będą wasze głosić dźwięki
I czułość tylu zbójców i wisielców wdzięki?
Kiedy już wszystkie wasze zliczycie bożyszcza,
Mogiły, mogilniki, kurhany i zgliszcza?

i skarżył się na ciemności, że w nich nie rozróżnić „poety z opętańcem i z szaleństwem pieśni“. Zapomniano o nadzwyczajnej, niepolskiej (jak Mickiewicz słusznie zauważył) energji wyrazu i rysunku, tak odbijającej od zwykłego rozmazywania (i romantycznego); o trafnej charakterystyce, choćby Szwaczki i Nebaby, ich dumy, namiętności, a nieopatrzności, lekkomyślności, wobec grożących zasadzek; o prawdomówności autorskiej, rzucającej z ust hajdamackich i Nebaby najstraszniejsze i najsłuszniejsze skargi na polskie rządy i pany, niecofającej się przed niczem. Język był szorstki, miejscami niepolski — co dla *couleur locale* mogło ucho-

dzić; miejscami jakby staroruskie Słowo Igorowe przypominał; rysunek aż do karykatury przesadzony, lecz całość była tak jednolita, jak „Marja“, choć w innym rodzaju.

Ani szlachecko-pańska Ukraina tęsknoty, ani hajdamacka protestu, nie wyczerpywały poetyckich jej zasobów: inne skarby roztaczał rówieśnik i towarzysz Goszczyńskiego, mentor jego poetycki, **Józef Bohdan Zaleski**, nienawidzący niczego tak, jak właśnie Bohdana (Chmiela). W dziecięcych latach przesiąkło pacholę lasze poezją stepową:

Z teorbanem wyrósł ja. Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora...
Śpiewałoż ptactwo tam, byle dzień biały,
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały,
To znowu męski głos wojennej chwały
W cześć atamanów, mąciły się społem
W pieśń jedną żywą — i pieśń tę połknąłem!

Nie było to przesadą: spotykał on nieraz owych „zgarbionych wiekiem, białowłosych dziadów, co na wzmiankę o siczy iskrzyli oczyma, odgrażali się, zaciskając pięści... nasłuchałem się dosyta barwnych opowiadań i pieśni... mógłbym niemal dosłownie powtórzyć rapsod po rapsodzie z tej opłakanej epopei domowej“, a dum tych wtedy było więcej, i poeta skarżył się później:

Gdzie to naszych dum połowa?
Zaporoskich dziś tak mało,
A miłosna, ta lub owa,
O trzech zorzach, trzech krynicach,
Siedmiu wodzach, stu dziewicach,
Rzekłbyś, że te dumy z laty,
Przenuciwszy błogie chwile,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile.

Z poezją słowa współzawodniczyła poezja bezbrzeżnych stepów i głębokich jarów, Iwanhory i Humania (z Zofjówką); rozkosznie bujał chłopiec po ustroniach, cichych, pięknych, tak uroczych niemal, jak późniejszy jego harmonijny wiersz. Do wierszy rwało się wtedy, co żyło, już na ławkach bazyljańskich w Humaniu; w Warszawie, dokąd się poeta z Goszczyńskim rychło przeniósł, gdzie narazie podpadł pod wpływ Brodzińskiego, a z Witwickim najściślej się połączył, wezbrała wena i niebawem „fantastyk, żył tylko wierszami i dla wierszów“; w antypoetyckiej dobie życia, gdy praca nauczycielska w domu Szembeków nie pozwalała na skupiania się, pogłębiał i urozmaicał wrażenia choć lekturą.

Po próbach kilkuletnich wpadł na własną nutę, odrębną od każdej innej, niezmienną. Już w owych próbach, począwszy od humańskiej jeszcze „Dumy o Wacławie“, omawiał tematy czy teksty ludowe, niezawsze szczęśliwie, rozwlekle, z ozdóbkami klasycznemi, słuchając rad i uwag Brodzińskiego, rozglądając się po Słowiańszczyźnie, tłumacząc czeskie, sposobiąc się do pieśni serbskich. Fantastycznemu i romansowemu, kapryśnemu młodzieńcowi nie było jednak przeznaczone ugrzęznąć w przeróbkach, dobrych dla Szyrmy i Brodzińskiego; nadto silny był to talent, nadto wielkie poczucie samodzielności; dziedzicowi obyczajów i dziejów ukraińskich, na którego pieśń ludowa niby spuścizną spadała, użycza poezja sokolich skrzydeł „i jak czarnoksięskie pryzma na pochmurne, nagie i bezcelne dni moje sieje blask świetlny idealnych omamień i promieni się wszystkiemi barwami tęczy — błogo mi we śnie oczarowania“.

Na poezję tę składały się i tradycje dawne i liryzm własny. Nęciły Zaleskiego dzieje rodzime, poetyckie; w nie wsłuchał się od dzieciństwa, na ich wzór tworzył; nieśmiało w „Januszu Bieniawskim“, coraz pewniej siebie w „Czajkach“, w „Dumce Mazepy“, „Dumce hetmana Kosińskiego“, „Zołotareńku w Warszawie“, „Damianie księciu Wiśniowieckim“. Jego kozacy i Ukraina całkiem odrębni, z historją niezgodni, dostrojeni do ideału poety, nieznającego żadnej waśni plemiennej, odnajdującego Polan kijowskich w grodach lechowych, łączącego w pieśni to, co wieki w dziejach rozdzieliły.

Kozacy jego nie żyją własnem życiem; wierni, oddani słudzy Rzeczypospolitej, marzący o swem posłannictwie, nadstawiający piersi za jej całość, walczą, piją i śpiewają, bez trosk, planów, myśli — z dziejów ich znikł Chmiel, pozostali serdeczny Konaszewicz, Mazepa i ich napoły mityczni poprzednicy; dlatego ci kozacy są jednostajni, wymuskani, ogładzeni. Tem szczęśliwiej oddane są szczegóły; nikt nie skreślił wyraziściej, pełniej, animuszu tych postaci, nikt nie roztoczył obrazów barwniejszych, powabniejszych, czy to wtedy, gdy czajki na morze spuszczają, czy, gdy Zołotareńko Laszkę namawia w step bezludny a zielony, czy, gdy słudzy Damianowi „dmą w piszczałki, w kotły biją i śpiewają i miód piją“; od tego „huku, zgiełku i parady“ odbija smętny nastrój Damiana (u sąsiada ładna żona... mnie jednemu wieczna biada wedle śpiewki ludowej), i złowróżbne słowa starca, łaknącego śmierci, jak dżdżu kania, pytającego z trwożnem sercem, czemu

zachód wciąż się krwawi, „czemu w stepie poświst dziki, popłoch szpaków, wrzask żórawi i huczące w noc puszczyki?“

Piękniejsze, rzewniejsze, chociaż wtedy może mniej cenione, były jego liryki, już wtedy odznaczające się tęsknotą za stronami rodzinnemi — „wzrok, jak pieśni... daleko, wiecznie w jednej tkwi stronie, ku niej tęsknię z wieczora, z jutrznią tęsknię i płaczę, bom pożegnał nie wczora i nie jutro obaczę“, chociaż o możliwości powrotu, bliskości nawet jego, poeta wtedy ani wątpił. „Ej, tyś tu tabun przypędził, kozacze, i tęsknisz nazad w step zasumowany“— mawiał do niego Malczewski; miłość zawiedziona dopełniała melancholijnego nastroju, i coraz silniej odczuwał poeta potrzebę „w stepu głuszy tam na bujnych traw kobiercu, rozśpiewania w młodej duszy, zakochania w młodym sercu“. Rozśpiewania dokonał sam, w „Rusałkach“, lśniącej przędzy z barw stepowych, w słówkach pełnych woni, krasy, zostawiając daleko za sobą wzory, Uhlanda i Schultze'go, unosząc się, jak motylek od kwiatka do kwiatka, z czarem niewysłowionym wiersza rytmicznego, pieszczotliwego, napraszającego się do śpiewu, jakiego dotąd poezja polska nie znała.

Zaleski wprawdzie także nie uniknął wszechpotęgi Byronowej: epilog Rusałek nastroił nawet całkiem na nutę mizantropijną, prawił o głębokich zmarszczkach na czole, — od nich kochanka wzrok odwraca — o twarzy ponurej, o pochodni pamięci, rozświecającej noc wieczną dzikich marzeń potępieńca. Za te wybryki byroniczne raczył poeta czytelnika cudami i fantazjami zaczarowanej Rusałek krainy, roztaczał przeprawy miłosne w wątku, lekkim, tęczowym, pociągającym wyobraźnię i serce; rzucał pęki poezji i kwiecia na ołtarzu „Róży-Zoryny, i jej, nie lica, ale róży, czystej czarownicy: mnie kąpała matka w mleku, nauczała czarów siła, i co zechcę zrobię z ciebie“, odgrażała się bogdanka.

Obok tej cząstki „z długich poety w świecie fantastycznym marzeń“, pisał i inne urywki, „Ptaszę lasze“, opowiadające dzieje z chaty Zujowej; „Kwiat paproci“, gdzie przyroda nuci w głos tęskny sierocy, a żóraw kwiat paproci—dumę rodzimą spuszcza. Do całości zrywał się liryk nieraz, lecz nie wykonał czegoś większego, nie kończył nawet i „Wiśniowieckiego“, zostawiał go przy przygotowaniach do ślubu niewczesnego; inne plany, „poema okropnie czułe, wojenne i dziwaczne“ (o Konaszewiczu i Daniłowiczu), dramat *Coreggio*, nie przybierały kształtów. Już zaczynał się poeta niby unieruchomiać; cały świat młodości otacza go dłoń

w dłoni czarnoksięskiem kołem; pod nim zielone, szumiące stepy Ukrainy, a nad nim jej jasne, błękitne niebo; poeta odurza się i upija wirem tych najrozkoszniejszych i najsmutniejszych obrazów, w dziwnym, błękitnym świecie fantazji, gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu morzami. Ostrego zgrzytu rzeczywistości nie słyszy; wprawdzie protestuje słusznie przeciw utożsamianiu Ukrainy z Hajdamaczyzną — sześciu miljonów ludzi, co mieli długo swój byt, prawa, obyczaje, pieśni, swoich bohaterów i dziejopisów, hajdamakami przecież zwać nie można — sam jednak zasklepia się zbyt wyłącznie w jednym kierunku, i tylko niesłychana muzykalność słów jego i nieporównane wdzięki jego barw a miękkość jego rysów ratują manierę: kozacy jego zastygli już, niby figurki na etażerce, w wdzięcznej pozycji, z uśmiechniętemi oczkami, a język roił się nadto od słówek pieszczonych, powtarzań, wykrzykników.

Z tej plejady wieszczów ukraińskich najbardziej jest oryginalny, bo i szatę polską zrzucił, spółpowietnik, Tomasz (Tymko) Padurra, urodzony w tychże Ilińcach, gdzie i Goszczyński, Krzemieńczanin, rychło wsławiony „Łyrnykiem“, „Kozakiem“ i innemi ruskiemi dumkami, zjawiający się po dworach, w Sławucie u Sanguszków, w Konstantynowie u Rzewuskich, w Humaniu u Potockich, aż ugrzązł w Sawraniu, przy Emirze, w charakterze nadwornego poety. W tych jazdach swoich pogłębił znakomicie znajomość kraju i ludu, badając archiwa, wsłuchując się w podania i pieśni; czerpał nawet ze zbiorów i wskazówek metropolity (kijowskiego) Eugenjusza (Bohowitynowa).

Posypały się więc dumki historyczne ruskie, drużyna Emira wyśpiewywała je i teorbanista Witort roznosił: Konaszewycz, Rożyńskij, Sirko, Tetera i coraz inne „Ukrainki“, jak „Łejstrowy“, „Zaporożeć“, „Czarnomoreć“, żywe i barwne, a przejęte taką tęsknotą, takim smutkiem za świetną przeszłością matki-Ukrainy:

Tak tut buło; jak mynuło,
Pytajte witra stepom.
Jak dywluś sam — zdajutsia nam
I diji i prawda snom;

jak sen też rozwiały się jego obrazy; w dzień Daszowski pogrzebał marzenia i cel życia, pana i poezję.

Pieśni jego, jakby prawdziwego Bojana, krążyły po ustach, niektóre zapadły głęboko w pamięć wszystkich, inne po dworkach tylko wiodły dłuższe życie, o większej części zapomniano. Do-

piero w roku 1844 wyszedł ich zbiór (Ukrainki i s nutoju), po rusku i polsku, z muzyką Lipińskiego, przypisany (Sanguszce) Romanowi.

Wiatr, co od lasów i jezior nadniemeńskich odświeżał literaturę, łączył się z wichrem od stepu i służyła Ukraina w nowej służbie; to nieodrodne plemię dzikich stepów potrzebne zdaje się było naszej poezji tak, jak przedtem na usługach Rzeczypospolitej odganiało od dziadów naszych postrach tatarskich i nogajskich najazdów — mawiał Mochnacki. Z romantyzmem zawitała wreszcie i krytyka do Warszawy, a z nią i polemika literacka.

O polemice głucho było oddawna: zścierały się w polemice literackiej stronnictwa, religijne, polityczne; były już i starcia gramatyczne, tylko estetycznych nie było, klasycyzm ich nie znosił. Nie było również i krytyki: powtarzanie szablonowych sądów, ocen i definicyj z kursów Laharpa i innych Francuzów jej nie zastępowało; nawet teatralna, mimo prób Iksów warszawskich, nie kwitła; wywołał ją dopiero romantyzm. Nie przez Brodzińskiego, stawiającego eklektyczne, zbyt oględne, ogólnikowe nieco żądania; ani przez Dmochowskiego (syna, zrąbanego przez Mickiewicza od niechcenia), chociaż w „Uwagach nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezji polskiej“ (niepodpisanych, z roku 1825) odmawiał literaturze Stanisławowskiej miana narodowej; chwalił on Mickiewicza (prócz używania wyrazów zdrobniałych), Zaleskiego i Odyńca (ten tak w dumę urósł, za tak „narodowego“ się uważał, że na serjo do spółzawodnictwa o „narodowość“ z Mickiewiczem i Zaleskim stawać zamyślał, aż się kozak z brata Litwina naigrawał), a tylko poprawności żądał, aby uchronić od szkodliwej dla literatury skrajności. Najmniej jej u klasyków: ci, zamiast udowadniać publicznie zgubę języka, zatratę sensu, zrywanie jednolitości, przez wygórowanie prowincjonalizmów, fantastyczności, separatyzmu, tylko prywatnie zaczepiali romantyków: ojca wszelkiego skażenia, Smorgończyka czy Pińczuka; jego Patrokla, Odyńca; Ordyńca, drukującego romantyków w swym „Dzienniku“; Zaleskiego, którego Dmochowski również polecał na polski przekładać; Witwickiego, odcinającego się klasykom dosadnie w artykule „O reputacji autorów za ich życia“ (w Gazecie Polskiej, również „romantycznej“, w roku 1828), nazwisk nie wymieniając, ale piętnując koteryjność i ten dziwny stan, że szczycił się kraj sławnymi autorami, rozróżnianymi wedle etykiet (polskim Rasynem i t. d. „w rodzaju osobliwszej maskarady“), lecz ani miernych dzieł nawet nie posiadał.

Najwyższym ich triumfem była bajka Dmochowskiego („Cielęta“ z rozbrykanym osłem), lub Franciszka Morawskiego („Kogutek i gąsięta“, zachwycone „lubą niepewnością, czy się sam rozumie“), ale Dmochowski i w klasyków godził epigramami, a Morawski w upragnionych długo dwu listach (Do klasyków i romantyków polskich, przypisanych sprawiedliwemu sędziemu, Niemcewiczowi, napisanych już w roku 1825, wydanych w roku 1829), choć genjuszkom, z infimy czy z pieluszek do grobów wzdychającym, ostro przyciął, srożej z sennym „Parnasem się obszedł, gdyż na nim Feb, co się zaledwie raz na wiek przecucił, skarciwszy Osjana i Szekspira zbrodnie, chrapiącą klasycznością zarządzał swobodnie“, i zazdrościł tylko ich pewności, że nawet bez czytania potrafią sądzić. On godził zwaśnionych:

Jedno macie prawidło: bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj: polską śpiewać ziemię.

Uwagi nawet słuszne klasyków (łączyć trzeba, nie rozdwajać, nawet w literaturze) i trafne przeczucia ginęły na posadzkach salonowych; Osiński przestrzegał: jeśli szczególniej dziś młodzież podziwia i sławi, czego my nie rozumiemy, czy ta ich mowa i poezja nie jest jakimś umówionym językiem, nam tylko niezrozumiałym? Niemcewicz nie radził tego rozgłaszać.

Z pośród romantyków dopiero wyszli zawodowi krytycy i estetycy: **Michał Grabowski**, do trójki z Zalewskim i Goszczyńskim jeszcze w szkołach się dostrajający, chociaż „Francuzik“ najmniej z „Neronem humańskim“ mógł sympatyzować i jako poeta w „Melodjach Ukraińskich“ powodzenia nie miał; chłodny i rozważny, „przeciwny grozom, radzący rzeczy wziąć na rozum“ i dlatego z konspiratorami na czas zrywający, wystąpił pierwszy poważniej w „Myślach o literaturze polskiej“ (Dziennik Warszawski, 1828); stwierdził, że piszą się arcydzieła (Grażyna i Marja), lecz krytyka milczy; rozprowadzał ideę pani Sand, że literatura jest wyrazem społeczeństwa, dlatego pod każdem niebem i w różnych czasach jest inną; określał poezję wedle syntezy niemieckiej; znosił jej sztuczne podziały.

Przed Grabowskim występował **Maurycy Mochnacki**, filozoficznie wykształcony, narazie sypiący nieco górnolotnemi ogólnikami, nim (w roku 1830) wydał dziełko „O literaturze polskiej w wieku XIX“. Żądał, aby naród w literaturze i w umiejętności „do uznania samych siebie w naszym jestestwie“ dochodził, czego

tylko dopnie refleksją. Kreślił pochód w naturze, od materji aż do jej pojęcia i stosował to do narodu; nam brak idej, zaskorupieliśmy w empiryzmie; z odrętwienia budzi nas walka romantyków, tak wszędzie głośna, że nawet autor pisemka o nadużywaniu merkurjuszu gromi w przedmowie zagorzalców romantycznych za pogoń za oryginalnością. Omawiał nasze tytuły do literatury narodowej: „Marję“, „Grażynę“, „Dziady“; „Konrada“ stawiał niżej — nie wdając się w „głębokie i polityczne rozumienie“ jego — dla kompozycji błędnej, dla jego sentymentalności, — cóż za anachronizm! — dla afektacji Aldony; „Konrad“ to upiór miłosny z „Dziadów“; dążył ku ustaleniu literatury narodowej, nie romantycznej; Mickiewicza wysuwał na pierwszy plan. Sądy jego i spostrzeżenia, mimo wszelkiego entuzjazmu, są trafne; wykład, mimo wpływu dziwackich poglądów Kamińskiego na „filozoficzność języka polskiego“, jasny i dobitny. Było to pierwsze, z wyższego stanowiska wychodzące, ocenienie literatury narodowej.

Była to też po raz pierwszy literatura narodowa, a raczej płodne jej zadatki. Literatura dawna, płód kultury europejskiej i najwymowniejsze jej świadectwo, dążyła za Zachodem i razem z nim czerpała wzory, formy, myśli z starożytności: zależność główną od augustejskich poetów łagodziły wpływy baroku włoskiego i regularności klasycznej francuskiej. Nawet ci, co najwięcej rodzimej treści w obce formy wlewali, Potocki i Kochowski, zawisłości od obcych się nie zapierali, nią się niemal szczycili. W całej sile pozostało dawne świadectwo, swoich i obcych, Kromera, Nideckiego czy Ruggiera, że Polacy chętniej za gotowym wzorem idą, lenią się do torowania dróg własnych, raczej naśladują, niż tworzą.

Klasykom warszawskim, pomimo ciągłego ich szermowania „narodowością“, wystarczała zewnętrzna szata, pozór narodowości, i duch obywatelski, ożywiający treść i formy pożyczone. Teraz dopiero zaczęto wyrażać znamiona i cechy odrębne, słowiańskie i polskie. Nie obeszło się bez omyłek i przesady: „narodowe“ pomieszano z „ludowym“, chociaż i u ludu bywają takie same obce, napływowe motywy, jak w piśmiennictwie; ballady, czerpiące z „powieści gminnych“, przez to narodowemi się nie stawały; romantycy sami uznali, że ballady nie odpowiadają smakowi narodowemu. Również nic narodowego nie wnosił orjentalizm, pomimo zasługi niewątpliwej rozszerzania widnokręgów poetyckich; nietylko orjentalizm z Arabami i minaretami, ale nawet motywy kozackie „narodo-

wemi“ nie bywały. Dramat fantastyczny, choćby i w obrzędy „Dziadów“ się stroił, był również naśladowniczym.

Obok tych naleciałości obcych zrzucał jednak romantyzm zużyte formy, szukał i próbował dróg nowych, rozszerzał treść, a zbogacał formy, przywracał językowi straconą już niemal wyrazistość, świeżość i oryginalność; domagał się praw indywidualizmu, burzył się przeciw kosmopolityzmowi, w imię fantazji i uczucia powstawał na rozpanoszenie martwej prawdy i zimnej refleksji, rozsądkiem przezywanej; zrywał wszystkie barjery i sztuczne podziały; wypowiadał wojnę w poezji jej brakowi; pomiatał poezją opisową i dydaktyczną, sielanką i anakreontykiem; szukał zamiast retoryki prawdy; domagał się wiernego oddania czasów i miejsc, historyczności i malowniczości.

Klasycyzm mu się nie sprzeciwiał poważniej, walka nie przybrała ostrego charakteru; klasycy zwinęli chorągiewkę i ustąpili z placu; nie podtrzymali nawet należycie swego Cuviera-Śniadeckiego i walki literackie traciły na gruncie polskim obcą zaciętość.

Burzenie uczucia i fantazji przeciw rozumowi, entuzjazmowanie młodzieży, egzaltacja jej nie ograniczały się estetycznemi, literackiemi, szrankami. Czasy były osobliwsze, rozgorączkowane: na Zachodzie udawały się rewolucje: grecka, lipcowa w Paryżu, belgijska; na półwyspach i w Niemczech roiło się od spiskowców i „węglarzy“; dekabryści w Rosji się zaawanturowali; powietrze przesiąkało elektrycznością, burza musiała się wyładować. Stan umysłów, napięty, niespokojny, podniecała literatura romantyczna, apoteoza wszelkich zakusów buntowniczych w imię praw jednostki czy ludu; najwybitniejsi przedstawiciele romantyzmu w Warszawie, Goszczyński, Mochnacki, Zaleski, byli i najzagorzalszymi spiskowcami: gdy Zaleski, niedawno sam fanatyk wierszów, spotkał się z Słowackim, już go raziło, że „Juljusz żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach — my starsi śniliśmy już o czem innem“. Stąd wycieczki młodzieży romantycznej przeciw Brodzińskiemu, z czego się Mickiewicz później tak szczerze spowiadał. „Chciałby on widzieć Polskę, cichą, spokojną, oddaną rolnictwu; odczarowany, strwożony, znękany widokiem ostatniego losu Napoleona wyrzeka przeciw entuzjazmowi, potępia egzaltację, sam nie wiedząc o tem, że przez to szkodzi sprawie narodowej... stał się przedmiotem pocisków młodzieży, wymierzonych czasem niesprawiedliwie, zawsze jednak z przeczucia, że w jego dziełach brał górę pierwiastek niebezpieczny“. Jak bladą wydawała się tej mło-

dzieży rozegzaltowanej jego i klasyków zasada: wzrastać w moralne oświecenie i godność narodową, by innych, co nas wyprzedzili, doścignąć, by stać się ogniwem niezbędnym w łańcuchu społecznym, „to święte, spokojne, a razem najzbawienniejsze powołanie nasze!“

Tak zwyciężyła romantyczność na całej linji w literaturze i w polityce. Rewolucja literacka zmiotła Osińskich i Koźmianów; polityczna pochłonęła naród i instytucje, autonomję i szkoły, Towarzystwa i bibljoteki, majątki i wojsko, klasztory i kościoły, a zrobiło ją pięciu studentów, czterech podchorążych, trzech poetów i trzech oficerów. Z eskapadą początkową, zamiast ją zgnieść czy zagładzić w zarodku, zsolidaryzowało się wkońcu całe społeczeństwo, aż do Czartoryskich, generałów, sejmu; wybuchła nierówna walka i niepodtrzymywana znikąd, prócz przez Węgrów, którzy 30.000 huzarów... obiecali gębą, musiała skończyć, jak skończyła, mimo brawury młodego wojska, zdolności Prądzyńskiego i poświęcenia Sowińskiego.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

WIELKA POEZJA NARODOWA.

ADAM MICKIEWICZ.

Wychodźtwo. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego. Dziadów część trzecia. Pan Tadeusz. Towiański i Towiańszczyzna. Znaczenie Mickiewicza. Otoczenie jego; Garczyński, Zaleski, Goszczyński, Witwicki.

Wychodźtwo roku 1831 jest jedynem w swoim rodzaju widowiskiem dziejowem. Jako żywy protest przeciw dokonanemu faktowi, wojsko zwyciężone broni nie składa, lecz wyrusza zagranicę, a z nim rząd i sejm, inteligencja i duchowni, literaci i uczeni, obywatele i urzędnicy, biali i klubiści. Wraca wojsko, szeregowcy; nie wraca inteligencja, oficerowie i studenci, ludzie skompromitowani politycznie i nieznani zupełnie; kwiat narodu, do dziesięciu tysięcy, przekracza w triumfującym pochodzie Niemcy, witany wszędzie z gorącym zapałem, i dąży do Francji, teraz dopiero spłacającej długi, dawno zaciągnięte. Emigracja, przeważnie młodzież, nie liczy wcale na dłuższy pobyt zagranicą: ptaki to wędrowne, co wrócą na wiosnę, przy ogólnym, niechybnym przewrocie, przy połączonych ludów bliskiej walce o niepodległość i swobodę; złudzeni tem oczekiwaniem nie nawiązują stosunków nowych, nie przysposabiają się do nowego życia i odmiennych warunków.

W Paryżu, a potem po „zakładach“ (dépot) na prowincji, żyją więc, marząc o powołaniu sejmu do przerwanej czynności, o utrzymywaniu kadr wojskowych, o przyciąganiu i musztrowaniu nowych zastępów, nowych legjonów. Wybuchają między nimi spory, kłótnie, zawiści, partyjne i osobiste, które dzieliły ich już w Warszawie; niesnaski i walki przenoszą się od Honoratki i Dziurki do

Taranu, do Towarzystw, Ogółów, Związków; tworzą się partje białych i czerwonych, arystokratów i demokratów, Polaków i Litwinów, wojskowych i cywilnych, z narzucającymi się na przewodników Gurowskim, Krępowieckim, Grzymałą. Trawiąca bezczynność, nędza albo kłopoty materjalne, rozgoryczają walu rozmaitych chorążych bez szeregowców i wzmaga się coraz żal za utraconem; winę niepowodzenia składa jeden na drugiego, mnożą się oskarżania o zdradę, niedołęstwo, brak odwagi; to znowu podaje każdy niechybne środki ozdrowienia, postępowania nadal, pozyskania gabinetów czy ludów; ten liczy na mocarstwa zachodnie i gwarantów traktatu wiedeńskiego, ów na węglarzów i masonów; ten na szlachtę, ów na lud—wzbiera istna powódź mniemań, spierających się coraz goręcej, ustnie w nieskończonych debatach, na piśmie w niezliczonych świstkach, drukach, gazetkach: istna wieża Babel, gdzie każdy tylko siebie słyszy, gdzie niebawem „zdań tyle, ile nóg — dzięki Bogu, że tylko po dwie mają", aż z polityko-adreso-programomanji, aż z tych „niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów — utraciwszy rozum w mękach długich, plwają na siebie i żrą jedni drugich".

Męki miały się strasznie przedłużać. Rozchwiały się ułudy i marzenia; pokazało się, że ani na porywy niemieckie, ani, co ważniejsza, na interwencję Francji i Anglji liczyć nie sposób; że z każdym dniem uchodzi nadzieja nowych walk, czynnego w nich udziału. Wysilano się daremnie na dziwaczne kombinacje, sabaudzkie, niemieckie; podejmywano najfatalniejsze próby i w kraju samym, kończące się coraz groźniejszemi represaljami; tylko w Belgji, Portugalji, Afryce walczyć nie chciano w obawie zapóźnienia się na nowy sygnał do boju za ojczyznę, chociaż z każdym rokiem wyjaśniało się coraz bardziej, że sygnału już nie będzie.

Na taką odmianę, najnaturalniejszą, emigracja właśnie najmniej przygotowana, bardzo powoli oswajać się zaczęła z trapiącą, jak zmora, myślą, że wychodźtwo czasowe utrwali się, że należy pożegnać się z nadzieją zobaczenia swoich, wrócenia do kraju i obowiązków, że wykolejeni i wypchnięci, śród obcych, nie znając nawet ich języka, muszą się chwycić niewdzięcznej pracy; próby dalszego wychodźtwa, do Stanów Zjednoczonych, odstraszały albo zawodziły.

Wobec tych stosunków należy tylko podziwiać hart moralny wychodźców; jeżeli kogo gorszyli, to tylko siebie samych swojemi swarami, a i o tych zapominali na widok nędzy bratniej i dzielili

się ostatkami; jeżeli targnęli się na czyje życie, to tylko na własne; nawet ci, co chętnieby się pozbyli „nieproszonych gości“, najpiękniejsze im wystawiają świadectwo; wysoko trzymali oni sztandar, nie splamili go nigdy i niczem; najcięższe ich przewinienia, to własne ich złudzenia, hart ich i nieugiętość spartańska.

Złudzenia te podzielał i kraj. Sam fakt istnienia emigracji i ciągłych jej manifestacyj, adresów do izb angielskich i francuskich, debat, artykułów, audjencyj, kombinacyj, drażnił i denerwował; przy głuchem milczeniu, jakie w kraju panowało, zdawała się emigracja, nieuprawniona przez nikogo, jedyną właściwą jego przedstawicielką; ona narzucała przewodniczenie narodowi, w jej obozie, w jej klubach i fakcjach, była Polska, ona rozstrzygała o przyszłym ustroju, wybierała króla czy władze republikańskie, uwłaszczała chłopów i znosiła przywileje. Fatalniejszym, niż to potrząsanie autorytetem, niezachwianym, choć utopijnym, niż to zakłócanie układającego się powoli porządku coraz nowemi spiskami i wybuchami, był sam fakt emigracji, opuszczenia kraju przez jego inteligencję, kwiat jego talentów i młodzieży, zubożenie jego przerażające, w chwili, gdy najwięcej sił i zasobów umysłowych potrzebował; strasznej klęski materjalnej po r. 1831 dopełniła klęska moralna i intelektualna — co zdolniejsze, niezawiślejsze, gorętsze, opuściło kraj i zjadaczów chleba.

Na emigracji znalazło się wszystko, co dotąd w kraju rej wodziło: uczeni, przeważnie historycy: Lelewel, Sienkiewicz, Szyrma, Hofman; krytycy: Mochnacki, który się natychmiast rzucił do publicystyki emigracyjnej; literaci belwederczyk Goszczyński; żołnierze: Zaleski, Pol, Garczyński, Gaszyński, Czajkowski; senatorowie i posłowie: Niemojowski, Ostrowscy; na czele kolumny sędziwy Niemcewicz, nieprzejednany; książę Adam Czartoryski, skazany z Lelewelem na śmierć, a potępiany równocześnie przez emigrantów samych, choć czynny wśród nich i zasłużony; „hrabiowie“, których Lelewel tak nienawidził, Zamoyscy, Sapiehowie. Z emigracją łączyli się i ci, którzy w niczem nie brali udziału, ani w spiskach, wojnach czy rządach: Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Witwicki, Jański; Brodzińskiemu tylko śmierć przeszkodziła; łączyli się i najprzeciwniejsi jej robotom, jak Zygmunt Krasiński; obok swoich stawali i obcy, synowie najzaciętszych „Polenfresserów“, np. Reitzenheim. Sama ta nadzwyczajna siła przyciągająca, czysto moralna, dodawała emigracji uroku niemal magicznego — a potęgowały go dzieła literackie, coraz liczniejsze i wznioślejsze, odbijające

coraz jaskrawiej od apatji i prostracji, panującej w kraju. Literatura emigracyjna wzniosła się na wyżyny, dotąd niedostępne; poza krajem, na obczyźnie, jedynym w dziejach umysłowych ludzkości przykładem, stworzyła literaturę prawdziwie narodową, arcydzieła świata, nietylko polskiego i nietylko słowiańskiego.

Same stosunki nałożyły tej literaturze cechę patrjotyczną. Jeżeli emigracja łudziła się, że nada czy narzuci ruchowi narodowemu kierunek i przywódców, że rozstrzygnie o przyszłości narodowej, literatura jej w osobach swych najznakomitszych przedstawicielach nie łudziła się co do swej roli i zadania. Podtrzymywać i wzmacniać ducha w upadłych i zwątpiałych, lać balsam w ich rany, wskazywać ideały, dać odpowiedź na dręczące pytania, objaśnić znaczenie wszystkiego, co zaszło, wyłożyć tajemnicę przyszłości i przeznaczeń — to stało się jej celem i dążeniem. W nowych tych zapasach, gdy się walka orężna skończyła, przewodniczył ten, którego już dawniej za wodza uznano. O budzenie uczuć estetycznych, o sztukę dla sztuki, nie szło; tracił wpływ, jak Zaleski, lub nie zdobywał rozgłosu i znaczenia, jak Słowacki, kto zawodził tylko igrzyska poetyckie; poeta-sztukmistrz przemieniał się w wieszcza-proroka; czemu nie podołali wodzowie, dyplomaci, rząd pięciogłowy, sejm o nowych litewskich i ruskich posłach, to brali na siebie poeci. Stąd rola i znaczenie wszechwładne tej poezji zwraca się ona nie do sytych i ospałych, aby drażnić i łechtać ich zmysły, lecz w poście i umartwieniu, w tytanicznych zapasach z niebem samem, wydziera mu tajemnice, tłumaczy je, a, dufna w potęgę słów, wykreśla tory przyszłości.

Budzi się też w niej i inna cecha, przygłuszona dawniej zupełnie: religijna, i potęguje się aż do zachwytów mistycyzmu. Jak Konrad, mogła i emigracja o sobie powiedzieć: „dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara“; ale, jak w wielkich nieszczęściach mimowoli, szukając pociechy czy nadziei, zwracamy się do Boga, tak i z katastrofy narodowej wyłoniła się w emigracji samej nowa wiara, a byli saintsymoniści farmazoni wychodzili z niej apostołami, jak ów Bohdan Jański, jak ów poeta Celiński, obchodzący zakłady, wzywający do pokuty i poprawy, głoszący między poróżnionymi hasła miłości i pojednania; z łona emigracji wyszedł też nowy zakon, Zwartwychwstańców, a założyciele jego, Semeneńko i wymowny Kajsiewicz, wyrośli z niewierzących i libertynów.

Podobnemu przejściu uległ i Mickiewicz. Zagranicą zwiedził Berlin, gdzie go odstraszały mędrkowania Hegla, Weimar, gdzie

go ostudzał panteistyczno-filozoficzny chłód Goethego; osiadł w Rzymie, zajęty rozległemi studjami historycznemi i estetycznemi, nad pisarzami starożytnymi, nad Winckelmanem i Niebuhrem. W Rzymie ludzie tracą lub zyskują wiarę na zawsze; jak Krasiński i Gogol, tak i Mickiewicz odnalazł tu swoją. Głębokie jej podkłady przeczuwała dawno instynktem natura pokrewna malarza petersburskiego, mistyka Oleszkiewicza, odgadującego w poecie wybrane naczynie łaski, przez które na innych spływać miała; przenikała ona oddawna spokój „kryjący burzliwą duszę i dumę obojętną, pozłacającą obłokiem wnętrze pioruny"; do tego przyczyniały się teraz stosunki z księdzem (ekszołnierzem) Stanisławem Chołoniewskim, żarliwym katolikiem, głęboko wykształconym, ascetą filozofem na staroszlacheckim, tradycyjnym gruncie, i z domem Ankwiczów, gdzie pobożność panny i p. Łempickiej nie bez wpływu nań pozostała; lektura wreszcie, od Dantego do księdza reformatora, idealisty Lamennais'go. Coraz nowe wrażenia, artystyczne i towarzyskie, krajobrazy i ludzie, zapadały w umyśle, nastręczały porównania, np. posągu Marka Aurela a Piotra Wielkiego, lecz nie budziły narazie twórczości, która świadczyła o wewnętrznych przejściach tylko w małych lirycznych arcydziełach.

To skupianie się, spokojne wchłanianie barw i rysów, przerwała nagle i na zawsze noc listopadowa. Ani na chwilę nie dał się jej uwieść poeta, który świeżo poznał i nieskończone zasoby i celową politykę państwa, i prawdziwe usposobienia ludzi; potężną fantazję wyładowywał Litwin w poezji, w życiu fantastą nie był; realista w polityce, nie łudził się parlamentaryzmem i wartością jego debat, jak inni; to, co widział w Paryżu, nim do granic kraju dojeżdżał, przygnębiło go doreszty. Gdy dojechał, wojna już dogorywała, i z Poznańskiego, gdzie pozawiązywał nowe stosunki, gdzie poznał i „pruskich" Polaków w rodzaju pana Buchmana i życie tradycyjne, podobne litewskiemu, ruszył z pierwszymi emigrantami do Drezna; tu przebywał od marca do czerwca r. 1832 i wpadł w ten „ferwor poetycki", w jakim od czasu pisania „Dziadów" (kowieńskich) nie był. W kościele, podczas modlitwy, uczuł, „jakby się nad nim bania z poezją rozbiła... stałem się Schreibmaschine i przez całe te kilka tygodni pióra z ręki nie wypuszczam"; 20 maja nowe „Dziady" wraz z „Ustępem" były już ukończone.

Z Drezna przenosił się poeta do Paryża, aby je drukować; przed niemi jeszcze wypuścił w świat „broszurę w stylu biblijnym" „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego", przetłuma-

czone na wiele języków, nawet na hebrajski i litewski; na francuski przez hrabiego Montalamberta, ucznia Lamennais'go — Lamennais sam naśladował je w *Paroles d'un croyant*, potępionych, jak i sam wzór, przez papieża; niemiecki przekład ofiarował Mickiewicz narodowi niemieckiemu w oznakę szacunku i wdzięczności za braterskie przyjęcie nieszczęśliwych pielgrzymów.

Redakcja „Pielgrzyma polskiego" (w numerze z 7 grudnia roku 1832) wypowiedziała o „Księgach" swe zdanie, „że równego użytku książki dotąd literatura polska nie ma". Była to szczera prawda. Już w Dreznie obijały się o uszy poety spory i waśni; w Paryżu, wpadłszy w sam wir żalów, kwasów i wyrzutów, napisał te książki, bezimiennie, i rozeszła się „Ewangelja Mickiewicza", jak ją nazywano, w tysiącach egzemplarzów, rozsyłana bezpłatnie między wiarusów. Jeżeli były słowa w świecie, które w bezprzykładnem nieszczęściu, po zawiedzeniu wszelkich nadziei, zwątpiałych, nędzarzów, wyrzuconych na obcy bruk, szarpanych wzajemną niezgodą, mogły podnosić i pocieszać, krzepić i uzdrawiać, musiały one być takie, jakich Mickiewicz użył; że słowa te plonu nie wydały, nie jego to wina, lecz ludzi i stosunków. Natchnienie do nich czerpał i z siebie i od przyjaciół, najbardziej od mistyka Oleszkiewicza.

Większego ukojenia, więcej balsamu gojącego, żaden poeta narodowi swemu podać nie umiał; to, co my w nich dziś znajdujemy z przesady, patetyczności, nawet chełpliwości narodowej, a z poniżania zasług czy znaczenia obcych — w chwili paroksyzmu bólu i szału było niezbędne, jeżeli miało działać. Lecz dziś właśnie, gdy „stał się cud" ów, wymarzony przez poetę, acz tak spóźniony, tych „Ksiąg" światło nas przenikać winno. Ileż to razy powtarzano w ostatnich latach te wspaniałe słowa: „O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice" — samo jednak powtarzanie tych i innych równie wzniosłych zdań nie wystarczy; oby nam przeszły w szpik i krew! Dziś właśnie te księgi, niemądre w oczach dawnego świata, odświeżają, czyste, jak modlitwa, głębokie i mądre, acz się od wszelkiej stronniczości uchylają. Składają się na nie dwa nierówne działy: jeden, w stylu biblijnym, kreśli drogę rozwoju ludzkości, dążącej do swobody, zwichniętą służbą bałwochwalczą mamonowi i polityce, gdy wyparto się poświęcenia i braterstwa; w tym upadku Polska udziału nie brała, w imię tych zasad ją podzielono. Na pytanie, dlaczego się to stało, różne były odpowiedzi;

Woronicz na własne winy składał; po roku 1831 nie było miejsca dla wyrzutów. Brodziński, Mickiewicz, Krasiński odpowiadali niemal w jednym duchu, temiż niemal słowami, mieszając politykę i moralność, porządki boskie i ziemskie, niepomni błędów naszych, widząc tylko cierpienia niezasłużone, równowagę moralną zakłóconą, pewni, że przywróconą być musi; wspominali mimowoli o innej ofierze, o innych cierpieniach, niezasłużonych, niezbędnych w ekonomice boskiej, i porównywali jedne z drugiem, domyślali się podobnych skutków i, w co uwierzyli, głosili. Stawała się więc Polska nową ofiarą krzyżową i niosła między narody ewangelję polityki chrześcijańskiej, wysuwając swe czyny poświęcenia dla innych, pod Warną, gdzie ją Węgrowie niecnie zdradzili, pod Wiedniem, za co jej Niemcy czarną niewdzięcznością odpłacili; swe rozszerzania granic nie mieczem, lecz unją, przymierzami, nie na papierze i woskiem, lecz krwią grunwaldzką opieczętowane.

Druga obszerniejsza część odnosiła się wyłącznie do pielgrzymstwa, uczyła je postępowania, miłości, wyrozumiałości jednego dla drugich, i gdy pierwsza stylem Starego Testamentu, ta posługiwała się porównaniami Nowego; przypowieści poety należą do najpiękniejszych, najgłębszych, jakie kiedykolwiek stworzono, tchną mądrością wieków, powagą i spokojem wschodu; właśnie ta część nie straciła do dziś swego uroku, gdy pierwszą obniża znaczniej dowolność wykładu historjozoficznego, szermującego nawet przedrzeźnianiem imion i ich znaczenia.

W kilka tygodni po owej książeczce bezimiennej wyszły: „Dziady, poema (część trzecia)“, pierwszy akt trzyaktowej całości; do dalszych części, mimo podjazdowej pracy autorskiej nad niemi, już nie przyszło. Autor miał na myśli całość dziejów porozbiorowych i ich katastrofy; zaczynał od własnych, wileńskich, i bohatera ich, siebie samego, Konrada, łączył z Gustawem Dziadów kowieńskich, których „część druga i czwarta“ w przetopionej całości część drugą stanowić miała; na pierwszą przypadałyby dzieje młodości i miłości Gustawa i dziewicy. Z Dziadami kowieńskiemi łączyła drezdeńskie mimo zmienionego zupełnie tła, przedmiotu i formy, mimo scen, tryskających realizmem, zaprawionych ironją i satyrą, o zacięciu pamfletowem niemal, tak obcych niepolitycznym, fantastycznym, egotycznym „Dziadom“ dawniejszym, — nietylko główna osoba ich bohatera, lecz i sama ich podstawa: wiara we wpływ świata niewidzialnego, niematerjalnego na myśli i czyny ludzkie; tylko wobec owej mieszaniny podań pogańskich i wierzeń chrze-

ścijańskich, grubej nieco, chłopskiej, ludowej, tkanka świata nadprzyrodzonego jest teraz idealniejsza, lżejsza, złożona ze snów i wizyj, mniej z widzialnych „materjalizacyj". Wiara ta nie była więc świeżą naleciałością; wypowiadał ją poeta, przywłaszczając już sobie dla „Ballad" motto z Shakespeare'a o widzeniu duchowem — tak Rollisonowa usłyszała krzyk syna przez najgrubsze mury; sam znał potęgę natchnienia, jak nikt inny; schodziło ono nań niezawiśle od jego woli — dlatego tworzył tak nierównomiernie; sam miewał widzenia, głosy prorocze, dziwnie się sprawdzające, wywierał wpływ magnetyczny — więc wiedział czy przeczuwał rzeczy, o których się „filozofom" nie śniło. Z tą wiarą w światy nadziemskie łączyła się niezłamana wiara, górna, o sile myśli i czucia:

Człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza...
Ludzie, każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony;

o nią wsparty wyzywał Konrad i Stwórcę, sam czując za miljony, nie dla siebie, lecz dla innych szczęścia pragnąc, burząc się przeciw Najwyższej mądrości:

Jeśli miłość jest naco w świecie Twym potrzebną,
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną...,

żądał w jej imię władzy sercem nad duszami, aby stworzyć pieśń żywą, szczęśliwą. I gdy głuche milczenie wyzwanie to skarciło, posunął się Konrad aż do bluźnierstwa i upadł wysilony. Improwizacją, o sile niewyczerpanej, niesłychanej, stanął Konrad tuż obok Hioba i Promoteusza starożytnych, obok Fausta i Manfreda nowożytnych, chociaż różnił się od nich zasadniczo, gdyż nie badał zagadek istnienia dla zaspokojenia dumy czy ciekawości, dla zmierzenia sił tytanicznych czy demonicznych z boskiemi, dla usunięcia sprzeczności nierozwikłanych: tylko miłość wszechludzka, litość nad udręczonymi, uczucie dyktowały ten protest serca, nie rozumu, i wyniosły Konrada na wyżyny nadziemskie, postawiły go oko w oko ze Stwórcą. Tu jednak nastąpił przełom: od buntu niesfornego, od pychy demonicznej, poeta sam odbieżał do kornej, ofiarnej rezygnacji. Co niedostępne było mędrkowi, otwiera się prostocie, upokorzonej, błagającej; nie dumny Konrad, z którym czarci igrają, lecz klecha korny, którego się czarci boją, ksiądz Piotr, dostępuje łaski, objawienia, schodzącego nań z wizji; jej szczegółów poeta sam tłumaczyć nie umiał, porwany wirem natchnienia, ulegający mu bezwiednie, jak sam wyznał po latach przed Goszczyńskim. Jednak

myślał tu o sobie, upatrywał w sobie tego przyszłego bohatera — oswobodziciela, nie z pychy, lecz z ofiarności samopoświęcenia. Tak odgrywał rolę proroka. Świat klasyczny nie odgraniczał proroka od poety, *vates* znaczyło dla Rzymian jedno i drugie, a filozofja niemiecka, od której Mickiewicz się odżegnywał, stawiała właśnie natchnionego poetę nad ludźmi, nad filozofami, upatrywała w nim zesłańca z góry (Schelling). Poeta przenikał zarazem świat duchów: jakaż groza bije ze sceny ostatniej, zaczepiającej te nowe Dziady o dawniejsze; przesądna wyobraźnia ludowa nie zdobyłaby się na przeraźliwsze widowiska, jak owe upiory doktora i senatora. Podziwiamy, jak człowiek kulturalny wcielił się w prymitywną fantazję ludową, jak i teraz tworzył zupełnie w jej duchu — podobnie, jak przed dziesięciu laty, lecz śmielej, gwałtowniej. I nie przeciągniesz granicy między realizmem, aż brutalnym, a najprzenikliwszem przeduchowieniem, odmaterjalizowaniem żądz i chuci, czynów i myśli, i zrozumiesz, dlaczego śmiał Konrad—twórca wyzywać Boga—twórcę. Myśl ludzka nie wzniosła się wyżej ani u Goethego (jego Prometeusz zbliża się miejscami do wyrzutów Konradowych, ale to dumny tylko Tytan) ani u Byrona (jego Manfred zanadto od śmiertelnych oddalony). Improwizacja, dzieło jednej nocy, nie powstała w ciągu tworzenia Dziadów III, raczej je wyprzedziła; wygłaszał ją pierwotnie Gustaw jeszcze, nie Konrad, sceny „pierwsze“ dorabiał poeta później, linja Wallenrodowa dobiegała w niej szczytu, aby się ostatecznie załamać, pod wpływem przemiany duchowej, rzymskiej. Ta przemiana przepoiła uczuciem religijnem, obcem niemal filomatom, sceny wileńskie, które się zresztą odznaczają nadzwyczajną wiernością, ścisłością niemal historyczną, tylko nazwiska odmieniał (albo opuszczał) poeta z koniecznego względu na żyjących w Litwie; czytaj więc Machnicki, nie Cichowski i t. d.; broszura drukowana o Nowosilcowie w Wilnie 1824, opowiadania Domejki i Odyńca wspierały pamięć poety—realisty, wzorującego się na najswobodniejszem tworzeniu romantycznego dramatu, jakie poznał i ulubił w wydanych w r. 1828 francuskich „Wieczorach w Neuilly“. Od dramatu metafizycznego (bo tak go ochrzciła G. Sand, zestawiając i charakteryzując go najtrafniej wobec Fausta i Manfreda), fantastycznego, odgrywającego się między duchami dobremi a złemi, między aniołami a szatanami, skreślonymi z dosadnością misterjów średniowiecznych; od snów błogich, spokojnych, niewinnych, od łechceń i udręczeń spodlonego sumienia, katowanego biczami wyobraźni — odbijały szerokie, epiczne opowiadania niesły-

chanej dotąd siły, wyrazistości, nasiąknięte krwią i łzami. W samych kontrastach toczyły się luźne całkiem sceny więzienne, balowe, śledcze; jeszcze silniej różnili się ludzie, od klasyków warszawskich i spiskowców rosyjskich począwszy; nad wszystkie wyłaniała się imponująca, prosta, niewzruszona, w ufności boskiej nieugięta postać księdza Piotra, wizjonera i proroka, coś z Marka, coś z Skargi. Rym i rytmy, ton i słowa, zmieniały się ciągle, od bezwstydnej piosnki, od dwuznaczników, pamfletów i wyzwisk, aż do marzeń, z kwiatów i dźwięków czystych utkanych, aż do modlitwy kornej, przypowieści groźnej, wizji szczytnej.

Dotychczasowa poezja polska bladła wobec tych hymnów, szałów, szyderstw i próśb: „jakiemi słowy odmalować złotą nić, która przechodzi przez środek tych różnych zdarzeń i uczuć — na klęczkach czytałem drukowane i niedrukowane części poematu", pisał Bohdan Zaleski; „jest to śliczne dzieło, szczytne, słowem wyższe nad wszystkie pochwały", pisał stary klasyk, Niemcewicz. W stosunku do samych zdarzeń, które posłużyły za tło, należy pamiętać, że widział je i opisywał poeta przez pryzmat roku 1831.

Obok wybuchów najwyższego liryzmu cechowały „Dziady" opisy mistrzowskie; próby ich składał poeta już dawniej, we fragmentach; kunsztu dowodził „Ustęp", dodany do „Dziadów", kalejdoskop obrazów i wrażeń z podróży do stolicy rosyjskiej i pobytu w niej. Była to opisowość, jak u klasyków; lecz u nich były rymy, tu poezja; to, co wrażliwe oko widziało, wypowiadały wiersze nabrzmiałe uczuciem, coraz innem; przeważała nuta satyryczna; najgorsze cięgi spadały na Francuzów i Niemców. Wrażenie „Ustępu" przejmowało i Rosjan; zachwycał się jego malowniczością i Aleksander Herzen, szczególniej opisem lasu, śniegów i burzy; walczył z nim Puszkin. „Ustęp", to przedziwne świadectwo niesłychanej przenikliwości wieszcza; słabe strony Rosji moralnej podpatrzył i wydał najaw w sposób, przez nikogo więcej nieosiągnięty. „Żrąca jest i paląca gorycz mojej mowy. Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny" — ależ to i jasnowidzenie zarazem i akt oskarżania nicości duchowej fizycznego olbrzyma a słowa żalu nad ludem: „Jeden znasz tylko heroizm — niewoli" dziś nas przejmują, swą prawdą tak, jak przed dziewięćdziesięciu laty. Realizm wyszlachetniony poezją bił z każdego wiersza, ale nie przeszkodził tworzeniu całkiem fantastycznych a mimo to najprawdziwszych obrazów.

Nie stał nigdy Mickiewicz z Puszkinem przed pomnikiem Piotra W. i własne słowa z myśli włożył dowolnie w usta „kamer-

junkra“ carskiego; nie przebiegał mistyk Oleszkiewicz ulic petersburskich przed powodzią (jesienną, nie wiosenną!) — to wieszcz docierał się swoją fantazją do najgłębszych podkładów duchowych jednego i drugiego. Wyciągał rękę „do przyjaciół Moskali“, do najszlachetniejszych, od wolnych narodów, aby i im wolność zwiastować; egoizm narodowy ręki nie przyjął, przed sztuką tylko czoła kornie uchylił. I wyżłobiła się głębiej przepaść, dzieląca oba narody, krzywdzącego i krzywdzonego, ale nie poeta dolewał oleju do ognia, chociaż jak w Wallenrodzie z krzyżakami, tak tu z Rosją załatwił ostatecznie rachunki. I nie ujrzał świat dotkliwszej zarazem wspanialszej satyry — epiki!

Po tej wyczerpującej pracy, od tych wybuchów goryczy i żalu, gdy swary emigracyjne coraz przykrzej dokuczały, poeta „drzwi od Europy zamykał hałasów i dumał, marzył o swojej krainie“ z lat dziecinnych, szczęśliwej, ubogiej i ciasnej, gdzie wszystko do nas należało, gdzie każdy kącik ziemi był znajomy. I przyjaciele (Witwicki, Zaleski, Domejko) pomagali rozmowie, i do pieśni rzucali mu słowo po słowie: jak żórawie nad zaklętym pałacem przelatując wiosną, każdy ptak chłopcu pióro rzucił, on zrobił skrzydła i do swoich wrócił. To odnawianie pamiątek tradycyjnych zaczęło się w Rzymie, gdzie facecjonista Rzewuski — a i syn miecznika koronnego, Chołoniewski, tradycje znał i cenił — barwnemi opowiadaniami odświeżał ów świat staroszlachecki. W Paryżu wzmógł się, mocą naturalnej reakcji, gdy powrót był zamknięty, a ostatnie resztki tego świata się tu zabłąkały, ten zwrot ku niedalekiej — a tak dalekiej i niepowrotnej przeszłości, zwrot nawet ściśle wyrozumowany, gdyż ducha narodowego wedle poety szukać należało w „domowej tradycji“: „jak w osłabionem ciele krwi koło serca szukać, ożywiać, stamtąd na całe ciało, znowu rozprowadzać należy, tak z tradycji musi wywinąć się i niepodległość kraju i przyszła forma rządu“. Tak powstał „Pan Tadeusz“.

Ach! czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy, tylą łez brzemienne?

pytał poeta. Sam tego cudu dokonał i stworzył te „Księgi narodu polskiego“, wolne od wszelkiej przesady i przywary, nieśmiertelne, szczyt poezji epicznej i opisowej, nie u Polaków, nie u Słowian tylko.

Praca nad niemi postępowała nadzwyczaj raźnie, mimo wielu przeszkód, podróży i pielęgnowania śmiertelnie chorego przyjaciela (Garczyńskiego), mimo prac literackich (przekład „Giaura", dawno zaczęty, teraz dokończony) i publicystycznych, mimo rozmaitych zgryzot i kłopotów. Już 8 grudnia 1832 roku „ukropił tysiąc wierszów z poematu szlacheckiego w rodzaju Herman i Dorotea"; swoje „poema wiejskie" bardzo lubił, było jego pieszczonem dzieckiem; gdy pisał je, zdawało mu się, że w Litwie siedzi, żyje w lasach, karczmach, z szlachtą, Żydami, „gdyby nie poema, uciekłbym z Paryża". W maju roku 1833 ukończył czwartą księgę, potem nastąpił wyjazd z Paryża i poeta „nietylko pisać ale i myśleć odwykł"; dopiero w wrześniu zabrał się ponownie do „Szlachcica" i w lutym roku 1834 go ukończył, „pieśni ogromnych dwanaście (dziesięć tysięcy wierszów), wiele marności, wiele też dobrego — co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone naszego kraju i naszych obyczajów... ledwiem skończył, bo mnie już duch porywał gdzieindziej... możebym go był zaniechał, ale był już bliski końca".

Tak małą wagę przypisywał autor narazie do swego dzieła; oskarżał się nawet, że należało „podnieść nastrój o jakie półtonu, poprawię się, da Bóg w innej powieści, bodaj w synu „Pana Tadeusza", a najprawdopodobniej w dalszych częściach „Dziadów". Na innych nie odrazu poemat wywarł imponujące wrażenie. Lekceważył go zrazu Krasiński, pisał o nim w grudniu 1834 roku: jest epopeą drobnej szlachty naszej, jest wiecznym jak „Don Quichote", jak „Poliszynel we Włoszech", przenosi o cztery głowy „Monachomachję" (znawca ten, zresztą znakomity, ma nieraz sądy, jakieby ledwie Tańskiej-Hofmanowej uszły; tym razem musiał być strasznie roztargniony) — w r. 1840 spotykamy jednak u niego całkiem coś innego, zdanie jedynie prawdziwe: odczytałem niedawno „Pana Tadeusza", to epopea, znam trzy epopee wielkie; jedna z nich „Pan Tadeusz". Słowacki, choć uprzedzony i przeciw poecie (z powodu zaczepki ojczyma, doktora Bécu — w „Dziadach") i przeciw poematowi, od pierwszej chwili go słusznie ocenił. Innym praca zdawała się lekką, jak niegdyś w „Trenach" Kochanowskiego; znowu Krasiński radził Gaszyńskiemu: napisz co w rodzaju „Pana Tadeusza", np. uniwersytet warszawski ze wszystkiemi śmiesznościami swemi (jakby tu o „Porwanie wiadra" czy „Pulpit" chodziło!). Innych raziło, że poemat polski zaczynał od inwokacji Litwy-ojczyzny; pytali, czy kto inny od powiatu lub miasteczka podobnej rzeczy nie zacznie. Nęciło naśladowanie, ale próby nie udawały

się, np. „Dworzec mego dziadka“, Franciszka Morawskiego, napisany w Wielkopolsce, dokąd generał i minister wojny z Wołogdy powrócił, chociaż temat był bardzo wdzięczny; najwalniejszą część poematu stanowił szczegółowy opis dworca, rzecz niepoetyczna; do niego przypięto akcję bardzo tragiczną, fragmentarycznie raczej rozwiniętą. Ostatnia z prób podobnych wyszła z pod pióra Ludwika Mizerskiego: „Lucjan Doręba“, powieść poetyczna w dziesięciu pieśniach, osnuta na tle stosunków wielkopolskich (rok 1862—1865).

Pochód triumfalny „Pana Tadeusza“ przekroczył granice literatury polskiej. Posypały się tłumaczenia na wszystkie znaczniejsze języki, na niemiecki, aż trzy rozmaite, Spaziera, z roku 1836, chlubiącego się jakimś spółudziałem poety, o czem ten nic nie wiedział; Weissa z roku 1882; najlepszy, Lippinera, z roku 1884; w roku 1891 przerobił nienajgorzej Rehbronn epopeę na dramat pięcioaktowy, „Junker Thaddaeus“, zachowując, ile się dało, dosłownie przemowy osób; dalej na język francuski (Przeździeckiego i Gasztowta), włoski, hiszpański, angielski, czeski pani Krasnohorskiej, rosyjski, „Gospodin Tadijo“, chorwacki, Maretića; niektóre przekłady wydano tylko częściowo, jak małoruski; białoruski, Marcinkiewicza (Wilno, 1859; inny przekład przez A. J. we Lwowie, 1892, pierwsza księga), zaczyna się tak:

Litwá majá ajczyzna, ty zdarauju rouna,
Takwiela toj ciabie acenić chto pażyuszy pouna,
Ciabie utraciu! Ciapier krasu twaju ja lepiaj znaju,
I apiszù, bo ciażka pa tabiè skuczaju;

litewski księdza Baranowskiego niewydany jest wcale. Na wychodźtwie zanosili się ludzie od płaczu nad księgą; nad nią zapomniał Latarnik Sienkiewicza o bożym świecie.

Obok sielanki małomiejskiej, iście niemieckiej, Hermana i Doroty, wspominał poeta sam i inne, nie źródło natchnienia, lecz wzór układu i wątku, ulubieńca swego dawnego, Walter Scotta, co i Słowacki natychmiast dojrzał, mówiąc o tym „bardzo pięknym poemacie, podobnym do romansu W. Scotta“. Litewski W. Scott, bo tak go już wcześnie przezywano, tajemniczą postacią ks. Robaka — Jacka Soplicy*) zamącił spokojny niby tok sielski, wprowadził pierwiastek uczuciowy, osobisty, zato epicką przejrzystość wymieniał na

*) Nazwisko a nawet postać, bynajmniej niezmyślone, utkwiły żywo w pamięci chłopięcia, bo Jan Soplica, wielki zawadjaka, zabił stryja poety (Bazylego Mickiewicza) a odgrażał się w r. 1806, że Mickiewiczów zabije i dom ich podpali.

zawikłanie o dramatycznem napięciu, które się we spowiedzi przedzgonnej dopiero wyjaśnia, całkiem w manierze Scottowej, co swoich romantycznych Highlanderów z takiem samem przejęciem i wzruszeniem przeciwstawiał prozie angielskiego życia, rozkochany w zamierającej tradycji, którą poznał z obcowania, życia i z opowiadań, tradycji. Niektóre romanse Scottowe — a pożerał je wszystkie młody Litwin, któremu patrjarchalna Litwa przypominała ów Highland szkocki — przypominają żywo (Wawerley i in.) fabułę Tadeuszową.

W samej epopei wymyślono wszystko: i fabułę i osoby i miejscowości, Soplicowo, czy zaścianek Dobrzyński. W pieśni ożył istotnie kawałek czarnoruskiej ziemi, między Nowogródkiem a Mirem, życiem czarodziejskiem, wiecznem. Scena, wedle słów poety, dzieje się, kiedy jeszcze żyły dawne podania i widać jeszcze było, jak w romansach Scotta, ostatki dawnego wiejskiego życia. Treść pierwszych dziesięciu ksiąg zaczyna się wieczorem lipcowym (ostatniego piątku, roku 1811), gdy Tadeusz po letnim kursie wileńskim zawitał do stryja do Soplicowa na ferje i spłoszył Zosię, niespodziewającą się przybycia „kuzynka". Toczy się przez sobotę, gdy próbują przymiotów Kusego i Sokoła, o co się wczoraj u stołu pan rejent Bolesta z asesorem kłócili; po śniadaniu grzybobranie; przy stole wiadomość o niedźwiedziu. W niedzielę łowy; ksiądz Robak celnym strzałem ocala Tadeusza i Hrabiego; uczta w zamku, spornym między Soplicami i Horeszkami; kłótnia wybucha, wywołana umyślnie przez klucznika Horeszków Gerwazego. Gerwazy namawia Hrabiego do zajazdu, czego w poniedziałek dokonują zapomocą szlachty zaściankowej, koty drącej z sędzią, jak to między sąsiadami. Zajazd udał się wyśmienicie; spustoszono piwnice, śpiżarnie, drób; zato we wtorek obudzono się arcyniemile, w dybach, nałożonych przez rotę jegrów majora Płuta i kapitana Rykowa, zjawiającą się w Soplicowie wraz z odsieczą szlachecką. Gdy żołnierzów spito, pogodziła się zwaśniona szlachta i na nich uderzyła; zwycięstwo opłaciła śmiercią księdza Robaka i umykaniem za Niemen, do wojsk Napoleońskich.

Dwie ostatnie księgi, dodatkowe (a od dodatków i poprzednie nie są wolne), opisują majowy dzień roku 1812, Matki Boskiej Kwietnej, kalendarzom równie nieznanej, jak Soplicowo mapom, gdy Soplicowo wita generałów i wojsko polskie ucztą solenną, z zaręczynami Zosi i Tadeusza i par innych, z uwolnieniem włościan, z staropolskiem „kochajmy się": „i ja tam z gośćmi byłem,

miód i wino piłem, a, com widział i słyszał, w księgi umieściłem".

Życie dawne wiejskie, gospodarka i prawowanie się, przeplatane polowaniami, zabawami, zaręczynami, dostrojone do wyżyn roku 1812, roku komety,

Z którą wspomnienia wieszczów się splotły,
Z którą pieśń polska, jak sławne wina,
Fermentowanie swoje zaczyna.
O roku, który w samą wigiliją
Klęsk tęczowałeś barwami tylą
Nadziei wielkiej, złudnej niestety!

Już w pierwszej księdze „rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy" odsłaniał właściwe znaczenie drobnych napozór okoliczności; apoteozą roku urodzaju, wojny (i pożarów) zaczyna się księga jedenasta, a kończy polonezem trzeciego maja i marszem Dąbrowskiego. Wyłonił się więc z ramek życia codziennego wielki obraz historyczny i powstał pierwszy wielki, na długie lata jedyny romans historyczny, chociaż autor tylko wiek męski, wiek klęski na swe dzieciństwo sielskie, anielskie wymieniać zamierzał, i niby od niechcenia tworzył, bawiąc się „niezmiernie pisaniem tych rzeczy; powstała epopea narodowa, ożywiona nastrojem oczekiwania, bo Litwa — tak ją chcieli widzieć Niemcewicz (w Listach litewskich) i sam poeta-bohater — w pozornym pokoju, niby las nieruchomy przed burzą, przeczuwa wojnę i jej pragnie, zdolna do największego heroizmu, skoro się zdobywa na takiego Jacka Soplicę.

Epopea ta historycznego znaczenia nie osiągnęła więc przez samo zewnętrzne osadzenie na granicie roku 1812; unikała przecież wprowadzania osób historycznych; nie widzimy nietylko Napoleona, królów i marszałków, nie spotykamy się nawet z księciem Poniatowskim, a choćby z młodym Dominikiem Radziwiłłem. Przepełniona jest samemi niehistorycznemi osobami: Jankielem, kwestarzem, wojskim, klucznikiem, rejentem, podkomorzym, znanemi nam lepiej z urzędu, niż z nazwiska; samemi niehistorycznemi faktami, procesem i zajazdem o stare zamczysko; powszedniemi masami szlacheckiemi: Soplice, Mickiewicze, Zany, Czeczoty; wyróżniają się między nimi nieco podkomorzy-marszałek powagą obywatelską i wiekiem; hrabia majątkiem i imieniem wielkopańskiem, ukształceniem, zdobytem zagranicą, sentymentalnością; sędzia duchem szczeropolskim (Soplicowo jego to centr polszczyzny,

w którym się z naleciałości i obczyzny obmyjesz), humanitarnym (w obejściu z chłopami); ksiądz — Robak poświęceniem bez granic, jakiem maże wielkie przewinienie, gorący, wypróbowany patrjota, męczennik za sprawę, a potulny i cichy, dla ekspjacji dawnego zawadjactwa, buty i pychy: właściwy bohater poematu, chociaż pokora jego na to nie zezwoliłaby nigdy, ustępujący miejsca na karcie tytułowej własnemu synowi.

Tadeusz, to nie bohater, w zwykłem znaczeniu słowa, utrzymany w możliwie niskim tonie, młody, krewki a niedoświadczony, zawikłany w romansik z podstarzałą kokietką, z którego wyplątać się nie umie, rzuca się, jak ryba w matni — ale to krew lacka, chłopiec dzielny, niebystry, ochoczy i do szabli i do tańca; muśnięty nowym wiekiem, jeszcze w chłopomana się wyrodzi, na zgrozę Gerwazego. Figur ilość jakby nieskończona; każda żyje własnem życiem, rozprawia własnym językiem, gestykuluje po swojemu, nawet pije i bije się inaczej. A żadna nie wymyślona, wszystko znajomi, nawet cymbalista z żywego skopjowany wzoru, spotykanego w Petersburgu; i kapitan Ryków, dzielny, rubaszny i prosty, dosłużył się z szeregowca rangi generał-lejtnanta i odwiedzał poetę naprawdę, nim się do epopei dostał.

Jesteśmy w świecie staroszlacheckim, to znaczy, poruszamy się między samymi mężczyznami; w polowaniu, pieniactwie, pijatyce kobiety udziału nie biorą; zajęte gospodarstwem domowem, zabawiają się ogródkiem, dziatwą wiejską, póki własnej nie mają; występują tylko dla gości, do stołu i na przechadzkę; co najwyżej romansują, a jeżeli z latami i piękność ma się ku schyłkowi, ubiegają się, by nie zestarzały w panieństwie. Tylko Ewunia Horeszkówna inna, słaba, lękliwa, nie jak nasze szlachcianki silne i zdrowe; ale Zosia, ale Telimena (z sercem niezłem w gruncie, z kokieterją niewczesną, energiczna pani, nie żona rejenta), do przeciętnych się liczą. W tym męskim poemacie niema kobiety Polki, matki-obywatelki, Jackowi, czy Robakowi brak paraleli niewiasty silnej duchem, poczuciem obowiązków, wielkiej miłością, litością, trudami, Klaudyny Potockiej czy innej — nie nadawał się romans sam do takiej roli; Zosia serdeczna, anioł-kobieta, ale skromna, rządy nie do niej należą.

O wyidealizowaniu postaci niema mowy. Nie, jak być powinno, ale, jak było, rzecz swą poeta prowadził; a więc na Radzie forytuje się sprawa najbardziej osobista pod płaszczykiem *publici boni*, szlachta łatwo lgnie na ten lep; duma, buta i nieszczerość (Stolnika)

sprawiają spustoszenia; jak krótkowidzący są ci ludzie, co za optymizm, i sangwinizm; jacy oni miękcy, jak opór ich kruszeje; Robak — jedyny wyjątek między nimi; Maciek góruje instynktem raczej, niż inteligencją, chociaż radzić nie umie i półsłówkami czy kpinami wszystko zbywa, — wyrocznia sąsiedzka, niewiadomo dokładnie, z jakiego tytułu, chyba dlatego, że milczy, typ u nas częsty, po raz ostatni w „Sprawie Dołęgi", acz w sferach innych, wystawiony. Jak ci ludzie, tak i całe ich otoczenie oddane wiernie, z życia zdjęte i na wieki utrwalone; wszystko, jako w kraju rolniczym, wedle trybu tradycyjnego, i na niebie i na ziemi zachowanego. Motywy domowe, aż do piosnek ludowych (o grzybach), i powiastek szlacheckich (o Cybulskim, co żonę przegrał w marjasza); widoki sielskie, od archi-karczmy, do stawów z ich rzechocącym na różne tony inwentarzem, z robotnikami w polu, z kwestarzem, wjeżdżającym po staromodnemu, z domostwem litewskiem, nawet z jego sernicą i muchami, szlacheckiemi i innemi, z niebem i lasami, z pogodą i burzą; nawet z Żydem, co zachował tradycyjne życie, lecz przejął się ideami patrjotycznemi; z urzędnikami-szlachcicami, wychodzącymi z wyborów; z duchownym, raczącym braci szlachtę i tabaczką i wiadomościami politycznemi, nie wychowankiem alumnatów, lecz mnichem, żebrzącym, z zakonu, co nie teologją słynął, ale się wybornie znał na miodzie i winie, z szlachtą się rubaszył, a pod habitem z ogórkami złote serce ukrywał. Z jednolitym tym światem kontrastował chyba hrabia z żokejami, z płaszczem Almaviva i awanturą z pod Birbanterocca, lub major Płut; świat pierwotny w swoim rodzaju, jak Homerowski, bez kultury wyrafinowanej, z głowami prostemi, sercami otwartemi, z czynem prędkim, nierozważnym; ludzie, jak dzieci, nieskryci, popędliwi, chwiejni; wierni, dzielni, gościnni; wrażliwi na honor i ojczyznę, do poświęceń gotowi, uosobione przymioty słowiańskie; żyją po staroświecku, patrjarchalnie, kochają ziemię, mowę, obyczaj, stronią od obczyzny, chwalą Boga po dawnemu, szanują więzy rodzinne, ufni w bieg tradycyjny. Kilka lat tylko dzieli „Pana Tadeusza" i „Eugenjusza Oniegina": lecz co za szalone różnice! Ich studjum porównawcze odsłoniłoby głębie, o których obu poetom ani się marzyło; zwróćmy tutaj uwagę choćby na jeden punkt: na brak absolutny w „Onieginie" wszelkiej tradycji, wszelkiego momentu historycznego, jakby ludzie jego żadnego wczoraj nie znali.

Historyczność, wczoraj, to najwybitniejsza cecha „Pana Tadeusza" i podnosi go z rzędu sielanek *à la* Oniegin czy Herman

i Dorota do Iljady i Odysei, ponad wszystkie epopeje nowożytne, romantyczne i klasyczne. Jak w Iljadzie i Odysei świat heroiczny, zamierający, wskrzesał w fantazji śpiewaka, tak odżył na wieki świat staroszlachecki w „Tadeuszu“. Niedarmo użył poeta wyrazu „Ostatni“ zaraz na karcie tytułowej, chociaż zajazd soplicowski bynajmniej ostatni nie był i on sam w przypiskach o jakimś zajeździe z roku 1817 wspominał. Ten wyraz *ostatni* przewija się przez cały poemat; na każdym kroku odbieramy wrażenie, że patrzymy na świat, odmienny od naszego, zamierający, kamieniejący, jak w baśni, ozłocony promieniami zachodzącego, dlań ostatniego słońca. I w tem oświetleniu każdy, najdrobniejszy szczegół, staje się znamiennym. Ostatni woźny trybunalski rozczulał i rozmarzał siebie samego wspomnieniami ostatnich głośnych procesów, a bawił czytelnika praktykami pozwów i protestów, z narażeniem grzbietu wnoszonych; ostatni wojski celował w sztuce grania na rogu, w melodjach, jakich lasy litewskie nigdy więcej słyszeć nie miały; ostatni ten, co tak poloneza wodzi, co tak się pasem okręcać umie; i cymbalisty, jak Jankiel, już niema; a któż jeszcze Scyzorykiem ciosy Mopanku wywinie? I serwis stołowy, i tajemnice kuchni staropolskiej albo staropolskiego panegiryku, ze szlachtą i jej sejmikowaniem, na zawsze zasuwały się w przeszłość. Dlatego tęskny ton przebija mimo pozornej żartobliwości, ton, który natychmiast uchwyciło poetyckie ucho Słowackiego, w czem nic „poliszynelowego“ nie było.

Nietylko tęsknota za wspomnieniami dzieciństwa rozpiera i rozsadza pierś poety, ale i głębsza tęsknota za niebem i krajem, za powietrzem i ludźmi, za dźwiękami mowy, za ojczyzną, której ceny ten tylko się dowie, kto ją stracił. Wypiękniała i wyszlachetniała ona w całej swej ozdobie dla tej tęsknoty, od cichych grusz po zielonych miedzach, od pól wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem, od ścian dworku, tem bielszych, że odbitych od ciemnej zieleni topoli, aż do opisu lasów odwiecznych, z zupełnie bajecznym, urojonym wedle fantazji ludowej matecznikiem, kryjówką niedźwiedzi, z puszczą, gdzie żubr brodacz sędziwy uląkł się pierwszy raz w życiu pękającego, niby piorun, granatu.

I wyrastał w oczach poety i czytelnika eden ziemski, bez nadziei powrotu do niego, strzeżony błyszczącemi mieczami, jasny i słoneczny, niedostępny tułaczom-nędzarzom, a uczucie trawiącej tęsknoty, ciągle hamowanego, zatajonego żalu ożywiało każdy opis, tętniło w każdym wierszu.

Wzniósł się więc „Pan Tadeusz“ nad nowożytne epopeje, od samego ich Wirgiljuszowego prawzoru począwszy; nad owe „Eneidy“, „Jerozolimy“ i „Lujzjady“, które utykały na mieliznach wymuszenia, afektacji i pozy, rozbijały się o retoryczne ustępy, romantyczne ułudy i brak prawdy i wiary czy urozmaicenia samego, które wymęczone rozumem, wysilone fantazją, a nie stworzone sercem. Nie dbał poeta o żadne „przepisy“; w podwójnej inwokacji wezwał nie muzy, lecz Ojczyznę i Pannę Najświętszą; o bohaterach i walkach bohaterskich ani pomyślał; wbrew Lessingowi wstawiał opis za opisem, jeden cudowniejszy nad drugi; humorystycznie ludzi i ich zabiegi podpatrywał i kreślił z największym realizmem, z uderzającą prawdą, i barwy, dźwięki, gesty i tony, ludzi i przyrodę naśladował.

Jak bardzo poeta całe serce zatopił w swem dziele, dowodził choćby ów epizod o Jacku Wojewódce i konkurach o stolnikównę, skopjowany wedle własnych przejść sercowych (z panną Ankwiczówną w Rzymie); nawet kasztelanic witebski nie bez umysłu tu umieszczony — kasztelanic witebski (Rzewuski) wzmógł przecież swojemi opowiadaniami ton jowjalny facecjonisty, weredyka.

Tak stała się ta epopea staroszlachecka, bez panów i magnatów, bez mieszczan i chłopów, z kwestarzem i Żydem, narodową, jak „Iljada“ i „Odysea“; bije z niej ta sama woń oryginalna, ziemna, odurzająca, której żadna sztuka czy sztuczność nie odtworzy dla swych kwiatów woskowych i girland z kartonu. Ale właśnie dlatego, że narodowa, wykluczone jest to jej znaczenie wszechświatowe, którego „Iljada“ i „Odysea“, bynajmniej nie dla wewnętrznej wartości, lecz przez humanizm, klasycyzm i szkołę dostąpiły i dlatego „Pana Tadeusza“ z pieśniami Homerowemi równać nie można. Ograniczony on co do czasu, miejsca i ludzi; nawet całej pełni życia polskiego nie oddał i nie było to jego zamiarem.

Dla nas ma on jeszcze inne znaczenie; najsubjektywniejszy z poetów, który zawsze i wszędzie siebie, swoje walki, zachwyty, cierpienia przedstawiał, okazał się bacznym obserwatorem wszystkiego: i gwiazd na niebie i leśnych borowików; gry na sercach i głowach szlacheckich Gerwazego i na cymbałach Jankla; z wiernością płyty fotograficznej i aparatu fonograficznego pozdejmował wszystko i pokazuje, niby obojętny, co zebrał. Nie gonił za nastrojami; przyroda żyje u niego życiem odrębnem, własnem, czy jest to gra chmur, czy ciepły powiew wieczoru wiosennego, czy szalony rozpęd burzy, znoszącej mosty i zatapiającej drogi, czy

urok ciszy leśnej; na tle tej przyrody ludzie, nie wydelikaceni, nie sentymentalni, nie nerwowi, część tej przyrody, z nią zżyci, zdrowi i silni na umyśle (choćby ciasnym) i ciele (choćby niekształtnem). Otóż ten nadzwyczajny, w poezji polskiej niewidziany, realizm, u poety dotąd tylko częściowo, w epizodach się okazujący, był tem nowem objawieniem w sztuce polskiej: realizm nieschematyczny, suchy późniejszych realistów, lecz wzbierający uczuciem tak, że i sam sobie przerwie poeta, i ze łzą, westchnieniem czy uśmiechem z za dzieła wystąpi, uczuciu pofolguje, nim do dalszych obrazów postąpi. I ciągle widzi się i czuje, ilu nićmi poeta i serce splątani są z dziełem, nawet bez wybuchów, jak ten:

Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna,
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

W pełni swej siły twórczej ani przypuszczał poeta, że w „Tadeuszu“ żegnał się z literaturą narodową. Złożyły się na to okoliczności zewnętrzne i bardziej rozstrzygające, wewnętrzne przemiany. Literatura emigracyjna nie żywiła, nie zapewniała bytu, tem mniej, skoro w drogim Paryżu i żona i familja przybyła, rozglądał się więc poeta za środkami do życia, za wydatniejszą pracą. Uśmiechały się próby w języku francuskim, naturalnie dramatyczne, jako najzyskowniejsze; zerwał się poeta do dramatu historycznego, *Les confedérés de Bar*, gdzie Francuzom mógł wystawić, ich sympatycznego kompatrjotę (Choisy). Po „Konfederatach“ nastąpił zaraz i „Jasiński“, z wileńskich dziejów roku 1794, przeciwstawienie (jak w Sieciechach przedtem, a w Listopadzie później) Polski sarmackiej i sfrancuziałej; lecz Jasińskiego nawet nie dokończył, zrażony niepowodzeniem Konfederatów, których *Porte Saint Martin* mimo polecających pism Georges Sand i Alfreda de Vigny nie wystawiła. Dyrekcja może miała ze swego stanowiska słuszność; w technikę dramatyczną poeta się nie wżył, dramaty jego przeznaczone były zgóry do czytania; a więc długa ekspozycja, i nieskończone dialogi, i brak akcji żywej, i temat egzotyczny nadto odstraszały od próby scenicznej; niestety przy wędrówce dramatu od Anasza do Kaifasza zawieruszyły się trzy (ostatnie) jego akty; w ocalałych dwu liczna galerja osób odznacza się silną charakterystyką w sposobie myślenia i mówienia.

Również nie powiodły się próby pisania prozą historji polskiej, opowiedzianej przystępnie, trudu nader mozolnego dla poety, walczącego z lukami w opracowaniach, z brakiem materjałów nawet; w kreśleniu ich doszedł tylko do wieku XIII; szczegóły były świetne. Wreszcie chwycił się były kandydat stanu nauczycielskiego znowu zawodu profesorskiego; w Lozannie opróżniła się w r. 1838 katedra literatury łacińskiej, o nią ubiegał się teraz poeta i uzyskał ją po rozmaitych przejściach z powodu stanu zdrowia żony. Uczeń Groddecka mistrzowi swemu na katedrze lozańskiej wstydu nie zrobił; nietylko z wielką sumiennością i gorliwością wypełniał obowiązki, ale zyskał miłość uczniów i kolegów, i wykładem samym, któremu umiał nadać wyrazistość i soczystość, potrafił zainteresować.

Ledwie się z pierwszemi trudnościami uporał i w nową ziemię począł wkorzeniać, otworzyły się niespodzianie nowe widoki. Dla *Collège de France* proponował minister, a parlament uchwalił ustanowienie katedry języków i literatur słowiańskich. Coraz dobitniej wyłaniała się przecież słowiańszczyzna z dziejami i antagonizmami, literaturą i kulturą, choćby łacińską czy grecką z przeszłością niejasną a przyszłością zagadkową; elukubracje coraz częstsze w języku francuskim, Francuzów, Rosjan, Polaków, coraz większą budziły ciekawość; rozprawiano coraz częściej o nowej rasie i nowem jej słowie; wpływy ks. Czartoryskiego rozstrzygnęły o projekcie i kandydacie.

Na katedrę powołał V. Cousin Mickiewicza. Ociągał się zrazu profesor lozański; sympatja, jaką go otaczali Szwajcarowie, antypatja, jaką żywił zawsze przeciw Paryżowi, hałasom emigranckim; sama trudność stanowiska, niemożliwość dogodzenia partjom; nowość przedmiotu, luki wiedzy i dotkliwy brak materjałów, odstręczały poważnie. Równie silnie pociągał jednak i obowiązek; z katedry paryskiej można było prawić przed Europą o Słowianach w duchu sympatji łacińsko-polskiej, przeszkodzić, by nie zawładnęli nią ci, co nie uznają Słowiańszczyzny poza cyrylicą i prawosławiem. Takie to i inne względy rozstrzygnęły, i wymienił profesor — poeta milczał oddawna — ciszę i sympatyczne otoczenie lozańskie, które biednego emigranta przytuliło, znowu na niespokojny Paryż. Jak lekcje lozańskie, pożerały teraz paryskie czas i siły — ale zadanie było wdzięczne, ponętne.

Zrezygnował profesor z *faire de la politique en slavon;* zato podejmował się zadania, jakiego dotąd nikt nie poruszał; studja

slawistyczne polskie z przed roku 1831 miał i mógł świetnie zaokrąglić. Literaturę polską i rosyjską (przed rokiem 1830) znał dobrze — wiersze rosyjskie czepiały się jego pamięci, nietylko Puszkinowe, które i naśladował, np. w epigramie na Czyńskiego, ale i inne; literaturę samą traktował zawsze w związku z dziejami, jak Francuzi spółcześni, i sens i znaczenie jej trafnie wyłuszczał; jego oceny pisarzów polskich XVI—XVIII wieku jeszcze i słusznie Tarnowski powtarzał; toż samo ruskich, Dierżawina czy Puszkina (artykuł francuski przy śmierci poety), dotyczy. Sięgał dalej, do dum serbskich, do poezji staroczeskich (sfałszowanych); choć je, jak wszyscy spółcześni, uważał za autentyczne, raziła znawcę ich osobliwość, którą trafnie odczuwał. Potem miał dalsze zamiary, wciągać i początki czy starożytności słowiańskie do kursu swego — lecz temu sprostać nie mógł; etymologje, dobrze zaimprowizowane w „Księgach narodu", nie nadawały się dla uczonych poszukiwań. Braki i luki albo zapełniał intuicją albo zastępował ogólnemi, pysznemi charakterystykami, zapadającemi głęboko w pamięć, malowniczemi i dosadnemi. Zresztą audytorjum samo, bardzo różnorakie, nie pragnęło nauki ścisłej, lecz wrażeń.

Czteroletni „Kurs literatur słowiańskich" (wydany nie najlepiej, i w oryginale francuskim i w przekładzie) nie jest ani dziełem jednolitem ani jednakiej wartości. Najściślej trzymają się przedmiotu tylko dwa pierwsze kursy, bogate w szczegóły, kreślące w potężnych rysach, z zadziwiającą bystrością, historję Polski i Rusi, polityczną i umysłową; jak trafną jest charakterystyka XVIII wieku, dążeń Czartoryskich, przewrotów rosyjskich — na lepszą ocenę wewnętrznego znaczenia faktów i dzisiaj nie można się zdobyć. Wierny najżywotniejszym poglądom swoim wysuwał profesor na pierwszy plan to wszystko, w czem upatrywał właściwe posłannictwo Słowian, zadatki odrodzenia ludzkości przez poświęcenie, entuzjazm; liryka Barszczan, proroctwo ks. Marka zajmowały go głębiej, niż dzieła artyzmu, sielanki Naruszewicza i satyry Krasickiego; satyra nie zgadzała się, wedle jego zdania, z charakterem słowiańskim, wyidealizowanym nieco; co zapał i wyobraźnię ostudzało, tem pomiatał czy poniżał umyślnie; zbytnie poufalenie się z szczytną przeszłością uważał nawet za rodzaj świętokradztwa i piorunował o to na Słowackiego, choć go po imieniu nie nazywał; jednak o „Beniowskim" myślał, gdy prawił: są pisarze, co, wyszydzając wzniosłą ideę, której ks. Marek był apostołem i męczennikiem, piszą poematy na jego pochwałę — ta cześć jest większą

zniewagą, niż bluźnierstwa współczesnych przeciw niemu. Im bliższy naszym czasom, tym nierównomierniejszym stawał się wykład, z powodu dowolniejszego wyboru dzieł i pisarzów, jednostronniejszej ich oceny; profesor przetwarzał się powoli w proroka żyjącego, kamienowanego przez faryzeuszów (Słowackich), stawiających ozdobne groby dla zmarłych proroków.

Kłopotom domowym i pracom profesorskim byłby stawił czoło, gdyby nie to, że inne, ważniejsze zmiany zaszły w umyśle poety, w pojęciach jego o posłannictwie własnem i poezji samej. Już gdy kończył „Tadeusza", przestawała mu być poezja „rozrywką", która „zawsze mnie przenosi w młodość i wyrywa z obecnej biedy", i w lutym roku 1834 zarzekał się poeta, „nigdy już pióra na fraszki nie użyję; to tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć".

Wzmagało się coraz uczucie religijne; przewrót, datujący od pobytu rzymskiego, zatapianie się w lekturze mistycznej, od dzieł Greka Areopagity aż do Böhma, Anioła Ślązaka i Francuza teozofa Saint-Martina, gorliwe praktyki religijne stawiały coraz natarczywsze żądania skupiania ducha, nie rozpraszania go na marności, doskonalenia siebie samego i oddziaływania na drugich. Znalazło się drobne kółko spółwyznawców, połączono się w Braci Zjednoczonych w grudniu roku 1834: obaj Zalescy, Witwicki, Górecki; pod wpływem osobistym Mickiewicza nawracali się z ultrademokratów, radykałów, sainsimonistów, Bohdan Jański i Hieronim Kajsiewicz. Siły i żar wewnętrzny wylewały się w modlitwach i aktach skruchy, w widzeniach, wyjątkowo w urywkach wierszowanych. Więc „pora wcale nie poetycka u nas", więc nieprędko będzie się mógł spotkać (z Zaleskim) na lutni, „śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku"; w czerwcu roku 1841: „o poezji boję się myśleć, chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał". W miesiąc później powitał go w imię boże **Andrzej Towiański**, jeden z świętych polskich.

Towiański, Litwin, jak Kościuszko i Mickiewicz, obojętny na świat i jego marnostki, nierozpraszający swego entuzjazmu, skupiający go na wewnątrz, na udoskonalenie siebie samego, przedstawiał wybitnie ów typ ludzi, twórców religji czy sekt i dzisiaj między Litwinami, szczególniej pruskimi, niewygasły; przypomina on żywcem owego chłopa, Krzysztofa Kukata, nawróconego apostoła swoich „maldininków" (modlących się) i ich zborów, wierzącego w swe powołanie i objawienie boskie (i Kukata posadzono do domu

obłąkanych — najniesłuszniej). Wiary głębokiej, niewzruszonej, skryty a energiczny, zatopiony w rozmyślaniach i modlitwie, do egzaltacji religijnej skłonny, w długiej samotności, spowodowanej chorobą oczu, starał się Towiański dojść do ładu ze sprawą boską, wyanielać swe czynności i myśli, trafiać do tonu, do łaski Ducha św., która w modlitwie nań spływała. Wyrósł w atmosferze bardzo religijnej; w modlitwie znajdował pocieszenie; człowieka i czyny sądził i cenił wyłącznie ze strony moralnej; w duszy nosił gwałtowną potrzebę poznania prawdy; nie zaspokajał go kościół urzędowy, zaciekał się w pismach mistycznych, nawet naukach tajemnych, Swedenborga; idealista, nadmiernie uczuciowy, począł nietylko w myśli urządzać wszystkie stosunki świata wedle nauki Chrystusowej, ale tak i działać; gdy się z sądowej służby wileńskiej przeniósł na wieś, myślał tylko o tem, aby zostać przewodnikiem chrześcijańskim dla tego ludu, którego kierunek Bóg mu powierzył.

Przewodnictwo spełniał z widocznym skutkiem; nazywano go czarodziejem, i upatrzył w tem widomy znak boży, potwierdzenie jakiejś osobliwszej misji, nie orężnej, nie filozoficznej; przeczuwał, że wstrząśnie światem; nie, jak Napoleon, którego upadek (rok 1812 widział jako trzynastoletni chłopiec) do głębi go wzburzył, lecz miłością, nie inteligencją świecką, lecz mądrością rzeczy bożych, drogą serca i prostoty, nie rozumu — ową głupotą dla Chrystusa. Coraz więc bardziej uznawał w sobie tę mądrość rzeczy niebieskich, Sprawę Bożą, zdobytą siłą uczucia; za tem musiało iść posłannictwo w imię tej Sprawy, przygotowane wypadkami postronnemi; w tym nastroju wysokim utrzymywał się coraz stalej, szedł coraz dalej; stworzył nareszcie własną naukę a doczekał się objawienia, które go ze wsi litewskiej, kółka rodzinnego i majątku ziemskiego w świat wysłało.

Nauka powoli się rozszczepiała; dla niepowołanych nie zrywała bynajmniej z kościołem oficjalnym, dopełniała go tylko; wobec adeptów szła dalej, rzucała ortodoksję. Cel ludzkości — to raj, to rządy boże na ziemi; dlatego zstąpił Chrystus, zachwiał panowaniem zła na ziemi, lecz czasowo; złe się znowu rozpanoszyło; dla naprawy, dla nowej epoki, dla gorętszej ofiary i miłości chrześcijańskiej wezwał Bóg Towiańskiego; każda bowiem z siedmiu epok spełnienia słowa bożego, wyrażonych w „Apokalipsie“, ma osobnego sługę Chrystusowego, ducha bożego; idzie zaś nie o uznanie tego narzędzia wezwania bożego, ale o rozeznanie owej spółki, komunji w Chrystusie. Więc wszystkie narodowości i warstwy spo-

łeczne wzywał do zgody i miłości, którą był przejęty sam; głosił wyzwolenie chrześcijańskie kobiety, ceniąc nie jej zakusy emancypacyjne, lecz serce jej i stanowisko w rodzinie. Szeregi, kolumny duchów, jasnych i ciemnych, oblegały mu glob ziemski, wcielały się metempsychozą, ścierały się między sobą, a wynikiem tych starć były wypadki zewnętrzne. Doktryna rozciągała się na wszystkie przedmioty i dziedziny, nawet na medycynę, jak i u „maldininków“ dzisiejszych litewskich (pruskich).

Towiański sam, ideolog i mistyk, do czynnej propagandy stworzony nie był; szukał więc, po opuszczeniu rodziny, innej powagi, najpierw między swoimi, między dostojnikami kościoła, w arcybiskupie gnieźnieńskim Duninie, między żołnierzami, w Skrzyneckim — znalazł go w mężu pióra, w Mickiewiczu. Inni, pociągani z początku prostotą, szczerością, głębokością człowieka, cofali się później; wytrwali przy nim Mickiewicz i drobne kółko na emigracji. Wybrał Towiański czas najmniej stosowny i ludzi najnieodpowiedniejszych. Nauka jego wykluczała zgóry wszelkie usiłowania polityczne, a tylko niemi — głodnemu chleb na myśli — we śnie i na jawie żyło wychodźtwo; musiał nawet Towiański pod owym naporem, wbrew własnej woli, Sprawę politycznie zabarwiać i już tu kryło się przyszłe nieporozumienie między mistrzem a „kołem“, głównie „bratem Adamem“, niezrzekającym się nigdy tej strony zewnętrznej, wzdychającym do czynu.

Powaga Mickiewicza podtrzymywała w oczach emigracji jakiś czas mistrza, nie zasłoniła jednak „towiańczyków“ od coraz gwałtowniejszych napaści ultrakatolików, Witwickiego i księży Zmartwychwstańców; dla Towiańskiego zaś pozyskanie Mickiewicza było nadzwyczaj ważne, gdyż przez niego mógł liczyć na szerzenie swej nauki z katedry profesorskiej — i nie zawiódł się.

Mickiewicz, twierdzący jeszcze niedawno: *un professeur n'est bon à autre chose qu'à faire des leçons,* pierwszy poświęcił wszystkie osobiste względy i przekształcał powoli profesurę w apostolstwo towiańszczyzny. Pozyskał mistrz gorącego adepta nietylko przez dziwny, cudowny niemal zbieg okoliczności; nastrój podniecony, w jakim się poeta od grudnia roku 1840, od przewiezienia zwłok Napoleońskich, znajdował, gdy w jasny dzień miał wizję człowieka, jadącego doń z Litwy na wózku parokonnym; cudowne uzdrowienie żony poety, dokonane wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu; tłumaczenie wizji księdza Piotra z „Dziadów“ i innych tajemnic — takie sztuczki czy trafy nad umysłem Mickiewicza niedługoby cię-

żyły. Ale „moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych“ — sercem, czuciem zwyciężał Towiański tego, który przed dwudziestu laty występował z nowem wtedy hasłem: „Miej serce i patrzaj w serce“.

W niedoli swej, coraz rozpaczliwszej („coraz mniej we mnie energji wytrzymania“ pisał poeta w Boże Narodzenie roku 1840) spotkał się poeta z człowiekiem, pewnym siebie i misji swojej, wierzącym, że ukoi nieszczęścia wszelkie, głoszącym szczytne prawdy, hasła miłości, z szczerem natchnieniem, wyrzekającym się dla nich wszystkiego — mienia, ojczyzny, wystawiającym się obojętnie na szyderstwa, żyjącym tak, jak uczył, dostrajającym wszystko, co go otaczało, do tego tonu, od obuwia aż do mieszkania, rozważającym wszystko ze stanowiska Sprawy. Więc nie dziw, że już w miesiąc po przybyciu Towiańskiego „u mnie w domu kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu“ i wezwanie gorące do Bohdana Zaleskiego aby najrychlej przybywał,

Bo wyszedł głos, i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydało płód, i stał się cud,
I rozraduje świat!

Wrażenie to zczasem potęgowało się tylko; później pisał poeta: „Bóg zesłał nam człowieka nadzwyczajnego, naczynie łask dziwnych... to jest w mojem przekonaniu największy filozof, mędrzec i polityk wieku naszego“; był mu on „składem“ cudownych tajemnic bożych; jest to „posłaniec z ramienia Pańskiego“ — przepowiadał rychłą, wielką wojnę, zmiecenie porządków starej, bałwochwalczej, zmaterjalizowanej Europy, odbudowanie ojczyzny, i, gdy poeta do Domejki (do Ameryki) pisał, upewniał go, że, zanim przyjedzie, rozpoczną się wypadki i powieją nasze chorągwie.

Już w drugim kursie Literatur słowiańskich (1841 na 1842) zaczął Mickiewicz przygotowywać umysły słuchaczów do przyjęcia nauki, którą przezwał mesjanizmem; kładł główny nacisk na wszelkie objawy poświęcenia, zaparcia się, altruizmu; objaśniał z tego stanowiska dzieje polskie i ruskie, potępiał samolubstwo, materjalizm.

W następnym kursie wybierał do omawiania te tylko pisma, w których upatrywał ideę mesjaniczną: pisma Krasińskiego, „Wacława“ Garczyńskiego, strasznie przecenionego; zyskiwał prozeli-

tów, choćby częściowych, nawet między kolegami, tracąc coraz bardziej kredyt między ziomkami, w Towarzystwie historyczno-literackiem, którego był prezesem, u księcia Czartoryskiego, Zaleskiego i innych, do niedawna sobie najbliższych, co w imię prawowierności wystrzegali się nieprawej nauki.

Najdalej zaszedł poeta w kursie ostatnim (1843 na 1844), gdzie pisemko Towiańskiego, „Biesiadę", jako najznamienniejszy utwór szczegółowo omawiał i pobudzał słuchaczów do wyznawania tych zasad: zamanifestowali to towiańczycy, obecni 19 marca 1844, a gdy 28 wniósł okrzyk na cześć Napoleona, uniemożliwił tem samem dalsze wykłady. Wycieczki jego przeciw strupieszałemu kościołowi, wystawianie towianizmu nie jako odnogi czy ramienia, lecz jako głównego prądu życia religijnego, wywodzenie tonu od Chrystusa i Napoleona, zapowiedź rychłych, koniecznych odmian gorszyły, i prawowiernych, i liberałów, i orleanistów; Towiańskiego samego jeszcze przed dwoma laty rząd z Francji wydalił; teraz zawiesił wykłady poety, biorącego urlop dla formy, niepowracającego już na katedrę. Tak stracił towianizm ostatnią sposobność występywania publicznego, ograniczał się do kółek domowych.

Lecz właśnie i w tych „siódemkach" szła Sprawa coraz trudniej; sprzęgli się w niej ludzie najróżnorodniejsi, umysłowo mierni, których z największym wysiłkiem należało na duchu — w tonie — utrzymywać; jeden drugiego dozorował i podpatrywał, i w tej wewnętrznej walce gasł powoli zapał pierwotny. Gasł tem rychlej, im widoczniej mistrz od wszelkiego występywania nazewnątrz się uchylał, pracując wyłącznie nad udoskonaleniem moralnem, nad podniesieniem się do Ducha, nad odgadywaniem Ducha w siostrze Francji, w bracie Izraelu; zamiast walki i spisków, zgadzał się co najwyżej na wysyłanie listów, do Rotszilda, do cara, aby ich dla Sprawy nieziemskiej pozyskać.

Nie poprzestawał na tem Mickiewicz, wywierał „ziemski" t. j. piekielny nacisk na mistrza; już w r. 1845 przyszło do rozłamu, a w r. 1847 do ostatecznego rozejścia się; mimo to pozostał — a to jest najlepszem świadectwem żywotności towianizmu — przy „mesjanizmie" co inni (Herzen) z mistycyzmem mieszali. Ale starał się go realizować, więc gdy z rokiem 1848 zajaśniała wiosna narodów, Włochy Piusa IX upajały się nadzieją swobody, i on do Rzymu wyruszył, aby wznowić słynnej pamięci formacje — zawiązek nowych legjonów polskich. Ale poeta skazany był zgóry, aby sam grzebał wszelkie nadzieje, i rychło rozwiały się próby, przysparzające mu zachodów i trudów.

Nielepiej powiodło się w Paryżu, tym razem z publicystyką. Po czynniejszem występowaniu z artykułami politycznemi w „Pielgrzymie Polskim“ z roku 1833, wycofał się poeta zupełnie z dziennikarstwa, gdzie dla towiańczyka miejsca nie było; teraz, po wyborze Napoleona na prezydenta, on, ślepo wierzący w gwiazdę jego rodu, przepowiadający przed r. 1848 powrót jego do rządów, liczący na prezydenta, jako na odnowiciela Europy — wystąpił z świeżo założoną *Tribune des peuples,* aby w licznych artykułach wojować z legityzmem i konserwatyzmem, arystokracją i hierarchją, z burżuazją, której całem sercem nienawidził, aby ujmować się za rewolucją, za ludem, za chłopem, od którego się najwięcej spodziewał; za chłopem słowiańskim, niezmaterjalizowanym, z wiarą tradycyjną, demokratą ze krwi i kości, stawał gorąco jeszcze w kursach literatury.

Jak w Collège de France stworzył poeta placówkę dla myśli polskiej i słowiańskiej, a później dla Sprawy Bożej, czego nikt przed ani po nim więcej nie dokazał, tak samo powstał teraz z jego myśli (środków dostarczył syn targowiczanina, Branicki) jedyny poważny dziennik francuski, poświęcony głównie sprawie ludów uciemiężonych, żądający wolności politycznej, za którą każdy inny postęp sam się zjawi. Poeta, teraz jawny socjalista, czerwony, i szczycący się tą nazwą, okazał się znakomitym dziennikarzem o zmyśle praktycznym i aktualnym, ciętym polemistą i dowcipnym mistrzem słowa, niepoślednim agitatorem za ideą napoleońską, nie za potomkiem koniuszego holandzkiego, który ją zdradzał, chociaż o niej całą książkę ogłosił. Rząd tłumił jego ostatnią mównicę publiczną, z której poeta przemawiał do świata w imię wolności i socjalizmu, walczył za ideę napoleońską, co go różniło nawet z własnymi spółpracownikami, przedstawicielami wszelakich narodowości, chociaż sam sprawy polskiej bynajmniej nie wysuwał na czoło. Zaznaczyło się to już na uczcie w rocznicę rewolucji lutowej, 1849 r. a był przytem i ciekawie to opisał rewolucjonista rosyjski, Aleksander Herzen, który zamierzał wnieść toast na cześć polskiego poety-redaktora i przypomnieć toast moskiewski z roku 1844 panslawisty i poety Chomiakowa na bankiecie dla liberała Granowskiego za zdrowie „nieobecnego wielkiego poety słowiańskiego“. Widział on poetę po raz pierwszy, jego wyraz znużenia, oznakę bólu wewnętrznego, egzaltacji smutku — niby obraz losów polskich; ale zrzekł się toastu z powodu różnicy zdań; Mickiewicz życzył pochodu demokracji i swobody pod orłami napoleońskiemi i przewodnictwem

członka cesarskiego rodu, ale Ramon de la Sagra (republikanin Hiszpan) zaprotestował najsolenniej.

Swemu gorliwemu apostołowi odwdzięczył się bonapartyzm licho; wysługując się Rosji, prześladował stale wychodźtwo polskie, które się zresztą nieraz bez potrzeby koniecznej łączyło z opozycją; zmusił więc Polaków do opuszczenia „Trybuny“ a wkońcu ją całkiem zawiesił. Wszystko przewidział eks-profesor i kończył żywot, jako skromny bibljotekarz Arsenału, ale nie było mu danem zakończyć życia w pokoju. Wyrwały go z niego zawikłania na Wschodzie: nowa nadzieja wstąpiła w zestarzałego przed czasem; wypracowywał memorjały polityczne, o utworzeniu legjonu polskiego na Wschodzie i inne; pojechał wreszcie na Wschód, żył trybem obozowym w Burgas między kozakami Sadyka baszy, lecz niebawem organizm jego uległ zarazie; umarł w Konstantynopolu 26 listopada roku 1855; z cmentarza z Montmorency przeniesiono zwłoki jego 4 lipca r. 1890 na Wawel, i spoczęły one obok trumny Tadeusza Kościuszki. Marzenie poety, że mu za „Tadeusza“ Nowogródek pomnik wystawi, nie spełniło się; pomniki jego zdobią Warszawę, Kraków i Lwów. Na wiadomość o zgonie pisał Krasiński, odtrącony za życia „czerwonością“ Mickiewicza: „on był dla ludzi mego pokolenia miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową: my z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów, podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc; filar to był olbrzymi, choć rozpękły sam... Największy wieszcz, nietylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich, już nie żyje!“

Na takie wyżyny wstępował poeta powoli, rozwijając się normalnie. Szukał najpierw, idąc za wzorami klasycznemi, za Trembeckim, nadto dla samej sztuki podziwianym, poezji w sztuczności, w dobieraniu rymów, zwrotów, obrazów; niebawem, za swej germanomanji, za ulubionym idealistą, Schillerem, w poezji upatrywał, zamiast maniery i konwencjonalności, prawdę, uczucie, serce; nakoniec odnalazł poezję w samej prawdzie, codziennej, najzwyklejszej, — pierwszy to nasz wielki realista. Gardził wszelką napuszonością i nadętością, chociaż sam szarą prawdę życia cudownie godził z najwyższą poezją i filozofją; uznawał za obowiązek poety odtwarzać to tylko, co sam przeżył i przeczuł. Wynikał stąd egocentryzm jego poezji; mówił zawsze o sobie, nawet w „Balladach“ występował ten osobisty pierwiastek i dusił ludowy; w „Dziadach“ całkiem zewnętrznie utrzymywał związek między dawniejszemi

a nowszemi; o sobie śpiewał nietylko w „Sonetach“, ale i w „Panu Tadeuszu“; nawet do „Wallenroda“ przemycił ustęp o swojej kowieńskiej dolinie — ten zmysł rzeczywistości wyróżniał go wśród innych. Nie wynikało z tego bynajmniej, aby nie podlegał wpływom obcym; owszem, po klasykach, po Trembeckim i Niemcewiczu, po Goethem [1]), Schillerze i Jean Paulu nastąpiła brytanomanja, ale szedł nie za „starym Wilem“, lecz za Byronem; i tu podnietę stanowiły własne przejścia, zgorzkniałego musiał jego pesymizm szatańskiwa najbardziej przekonywać.

Samodzielności swojej i wobec Byrona nie myślał się wyzbywać; mógł tłumaczyć „Giaura“, jak tłumaczył „Don Carlosa“, „Sen“, jak „Rękawiczkę“; do naśladowań nigdy nie schodził: Wschód krymski zamknął w sonety, żeby nie rywalizować z Child Haroldem, Wallenroda chciał już rzucać, bo mu Larę czy Korsarza przypominał. Gdy wielbiciele jego moskiewscy szukali go u stóp lorda, uszedł już niepowrotnie w inne sfery. Od Byrona odstręczały go: własna, głęboka religijność, choć narazie uśpiona i patrjotyzm, bolejący nad własną ojczyzną, — Byron, gdy troszczył się o Włochów i Greków, nie o Irlandczyków, o potędze światowej Albionu ani wątpił, a jeżeli walczył, to z *cant*'em angielskim i nie o ojczyznę — potężne uczucie, odmienne od pychy dumnej lorda; słownik Byrona nie znał terminów pokory i uległości, Konrad zwyciężał niebiosa nie dumą i walką, lecz jak ksiądz Piotr, skruchą i uniżeniem. Miłość narodu, cierpienia, które w siebie wchłaniał, porwały liryzm na szczyty Improwizacji; tą samą miłością i trawiącą tęsknotą nabrzmiała jego epopea; ta miłość skruszyła pióro poety, gdy je wymienić kazała na czyny, na życie religijne, udoskonalenie moralne, propagandę mesjanizmu. I nie były to majaki złudzenia, którym poeta dar swój boski poświęcał; to, co on nietylko ustami, lecz całem życiem głosił, było poezją, ewangelją altruizmu, życia dla celów wyższych, dla przeanielenia ludzkości, odświeczczenia jej stosunków. Żądania zniesienia wszelkich przywilejów, podniesienia niewiasty, chłopa i Żyda, zrzucenia nienawiści wszelkiej, nawet narodowej, nadającej przeciwnikowi prawo zgniecenia, zdeptania pełzającego, jadowitego gadu — to hasła, które się nigdy nie zestarzeją, to hasła, do których przyszłość należy. Gdy Mickiewicz żywot poetycki zakończył, został jako człowiek, apostoł, święty, podziwienia i naśladowania godny.

[1]) Natchnienie poetyckie nawiedziło Mickiewicza po raz ostatni, gdy przekład Hermana i Doroty synowi dyktować począł.

Okręt poezji polskiej, zimujący dotąd w obcej przystani na ścisłej uwięzi, wyprowadził on na szerokie morze i z nim dobił do własnych brzegów. Silny był podmuch jego fantazji; niezgłębionem było tylko jego uczucie. Fantazja jego niezbyt lotna ani rozwiewna; nawet, gdy rozprawiał o widzeniach i snach i marzeniach, nie pozbywał się dokładnych, wydatnych rysów; fantazja to całkiem plastyczna, przypominająca klasyczną, widząca w kształtach i barwach wyraźnych. Rozum bystry, również ścisłości i określoności oddany, nieskłonny ku abstrakcjom ani dialektyce, i próżno obawiał się Śniadecki wpływów metafizyki niemieckiej: nie Hegel logicznością, Towiański zawojował go uczuciem. Wiedzę miał rozległą; łatwo orjentował się w najrozmaitszych dziedzinach, rysy charakterystyczne chwytał wlot. Język niegiętki, wiersz nieśpiewny; dbał zato poeta o siłę i prostotę wysłowienia; nie szukał ani rymów wykwintnych ani obrazów wyrafinowanych; jego poezja nie jest dla smakoszów, estetów, dekadentów; największem jego życzeniem było:

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy...
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste, jako ich piosenki.

Więc poezja nie była mu celem, ale środkiem, nietylko w Wallenrodzie; zamiast oręża, piórem w Dziadach szermował; marnował skarby jej — w improwizacjach. W rzemiośle poetyckiem nie wytrwał; opuścił je, gdy coraz wyższe wymagania sobie samemu stawiał, gdy żądał, żeby poeta-wieszcz wprzód cuda działał, nim pisał, niepomny, że cuda — to właśnie dzieła poety.

Można poecie zarzucać szczegóły co do poprawności językowej, czem zbyt nie grzeszył — prowincjalizmów w mowie, jak akcentu litewskiego, nie wyrzekł się nigdy — co do formy wiersza; nie posiadał też żyły dramatycznej, — prawdziwy to poeta słowiański, epik i liryk nieporównany. Niepodobna było przewyższyć jego „gołębiej prostoty", szczerości i otwartości: „ja rymów nie szukam i wierszy nie składam, pisałem zawsze tak, jak dziś do was gadam"; tą zjednywał każdego. Niepodobna czuć głębiej i kochać silniej: pogardy dla tłumów, znamiennej dla Byrona i jego naśladowców (Puszkina), nigdy nie żywił; na potęgę uczucia swego powoływał się jego Konrad, a w ośm lat później powtarzał poeta sam: dla poety jedna tylko droga, stąd (od serca) przez miłość tam do Boga. Niepodobna ściślej połączyć realizmu i artyzmu, niż to się stało

w „Panu Tadeuszu". Trudno dokonać gwałtowniejszego przeskoku; on pierwszy stworzył poezję polską — przed nim była literatura; on pierwszy wysunął imię polskie, znane dotąd tylko z walk napoleońskich i listopadowych, na czoło spółczesnej myśli europejskiej, a wystarcza przypomnieć w tym celu to, co o nim wypowiadali tacy mocarze, jak Cavour i Mazzini, George Sand i Wiktor Hugo, Lamennais (naśladujący jego Księgi Narodu w swych Paroles d'un croyant) i Montalembert. I daleko wtyle za nim pozostaje ów drugi mocarz poezji słowiańskiej, rówieśnik jego i znajomy, Puszkin, który również pierwszy piśemnictwo narodowe wniósł na wyżyny artyzmu i cudowną harmonją formy i myśli go wręcz przewyższał, ale syn narodu zwycięskiego w walce materjalnej, w duchowej uległ, prawosławny nacjonalista i konserwatysta, mąż przeszłości wobec męża przyszłości, socjalisty, kosmopolity (bo zawsze łączył Mickiewicz sprawę polską z europejską) i wroga urzędowego kościoła. Ci dwaj olbrzymi słowiańscy, tak sobie przeciwni, dzielili jednak wiele (wczesne wyczerpanie poezji), nawet spólne słabostki, zbytnią między innemi wyrozumiałość dla poetów-przyjaciół.

Szczególniej Mickiewicz przeceniał zdolności, przyszłość, znaczenie swych ulubieńców, od wczesnej młodości do lat późnych. Zaczęło się to z **Aleksandrem Chodźką**, któremu prorokował: Adam gdy ginie, ty żyjesz; na jego tronie ty kiedyś siędziesz, jego się blaskiem okryjesz. Proroctwo spełniło się dosłownie, skoro po Mickiewiczu katedrę paryską Chodźko (od r. 1858) piastował, lecz Mickiewicz myślał o poezji, którą Chodźko, orjentalista, potem slawista, rychło na zawsze porzucił. Był niegdyś tkliwy, rozmarzony, sentymentalny; te uczucia przelał na swego „Derara", poemat, zarazem traktat uczony, gdyż w drugiej jego kasydzie przedstawił ucztę Beduinów, a przy niej różne próby poezji i igraszek arabskich: formy zachował dobrze, lecz nie ducha chyba, skoro Derarowi kazał bez walki ukochaną Azzę rzucić i nawet, rozbiwszy jej i ojca wrogów, o jej rękę się nie upomnieć; i „Endymion" jego był tkliwym pasterzem litewskiej, nieklasycznej wyobraźni; z ballad najsławniejsze są jego „Maliny"; tłumaczył i pieśni nowogreckie.

Jeszcze bardziej przecenił Mickiewicz **Stefana Garczyńskiego**; najszlachetniejszy młodzieniec-uczeń podkupił przymiotami serca i umysłu sąd przyjaciela-mentora. Natura refleksyjna, oddany filozofji, jako uczeń Hegla, pod wpływem Mickiewicza w Rzymie rwał się do wierszów, choć wiersz jego nie posiadał melodyjności,

a umysł fantazji i obrazowości; dzielny żołnierz bił się potem i, jak Körner, pisał sonety wojenne, najcenniejsze z poetyckiej spuścizny jego, wygładzonej starannie przez Mickiewicza. Najobszerniejsze i najbardziej pretensjonalne jego dzieło — Mickiewicz mu go zazdrościł niemal i na czele poezji polskiej stawiał, aby tem spokojniej o „Kordjanie“ przemilczeć — to „Dzieje Wacława“. Trzech kumów je do chrztu trzymało: Faust, Manfred i Konrad, lecz każdy obdzielił je swemi słabostkami. Znaczący sam wybór tematu, dziwnie odbijającego stan duszy wielu ludzi, całkiem z ówczesnością zgodny: człowiek, wyżarty zwątpieniem, celu życia się nie dobadawszy, przeradza się z Gustawa — bo również nieszczęśliwie kocha, nie Marylę, lecz, jak Manfred, siostrę — w Konrada; wskrzesiła go piosnka chłopska o naczelniku:

Tak słowo w dobrej ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła, stworzy ich, czem byli;

porwał się do czynu, ale w drogę wszedł mu Mefisto-szatan, rozumny jak u Goethego, tylko... Wacław to, niestety, nie Faust; pokazuje mu więc szatan typy niby polskie, by naród obrzydzić (Faustowi przynajmniej Helenę pokazał); więc w imię rozsądku burzy się przeciw warszawskim spiskom, bez pieniędzy i wojska; i tu się role pomieszały, bo ojciec kłamstwa, najświętsze prawdy prawiąc, groch o ścianę rzucał. „Dzieje“ (niedokończone) lubują się w romantycznej przesadzie, o której Konrad nic nie wiedział, w czarnych płaszczach, nocnych wycieczkach i gromkich krzykach; jest improwizacja z „Dziadów“, piosnka z Fausta — niema prawdy i poezji; język ciężki, chociaż niejeden zwrot dosadny. Lepsze bez porównania są sonety wojenne, z pod Wawra i Stoczka, oda „Do ludów“, wybuch patrjotycznego uniesienia, dumnego i szczytnego, chociaż bez mesjanicznych zakusów; umarł też młodzieniec, pełen wzniosłej ambicji, gorącej myśli, jak wyśpiewał, w wierze wolności.

Najwyżej z tych, co się do grona Mickiewiczowego liczyli, wzniósł się **Bohdan Zaleski.** Z Mickiewiczem poznał się dopiero na wychodźtwie i mimo długich podróży do Alzacji i nad morze (Endoûme), ścisłe, braterskie zawiązał z nim stosunki; dopiero za towiańszczyzny rozchwiały się one i mimo późniejszego ochłonięcia Mickiewicza nigdy już nie stężały. I Bohdana Zaleskiego przecenił Mickiewicz, czy to, kiedy w liście do Domejki stawiał go „na czele naszych poetow“, czy to, kiedy w kursie literatury głosił;

„Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich; rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego Słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej“ (Słowackiego). Pozostał Zaleski, gdy po dłuższej „politykującej“ przerwie wrócił do wierszowania, czem był przed rokiem 1831: lirykiem-Ukraińcem, chociaż rwał się do coraz większych historycznych, a nawet historjozoficznych kompozycyj; odrywał go od nich, jak niegdyś od Damiana Wiśniowieckiego i Kosińskiego, byle traf, byle zajęcie nowym przedmiotem, byle roztęsknienie jakie, i do przerwanego toku już wracać nie dążył. Ten, co „Pana Tadeusza“ prześcignąć zamierzał, nie wyśpiewał nawet „Złotej Dumy“ o Hance Rużyńskiej, którą Tatarowie, rozgramiając opiekuna jej, pana Szczeniowskiego, w jasyr uprowadzili, i o poecie-kozaku Marjanie Bukacie, który miał ją odbić i dla siebie zdobyć (poetę tego własnemi rysami, autobiograficznemi, hojnie obdzielił), chociaż w treść, z roku 1650 wziętą, wsiąkały „wesele i smutek narodu — dni moje pogodne i chmurne, wiara i miłość, jak w gąbkę i zapachną na milę“; „Złota Duma“ jemu „się rozpierzchła w rozjęku“. Dokończył, choć nie wygładził i za życia nie ogłosił, „hetmańską dumę“ — „Potrzebę Zbaraską“: sam wybór tematu charakterystyczny jest dla Zaleskiego. Mimowoli myślimy o heroicznej obronie Zbaraskiej z 1649 roku — ecz nie o nią chodzi; wybrał poeta jakiś zamglony bardzo fakt początków Kozaczyzny, jakąś wyprawę Daszkiewicza i Bohdanka Rużyńskiego przeciw Tatarom pod Zbaraż, rozgromienie ich i uganianie za nimi aż pod Belgrad czarnomorski oraz powrót zwycięski na Ukrainę; żeby się zaś ustrzec własnego liryzmu, bróżdżącego mu zawsze w epicznych zakusach, włożył całe opowiadanie w usta lirnika-poety, owego Bukata ze „Złotej Dumy“ — jak wyprawa owa, tak i ci Kozacy jacyś fantastyczni, nie historyczni. O najwyższe zagadnienia pokusił się poeta w „Duchu od Stepu“, który mu robotę nad „Złotą Dumą“ na zawsze przerwał: współzawodniczył niby w poezji z prozą „Ksiąg narodu polskiego“, wystawiał rozwój ludzkości, od raju przez różne upadki aż do zawitania państwa Chrystusowego na ziemi i nowego zwichnięcia świetnych torów, wydeptanych pochodami krzyżowemi, pod wpływem herezji, „pychy“ rozumowej niemiłości i niebraterstwa ludów; kończył apoteozą ojczyzny.

W obrazach tych, po których niecielesne oko poety na wichrze od stepu buja — idee platońskie i metempsychoza odgrywają tu rolę, jakby w „Królu Duchu“ — są szczegóły świetne, np. pochód bar-

barzyńców na Romę albo sielanka prasłowiańska, niby „Stara Baśń“ Kraszewskiego, albo wymowny żal nad teraźniejszością, lecz całość zadowolić nie może, dla zupełnej luźności treści (wstęp, to autobiografja, środek, dzieje powszechne, koniec, Polska, pokutnica Magdalena, wyzwolona), dla zbyt ciasnych pojęć autora; wartość i tego utworu przecenił Mickiewicz w kursach. Mniejsze obrazki i dumy, „Z mogiły Sawor“ junacka a żałobna, „Lach serdeczny na marach“, chociaż nie wolne od owych *fata morgana* kozackich, odznaczają się największym wdziękiem; one to rozsławiły Zaleskiego, wywoływały (po nasze dni) niezliczone naśladowania, aż Mickiewicza wkońcu rozgniewała manja, grasująca, jak niegdyś balladomanja; „warto, żeby ktoś napisał coś o hop! hop! żeby tych pisarków z konia ukraińskiego zsadzić“ (w roku 1835).

„Poojczystą i porodzinną tęsknotą“ przejęła się poezja Zaleskiego, i odtąd nieustannie dźwięczy ta nuta, roztkliwiona, rozłzawiona; żalu poety za krajem młodości nic utulić nie może; nawet w niebie pragnie swej Ukrainy. Obok tej nuty wzmaga się i wkońcu przeważa zupełnie nuta religijna; i Zaleski bowiem pod wpływem Mickiewicza znalazł swą wiarę na wychodźtwie. Z licznych, nieraz rzewnych i głębokich, hymnów i modlitw wyróżnia się sielanka biblijna, „Przenajświętsza Rodzina“, przewierszowanie ustępu z ewangelji o Zbawicielu — dziecięciu w kościele Jerozolimskim; tkliwe to i czułe, nie wzniosłe ani potężne, na tle przepięknego krajobrazu, ukraińskiego, nie palestyńskiego. Jeszcze w późnych latach, około roku 1861, zrywał się poeta do większej kompozycji, do „Wigilji godów tysiącolecia“ (ochrzczenia Polski), aby opieśnić przymierze narodu z Ukrzyżowanym, a rozbrat z czartem i grzechem, lecz i jej już nie wykonał; „mniej rozśpiewany, więcej rozmodlony“ coraz ku Panu się zwracał i już tylko zdobywał się na dźwięki kornej wiary. Zadanie poezji pojmował zawsze nader wysoko:

> Wieszcz? to wybrane, przedrogie naczynie,
> To coś z wszechmocy Bożej w kruchej glinie
> Darowanego ludowi na chlubę,

lecz daru tego na błyskotki zużywać nie pozwalał i poetów-sztukmistrzów (Słowackiego) aż do jawnej niesprawiedliwości nie doceniał.

Dziwna jest jego poezja, rozśpiewana, łechcąca ucho, przymilająca się, jak owa czarnobrewa, o którą matki-Ukrainy prosił; odzywają się w niej tony, w poezji polskiej niezwykłe, bo w gęśli

jego obok „Boga, świata, Polski, Ukrainy“ i dla Słowiańszczyzny, za przewodem jeszcze Brodzińskiego, osobna struna napięta. Brodzińskiemu jeszcze obiecał i później dokonał przekładu dum serbskich; twierdził o sobie:

Lubuję bardzo w słowiańskim ja gwarze...
Tak, Szafarzyku! tak, tak Kopitarze!
Pieśni hej, dawaj, Wuku Karadziczu,

ale i jego panslawizm był osobliwszy, nie zgadzał się z czeskim; jemu bowiem „ojczyzna lasza to wszechsłowiańska królowa“, Polanie kijowscy i kruszwiccy to jedni, więc Tarasa Szewczenkę spółpiewcą uznawał („Mogiła Tarasowa“) i sam nietylko „ruską nutę, polską mowę, jak dwie siostry, dwie królowe w one gody wiódł pod ręce“, lecz i pisał po ukraińsku; wsłuchaniu się w nutę ludową zawdzięczał też melodyjność własnego wiersza. Jedyny z poetów polskich nawiązywał i podtrzymywał stosunki z Rusinami we Lwowie, ze Słowieńcami w Lublanie, z Pragą i Zagrzebiem.

Tęskne, smutne głosy przeważają w jego poezji; zawiodły nadzieje i wieszczby,

Mowa nasza głuchnie wszędzie,
Mowa w sercach wykochana,
Jak anielskich strun narzędzie,
Taka strojna i ograna,
Toż do szeptów służyć będzie?

śmierć nieubłagana przerzadza tymczasem szeregi bliskich:

Kędy nie spojrzę, świszczą pustki w domach,
Bracia po pieśni ukryli się w groby,
Stoję ogromion, jak dąb zgruchotany,
Chwiejący czołem w step ponad burzany,

rozwiały się ostatnie złudzenia i wyznaje sędziwy starzec:

Duma dum moich, och! niewyśpiewana,
Niewyśpiewana duma tu drga w łonie,
Żywa, wiecowy dzwon mój po Bojanie,
W który, tuszyłem długo, że zadzwonię

w dzień zwycięstwa, lecz ten nie nadszedł.

Ciosy nie zdołały jednak złamać człowieka ani wyziębić jego wiary i miłości, i choć mu cicha, pusta przestrzeń starości nie zwabiała już pieśni na wyblakłe usta, nie zwątpił, nie zgorzkniał nigdy, zachował serce wrażliwe i czyste, pogody umysłowej nie zakłócił wzrok ugasający, i przetrwał skupiony w sobie rozmo-

dlony, cichy, najdłuższe lata, rozrzewniający w swej powadze sędziwej, wzór nieskalany moralnego hartu, jeden z najszlachetniejszych przedstawicieli emigracji i jej siły moralnej. Rychło stosunkowo wyczerpywała się twórczość, najobfitsze lata to 1836 — 1841, potem coraz rzadziej się odzywał, czy to oskarżając siebie, czy ciesząc i kojąc innych, czy błagając w imieniu gromadki polskiej tułaczej, bezdomnej, zmiłowania dla Francji, siostry miłej, miłosiernej, czy śląc zdaleka krztę polskiej soli na kołacz, który wieźli Palacki i Rygier do Moskwy (1867). Do końca zachował ów styl brylantowy, rozwiewny, urywany, przetkany wykrzyknikami, który tak łatwo spospolitować, tak trudno utrzymać na tej wyżynie artystycznej, jego dziedzinie i tajemnicy.

Inny druh ukraiński, który z nim razem, choć w stokroć gorszych warunkach, dzielił wychodźtwo, **Seweryn Goszczyński**, z którym nawet towiańszczyzna go całkiem nie rozprzęgła, tworzył jeszcze mniej. Gdy jednak Zaleski nie rzucał jednostajnej barwy, jednostajnego przedmiotu, wypieszczonego języka, kozaków wymuskanych, salonowych, zniewieściałych — wyrzucał mu to wszystko ów serdeczny druh a krytyk surowy — rozstał się Goszczyński z Ukrainą na zawsze. Nie rozstał się jednak z ludem; pod wpływem Tetmajera i pobytu górskiego zbierał, co widział, w „Dzienniku podróży do Tatrów", jednym ze znakomitszych przyczynków do etnografji polskiej, a upoetyzował w „Kościelisku"; z niego jednak tylko część pierwszą, „Sobótkę", wykończył. Z podaniem o nabiegu tatarskim (od którego niby Kościelisko nazwane), związał podania o najsłynniejszym zbójniku tatrzańskim, Janosiku, i rozsypał, jak w „Zamku Kaniowskim", jeszcze hojniej tylko, wszelkie wierzenia ludowe, jego dziwożony, węże-króle i mnichy tajemnicze, opisy sobótki tatrzańskiej, nocy świętojańskiej; on pierwszy — po nieudolnych próbach Tetmajera — odtwarzał poezję gór i ich przyrody. Później pisywał powiastki prozą i wierszem, pokrewne sobie myślą i treścią; najbardziej odbiegała od jego posępnego sposobu tworzenia „Anna z Nabrzeża", chociaż i tu rzecz, pozornie mistyfikacją, figlem pachnąca, wcale nie pusto się kończy; najznamienniejszy między niemi jego „Król Zamczyska", warjat Machnicki, pan na Odrzykoniu. Opowiadanie to jest nawet w szczegółach symboliczne (o losach Polski szlacheckiej, o jej przyszłości demokratycznej) i w całości alegorją gorzką trąci — między materjalistami, zjadaczami chleba, pasorzytami i pasibrzuchami, jedyny obłąkany rozumny swoim szałem, o duszy i uczuciach królewskich, cierpi

coraz mocniej i coraz mniej jest w stanie zaradzić złemu, morowemu powietrzu zimnego rozumu; on jeden pojął myśl, które „oni“ pojąć nie mogą; gorzkie są jego słowa, złowróżbne proroctwa. W spółczesnych jego wierszach lirycznych odczuwa się echo pieśni Mickiewiczowej, apoteozę uczucia. W towiańszczyznę, gdzie obok Mickiewicza stanął, wciągnął się najkonsekwentniej; zarzucił nawet, wzgardził własną demokracją, którą do niedawna i w wierszach i prozą („Pszonki“, pisma satyrycznego w Strassburgu, wydawanego z Zienkowiczem, wyszydzającego białych) szerzył, bo widział w niej ubóstwienie materji-śmierci na pognębienie ducha-życia i ukorzył się przed słowem Chrystusa, wiodącym na drogę prawdy. Tak wykoleił się całkiem, z Polski jako emigrant, ze świata jako towiańczyk.

Jeśli teraz co pisał, to dla propagandy idei, prozą; lekceważył poezję, zarzucał Słowackiemu - towiańczykowi, że „co zachwycił w chwilach egzaltacji, tym wzmacniał swoję stronę ziemską“; gdy Mickiewicza zabrakło, sam Towiański na wiersze go rozgrzeszał; i w nich służył idei, lecz rękopisów jego późniejszych największa część nie jest ogłoszona; „Posłanie do Polski“ (wydrukowane późno, dopiero w r. 1869), miejscami tylko rzewnością skargi i wymową bolu zająć może. Choć obaj, Zaleski i Goszczyński, pomiatali zarówno bałamutną mądrością świata i tajnie ducha sławili, większych kontrastów nie można wymyślić: tam miękki, rzewny, tęsknący poeta, czarodziej słowa, tu szorstki, namiętny, gwałtowny mąż czynu, prześladujący marzenie, gardzący formą i stylem; równą mieli niepokalaność charakteru i miłość ojczyzny; nie zgadzali się co do oryginalności, o którą towiańczyk mniej pytał, niegdyś zaklęty wróg wszelkiej obczyzny, chełpiący się nieprzebranemi zasobami poezji naszej ziemi, dziejów, narodu, chociaż ich sam wydobywać nie umiał.

Do kółka Mickiewiczowego należał również, choć z powodu towiańszczyzny stanowczo przeciw niemu wystąpił, **Stefan Witwicki**; spotkał go ten zaszczyt, że we czwartej księdze „Tadeusza“ kilka jego wierszów poeta umieścił. Przed wychodźtwem, do którego się dobrowolnie przyłączył, w „Balladach i Romansach“, nietylko za Mickiewiczem poszedł: wpływ Brodzińskiego wykazywał choćby taki „Ksenor i Zelina“ samemi już nazwami, to znowu naśladował Żukowskiego „Świetlanę“: — wszystko wypadło arcy-nieszczęśliwie, jak i jego „Edmund“. Przerzucał się całkiem na stronę Brodzińskiego w „Piosnkach sielskich“ i w „Poezjach biblijnych“; z Pio-

snek niektóre rzeczywiście odznaczały się tonem i motywami ludowemi. Na wychodźtwie znalazł Witwicki swój właściwy ton, gawędziarza ultra-katolickiego, popularnego w „Wieczorach Pielgrzyma“, wydającego bardzo lubiane książki do nabożeństwa („Ołtarzyk złoty“), piszącego niepretensjonalne „Gadu-Gadu“; już jego poezje biblijne były w istocie gawędami, prozaicznemi w wykonaniu.

Nielepszym poetą, choć brak poezji wetował górnem o sobie mniemaniem, był i **Antoni Górecki**, któremu farmazońskie wileńskie tak w krew i kości przeszło, że i na emigracji się z niego narazie nie wyzwolił i na ultramontanów pisywał zjadliwe, acz nudne, bajki i inwektywy, nim w towianizm wsiąknął; narodowi francuskiemu na oznakę wdzięczności, za przytulenie emigracji, poświęcił swój „Kłosek“, kamieniem więc za chleb odpłacił, tak twarde to wiersze, ale że po polsku, nie skrzywdził Francuzów.

Jak Puszkin, tak i Mickiewicz szkoły osobnej nie stworzył; nie stworzyli jej przed nim ani Kochanowski, ani Krasicki, choć znajdowali licznych naśladowców; ruchliwość, indywidualizm słowiański nie sprzyjają w umysłach nieco niepośledniejszych wyłącznemu poddawaniu się jednemu wzorowi. Dzieła wywierały wpływ olbrzymi, nawet nie ustosunkowany sprawiedliwie, gdyż największą wrzawę wywołały najsłabsze, ballady i sonety, któremi zwyciężały nowe kierunki, romantyczno-ludowy i bajronizujący; o „szkole litewskiej“ możnaby chyba przed r. 1831 prawić, w Paryżu jej już nie było, a około mistrza, zrzekającego się niebawem poezji na zawsze, grupowały się talenty najrozmaitsze; koło to uszczupliła czy rozbiła towiańszczyzna. Nie poderwała jednak znaczenia mistrza; od Konradów i Tadeusza biło światło z siłą niezwątloną; przed jego blaskiem gasło każde inne — bez wyjątku. Najboleśniej to odczuł, napróżno się z tem za życia szamotał, inny arcymistrz słowa polskiego; dopiero za grobem dane i jemu było zwycięstwo, które wielkiego rywala opromieniało za życia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

JULJUSZ SŁOWACKI.

Dzieła młodzieńcze. Na wychodztwie w Szwajcarji, Włoszech i Paryżu; tragedje i „Beniowski“. Mesjanizm i „Król Duch“. Znaczenie.

Jeżeli ten szczęśliwy, czyje najgorętsze życzenia los dobrotliwy wypełnia, któż nad Słowackiego szczęśliwszy? I życiem poetycznem obdarzyły go nieba i sławą pośmiertną, wzrastającą z każdym lat dziesiątkiem, a tego obojga pragnął jedynie od czasów pierwszej młodości. Dary te okupił trapiącym, nieuleczalnym smutkiem, samotnością dolegliwą, głębokiem milczeniem spółczesnych, nieraz udanem i umyślnem, przeważnie jednak istotnem. Nie w porę bowiem przyszła jego poezja i trudno o większą sprzeczność, niż ten czas twardy, antypoetycki, i to wcielenie samej poezji, jakie się Słowackim nazywa; ten „największy artysta“ uznawany był wtedy, gdy to słowo padło (1858 r.), może przez jedynego Klaczkę.

Kto od poezji wymaga pożytku czy prawdy, morału czy historji, dokładnego opisu czy refleksyj gruntownych, zawiedzie się na Słowackim; zato wzruszeń i wrażeń, obrazów i dźwięków, stylu i nastrojów nigdzie więcej nie znajdzie, niż u niego. Spółcześni dziwnie go skrzywdzili: Mickiewicz unikał wymienienia nazwiska nawet w Kursach literatury — wspomniał odniechcenia, mówiąc o Sybirze i Kopeciu, a napadł gwałtownie i niesłusznie, wprawdzie również nie wymieniając nazwiska, lecz wątpliwości nie pozostawiając żadnej, — z powodu ks. Marka i roli jego w „Beniowskim“; nie ujął się nawet za jawnie, z powodu własnej osoby, skrzywdzonym poetą, jakby się z oszczercami jego solidaryzował.

Nawet największy wielbiciel Słowackiego, Krasiński, niezawsze go doceniał; ten sam, który w roku 1840 pisał do Gaszyńskiego: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, wy się na nim (Słowackim)

nie znacie; przyjdzie czas, w którym się poznacie; wszyscy krzyczeli na Byrona, wszyscy na Fausta, wszyscy na pana Adama, że ciemny, a dziś dzieci go rozumieją" — napisał o „Królu Duchu" w r. 1847: „Nic prawiem nie zrozumiał, jeśli dwadzieścia strof, to najwięcej; wiersz prześliczny, ale to, jak w kalejdoskopie; rysunki barw pełne, lecz bez treści żadnej; dźwięki najdźwięczniejsze, ale bez myśli; albom ja warjat, czytelnik, albo autor, co pisał"; dlaczegoż nie dodał jeszcze *à la* Tańska: „mówią niektórzy, że dwa razy przeczytać trzeba, żeby rozumieć — mnie żal było czasu", chociaż „Król Duch" jest tak samo „zrozumiały", jak „Lilla Weneda", a tą się przecież Krasiński zachwycał.

Skądżeż ta chwiejność w sądach albo jawna niesprawiedliwość, to gorszące lekceważenie czy ignorowanie poety, zacięte i krzyczące u Zaleskiego, twierdzącego o Słowackim, że „puszy się, jak indyk, lecz ani śpiewać, ani latać nie umie... wszystko cudze i ladaco"; że dawniej błyszczało jakieś byrońskie światełko, „potem już tylko kopci knotem dymiącym"; nawet w „Beniowskim" upatrywał Zaleski brak serca i woni poetyckiej, narodowość pozorną; i Mickiewicz pisał do Zaleskiego, w tonie podobnym i podobnie słusznie, o biednych pyszałkach-poetach, niby dyktatorach emigranckich, gryzionych troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli; cóż mówić o mędrcach z „Tygodnika literackiego" i „Dziennika narodowego"! Winy tych nieporozumień, krzywd i obelg, — szukać należy w ludziach i czasach, poczęści jednak i w Słowackim i w jego poezji, wyprzedzającej swój wiek.

Syn profesora literatury polskiej w Krzemieńcu i Wilnie, tłumaczącego „Henrjadę", piszącego tragedje, „Mendoga" (pierwszą litewską, jeśli „Witenesa" Załuskiego z cudem z hostją, pominiemy) i „Wandę", autora teorji smaku, całe lata po szkołach popłacającej — odziedziczył po ojcu zmysł i pociąg do poezji, jak i zarodki choroby płucnej; matka, Salomea z Januszewskich, była kobieta niezwykła, o sentymentalnym zakroju, smaku artystycznym, pociągu do literatury; urodził się z nich w Krzemieńcu, nad Ikwą, 23 sierpnia 1809 r. Całe wychowanie, niewieście (ojciec umarł w r. 1814), pieszczone, potęgowało już w chłopczyku skłonności do marzycielstwa, zadumy i dumy; z latami to rosło; spotkanie i wpływ innego marzyciela (Spitznagla); pierwszy zawód miłosny, w fantazji potym wyolbrzymiony; unikanie towarzystwa rówieśników — podsycały tylko marzenia, jakim się młodzieniec, nie znający trosk realnych, z namiętnością oddawał, czy na lekcjach wileńskich uni-

wersyteckich, czy aplikując w biurze finansowem warszawskiem. Poeta uczył się lękać pospolitości, jako duch zły lęka się wody święconej, na każdą rzeczywistość się żachał i żył coraz wyłączniej w swoim piękniejszym, poetyczniejszym, świecie wyobraźni.

Fatalny był pierwszy występ, gdy wydał na emigracji dziełka, pisane jeszcze w kraju, w Warszawie, przed r. 1831, nietknięte więc, ani tykające katastrofy narodowej, skazane wtedy zgóry na najobojętniejsze przyjęcie. Zawierały też cierpkie nieco słowa przedmowy do trzeciego tomiku szczerą prawdę: „Niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła". Inaczej być nie mogło; wszak mówiły owe powieści i tragedje o wszystkiem, prócz tego, co jedynie serca i głowy zaprzątało, a chociaż świadczyły o nadzwyczajnem wirtuozostwie formy, o płomiennej wyobraźni, o bogactwie nastrojów, biły z nich jednak w oczy i zawisłość, śpiewanie na cudzą nutę, i natrząsanie się niemal z rzeczywistości i jej wymagań.

Młodziutki poeta, bo dwadzieścia jeden lat sobie liczył, gdy te utwory („Hugo", „Mindowe", „Mnich", „Bielecki", „Marja Stuart", „Arab", 1829 i 1830 r.) pisał, a „Żmiję" zaczynał, odrzucił słusznie pierwociny swego talentu, sonety, dumy ukraińskie z r. 1826 w r. 1828 powstał „Szanfary", ułamki poematu arabskiego, i cwałowała mu po głowie tragedja o Mahomecie; jeszcze przecież za pobytu na Litwie mógł Mickiewicz gratulować pani Bécu prób poetyckich jej synka i wielką mu przyszłość przepowiadać.

Wyobraźni jego dostarczała coraz nowej treści obfita lektura, poetów swojskich i obcych, mianowicie Byrona, bo dumny bluźnierca i szyderca najbardziej przyciągał: i on gardził tłumem, kłócił się z Bogiem i ludźmi, a poetycznością życia imponował. Z Anglików obok Byrona „stary Wil" zaprzątał fantazję, podsycając skłonność ku wystawianiu konfliktów tragicznych i wszelakich okropności. Z Francuzów Chateaubriand i Alfred de Vigny, później Balzac i pani Sand, wyryli ślady w twórczości poety. Niemców nie znał wiele. Tem bardziej nęcili go Włosi, najbardziej Dante. Z autorów swojskich cenił najwyżej Kochanowskich, Piotra i Jana, dla języka i ducha; najgłębiej przejął się Mickiewiczem — każda stronica „Beniowskiego" o tem świadczy.

Zawisłość pewna od wzorów obcych, zastępujących mu własne doświadczenia i myśli — Byron i Mickiewicz kierowali pierwszemi jego krokami — nie była jedyną cechą, nieodstępną i w dalszej twórczości, bo z książek, marzeń czy rojeń, nie z życia, doświad-

czenia czy serca, czerpał przez cały swój wiek poeta fantazji i „mózgu“, wrażliwy na najlżejsze potrącenie z zewnątrz. Samo imię, rzecz więc zupełnie przypadkowa, „uderzało magnetycznie na imaginację“ i wywoływało roje obrazów i myśli. Jak imię Wallasa kazało jeszcze małemu dziecku marzyć o „czemś podobnem do burzy, która wali lasy“, podobnie, nawet pisząc rapsody „Króla Ducha“, Ruś *Czerwoną* wywodził od zalania krwią, Popielowi poczęcie w popiołach przysądzał, a Rzepicę (Rzepkę) Rże-Pychą tłumaczył i rozsnuwał nieskończone wątki; wzmianka przelotna, drobny szczegółik, rozrastając się w fantazji, niby lawiną staczając się, porywały, na co trafiały, aż wypełniły próżnię czy przepaść; nieraz bez życia istotnego, a powołane do niego, ssały mary fantastyczne zewsząd krew i soki; najróżnorodniejsze, niezawsze sharmonizowane pomysły tłoczą się, trafnie i mniej trafnie, w niezmiernej obfitości. Uderza to już w obu dramatach młodzieńczych, gdzie coraz nowe momenty widza a raczej czytelnika — nie dla sceny pisane — z tropu zbijają, wnosząc coraz to nowe zawikłania; to myślisz, że konflikt tragiczny w „Mindowie“ oparty jest na przeciwieństwie starej, rodzimej wiary ojców i nowej krzyżaków-przybłędów; albo że katolicyzm wietrznicy na tronie o ponury kalwinizm jej poddanych się roztrąci, lecz niebawem przekonywasz się, że poeta dla efektu niczego nie poświęcił, że olśniewał widza scenami i dialogami, nie pytając o spoistość wiązania, że nie władał sztuką czy krytyką skreślania rzeczy choćby najpiękniejszych, jeśli były niepotrzebne.

Z zadziwiającą przenikliwością, z formalnym darem jasnowidzenia docierał do najgłębszych konfliktów, podnosił trafnie u Darnleja bolesną, poniżającą sprzeczność między prawami męża do żony a bezprawnością „regenta“ wobec istotnej królowej (sprzeczność, jaka się w ciągu XVIII i XIX wieku na tronach austrjackich i holenderskich nieraz ujawniała) — lecz targnął i tą struną przelotnie, nie wykorzystał najciekawszego motywu i nie pogłębił konfliktu. W tej pogoni za chwilowem wrażeniem, poświęcającej jasność, wyrazistość, dokładność rysunku, mieniącej się barwie, nie przebierał poeta również między pomysłami obcemi a własnemi: i Słowacki bowiem, jak Molière, *prend son bien où il le trouve;* bez najmniejszego wahania zaciągał dług myśli u Mickiewicza czy Szekspira i do tego się sam przyznawał w przedmowie. Pożyczki te rażą jednak czytelnika, odnajdującego dawnych znajomych w nowem otoczeniu, posądzającego mimowoli autora, jakoby nie umiał kroczyć bez szczudeł czy kijów, o własnych nogach.

Czytelnika raziła też jednostajność tych bohaterów, z klasztoru średniowiecznego czy z pustyni arabskiej, z lasów litewskich czy z gór szkockich, pokłóconych z Bogiem i światem, wywyższonych nad ludzi, pogardzających tłumami i pastwiących się nad nimi, nawet bez celu; Mindowe przynajmniej Litwinów swych utrzymuje grozą w rygorze, bezkształtnej masie nadając formy państwowe, ale Arab mści się, jak manjak, nawet nad naturą nieżywą; są to zbrodniarze, przesyceni życiem, nieporzucający go przecież, jeden, bo ma zostać królem, drugi, aby mógł innych dręczyć; wyzywają swemi zbrodniami Boga (pomysł i „Balladyny“ i „Króla Ducha“ — Słowacki nietylko innych, lecz i siebie samego powtarzał); marzyciele to, mszczący się nad niewinnymi za rozdźwięk ideałów z rzeczywistością, gniewni na nią. Byliby więc tylko kopjami kopij Byrońskich, gdyby nie nowa, specjalna ich, a zupełnie nie byrońska cecha: smutek, tęsknota, godząca nas niemal z nimi, bo przejmująca nas głęboko.

Wszystkich nadgryzł robak smutku, nieodstępnego i od autora samego, nadającego ową melancholijną, Chrystusową twarz i jego postaciom i jemu samemu; niedarmoż on się w „Godzinie myśli“ spowiadał: „gdy dziecię karmi się marzeniami, jak chlebem powszednim, to smutno patrzy na świat nieznany!“ Nietylko takiemu Mindowe smutek żre wnętrze: oto Nick, jeden z błaznów Szekspira, lecz jakżeż wkońcu od nich odmienny! Żaden z nich nie zginął z owym rozdzierającym okrzykiem „Matko! Jak mi źle było na świecie!“ Smutków takich Byron wcale nie znał; na nas czyni wrażenie nie Bielecki, poprzysięgający zemstę, wszystko do niej przygotowujący, nią się wreszcie upajający — tu Byron kończy się, lecz Bielecki z Anną, to niby Edyp z Antygoną, uchodzący w smutku bezbrzeżnym; autor zbliża się tu raczej do Malczewskiego niż do Byrona.

„Bielecki“, choć jak wszystko, epizodycznie traktowany, z pomijaniem długich przejść i walk wewnętrznych, podobał się jeszcze najwięcej, był najprzystępniejszy; „Żmija“ — wysnuty z prostej nazwy topograficznej, wału Żmijowego, całkiem teatralny, — przedstawiał najwięcej zagadek, dziwną plątaninę fabuły, ale i rozmach, pęd szalony; „Mindowe“ i „Marja“ rozbijały pierwsze zużytą formę dramatu klasycznego, lecz „Mindowe“ raził niedojrzałością i z teki młodzieńczej ruszać go nie należało; „Marja“ stanęła znacznie wyżej, chociaż i ona jest luźno zbudowana i właściwej żyły dramatycznej w autorze nie zdradzała. Jak Byron i Mickiewicz, jak

Puszkin i Lermontow, i Słowacki do wymagań sceny nie umiał naginać talentu i „Balladynie“ czy „Lilli Wenedzie“ szkodziło chyba gwałtowne wciskanie w formy dramatyczne; z dramatów drukowanych, najwcześniejsze, „Marja“ i „Mazepa“, są najlepsze, bo temat sam, szczególnie pierwszej, rwącą fantazję poety-Ariosta utrzymywał w karbach.

Trzeci tomik zawierał, prócz kilku ślicznych liryków i dum, „Lambrę“, „dzieło obcej osnowy“ — takiem określeniem uprzątnął je Goszczyński z drogi krytycznej — znowu nadzwyczaj dla Słowackiego znamienne. Korsarz i wojownik za niepodległość Grecji, bicz boży na ludzi, przypominał bohaterów byrońskich; nawet, jak oni, jak Konrad Wallenrod trunkiem, rozmarzał się haszyszem, lecz nie, żeby zapominać o życiu, ale żeby przedłużać sen-marzenie, nie stykać się z rzeczywistością, nie wpadać z obrazów jasnych w ciemność myślenia; opis tych upojeń, ich gmachów nadobłocznych, tych baniek mydlanych, nieprześcigniony; i tam nawet smutek prześladuje marzyciela; roją się mu cienie kleftów poległych i podobny do szmerów rosnących potoku dobywa się z nich głos-wyrzut: czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali? Wyrzut ten Słowacki sam do siebie stosował, i nie całkiem bez przyczyny. Narzucił się bowiem powstaniu narodowemu jako jego poeta, napisał natychmiast „Hymn do Bogarodzicy“ (on, wolnomyślny przeciwnik religji dogmatycznej; niby za Hymnem Mickiewiczowym na Zwiastowanie); dalej „Odę do wolności“ (niby przeciw „Odzie do młodości“), „Kulig“ (jako wyprawa wojenna) i „Pieśń legjonu litewskiego“, gdzie pędem wiersza wywoływał wrażenie marszu. Te pieśni rozsławiły — po raz pierwszy i ostatni — nagle poetę i w poezji powstańczej zajął on celne miejsce, obok „Berangera“ polskiego, podoficera Rajnolda Suchodolskiego, autora „Polonezu Kościuszki“ z odśpiewem „Oto jest wolności śpiew, My za nią przelejem krew“— Suchodolski padł też istotnie na wałach Pragi, gdy Słowacki nagle Warszawę opuścił i później „w misji dyplomatycznej“ aż do Anglji zajechał.

Jak z Warszawy, uszedł nagle i z Paryża, gdzie go wszystko raziło, nawet klasyczna, to jest nienaturalna gra aktorów w tragedji, miasta samego nienawidził; już w r. 1832 losy r. 1871 mu przepowiadał w pysznym wierszu „Paryż“; pisywał wtedy i po francusku, romans walterscotowski „Le Roi de Ladawa“ (o dziwaku Marchockim i jego „państwie minkowieckiem“, których w „Beniowskim“ unieśmiertelnił), humorystyczny i tragiczny napoły,

i wiersz pesymistyczny o Paryżu, i tragedję prozą o Cencich: rzeczy może i niewykończone. Osiadł w Genewie na lat kilka i tu, szczególniej porą jesienną, jak i Puszkin, tworzył, chociaż narazie wydrukował tylko „Kordjana“ (na początku r. 1834). Dzieło to w całej spuściźnie poetyckiej Słowackiego wyjątkowe: z bujań po niwach obcych i czasach dalekich spuścił się odrazu do otoczenia najbliższego. Osobliwsza też przyczyna nagły ten, niby nienaturalny zwrot u Słowackiego wywołała; były nią „Dziady“ drezdeńskie, krzywdzące pamięć ojczyma (doktora Bécu); gdy nie mógł na rękę, wyzwał autor na poematy domniemanego przeciwnika; żeby zaś zamiar ten nieco zatrzeć, wydał je bezimiennie pod tytułem: „Kordyan, Część pierwsza Trylogii. Spisek koronacyjny“; przecież i „Dziady“ tylko akt pierwszy dawały.

Dziwnie spotkał się Słowacki z Garczyńskim w obiorze tematu, chociaż przypadkowe może to nie było, a zresztą i „Dzieje Wacława“ i „Kordjan“ (nawet imię osobliwsze Słowacki wymyślił, gardzący pospolitemi) stworzone wedle szematu „Dziadów“: młodzieniec, niedoszły samobójca z powodu zawiedzionej miłości, co zwątpił w mądrość i wiarę, przeradza się w patrjotę, odnajduje cel bytu i dąży do czynu; całkiem niezasłużone znaczenie przypadło w udziale samemu Spiskowi, co spiskiem wcale nie był, lecz pomysłem, stłumionym w zarodku, później dopiero rozdmuchanym.

O Lambrze swoim Słowacki powiedział to, co się do Kordjana jeszcze lepiej stosuje: „Jest to człowiek, będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czem być mogli, a o których nieznajomi mówią, że nie byli niczem“. Mickiewicz utożsamiał się z Konradem; Słowacki Kordjanowi tylko własnej młodości użyczył; potem go od siebie odszczepił, żeby mógł działającego wystawić. Czynność jego zgóry na bezpłodność skazał, bo i wiek po temu: sam Bóg ręce założył, wypoczywając; uwijają się zato czarci i w nocy przygotowania spuszczają na ziemię przyszłych polskich wodzów i mężów stanu, skarykaturowanych niesłychanie, jakby piórem Czyńskiego lub Gurowskiego.

Na takiem tle wystąpi Kordjan-entuzjasta, rwący się do czynu, niezdolny do żadnego, bo brak mu woli, a rozigrana nadto fantazja ubezwładnia mu muskuły. Udzielił mu Słowacki własnego smutku, wyżerającego wszelką energję; Kordjan zapewnia wprawdzie: „wierzcie mi, wierzcie, ludzie, jam jest wielki, mocny“; ale

sam zaraz dodaje: „robak smutku mnie gryzie, tak, że, mówiąc z wami, chciałbym przestać i usiąść i zalać się łzami“; nie dziw więc, że nerwy wypowiadają marzycielowi posłuszeństwo, gdy nareszcie o czyn się kusi. Czy go poeta osądził? Czy nie widział w nim mimo to wielkości, w jaką Garczyński u Wacława uwierzył? Jakkolwiekbądź, charakter wystawił prawdziwy, a scenę, jak rozżarzona wyobraźnia podsuwa zmysłom fantasmagorje najokropniejsze, z nieprześcignionem wykończył mistrzostwem. Postęp był olbrzymi; wobec bladych mar dawniejszych uderzał Kordjan scenami o wybuchowej niemal sile, nie przewyższonemi i później; poeta sam niebawem znienawidził swoje pierwsze utwory — czy do nich i „Kordjana“ zaliczał?

„Kordjan“ zwrócił większą nieco uwagę publiczności na autora, bo inaczej, niż poprzednie utwory, odpowiadał „duchowi czasu“ i piękności mieścił bez porównania więcej; w dawniejszych ułamki tylko bywały śliczne, np. cytat z „Lambra“, powtórzony jako motto „Kordjana“. Zaraz prolog, z trzema osobami, odbijał od wszystkiego, co poeta dotąd napisał; po raz pierwszy stawał tu jego wiersz płomienny, sypiący skrami, a chociaż ciąg dalszy nie ze wszystkiem dotrzymał, co owe osoby zapowiadały, przewyższał ten utwór o całe nieba „Wacława Dzieje“.

Całej prawdy jednak i Słowacki nie dostrzegał; nie popełni wprawdzie bluźnierstwa, aby jedyne ludzkie, mądre i godne słowa szatanowi kłaść w usta, jak to uczynił Garczyński; przeznaczał je Niemcewiczowi, skrzywdzonemu i poniżonemu w „Przygotowaniu“; i jego więc uniosła fantazja od ziemi i prawdy. Skruszenie jednak Konrada jest Kordjanowi zupełnie obce; wiary nie odzyskał, jak i poeta, nie wierzący w szczerość religijnej egzaltacji i u innych, który jeszcze w przedmowie do „Lambra“ odstrychnął się, nieco szyderczo, od „szkoły religijnej, owej wieczerzy Pańskiej polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu“; on, który wszystko do wierszy wyłącznie odnosił, pytał, czy zwrot ten „nie jest sztucznie natchnięty słowami Fryderyka Schlegla, który w religji katolickiej źródło jedyne w poezji upatruje“; wyraźnie nie wierzył, „aby szkoła de la Menistów i natchnięta przez nią poezja była obrazem wieku“, i w Mickiewicza tem godził.

„Kordjan“ mieścił, jak „Dziady“, brylanty poezji opisowej, liryzmu wysokiego, scen w szekspirowskim duchu wykonanych, mimo to nie był ani dramatem, ani na rzeczywistości silnej osadzony nie był. Lubował się poeta w epizodach i epizodycznem kreśleniu;

przeważały ozdóbki; całkiem zewnętrzny był i nagły przewrót, dokonywujący się w Kordjanie: powietrze Tella i Winkelrieda owiało go, lecz wiemy zgóry, że nie z nimi mu się równać, chociaż czyn Tellów planuje. Zresztą sztukował i tu poeta własną inwencję obcemi łatkami; jeśli pominiemy „Wacława“, „Fausta“ przepomnieć niepodobna, nietylko w scenie przygotowania, niby parodji z nocy Walpurgi. Lecz nigdzie nie przetopił poeta tak znakomicie obcego materjału, jak właśnie w „Kordjanie“; wszystko tchnie jego własnym duchem: pożyczki, jak stale u Słowackiego, są tylko zewnętrzne, przypadkowe, zapomina się o nich niebawem.

Na drodze „Kordjana“ jednak nie wytrwał; w „Kordjanie“ niby aktualny, uleciał niebawem napowrót do dziedzin, gdzie się czuł swobodniejszym panem. Jeszcze tego samego roku (1834) otworzyła mu „Balladyna“ „nową drogę, nowy kraj, poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny“. Nie była to jedyna tragedja tej płodnej jesieni; towarzyszyły jej „Wallas“ (Słowackiemu, gdy jeszcze był dzieckiem, imię zostało w pamięci, a w samotności genewskiej wypłynęło), dziś nieznany, i „Mazepa“; o tym wprawdzie raz wyraźnie wspomina, że go spalił w kominku, wydał go przecież w roku 1840; przypuszczano, że braki czy załamania w układzie świadczyłyby, iż przy nowem tworzeniu niektóre dawniejsze sceny pobrużdziły, ale przecież i inne dramaty Słowackiego wykazują podobne załamania. Jakkolwiekbądź „Balladyna“ była jego „faworytką... z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedja jest najlepszą“, i odłożył jej druk tylko dlatego, że narazie, wobec niewracających się kosztów, nie miał czem posmarować pras drukarskich.

Sam czuł i przyznawał, że, „ile razy zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła, i jestem smutny, jakgdybym miał umrzeć; albo gniewny“. Zato trzymał duszę swą nakształt harfy eolskiej – słowa Krasińskiego z powodu „Balladyny“ — wyżej nad dłonie ludzi, śród powiewów nieba... niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej; nie przesadzał poeta, twierdząc w „Beniowskim“, że,

... kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę,
Wstają mi z grobu mary takie ładne,
Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,

Że po nich płakać nie umiałbym szczerze,
A każda, co chce, z mego serca bierze,
Sonet, tragedje, legendę lub odę.

Nikt też inny nie wskrzeszał równie usilnie dziejów zamierzchłych, acz tylko rojonych. Tak samo „Balladynę“ wygrzebał z popiołów ojczyzny; jedna mara inne wywołała. Nęciło fantazję, lśniącą a lotną, aby zakląć cienie bajecznej przeszłości, coś w rodzaju „Ariosta“ z mitów i legend polskich utworzyć. Pisarzów XVIII wieku, ani ciężkich Sasów ani lekkich Stanisławczyków, stać na to nie było; ani „Lechias“ ani „Myszeis“ nie odpowiadały romantycznym gustom; Słowackiemu i Makbety i Liry i Hamlety spokoju nie dawały.

Jak z samego nazwiska wału żmijowego wziął pochop do stwórzenia zawiło-fantastycznej powieści, podobnie wystarczył mu wątek „ballady“ ludowej, czyli raczej „Malin“ Chodźki, a wraz z nim nasuwało się niewyczerpane bogactwo innych tematów. W przedmowie do „Balladyny“ wyraźnie to zapowiedział: „Balladyna, wbrew rozwadze i historji, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, *błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości*... „Balladyna“ jest tylko *epizodem* wielkiego poematu w rodzaju „Ariosta“, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj czyli kronik dramatycznych“.

Pomysł sam był świetny; za świetne wykonanie ręczył zaś talent autora. Polska musiała mieć dzieje bajeczne; rąbek ich uchylały podania „narodowe“, o smoku i Wandzie, o Popielu i Piaście, o pani, co zabiła pana, o siostrobójczyni. Na widownię dziejową wyszła przecież Polska cała w zbroi i pod silnym rządem Piastowiców; musiały jednak być czasy i przejścia, co ten rząd wydały: katastrofy, ujarzmienia, wytępienia pierwotnego narodu, dzikie okrucieństwa tyrana, co z pierzchliwych Słowian naród karny utworzył i zahartował — przecież to nie chimeryczne, lecz prawdopodobne; przyjmowali to i poważni historycy, np. ujarzmienia Słowian nadgoplańskich przez Lechów, przez „sz-lachtę“. Tak wyroiły się za „Balladyną“ i „Krakus“ i „Lilla Weneda“. W „Balladynie“ i (niewykończonym, niewydanym) „Krakusie“, najwięcej obcych wątków, Szekspirowskich; „Lillę“ wykonał zupełnie inaczej. Pomylił się autor tylko co do formy: ariostowski rozprężny rodzaj jego mniej nadawał się do formy dramatycznej i „Balladyna i „Lilla“ ucierpiały widocznie pod tą formą nieodpowiednią.

Skąd to uporne pasowanie się z aniołem dramatycznym? W początkach zawodu przeplatał poeta dramaty powieściami, „Lambro“ przyszedł jeszcze po „Mindowem“ i „Marji“; dlaczegoż rzucił się poeta po „Lambrze“ całkiem na dramat, nadto go krępujący? Formę „Kordjana“ tłumaczyły jeszcze „Dziady“ — ale potem? Rozstrzygało stałe rozczytywanie się w „Wilu“; jego to sobie Słowacki tak przyswoił, że nawet przytępił uczucie różnicy między własnemi a szekspirowskiemi marami, obrazami, sytuacjami; może zresztą nęciło go, że właśnie w dramacie nikt z „romantyków“ („Izory“ Odyńca ani „opowiadań-działań“ Gosławskiego Słowacki poważnie nie brał), sił nie próbował, że pole było otwarte.

O „Balladynie“ pisał autor do matki: — obszerna, długoletnia wymiana listów jego z ukochaną matką jest najciekawszą i najbogatszą kopalnią szczegółów autobiograficznych i autorskich, nęci i formą i rzewnem, tęsknem uczuciem i szczerością wyznań — „Cała podobna do starej ballady (dlatego imię), ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca“, a w przedmowie do druku: „Balladyna wychodzi na świat z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione“. Balladyna, to udramatyzowana klechda i, jako taka, ani z ludźmi, ani z czasem niebardzo się liczy; jej postacie, niby chrześcijanie, lecz, jak w klechdzie, świat półbóstw, nimf, dryjad i duchów jeszcze się panoszy, chociaż bogów już chrześcijaństwo pochłonęło, chociaż te duchy same, jak w klechdzie, na zawsze już nikną; jak w klechdzie, królem zostanie ten, co koronę-talizman przyniesie (podobny talizman, harfę, w „Lilli Wenedzie“, spotykały próżne zarzuty krytyków, że i ona nic nie pomoże Wenedom, więc niepotrzebna — przecież szczęście w Edenhall było przywiązane do puhara szklanego!); jak w klechdzie, niema różnic w stanach, rycerz Kirkor pod słomianą strzechą towarzyszki życia szuka; jak w klechdzie, głupi Maciuś-Grabiec szczęśliwy nad zasługi. Lecz w błogi i spokojny świat klechdy wmieszał się dysonans, zbrodnia, zabicie siostry, i pociągnie za sobą coraz inne, coraz straszniejsze — już nie, jak w klechdzie. Balladyna sięga wkońcu aż po koronę; wprzód musiała uprzątnąć wszystkich spólników, zaprzeć się matki własnej, i, gdy nakoniec, zgwałciwszy porządki moralne,

nad nie się wzniosła, niedostępna teraz nikomu, piorun, jak w upiornej powieści p. Mostowskiej, pomścił wyzwanie Boga i ładu boskiego na ziemi; ślepy traf (na początku), ironja losu, niwecząca najlepsze zamiary (w całym dramacie), konsekwencje czynu, zbrodni jednej, pociągającej koniecznie nowe, coraz większe, za sobą, przygotowały owego *Deux ex machina*, ów starej estetyki *dignus vindice nodus*, co wbrew niej zawsze niedramatycznym pozostanie, czemś obcem, narzuconem, przypadkowem, nie wypływającem z założenia samego i akcji.

Obok niedramatyczności zakończenia razić mogło nadmierne bogactwo faktów i motywów, musiało zaś razić zbytnie posługiwanie się efektami Szekspirowemi, że aż Krasiński o Balladynie twierdził, jakoby ją „Szekspir porodził w głowie Juljusza". Rzecz miała się poniekąd, jak z owym Nickiem: pierwszy pomysł bywał obcy, jak zresztą i u Szekspira samego; Goplana to Tytanja, ale wykonana całkiem w duchu Słowackiego; eterycznością i tęsknotą przewyższa ulatująca na zawsze sylfida goplańska pierwowzór angielski, płaski wobec niej i prozaiczny niemal, i pozostanie zawsze wytworem poetyckim o niewymownym wdzięku.

Obok „Balladyny" powstawały w owem płodnem w prace i marzenia zaciszu genewskiem i inne, niezawisłe od niej i między sobą dramaty: „Mazepa" i „Horsztyński" (tytuł, dany przez wydawcę, nie przez Słowackiego, co dotyczy i innych wydanych po śmierci poety dzieł, np. „Niepoprawnych") z XVII i XVIII wieku, chociaż historyczność nie leżała w zamiarach poety. „Mazepy" tytuł, jak nieraz u Słowackiego, myli; Mazepa dał tylko podnietę do stworzenia tragedji zazdrości, lecz nie jest jej bohaterem, raczej wojewoda — polski Otello, polska Desdemona-Amelja, a nawet melancholijny Zbigniew-Don Carlos, zakochany w pięknej młodej, niewinnej macosze; Mazepa-Don-Juan schodzi do podrzędniejszych komparsów, jak król-Tartuffe lub kasztelanowa-stręczycielka: od tych wstrętnych raczej postaci odbijają tamte nieszczęściem, smutkiem, namiętnością. Jak w każdym dramacie Słowackiego, są i w Mazepie dygresje i epizody, niewiążące się z całością; mimo to odznacza się „Mazepa" wysokiem napięciem dramatycznem, energicznem tempo (niedarmo może napisany „we dni kilkanaście") i wstrząsającemi scenami, chociaż niektóre motywy zapożyczył, zwyczajem stałym, u obcych, jakby nie starczyło fantazji na wymyślanie własnych: niektóre charaktery, również częstym trybem u Słowackiego, nie przedstawiają się z zupełną jasnością. O „Horsztyńskim", tra-

gedji syna, wahającego się między miłością do ojca-hetmana a obowiązkiem patriotycznym i sprowadzającym, a raczej nieuchylającym dla tego wahania katastrofy od ojca, skomplikowanej miłością ku kilku kobietom — sąd jest trudniejszy, bo rękopis w rozstrzygających miejscach uszkodzony; tragedja cała nabrzmiała smutkiem i łzami; prozą, przeciw zwyczajowi, pisana i może dlatego wkońcu zaniedbana, mimo głębokości i wdzięczności tematu.

Z Szwajcarji, bogatej dla poety wrażeniami — w samych krajobrazach uderzał go nastrój, jednolitość, co zamierzał przenosić odtąd we własne dzieła — wyjechał do Włoch; spotkanie i przyjaźń z Zygmuntem Krasińskim w Rzymie, to najważniejszy epizod tego pobytu; stamtąd odbył podróż wschodnią, na Grecję i Egipt zdążając do Grobu Zbawiciela, i po przystanku w klasztorze ormiańskim do Włoch, do Florencji powrócił, gdzie dłużej zabawił, poczem się z końcem roku 1838, tym razem na zawsze, do Paryża, duchowej stolicy polskiej, na nowo przeniósł.

Wynik podróży był nadzwyczajny; zmężniała i spotężniała muza Słowackiego, wchłaniającego coraz nowe wrażenia: ustały melancholijne jej skargi, nabrała wielorakości tonu, niesłychanego bogactwa i przepychu, iście wschodniego, barw i szczegółów, lubowała się w rażących kontrastach.

Płodność poety była niepomierna; lecz tylko cząstka jej wyszła w ostatecznem obrobieniu na sąd publiczny; inne, liczniejsze rzeczy, pozostawały, niemal zgóry na to skazane, w rękopisach i zatracały się, nieraz w najważniejszych partjach. Do takich należy „Podróż na Wschód“, niby parodja Childe Harolda, nadzwyczaj obszerna, bo w ciągłych dygresjach odskakiwał poeta od ruty turysty i w dziewięciu pieśniach dopiero do wybrzeży greckich dotarł; błyszcząca i mieniąca się w tysiącznych barwach, to poezją, to wesołością i pustotą, to ironją i przekąsem, to smutkiem i tęsknotą, powagą i żalem.

I w druku następywały po sobie raźnie rzeczy świeże lub przerobione (?) dawniejsze („Balladyna“, „Mazepa“, „W Szwajcarji“); zgryźliwa krytyka, czepiająca się, jak pijany płota, szydziła z płodności autorskiej. Najpierw wystąpił z prozą, z „Anhellim“ (1838), świeżo napisanym, z najoryginalniejszym i najsmutniejszym, melancholicznym płodem, niepodobnym do niczego; niby dalszym ciągiem „Kordjana“, prozą biblijną, jakby wedle Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Mickiewicza, przedstawiał losy nie narodu całego, raczej jego emigracji, jej swarów, walk i nędzy; — z emigrantów

tych wyróżnił siebie, bohatera o słabej woli i chorej duszy (jak jego wszystkie postacie), bohatera smutku i cierpienia, ofiarę zadośćuczynienia za naród, podobnie jak ten naród sam miał ponieść zadośćuczynienie za grzechy wszystkich; tło tych smętków i cierpień wybrał fantastyczne, nie realne, lecz borealne, poezję lodów i zorzy północnej, Eden melancholijny, wystrojony w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd, ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem, aby użyć słów Krasińskiego. Są tu i alegorje, widziadła piekła emigracyjnego i moralnego zniszczenia ofiar jego, nadzwyczaj drastyczne, chociaż dostrojone do owego śnieżnego tonu całości; są i szczegóły historyczne... — zwięzłość poety, niby nowego Dantego, wymagałaby obfitego komentarza; przeważają i wspomnienia osobiste (kochanki pierwszej, nieodstępnej w myślach); jest niby i spowiedź własnego życia, niby program jego a zarazem usprawiedliwienie czy objaśnienie owego smutku, trawiącego poetę; wyrażał go nieraz spółcześnie, w owym pysznym wierszu „Smutno mi, Boże“, w owej przygrywce i epilogu „W Szwajcarji“:

Bo tu i tam, za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno
I wszędzie mi źle i wiem, że źle będzie...

Smutek ten, to niby ekspiacja: nie czynem męskim, ofiarnym; nie przykładem świecącym i nauką porywającą, lecz oczekiwaniem biernem, skazanem zgóry na milczenie i niepamięć, i marzeniem czegoś zaświatowego, porywem za nieuchwytnym, niewyraźnym ideałem, właściwym poetyckim naturom, dokonywa ofiary czy odkupienia Anhelli, wybrany na to odmłodu, z rysami swego pożerającego smutku od samej kolebki, sam o tej ofierze przeznaczenia niewiedzący — gdyż bez tego nie byłaby ofiarą. Od rozpaczliwie ciemnego tła — widzenia wygnańców i ich robót nierozsądnych, nieludzkich nawet, jak i ich postępowanie z Szamanem — odbijają smętne, idealne twarze Anhellego i jego towarzyszek; czysty, jak lilja, biorąca z wody liście i kolory niewinne, pełen miłości i litości, opętany przez anioła, sam niby anioł, jak imię dowodzi, chciałby umrzeć, bo nie wie, dlaczego żyje, lecz wszystkich przeżył, sam został, jak harfa z porwanemi strunami, i ginie samotnik-marzyciel wybrany na ofiarę spokojną, ofiarę serca. Doktryna rozpaczliwa, lecz z takim urokiem słów i obrazów przedstawiona, że rozbraja wątpliwości krytyczne.

Mimowoli nasuwa się porównanie Konrada, Anhellego, Irydjona — bo utwór Krasińskiego nieobcy był Słowackiemu. Stworzył ich wszystkich spólny entuzjazm, ów podkład granitowy całej literatury emigracyjnej; lecz zadanie swe, jako wodza narodowego, każdy z poetów inaczej pojmował i przedstawiał. Niezdolny do czynu, marzyciel Słowacki podchwycił zapowiedź, wyrażoną w Irydjonie, lecz ją po swojemu wykonał; zamiast czynów ciągłych i bez wytchnienia, zadowolił się wysychaniem serca w piersiach, zmartwychwstania nie zapragnął, nie żądał się ujrzeć wolnym synem niebios; w takiem położeniu bez wyjścia zapowiadał natomiast Konrad mesjanizm Towiańskiego, apostolstwo nowego słowa ducha i wiary; godzą się zaś wszyscy trzej poeci w tem, że wypierają się wallenrodyzmu, szamotania się z losem, manowców konspiracyjnych, zemsty i zdrady, spadających na tych samych, co się niemi posługują.

Ze wszystkich utworów Słowackiego „Anhelli“ najbardziej jest fantastyczny, aż do mętności i mistycyzmu; zarazem najzwięźlejszy, a przytem najwięcej skomplikowany; nęci i tajemniczością samą pomysłu i cudownem wykończeniem formy i nadzwyczajną jednolitością tonu i kolorytu: chmura gwiazd, białych duchów, które lgną na łozy, jak szpaki Danta — rzecz taka ponura a taka mleczna, mówi o niej sam poeta.

W podobnym tonie rezygnacji, smutku i bólu, bez żadnego porywu do buntu, stałego w utworach poprzednich, utrzymał i sielankę miłosną, „W Szwajcarji“ (z „Trzech Poematów“, roku 1839): „tak prześlicznie idylliczne, a zarazem tragiczne, że nic podobnego o miłości *marzonej* nie znam w żadnym języku; są tam takie szklistości, przezrocza, takie bańki tęczowe, wieńce z świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu kochającemu, że... trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszów po wierszach Juljusza“, pisał Krasiński i słusznie.

Najpiękniejsza to dań poetycka, jaką naród polski złożył Szwajcarji, — wymarzonej, jak miłość poety — nierealna prócz kilku rysów, zdradzających wspomnienia pierwszej i jedynej miłości do Ludwiki Śniadeckiej. Na to arcydzieło prawdziwego i głębokiego uczucia złożyły się i przyroda alpejska, nastrajająca go do smutku i kochania, i tęsknota za miłością wielką, niepodobną do osiągnienia. Jest to opowiadanie epizodu życiowego, całego przebiegu od pierwszego spotkania, od miłości niewinnej, nieziemskiej, duchowej,

przez rozbudzenie namiętności i szału, aż do równego, spokojnego kochania, przerwanego ciosem losu, zawistnego szczęściu ludzkiemu — podobne do opowiadania Araba o losie równie złośliwym, prześladującym niewinnego. Opowiada to poeta o sobie, w pierwszej osobie, lecz skoro to miłość wyśniona, więc całość na sen nieco zakrawa, nieuchwytny, lotny, a mimo to zdolny zwichnąć szczęście na zawsze:

odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,

za tą „marą srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich na odłamie skały stawała przede mną — cicha, czysta, biała i spokojna“: odnajdziemy ją taką samą w „Lilli Wenedzie“, kiedy, zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowie swego poświęcenia historję, głęboko w serce raniona. Przeprawy tego dramatu miłosnego, stworzonego najoryginalniej — tylko pedant najzgryźliwszy, uprzedzony zgóry, wypatrzy kilka podobnych sytuacyj u Wirgiljusza, o Dydonie z Eneaszem w grocie, a inne motywy, jeszcze dalsze, u Dantego i Szekspira, a choćby w trenach Kochanowskiego— oddano z największem mistrzostwem, w najmiększych, najdelikatniejszych tonach, w konturach rozwiewnych, unikających wypuklejszego rysu: i wstydliwość pierwszego uczucia i bezgraniczny hołd męski, niezdobywający się na słowa wyznania, ośmielony dopiero przez bogdankę do tego, i to, jak igraszkę niewinną, to przezrocze kryształowe dusz, pierwszy powiew namiętności zamącił na zawsze, jak w nowej harmonji zespalały się dusze, aż ugodził cios nieubłagany. Do miękkich tonów uczucia dostrojona jest cała przyroda w ciszy i bieli gór majestatycznych, wyidealizowana, jak kochanka-niebianka, wedle zasady poety, stapiającego, co widział, z tem, co wymarzył. Nikt cudowniejszej, czystszej miłości delikatniej i czulej nie wyśnił, ani nie wyraził lepiej owych przeczuć, co straszą i grożą; pod powiewnemi obrazami romansu kryje się smutek bezbrzeżny, jak w życiu poety, niby niewywołany niczem, a wszędzie i zawsze przytomny.

Z jaką siłą umiał oddawać i rzeczywiste nieszczęścia, pokazywał pierwszy z owych „Trzech Poematów“, „Ojciec Zadżumionych w El-Arish“, oparty na fakcie, o Laokoonie arabskim, w którego oczach potwór-zaraza jedno po drugiem z ukochanych dzieci pożera, lecz ojca przy życiu zostawia, aby się nad nim tem srożej pastwić, nad niewinnym zupełnie, wobec nieruchomej, obojętnej

przyrody, szydzącej z cierpień, przebiegających całą skalę, od pierwszego przerażenia, od namiętnych złorzeczeń aż do zmiażdżenia, utracenia woli i myśli pod piorunowaniem losu-niszczyciela; poemat tak wymowny i wzruszający, że nie zadowalano się jego sensem dosłownym, że dopatrywano się w nim, jak i w „Balladynie“, alegorji.

W „Wacławie“ potknął się poeta; nadto znaną była osobistość „grafa Wacława“ z „Marji“, aby nie raziła dowolność, z jaką dzieje jego przekształcał, fantastyczne dzieje Byrońskiego bohatera, upiora raczej, spowiadającego się z grzechów własnych i zbrodni cudzych, piętrzących się niesamowicie, upiornie. Nerwy czytelnika oszczędzał jeszcze mniej, gdy rzucał nań „Poematem Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle“, gdzie w stylu kontuszowym, gawędziarskim, o strasznych mękach prawiono; przeraźliwy smutek przeżerał i te dziwaczne utwory; dopełniać, co inni zaczęli, było niemal nałogiem poety, więc Malczewskiego dalej, ale nieszczęśliwiej, poprowadził. Cały ten okres twórczości florenckiej (szwajcarski był szekspirowski) był zresztą dantejski, ale bez głębi dantejskiej; poeta najróżnorodniejsze, nieraz mało sharmonizowane szczegóły, choćby od Krasińskiego i Nieboskiej, przeładowywał sensacyjnemi okropnościami.

Stylu gawędowego, Soplicowskiego, próbował i w opowiadaniu prozą, od Pana Kochanku, jedynie godnego przedmiotu dla takiego stylu, przeskakując ze strasznemi anachronizmami do księcia Sierotki i jego pielgrzymki do Ziemi Świętej; równocześnie w dramacie prozą, z czasów Jana Kazimierza a z okolic Krzemieńca, kreśląc obrazki cichego, szlacheckiego życia, życia żaków i mieszczan, przerwanego katastrofą ogólną; dramat ten („Złota Czaszka“) niestety, nie wykonany czyli raczej zdefektowany, tak, że tylko z nadzwyczaj udatnych resztek o znacznej dla literatury stracie wnosić wypada.

Ów odmienny, właściwszy poecie, ponuro-mleczny styl „Anhellego“ i „W Szwajcarji“ objawił się w nowym dramacie z pradziejów polskich, w „Lilli Wenedzie“; „Krakusa“, niby Henryka IV uzupełnionego przez inne kopje Szekspirowe, już nie zamierzał poeta ogłosić, imiona z niego powcielał do innych (Eolion, Ślaz).

Jak wystarczyło kilka strof „Malin“, aby całą Balladynę przepoić zapachem malin i światłem księżyca, tak kilka wierszów Byrona o smutnych losach Julji Alpinuli, poświęcającej się napróżno za ojca, zawładnęły całą tragedją, powołały do życia postać

niebianki-dziewicy, która, nie zaznawszy innej miłości, wylała się cała, Kordelja słowiańska czy Antygona, w prostocie anielskiej, dla rodziny nieszczęśliwej, aby — napróżno — uchylić, co losy przeznaczyły.

Z tą tragedją miłości rodzinnej wiąże się tragedja narodowa: Derwid, król Wenedów, ginie z całym ludem, wytępionym przez Lecha i jego Lechitów; Lechici, obdarzeni przez poetę, szydzącego stale ze wszelkiej chronologji, cechami późniejszej szlachty, nawet jej gustem „do wrzasku, do ukwaszonych ogórków, do herbów", zwyciężają Wenedów. Na pytanie, dlaczego? niema odpowiedzi — los odwieczny tak chciał, odebrał im serca i wydał wrogom na pastwę. Lecz nie jest „Lilla", jak twierdzą, tragedją powstania listopadowego, niby drugą częścią „Kordjana" — bez alegorycznego tłumaczenia, dowolnego całkiem, nie przepuszczano dzieł Słowackiego. Jest nową „Balladyną", nową kroniką dramatyczną z planowanej serji, ale mniej fantastyczną baśnią, wnikającą głęboko w duszę narodową i dlatego dopełnioną, niby chórem ostatnim, Grobowcem Agamemnona, a napomykającą, z chronologji sobie dworując, zarówno o późniejszych nałogach i słabościach narodowych, jak i o bezsilności katolicyzmu (Grzegorza XVI!)

Dla scharakteryzowania Wenedów użył poeta, prócz rysów i barw Osjańskich, wiadomości, podanej przez kronikarzów bizantyńskich o rosłych wenedzkich śpiewakach, odbywających daleki pochód bez miecza; z innych, mniej wiarogodnych źródeł, inne szczegóły powplatał w najlepszej wierze: o Lelum-Polelum, i nazwą i kształtem (dwóch serc o jednym ręku) zagubę narodu, wydającego takich bohaterów — a emigracyjni byli wszyscy tej modły — zgóry wieszczących. Wplątał i chrześcijaństwo, na przekorę ultrakatolicyzmowi kółek emigracyjnych, wystawiając przedstawicieli jego w arcy-niewygodnem oświetleniu; za nich to, obniżających koturn tragiczny, przyjaciel od serca (Krasiński) zgromił go i słusznie. Jeden z nich, łotr wierutny, podła dusza, drugi święty, lecz nie świetny; anioł-Lilla tak opromieniona wdziękami ciała i duszy, że i aureola chrześcijańska uroku jej dodać nie może. Siostra jej, krwawo-płomienna Roza, od białej lilji-anielicy odbijająca, to wcielenie żywiołowej siły ginącego plemienia, która — za przykładem mitu greckiego, znanego Słowackiemu z „Przemian" Owidjuszowych — popiołami przodków zapłodniona, Popiela-mściciela wyda na świat; nazwę od włosów, między Słowianami nierzadką, pojął poeta dosłownie. Obok tych dwóch wprowadził i trzecią heroinę,

Gwinonę — Słowacki sam jeden więcej typów kobiecych stworzył, niż wszyscy nasi wielcy poeci razem. Lech, awanturując się po świecie, napotkał awanturnicę-amazonkę germańską, rywalizującą z Chriemhildami frankońskiemi w krwiożerczości i energji, gardzącą w imię tej zaciętości mężem własnym i narodem jego, szydzącą z ramion rycerskich, a głowy bezmyślnej. Wobec tych trzech kobiet, mężczyźni, Derwid, Lech, Lelum-Polelum, schodzą z głównego planu; bohaterka Lilla trzema zakładami ojca, bierną ofiarę odbija, niechybnej śmierci, rękom mściwej i hardej Gwinony. Zewnętrznej szaty użył chameleon-poeta tym razem starogreckiej, nawet chórami się posługując, aby posągową wielkość osób „prosto a z krzykiem“ wystawił; od strasznych, odrażających scen, od katastrof, wywołanych nie winą osobistą, lecz przez nieubłagane fatum dziejowe, przygnębiających więc tem bardziej czytelnika, odbija styl klasyczny, koturnowy.

Niestety, nie zadowolił się autor niezbędnemi dla uwydatnienia idei motywami i osobami; doczepił niesympatycznych przedstawicieli katolicyzmu, pedantycznego Gwalberta i Ślaza (Chilona Sienkiewicza); wyczytawszy o Alpinuli, że była kapłanką, nałożył najniepotrzebniej na Lillę śluby chrześcijańskie, szydząc z ich bezużyteczności. Dodatki te psują ton wyniosły całości; wywody słowne, na które lgnął, jak muchy na miód (Polelum, że po „Lelu“ będzie), to wilki szkodliwe, z których należało okrzesać wspaniały pień. „Lillą“ targnął za najskrytsze struny jestestwa narodowego i nie przypadkowo dołączył do niej wiersze Grobowca Agamemnona, chłoszczące boleśnie, dotkliwie, uczucia i godność narodową.

Fantazja Słowackiego, zawsze lubująca się w okropnościach, zwracała się i ku obcym tematom, nastręczającym ich stek, więc i ku Beatryks Cenci, ojcobójczyni w imię skalanego dziewictwa; wystawił ją wbrew Shelleyowi, po dokonanej zbrodni, i dodał nowe zbrodnie: bratobójstwo; dramatu, mimo zapowiedzi dziennikarskiej, nie wydał, bojąc się może nowych zarzutów „obcej osnowy“. Nie wydał — literatura emigracyjna wracała z trudem łożone na wydawnictwa koszty, i — „Nowej Dejaniry“ („Niepoprawnych“), gdzie do najbliższej rzeczywistości sięgał, do życia wielkopańskiego i ofiar jego: zadłużeni hrabiostwo Respektowie poświęciliby córkę bez skrupułów; cios uchyla wmieszanie się innych osób; rozstrzyga Polak-Czerkies, poświęcając również bez skrupułów życie, ale — własne; tragiczny przez to dramat, nieutrzymany w tonie przez wmieszanie scen komicznych, mija się niemal z satyrycznem zało-

żeniem, godzącem nietylko w Respektów, ale jeszcze bardziej w Fantazego i Idalję (niby Idealję) i ich poetycko-sentymentalne turnieje; postaci to ciekawe właśnie dla romantycznej egzaltacji główek, nie serc, których „pasz“: może wzgląd i na jawną niedyskrecję — portrety obojga zdjęte z najbliższych, najlepszych znajomych poety-Chochlika — odradzał wydania.

Chochlik-Słowacki rozigrał się w najlepsze w „Beniowskim“. Jak Mickiewicza, przyciągała i jego konfederacja barska, ostatni ruch staropolski o fantazji szlacheckiej, z malowniczemi szczegółami i charakterystycznemi osobami, stworzonemi nie na miarę ludzi dzisiejszych, zakrywającemi niedołężność samej akcji; nie Puławskiego jednak obierał na bohatera, lecz księdza Marka, Sawę i wplątanego w Barszczyznę Węgra, Beniowskiego. Już to rzeczywisty Beniowski, który na Kamczatce bunt, a w Madagaskarze wzniósł królestwo, chyba nieprzebrańszą kopalnię poetyckich wymysłów przedstawiał, niż sam fantastyczny Don Juan Byrona; Rulhière'a, historyka owych walk polskich, znał i cenił Słowacki i z niego czerpał, warując sobie, jak zawsze, najzupełniejszą swobodę w kreśleniu akcji i charakterów.

Temat Beniowskiego zaprzątał go latami. Nadawał mu się najpierw do stworzenia polskiego Fausta: marzeniem Słowackiego było na własną paletę sprowadzać wszelkie barwy i blaski, w jakie się mieni poezja świata; Otello i Lir, Makbet i Hamlet, Osjan i Dante, Eurypides i Calderon mieli mu hołdować czy go zasilać. Więc nęcił również Faust-Mefistofel, ale, zamiast Twardowskiego i Krzemionek, obrał sobie Beniowskiego i Morskie Oko, przeprowadzając Beniowskiego na płaszczu Pamfila przez Ruś i Litwę. Powstawały sceny nadzwyczaj efektowne, ludowe, z Litwinem i Mazurem, z Panie Kochanku i ks. Markiem — może nadmiar tej fantastyczności wkońcu go zraził, gdyż nie mieścił się w formach dramatu, i poeta sam przerywał go wstawkami epicznemi. Rzucił więc formę dramatyczną; fragmenty jej przedstawiają kalejdoskop dziwnej piękności, głębokiego uczucia, najniezwyklejszych szczegółów; nie zadowolił go Faust-Beniowski, ścierający motyli pył z serca i głowy, nabywający gorzkiego doświadczenia, niewiary — wrócił do świeżego i zdrowego Don Juana niby, rzucającego się z dziwną otuchą, z wiarą w gwiazdę przewodnią, w wir walk fizycznych, nie myślowych. Z formą odmienił i bohatera, zrobił go epicznym, godnym braci Homerowej, tem łatwiej, że okoliczności osobliwsze

zmusiły do obrania tej epicznej formy, gdzie niezrównany kunszt najwyższe miał święcić triumfy.

Dziwne to były okoliczności. Oddawna drażnił poetę brak uznania, milczenie ogółu, obojętne lub uszczypliwe wzmianki starych bab krytycznych, ferujących wyroki o rzeczach sztuki najwyższej, na której się nie znały; „kruszyło się w nim serce smętne, że nikogo nie miał ze szlachetnych za sobą, że próżno słowa wyrzucał namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych, na serca zawsze wstrętne". Gdy się przezwyciężył, gdy przystąpił ze słowami szczerego uwielbienia do Mickiewicza, gdy się do niego w świetnej improwizacji dostroił, przedstawili to niechętni jako abdykację, poniżenie jego, odmówienie mu tytułu poety, i znowu nikt się za nim nie ujął; więc sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Oktawy Ariostowe nadawały się do ciągłych odstępstw, w jakie się wprawił, pisząc „Podróż na Wschód"; jak w niej dotarł nie daleko, podobnie i w pięciu pieśniach Beniowskiego — bohatera dopiero na progu właściwych wędrówek i awantur postawił.

Wierszem Tassa zaczął epos o czterdziestu czterech pieśniach, zgóry wiedząc, że go nie skończy, gdyż, jak Byronowi w Don Juanie, i jemu o całość, o Beniowskiego wcale nie chodziło: na tej kanwie wysnuwał credo polityczne, religijne, literackie; ścierał się z wrogami i koterjami, wyzywał niezdarnych recenzentów, krytykę z prymasem Grabowskim na czele, filozoficzność „Tygodnika literackiego" Poznańskiego, dewocję Witwickiego, „princypja" emigracyjne, słabostki narodowe; zmierzył się wkońcu z samym Mickiewiczem:

Długo po świecie, pielgrzym tajemniczy,
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła...
Różnemi drogi mój poemat wiodę...
Nie wiem, czego chce i czego dowodzi,
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił, i nic więcej.

Obok tych wynurzań i wywnętrzań, subjektywnych, złośliwych, gdzie „ten ścięty rym nieraz kąsa was aż do jelitów i płynie, jako szalone okręty", sama treść nadzwyczaj poetyczna i ponętna, wystawiona w całej krasie wyobraźni płomiennej a niewyczerpanej, w całym czarze słowa i muzykalnego i malowniczego. Postaci zajmują, od dziwaka starego, pana Ladawy, z mitologicznemi za-

kusami, którego przed dziesięciu laty wystawiał w romansie francuskim, od wroga konfederatów, Dzieduszyckiego, podkradającego się do bogatego pana o rękę córki, aż do Beniowskiego, odpowiednika pana Tadeusza, pełnego fantazji i serca, niedalekiego myślą i doświadczeniem, bogatego uczuciem, młodością, siłą; do Sawy, ogromnego skarbu dla pisoryma, pół kozaka a pół szlachcica; do księdza Marka, górującego nad otoczeniem świętym zapałem, niewzruszoną wiarą, gołębią prostotą, energiczną myślą, natchnieniem z niebios; do obu kobiet, najpiękniejszych, jakie literatura stworzyła, do Anieli, wstydliwej i skromnej, energicznej i ostrożnej, gotowej do ofiar i poświęcenia, niezłomnej mimo przyrodzonej wiotkości, szlachetnej i czułej; do owej Swentyny, kozaczki-cyganki, z niewysłowionym wdziękiem dziecka natury, niby „Mignon“ Goethego: wiatr i gołębica, poseł i anioł, ta śpiewna, czarodziejska stepowa królewna, jako duch ze mgły na słońcu różany, z ptakami srebrnemi, ubierającemi jej smukłe ramiona.

Mimo ciągłych przerw i odskoków toczy się wartko opowiadanie, od chwili, gdy Beniowski dom, już nie własny, wierzycielom zostawia, z Anielą się wita i żegna, aż do napadu na zamek ladawski, zamierzonego przez hajdamaków, a dokonanego przez Marka i Sawę, do walk na równinie Barskiej i wysłania Beniowskiego do chana krymskiego. Postaci poeta wyidealizował, od ks. Marka, mało do prawdziwego ks. Jandułowicza podobnego, do Sawy-Calińskiego i jego uroczej siostry; każdą jednak utrzymał w swoim tonie, osadził na granicie rzeczywistości, czego postaciom jego przedtem nieraz brakowało. A do tych lazurów wymysłu przymieszał, za radą przyjaciela (Krasińskiego), trochę żółci, dał uczuć rękę, rąbał i siekał, aby, zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie i gdzie indziej lecieć, „gdzie mnie z widm orszakiem

Fantazji czeka muza, świeża, płocha,
Młodości mojej czarowna pochodnia,
Błyszcząca, razem smętna, muza wschodnia“.

Nowa rola satyryka nie odpowiadała poecie; przyznawał sam: gdyby miał nietyle wzgardy tego, co jest i będzie, więcej litości nad sobą samym, dawną dumną wolę —

Być może, lutnię szalonego barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną —

narazie rozkoszował się w dzikiej harmonji gwaru, co czasem, jak wąż pośród ruin, syka, a czasem podobna do aniołów swaru — odczuwając całą pełnię swej siły poetyckiej, dumny przekonaniem:

do wiersza mam, jak sądzę, prawo:
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mnie sekstyna.

I dopełnił, co zamierzał:

aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem...

Swego „Child Harolda", „Podróży na Wschód", nie przeznaczał Słowacki do druku; wcielał z niej całe ustępy i do „Lilli Wenedy" i „Beniowskiego", rozrzucając z hojnością królewską skarby nieprzebrane wymysłów poetyckich; Don Juanem-Beniowskim podzielił się zato poeta z publicznością, chociaż zamiast aplauzu — pozyskał gromy, nawet wyzwanie na pojedynek. Porównanie z Don Juanem o tyle nie wypada na korzyść Słowackiego, że jego widnokrąg znacznie jest węższy: sprawy osobiste, literackie, najmarniejsi przeciwnicy, zbyt wiele miejsca i zaszczytu zabierają; apostrofa końcowa wyzywa nie Boga lub świat, lecz rywala na Parnasie. Ale olbrzymia siła poetycka występuje w szczegółach, w owym liście Anieli, równym listowi Tatjany i Elwiry; przejmującą tęsknotą, dotkliwym smutkiem całą sympatję naszą zdobył poeta; świetną wyobraźnią, głębokiemi myślami, choćby paradoksalnemi, nas olśnił; kaprysami nawet swej muzy oczarował; widoczną nieraz przesadą nie odtrącił: wszystko okupywał czarem słowa, harmonją wierszów, przepychem kolorów — kto po nim potrafi wiersze pisać, wzdychał Krasiński.

Do najrzewniejszych ustępów należą skarga do kochanki — bo ani w Anhellim ani w Beniowskim o niej nie zapomniał, — pierwotnie stosowana do matki; do najwznioślejszych — wyznanie wiary,

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu...

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza:
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie chełza...
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łza...;

Najzłośliwsze są ustępy o emigracji i jej bohaterach, o jezuitach i ich robocie. Poeta był u zenitu swej siły.

Stworzył arcydzieło w rodzaju Ariosta czy Don Juana; połączył rzutkość, giętkość, błyskotliwość wysłowienia z opowiadaniem samem, pełnem blasków i życia; lotna fantazja uplotła pasmo barwne, chaotyczne niby, z najdziwniejszych epizodów; kontrastowały „cudowna awantur girlanda", stek przygód nadzwyczajnych, postaci wymarzonych (od Swentyny czarującej do owego milczącego brytana u Sawy), z realnością rysów i uwag, z ironją iście romantyczną, przedrzeźniającą siebie samą, szydzącą z czytelnika, autora i wzruszenia, łączącą rycerskość ludzi renesansowych, bohaterów epicznych, z poziomością owego mamuta Litwina ze słomą w butach, ze sługą Perkunasem i zawijaniem kołdunów. Obrazy niesłychanej barwności i drastyczności (scena w zamku ladawskim z przygwożdżoną ręką pana regimentarza; pojedynek Sawy i Beniowskiego; sceny w dębie, jakiej Ariosto nie przewyższył, lub w Anielinkach, z ich rzewnym wdziękiem) przetykał poeta wybuchami sarkazmów, wybrykami humoru, docinkami ironicznemi, czy gdy emigrację o łatwowierność posądzał, czy o brak w niej charakterów (Żeby też jedna pierś była zrobiona nie podług miary krawca, lecz Fidjasza), czy gdy z jej doktrynerstwa się natrząsał, lub recenzentów kąsał; przeplatał je smętnemi skargami, żalem nieutulonym — zwolna serca swego rwał kawały, zamieniał je w piorun i w twarz ludziom ciskał; hołd, złożony bogdance młodości, liczy się do pereł erotyki wszechświatowej.

Z „Beniowskiego" ogłosił pięć a napisał czternaście pieśni; od szóstej do trzynastej opiewał głównie (nieudałe) poselstwo do chana; na tem kończyła się część pierwsza. Z drugiej, z „Iljady Barskiej", tylko pieśń pierwsza wykończona — potem rwał duch poetę do innego lotu. I w następnych pieśniach znajdujemy piękności niezrównane; z dygresji uderza hołd nadzwyczajny, złożony „Panu Tadeuszowi", lub namiętna wycieczka przeciw Hance i mrzonkom czeskim; w dalszym ciągu poeta coraz gwałtowniej i niespokojniej się rzucał, rymy i koloryt stawały się coraz dziwniejsze, harmonji było coraz mniej, coraz mniej władania nad inspiracją,

coraz fantastyczniejszą. Nie był to przypadek: podziałał tu wpływ inny, nieliteracki; ten, co niedawno o sobie twierdził,

żem jest coś, jak grecki antyk,
panteista trochę i romantyk,

przedzierzgnął się nagle w towiańczyka, w r. 1842.

Z mistrzem poufaliło go najpierw wysokie znaczenie, przypisywane natchnieniu, światłu górnemu, trąceniu Duchem; któż mógł je lepiej ocenić, niż on, „syn pieśni, syn królewski"? Nęciła nauka o duchach światłych i ciemnych tego, na którego „z grobów ojczystych patrzą blade twarze", a od którego srebrny anioł i złoty duch dobrej rady odganiają czarne cherubinów stada. Kto mit o Popielu tworzył, ten zgóry musiał uwierzyć w metempsychozę, w wędrówkę duchów, w stopniowe podnoszenie się lub spadanie. Lecz nie fantazja sama odgrywała tu rolę, kazała mu apostołować wszędzie, w łonie własnej rodziny, u Krasińskiego i innych — pod wpływem nowej wiary odmienił się cały człowiek, wylinił się z dawnych przywyczek czy nałogów. Zapomniał o sobie samym, nie dbał już o pozory, wygody, przyjemności; służył innym, pozbył się wszelkiej wrażliwości, tak łatwo dotąd odstręczającej od niego, podejrzliwości i próżności; nie łaknął już sławy osobistej; wszedł w siebie, spokorniał i skruszał. Przepajał się miłością do ludzi, wymagał coraz więcej od siebie, coraz mniej od innych, przeanielał się za życia. Wiarą, wyznawaną dotąd raczej ustami, fantastyczną i kapryśną nieraz, jak jego miłość ojczyzny, przejmował się coraz rzetelniej, schrześcijanił się zupełnie, chociaż nie po katolicku.

W miarę jak zyskiwał człowiek, tracił narazie poeta: umysłowo tem wyłączniej czynny, pożerający coniemiara dzieł filozoficznych i przyrodniczych, piszący nadzwyczaj wiele, pozbywał się zrazu krytyki, rozwagi, puszczał się ślepo za natchnieniem chwilowem, gorączkowem. Przejęty boskością natchnienia, nie chciał go wcale sprawdzać zrazu, uważał się niby za naczynie, przez które się to natchnienie tylko przelewa: „jak szalony, piszę prędko... pisałem tak, żem się aż zmęczył i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą". Wyznawał sam, „że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłumaczyć nie mogę, nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą"; były to improwizacje raczej, niż rzeczy należycie obmyślane. Towarzyszyło im tłumaczenie „Księcia Niezłomnego"; do mistyka-dramaturga hiszpańskiego przyciągało Słowackiego oddawna wiele

spólnego, ów żar namiętności, wylewający się w burzy słów i porównań, egzaltowane uczucie, nadludzkie charaktery, cierpienia i czyny. Formą Calderona przejął się teraz poeta i w niej utworzył „Księdza Marka“ i „Sen Srebrny Salomei“. Wydała je Iljada Barska; ciąg dalszy „Beniowskiego“ wylał się znowu w formie dramatycznej; do niej poeta zawsze nawracał.

Ze wszystkich tych prac tylko ów przekład pozostał trwałym nabytkiem dla literatury, nie dla wierności i dokładności, lecz dla znakomitego utrzymania się w tonie namiętno-mistycznym Hiszpana, a raczej w prześcignięciu go. Zato grzeszą oba dramaty, barski i hajdamacki, rozwlekłością dykcji: wezbrany, mętny potok słów wylewa secinami wierszów, rozrywa wszelkie tamy dramatyczne; nieprawdopodobieństwem akcji, piętrzącej okropności na okropnościach (odzieranie z pasów, palenie żywcem), lub cudami samemi się toczącej, jaskrawej zawsze, przerażającej; dziwacznością albo raczej brakiem motywowania, niekonsekwencją charakterów. Beniowski, zdrowy i silny, ustąpił; miejsce jego zajęli wizjonerzy-prorocy, cudotwórcy i lirnicy-czarodzieje, ks. Marek i Wernyhora; dalej tłoczą się figury hajdamackie, wrogowie konfederacji, tępiciele buntu; od nadmiaru osób, cudów, dzikości omdlewa uwaga czytelnika, bierze go wkońcu niesmak, przesyca się wstrętem do tych scen nocnych, ginących w półświetle fantastycznem, przelewających się krwią i łzami, ponurych, rozdzierających nerwy. Ginęły w tym nawale grozy i przerażenia pojedyńcze, wzniosłe słowa (o wszechmocy miłości chrześcijańskiej), wymowne ustępy, porywające sceny o sile niepohamowanej, tajemnicze wywody (Wernyhory) i myśli głębokie, ukryte raczej, niż jawnie wypowiedziane, osobliwsze zamiary i cele.

Najniżej stanął „Ksiądz Marek“, mimo przedstawienia potęgi słowa i ducha, nieznających szrank cielesnych czy materjalnych, płodzących cudy; przez ks. Marka i Judytę działają siły nadprzyrodzone, jak i przez słowa poety; jak oni za swe czyny, tak on za swe słowa jest odpowiedzialny; akcja przybiera więc cechy żywiołowej, elementarnej i budzi, właśnie na scenie, porywające zajęcie — poemat ten dramatyczny jest sceniczniejszy, niż dramaty autora; sama jego akcja jest bezpośrednią propagandą towiańszczyzny, wiary w duchów i cudowność, wyrażonej owym pysznym językiem poety.

Niebawem jednak ochłonął z tego żaru i ostro siebie osądził, pisząc do Krasińskiego, dotkniętego postacią swego przodka w tym

dramacie: „sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu, obaczyłem wątłość dzieła". Krótkim wierszem Calderona, niby urywanym, zawładnął poeta znakomicie, lecz dawał się unosić niepohamowanemu rozpędowi słowa, do którego się godnie dostrajały uczucia najprzesadniejsze, ekstatyczni ludzie, niby zstępujący z płócien Ribeiry, orgje i szały myśli i czynów, wyłaniające się z tła najposępniejszego, tonącego w nocy ponurej, oświetlanej błyskawicami, ogłuszanej grzmotami.

W ściślejszem, mickiewiczowskiem kółku towiańskiem nie wytrwał zbyt długo; nie poddawała się harda natura ciągłemu, nieraz niewłaściwemu podpatrywaniu tajemnic duchowych, wysilaniu się na „ton", nadmiarowi nauk, przestróg, a choćby upokorzeń; zbyt głębokie różnice dzieliły oba duchy. Mimo zerwania z kółkiem, nie przestał Słowacki być towiańczykiem aż do śmierci; jak dotąd, oskrzydlał i nadal towianizm jego pomysły, coraz dziwniejsze, a nieraz i dziwaczniejsze, chorobliwsze. Pisał nadzwyczaj wiele, chociaż niewiele wykończył; czasem pod wpływem jakiegoś wrażenia, zasłyszanego opowiadania, przeczytanego wiersza, rzucał swe nadobłoczne krainy i do rzeczywistości się zniżał, np. w przejmującej zgrozą „Rozmowie z Matką Makryną Mieczysławską", rywalizującej z „Ojcem Zadżumionych", albo w „Wierszu do Autora Trzech Psalmów", zjadliwym pamflecie politycznym. Pisał we wszystkich formach, wierszem i prozą uroczystą, modlitewną czy prorocką; w „Genesis z ducha" przedstawił najzupełniej pogląd na świat materjalny i jego stopniowe uduchowienie: jest to wyznanie wiary panteistycznej, przeładowane terminami technicznemi i szczegółami zbędnemi, obfitujące w znakomite obrazy i myśli, górujące w żądaniu czynu, t. j. ofiary, przypisujące własnemu narodowi rolę najwybitniejszą.

Inaczej niż u Mickiewicza, uderzył towianizm u Słowackiego znowu przeważnie na fantazję, odczepił ją od jednostki i doby, pogrążył w dociekania zaświatowe; i te brał Słowacki za natchnienia z góry, o prawdzie ich był przekonany i kończył je modlitwą: „O Panie, który kazałeś szumowi morskiemu i szelestowi wietrznych pól, bladem kwiatkiem okrytych, aby wiedzę na dnie ducha mego uśpioną obudziły, spraw, aby te słowa, westchnieniem pisane, przeszły, jak wiatr i szum morski, a przechodząc i mijając, mocy duchowe w ojczyźnie mojej uśpione z nieświadomości własnej na

światło wiedzy wywiodły". Prawem ciążenia tego świata był aksjomat: wszystko dla ducha i przez ducha, a nic dla cielesnego celu nie istnieje, i ciekawem jest śledzić, jak zapomocą rozmaitych przemianych i trójc wykombinowanych nieraz świetnie, Słowacki budował świat i raj słoneczny, jego utratę i powrót do niego.

Obok traktatów, a raczej zbiorów aforyzmów, godnych ucznia Swedenborga, liczne dramaty, najfantastyczniejsze (np. o Zborowskim), wystawiały bohaterów ducha, narzędzie Opatrzności, dziwne symbole. Z dramatów tych najbardziej wykończony „Agezylaus"; bohater jego Agis poświęca siebie, ażeby porządki Likurga, paladjum Sparty, któremu się sprzeniewierzyła, na nowo urzeczywistnić — tak jakby porządki Chrystusowe w naszem społeczeństwie chciał kto przeprowadzać; Agis ginie w nierównej walce z niechętnymi, z wielbicielami materjalnej siły, egoizmu, interesu, ginie ofiarą za obce grzechy i winy; obok niego staje godnie niewiasta, nieznająca innego obowiązku, prócz poświęcenia się, najpierw za ojca, potem za męża.

Od tych rzutów, scen i pomysłów, zgóry zapewne nieprzeznaczanych na ostateczne wykończenie, odbija wytężona praca kilkuletnia nad rapsodami „Króla-Ducha". Z głębokiej wiary w duszę nieśmiertelną, w moc Ducha, wyłoni się łatwo wiara nietylko w istnienie owej uśpionej duszy po śmierci, lecz i w przyoblekanie przez nią nowych kształtów, w jej podnoszenie się lub opadanie przez pokolenia, w urzeczywistnianie idei przewodniej w coraz nowych formach bytu.

Wodzem narodu, jego królem-duchem jest ten, co najpełniej, najświadomiej przejmie się jego posłannictwem i wcielać je usiłuje, albo, słowami poety samego, „podobnie, jak przed światem stworzonym, było słowo czyli duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnie poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla której następnie ludzie, w formę pewną, tej idei właściwą, skrystalizowani, pracowali; z takich to idei powstawała pewna forma agregacyjna i ta stanowiła narodowość. Idee takie... z całą pięknością ogni, ulatujących nad narodami, przelatywały i świeciły — wyobrażone nareszcie mniej więcej, usiłowaniem czynnym rasy, dla której były stworzone, przechodziły w kształt".

Otóż Armeńczyk Her, — wzięty z Platona, gdyż jego „idee" są podstawą całego pomysłu — nie skosztowawszy wody letejskiej zapomnienia, ujrzał w zaświecie dwie zjawy: „Królową", symbol idei najwyższej, ostatnich przeznaczeń ludzkości, i drugą, niby

wiodącą do niej, „piękność, córkę Słowa, panią któregoś z ludów na „Północy“; duchy mu pokazały obie, ową pierwszą jako świt daleki, umiłowaną odtąd i na wieki, śpiewając o niej na harfach wietrzanych:

Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny przez dobre duchy malowane;
Żywot tysiącem żywotów zapłacisz,
A zawsze jednę tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema,
Tę jednę smętną ranę — że jej niema!

Za nią to jego dusza na nowe się wzmogła loty i nowym buchnęła płomieniem, odtąd przeznaczona została do coraz nowych wcielań, o czem miały prawić rapsody:

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy, wężową napełnione zdradą,
Powiem, wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte

— a więc wyznanie wiary Towiańskiego, o kolumnach duchów jasnych i ciemnych i ich zapasach.

Pierwsze wcielenie Hera, któremu duchy „jutrzenek greckich różaną pogodę nagle ręką zasłoniły“, to Popiel, syn popiołów, wydany na świat przez ową nornę-walkirję, Rozę, (Słowacki, jak i Krasiński, z upodobaniem z sag północnych czerpał, zastępując niemi brak słowiańskich), niby mściciel wytępionych Wenedów, w istocie do innych przeznaczony celów, gdyż duch-przewodnik bywa odmiennego od narodu, na jaki ma działać, pochodzenia, obcego i najniższego zarazem. Popiel wędruje po kraju i poza nim, dając poecie osnowę do roztaczania pysznych obrazów (np. palenia umarłych w łodzi); dostał się wkońcu do króla Lecha za pachołka i niebawem wysoko stanął; kiedy się bowiem z ciemnemi duchami sprzymierzył, zamierzywszy się tylko myślą lub uderzywszy oczyma, usuwał rywalów czy wrogów i wkońcu „w zamku cedrowym nad gopłową wodą był najpierwszym złotym wojewodą“. Uwięziony przez podejrzliwego Lecha, uwolniony przez córkę jego, ducha czystego, mści krzywdy, najeżdżając z obcymi własną ziemię; Lech już nie żył, Wanda wolała śmierć w Wiśle, niż upokorzenie, lud cały strachem ohydnie znikczemniał i Popiela okrył Lechową pur-

purą. Odtąd zaczął się Popiel nad ludem srożyć, prześladować go, wynajdywać coraz okropniejsze męczarnie — niby postanowił niebiosa zatrwożyć, zbrodniami przedrzeć błękit i kolumnami praw, na których siedzi anioł żywota, zatrząść tak z posady, aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady; co jednak dziwniejsza, że go ukochał lud za siłę i za strach i za męczarnie, — lud owiec, który się ku pasterzom garnie. I piętrzył Popiel zbrodnie na zbrodniach, aż przebrał miarę; ogromny znak się ukazał, przyszła z jego zgonem kometa; lecz dopełnił Popiel pierwszego zadania:

Kupiłem naród krwią i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi...
Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała [1]).

— on ją niby stworzył, jak duch pierwszej natury w chmurach i piorunach z ogni wrzących diamenty, bazalty i granity; *moc* słychać było w każdym jego kroku; nad nim była myśl słoneczna, złota, do niej wiodły ciemne, okrwawione wschody; on wytknął drogę ludowi, który zawsze zwyciężał, gdy tą mocą błysnął; gdy się zaś drugą falą z niej zmieść dawał, zdobywał się tylko na bezwonne, martwe kwiaty ciała; owej dawnej trwogi nikczemnej nigdy już po sobie nie miał okazywać; okupił to rzezią i pożogami.

Taka była treść trzech pieśni, stanowiących pierwszy rapsod, napisanych w roku 1846. Szczegóły czerpał poeta zewsząd, z opisu pogrzebu zamorczyka-wikinga, czy z orlich piór husarji polskiej. Głównie przyświecał Groźny; treść drugiej i trzeciej pieśni wzięta jest z dziejów jego i Kurbskiego, nawet ów list sławny i przygwożdżenie nogi posła do kamiennej podłogi: taki Groźny musiał stać na zaraniu dziejów Polski, bo skądżeby wyszła wszechwładza Piastowska, kiedyżby rozprzęgliwe trzody słowiańskie dały się ująć w karby i stworzyć potęgę, skupioną a rzutną, Chrobrego; tego czynnika, wszechwładnego na Rusi moskiewskiej, tworzącego państwo olbrzymie, zabrakło w dalszych dziejach Polski na własną jej szkodę.

Wrócił więc Słowacki do myśli, głęboko zapadłej, nasuwającej się mimowoli z porównywania dziejów polskich a ruskich, wyrosłej z najważniejszego zagadnienia: jak z jednego, spólnego, słowiań-

[1]) Jak chronologją, pomiatał Słowacki i etymologją; Niemen był mu Letą, bo „niemego“ przypominał, Polska — na „ból skałą“ się wydała, stworzoną przez Popiela.

skiego pokładu mogła się rozbiec ewolucja i rozpasanej anarchji szlacheckiej wraz z nieodstępną od niej niemocą państwową i jednowładztwa wschodniego z jego potęgą. Ponurego obrazu, tła ciemnego, przeszywanego błyskiem płomieni, odbijających się we krwi kałużach, nie pstrzyły ani nie psuły barwy jaśniejsze; jedno litość nastroju utrzymana w każdym nawet rysie, porównaniu, przymiotniku: jedzie Popiel do zamku Śwityna, w czerep czarny ołowiany ukrywszy głowę, otoczon tłumem siepaczów, tych bladawców zbrodniami bladych wieńcem, sam jak trup jasny pijaka rumieńcem. Mimo to niema żadnej nużącej jednostajności: niewyczerpana fantazja, artyzm przedziwny, cudownej piękności szczegóły, rozsiane po całym poemacie, od opisu wida niebiańskiego aż do opiewania potęgi pieśniarza, dziada ślepego, któremu przyroda i groby tajemnice odkrywają, lub Zorjana starego i jego lirenki, jak ją na stosie do łona tuli i głaszcze, niby zlęknioną, białą gołębicę.

Dla poety była „historja nauką pracy, którą duchy globowe odbyły w formach ludzkich, w agregacjach, z ducha wynikłych, z formą objawionych, które powtórzyły narodowości z celem królestwa Bożego czyli przemienienia ludzkości w przyszłe anielstwo globowe"; a więc i historja narodu własnego, jego Króla-Ducha, była tylko jednym z symbolów wewnętrznej pracy ducha, dążącego do wyzwolenia globu z pęt cielesności; nie chodziło o kronikę rymowaną, o przełożenie Wagi czy Bandtkiego w rymy dla dojrzałych, o dzieje zewnętrzne, lecz o zobrazowanie działania sił mistycznych, nadziemskich, popychających ludy i ziemię ku celom ostatecznym; nie o syntezę historyczno-społeczną, o psychologję dziejów, szło o syntezę symboliczną, subjektywną. Dlatego ta nieuchwytność, głębokość, rozprężność symbolów; dlatego wieje od nich mistycznością; wedle własnych słów „wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie, pod trwogą Boga zostającemu; trudu doznasz, czytając niniejsze poema, a walkę będziesz musiał odbyć, duchu czytelnika, z duchem poety; jeśliś leniwy, dzieło odrzucisz".

Trudu doznawał przedewszystkim sam poeta; przyznawał się, że pierwszy rapsod leciał mu szybko, jak wiatr błyskawicy, inny się wlecze, jak wół, pracowitym krokiem, ciężko i poważnie; więc coraz to zmieniał plan i następstwo, więc wahał się w snuciu wątku, opracowywał jeden po kilka razy.

Drugi rapsod poświęcony był Piastowi, chociaż nie w nim Król Duch się wcielał; i on dzierżał słowo narodu, lecz wiódł go

innemi, niż Popiel, torami. Pierwotnie krócej się poeta z nim sprawił, w jednej pieśni opowiedział męki Króla-Ducha, skazanego na bezczynne przypatrywanie się wykolejeniu narodu za wojewodów i Popiela II i pocieszanego błogim spokojem za Piasta. Lecz i inaczej opracował te czasy; skusiło go wystawienie ducha ciemnego, Rże-Pychy, i walki jego z duchem dobrym i okradania prometeuszowego ognia boskiego, spływającego na Ziemowita, dla syna potwornego Wodana — na kraj spada zaklęcie, wszystko kamienieje; motywy to, wzięte ze znanej baśni, z góry Świętopełka (Zober!) i snu jego.

Trzeci rapsod, o Mieczysławie i Dobrawnie, zapełniony jest szczegółami obrzędowemi, postrzyżyn, przy końcu wizjami obojga bohaterów, symbolami pochodu wszechdziejowego. Umyślnie pominął poeta Chrobrego, zbyt jasne kontury bohaterskie nie nadawały się do żadnego przesymbolizowania, więc powiedział o nim, że

w małej dziecinie
Przyszedł ktoś wielki, lecz w wielkiej zasłonie,
Tej nie odejmę, aż świat się rozwinie
I zacznie jasno czytać w świata łonie...

Zato obrał Król-Duch Śmiałego, lecz śmierć przerwała pracę nad tym rapsodem, pełnym, jak i poprzednie, najdziwniejszych poetyckich wrażeń. Upornie łamał się poeta z materją, sam, jak Prometeusz, chwytał światło nadziemskie i samemu, jak Prometeuszowi, sępy wahania i wątpienia pierś rozrywały. Do ziemi obiecanej nie doszedł, ale wskazał owe krainy poetyckie, piękniejsze od rzeczywistych. I w ostatnich rzutach pióra podziwiamy tego języka stal damasceńską, twardą a gibką, połyskującą i ostrą; tę fantazję, niewyczerpaną w pomysłach i obrazach; tę myśl, rozsnuwającą po swojemu wątki dziejowe. Wobec niewykończoności (ostatecznej) dalszych rapsodów, wobec urwania olbrzymiego dzieła na samych niemal początkach, trudno orzekać o szczegółach, kto i jak się miał wcielać, czy było miejsce i dla innych pieśniarzów; to, że się poeta za owego Króla Ducha uważał, za wodza narodu w walce duchowej na myśli i słowa, wypływało z przekonania, że właśnie w nowożytnych poetów przekształcały się ostatecznie wszelkie duchy dawnych bohaterów; przecież miał się i Jagiełło w Mickiewiczu odradzać!

Cóż sądzić o tej epopei, jak i o innych, poprzedzających ją dramatach (o Zborowskim; o Zawiszy; o dramacie z dziejów Wielkiego Nowogrodu), o nowych próbach nad Beniowskim? Zawsze

mógł o sobie Słowacki twierdzić: „snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę“; fantazją zwał się ten Bóg, co „swoją mocą ku mnie nachyloną napełnia pieśnią to maluczkie łono... tak od cielesnej uwolnione troski, całe się zdając na moc i duch Boski“. Fantastyczne było wszystko dawniejsze: Anhelli, jak Balladyna, W Szwajcarji, jak Lilla Weneda, Beniowski, jak Wacław — bajki z tysiąca i jednej nocy, cudowną siłą poety z nicości wywiedzione. „Transfiguracja“ towiańska nie zmieniła ani zniżyła lotu tej wyobraźni; owszem, wyżej ją podniosła, górniej, szczytniej natchnęła; otworzyła oczy poecie, okazała jawnie to, o czem dawno śnił i marzył, wieczną ewolucję ducha-rewolucjonisty; czego się teraz napewno dowiedział, dobadał, to wkładał w poezję; wiarę we wpływy duchów na świat otaczający (Ksiądz Marek); w siły ducha wieszcze (Sen srebrny Salomei); w zasługę ducha i utratę jej w „dzień żywota straszliwy i długi, marnie przebyty bez żadnego plonu“, myśl słoneczną, złotą i drogę do niej: moc ciemnych, okrwawionych wschodów.

Dawniejsze jednak utwory fantazji jego były każdemu dostępne, jasne same przez się, o ile się myśl w wykonaniu nie załamywała; późniejsze już takiemi nie są, są poezją ezoteryczną, dla wtajemniczonych, nie dla profanów. Zwykłego czytelnika, nieobeznanego z nowemi poglądami Słowackiego, wszystkie te dzieła nie zaspokoją nigdy; olśni go czar wiersza, przepych, niezwykłość obrazów— ale właściwego związku, znaczenia nigdy sam nie uchwyci, z samych słów autorskich ich się nie domyśli; potrzeba dla niego komentarza. Należy być wtajemniczonym w system, w naukę Słowackiego; inaczej nie wybrnie się z wątpliwości czy sprzeczności; niepospolici nawet znawcy Słowackiego zarzucają mu niekonsekwencje (np. w pierwszym rapsodzie Króla-Ducha), nieistniejące, jeśli się uważniej napomknieniom poety przypatrzysz; podsuwają mu myśli albo raczej wykładają słowa jego w sposób zbyt dosłowny i dziwią się potem czy szydzą nawet z jego samoubóstwiania krzywdząc go srodze. Ale poezja, która wymaga komentarza, niby traktat jaki mistyczny, choć poezją nawet cudowną być nie przestaje, traci zgóry znaczenie, ogółu nie porwie ani zadowoli nigdy, pozostanie zawsze udziałem „niewielu“, wybranych.

Walkę poezji ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości ukończył poeta po chrześcijańsku w dniu 3 kwietnia roku 1849; zgon przeszedł niepostrzeżony; dopiero w kilka lat później wystawił mu pomnik poetycki Kornel Ujejski, sprzęgając wspomnienie

o śpiewaku „Kordjana“, niespokojnym, samotnym i smutnym, z „Wieścią o Adamie Mickiewiczu“:

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło,
Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę...
Genjusz blasków, duch Tytana, serce wielkie, dumne!
Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbiera? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością okiem za nim wodził do ostatka?
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Poeta to innej miary, niż Mickiewicz. Nie dla tłumu jego poezja, dla niego ona niezrozumiała, nieprzystępna, rażąca go i niepokojąca, nie gojąca jego trosk i bólów, ani piękna ani prawdziwa w zwykłem znaczeniu słowa, nierówna, pełna wzlotów górnych i upadków niskich. Jest to poeta raczej dla wykształconych umysłowo, odczuwających subtelniejsze piękno, sztukę wyższą, natchnienie lotniejsze, rezygnujących z wrażeń i wdzięków realnych, nieraz grubych i płaskich. Ulubieńcem narodu pozostanie zawsze Mickiewicz, z poezją czerstwą, silną, rumianą, plastyczną, zmysłową, nawet gdy w nieskończoności się gubi, z porywającą siłą uczucia; marzyciel Słowacki z rzeczywistością nie liczy się nigdy, buja w krainach urojonych, unosząc tam powolnych sobie na skrzydłach potężnego natchnienia, czarując muzyką swych słów, barwą swych obrazów, ich nastrojem smętnym, nieraz rozpaczliwym, w pogoni za ideałem nigdy niezaspokojony na ziemi, smutny.

Cechą podstawową melancholicznej muzy Słowackiego jest właśnie ów smutek, tęsknota, żal głęboki:

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości...

Młodość przypadała na czasy, kiedy żyło się właśnie w krainie marzeń, a zstępowało tylko rzadko na padół ziemski i godziło z rzeczywistością tylko chwilowo: u Słowackiego młodość ta zaczęła się nadzwyczaj wcześnie i przedłużyła nadmiernie. Już dzieckiem „ileż to razy, patrząc na stary zamek (Bony w Krzemieńcu) marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzów, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie „niestety“. A za to imię moje

słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku". Marzenia spełniły się, chociaż nierychło.

W pomniku, jaki sobie Słowacki za życia wystawił, zgadza się, że

Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia,

lecz kto szlachetny, przyzna:

Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

I słusznie chlubi się:

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść, taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?
Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi!

Bo Słowacki sam to nie Anhelli; nie załamał on rąk w bezbrzeżnym smutku, w bezsilnej rozpaczy, rwał się do czynu:

zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,

i wołał tryumfująco, jeszcze w Beniowskim: przyszłość moja i moje będzie za grobem zwycięstwo, bo lud mój,

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoję śpiewał:
Kiedy kląć zechce, przeze mnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał;
Powiodę tam, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał;
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar prowadzi!

A w „Królu-Duchu" zstępował wieszcz nowego ducha między nas, w płomiennej koronie, z zasłoną na licu, którą oko błyszczące przenika,

Każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie
Ojczyznę śpiącą gdzieś pod mogiłami,
Odzywającą się z wiekowej ciszy,
Słyszał lub sądził wyraźnie, że słyszy...

Nawet dramaty jego ożyły, o czem nie marzył; stały się podwaliną

klasycznego repertuaru polskiego, bo, chociaż z warunkami scenicznemi niezawsze się godzą, należą do wielkiej sztuki.

Od ściśle przedmiotowej i plastycznej, epicznej, zrównoważonej, męskiej poezji Mickiewicza odbija w dziwnym rozgwarze muzykalno-rozwiewna, podmiotowa, liryczna i nastrojowa, kapryśna i fantastyczna muza Słowackiego; jest w niej coś z kobiety, z wrażliwości nadmiernej, istnej mimozy, niepłoszącej tylko weny ducha lekkiego,

Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży,
A potem nagle odemknie swe łono,
Świeże i jasne, i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.

Ten feminizm Słowackiego był czemś zupełnie nowem, utrudniał jeszcze bardziej uznanie jego natchnień w czasach i stosunkach antypoetyckich, jak rzadko, w literaturze, której kobieta i wszystko, co jej jest, pozostawała doniedawna obcą.

Przecież dopiero w romantyzmie uwolnienie czy rozpasanie indywidualności wprowadziło kobietę do literatury, natchnęło ją własnem życiem, przestało uważać za zabawkę czy utrapienie mężczyzny, odwiązało czy to niewolnicę od pręgierza, czy pieścidełko zdjęło z etażerki. Taką to emancypacją hołdował romantyzm kobiecie najgłębiej i najszczerzej; choć się nie rozmarzał dla niej jak za czasów kultu dam i turniejów róż i sądów miłości, uznał w niej pierwszy człowieka-siostrę, ocenił w niej godność ludzką. Tę stronę romantyzmu nie Mickiewicz jednak wyraził; nie stworzył on znamiennego typu kobiecego, jeśli pominiemy wyjątkową, amazonkę Tassa, Grażynę, albo najpospolitsze: Telimenę przestarzałą i Zosię, którą ratują wdzięki świeżej młodości.

Już „Marją“ Malczewski stanął wyżej, niż Mickiewicz, malujący namiętności i skargi męskie; na słońcu przeciwnem stanął Słowacki, pierwszy nasz psycholog, malarz czy rzeźbiarz kobiety; żaden poeta polski, żaden słowiański, nie stworzył równie bujnej girlandy główek kobiecych, od wiotkich, eterycznych niebianek poprzez szeregi ziemskich kochanek, niewolnic, sióstr, aż do furyj i jędz piekielnych, do Gwinony i Rże-Pychy, pokrewnych sobie, do Balladyny, nieobcej im duchem. Wyjątkiem jest utwór Słowackiego bez wybitnej roli bogdanki, np. Kordjan; Beniowskiego Aniela przewyższa, a Swentyna dorównywa Sawie; w Królu-Duchu nawet, przynajmniej w dalszych rapsodach, zrównoważone są niemal obie

płci. Nie przypadkiem też wiele utworów Słowacki od heroin nazwał, od „Marji Stuart“ aż do „Snu Salomei“.

I w nim samym, jak i w bohaterach, których tworzył, w „Kordjanie“ i innych, było coś kobiecego: bierność zupełna woli, wyobraźnia płomienna, bujająca nad światem, uczucie egzaltowane, melancholja rzewna, głęboka — nawet upojenia szczęściem nie wyrażał po męsku, jemu

wszystkie uczucia gwałtownemi loty
na serce spadły, jak *gołębi* chmura,
pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
aby się czyste rozlecieć po niebie!

A były w nim i inne rysy kobiece: próżność, przyrodzona niemal, spotęgowana własnem poczuciem talentu, spółczesnem górnem mniemaniem o zadaniu i zasłudze wieszcza, więc wybujała nadmiernie, aż do chorobliwej przesady o roli własnej w narodzie...

Znaczenie Słowackiego nie polega jedynie na nieprześcignionem mistrzostwie formy, przepychu wiersza, czarze słowa, blaskach obrazowania; ani na genjalnych pomysłach, jakich mu każdy poeta zazdrościć musi; nie polega też ono jedynie na jego feminizmie; ani na obcem słowiańskiemu duchowi lubowaniu się w okropnościach, jakby przykładem Wiktora Hugo poddanem; ani na gonieniu za efektem, za ekscentrycznością. To wszystko było już wprawdzie nowe w literaturze polskiej, skromnej dotąd raczej (jak niewykwintne np. rymy Mickiewicza i proste jego słowa!), nie lśniącej w szatach wzorzystych, nie stąpającej na wysokim koturnie, ale Słowacki dawał jeszcze coś więcej. Wierzył głęboko, ale religja jego była podobnie kapryśną, jak jego estetyka; więc nie znał owczych popędów, nie szedł za tłumem wytartą wiekami koleją, nie zawahał się Rzymu nazwać zgubą Polski, drogę, ku Tiarze zwróconą, oznaczyć jako kłamną, jezuitów kąsać. Zato wierzył, „że ludy płyną, jako łańcuch żórawi w postęp“, że pochodnię oświaty wysoko dzierżeć należy, wierzył w „ducha rewolucjonistę“; klerykalizmowi, któremu się tylu poddawało, przeciwstawiał się zawzięcie. Sam arystokrata myśli, uczucia i słowa, demokracji się nie zapierał, wierzył w respublik jedynaka syna — od konserwatyzmu Krasińskiego oddalał się najbardziej, poeta postępowy, chociaż burżuazyjnemi formami postępu, konstytucjami, czy parlamentami, gardził podobnie, jak Krasiński lub Mickiewicz; i w jego oczach władał niemi tylko pieniądz-interes. Tem się, co do zasad społecz-

nych, wyróżniał, bliżej stojąc Mickiewicza, niż Krasińskiego, nie dzieląc ich kultu Napoleońskiego.

Dotychczasowa poezja polska, „obywatelska“ głównie, jak poezja klasyczna, miała wyłącznie na celu człowieka; u Słowackiego odludka łączność ścisłą z przyrodą po raz pierwszy odnalazła. Zwycięża obrazami przyrody, oddawaniem jej czarów, woni, świateł; smętność jego pióra upoważniała zgóry, namaszczała go na piewcę przyrody: w „Szwajcarji“ bohaterem poematu właściwym były Alpy. Nawet trawka i robaczek ożywały w jego wierszach; wsłuchał się w gwar ptasząt, wpatrzył w grę kolorów, wchłonął w siebie powiewy wiatru, szum morza, zapachy kwiatów; z niezrównaną siłą, z wdziękiem czarującym wszystko to wyśpiewał, wygrał czarodziej-muzyk. Najżywotniejsze, najprzystępniejsze w jego poezji, to właśnie obrazy przyrody, niespokojne, jak poeta sam, roztęsknione, albo groźne, rozhukane. Nawet w jego utworach filozoficznych, a raczej symbolicznych, obrazy przyrody przykuwają najpierw i najtrwalej uwagę. Lecz właśnie czar słowa staje się przeszkodą walną, aby i obcy tę poezję wedle zasługi poznali i ocenili; jak łatwo Mickiewicza, tak trudno Słowackiego tłumaczyć.

U Słowackiego ześrodkowało się wszystko w samej poezji; żaden z naszych wielkich nie wytrwał przy niej dłużej i stalej; jako poeta prześcignął spółczesnych, ale oddźwięk znalazł nie za życia, a w dziesiątki lat po zgonie dopiero, oddźwięk, wzmagający się coraz, przygłuszający wielkiego rywala. Dziś, kiedy od obrazu nie wymaga się ani anegdoty dziejowej czy prywatnej, ani ilustracji etnograficznej czy topograficznej, rywalizacji z płytą fotograficzną, kiedy żąda się emocyj kolorystycznych, nastroju barwnego — i w poezji raczej to, co Słowacki, niż to, co Mickiewicz daje, popłaca.

Czego się fantazja czarodziejska Słowackiego dotknie, pomysłu „starego Wila“, czy notatki pisarza bizantyńskiego, wspomnienia z Jaszun i Czerczej, czy grobu Agamemnona i Chrystusowego, szumu morza, w konchę zaklętego, czy bezbrzeżnej tęsknoty stepowej, namiętności przerażających, czy smutku trapiącego — wszystko przetapia w fale i strugi poezji, mieniącej się, jak łuski wężowe i pióra pawie, zawieszonej tęczami nad szarą powierzchnią ziemską. Słowacki to jedyny poeta, który cenił poezję dla poezji; który nie rzucał jej, jak ją Mickiewicz i Krasiński rzucili; jemu pieśni były czynami, a poezja zastępowała wszystko — i uciechy życia i szczęście.

Nie klasyk Mickiewicz, lecz Słowacki jest wcieleniem romantyzmu. Nie było sprzeczniejszych organizacyj poetyckich, niż tych obu. Wystarczy zestawić „wieprzowatość“ (nie dla pogardy użył tego wyrazu Słowacki, ceniący nadzwyczaj epopeję litewską) Tadeusza z tęczowemi rojeniami Beniowskiego albo z posępną grozą Popiela. U Mickiewicza wyładowywały się z żywiołową siłą głębokie poniki poezji i nie szafował on niemi dowolnie; całemi miesiącami nie mógł na nim wymusić Malewski kilku wierszy dla dokończenia Wallenroda; u Słowackiego odbijała za najlżejszym powiewem jego łódź poetycka od lądu; Mickiewicz nie uznawał okolic i epok, niewykreślonych na mapach i w dziejach; Słowacki tylko w takich „egzotycznych“ panował, nawet, kiedy niby polskie kreśli. Byli więc obaj sobie zupełnie obcy; stąd i niechęć Mickiewicza i forsowanie Zaleskiego na wielkiego poetę (ale „kuda kuchti do patyny“ mówi przysłowie ruskie). Czy był jednak kiedy lub będzie na świecie poeta o ruchliwszej, niewyczerpańszej, bujniejszej, lotniejszej fantazji, niż Słowacki? Pytanie zbędne: równego on nie ma.

Z nadmiaru fantazji wynika stałe u niego przejaskrawanie, już nie słów i obrazów samych, lecz akcji, szarpanie i targanie nerwami czytelnika, przechodzące w budzenie niesmaku czy odrazy, w fatalnym Dantyszku, w niesamowitym Wacławie, w upiornym, nie srebrnym Śnie Salomei. Wynika dalej ciągłe falowanie pomysłów — wiotką ich przędzę byle wiatr w różne rozwiewa strony; jak odmienia się ciąg dalszy Beniowskiego, w trzech różnych redakcjach, aż do stopienia go z Królem Duchem! Jeden tej fantazji rys zasadniczy — poeta patrzy okiem krwawem, rzadziej łzawem na świat i pogody, radości, nie dostrzega nigdzie; humorem zaprawił dwa pierwsze akty Złotej Czaszki, ależ nie znałby Słowackiego, ktoby się w dalszych najprzeraźliwszego nie domyślał kontrastu. Śmierć, mord, czy samobójstwo, panują u niego wszechwładnie, czy w idyli alpejskiej, czy w Laokoonie arabskim, czy na wsi podolskiej między Fantazymi i Idaljami — cóż mówić o nadmiarze tłoczących się zbrodni, okrucieństw, nieszczęść w Horsztyńskim czy Cenci, Balladynie czy Lilli. Równie rozrzutnie szafował pięknościami nadzwyczajnemi, okupywał niemi potworną tamtych grozę, ale jaskółczy niepokój targał duszę wiecznie smutną i nie kojące wrażenia budzi jego duch-rewolucjonista.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Próby młodzieńcze, „Nieboska“ i „Irydjon“. Filozofja „Przedświtu“ i „Psalmów przyszłości“. Inni pisarze emigracyjni: publicyści; Hoffmanowa; Czajkowski; Gaszyński. Młodsza generacja: Chojecki; Kalinka; Klaczko.

Mickiewicz i Słowacki, acz całkiem odmienni, przedstawiają typy najzupełniej jednolite: w jednym przeważało uczucie, wkońcu zerwał więc z samym kultem słowa i formy, i towianizm go tylko w tem utwierdził, a nie oderwał dopiero od poezji; drugiemu, marzycielowi-fantaście, ten sam towianizm poddawał nowego materjału do rojeń. Obaj zespalali się całkowicie z poezją; żaden krytycyzm nie studził ich uniesień; nawet na manowcach mistycznych imponują głęboką wiarą; poddajemy się czarowi ich osobistości, ich niezachwianego przekonania nawet wtedy, gdy nie przyznajemy mocy słowom czy argumentom. Inny nasz stosunek wobec Krasińskiego; tu rozszczepienie między człowiekiem a poetą zupełne; on zgóry nie uznaje poezji za swe powołanie, rwie się do czynu politycznego; nie dowierza nikomu, zwłaszcza sobie; zapatruje się krytycznie, trzeźwo, na świat; oburza się z powodu jego podłości i głupoty; jest pesymistą, z ciała, chorobami i bólami znękanego, z duszy, trawionej refleksją, wyżartej wątpieniem; konserwatystą i katolikiem, z tradycji, z wyrozumowania,—czy i z serca? To wszystko jako człowiek — całkiem inaczej jako poeta: idealista, wierzący w postęp ludzkości, w zbawienie świata, a drogi do tego jasno ma wytknięte; zdrowy i silny, nieznający wahań; pokrzepiający zwątpiałych i słabych; tylko pod względem narodowości i w życiu i w poezji sobie wierny. Do historji literatury należy tylko poeta Krasiński, poeta refleksji, uzupełniający poezję uczuciową i fantazyjną spółmistrzów, na silnym podkładzie myślowym

wznoszący się ponad szranki narodowości i czasu, poeta o wszechludzkich aspiracjach, szczególniej w początkach swego zawodu.

Gdy Mickiewicz wykazywał — nie w poezji, chyba wyborem swych tematów, ale w życiu, — rysy litewskiego, odmiennego temperamentu, jako najzupełniejsze wcielenia polskości występują Słowacki — chociaż kolebka jego przypadkiem na Wołyniu się znalazła, Krzemieńcowi nieśmiertelnej sławy użyczając — i **Krasiński.**

Mazowiecki ród jego piastował od XVI wieku miejscowe dostojeństwa, kasztelaństwa i województwa, płockie i inne, niby dziedzicznie, wychylając się rzadziej poza granice ziemicy, w podkanclerzu i biskupie krakowskim czy w podskarbim koronnym, a ponieważ właśnie szlachta im znaczniejsza, tem większym polorem się odznaczała, więc nie dziw, że i w literaturze, łacińskiej czy polskiej, Krasińscy już od XVI wieku występują, chociaż wybitnych talentów między tymi Korwinami nie było.

Na szerszą widownię wypłynęli, gdy stanęli na czele domorosłego, atawistycznego ruchu, katolicko-szlacheckiego: marszałek konfederacji barskiej, Michał, i znacznie odeń zdolniejszy brat jego, biskup kamieniecki; syn Michała, Jan, poseł Sejmu Wielkiego, ożeniony z siostrą Czackiego, jeszcze bardziej zaś wnuk, Wincenty hrabia Krasiński, świetny żołnierz napoleoński, niepospolity znawca ludzi, praktyczny, nieobawiający się nawet, o co w Polsce najtrudniej, niepopularności, ożeniony z Radziwiłłówną (berdyczowską) — rzucili nowe podkłady znaczenia rodowego. Przejął się niem i Zygmunt, urodzony w Paryżu w 1812 r., ulegający przez całe życie wpływom ojca, nawet wbrew własnemu uczuciu, niestawiający mu nigdy trwałego, energiczniejszego oporu w imię porywów własnego serca, sam chwiejny, nieznający miary, ceniący tem wyżej życiową mądrość i energję ojca.

Z dziejów rodzinnych przejął nietylko zasady religijne i konserwatywne, ale czerpał z nich nawet motywy do własnych utworów, dodatkowe (jak w „Nieboskiej“ z okopami św. Trójcy) czy zasadnicze (jak w „Nocy letniej“, przypominającej nieco romans Pułaskiego i Franciszki Krasińskiej).

Odebrawszy staranne wykształcenie, pod wpływem otoczenia (dom ojcowski był rodzajem salonu literackiego, gdzie spierali się weterani klasycy z nielicznymi, młodziutkimi romantykami, ku największemu zadowoleniu pana generała) i kolegów, w czasach, kiedy każdy młodzieniec bujał w empireach poetyckich, mając za

przewodników Byrona lub Scotta, Hugo czy Irvinga — zaczął sam pisać wyjątkowo rychło; od 13 roku życia klecił powiastki i powieści pseudo-historyczne, spółcześnie (w czasopismach i oddzielnie) drukowane, prócz pierwszych; były to: „Grób rodziny Reichstalów“ i „Zbigniew“ czyli „Hanna z Ciechanowa“, ostatecznie jako „Władysław Herman i Dwór jego“ roku 1830 w trzech tomach ogłoszona; w następnych latach przybyły: „Zamek Wilczki“, „Teodoro, król borów“, „Gastołd“, „Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki“; zakończył ich szereg „Agaj Chan“, wydrukowany w roku 1834, napisany trzy lata przedtem, odmienny w tonie.

Na powieści te złożyli się Walter Scott, Byron i kanibalska literatura francuska, „Han Islandji“ i podobne potwory. Rozpasana fantazja lubuje się wyłącznie w okropnościach, pomiatając chronologją, historją, a nawet prawdopodobieństwem; przenosi efekty i podania czy baśni Wschodu i Zachodu na ziemie polskie, lub dorabia najromantyczniejsze przejścia do znanych faktów dziejowych, np. Wallensteina zabija Alan Reichstal — Leslie, mszcząc na nim samobójstwo siostry, Minny Reichstal, która się otruła w dzień swych zaślubin z nienawistnym Wallensteinem; podanie węgierskie o kobiecie, kąpiącej się w krwi dziewiczej dla zachowania wdzięków, przenosi na „Joannę z Gozdawy“; Byroński demonizm, dumę nieposkromioną i namiętności fatalne uosabia mu Zbigniew, a powiernik jego, Niemiec, Mestwin (!) z Wilderthalu, prześcignął zimnem okrucieństwem, pogardą ludzi i Boga, snuciem najokropniejszej intrygi à la Golo z Genowefy wszystkich potworów Byrońskich; najmniejszem jeszcze wykroczeniem przeciw duchowi czasów są opisy turniejów i innych szczegółów niepolskich. Najwyżej wzniósł się „Agaj Chan“, ostateczne dzieje Maryny Mniszkówny po zabiciu drugiego jej męża, tułającej się z synkiem w otoczeniu romantycznego kochanka, kozaka Zaruckiego i jeszcze romantyczniejszego rywala jego, Tatarzyna Agaj Chana, szalejącego z miłości ku Marynie, niewysłuchanego i topiącego ją i siebie w lodach Jaiku. Nie dla treści fantastycznej, lecz dla barwnych obrazów, przepychu wschodniego i dla prozy poetyckiej, połyskującej wszelkiemi ozdobami stylu epicznego, ciekawy jest ten utwór: prozę tę zatrzymał Krasiński, nierwący się (mimo prób młodzieńczych, wcale nie najgorszych) do wierszów i w późniejszych utworach, którym właśnie do najwyższej doskonałości tylko formy wierszowanej brakuje, w „Nieboskiej“ i „Irydjonie“, sprawiających mimowoli wrażenie, jakby je kto z poezji na prozę przerobił.

Pod najrozmaitszemi wrażeniami dojrzewał tymczasem szybko młodzieniec, baśni owe zostawiając daleko za sobą; nie minęły jeszcze cztery lata, kiedy już uważał swego Hermana „za nikczemne dzieło, za płód dzieciństwa, gdzie kilka iskierek ledwo że tleją wśród perzyny i gnoju — dotąd nicem dobrego nie napisał, choć daleko lepsze rzeczy od Hermana“. Przymusowy pobyt zagraniczny, losy ojczyzny, targały nim boleśnie, nadwerężały słaby organizm, chociaż wkońcu sceptyk-marzyciel (Krasiński lubował się w kontrastach) wszystkie wątpienia i pragnienia przezwyciężył, wyszedł obronną ręką z bezsilnych szamotań się i zapasów. Walki wewnętrzne, duchowe, wylewał na papier, czy to w korespondencji francuskiej z przyjacielem genewskim, Anglikiem Reevem, czy w utworach często ułamkowych, francuskich i polskich, goniących jedne za drugiemi, niewychodzących z rękopisów — wszystkie gorączką i rozpaczą napiętnowane; spieszył przecież do powstania, całą siłą duszy rwał się do Warszawy, ale ugiął się wkońcu przed wolą ojca, który sam, z Królewca, nierówne zapasy potępiał.

Synem miotały najprzeciwniejsze uczucia. To rzucał się gwałtownie, przeklinał, nienawidził, mścił się w tyradach „Adama Szaleńca“; to zwracał się do przeszłości, do dni chwały ogromnej i wspaniałej, do nieba czystego, gwiaździstego, i z nich wysnuwał obrazy dni triumfu i żałoby, nocy pożogi i pohulanki, gdy zapadał się wschodni świat, a na jego zgliszczach zwycięzcy, chciwi i śmiali, jak Hiszpanie Korteza, niszczyli ten piękny świat światła, klejnotów i kwiatów. Na tem średniowieczu bohaterskiem, gdzie wszystko tchnie siłą, cechującą wędrówki narodów, odbijał on klęski spółczesne, a Agajem Chanem zrównoważał kapitulację Warszawy. I po latach jeszcze kołatały w umyśle jego pieśni żałoby i zemsty, i chciał je nawet wyśpiewać z dziejów Konradyna i Jana z Procidy.

Silniej zaważyły inne wpływy i myśli. Co do powstania i przywódców jego rozczarował się rychło; listy i opowiadania, ojca, Jezierskiego, Danielewicza (przyjaciela wczesnej młodości), pokazały mu je w odmiennem świetle i wzgardził robotą klubów; ojciec o niej twierdził, że wszystko stu (napoleońskich!) dni nie potrwa a co będzie potem, Bóg jeden wie; on wie tylko, że grób kopie krajowi; przedewszystkiem odzierał ją z kolorów narodowych: „narodowości poznikały, dwa kolory rządzą światem, porządek i rozruch, a to nato, aby ci, co posiadają, nie posiadali, a ci, co nie posiadają, aby posiedli. Stąd ten ruch nieznośny partyj, któren w całym

świecie się rozszerza, a przybiera preteksta najszczytniejsze miłości ojczyzny, by dojść do celu". Do Genewy, gdzie syn bawił, przedzierały się groźne hasła walk socjalnych angielskich, listopadowego (1831) powstania lionskiego, gdy czterdzieści tysięcy wygłodniałych robotników nędza pchnęła do walk ulicznych, gdy odzywały się głosy, grożące zalewem ogłady nie przez dzicz wschodnią *(les barbares qui menacent la société, sont dans les faubourgs de nos villes manufactières,* słowa St. Marc-Girardina). I zwracał się Krasiński do zagadnień ogólno-ludzkich, uchodząc przed zmorą ojczystą, usprawiedliwiając się niby, czy zagłuszając wyrzuty sumienia, że nie brał udziału w walce o ojczyznę, a punkt wyjścia był — ojcowski.

Jeszcze Mickiewicz, godzący dziwnie szarą realność życia z najwznioślejszemi pomysłami poezji i filozofji, pouczył go w Genewie (1830 roku), że szumność jest głupstwem, że wszystkie ozdoby i kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema; że trzeba się uczyć i wszędzie szukać prawdy. Starał się nawet, pod tym wpływem, szukać prawdy Krasiński we wspomnieniach młodzieńczych, z Ciechanowa i Opinogóry, ale „Przeora Augustjanów" nie dokończył, snu pamięci nie domarzył, prawdy i myśli nie odszukał w poezji rodzimej; wyrwały go z niej na zawsze okoliczności życia, miejsca i czasu, które nawet idylę Przeora skrzywiły na rapsod nienawiści i zemsty.

W rozmyślaniach samotnych — choroba oczu przykuwała go miesiącami do zaciemnionego pokoju — rozpamiętywał walkę owych dwu „kolorów", „porządku" i konserwatyzmu z anarchją i „demokracją"; starał się docierać do prawdy, do myśli owych haseł, i ten, co z rewolucją przestał się solidaryzować, przeniósł ich rozprawę ostateczną w niedaleką przyszłość i na ziemię polską (niby ciąg dalszy powstania 1831 r.), ale oddzielił ją od narodowości: poeta myśli, przekonany, że poezja „tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni: ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje", uogólnił, usymbolizował niemal zasady i ich szermierzy, w poemacie, przezywanym najpierw to „Hrabią Henrykiem", to tylko „Mężem", potem „Komedją ludzką" w przeciwstawieniu do „Boskiej" Dantego, a wreszcie „Nieboską".

Wobec wybuchów nienawiści społecznych pytał poeta o ostateczne ich cele i środki, a co przemyślał, złożył w fantastycznym poemacie dramatycznym, ni to Fauście, ni Manfredzie, gdzie, jak

w „Irydjonie“, „bardziej ideje się naruszają niż ludzie“. Zdawało się poecie, że intencją jego była „obrona tego, na co się targa wielu hołyszów, religji i chwały przeszłości“, ale nie wahał się wyznać, że przedstawicielom tej religji i chwały „należy się kara, a po karze niepamięć“. Między nimi wszystkimi niema nawet takiego, coby godnie umierać umiał: wystraszeni, zblednieli będą pełzali u nóg zwycięzców, darmo żebrząc zmiłowania. Jedyny wyjątek stanowi hrabia Henryk, „mąż“, bo nieustraszony i nieugięty, choć gardzi tymi, których nie opuści, ale poświęcenie jego — wyrozumowane, dla chimery, strzępków romantycznych, w które się stroi, jak i w hasło: „Jezus i szabla moja“, lub wołanie: „Boże i Ty, Marjo, do której modliłem się tyle!“ — nie wypłynęło z przekonania.

Tak przedstawia się nicość ostatnich zachowawców, garnących się trwożliwie około Henryka na ostatniem niezdobytem jeszcze stanowisku, w Okopach św. Trójcy; cóż po przeciwnej stronie? W imię jakich zasad staje ona do walk? Wymowny komentarz znajduje w liście poety do Gaszyńskiego: „ja wiem, że cywilizacja nasza ma się ku śmierci; wiem, że bliskie czasy, w których *zbrodnie nowe* przyjdą *stare karać* i same się potępić w obliczu Boga; ale wiem, że one *nic nie utworzą*, nie zbudują, przejdą, jak koń Attyli, i *głucho po nich* (całkiem jak w Rosji dzisiejszej). Dopiero to, czego ani ty ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje, ale wtedy i moje i twoje kości próchnem gdzieś będą“.

Na czele tłumów stoi Pankracy-Lenin, silniejszy od Henryka nie sprawą czy zasadami, lecz liczbą ramion muskularnych, do jednego celu wytężonych; równie słaby, jak Henryk, dla niewiary w własne posłannictwo, w hasła, któremi zwodzi bezmyślnych adeptów i rozszalały motłoch. Henryk mu zaimponował, więc pragnie przeciągnąć go na własną stronę, kusząc i jego owemi złudzeniami, ale Henryk już się przekonał o moralnej wartości tej walki: „ja także znam świat twój i ciebie, patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się dogóry; widziałem wszystkie stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem, ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat, — rozpusta, zło i krew“. W tych widzeniach Dantejskich dojrzał Henryk, jak sam Krasiński w Genewie, że chodzi o użycie, że tłumy wypijają wina pańskie, zabijają woły robocze, że niebawem zapędzi ich głód do dawnego harowania i z powodu nierówności, fizycznej

i umysłowej, wyłonią się znowu dawne „porządki“; już teraz kiełkują one wszędzie w zarodzie; pytają bracia żołnierza o plan zdobycia Okopów, ale on odpowiada: „chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w genjuszu — po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach“, i słusznie szepce Henryk ku towarzyszowi: „radzę wam, zabijcie go, bo tak się poczyna każda arystokracja“.

Nie łudzi się Henryk, zdolny do szlachetniejszych porywów, ofiarujący głowę za okupienie szczęścia ludzkości, wie, że przed sto, dwieście latami, „polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz wiem, teraz trza mordować się nawzajem, bo teraz im tylko chodzi *o zmianę plemienia*“. Szczęścia na ziemi niema, „daremne marzenia, kto ich dopełni? Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do raju“.

Inaczej myśli czyli udaje, że myśli, Pankracy; zwycięstwo samo go nie cieszy, i odpowiada Leonardowi, wtórując staremu, ślepemu Faustowi (z drugiej części): „patrz na te obszary, na te ogromy, które stoją wpoprzek między mną a myślą moją; trza zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży, inaczej dzieło zniszczenia odkupionym nie jest“ — jakby tępienie ludzi było niezbędnym warunkiem czy rękojmią zaludniania puszcz i przekopywania kanałów! Nie miał poprostu otwartości owej dziewczyny szwajcarskiej, co Krasińskiemu w oczy rzuciła: czas, byśmy wasze miejsca zajęli, od iluż to wieków na nich siedzicie! ani też śmiał się przyznać do hasła: tępmy dla tępienia, dla oczyszczenia terenu, niech potomkowie głowy nad tem łamią, co należy odbudować. Przed nim chyba tylko dawny chaos; dodatniego w nim nic niema; wyjścia nie znajduje. A tymczasem wyjście było i jest, i musiał się go chwycić Krasiński, niegodzący się nigdy z tem, żeby „potępienie wieńczyło dzieło“, stawiający dlatego Byrona niżej od Goethego, „obejmującego wszechświat, walkę złego i dobrego, temu ostatniemu wkońcu przyznającego zwycięstwo“; zostawił też Goethe a jeszcze bardziej Dante na Krasińskim ślady wpływu, głębsze i liczniejsze, niż na innych poetach polskich.

Krasiński, wzdrygający się po roku 1831 przed wszelką rewolucją, dostrzegł i wypowiedział, „że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsyj i rzezi, jedno uznaje konieczność rozumu i cnoty“. Konieczność tę, rozwijającą

się z chaosu i budującą nowy świat, usymbolizował w ostatniem widzeniu „Nieboskiej“, gdy Pankracy, złamany, upada i ginie: zło, obezwładnione zjawieniem się krzyża, symbolu miłości i prawdy, uznaje z Apostatą zwycięstwo Galilejczyka. Zakończeniu temu, jedynie i zawsze możliwemu — mija od napisania owego widzenia lat dziewięćdziesiąt, i wszystkie wysiłki ludzkości nie wydały nic lepszego — zarzucono, że zjawia się niespodzianie, bez należytego psychologicznego i artystycznego przygotowania. Nie odpowiadałoby to jednak pojęciom Krasińskiego o zadaniu poety, syntetycznem, nie analitycznem: analiza szkodzi poezji, poecie wystarczy podnieść ramię i ludziom wskazać: niech oni badają, ile promieni w tej gwieździe, jak szybko jej światło ku ziemi pospiesza. Samem wskazaniem drogi, przyszłości, zakończył przecież i „Irydjona“.

Ta walka ścierających się plemion i światów wypełniła główną, zasadniczą część dzieła, lecz nie zadowolił się poeta symbolami, wyindywidualizował choć jednego, sercem sobie znacznie bliższego, Henryka i dodał dwa akty o sobie. W pierwszym, romantycznie rozwichrzonym aż nadto, gdzie treść jakiegoś pięcioaktowego dramatu rodzinnego zbił w jeden akt, pokazał, dlaczego poecie nie wypada się żenić i co wyniknie, jeśli go ożenią (dzieje męczenniczki żony); drugi wypełnił dziejami słabości, wzorowanemi na własnej, dziecka-poety o wątłym organizmie, Orcia — Jerzego (wedle J. Byrona ochrzczonego). Henryk, nie żołnierz z powołania, stanął wkońcu na czele arystokracji, powodowany żądzą sławy, mamidłem szatańskiem znęcony, i zrobił Krasiński, identyfikując się z Mężem— jeszcze wyraźniej czyni › potem z Młodzieńcem — Henryka poetą. W czasie ogólnego, ro ntycznego uwielbiania poety, stawiania go nad ludźmi, uderza prawdziwość sądu o „poecie“, wypowiadana i w listach do Reevego i w Nieboskiej. Tam zaznacza wyraźnie, jakby przeczuł Słowackiego, że sztuka jest prawdą prawdy, uczuciem uczucia, ale nie samem uczuciem; artysta sam jest dla siebie wszystkiem; kocha swe arcydzieła, ale niczego więcej nie kocha... dlatego nigdzie spełnienia życzeń, nigdzie marzeń kresu nie znajdzie... wielki artysta nigdy nie jest ni mężem dobrym, ni ojcem. Tu mówi o poetach, „którzy nigdy w danej chwili poezji w działaniu mieć nie będą“; Henrykowi, gdy się unosi, entuzjazmuje, szepce sumienie: dramat układasz; w pogoni za byle jakim majakiem, piękna czy sławy, nie zawahał się zdruzgotać szczęścia rodzinnego, zgubić żony kochającej, i wkońcu słyszy wyrok: „za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli

twych, potępion jesteś na wieki"; ginie też, wołając: „poezjo, bądź mi przeklęta, jak sam będę na wieki!" Wędrówki błędne Henryka nie wiążą się z właściwym tematem, przygniatającym te szczególiki, poza chwilą, gdy w domu obłąkanych rozlegają się już hasła, jakie i pod Okopami usłyszymy; przepięknemu Orciowi nadał Krasiński własne nerwy przeczulone i wzrok osłabiony i żar poetycki, bo na jego głowę matka poezję (jej niedaną, co stało się przyczyną zobojętnienia jej męża), uprosiła, ten dar z niebios fatalny. „Komedja" rozpadała się na dwa, zewnętrznie, przypadkowo, spojone dramaty, indywidualny, osobisty i społeczny, o nieodwołalnym, ostatecznym sądzie nad ludźmi i systemami.

Poeta myśli, nie fantazji, narzucił sobie więzy dramatyczne, zmuszające do zwięzłości a dobitności, ale z luźnych scen dramatu nie utworzył; nie o dramat też mu chodziło, i ten, kto później sceny te przerobi (Lord Lytton), osłabiał ich wrażenie. W dwudziestym trzecim roku życia zerwał się na dzieło, jakiego literatura polska dotąd nie znała, skupiona w sobie, w potrzebach i widokach najbliższych. Z przedziwną intuicją wznosił się ponad przesądy kastowe: ten, co miał „demokrację" zmiażdżyć, wydał wyrok potępienia i na dzisiejszą „arystokrację"; wywodom jego niepodobna nic dodać, ani odjąć — i Björnson nie wystawił lepiej konfliktu, gdy po tylu latach jako doświadczony dramaturg, myśliciel niezawisły tę samą treść obierał; retoryka Krasińskiego donioślejsza, dźwięczniejsza nierównie.

Na tych wyżynach ogólno-ludzkich pomysłów Krasiński się nie utrzymał; przed „Nieboską" napisaną w r. 1833, wydaną w r. 1835, zakiełkowała inna myśl, „Irydjona"; piszącemu „Nieboską", i „Irydjon" stawał przed oczyma (oba dramaty zbudowane podobnie, aż do drobnych szczegółów), lecz, co już w roku 1832 w formę słowa się przyodziewało, nabrało dopiero później, za nowego pobytu rzymskiego, właściwych kształtów, pogłębienia tła, wypukłości rysunku, malowniczości szczegółów, rozprowadzenia treści, już nietylko jej zbicia, skrócenia.

Żaden z poetów polskich nie odczuwał tak poezji miasta wiecznego, jak Krasiński. „Lubię te gruzy, lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości, egoizmu i zbytków, słowem na ten Rzym, co był otchłanią, spożerającą wszystkie narodowości świata... na jego budowlach dziś wyryte dłonią czasu przekleństwo, jak na czole zbrodniarza, i Rzym leży zwalony, leży i gnije, leży i nie powstanie więcej... Ale razem tu

jest świętszy widok, krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach, on świat ocali". Oto i komentarz do „Irydjona".

Jeszcze za pierwszej bytności w Rzymie, gdy towarzystwo Mickiewicza i czytanie dzieł ks. Lamennais naruszało warszawską obojętność religijną, odniósł najwznioślejsze wrażenie w Kolizeum, „gdzie krzyż z drewna — on jeden nieśmiertelny, prosty i boski, godło zwycięstwa życia nowego nad starem stoi nad ziemią, która go prześladowała, i panuje tam, gdzie nim pogardzano". Silny napływ fali religijnej przerwał rok 1831; nienawiść, żądza zemsty, misterjum barbarzyńskie wyrugowało chrześcijaństwo, i Anglik ubolewał, że przyjaciel nie poznaje, ile przeciwna chrześcijaństwu nienawiść, że się upiera przy tem, aby ducha zemsty poczytywać za użyteczną i dozwoloną broń. Krasiński bronił się wkońcu tem: jakżeż możesz mówić *nie kochaj* temu, który kocha, a jakoż temu, który nienawidzi, *nie czyń tego?* Ale wezbrane uczucie uspakajało się powoli; myśl, przecząca dziełom potępienia, brała górę, i w Petersburgu objawiło się duszy poety widzenie tęczy nad przepaściami nienawiści i zemsty; „tęcza" ta przyoblekła się w kształty „Irydjona".

Krzyżacy skazali Wallenroda na śmierć, ale był to sąd ludzki, stronniczy, zaślepiony: najwyższy Sędzia nie byłby w nim uznał zbrodniarza, byłby mu kazał winę, jaką dla miłości ojczyzny się zmazał, zmywać w poświęceniu, pełnieniu obowiązku. Tak dośpiewywał czuły słuchacz losy Alfa, ale bogatszy w świeże doświadczenie, wątpił zgóry, czy wogóle dzieło zemsty może liczyć na powodzenie, czy dzieło to słuszne, boskie, czy nie kieruje niem ręka szatana? Zagadnienia teraźniejszości cofnął daleko wstecz, w chwilę obumierania świata starożytnego u stóp krzyża.

„Z tego świata, co się zżyma i kona, wycisnę myśl jednę jeszcze, w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby... ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody, ale zato w niebie dla niej miejsca niemasz?" Myśl tę, wraz z „jękiem niesłychanej, tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei" uosobił w synu Amfilocha i Grimhildy. Na ciemiężycielce narodów Grek Amfiloch postanowił zemścić upadek własnego narodu, ale z zemstą nie śpieszył, powoli wszystko przygotowywał i gdy sam jej wykonać nie zdołał, zlał ją na syna, związanego Hannibalową przysięgą.

Nad synem tym czuwa, jak Halban nad Alfem, starzec Massynisa, podsycający zemstę. Wybrali i porę najstosowniejszą i za-

pewnili sobie pomocników i sprzymierzeńców zewsząd. Na tronie Cezarów osiadł rozpustnik wschodni, trapiony trwogą przed tym Rzymem, co zrzuci niegodnego; do Heljogabala trafia Irydjon przez siostrę, która szalejącemu za nią tyranowi zaleci brata jako najpewniejsze ramię; w jego ręce odda Heljogabel pierścień mistyczny, palladium Romy. Na Romę godzą we wspólnej nienawiści wszyscy wydziedziczeni, wykolejeni, ujarzmieni: niewolnicy, gladjatorzy, zwyrodnieli potomkowie szlachty rzymskiej; względy ich zaskarbia Irydjon hojnością, poufałością, budzeniem nadziei. Spólników znajduje między ludźmi świeżymi, silnymi, nienawidzącymi ugniatającego ich Rzymu: z ich krwi wyszła matka jego, jako Sigurd-Germanin między nimi się zjawia.

Najskuteczniejszej pomocy oczekuje od Rzymu podziemnego, katakumbowego, chrześcijańskiego: prześladowania go nie złamały, obudziły w młodszych, gorętszych chyba żądzę zemsty, nadzieję rychłego zgniecenia antychrysta na tronie, zwycięskiego pochodu Chrystusowego. Wie to Irydjon i, jako Hieronim ochrzczony, rozżarza namiętności i nie cofa się przed świętokradztwem; działa na duszę i zmysły Metelli, wizjonerki, a jej głosu tłumy chrześcijańskie pokornie słuchają; w zachwyceniu sprzeniewierzy się ona oblubieńcowi boskiemu dla ziemskiego; w obłędzie sama z okrzykiem: do broni! poruszy katakumby przeciw Rzymowi. Zwycięstwo tem pewniejsze, że Rzym sam rozdwojony: przeciw Heljogabalowi powstaje to, co w Rzymie dzielnego i mądrego, — Aleksander Sewerus i Ulpjan, wyobrażenie starorzymskiej cnoty, dzielności i mądrości. A jednak dzieło zniszczenia i zagłady zawodzi zupełnie, i Irydjon ginie, słysząc zapewnienia Massynisy o niezwyciężalności wroga: „żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia, by niszczyć... jak inni pracują... by kochać i błogosławić przy zgonie temu, co kochali za życia — ach, a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy“!

Przedsięwzięcie Irydjona rozbija się o opór chrześcijan: wystąpieniem zwiedzionej Meteli zwieść się inni nie dali, opamiętali się na wezwanie biskupa-męczennika, Wiktora, zrywającego maskę obłudy z roboty cielesnej, szatańskiej: nie do nienawiści, do miłości wzywa ich Chrystus, i państwo Jego nie z tego świata, nie wcieli się rzezią i mordami. Opuszczają więc Irydjona chrześcijanie, a z nimi ich entuzjazm młodzieńczy, na który tak liczył; z resztkami sił zamachu nie dokona i dumny, nieugięty, sam tylko zginie. Nie pomaga mu i Massynisa — szatan, zakrawający trochę na Mefistofe-

lesa, trochę na Lucyfera byrońskiego; Irydjonem i spiskiem przeciw Rzymowi chciał tylko kusić i rozbić zastępy wiernych, groźnych dla jego panowania; skoro ten zamiar upadł, już nie jego rzeczą walka z Rzymem: „o miasto serdeczne moje, błogosławię tobie! o Roma, w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli, zbawiona jesteś dla podłości twojej, zbawiona jesteś dla okrucieństwa twego, żyj i uciskaj, by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu!“ Furjami gnana miłość Irydjona była więc narzędziem zła i zepsucia; cel wzniosły nie uświęcił środków przewrotnych: potępiły się same.

Lecz jak w Nieboskiej nie zadowolił się Krasiński przeczeniem, tak i tu wyczuł i wskazał, co czynić należy, chociaż z dramatem się to nie wiąże, z niego samego wcale nie wypływa, dodane, doczepione luźnie. Zachowane tylko pozory związku; przedstawiona umowa Faustowa: Massynisa łudzi Irydjona obietnicą ostatecznego upadku miasta, na co ten przystaje: „mnie Rzym, tobie duszę moję!“ I przeszły wieki, i zbliżyła się chwila upragniona, w naszem stuleciu, gdy niewiara najwyżej sięgnęła, gdy Rzym cesarski zmarniał w gruzach, a Rzym papieski w najgłębszem był poniżeniu. Wskrzesza więc Massynisa Irydjona i oprowadza go po ruinach aż do Koloseum, ale widok krzyża, opuszczonego, smętnego, znużonego, budzącego litość, nie do triumfów nastraja Irydjona: ożywa w nim wspomnienie Metelli, żal nad krzyżem — z niebezpiecznego miejsca odrywa go zbyt późno szatan: on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy; anioł woła: on jest moim, bo on kochał Grecję — świadectwo i modlitwa Metelli ocalają, jak Fausta, Irydjona-Alfa, który wytrwać musi: „idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako przódy było, ale z pracy wieków i staniesz się wolnym synem niebios“.

Ani podobieństwa układu z „Nieboską“ — Irydjon, chociaż nie poeta, jak Henryk, w imię kultu piękna powstaje, bo syn Latony opromienił mu Grecję, a czoło jej rozjaśnił myślami — ani podobieństwa z Faustem bliżej wykazywać nie trzeba; zato należy podnieść zewnętrzne wykonanie, świetne, porywające wiernem oddaniem życia starorzymskiego; alegorja ta mieni się niepożyczanem światłem, sama przez się żywotna, piękna, mistrzowska; fantazja uniosła poetę w świat dawny i wyrzeźbił on z miłością każdy jego szczegół, stworzył pyszne postaci, kilku rysami nadając im wyra-

zistość, wypukłość zadziwiającą, czy to chodzi o siostrę Irydjona, czy o zwyrodniałych patrycjuszów, czy o gorących neofitów; w kreśleniu Sewera, Heljogabala trzymał się rysów historycznych; pyszna proza poetycka przystrajała odświętnie najbłahszą myśl; forma była opracowana najstaranniej, wyszła nieskazitelna, posągowa. W Irydjonie, jeszcze więcej niż w Henryku, uwidocznił poeta przejścia własne, własny przełom w zapatrywaniu na świat: wraz z „Irydjonem" jednak Krasiński zarzucił s igrzyska poetyczne; a przynajmniej tego, co na ten sam ton jeszcze pisał, już nie wykończył. Znajomość ze Słowackim, jego entuzjazm dla „Balladyny" i dziejów pierwotnych czy bajecznych, zaraziły i Krasińskiego: wybrał Wandę, o której Słowacki narazie nie myślał, ale prócz planu przejrzystej alegorji i pierwszego aktu nic więcej nie wykonał: fragment bogaty w nadzwyczajne piękności, uderza wprowadzenie figury bardzo skomplikowanej, byrońskiej, zdrajcy ojczyzny; w barwy i rysy w szczegóły i przenośnie nawet (o ptaszku przelotnym) zapożyczał się poeta u świata germańskiego, a wprowadzał wbrew chronologji i przedstawicieli chrześcijaństwa — u sceptyka nie wyglądają oni świetniej, niż Ślaz i Gwalbert „Lilli Wenedy". Fragment to nadzwyczaj efektowny, bo znowu dał się poeta całkiem unieść wyobraźni, nie dał się przygnębić filozofji i refleksji, nie skąpił szczegółów malowniczych, poetyzował byt przodków; może dlatego właśnie ochłódł poeta myśli ku płodowi fantazji, gdyż tylko w teorji uznawał on „rozkoszy i poezję materjalną, którą należy harmonijnie pomieszać z poezją ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy ją pozna i pokłon mu odda"; praktyka jego nie wznosiła się nad luźne próby.

Po tych dwu wielkich alegorjach dramatycznych, społecznej i narodowej, następowały jeszcze i powiastki alegoryczne, „Pokusa", „Noc letnia", gdzie wprowadzał poeta i siebie i znajomych, ale szczelnie zatulonych, tak, że zamysł tylko był jasny, osoby same ginęły w półmroku; „Pokusa" zwiodła młodzieńca z drogi prostej na drogę układów i układności, ale opamiętał się w czas i, gdy kroku cofnąć nie zdołał, śmiercią uwolnił się od jego skutków; w „Nocy letniej" triumfowała miłość nad wyrachowaniem, dziewica ofiarę z siebie dla ojca i cudzoziemca poniosła, lecz z ręki kochanka-rodaka przyjęła śmierć zbawczą. Były to ostatnie ustępstwa, czynione na rzecz fantazji; potem chyba w przedmowach tylko mistyfikował poeta publiczność, dokonał np. dla „Trzech Myśli Ligęzy" tego, co już planował dla „Nieboskiej". Z „Trzema Myślami" znajdujemy

się już na pełnem morzu filozofji-alegorji Krasińskiego i po jego zaklętych wodach odtąd nie przestanie on żeglować.

Długo nie miała filozofja miru w głowach polskich; odwodziły od niej w dawnych czasach teologja i etyka, nawet arjanów polskich i Łukasza Opalińskiego czy Lubomirskiego; w nowszych czasach zagadnienia społeczne i polityczne, np. Staszica i Kołłątaja; Kant najpóźniej między Polakami znajdywał adeptów, najmniej wytrwałych. Zmieniło się to dopiero w wieku XIX; Fichte, a raczej Hegel i Schelling porwali niechętnych, opornych, najwięcej między Wielkopolanami, najbardziej wystawionymi na wpływ nauki i uniwersytetów niemieckich. Mickiewicz nie upodobał sobie nigdy w dialektyce Heglowej; Słowacki zaczął dopiero filozofować, gdy towiańczykiem został; jedyny Krasiński miał metafizycznie ułożoną głowę; lecz i on nie pojmował filozofji zupełnie abstrakcyjnie, nie uprawiał, jak Niemcy, tej sztuki dla sztuki, wcielał ją w czyn i życie.

Podobnie postępowali rówieśnicy i poprzednicy jego słowiańscy, od Hoene-Wrońskiego do Augusta Cieszkowskiego, który wywarł największy wpływ na Krasińskiego.

Hoene-Wroński, matematyk większy, niż filozof, był przekonany o bliskiem urzeczywistnieniu królestwa bożego na ziemi, mesjanizmu (od niego przejął Mickiewicz swój termin); ten pogodzi nakoniec antynomje okresu szóstego, obecnego, i przygotuje nadejście okresu siódmego, ostatniego, odzyskania utraconego raju; jego pisma francuskie nie znajdowały jednak u nas odgłosu żadnego, tem bardziej, że ten slawofil-Polak Rosji przyznawał przodownictwo.

Popularyzatorowie Hegla, estetyk Kremer (Krakowianin) i Wielkopolanin Libelt, krytyk i publicysta, kładli nacisk na rzeczy, obce systemowi; Kremer ideę, absolut, przemienił na Boga osobistego, chrześcijańskiego i duszy również przywrócił osobowość, nieśmiertelność; Libelt doszukiwał się koniecznie filozofji ludowej, rodzimej i opierał ją na wyobraźni. Dalej poszli samoistniejsi, Trentowski, wspomagany przez Krasińskiego, i Cieszkowski; obaj zaczęli pismami niemieckiemi. Obaj przejęli się metodą dialektyczną Hegla (i poprzedników), odnajdywali wszędzie tezę (twierdzenie), antytezę (przeczenie) i syntezę, lecz w szczegółach odstępowali mistrza, chociaż Trentowskiego „różnojednia“ w gruncie odmianka dialektyczna, a tylko ciągłe nawoływanie do samodzielności, postępu, oświaty w dziejach umysłowości polskiej dodatnio go zapi-

sało; wojował i Cieszkowski tą samą trójką dialektyczną i różnił się tem tylko, że nacisk kładł większy na znaczenie woli i na przeznaczenie Słowian, jak to w „Ojcze Nasz“ (t. I, 1848) przedstawił.

W całym rozwoju dziejowym upatrywał dwie epoki, przedchrystusową, gdy natura panowała nad duchem: epoka bytu, zmysłu, wrodzonego zakonu natury, mocy, zastoju, Boga Ojca; pochrystusową, gdy duch przemaga nad naturą, ale jej nie pokonywa, epoka wiedzy, przeczenia, ruchu, myśli, wiary, zakonu kościelnego, Boga Syna. W trzeciej, przyszłej epoce, wejdzie ludzkość do świątyni prawdziwego ducha, zbawi ją potęga, zdolna skojarzyć, co się rozdzieliło: wola; ona kojarzy czucie z wiedzą i zaślubia z myślą byt, z związku tego rodzi się czyn, trzeci świata pan... węgielnym kamieniem trzeciego świata, epoki Ducha Św., epoki miłości, jest czyn, wolne dzieło ducha, zakon woli i wolność; w tej epoce najważniejszą rolę odegrają Słowianie.

Duch świata rozwija się bowiem postępowo w różnych formach duchów ludowych; każdy naród ma swe przeznaczenie na ziemi; w każdym okresie pewien lud podejmuje przewodnictwo. Przewodnictwo epoki ostatniej przeznaczał naturalnie każdy własnemu ludowi: Niemiec Niemcom dla ich „obyczajności“; Francuz Francuzom dla ich „społeczności“; Hoene-Wroński, Cieszkowski i panslawiści Słowianom, przyczem panslawiści katolickich Słowian wykluczali jako odstępców. Do roli przodowniczej upoważniają Słowian „ich rodzime skłonności i obyczaje, ich pierwiastkowe prawa i podania, ich przygotowawcze cierpienia i zasługi... szczep już z natury nie swawolny, ale wolny, nie walczący, ale waleczny, ani zbrojny, ani rozbojny, ani awanturniczy, ani koczujący, pobożny i spokojny, dobrowolny i gościnny, wesoły i śpiewny, w domu zamiłowany, a do ziemi nad wyraz przywiązany, nie tratujący po jej plonach, ani też pracą około niej gardzący... *miłość chrześcijańską dotąd prywatną zamienić na publiczną* i takową do potęgi podniesioną jeszcze, *od ludzi do ludów przenieść*, jest przeznaczeniem jego“.

Myśli filozoficzne Krasińskiego nie ustaliły się odrazu, pogrążały się jakiś czas to w zwątpieniu, to w panteizmie, nim popłynęły w jednym, historjozoficznym kierunku. Ślady tych wahań pozostały i w listach i w pismach; o nich to głosi sam w wierszach „Przedświtu“ (bo do rymów wrócił, gdy się z poezją pożegnał):

Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa;
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: tu niema nadziei.

W „Trzech Myślach Ligęzy“ (1840) wysunięty na czoło „Syn Cieniów“, Tytan, odtwarza cały system filozoficzny, niby Genezis z Ducha Słowackiego, wierszem prozaiczniejszym, niż proza Słowackiego — poezja z filozofją zlewać się bowiem mają i razem wykrywać prawa absolutne; końcowa „Legenda“ przedstawia upadek kościoła piotrowego, papieskiego, zasypującego w swych gruzach wierną do ostatka szlachtę polską; na miejscu jego wzniesie się nowy, wyższy kościół św. Jana; środkowy utwór, „Sen Cezary“ (odbicie rzeczywistego snu poety), odnosi się do własnego narodu: jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udzielą połowy? — ta, co zabrała życie twoje, oddaje je tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem.

Jaśniej wyłożył Krasiński swoją historjozofję w „Przedświcie“ (1843), który pierwszy uczynił go popularnym, czego nie zdziałały ani „Nieboska“ (mimo głębokiego rozbioru, jaki jej Mickiewicz w kursach literatury poświęcił), ani „Irydjon“. Chociaż i „Przedświt“ jest tylko widzeniem, znaczenie jego wyraźne, pocieszające, wzniosłe. Poemat poprzedzał wstęp prozaiczny, wykazujący podobieństwo epoki naszej i przedchrystusowej: tu i tam niewiara, przerafinowanie bytu materjalnego, wzajemne zbliżenie narodów (Napoleon je przemieszał, Cezar złączył), poprzedzające przyjęcie nowej idei. Nowa idea naszej epoki to poprowadzenie dalej dzieła Chrystusowego, bez nowego objawienia; jak prywatni ludzie już, tak teraz całe ludy i ludzkość w stosunkach międzynarodowych muszą schrześcijanieć; sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną; kościół boży na tej ziemi, to nietylko to lub owo miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cała planeta i wszystkie stosunki, tak osobników jak narodów.

Rozumowanie prozaiczne przybiera kształty wspaniałego widzenia; nowy Dante wyłuszcza swej Beatrice, gdy w harmonji światowej jednego im tonu niedostaje, znaczenie narodowej przeszłości, o które on we śnie duchów pytał, a Czarniecki mu odpowiedział: „Łaska Boża nas wegnała w te bezdroża, niechaj będzie pochwalona!... raczej umrzeć, jak żyć podle, za to Panu

wieczna chwała! Ty nie szukaj w ojcach winy, ty nie wdawaj się w szyderstwo". Na potwierdzenie tych słów wyłania się z ciszy nocnej, księżycowej cały łańcuch tych duchów i płynie ku przyszłości, ku zwycięstwu dobrego nad złem, gdy na świecie „wzrosną życia kształty trzecie"; nowe widzenie je uzmysłowia. I wznosi się mężnie poeta — droga przed nim długa i uciążliwa, ale zorza zabłyśnie, i wylewa się w modlitwie dziękczynnej uczucie śmiałe a pewne: „za ból ciała, za ból duszy dziękujemy Ci, o Panie! choć my nędzni, słabi, marni, z nas wszczęło się Twe na ziemi królowanie. Tak śród przedświtów lepszego poranka marzył wygnaniec, marzyła wygnanka, co czuli w sercu, rzucili w te słowa".

„Przedświt" imponował pewnością, z jaką występował; nie są to proroctwa, lecz trzeźwy niby obrachunek pochodu dziejowego, który musi wydać taki a nie inny plon; nie wdawał się też w żadne szczegóły czy okoliczności, które są od wszelkich proroctw nieodłączne. Imponował również bezwzględną apoteozą przeszłości: za jej zmarnowanie należała się ojcom wdzięczność! „błogosławcie ojców winie" wołał poeta, naśladując *felix culpa* św. Augustyna, zapominając, że co w życiu indywidualnem zbawczem być może, w narodowem pozostaje grzechem nigdy niezmazanym, winą nigdy nieodkupioną. Trzeźwość była więc pozorna; złudzenie takie same, jak u towiańczyków, chociaż z nimi sceptyk, niewierzący w cuda i proroków, ani na chwilę pogodzić się nie mógł; odrzucał Krasiński alotrja mistyczne, ale w istocie stał na tym samym gruncie, i przeciwnicy towiańszczyzny zwracali się z trafnym instynktem i przeciwko „Przedświtowi", wywierającemu głębszy wpływ w kraju, niż na emigracji, rozbitej, znękanej; pozorna ortodoksja jego wywodów, nawet domieszka ich erotyczna, przemycała je tem łatwiej.

Myśli zasadnicze „Przedświtu" powtarzał odtąd Krasiński w coraz nowych odmianach, w „Psalmach Przyszłości", w „Ostatnim", w „Dniu Dzisiejszym", w „Resurrecturi". W „Przedświcie" wołał wprawdzie: zgińcie me *pieśni*, wstańcie *czyny* moje, samego siebie do trójki zasadniczej dostrajając; przez czyny rozumiał pełnienie zakonu Bożego: „a czyn jest w każdej piersi, łaska Boża nie pomoże, każdy wysłużyć go musi; czynu powszechnego zaś nie będzie, póki *ciało z duszą* nie zlane w jednego *ducha* (znowu owa trójka) z siebie samego zmartwychwstanie — oto rozwój duchów".

O innego rodzaju czynach myślała emigracja i Towarzystwo Demokratyczne z hasłem „wszystko dla ludu przez lud"; wyłożył

je Henryk Kamieński w „Prawdach żywotnych narodu polskiego“ (1844), wydanych pod pseudonimem Prawdoskiego, i w „Katechizmie Demokratycznym“, grożąc zagładą szlachcie, występującej przeciw uwłaszczeniu włościan. Trzy pierwsze Psalmy Przyszłości „Prawdzickiego“ były na to odpowiedzią: Psalm Wiary składał wyznanie teo- i historjozoficzne, kreślił je w rozmaitych trójkach i uwydatniał ideę posłannictwa narodów, a specjalnie polskiego, „by o Twą (boską) piękność walczył na ziemi i był śród świata anielskim przykładem, aż nie wywalczy wyższego w ludziach pojęcia o Tobie, więcej miłości i więcej braterstwa“; Psalm Nadziei na troistości również oparty: „wszystkim ciała dał Jehowa, duszę wszystkim Chrystus dał, a Duch święty żywot chowa, by wraz ciało z duszą zlał“.

Najwymowniejszy jest psalm miłości, przeczący w jej imię zakusom radykalnym: „nie jest *czynem* rzeź dziecinna, nie jest *czynem* wyniszczenie; jedna prawda boska czynna, to przez miłość *przemienienie*; hajdamackie rzućcie noże“. Na to odpowiedział Słowacki pysznym wierszem „Do autora trzech psalmów“, gdzie szydził z jego obaw (krew mu się przyśniła, odblysk czerwonej kotary go tak przeraził) i protestował w imię ducha-rewolucjonisty przeciw reakcji. Ten wiersz (drukowany później bez wiedzy autora) i rzeź galicyjska wywołały nową odpowiedź Krasińskiego w „Psalmie Żalu“, gdzie biadał nad tem, że się jego proroctwa ziściły, i wyrzucał Słowackiemu, że bierze ciągle w usta Ducha i Chrystusa, ale nie przejął się nimi. W Psalmie Dobrej Woli, za Cieszkowskim, o dar ten najwyższy prosi, w słowach majestatycznych:

Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże!
A Światu męscy — Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste.
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro, daj nam dobrą wolę...
Daj nam, o Panie, świętymi *czynami*
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie;

jakiemi mają być te czyny, określa w „Resurrecturi“: „jedna tylko w świecie moc *ofiary* cicha los gniotący zgniecie, oto dziejów lew“.

Dalej nie sięgnęła już myśl Krasińskiego; polityczne wyznanie złożył jeszcze w „Dniu Dzisiejszym“, gdzie nad łożem umierającego odzywają się hasła partyjne, ucichające wobec zjawienia anielskiego, a jeden z przytomnych oświadcza: „nieboszczyka

chwalę za to, że komunistą ni arystokratą, ni panslawistą ani demokratą ni jakimkolwiek bądź innym przezwiskiem, co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem, nie zwał się nigdy — jeśli jakim znakiem znaczyć go chcecie, zwijcież go Polakiem, bo kochał Polskę... serce jemu wrzało goręcej w piersiach, niż u innych ludzi".

Gdy tak historjozofja Krasińskiego lot swój ograniczyła, wyłącznie zajęta sprawami narodowemi, poruszył poeta jeszcze raz zagadnienie ogólniejsze w „Niedokończonym Poemacie", kreśląc fazy, poprzedzające wystąpienie Męża w „Nieboskiej", lata nauki i wędrówki Młodzieńca; z nim się teraz zupełnie utożsamił. Mentor nowego Telemacha, Aligier (Danielewicz), czuwa nad młodzieńcem, w wizji nocnej przesuwa przed jego oczyma obrazy dnia dzisiejszego, jego piekła i czyśćca z wyzyskiem i uciemiężeniem ludu i kobiety — nieba niema, lecz zarodki jego uśpione w naszej piersi, wiara je obudzi, wola wzniesie, miłość urzeczywistni; przymus, złudy, traf nie odkryją innych dróg do tego nieba. W piątej i szóstej scenie wtajemnicza Aligier Młodzieńca w znaczenie postępu dziejowego, naśladując poniekąd wtajemniczanie bohaterki p. Sand w praktyki związku *Des Invisibles*. Pokolenia, narody i epoki podają sobie kolejno słowo, objawienie królestwa Ducha, zwąc je światłem, potęgą, miłością; od Chrystusa żaden lud, co się stał narodem, nie umiera na ziemi; żaden człowiek, co się stał duchem, nie umrze w grobie, a Bóg, który duszą (Słowo) był jednemu plemieniu, ciałem jednego kościoła (Słowo wcielone), duchem będzie nad jedną ludzkością. Ale poza kościołem Piotrowym, co zrzymianił się, oblókł się szkarłatem i sprzeniewierzył posłannictwu (wyrzuty kościołowi oficjalnemu formułował jeszcze goręcej Mickiewicz i panslawiści), szukają nowych dróg, wiodących do kościoła powszechnego, sekty i towarzystwa tajne, aż do reformacji, wynoszącej ciało kosztem ducha, i rewolucji, niszczącej i burzącej, i reakcji z jej miernością i złością — lecz wypełniły się dni ucisku, bliski wiek pocieszyciel i godzina dopełnicielka, Młodzieniec wstępuje między żywe duchy, śniące o nowej przyszłości; i tu odzywają się przeciw słowom wiary i miłości protesty, gwałtu i mordu, Pankracego i Julinicza (Słowackiego), ale chodzi już tu tylko o szlachtę polską — z widocznem uszczupleniem rozmachu „Nieboskiej".

Były to ostatnie, słabnące przebłyski talentu autora, piszącego listy i broszury polityczne, podającego memorjały Napoleonowi, zaznaczającego coraz silniej zasady konserwatywne i katolickie: u schyłku dni wysuwał, odmiennie niż w „Nieboskiej",

„zbawczą sprawę ojczyzn“, inaczej „sprawa posiadających i nieposiadających pożre świat“, i w katolicyzmie widział jedyny, ostatni hamulec przed rozpłynięciem się w panslawizmie; zresztą pisywał wiersze liryczne, nieprzeznaczone dla publiczności, pojawiające się dziś dopiero — brak im lotności, przygniata je retoryka, choć nieobce im silne uczucie i piękne zwroty; liczne między niemi erotyki są odmienne od zwykłej faktury, nie kwilące, męskie; są i wiersze ascetyczne, parafrazy egzaltacyj i wizyj hiszpańskich, modlitwy, rozmyślania, jakie już dawniej i prozą („Myśli pobożne“) pisywał; są i polityczne, tchnące nienawiścią Moskwy.

Obok epika-klasyka, Mickiewicza, i romantyka-fantasty, Słowackiego, stanął również „wielki duch Boży i jeden z aniołów narodu naszego“, Krasiński, poeta myśli, poeta-anonim, (bo na żadnem ze swych dzieł się nie podpisał). Nie najpotężniejszemi, najobszerniejszemi swemi kreacjami, „Nieboską“ i „Irydjonem“, oddziałał najgłębiej na naród, czerpiący raczej z szczuplejszej, mętnej nieco strugi „Przedświtu“ i „Psalmów Przyszłości“. Jeszcze nim się wprzągł w rydwan trójc heglowskich i Cieszkowskiego, już w „Nieboskiej“ przeczuwał „życia kształty nowe“, a w „Irydjonie“ uznawał czyn-ofiarę za rękojmię zbawienia i odrodzenia, występując zawsze przeciw spiskom i rewolucjom, nie uznając drogi postępu w przewrotach gwałtownych, z latami coraz trwożliwszy.

Z poety, jakim wyłącznie był za dni młodości, przeobraził się w polityka i, jako taki, nieraz wypowiadał trafne poglądy, nawet wbrew pozorom, świadczącym inaczej. Inteligencja nadzwyczajna, niezaprzeczona genjalność, widoczna w utworach wczesnych, nie dotrzymały w zupełności tego, co zapowiadały; lot zwężał i zniżał się stale; wkońcu chyba i mesjanizm sam przedstawił mu się jako doktryna nadto obszerna, wygórowana, niepewna.

Ściślej, niż z imionami Towiańskiego, Mickiewicza i Słowackiego, jest związany mesjanizm polski z Krasińskim w „Przedświcie“ i z Cieszkowskim w „Ojcze Nasz“ (którego tomy następne dopiero po roku 1901 wydano). U tamtych bowiem mistycyzm i mesjanizm nie są związane właściwie z narodowością i jej rolą, sięgają daleko poza jej obręb: Towiański, zupełny kosmopolita, między Włochami gorętszych mógł znaleźć zwolenników, niż między rodakami; Mickiewicz z Francuzami się liczył i dlatego apostołował z katedry; Słowacki rzucił się w systemy kosmiczne i metempsychozy; tylko Krasiński i Cieszkowski najściślej, najlogiczniej, najpewniej mesjanizm łączyli z własnym narodem. Idea sama prze-

piękna, wiecznie prawdziwa, zato przywiązanie jej wypełnienia do jednej narodowości dowolne i utrzymać się nie da.

Inni potem zapominali mimowoli o warunkach, a raczej wymaganiach, jakie mesjanizm na każdego nakładał, wpatrzeni w ową tęczę nowego przymierza, tusząc niemal, że bliska jest chwila, gdy raj sam zstąpi na ziemię. To było fatalne złudzenie i osłabiało raczej, niż hartowało, bo upajało i rozmarzało. Ale, co nie było złudzeniem, co dziś, jak dawniej, obowiązuje, to ów „czyn", owa „dobra wola", do której nawoływał Krasiński, owe ofiary i poświęcenia, nie na słowa tylko, nie na chwilę jeno, to wytrwanie na drodze przykrej i ciernistej, przyświecanie przykładem.

Łudził więc mesjanizm jednostronną apoteozą przeszłości (ofiara musiała być niewinną, jeżeli ofiarą być miała), ale różnił się dodatnio od słowianofilstwa, apoteozującego również własną przeszłość, tem, że o powrocie do tej przeszłości nigdy nie marzył; że nie zakuwał, jak słowianofilstwo, ludzkości i jej postępu w ciasne ramy niemożliwej doktryny; że wierzył w postęp, w udoskonalenie; że cel miał przed, nie za sobą, nie wsteczny ani fantastyczny. Łudził mesjanizm oczekiwaniem rychłego przewrotu, wielkiej jutrzni odrodzenia ludzkości — ale któż w przededniu wiosny ludów (1848) tak się nie łudził? A zresztą i dla mesjanizmu sprawa bywała „tą przegraną, której cel daleki, a która wkońcu wygrywa na wieki". Lecz chociaż, dziś szczególniej, pozbywamy się iluzyj, chociaż nie wierzymy, „że, nim ten jeszcze wiek przeminie, wejdzie ludów lud jedyny", ani, że „myśl Boga w twoim łonie i los świata, w twym zakonie", przyznajemy żywotność samej idei mesjanicznej, wolnej od owych naleciałości, idei postępu świata, zamiaru: „wylać ducha na miljony, ciałom wszystkim rozdać chleba, duszom wszystkim — myśli z nieba... do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie... bo cel światów szlachetnienie".

Na tak pojęty mesjanizm pisali się stronnicy najprzeciwniejszych obozów: i ultrakatolicki Jerzy Moszyński nie uznawał innej sprawy polskiej, i Wojciech Dzieduszycki (w artykułach „Przeglądu Polskiego" z roku 1901 „Mesjanizm polski a prawda dziejów") „chwyta się jak deski zbawienia myśli, w której się nauka mesjanizmu streszcza": strzeżcie sprawiedliwości w życiu narodów i społeczeństw, a zwyciężycie wreszcie. Nawet Stanisław Szczepanowski („Piast", „Idea polska", 1901) stał na tym samym gruncie, mimo wszelkiej krańcowości wymownych i świetnych aforyzmów, mimo uniesień i potępiań, niezawsze umotywowanych należycie; odwo-

ływał się do takiego „mesjanizmu“, do tej ewangelji narodowej *moralnego* odrodzenia, i dla niego „mrzonki naszych poetów tylko wtedy staną się mrzonką, jeżeli ich wiara w szlachetność narodu polskiego także okaże się mrzonką“.

Było więc zasługą Krasińskiego, że taki cel opiewał w płomiennych zwrotach, że w natchnionych słowach zagrzewał uśpionych, w tych czasach rozpaczliwych, gdy „podłość doszła nieprzebranej miary, gdy burakami i pszenicą grób zasypali“, gdy panuje „spokój grobowy, a w grobie fermentacja zgnilizny i robaki, zwane zawiść, wściekłość, podłość“; gdy nieprzewidziane katastrofy (1846) ubezwładniały wszystkich. Z sztuką dla sztuki zato jego poezja nic nie ma spólnego; bywa raczej programem społecznym, artykułem dziennikarskim; opisowość usunięta całkiem, ledwie, że „Okopy św. Trójcy“ wedle wspomnień dziecięcych skreśli, lub „Przedświt“ rzuci na pyszne tło jeziora podalpejskiego; akcesorja, epizody, opracowywane o tyle, o ile do wydania myśli potrzebne, nie istnieją nigdy same dla siebie. Zato przywdziewał poeta pomysły swoje w najświetniejszą szatę słowną; zwykłe zasoby językowe nie wystarczały mu; tworzył coraz nowe słowa, nieraz zuchwale, zawsze szczęśliwie; i u niego roi się od postaci wspaniałych, widzeń przepysznych, obrazów przejmujących zgrozą, czy wtedy, gdy marzy o złotej przyszłości, czy gdy zstępuje w teraźniejszość, lub podziwia hart przeszłości. Oryginalny to wieszcz; kroczy drogami własnemi, spotykając się rzadko z innymi, choćby z Zaleskim w „Duchu od stepu“; walczy na wsze strony, zdziera maskę obłudy z czerwonych czy białych, wykazuje nicość i zbrodniczość zemsty i zdrady; nawołuje do miłości („hajdamackie rzućcie noże, by nie klęły na was wieki, że cel wieków znów daleki“), przypomina Shelleya, lecz nie dziw, że społeczną i narodową stronę zaznaczył o wiele silniej, niż Anglik.

Nie osobą, lecz duchem i dziełami należał Krasiński do literatury emigracyjnej. Składały się na nią, oprócz dzieł poetów, oprócz niezliczonych publikacyj, programów i odezw, jakiemi niespokojna emigracja zalewała francuskie *depots* i kraj (fabrykował je i Jan Czyński, napadający gwałtownie na przywileje, na szlachtę, na kościół, choćby w formie powieściowej, w „Jakobinach Polskich“), prace historyczne i beletrystyczne wszelkiego rodzaju.

Najpierwszym zadaniem emigracji było przedstawić dzieje dni ubiegłych; ustalić, kto i w jakiej mierze jest odpowiedzialny za

dzieło i jego rozbicie; posypały się więc wzajemne oskarżania i stronnicze relacje o powstaniu i klubach.

Najznakomitsza między niemi jest praca Maurycego Mochnackiego. Ostatnie lat siedemdziesiąt widziały coraz nowe przyczynki, w kraju i zagranicą, nieraz bardzo obszerne, gruntowne, starające się o wymiar sprawiedliwości, pochodzące od naocznych świadków: Stanisława Barzykowskiego, omijające sprawy wojenne, memorjały Prądzyńskiego, wspomnienia generała Kołaczkowskiego, lub dyplomatyczne negocjacje w Wiedniu Andrzeja Zamoyskiego, albo wspomnienia kasztelana Leona Dembowskiego (malujące zresztą więcej obyczaje, towarzystwo puławskie, niż sprawy polityczne czy wojenne), lub Kaczkowskiego (lekarza *en-chef* wojska polskiego). W powodzi tej literatury dzieło Mochnackiego, „Powstanie narodu polskiego", podjęte za świeża, bez głębszych przygotowań, zostałoby niedoścignionem, gdyby śmierć nie przerwała jego wątku. Co napisane, pociąga nadzwyczajną jędrnością stylu i malowniczością czy plastycznością obrazów — równie barwnie nikt o tem nie pisał, tylko, że to publicystyka raczej, niż historja.

Tego samego przedmiotu jął się w dziesięć lat później Ludwik Mierosławski (po francusku i po polsku, „Powstanie narodu polskiego"), imponując obszerną krytyką działań wojennych i skarbiąc sobie sławę pierwszorzędnego strategika emigracyjnego, chociaż późniejsze wypadki jej wcale nie potwierdziły; napuszonością stylu i drastycznością szczegółów przeholował autor, który poprzednio zaintrygował publiczność wierszami i powieściami równej faktury. Już to publicystów nie brakło emigracji, gdzie szczególniej odłam jej demokratyczny odznaczał się ruchliwością i talentami wyznawców, nieprzebierających w środkach; szczególniejszą gwałtownością odznaczali się, prócz Czyńskiego, ksiądz Pułaski, Krępowiecki, Gurowski (rychły odstępca), Ostrowski (przechodzący od obozu do obozu, wkońcu szpicel), Leon Zienkowicz (wydawca „Pszonki", władający ciętem piórem, bardziej kostyczny, niż Ostrowski); przewijają się oni często w epigramach Mickiewicza, w korespondencjach ówczesnych, w strofach Beniowskiego, w powieściach francuskich i polskich Krasińskiego i Gaszyńskiego; niewinniejszym był zarozumiały Grzymała, niegdyś klasyk warszawski; poważniejszymi Heltman (autor programów Towarzystwa Demokratycznego), Podczaszyński, Alcjato, Darasz.

Stronnictwo arystokratyczne, białe, Czartorysczyków ani nie rozwinęło równie gorliwej czynności, ani nie wydało równie licznych

publicystów; najwybitniejsi jego przedstawiciele, Karol Sienkiewicz i Karol Hoffman, byli raczej historykami, zbierali i wydawali cenne materjały, zagłębiali się w badania form politycznych narodu, lecz nie zabierali donioślejszego głosu w sprawach bieżących; najcenniejsza praca Hoffmana („Historja reform politycznych w dawnej Polsce") pojawiła się znacznie później; historja służyła mu przytem za mentora, polecającego nadewszystko zbawczość silnego monarchizmu.

Obok struny politycznej odezwała się na emigracji i religijna; z warszawskiej i wileńskiej obojętności czy niewiary budzono się do skruchy i aktów wiary prywatnych pod osobistym wpływem Mickiewicza i Jańskiego, za przykładem francuskich neokatolików (Lamennais, Montalembert, Lacordaire), wśród lektury dawnych i nowych mistyków i teozofów; pisano w duchu katolickim w „Pielgrzymie" Januszkiewicza (tytuł dał pielgrzym-Mickiewicz), łączono się w „Braci Zjednoczonych" i w „klasztorku" Jańskiego. Z klasztorku wyroił się wkońcu, w Rzymie, nowy zakon, Zmartwychwstańców, za głównym powodem ks. Piotra Semeneńki (niegdyś zapalonego członka Towarzystwa Demokratycznego), szermującego piórem z niewierzącymi i mistykami, i ks. **Hieronima Kajsiewicza**, najznakomitszego kaznodziei na wychodźtwie, również nawróconego liberała, niegdyś poety-żołnierza (Sonety jego, duchem wojennym nabrzmiałe). Ksiądz Kajsiewicz roztrząsaniem sumienia narodowego, niepobłażaniem hasłom popularnym, porywającą, świetną wymową wznawiał najświetniejsze tradycje kaznodziejstwa polskiego. Ci katolicy, drobna, zwarta garstka, wyszydzani przez Czyńskiego, Ostrowskiego, zdobywali wpływy, chociaż niebawem odszczepieństwo i ich samych dotknęło; z łona ich wyszli towiańczycy, nagabywani ostro przez Witwickiego, księży, Niewiarowskiego; demokraci (Zienkowicz) szydzili z obu obozów.

Wrzawy polityczne, a raczej publicystyczne tylko, i religijne nie zagłuszały innych objawów literatury emigracyjnej; obok wielkich jej wieszczów odzywały się i głosy skromniejsze, znane już dawniej, lub świeże. Pomijamy pamiętnikarstwo, bardzo popłacające: mimowoli zwracały się umysły znękane do niedawnej, nęcącej przeszłości i wystawiały jej obrazy; tak Aleksander Jełowicki, później ksiądz, w swoich „Wspomnieniach" (1839) kreślił barwne szkice życia ukraińskiego, nie zapomniał o Krzemieńcu i jego „trefnisiach", uskarżając się na pewne zwichnięcie idei Czackiego, ani o życiu kąpielowem kaukaskiem, o bitwie Daszowskiej, o gryzmołach Czajkowskiego, które u niego (księgarza-nakładcy) ruski mie-

siąc przeleżały, nim je od niechcenia przejrzał i odrazu się do nich zapalił.

Literatura emigracyjna wydawała za staraniem nieocenionego, zacnego Eustachego Januszkiewicza (z „Dziadów"), którego imię z „Panem Tadeuszem", z Słowackim (Wiersz do księgarza) i z „Soplicą", z Krasińskim, ze wszystkiemi poważniejszemi pracami emigracji nierozdzielnie jest złączone — jeszcze jako „księgarz w odstawce" wydawał on cenne dzieła historyczne — i inne dzieła.

Należała do tej literatury, raczej przypadkowo, z miejsca pobytu, nie z ducha ani z treści swych dzieł, panna **Tańska**, teraz żona Karola Hoffmana, nieuprawiająca już literatury dla dzieci, ale historycznemi i tendencyjnemi opowiadaniami — bo nazwa romansu byłaby dla nich zbyt ciężką — walczącą, jak dawniej, o cenienie swojskości i o rozumniejsze ideje o powołaniu i wychowaniu kobiety; „Jan Kochanowski w Czarnolesiu" idealizował niewinnie poetę i czasy dawne, ale przyczynił się najwalniej do spopularyzowania wdzięcznej postaci poety i Urszulki. Lepiej udawały się powieści, niewystudjowane tak starannie, powieści tendencyjne, gdyż autorka przyznawała sama, że zapomocą nich „daleko sobie więcej życzy nauczyć, zachęcić do dobrego, niż zadziwić lub zabawić". „Karolina" łączy jeszcze tendencje (o nienaruszalności małżeństwa — zawiedziona nie do rozwodu dąży, lecz o serce męża walczy i zwycięża), z świeżą tradycją (czasów pruskich w Warszawie, dając galerję obrazów ówczesnego towarzystwa). W „Krystynie", emancypantce, bo stojącej o własnych siłach, moralnie i materjalnie, dała najwięcej z własnych przejść i doświadczeń, tworząc kobietę rozumną i wykształconą. Hoffmanowej nie doceniano nieraz, zarzucano jej ultramontanizm i bigoterję, gdy tymczasem ona wolna jest od uprzedzeń religijnych i stanowych — ona pierwsza nawołuje szlachtę, by „prócz trzech powołań, urzędu, szlif i roli" wybierała i inne, choćby „rzemieślnika wyższego rzędu", przez co bynajmniej rodu swego nie „upodli"; najbardziej ją martwi ciemnota ludu, i byłaby najszczęśliwszą, gdyby choć iskierkę światła między nich rzuciła; starała się o wszczepienie uczuć obywatelskich — wszystko w formie niewykwintnej, prostej, ale serdecznej, miłej; jak jej program, tak jej styl był jasny i łatwy; zasłużona pracownica nie pragnęła ani nie wywołała sensacji i efektów.

Tym głośniejszym stał się (wyszydzony przez Słowackiego kozak-powieściopisarz, któremu krytycy poklaski zamiast poświ-

stów dają) **Michał Czajkowski**, Krzemieńczanin, partyzant Różyckiego, który w Paryżu na swój *genre* trafił, pisząc powieści głównie kozackie, któremi od roku 1837—1844 karmił publiczność; prócz mniejszych utworów, „Wernyhorę“, „Kirdżaliego“, „Stefana Czarnieckiego“, „Hetmana Ukrainy“ (Wyhowskiego i jego katastrofę), „Annę“ (powieść z czasów bliskich) i inne.

Czajkowski, to niby polski Marlińskij, i dla stylu napuszonego, i dla bohaterów, zawadjaków i rębaczy, którzy, z lulką i lubką, kładą pokotem wrogów, niezwyciężeni, z najdziwniejszych przygód zapomocą cyganów i wróżek wychodzący szczęśliwie — bez pogłębienia tła, uprawdopodobnienia zajść, urozmaicenia przygód; i jego kozacy są monotonni, w jednę stronę zapatrzeni, jak Zaleskiego, lecz mniej poetyczni, zato hałaśliwsi, prostsi, istna rozkosz dla niewybrednych czytelników i dzieci; wobec ubóstwa ówczesnego romansu historycznego szalonem powodzeniem cieszyły się te bójki i bajki, i tłumaczono je w zawody na obce języki, nie podejrzywając braku historyczności; dykcja upstrzona prowincjonalizmami, rubaszny ton, szumne obrazowanie, straszna żądza bojów — słabo maskowały niedalekich tych bohaterów i fantastyczne ich przygody. Ale sam szczęśliwy wybór tematu, w którym się Czajkowski z Zaleskim, (w Wernyhorze) z Słowackim i Mickiewiczem spotykał; silna nuta patrjotyczna, drgająca w każdym utworze czy szkicu; niekłamana werwa opowiadacza, który niby ze świeżej kampanji szczęk jej broni i kurz pochodów do powieści przenosił, natura poety podobna do jego bohaterów — podkupiły publiczność i krytykę; wyprzedził on Sienkiewicza, bo jego „Czarniecki“ ma i wątek powieściowy i figurę Zagłoby podobną do „Ogniem i mieczem“, a spotyka się z nim Sienkiewicz i w „Potopie“.

Najciekawszy z tych romansów, to „Owruczanin“, prawiący nie o kozackich bojach, a o świeższych zdarzeniach (1812), o tem, jak się odbijały w szlachcie owruckiej, częściowo z autopsji zaczerpnięty. Jak Marlińskiego, przebrzmiała jednak i sława Czajkowskiego, chociaż utrzymał się dłużej w pamięci czytelników; przypominał on się im coraz nowemi własnemi przygodami, odmianami, odstępstwami, jako Sadyk pasza i w innych fazach; pycha, ambicja, awanturniczość, niejasne kozacko-polsko-słowiańskie ideały uniosły go daleko.

Był on w latach czterdziestych najwybitniejszym przedstawicielem powieściopisarstwa na wychodztwie, przemycanego do kraju; nie mógł z nim zawodniczyć ani Wincenty Budzyński, czerpiący

swe powieści z czasów zamierzchłych Lechji IX i X wieku, Bolesława Chrobrego i Białej Kniehini, czy wyprawy pruskiej, lub zamieszek po Ryksie; ani **Konstanty Gaszyński**, przyjaciel Krasińskiego (spółpracownik niegdyś nad „Hermanem"), który porzucił romans historyczny, chociaż zdobył się jeszcze na „Kontuszowe pogadanki" pod wpływem Paska; najpierw zdobył imię „Pieśniami pielgrzyma polskiego", w roku 1833, gdzie, trafiając nieraz w ton Berangera, rzadziej w ton ludowy, świeże wypadki opiewał z swobodą i życiem; powieść, „Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy" dowodziła satyrycznego uzdolnienia — szlachcic safanduła przechodzi na emigracji od „partji" do partji; próbował sił i w satyrach wierszowanych (najbardziej znana praca konkursowa, „Karciarze", chociaż do wykorzenienia nałogu, grasującego w Wielkopolsce w roku 1858, nie przyczyniła się skuteczniej); autor to zresztą dbały o formę, gładki, lecz ani płodny, ani silny; pisywał, jak Budzyński i inni wychodźcy, i po francusku.

Zupełnie sfrancuział w Paryżu **Karol Edmund Chojecki** (jako Charles Edmond znany w powieściopisarstwie francuskiem), należący już do młodszej generacji na wychodźtwie. Jeszcze w kraju pisywał wiersze (i historyczne) i powiastki; w Paryżu wystąpił z pracami o zakroju publicystycznym (Czechja i Czechowie przy końcu pierwszej połowy XIX stulecia; Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne w roku 1848 — obie partje znał doskonale jako wydawca *Tribune des peuples* i ofiara policji austrjackiej); podróżował wiele i zakończył właściwy zawód autora polskiego „Alkhadarem, ustępem z życia ojców naszych" (1854), najobszerniejszem swym dziełem, kreślącem apatję galicyjską, a na tle jej owych „Porajów" (niby „Firlejów" Korzeniowskiego) innego hartu, ducha i myśli, dbałych o włościan, pracą, oszczędnością na nowe tory pchających społeczeństwo, wyemancypowanych ze zwykłych przesądów towarzyskich, lecz wkońcu się im poddających; powieść o wybitnie społecznej tendencji, mądra, lecz niepowabna, ciężka, nienaturalna w stylu, miała wskazać, „co i dlaczego ma prawo do życia, co i dlaczego powinno i musi ustąpić z pola rzeczywistego bytu", lecz nieczytana, zniechęciła autora do dalszych prób beletrystycznych polskich; porzucił i socjalizm (przyjaciel L. Blanca i Proudhona, spółpracownik Mickiewiczowej „Tribune de peuples" i wydawca pism socjalistycznych) i przeszedł do czystego bonapartyzmu.

Publicystyka emigracyjna, niegdyś tak ożywiona, dogasała powoli, lecz przed samym zgonem zerwała się na wydawnictwo,

przewyższające wartością artykułów, politycznych i literackich, jednolitością tonu, wykwintnością stylu wszystkie krajowe i dlatego— nieczytane w kraju, który i Słowackiego nie znał i od Żmichowskiej stronił, potępiane na emigracji za obskurantyzm i jezuityzm — brak argumentów zawsze szkalowaniem zastępujemy: „Wiadomości polskie“ (przekształcone z pisemka Wrotnowskiego, tłumacza Kursów literatury Mickiewicza) wychodziły od roku 1857 do 1861 i przeszłyby, gdyby nie wrzawa kilku feljetonami podniesiona, zupełnie bez śladu.

Spółpracownikami ich byli **Juljan Klaczko** i **Walerjan Kalinka**. Pierwszy, z Niemieckiej ulicy w Wilnie pochodzący, poeta młodziutki (trzynastoletni), dopóki go krytyka Skimborowicza nie zagryzła, wykształcony wszechstronnie, oczytany, jak mało kto w kraju, w klasycznej i francuskiej literaturze, w Szekspirze i w Dantem (studja nad nim), wypłynął, jako krytyk i publicysta pierwszej próby, po kilku poprzednich artykułach, właśnie w owych „Wiadomościach“, organie hotelu Lambert. Tu umieścił krytyki literackie i (mniej liczne, krótsze) artykuły polityczne, przebrzmiałe bez wpływu i znaczenia, choć przewyższały wszystko, nacoby w kraju i Tyszyński i Lewestam, Rzewuski i Grabowski czy Kraszewski mogli się zdobyć. Wytworny smak artystyczny — tu mu nikt nie dorównał —; drażliwość godności narodowej i zazdrosne nad nią czuwanie; protest przeciw obniżaniu ideałów, narodowych i artystycznych, przeciw rozwodnieniu sztuki, a płytkości moralu-rozsądku; wielkie poczucie potęgi słowa i odpowiedzialności za nią; krewkość temperamentu, unosząca niemal krytyka, w miłości i nienawiści niehamującego się nigdy; styl niezrównany, francuski, przechodzący od najwyższego patosu do najdotkliwszej ironji, od zapału do sarkazmów, zawsze cięty, świeży, nigdy pospolity i blady — stworzyły te wielkie arcydzieła krytyczne i publicystyczne, jakie podziwiamy w ocenie „Krewnych“ i „Gladjatorów“, w Sztuce polskiej, w Katechizmie Nierycerskim, Odstępcach i innych. Przypominają owe krytyki spółczesne Czernyszewskiego i Dobrolubowa, którzy również czynili z krytyki publicystykę, nie hołdując w niej estetyce, lecz uważając ją za zmysł moralny, stosując ją do potrzeb narodowych, do uświadamiania postępu i dobra; nie dorównali oni tylko stylowi Klaczki. Krytyka bezlitośna, ale słuszna moralu bajki „Krewnych“ dotknęła boleśnie, głęboko Korzeniowskiego, który wzburzonemu uczuciu dał folgę, wprowadzając bezsumiennego pismaka, Centaurowicza (Klaczkę) w „Złotych Kajda-

nach"; jeszcze gorzej znęcał się krytyk nad Lenartowiczem, który wykoleił się tak fatalnie, prawiąc duby smalone i o świecie klasycznym, i o wzajemności słowiańskiej; z błotem zmieszał „Staruszkiewicza" (Odyńca) i „zacnego, serdecznego Chodźkę" — lecz gorzej od wszystkich potępił arlekina, Mierosławskiego, niby wzorując się na monomachji Krasińskiego ze Słowackim. Mierosławskiego-Papkina nie przebaczyła emigracja, mimo widocznej słuszności po stronie Klaczki, protestującego przeciw bezmyślnemu burzeniu młodzieży, niegodziwemu apostołowaniu rzezi, przeciw głupiej zarozumiałości, deklamującej — jak slawofili — o zgniliźnie Zachodu. W tym samym roku (1859) dowodził Klaczko („Konspiracja i jawne działanie"), jak niebezpieczną jest broń spiskowa, że granat to, co pęka w własnych szeregach, przedsięwzięcie napozór wielkie, w istocie próżne, i kończył słowami Włocha-patrjoty: wyżej nad wolność, wyżej nawet nad niepodległość, narody, chcące pozostać cywilizowanemi, cenić powinne sprawiedliwość, porządek i moralność.

Na tych artykułach, na wykładach o Mickiewiczu, wydawnictwie jego dzieł (ze świetnem studjum o nim z powodu Korespondencji jego), skończyła się jednak praca polska; od roku 1861 pisał niemal wyłącznie po francusku, przenosząc rozmach pióra polskiego do nienaganności prozy francuskiej. Spółpracownik *Revue de deux mondes* poruszał i teraz sprawy polskie, dał np. pierwszą trafną ocenę Krasińskiego *(La poésie polonaise au XIX siècle et le poéte anonyme)*, pisał o sonetach krymskich, wystawiał wymowny kontrast zaborczości krzyżackiej, a pokojowej unji polsko-litewskiej w *Annexion d'autrefois* (r. 1869); zwracał się coraz bardziej do wielkiej polityki, tworząc arcydzieła analizy mężów stanu i ich środków *(Etudes de diplomatie contemporaine, Deux Chanceliers*, Gorczakow i Bismark), a wreszcie, zrażony polityką żelaza i krwi, zwrócił się do umiłowanego gorąco Dantego i do sztuki renesansu włoskiego *(Causeries florentines, Rome et la Renaissance)*; okazał się najwymowniejszym, niezrównanym tłumaczem i znawcą, bogatą treść podając w pysznej formie, chociaż nowych momentów nie przysporzył. Sława autora francuskiego (artykuły i dzieła wychodziły i wychodzą w tłumaczeniach polskich) zwróciła uwagę i na owe pierwsze występy krytyczne i publicystyczne i, jak Słowacki, zbierał i Klaczko wawrzyny zbyt późne.

Odmiennie ułożyły się losy spółtowarzysza broni, Walerjana Kalinki: artykuły jego, silnie przeniknięte duchem katolickim, pod względem formy nieświetne, spokojne, wywoływały owe okrzyki na

jezuityzm. Była to druga faza w rozwoju autora „Listów z Londynu“ i „Galicji i Krakowa pod panowaniem austrjackiem“ (dzieła cennego dla wielkiej liczby dat), który teraz hołdował zasadom hotelu Lambert. Jego własne były inne; oddając się studjom historycznym w Krakowie, czy poszukiwaniom w archiwach niderlandzkich, przejął się duchem demokratycznym, charakterystycznym dla ówczesnej młodzieży; wcześnie jednak zwrócił się przeciw spiskom i spiskowaniu, a za pobytu paryskiego przylgnął zupełnie do stronnictwa Sienkiewicza i Hoffmana, poszedł na służbę dyplomatyczną i publicystyczną u Czartoryskich. Narazie rozpraszał się w artykułach drobniejszych, które gorętszym w kraju bardzo się nie podobały z powodu zbytniej trzeźwości; poczytywano je za bardziej rosyjskie, niż artykuły „Tygodnika petersburskiego“. Lecz jego służba emigracyjna było to tylko działanie przedwstępne.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

LITERATURA W KRAJU (1831–1863). TŁO JEJ. POEZJA.

Stan umysłowy i warunki rozwoju w Galicji, w Poznańskiem, w Królestwie i w Krajach zabranych. Ożywienie badań historycznych i ludoznawczych. Wybitni poeci; epicy: Pol, Syrokomla; lirycy: Lenartowicz, Ujejski.

Poezja emigracyjna, dzięki wyjątkowemu położeniu swemu i nadzwyczajnym talentom twórczym, wdarła się odrazu na szczyty, niedostępne dotąd nietylko dla poezji polskiej, ale wogóle dla słowiańskiej, i nikt jej nie prześcignął ani nawet dorównał, ani wtedy ani później. Poruszała najżywotniejsze zagadnienia; z najbliższej przeszłości czerpała siły i środki do walki, którą piórem dalej toczyła; sama zwracała się do przodków z groźnem zapytaniem:

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,

i sama odpowiadała:

Któż, zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Jakiż naród, jakiż stan,
Wiekże jaki, z czystem czołem,
Krzyknąć może: jam aniołem,
Jam nie zadał drugim ran?

Tłumaczyła tę przeszłość i przebijała zasłonę przyszłości, a nietylko były to olbrzymie pokłady myślowe, niewyczerpane, była to zarazem i sztuka najwyższa, czy wtedy, gdy narodowi wystawiała rozkosznemi barwami z zadziwiającą prawdą obraz własnego życia

tak niedawnego a już do przeszłości należącego, czy wtedy, gdy dobadywała się pracy duchów, ciągłej, wytrwałej, od wieków najdawniejszych istnienia aż do dni naszych.

Lecz literatura ta nie miała wolnego dostępu do kraju, szerząc się kryjomo i przypadkowo; nie miała wolnego dostępu nieraz i do głów samych. Słowacki zasunął się za obłok mistycyzmu i zniknął za nim dla kraju; Krasińskiego najpotężniejsze alegorje wymagały wysiłku myślowego i nie jedyna poczciwa Tańska żachała się na „tajemniczość“ Irydjona; piewca litewski, ukochany przez wszystkich, zamilkł już po „Tadeuszu“ na zawsze. Wielka ta literatura, w stroju odświętnym, w blaskach natchnienia i wieszczenia, niepokojąca, przerywająca sen błogi, nie zaspokajała potrzeb najbliższych, codziennych; bez granic w przestrzeni i czasie, nie dopasowywała się wymogów małuczkich, zasklepionych w sobie, do niskiego nastroju ogółu. A ogół ten odczuwał coraz odmienne potrzeby.

W każdej dzielnicy płynęło też życie osobnem korytem. Na przewrót zupełny, najdonioślejszy w swych skutkach, zanosiło się powoli w Galicji, traktowanej dotąd przez własny rząd najbardziej po macoszemu, skazanej na wynarodowienie. W pół wieku po przyłączeniu do Austrji, prowincja, gdzie praca komisji edukacyjnej żadnem echem odezwać się nie mogła, ulegała zupełnej germanizacji; Lwów z niemieckim teatrem i czasopismami (polskie kołatały nędzny żywot); kraj z niemieckiemi urzędami, sądami, szkołą i wojskiem; miasteczka nawet z magistraturą niemiecką — wywoływały łudzące pozory jakiejś niemieckiej prowincji. Duchowieństwo było wprawdzie polskie, ale głęboko poderwane reformami józefińskiemi, osłabło tem bardziej, gdy na czele jego stawali i obcokrajowcy, obojętni dla narodowego kościoła. Szlachta została niby tem, czem była, miała nawet reprezentację stanową i w niej stykała się z rządem; zresztą nie wstępowała do urzędów ani do wojska, żyła na wsi, po dawnemu, patrjarchalnie; zamłodu wyjeżdżano zagranicę, potem polowano i gospodarowano, co przy pańszczyźnie nie było trudne; tylko wyjątki rzucały ospałe życie. Ludek miejski wegetował spokojnie, nieuświadomiony jeszcze, ale już wybijały się jednostki; nauka, choć niestrawna, choć niemiecka, budziła myśl.

Lud wiejski, polski czy ruski, dzieliła od „panów“ pańszczyzna; głęboka, wiekowa waśń społeczna nie dopuszczała jakiegokolwiek poczucia solidarności; rząd przez to samo, że nieograniczoną niegdyś pańszczyznę określał i odebrał władzę nad życiem i mieniem „chłopa“, chociaż pańszczyzny nie znosił i przez swoich mandatarju-

szów patrymonjalną juryzdykcję pańską dalej wykonywał, w oczach chłopskich otoczył się aureolą opiekuństwa; tylko panów wina, jeżeli ojcowskie zamysły jego nie wchodzą w życie; oni to uchylają czy ukrywają rozkazy cesarskie, mające dobro chłopa na celu. Z tego antagonizmu społecznego rząd, przez emisarjuszów emigracyjnych i roboty podziemne nad miarę wystraszony, skorzystał w roku 1846.

Żyd, stanowiący pokaźny procent ludności, narodowego poczucia mieć nie mógł, od wieków zdala trzymany i sam wszelkiej asymilacji się opierający; stawał po stronie rządu i germanizacji, od polskości stronił. Życie prowincji płynęło różnemi strugami; najpłytsza niemiecka — dzieło kolonizacji, planowane na wielką skalę, albo chybiało zupełnie, albo ważniejszych wyników nie dawało — wylewała najszerzej po napisach na budynkach i kramach, po szkołach i biurach, w wojsku i między kupiectwem; nawet w przemyśle górowali obcy. Szlachta ceniła najwyżej dawne życie tradycyjne, szczególniej szlachta podgórska i sanocka; nie przypadkiem też pisarze galicyjscy, Pol i Kaczkowski, wystąpili z idealizacją jego; o lud miejski i wiejski narazie nie dbano. Ogólne jednak zajęcie narodowościami nie minęło kraju, i właśnie Galicja okazała się wdzięcznem polem dla etnografji, łącząc oba odłamy świata słowiańskiego, zachodniego i wschodniego; myśli Chodakowskiego znalazły tu najwcześniej oddźwięk. Już „Pielgrzym Lwowski“ z roku 1822 i 1823 (wydanie profesora Niemca Maussa) zamieszczał próby i oceny poezji ludowej, i z Galicji wyszły pierwsze obszerne zbiory pieśni ludowych.

Jeden, Wacława z Oleska (Zaleskiego, namiestnika galicyjskiego w r. 1848) „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego“, z roku 1833, upatrywał w nich właśnie „najdoskonalszą charakterystykę narodowości“, żałował, że poezja dawna poszła mylną drogą, od Kochanowskich do Krasickiego, ogółowi zawsze obca. Drugi, skrzętnego badacza i zapalonego antykwarjusza, Żegoty Paulego („Pieśni ludu polskiego“, 1838, „Pieśni ludu ruskiego“, 1839) posłużył za kopalnię dla Wójcickiego i jego „Pieśni Białochrobatów“. Nawoływania Chodakowskiego, Lacha Szyrmy i Brodzińskiego (śledź zgasłych ojców czyny, łańcuchem niezłomnym sprzęż dawną miłość kraju z plemieniem potomnym; w ziomkach ucz się znać ludzi, z nich czerpaj natchnienie, ich uczuciem wzbudzone im poświęcaj pienie), podchwycili August Bielowski, Siemieński, Goszczyński, Wincenty Pol, zbierając, tłumacząc, przerabiając pieśni ludowe.

Różnice narodowościowe narazie nic nie znaczyły: nieliczna inteligencja ruska posługiwała się wyłącznie językiem polskim, nawet w cerkwiach mawiano kazania po polsku; Iwan Wahilewicz, jeden z „trójcy“, która zapoczątkowała w Galicji nową literaturę ruską, odrębną od cerkiewnej i jej martwego języka, pisywał nietylko po polsku, ale i bratał się szczerze z Bielowskim; Marcjan Szaszkiewicz (wydawca „Rusałki Dniestrowej“, z Wahilewiczem i Hołowackim) pisał wiersze polskie i tłumaczył z polskiego — uprawiano narazie patrjotyzm miejscowy, galicyjski. Powoli wzmagał się ten ruch, zagarniał Ukrainę; poetycznej jej restauracji dokonali najpierw polsko-ukraińscy poeci z Padurrą (cenił go Szaszkiewicz — wtedy, dzisiejsi Rusini oddawna nim pomiatają); potem stawał się ten ruch coraz bardziej separatystycznym i wrogim, szczególniej po roku 1848.

Nie dziw więc, że właśnie galicyjscy pisarze, obok ludowych, szerzyli słowiańskie tendencje, zachwycali się „Rękopisem królowodworskim“, pieśniami serbskiemi, „Słowem o pułku Igorowym“, tłumaczyli je i naśladowali, szczególniej Bielowski, Siemieński, Nabielak. Ta młodzież, z oboma Borkowskimi (Józefem i Leszkiem), niebawem zasilona napływem nowych sił od Warszawy (Wójcicki, Magnuszewski, Goszczyński), zakrzątawszy się żywiej, przerwała nakoniec apatję umysłową, zadowalającą się przez całe lata albo bajką Miera, albo jego wlokącym się nieskończenie przekładem Andromachy.

Prace ich skupiały się w „Haliczaninie“ Chłędowskiego i w „Ziewoni“; punktem zbiorowym stało się później Ossolineum, wieczory literackie tamże urządzane przez dyrektora Kłodzińskiego; po „Rozmaitościach“, dodawanych do urzędowej „Gazety lwowskiej“, po almanachach i innych próbach nieudałych wytwarza się nakoniec za ich staraniem „Dziennik mód paryskich“ (krawca Kulczyckiego), jako pierwszy organ literacki. Koło poetów czerwono-ruskich rozprzęgło się wprawdzie wcześnie, ale ruch, przez nich wzbudzony, potężniał.

Jedni, jak Nabielak, emigrant-towiańczyk, rzucali kraj i pracę literacką; Augusta Bielowskiego, świeżo wsławionego „Pieśnią o Henryku Pobożnym“, wabiła coraz wyłączniej historja, na jej też polu miał sobie zaskarbić największe zasługi; i tu nęciła go najbardziej przeszłość słowiańsko-mityczna, majaki macedońskich i trackich dziejów i bojów; wpadał na najmylniejsze poszlaki; pozostawił jedno, trwałe dzieło: na wzór wielkiego niemieckiego wydawnictwa

(Pertza), małe pod względem rozmiarów, znaczeniem wielkie „Monumenta Poloniae historica, Pomniki dziejowe Polski“, obejmujące dawne jej źródła, swojskie i obce (kronikę Nestorową w przekładzie Wahilewicza), i, chociaż nawet w wydawnictwie kronik dał się nieraz powodować niefortunnemi pomysłami, osadził na pewnej podstawie dziejopisarstwo średniowieczne.

Przedwczesna śmierć oderwała od pieśni nowogreckich i gazel wschodnich Józefa Borkowskiego; brat jego, Leszek, sam zarzucił lirykę i przerzucił się do satyry ciętej, literackiej, wierszowanej, w „Cymbaladzie“ (1845), przedrzeźniającej nietylko niemiłosiernie wierszokletę Józefa Pajgerta (ojca) [1]), lecz nieskąpiącej *verba veritatis* i Polowi, a sympatycznie witającej nowowschodzącą gwiazdę, Ujejskiego; „Cymbaladę“ wyprzedziła satyra prozą na stosunki galicyjskie, „Parafjańszczyzna“; wywołała ona wielką wrzawę, gdyż zaczepiała nie parafjan, lecz „wielki świat“ lwowski, małpowanie cudzego ducha i języka, przykładne zasady świętoszków naszych, a nieprzykładne ich życie, zarozumiałość, pomiatającą niższymi, i inne wady towarzyskie, w szeregu luźnych szkiców, o nierównej wartości i tonie; niektóre z nich bardzo wymowne i ostre. Lecz były to ostatnie występy autora-obywatela na niwie literackiej; przerzucił się potem na pole pracy politycznej i społecznej.

Siemieński porzucił Galicję i zmienił pole działalności pisarskiej: nie próbował już tonów „Trąb w Dnieprze“, lecz oddawał się popłacającym gawędom i obrazkom powieściowym (Muzameryt), nie zaniedbał tłumaczeń (Horacego, Odyssei) i zasłużył się najlepszem opowiadaniem dziejów narodowych, „Wieczorami pod lipą“, pozostawiającemi barwnością stylu i ciepłem serdecznym daleko wtyle „Pielgrzyma dobromilskiego“.

Miejsca ubywających (Magnuszewskiego i innych) zajmowały młode siły: powieściopisarz Dzierzkowski, Wincenty Pol, Karol Szajnocha, Ujejski, Kaczkowski. Straszny popłoch, wywołany rzezią lutową roku 1846, i prześladowania polityczne obezwładniły chwilowo ruch umysłowy i propagandę demokratyczno-postępową — wszystko wynagrodził rok 1848, wiosna ludów, zapowiadająca polityczne i społeczne przewroty. Niebawem wprawdzie rozwiały się

[1]) „Józef z Sidorowa“ odpłacił pięknem za nadobne, „Zemstą Wandy“ (1846), najlepszym co napisał, polską Duncjadą, gdzie nietylko Breszka-Leszka, ale i całe kółko czerwonoruskich pisarzów, z Bielowskim („Długoszem“) i in., nawet ze zmarłymi, Józefem Borkowskim i Magnuszewskim, pokiereszował; nie uszedł i Kraszewski, krytyk i epik (Witoloraudy), najdotkliwszych uwag.

bujne marzenia; zjazd wszechsłowiański w Pradze, witany prozą i wierszami, obesłany licznie przez Polaków (zjawił się i Padurra), który miał ułożyć podwaliny wzajemnego porozumienia się, braterstwa ludów, musiał się rozejść, nie usankcjonowawszy nawet ugody polsko-ruskiej, podpisanej przez Leona Sapiehę, Helcla i innych. Nowa era reakcji i represaljów rozpoczęła się bombardacją Lwowa (gdzie spłonęła bibljoteka uniwersytecka). Ale pamiętny rok nie przeszedł bez głębokich śladów: można było pozawieszać wydawnictwa perjodyczne, obostrzać na nowo cenzurę i nadzór nad szkołami, wracać do systemu germanizacyjnego, zarzuconego w roku 1848, kadry urzędnicze zapełniać Niemcami i jeszcze nieżyczliwszymi Czechami — ruchu umysłowego, politycznego i społecznego już nie zatamowano.

Obudziło się mieszczaństwo; służba w gwardji narodowej, udziały w petycjach, adresach, zgromadzeniach, nawet procesy polityczne i zasądzania na śmierć, zamieniane na więzienia Szpilbergu i Kufsteinu, wyrobiły tylko poczucie łączności ze szlachtą, obowiązek służby publicznej: Smolka, Ziemiałkowski, Sznajder i inni wymownie o tem świadczyli.

Uwłaszczenie włościan wyszło wprawdzie od rządu, ale zabliźniło najgroźniejszą ranę w ustroju prowincji, chociaż pogłębiło raczej przepaść społeczną, dzielącą lud i szlachtę. Ruch ruski zaczął się również wzmagać i przez samą jednolitość swoją zdawał się być groźnym, tem bardziej, że wypróbowano lojalność „rusińców“ w roku 1848 i 1849 — Polakom nie zapomniano nawet udziału w powstaniu węgierskiem, w którem generał polski, Bem, odniósł największe triumfy, nawet wbrew zawiści i niechęci madjarskich towarzyszów broni, a legjon polski dzielnie się trzymał do końca.

Na dalszy rozwój Galicji wpłynęło silnie przyłączenie rzeczypospolitej krakowskiej w roku 1846. Minjaturowa rzeczpospolita przechodziła wraz z uniwersytetem Jagiellońskim niewesołe koleje od roku 1815. Szczupłość rozmiarów, środków, sił, czujny nadzór z strony mocarstw gwarancyjnych, utrudnienie związków z innemi dzielnicami nie pozwoliły na żywsze rozbudzenie. Nawet jedyna Szkoła Główna z wykładowym językiem polskim, jedyne polskie towarzystwo *naukowe*, ruch czasopiśmienniczy nieco większy, właśnie z powodu braku sił i środków nie mogły się szeroko rozwijać.

Najbardziej zasłużył się **Michał Wiszniewski**, Krzemieńczanin, profesor historji powszechnej, czynny jako pisarz filozoficzny, o kierunku zupełnie odmiennym od Kremerów i Libeltów (wy-

znawca Bacona, Lockego, filozofji szkockiej, jak Śniadecki), kreśląc popularnie systemy, logikę, pedagogikę; jeszcze większy wpływ osiągnął jako pierwszy historyk literatury polskiej, podjętej na najszersze rozmiary. W siedmiu sporych tomach (1840 — 1846) opracował całość jej do XVI wieku (w pierwszych pięciu tomach) i poezję (polską i łacińską wraz z przekładami wierszem i prozą) okresu „złotego“ do r. 1648; roztoczył obraz kultury najobszerniejszy, na jego tle nadmiernem omawiając nieliczne pomniki łacińskie i jeszcze o wiele szczuplejsze polskie; w XVI i XVII wieku dał się unieść masie napływającego zewsząd materjału drukowanego i wobec analizy bibljograficznej (z licznemi przytaczaniami tekstów, zastępującemi niemal późniejsze „wypisy staropolskie“) niknie zupełnie wykład historyczny; później wydano z rękopisu jego jeszcze dwa tomy, obejmujące resztę literatury Zygmuntowskiej, materjał surowy, nieprzerobiony.

Zasługą pozostało, obok wydobycia nadzwyczajnej ilości cennych faktów, powiązanie ich z tłem ogólnodziejowem; oświetlenie mogło być zbyt jaskrawe, raziło przecenianie zabytków, uogólnianie zbyt pośpiesznie zjawisk zachodnich, ale cóż za postęp w porównaniu z suchemi wyliczeniami Bentkowskiego, Juszyńskiego, a choćby i Osolińskiego! Ważność literatury dla oceny ducha dziejów dopiero z jego dzieła wynikała.

Niżej od Wiszniewskiego stanęli bibljotekarz (po Bandtkiem) Józef Muczkowski, Poznańczyk, żmudnemi publikacjami źródłowemi zasłużony około dziejów uniwersyteckich, i Karol Mecherzyński, specjalizujący się w swych badaniach (o historji łaciny w Polsce, autor „Historji wymowy w Polsce“, trzytomowej).

Z uniwersytetem łączyło się Towarzystwo Naukowe, wydające z przerwami swoje „Roczniki“; przewodzili w niem lekarze i przyrodnicy, najbardziej zasłużył się długoletni przewodniczący jego, uczony fizjolog Józef Majer — tylko Franciszek Wężyk równał się z nim wielką ofiarnością na cele Towarzystwa, chociaż uznania jako pisarz i w Krakowie się nie doczekał; nie interesowały ani jego dramaty historyczne („Bezkrólewie“; pierwsze i drugie) ani komedje. Od roku 1852 odłączyło się Towarzystwo od uniwersytetu.

Kraków stworzył pierwsze poważne miesięczniki polskie; „Kwartalnik Naukowy“ Antoniego Zygmunta Helcla, „Powszechny Pamiętnik Nauk“ Zienkowicza i „Pamiętnik Naukowy“ Lesława Łukaszewicza (autora podręcznika dziejów literatury), lecz dłuż-

szego bytu im nie zapewnił. Helcel starał się najusilniej zaradzać brakom kardynalnym polskim: brakowi gruntowności i brakowi oryginalności; pomagał mu filozof-estetyk Józef Kremer, streszczający najpierw w Kwartalniku Hegla, później podejmujący obszerny „Systematyczny Wykład Filozofji", zajmujący się równocześnie w „Listach z Krakowa" historją sztuk pięknych, ze szczególnem uwzględnieniem krajowej, w formie wcale estetycznej. W Krakowie, z jego najpiękniejszemi pomnikami sztuki polskiej, rozwinęła się nietylko historja sztuki, ośmiowiekowa przeszłość miasta, niegdyś zachodniej placówki narodu, później stolicy piastowskiej i jagiellońskiej, budziła uszanowanie i zamiłowanie, zwracała myśl ku świetnej przeszłości: z Krakowa wyszło polskie starożytnictwo i dziejopisarstwo. Helcel sam, rzucając artykuły krytyczne i filozoficzne, zagłębił się w studja dziejowe, ale wiek upadku, XVII, utrzymać go przy sobie nie potrafił ani listami Sobieskiego (do Marysieńki), ani księgą pamiątkową Michałowskiego (zbiór materjałów do dziejów roku 1648 i następnych): od anarchji rwał się do czasów silnych rządów monarchicznych, do wielkiego Piasta i najznakomitszego dzieła jego, Wiślicy. Jego „Starodawne prawa polskiego pomniki" obejmują w dwu tomach i podstawę ich, ustawodawstwo „wiślickie", krytycznie rozebrane po Janie Wincentym Bandtkiem i wydane na podstawie wszystkich rękopisów, i praktykę ich, tkwiącą w zapiskach sądowych krakowskich XIV i XV wieku.

W tym starożytniczym kierunku pracowali i inni: żołnierz-biskup Łętowski („Biskupi i kanonicy krakowscy" — w innych pismach folgujący stylowi żołniersko-gawędziarskiemu, dosadnemu, próbujący bez powodzenia i dramatu historycznego); zbieracz i księgarz, Ambroży Grabowski, przejęty głęboką miłością wszystkiego, co swojskie (już w r. 1819 wydał Apoftegmata, anegdoty staropolskie, potem „Starożytności polskie"), przedewszystkiem zaś tego, co krakowskie, najwymowniejszy Cicerone swego rodzinnego grodu. Kraków właśnie stał się kolebką archeologji polskiej, piastowanej dalej godnie przez Łepkowskiego i Łuszczkiewicza, przez Sokołowskiego i Wojciechowskiego, przez Koperę i Lepszego. Z miłością przeszłości godziły się drobne rywalizacje partyjne, a raczej osobiste: najwymowniejszy ich pomnik pozostawił Wodzicki w swoich pamiętnikach.

Po włączeniu do Galicji stał się Kraków nietylko punktem ciężkości dla zachodniej połaci kraju, lecz w przeciwieństwie do

młodszego, ruchliwszego, skrajniej usposobionego Lwowa, strażnikiem grobów królewskich i chwały narodowej, w imię przeszłości i jej wymownych pomników wyrażającym stałe zasady konserwatywne. Narazie występywały te różnice chyba w teorji, ale dni rządów absolutystycznych były policzone; klęski włoskie sprowadziły w Austrji zupełną zmianę, przygotowały powrót do rządów parlamentarnych, nadawały konstytucję państwu, a autonomję prowincjom; centralistyczne zakusy wiedeńskie nie zdołały powstrzymać odrodzenia narodowego Galicji.

Odrodzenie publicystyczne i literackie szło w nieprzerwanym ciągu od roku 1848, kiedy to wszelkie tamy naraz zerwano, kiedy wysypały się, jak z rogu obfitości, dzienniki, broszury, wiersze, polskie i ruskie, Pola, Jabłońskiego i innych. Były to jednodniówki, ale ślad zostawiły. Teraz nie wystarczały już „Rozmaitości“ i „Dziennik mód“; Jan Dobrzański, nabrawszy wprawy redaktorskiej przy owym dzienniku, stworzył poważniejsze pismo literackie, najpierw „Nowiny“, potem „Dziennik literacki“, w których beletrystyka lwowska znakomiciej się prezentowała, i, nie przebierając nawet w środkach, utrzymał znaczenie ich, nim się zwrócił do politycznego dziennikarstwa; doświadczyło tego „Kółko Rodzinne“, które, mimo znakomitych spółpracowników, uległo w r. 1860 jego bezwzględnej polemice. Kraków podobnego czasopisma nie stworzył, zato jego „Czas“, organ ziemiański, zachowawczy, urósł w najpoważniejszą gazetę polityczną polską, dzięki zdolnościom redaktorskim Manna, później Stanisława Koźmiana. Rolę feljetonisty literackiego objął tu eks-demokrata Lucjan Siemieński, który, zapomniawszy o „czerwonej“ przeszłości i o poezji i krytyce, studjom literackim zupełnie się poświęcił, wprowadzając pierwszy nowy rodzaj szkiców, sylwetek czy „portretów“ literackich; pierwszy zręcznie i dowcipnie połączył daty życia, wpływy otoczenia, oceny dzieł czy stanowiska, oświetlił i ukazał całość, w szczegółach niezawsze ścisłą, ale zawsze zajmującą. Nie sięgał zbyt w przeszłość; pisarzów spółczesnych traktował niezawsze bezstronnie, zato dawniejszych, w znakomitym „Obozie klasyków“, Stanisławowskich (Trembeckiego i innych) wyłącznie niemal uwzględniał; i dziś jeszcze czyta się te studja, pisane nadzwyczaj lekko, z zajęciem i korzyścią; bo i sąd był trafny i smak wybredny; głębokością studjów przewyższał Bartoszewicz, ale formą celował Siemieński.

Czem był Siemieński dla historji literatury, pozbawiwszy ją pedanterji, drobiazgowości, sam jednak nieskupiający sił dla wy-

dania całości, myszkujący po różnych jej działach, tem został dla historji narodowej **Karol Szajnocha.** I historja dotąd poczytną nie bywała; liwjuszowska retoryka Naruszewicza, zawiły styl Lelewela, ciężka erudycja „Troga Pompeja“ (Bielowskiego, który tylko w „Żółkiewskim“ swobodniej oddychał, przejęty uwielbieniem dla swego bohatera, i w „Szymonowicu“ niezgorszy portret życiowy wykonał), mogły odstraszyć przeciętnego czytelnika. Popłacały wprawdzie studja historyczne, roiły się monografje pojedyńczych rodów, wypadków, zawikłań: Maurycy Dzieduszycki pisał i „Skargę“ i „Oleśnickiego“ i „Lisowczyków“, obszernie i gruntownie, zato z silną przymieszką tendencji ultramontańskich, uwielbiając swoich bohaterów i tam, gdzieby na ich zasługi należało wcale sceptycznie patrzeć, bolejąc bardzo, że różnowierstwa nie zgnieciono odrazu; Henryk Szmitt idealizował demokrację szlachecką w „Rokoszu Zebrzydowskiego“ i innych dziełach; Kazimierz Stadnicki badał genealogję Jagiellońską; ks. Sadok Barącz dzieje zakonu kaznodziejskiego i Ormian w Polsce, robiąc, wślad za Minasowiczem, nieco ryczałtowo z Polaków współwyznawców swej nacji orjentalnej; lecz Szajnocha zrobił pierwszy historję poczytną, ponętną, ciężkie rozprawy bez uszczerbku dla treści uczonej, gruntownej, zastąpił lekkiemi, nieraz wytwornemi szkicami.

Próbował sił i jako poeta, szczególniej w dramacie, społecznym i historycznym, zanim do historji przeszedł całkowicie; pierwsze jego „opowiadanie“ o Bolesławie Chrobrym (1849) wykazało zalety pióra, wykształconego na wzorach francuskich Thierry'ego. Szkice jego krótsze i dłuższe i dzieła nawet wielotomowe (Jadwiga i Jagiełło; Dwa lata dziejów polskich), czyta się, jak romans historyczny; wprowadzają w epokę sama, między ludzi średniowiecznych czy na dwory polskich królewiąt, rozwiązują zagadkę czy nieporozumienie dziejowe (o brodach krzyżackich, urobionych z buńczuków), wytaczają ciekawą kwestję, zapoznają z sympatyczną czy znakomitą osobistością. Pod jego piórem nabierają te postaci nowego życia; on wmyślił się w nie, odczuł je i umiał barwnie, zajmująco wyłożyć to, co ze źródeł wykombinował. Poruszał i tematy literackie: wprowadził pierwszy Wacława Potockiego (tegoż „Wojnę Chocimską“ właśnie wydał bibljograf i bibljoman lwowski, Stanisław Przyłęcki,) do panteonu ojczystego, oświetlił znakomicie postać Krzysztofa Opalińskiego. W idealizacje nie wpadał, służył prawdzie, hołdował pięknu. Naokół zmieniało się wszystko; nauka polska, po chwilowym zastoju, spowodowanym nawet w Krakowie

samym złożeniem z urzędu najwybitniejszych profesorów polskich, stawała na silniejszej podstawie; na katedrze lwowskiej ukazał się Antoni Małecki i, oprócz monografij literackich, wywalczył stanowisko dla studjów gramatycznych, odpowiadające wymaganiom nowoczesnej umiejętności; stawały pierwsze gimnazja polskie; ożywił się teatr pod nowymi kierownikami sceny (Smochowskim i Nowakowskim); ożyła głównie beletrystyka, wierszem i prozą, i skupiła liczne, wyłącznie jej oddane siły. Tak przechodziła Galicja z dawnego odrętwienia w Beocji i Abderze umysłowej do ruchu i życia, z każdym nowym dziesiątkiem lat zdobywając się na nowy, większy postęp.

Innemi, zygzakowatemi torami rozwijało się życie umysłowe i literackie w dzielnicy poznańskiej, która, jedyny raz w dziejach polskich, na chwilę na czele tego życia miała stanąć. Owej zupełnej prostracji umysłowej, cechy dawnej Galicji, nie było tu właściwie nigdy; cenzura pruska była łagodniejsza, bo rozumniejsza; sprawę włościańską zaczęto już w roku 1820 regulować; nie krępowano z zasady ruchu społecznego; uniwersytety, berliński i wrocławski, oddziaływały na młodzież wielkopolską; po gimnazjach nauczyciele Polacy pracowali i literacko (bracia Poplińscy i Cegielski, autorowie dobrych wypisów prozą i nauki poezji). Znaleźli się i mecenasi, zamożni, światli, patrjotyczni; hrabia Edward Raczyński nietylko uposażył i publicznemu pożytkowi poświęcił w Poznaniu bibljotekę wielką, bogatą przeważnie w rzeczy polskie, lecz łożył znaczne koszty na najrozmaitsze wydawnictwa, źródłowe (kodeksy dyplomatyczne, materjały do XVIII wieku, Paska), przekłady (klasyków łacińskich), archeologiczne (Wspomnienia Wielkopolskie), numizmatyczne (Gabinet medalów polskich); szersze plany jednak, szczególniej po roku 1831, trafiały na przeszkody niezwalczone. Hrabia Tytus Działyński nie przeznaczał bogatych zbiorów kórnickich dla publiczności, jednak równie znaczne koszty łożył na wydawnictwa dziejowe, („Acta Tomiciana," sprawy kancelarji królewskiej Zygmunta I; pisma w sporze polsko-krzyżackim, „Lites ac res gestae"; diarjusze sejmowe) językowe (Zabytek dawnej mowy polskiej, najznakomitszy przyczynek po wydaniu psałterza florjańskiego przez hr. Stanisława Borkowskiego i slawistę Kopitara), na bibljotekę matematyczną.

Szczególne zasługi położył bibljotekarz Raczyńskiego, Józef Łukaszewicz, badając dzieje umysłowe w czterotomowej „Historji Szkół w Polsce", obejmującej całość, aż do upadku Rzeczypospo-

litej, i w „Dziejach Kościołów wyznań obcych“ (braci czeskich, kalwinów, co dotąd Walerjan Krasiński opowiadał — po angielsku); uporał się pierwszy z dziejami swego grodu, Poznania (Lwów wydawał w lichych przekładach dawne zapiski Zimorowica, nim się Rusin Zubrzycki na tendencyjną kronikę zdobył; Kraków i Warszawa do dziś podobnego dzieła nie mają). On też zasilał Leszczeńskiego (albo Lesznieńskiego) „Przyjaciela Ludu“, pismo skromne pod względem formy, bogate treścią, czerpaną wyłącznie z dziejów ojczystych, popularne; sam, szczególniej w rzeczach wyznaniowych, liberał (wróg jezuitów), zwalczał jednak postępowców, zszeregowanych około Antoniego Wojkowskiego i jego „Tygodnika Literackiego“.

„Tygodnik“ hołdował pierwotnie umiarkowanemu postępowi; zasilali go historyk Jędrzej Moraczewski (autor „Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej“, doprowadzonych w dziewięciu tomach do abdykacji Jana Kazimierza, pisanych w duchu Lelewelowskim, republikańskim, i encyklopedji „Starożytności Polskich“) i filozof-estetyk Karol Libelt, zdolny publicysta, znakomity stylista, mniej fortunny jako pogromca filozofji niemieckiej i samowładztwa rozumu, usiłujący go wyobraźnią zastąpić, opierający się na ludzie, narodowości, przechowującej pierwiastki przyszłego rozwoju. Lecz od roku 1841 zwrócił się Wojkowski, któremu dzielnie wtórowała żona Julja, pierwsza emancypantka polska, ku skrajniejszym kierunkom; jej pieśni ludu wiejskiego dyszały antyszlachecką nienawiścią. Szerzyła namiętnie emancypację kobiet, wysławiając panią Sand; zresztą czciła trzeźwy rozum, potępiała egzaltację. „Tygodnik“ upadł wreszcie, nie pod strzałami „Orędownika“ (Poplińskiego i Łukaszewicza) — towarzystwo poznańskie odwróciło się od niego dla nietaktu redaktorów, dla ich mniemanego odstępstwa. Poważny „Rok“ Moraczewskiego dłużej nie wytrwał, i po roku 1846 obumiera rozbudzony ruch czasopiśmiennictwa poznańskiego; na pierwszy plan wysuwa się organ ultrakatolicki i ultrazachowawczy, „Przegląd Poznański“ Jana i Stanisława Koźmianów. Zawiązuje się wprawdzie jeszcze Towarzystwo Przyjaciół Nauk; poprzedziła je wytrwała czynność doktora Karola Marcinkowskiego, założyciela Towarzystwa Pomocy Naukowej (istniejącego do dziś, nader dobroczynnego dla uczącej się młodzieży wielkopolskiej). Tak to Poznańskie przewodniczyło tylko przez jedno dziesięciolecie pracy umysłowej narodowej, chociaż oryginalnie nie tworzyło; traktowało z wielką swobodą kwestje, których gdzie indziej nawet nie poruszano; publiko-

wało u siebie i oceniało krytycznie (przez Małeckiego i innych) nawet literaturę emigracyjną. Nie wytrwało na tem stanowisku; po stłumieniu ruchu 1848 do rozległej, postępowej pracy umysłowej już tu nie wrócono. Wychodźtwo sił wybitnych, które się jeszcze było zaczęło w XVIII wieku, powtarzało się stale; przenosili się do Galicji Małecki, Osowski, przed nimi Muczkowski; po nich Przyborowski Józef, Węclewski, Mierzyński, powołani za Wielopolskiego do Królestwa; w ostatnich lat dziesiątkach, znowu do Galicji, przechodzili Morawski, Ćwikliński, Milewski; osłabiało to znacznie pozycję umysłowości i nauki polskiej, podtrzymywanej coraz mniej licznemi i wybitnemi siłami; prócz lekarzów i przyrodników, filozof Cieszkowski (długoletni przewodniczący Towarzystwa Naukowego Poznańskiego, zwracający się, od dalszego ciągu „Ojcze-naszu“ i słabnącej weń wiary, do badań historycznych) i historyk czasów saskich, Jarochowski, byli najznakomitszymi.

Jarochowski już w latach pięćdziesiątych występował z myślami, którym pozostał wiernym do końca życia: niby uczeń Moraczewskiego i Lelewela nie sprzyjał królom, panom i jezuitom; podziwiał naród szlachecki i jego zdrowy instynkt, acz nieuświadomiony; czasy Augusta II lub sprawy polsko-pruskie (Kalksteina) rzucał wyjątkowo, np. w cennem studjum o literaturze poznańskiej z pierwszej połowy wieku. Ale zastęp pracowników zmalał nadzwyczaj; nie wzmogły go ani panie-powieściopisarki, Paulina Wilkońska, Emma z Kurowskich Puffke; dzielnica cofnęła się niebawem, chociaż jej właśnie groziło największe niebezpieczeństwo i ostatnie siły wytężać należało. Tu bowiem uszczuplała się sama podstawa narodowości przez rosnącą po miastach i miasteczkach germanizację, przez przechodzenie majątków ziemskich w ręce niemieckie, przez coraz usilniejszą działalność szkoły i rządu.

Wzamian za ten powolny ubytek budziło się poczucie narodowe w zapadłych kątach dzielnic piastowskich i pruskich. Śląsk, wytrącony od wieków z kolei dziejowej polskiej, zniemczały doszczętnie nietylko w wyższych sferach, lecz i w ludzie samym, w dolnej i średniej połaci (stosunki narodowościowe nie zmieniły się znaczniej od końca XV wieku), w górnej wykazał siłę odporną znaczną, ale zacofany, zapomniany, żył gwarą domową, w kościele i szkole, nie wychodząc z nią poza najskromniejsze żądania. Nowa szkoła pruska (po przyłączeniu Śląska) stawiała sobie cele wręcz germanizacyjne, tak że tylko kościół pozostał ostatnią warownią języka narodowego, tem bardziej słabnącą, im liczniejszy był żywioł

niemiecki w wyższem duchowieństwie: biskupi wrocławscy nie znali wcale języka najliczniejszych, najgorliwszych swych owieczek. Z duchowieństwa jednak i nauczycielstwa wyszedł ruch nowy, zwiastujący odrodzenie ludności polskiej na Śląsku; prócz najelementarniejszych potrzeb duszpasterstwa odzywały się sentymentalne, romantyczne tęsknoty za zagrodą domową i jej gwarą, za wspomnieniami dzieciństwa; pociągała sława literatury polskiej, wpływ i przykład „Pana Tadeusza“; zaczęto pracować dla ludu w języku literackim.

Skromne to były początki księży Fietzeka, Bogedajna, Bączka, nauczyciela Lompy; kalendarze, czasopisma ludowe, zbiorki powiastek składały się na nową literaturę śląską; najwyżej stanął ks. Bączek w „Starym kościele Miechowskim“, opowiadając w stylu epicznym, wzorowanym na „Panu Tadeuszu“, dzieje odbudowy kościoła w Miechowicach, prostoty wiejskiej, stosunków szkolnych i kościelnych; próbował sił swych i w przekładach (z literatury niemieckiej) i w wierszach lirycznych. Ruch ten przeniósł się później i na Śląsk austrjacki, do Cieszyna i Opawy, gdzie odnawiano dawną literaturę polską, protestancką, wydawano w przedrukach postyle Rejową i Żarnowczyka, postarano się o „Kancjonał dla chrześcijan ewangelickich“ — najbardziej zasłużyli się ubodzy nauczyciele, walczący z niechęcią władz i brakiem środków, Paweł Stalmach i Andrzej Cinciała, rodem włościanie; ich „Tygodnik Cieszyński“, późniejsza „Gwiazdka Cieszyńska“, stworzyły podstawy dla czytelni i towarzystw polskich, zapewniły postęp narodowy, broniły go wobec niemieckich i czeskich uroszczeń.

Jak na Śląsku, tak i w Prusiech, wschodnich i zachodnich, obudziło się życie. Kolonizacyjny ruch mazowiecki był tu oddawna wstrzymany; Mazurzy pruscy, ewangeliccy, w wieku XVIII zaniedbywali język zupełnie. Dopiero wiek XIX przerwał to uśpienie; duchowni i nauczyciele, Gizewjusz i Giersz na czele, wydawaniem „Przyjaciela ludu łeckiego“ i książkami budzili miłość i pieczę języka. W Prusiech zachodnich i między Kaszubami kościół katolicki nie dawał ginąć narodowości; Kaszubowie pomorscy, protestanci, zalani falą niemiecką, już nie odżyli; ich kronika narodowa zapisuje tylko daty wymierania języka, najpierw w szkole, potem w kościele; niedobitki, ostatni Mohikanie, dotrwali do dni naszych, i z nimi schodzi do grobu książka, mowa i narodowość polska; zato Kaszubowie pruscy, katolicy, liczniejsi znacznie, oparci o ścianę polską, o język kościelny, nie ustąpili z pola — i między nimi

wznowił się ruch, który nawet zapalony demokrata, doktór Cenowa (Wojka syn), zabarwiał separatystycznie, marząc o jakimś odrębnym języku „kaszebskim“, chociaż odrębność przejawiała się najbardziej w samej pisowni, chociaż już w wieku XIV sądownie stwierdzono, że język pomorski i polski — to jeden, chociaż już w wieku XI Nestor to samo twierdził. Tak wskrzeszało na „Ukrainach“ polskich, dawno uważanych za stracone, poczucie przynależności plemiennej i duchowej. Tylko badania etnograficzne pozostawały bardzo wtyle; Wielkopolska — prócz Berwińskiego, wybitnego zbieracza — rzeczy ludowych nie miała, a luki tej nie wypełniał Lipiński ze swoim zbiorem pieśni; u Mazurów i Kaszubów (prócz Cenowy, zbierającego „frantówki“ i przysłowia) jeszcze mniej o to się troszczono.

W Królestwie stosunki układały się znowu inaczej. Zamknięto na zawsze Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zbiory jego powędrowały do Petersburga; zamknięto uniwersytet Aleksandrowski, znaczna część jego zbiorów rękopiśmiennych dostała się również do Publicznej Bibljoteki nadnewskiej; bogato rozwinięte czasopiśmiennictwo skarlało odrazu do najskromniejszych rozmiarów; wszystkie siły wybitne opuściły kraj, aby po przerwach, drezdeńskiej czy galicyjskiej, osiedlić się we Francji; nieliczni pozostali, jak Brodziński i Gołębiowski, albo ci, co wracali, jak Wójcicki, nie mogli skupiać sił rozstrzelonych. Dziesięciolecie pierwsze po roku 1831 przedstawiało największy upadek, zupełne zubożenie umysłowe całego kraju. Poważniejszego czasopisma nie było; wszelkie próby (Dzierożyńskiego i innych) zawodziły; noworoczniki z wierszami i prozą dam, Jutrzenki, Wianki, Pierwiosnki (Pauliny Krakowowej), Niezapominajki, ciąg dalszy „Meliteli“ romantycznej pamięci, lecz nigdy jej nie dorównywający, zaspokajały skromne potrzeby umysłowe; nawet „Magazyny Powszechne“, „Muzeum Domowe“ (Dmochowskiego), „Panoramy literatury krajowej i zagranicznej“ nie mogły się utrzymywać. Dopiero w roku 1841 założona „Bibljoteka Warszawska“, zasilona znaczniejszym funduszem wydawniczym, składkowym (Przeździeckiego i innych), pod redakcją Szabrańskiego, potem Wójcickiego, przy spółpracownictwie sił najrozmaitszych (Zielińskiego, Tyszyńskiego, Chojeckiego) stanęła aż do wojny światowej na czele pism poważnych, beletrystyczno-naukowych i na nim się utrzymała.

Do najruchliwszych pracowników na niwie literatury ojczystej należał tu Kazimierz Wójcicki, chociaż żadnym z licznych swych

dzieł i niezliczonych (a powtarzających się) artykułów nie odpowiadał wybredniejszym wymaganiom. Wcześnie nęciła go etnografja; pobyt galicyjski utrzymał go w tym kierunku; niebawem skierował go na pole historyczne, do tradycyj domowych, do dziejów kultury, teatru i literatury narodowej. Nie był uczony to ani krytyk, kompilator raczej, zszywający jako tako uzbierany byle gdzie materjał, podający go w najrozmaitszych sosach; dziś nikt bez nieufności nie korzystałby ani z jego „Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi“ (Białochrobaci, mityczna nazwa, przeniesiona na Małopolskę), ani z jego „Klechd, starożytnych podań i powieści ludu polskiego i Rusi“, ale jego „Zarysy Domowe“, „Teatr starożytny“, „Bibljoteka starożytnych pisarzów“ (wybrana również dowolnie, przypadkowo), zawierały cenne dla rzadkości rzeczy, chociaż robiły z nich nieraz straszną siekaninę, zamiast dawać całości, popularyzowały (szczególniej też jego „Historja literatury polskiej w zarysach“, szereg wypisów) wiadomości o rzeczach i dziełach dawnych, budziły dla nich cześć i miłość, zaciekawiały nowelistycznym zakrojem, dawały obrazki obyczajowe nie bez wartości.

Najtrwalszą zasługę położył Wójcicki, jako pamiętnikarz; znający dawną Warszawę (przed rokiem 1830), zżyty z późniejszą, tradycje jej posiadł wszystkie i opowiadać umiał czy o Kawie literackiej czy o klasykach i romantykach, czy o towarzystwie warszawskiem na początku wieku (1800 — 1830), czy o nagrobkach powązkowskich. Na podobnej niwie, mniej ruchliwie jednak, a głównie mniej popularnie, trudził się człowiek rozległej wiedzy, wielkiej pracy, niezbyt jasnych myśli, Wacław Aleksander Maciejowski, prawnik z zawodu („Historja prawodawstw słowiańskich“, w sześciu tomach, swego czasu bardzo zachwalana), potem historyk literatury i kultury, o ile się ona z broszur i druków wyczytać dała. Jego „Piśmiennictwo polskie“, czterotomowe, objęło ten sam przeciąg czasu, co i dzieło Wiszniewskiego, lecz wykluczało literaturę łacińską, nieskończenie bogate w informacje bibljograficzne, w notatki i wypiski.

Od niewykończonej historji literatury wrócił on do studjów prawniczo-historycznych, lecz nie stworzył już niczego trwałego, chociaż się zajmował i historją miast i włościan i dziejami pierwotnemi; najznakomitszem pozostało pierwsze jego dzieło, u wszystkich Słowian cenione, dopóki go nie zasłoniły prace specjalne i nowe publikacje źródłowe; najbardziej szkodził zawiły styl i wąskość oczywista doktryny demokratyczno-słowiańskiej; nie

utrzymały się też jego rezultaty, chociaż je nieraz zbyt lekceważono, zapominając, że on jedyny nie zasklepił się w polszczyźnie, zachował łączność i baczność na wszystko, co słowiańskie; jedyny w Warszawie reprezentował ów kierunek słowiański, który nawet w Galicji niebawem zamarł, cóż dopiero w Królestwie; dla tej predylekcji słowiańskiej nie miał miru u swoich, i Mickiewicz nie zawahał się postawić go obok Gurowskiego i Sękowskiego i napiętnować mianem zdrajcy (w Kursie literatury).

Dzieła umiejętne pojawiały się ogółem bardzo rzadko; brakło pracowników, gdyż szkół nie było; najzdolniejszym i najczynniejszym był Juljan Bartoszewicz, najbieglejszy znawca ludzi i czasów XVIII wieku, rozszerzający swe badania i na całość dziejów umysłowych; jego „Historja literatury polskiej“ stanęła wówczas najwyżej; niestety, praca jego rozpraszała się zbyt często na luźne artykuły i szkice (Znakomici mężowie XVIII wieku). Byli i mecenasi; najzasłużeńsi z podolskich i ukraińskich stron przybyli — Konstanty Świdziński, nieznużony zbieracz, ratujący od zagłady rękopisy i druki; jego zbiory i fundusze stanowią jądro bibljoteki Ordynacji Krasińskich, chociaż dopiero po śmierci urzeczywistniono zamiary fundatora, uprzystępniając zbiory publiczności i podejmując cenne umiejętne publikacje (głównie z działu historycznego). Obok bibljoteki Krasińskich stanęła druga ordynacka, Zamoyskich; lecz Stanisław Zamoyski zbierał tylko, nie myślał o wyzyskiwaniu zbiorów.

Ruchliwszym był hrabia Aleksander Przeździecki, nietyle dla własnych prób powieściowych i dramatycznych, ile dla wytężonego ślęczenia nad rzeczami polskiemi w domu, w podróży malowniczej po Podolu, Ukrainie i Wołyniu (1841 r.), i zagranicą, w Szwecji, Dreźnie, Rzymie. Jemu zawdzięczamy trzy wielkie wydawnictwa: „Jagiellonki Polskie“, w pięciu sporych tomach, krótkie charakterystyki i najbogatszy materjał dla historji obyczajowej XVI wieku (Józef Szujski w znacznej mierze do wykonania dzieła rękę przyłożył); dalej wydanie zupełne dzieł Długosza, dług honorowy, który nareszcie spłacono pamięci najzasłużeńszego patrjoty-historyka: myśl rzucił Włodzimierz Plater, zajęty sam wydawaniem bogatych materjałów historycznych; wykonanie ciągnęło się przez lat kilkadziesiąt; do łacińskiego tekstu „Historji Długoszowej“ dodano piękne, ale nie zawsze wierne tłumaczenie jej, Żegoty Paulego; wreszcie razem z baronem Rastawieckim wydał „Pomniki Polskie średniowieczne“. Podejmowano i inne prace: kodeks dyploma-

tyczny średniowieczny, wydanie dzieł Kopernika, ale powstawały one luźnie; ludzie dobrej woli zaprzęgali się do dzieła, lecz atmosfery naukowej nie wytworzyli. Przyczyniało się do tego i nadzwyczajne rozproszenie sił polskich; najzdolniejszy prawnik, człowiek o nadzwyczaj szerokim widnokręgu, obznajomiony ze wszystkiemi gałęziami prawa, lecz najbardziej z jego historją, Romuald Hube, wykładał i pracował w Petersburgu; jemu winna nauka ocalenie, t. j. spisanie obyczajów prawnych wymierających syberyjskich narodów; najbardziej pociągało go prawo polskie, Kazimierz Wielki i jego ustawodawstwo; i on badał stosunki słowiańskie, jeszcze przed Maciejowskim wykazując ważność studjum porównawczego; podobnie jak Maciejowski dożył w rzeźkiej sile umysłowej lat Nestorowych: pierwsze jego rozprawy pojawiały się równocześnie z artykułami Goethego w tem samem czasopiśmie („Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik“ z roku 1829), ostatnie, o sześćdziesiąt lat późniejsze, liczyły się z Brunnerem, Lamprechtem, Kowalewskim, chociaż ich poglądów autor nie dzielił.

Wcześniej, niż naukowe, rozbudziło się życie literackie. Przeciw „Bibljotece Warszawskiej“ jako konserwatywnej, stanął „Przegląd Naukowy“ Edwarda Dembowskiego (syn kasztelana, autora pamiętników swego czasu), odgrywającego w Warszawie rolę Wojkowskiego w Poznaniu, namiętnego wyznawcy filozofji heglowskiej i postępu społecznego, wyniesienia ludu. Pisał bardzo wiele, nie szczędził jaskrawości w stylu, stawiał wysokie żądania; jako krytyk, bywał stronniczy w swych ocenach; młody na młodych silnie działał; w Poznaniu, dokąd się niebawem przeniósł, napisał pierwszy historję literatury, „Piśmiennictwo polskie w zarysie“, gdzie o dziełach i myślach, nie o ludziach i książkach z wielkim hazardem rozprawiał. Miejsca jego w Warszawie narazie nikt nie zajął, ani spółwydawca „Przeglądu“, Skimborowicz, bibljograf raczej niż publicysta, ani młody, uzdolniony Majorkiewicz, który się rychło na śmierć zapracował, demokrata, jak Dembowski, lecz wstrzemięźliwy w słowie i sądzie; i on, jak Dembowski, przedstawił „Literaturę polską w historycznem rozwinięciu“, z wiedzą i talentem, chociaż uogólnienia jego zawodzą. Organ reakcji katolickiej przeciw „pysze rozumu“, „Pielgrzym“, wydawany przez kobietę-filozofa, Eleonorę Ziemięcką, powodzenia nie miał; „Bibljoteka“ jedyna utrzymała się na placu, przetrwawszy napady z lewa i prawa.

Krytykę uprawiali głównie Tyszyński, później i Lewestam; Aleksander Tyszyński rozpoczął powieścią-krytyką, „Amerykanką

w Polsce“ (1837) i niebawem osiągnął berło krytyki warszawskiej, pisując do „Bibljoteki“ recenzje powieści, poezji, z wielką bezstronnością, stylem nieco ciężkim; nie stronił od wycieczek w dawniejsze dzieje literatury, wszędzie łącząc znaczną wiedzę ze starannem przemyśleniem i dokładnem wysłowieniem. Mniej systematyczny i gruntowny, zato dowcipniejszy i więcej rzutki był Fryderyk Henryk Lewestam, kuszący się i o wielkie kompilacje („Historja literatury powszechnej“), lecz tylko w drobiazgach, w ciętych recenzjach i wycieczkach satyrycznych („Wolne żarty“, z których się wyłoniły czasopisma humorystyczne), znakomity. Lewestam pisywał do dzienników — właśnie dziennikarstwo, po długim zastoju, najlepiej się rozwijało. Inicjatywę i przykład dał hr. Henryk Rzewuski, zakładając „Dziennik Warszawski“, skupiając najlepsze siły, starając się o znakomity feljeton (Wacława Szymanowskiego); początkowej wziętości „Dziennika“ sam znowu najbardziej zaszkodził, lecz nauka w las nie poszła: „Gazeta Warszawska“ Lesznowskiego starała się i o beletrystykę i o sprawozdania teatralne (feljeton jej prowadził Niewiarowski, niepośledni powieściopisarz), a jeszcze wyżej stanęła „Gazeta Codzienna“ czyli „Polska“ (za świetnego redaktorstwa Kraszewskiego; jej feljetonista Miniszewski, również powieściopisarz).

W kraju Zachodnim zniesiono uniwersytet i liceum; Wilno i Krzemieniec oddały profesorów, zbiory, wkońcu uczniów innym zakładom w Cesarstwie; zasilały się nimi Kijów (z świeżo założonym uniwersytetem Włodzimirowskim) i Charków (tu uczył prawa brat Adama Mickiewicza; inny Litwin filaret uczył geologji — w Chile, tak obejmywała litewska diaspora cały świat); w szkołach nastał odmienny tryb nauczania; unję skasowano. Ruch naukowy i literacki, jaki bił od Wilna, od „Dziennika Wileńskiego“, od publikacyj wileńskich, nagle ustał; „Kurjer Wileński“ zawierał tylko drobne informacje; po Noworocznikach, rozmaitych Zniczach, Borutach, Bojanach, Rusałkach, kryły się wiersze i proza; jedyne „Wizerunki i roztrząsania naukowe“ walczyły z obojętnością publiczności, niegustującej w surowym materjale historyczno-lokalnym, jakim ją okarmiano. Do nich przybyły później i „Ateneum“ Kraszewskiego i „Rubon“ Bujnickiego, dalszy ciąg jezuickiego „Miesięcznika“ połockiego, co do treści, ducha i spółpracowników (Borchów, Platerów i innych Inflantczyków) — i one żywszego oddźwięku nie znalazły. Byłby go zdobył „Pamiętnik naukowo-literacki“ Romualda Podbereskiego (1849), zasilany przez postępowych au-

torów (od „Gwiazdy“ kijowskiej) i prowadzony w duchu liberalnym.

Wpływ uniwersytetu i nauki jego nie ulotnił się jednak odrazu; pojawiały się obszerne dzieła, poświęcone nietylko dziejom ziemicy; „Obraz Litwy“ Jaroszewicza i „Litwa“ Kraszewskiego, kompilacje raczej, ustępowały wobec olbrzymiej „Historji Litwy“ Teodora Narbutta, chociaż i ona, co do początków niekrytyczna, uwieczniła pseudo-mitologję litewską nowemi wymysłami. Mikołaj Malinowski zato przekładał i objaśniał kronikę Wapowskiego i brał udział wraz z hr. Przeździeckim w wydawnictwie cennych materjałów; Michał Baliński pisał i obszerną biografję Śniadeckiego albo Wolana i historję akademji wileńskiej; etnografją i archeologją trudnili się hr. Tyszkiewicze, wyposażając muzeum zbiorami, a literaturę wzorowemi opisami, np. powiatu Borysowskiego. Doniosłem było wydanie „Obrazu bibljograficzno-historycznego literatury i nauk w Polsce od wprowadzenia do niej druku po rok 1830 włącznie“ Jochera; trzy tomy (1840 — 1857) objęły tylko filologję i teologję, imponując olbrzymim materjałem, zbieranym przez Sobolewskiego i innych, wypisami ze starych ksiąg i broszur.

I tu nie brakło owego etnograficznego zamiłowania ku zbieraniu powieści i podań i pieśni ludowych, o czem świadczyły „pieśniozbiór“ Chrapowickiego i inne, niedrukowane, drukowane „Piosnki wieśniacze z nad Niemna“ (i Dźwiny, Wilno, 1837 i 1839), filomaty Czeczota, „Pieśni ludu pińskiego“ Zienkiewicza (z przekładem polskim), „Bajarz polski“ Glińskiego, zastępujący nam Hausmährchen braci Grimmów. Próbowano opisów etnograficznych kraju i tworzenia w jego narzeczu (Rypiński na emigracji i Białoruś opisywał, pisywał ballady białoruskie, „Niaczyścik“ i in.); najoryginalniejszym produktem białoruskiej ziemi, niby jej Padurrą, był Jan Barszczewski, ubogi szlachetka, uczeń szkoły połockiej, najpierw klasyk-wierszokleta, potem, od dworku do dworku wędrując, tworzył piosnki i opowiadania białoruskie, np.: Pomniu ja tyje wieki, Jak żyli panou predki. Nas u niekruty nie brali, Ach szto za pany bywali! Chać na łbie wałos i niet, Da wżoż usy na uwieś świet; Dwa rukawa mieli krasnych, Jeszcze dwa z zadu zapasnych. Z adnej poły u tych panou Siemioro paszyu sztanou! A hety (dzisiejsi panowie) i nas pajeli I sami użo zhaleli; Pały sabie obrezali, Chwasty z zadu padsiekali I ciapier użo usiakaj Kusoj z zadu — niby „Pan Tadeusz“ białoruski naodwrót, jak Eneida Mańkowskiego. Barszczewski bywał i w Petersburgu, tam wy-

dawał „Niezabudkę“ i „Szlachcica Zawalnię czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach“ (od jeziora Nieszczorda, 1844—1846 r., z przedmową o literaturze białoruskiej Podbereskiego): w obu są jego naśladowania legend i pieśni ludowych. Równego mu oryginału nie było w innych stronach, ale i na Wołyniu i Podolu opisywano kraj i zbierano materjał ludoznawczy (Steckiego „Wołyń“, Marcinkowskiego-Nowosielskiego „Lud Ukraiński“ z nieco fantastyczną okrasą) i archeologiczny (Grabowski na Ukrainie, Kirkor, Jan ze Śliwna — w Wilnie). Na właściwej Litwie-Żmudzi również odzywał się ten ruch i nabierał nawet separatystycznego zabarwienia, mniej u Ludwika z Pokiewia (ks. Jucewicza), który zbierał, upiększał, a w danym razie i tworzył podania żmudzkie, więcej u innych, szczególniej u Szymona Dowkonta, tłumaczącego na litewski i piszącego oryginalnie, towarzysza pracy księdza biskupa Wołonczewskiego, który wypisał po żmudzku historję swego biskupstwa od początku. Popularniejszym był Iwiński, wydawca kalendarzy litewskich. Zanosiło się i na czasopismo litewskie, prowadzić miał je „chłop z Marjampola“, Akielewicz, który później na emigracji spożytkował znajomość litewszczyzny, lecz do wykonania zamiaru już nie doszło.

Wskutek zmienionych okoliczności wyprzedzał teraz Petersburg Wilno; Polacy, tu stale czy czasowo osiedli, zaważyli w rozwoju literackim całego kraju. Nie możnaby tego twierdzić o Tadeuszu Bułharynie i Sękowskim, smutnej pamięci; Bułharyn, powieściopisarz i publicysta, odstępstwem swem, jak Puszkin szydził, Polaków uwolnił od łotra, a Rosjan napiętnował przyjaźnią; Sękowski orjentalista i publicysta, właściwie klown cyrkowy (baron Brambeus), chyba sam nie wiedział, kiedy drwił, a kiedy łgał. Gdy publicystyka wileńska upadła, wzmogło się znaczenie „Tygodnika Petersburskiego“, założonego przez Malewskiego (przyjaciela Mickiewicza) i Przecławskiego; „Tygodnik“, zrazu nikłe pisemko, stał się potęgą literacką pod ręką „pentarchji“, gdy prymas krytyki, Grabowski (gdzie indziej byli wiceprymasi, np. Dobrzański we Lwowie), Rzewuski, ks. Hołowiński (rektor akademji teologicznej petersburskiej), Sztyrmer i Kraszewski — acz niepewny kantonista, to lgnący do „Tygodnika“, to stroniący od niego — nim zawładnęli i gromy ciskali na demokrację i wolnomyślność, na filozofję i rewolucję, na wszystko, co się wymykało z pod feruły tradycyjnej i wszelakiej chińszczyzny. Tego znęcania się nad postępem młodzież wkońcu nie zniosła; w Petersburgu, później w Kijowie wy-

chodząca „Gwiazda“ (Fisza i Jurkiewicza, z głównym spółpracownictwem „Gryfa“ — Marcinkowskiego) stawała w obronie myśli, filozofji, demokracji, lecz światło jej rychło zagasło; wkońcu upadł jednak i „Tygodnik“, gdy zasilać go przestali najwybitniejsi, jak Rzewuski.

Przy końcu lat pięćdziesiątych wzmógł się ruch publicystyczny i literacki w Wilnie i Petersburgu; „Kurjer Wileński“ (redaktor Odyniec) rozszerzył swe łamy, obok niego występowała „Teka Wileńska“ z poważnemi pracami; miejsce „Tygodnika“ zajęło „Słowo“ — ale oba wydawnictwa uległy rychłemu zawieszeniu, i „Pismo zbiorowe“ Józefata Ohryzki zawiera ich pokłosie. Dni tego życia były już policzone.

Na takiem to tle, między rokiem 1831 a 1863, rozwijała się literatura piękna. Czyż nie należy i jej grupować wedle dzielnic? Cyganerji warszawskiej, demokratów poznańskich, poetów krakowskich niepodobna przecież odrywać od tła, są to bowiem objawy miejscowe. Otóż literatura jedyna, jak zawsze, tak i teraz, łączyła, nie dzieliła; obok miejscowych przedstawiała zjawiska znaczenia ogólnego, to, co było najlepszego, najżywotniejszego; te same prądy ożywiały ją; wzory bywały spólne. Pomimo różnic i granic dzielnicowych wymiana myśli, dzieł, nawet ludzi była stała i znaczna; Galicjanina Pola drukował Wolff w Petersburgu, dramaty Korzeniowskiego dawano na scenie lwowskiej przed warszawską; odwiedzano się wzajemnie (Syrokomla; Pol i Ujejski w Warszawie) lub przenoszono nawet penaty zupełnie; co najważniejsza, niektórych pisarzów, Kraszewskiego czy Korzeniowskiego, niesposób wyobrazić sobie na tle jednej, jakiejkolwiek dzielnicy; ów, Wołynianin rodem, Litwin z wyboru (przez czas jakiś), zawsze był tylko Polakiem; Korzeniowski, choć w Krzemieńcu czy Charkowie siedział, zawsze ciążył ku Warszawie.

Ta literatura krajowa odznacza się w przeciwieństwie do emigracyjnej, pominąwszy miarę i skalę talentów, nierównie węższym widnokręgiem, mimo całej jej romantyczności. Nieobce jej „rozczochranie“ romantyczne; sadzi się nieraz umyślnie na najdziwaczniejsze pomysły, mimo to pełza zwykle po ziemi; ciąży na niej kwestja włościańska, nierozwikłana; obarcza ją balast historyczny; wyjątkowo wystrzeli słowem wieszczem, Skargami Jeremiego. Zato kwitnie w niej powieść i komedja, czego wielka poezja emigracyjna nie tykała, a czego ludek czytający i repertuar miejscowy najbardziej łaknęli; uzupełnia więc poprostu literatura krajowa zagranicz-

ną, i w tem jedna jej wielka zasługa; upowszechnia potrzebę książki polskiej, codziennej, przystępnej dla każdego, ciekawej; mniejsza jej zasługa dla repertuaru polskiego. Inną zasługą jest ujmowanie się za ludem wiejskim, silnie i wprost lub choćby nawiasem i oględnie — nie są to już piękne frazesy Krasińskiego o szlachcie i ludzie; tu starają się winy wiekowe zagładzać, nie zamazywać. Niezgorszą też zasługę położyła ta literatura około uświadomienia narodowego; w formie beletrystycznej uprzystępniła dawne tradycje, dawne dzieje nawet, a z drugiej strony nie zapominała o teraźniejszości, o hasłach modnych, o wymaganiach chwili. Z chwilą tą przybierała sama charakter rozmaity: gdy się wzmogła na siłach po r. 1840, zaczęła powoli zatracać czy osłabiać cechy postępowe; w najgłębszą reakcję zanurzyła się około roku 1850, aby się potem znowu powoli wznosić. Tak odbijały się i na niej prądy europejskie.

Najbardziej typową jej postacią, wyrażającą najpełniej wahania się epoki od czerwonych do białych, przejścia od samobiczowania do bezwzględnej apoteozy przeszłości, od szerokich widnokręgów do trwożliwego zasklepiania się w domu ślimaczym, to **Wincenty Pol**, niegdyś aż nadto popularny, potem tracący popularność; radośnie witany, żegnany obojętnie. Szeroki rozgłos zdobyły mu „Pieśni Janusza“ (w r. 1833, wydane za namową Mickiewicza, Odyńca; im w Dreźnie przedstawiał próby). Nie były to pierwsze płody jego muzy, wzorującej się nietylko na Mickiewiczu, lecz i na Schillerze, próbującej nawet przekładów pieśni ludowych polskich na niemiecki. Utrapienia sercowe dyktowały pierwsze wiersze, erotyczne, sentymentalne, mdłe; koleje życia, udział w walce, wszystko, co widział i radośnie lub boleśnie odczuł, wylało się w „Pieśniach Janusza“, niewytoczonych na ton książkowy, jak pieśni Gosławskiego czy Gaszyńskiego, zato jędrnych, dobitnych, śpiewnych, o niewybrednej formie i myśli, tem przystępniejszych dla ogółu, nie dla „ludu“, o jakim poeta wciąż mówił:

pieśń ojczysta, narodowa,
prosta, rzewna a surowa,
jak nasz lud i czas...
więc o Lachu, o orlęciu
i o krzywej szabli cięciu
przynosi wam śpiew.

Nie były to liryki wojenno-patrjotyczne, jak Körnera i Garczyńskiego; były to nieraz szkice, obrazki, opowiadania, słowa

zadumy i żalu, a choćby przymówki ostrej, zwrócone przeciw sztabowcom i paniczom, w ustach wachmistrza Dorosza, skarżącego się:

oj, nam obu źle tu pono —
pójdź, mój koniu, źle w tej stronie;
klątwa kraju na niej leży;
tutaj piorun w nich uderzy,
albo ziemia ich pochłonie,
że tak służą tej ojczyźnie.

Żywość dykcji, barwność obrazków, przedstawiających wszelkie przygody żołnierskie, aż do smutnego przekraczania granicy, bratanie się szczere z każdym, kto kocha szczerze „czy to w dworze czy w klasztorze, na słobodzie czy w gospodzie“ (rymy ks. Baki, to ulubiona forma Pola) zjednały mu serca wszystkich. Najwyżej stanął w miłości i szacunku powszechnym „Pieśnią o ziemi“ (1843); kompozycji wszystko, idei przewodniczej nic zarzucić nie można. W wędrówkach po ziemiach byłej Rzeczypospolitej poznał bystry spostrzegacz, widocznie uzdolniony do podchwytywania znamiennych rysów i ludzi i krajobrazów, wszelakie stosunki i, Cicerone poetycki, chciał dać młodzieży pojęcie o dawnym kraju i jego mieszkańcach, jakaż to ta

ziemia sławna z zboża,
z wiary, z męstwa, z gościnności,
i z nieładu i z wolności.

Wędrówkę zaczął na Północy, zbiegł szybko ku nizinom, wzniósł się ku Karpatom (górali znał blisko, ludzi i przyrodę cenił nadzwyczaj), a od nich znowu się spuścił ku równinom krakowskim, sędomirskim, kujawskim; więc nie objął nawet całości, Wielkopolskę pominął — o Śląsku i Prusiech było i tak głucho. Zbyt się w szczegółach nie gubił — chwytał znamienne rysy i śpieszył dalej; wysławiał lud i jego zalety, dom staropolski i gościnność jego, krasę niewiast polskich; ostro przytykał „szlachcie znarowionej“, nie zawahał się przed wierszami, jak np.:

smutna bywa ludu dola,
bo pan twardy i niewola —
nie pocieszyć się tem dobrem,
kędy praca lezie ziobrem;

w oczach jego „gorszy, niż pan na Wołyniu, jest półpanek na Podolu“; to szumowiny narodu, na ich głowach cięży wina XVIII wieku. Nic bardziej znamiennego dla późniejszego Pola, jak wła-

sna cenzura tych wierszy w wydaniu późniejszem, opuszczonych, zeszpeconych, osłabionych (zamiast *swobodny* czytamy *spokojny, poczciwy, rycerski* — już on nie powtórzy, że wypadnie „niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować"). W podobnym nastroju, jak pierwotna „Pieśń o ziemi", utrzymane i wcześniejsze utwory: „Historja szewca Kilińskiego", pierwsza „epopeja" mieszczańska, z wysławianiem bohatera prostego, a piętnowaniem magnatów; „Szejne Katarynka", niby nowe wydanie „Śpiewów historycznych" Niemcewicza; obrazki dziejowe nie doszły nas w całości. Od tej poezji dydaktycznej, demokratycznej odciągały jednak Pola rychło wspomnienia młodości i nowe otoczenie.

Od wczesnej młodości nęciły Pola tradycje minionej na zawsze przeszłości, z coraz nowych, pełniejszych źródeł czerpane. Karmił niemi chłopca w zamku złoczowskim, wspomnieniami o Sobieskim, stary kozak; w Mostkach odwieczny pasiecznik opowiadał inne dziwy; w Tarnopolu, na stancji u imcp. Benedykta Winnickiego, który to sam niegdyś z Krakowca od pana Cetnera do księcia wojewody posłował, nie wyczerpywały się tradycje i facecje szlacheckie; staroszlachecki świat ten odżywał w wieczorach kalenickich, u Krasickiego, majora Kościuszkowskiego, gdzie się spotykało z Załuskim i innymi ludźmi starego autoramentu. Przylgnął więc Pol całą duszą do tego świata, do jego zasad i moralności, jego wiary i patrjarchalności, gdzie więzy rodzinne, poczucie honoru, szacunek klejnotu hamowały najnamiętniejszych, skuteczniej i prawdziwiej, niż paragrafy prawne i rygory karne, gdzie kochano się szczerze, pito na zabój, rąbano dzielnie, nowości odganiano niechętnie i nieufnie; świat zasunięty jeszcze dalej w głąb, niż świat „Pana Tadeusza", i w dali tej świecący jeszcze jaśniej. Już w „Pieśniach Janusza" trafiał Pol w ów ton rubaszny, jowjalny, gawędziarski, którym odznaczają się późniejsze opowiadania: „Proklamacja chorążego" i „Wieczór przy kominie" (o fantazji p. Pułaskiego) o fakcie w gruncie nieznacznym prawiły owym nieporównanym stylem kontuszowym, stylem Paska, zamaszystym, nadającym pozorne znaczenie i błahemu zajściu. Tak powstały (w roku 1839 ogłoszone) „Przygody Imp. Benedykta Winnickiego w podróży jego z Krakowca do Nieświeża roku 1766 i powrót w dom rodzicielski"; do nich przyłączył później „Zgodę Senatorską" i „Sejmik w Sądowej Wiszni". Pierwsza najlepsza, późniejsze (a jest ich więcej, „Stryjanka", „Czarna Krówka") coraz słabsze. Dziwni ci ludzie i czasy: młodzika, który trzy lata zmarnował

u Radziwiłła, czekając na odpowiedź, wita ojciec dyscypliną i kozą za nieszanowanie ubioru, figury przydrożnej, powagi rodzicielskiej i postu, matka nie śmie nawet jego gniewu przebłagać, dopiero ksiądz proboszcz przy lampce wina ratuje p. Benedykta. Albo szlachta sanocka wojuje między sobą, bo Bal-Capulet Mniszchów Montecchi'ch Mniszkami (nb. tak się nazywali i nie wiem, kto im owe *ch* wymyślił) przezwał, ks. biskup Warmiński kleci zgodę przypowiastką. To znowu burda wszczęła się w kościele, gdy opiłej partji przeciwnej zwędzili Czartoryszczycy rano spodnie ubranie i przekreskowali ją, lecz ksiądz z sanctissimum rozbraja wrogów. Treść innych gawęd jeszcze bardziej błaha i anegdotyczna, ale opowiedziane to z takim animuszem, z taką wiarą we wszelkie nieocenione przymioty tego wieku, z takiem zaślepieniem na jego jawne braki i grzechy, że czytelnikom, zepsutym Paskiem i Soplicą, mimo krytyki i sądu trzeźwego, trafiał autor w uczucia, porywał za serca, że nie zdawali sobie sprawy z nałogów wiekowych, prywaty, bezprawia, tkwiących na dnie wypoetyzowanych, wyidealizowanych objawów.

Pol był na tej samej drodze, co Rzewuski, ale mówił obrazami, nie paradoksami, i przebaczano mu ostre zwroty przeciw czasom i stosunkom nowożytnym, stronnicze wychwalanie przeszłości, wysławianie jej maksym (czy bezmyślności), jako panaceum dla naszych ułomności, ograniczanie narodowego życia do staroszlacheckiej normy. Powoli jednak ucierpiała i popularność Pola; już wcześnie odzywały się tu i owdzie niechętne głosy; Borkowski w „Cymbaladzie“ nazwał go talentem „lśniącym, jak kwiaty kąkolu; łudzące blaskiem *pustych* malowideł“ i szydził z jego gotowości całowania i ludzi i djabła, „byle się tylko od *przeczeń* uchować“; inny krytyk wspominał o jego „przesądnej i złośliwej niechęci ku postępowi“; najostrzej a najniesłuszniej napadał na poetę w roku 1860 Ujejski (w „Listach z pod Lwowa“), że się państwem oparzył, apoteozował najgorsze przywary szlacheckie, frymarczył poezją, jak towarem, pisał byle co, byle jak, dla autorskiego zysku!

Życie nie układało się Polowi pomyślnie; najboleśniej odczuł głęboki zawód, jaki go w bliższem obcowaniu z ludem spotkał; przejścia osobiste, pastwienie się rozhukanego chłopstwa nad niewinnym, dopełniły tylko miary goryczy; już przed rokiem 1846 stracił wiarę w lud i przyśpieszył tem ów nawrót ku tradycjom i szlachetczyźnie. W „Obrazach życia i podróży“ wyśpiewał swe zwątpienie, smutek i gorycz; w pierwszej ich części („z podróży“)

kreślił jeszcze przyrodę tatrzańską i życie górskie, krajobrazy po „Sonetach Krymskich“ najpiękniejsze, swojskie, nieorjentalne, z większą prostotą wykonane; druga nabrzmiała skargą i łzami, pyta, „czem się będzie ten lud bawił, gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił, już w dziejach świata wyrósł na Kaina?“

Rok 1848 i w nim budził nowe świetne nadzieje: gorąco witał zjazd praski (wierszem „Słowo a Sława“), silnie uwydatniając powołanie Słowian; przestrzegając ich przed cudzemi rozumami“, przed tem, „co się z księgi w obcych narodach wyprzędło“; nawoływając do zachowania dawnego trybu, wiary, swobody; wieszcząc im przyszłość, nie wojowniczą, ale wprowadzającą w życie słowo prawdy i sprawiedliwości.

Od gawęd staroszlacheckich i rzewnych liryków, ujmujących prostotą wysłowienia, a głębią uczucia, przeszedł Pol do tworzenia epopej. Szereg ich zaczął „Mohortem, rapsodem rycerskim“ (1852), napisanym za profesury krakowskiej, zaczerpniętym z „wieczorów kalenickich“ Ksawerego Krasickiego, który znał osobiście bohatera. Rapsod zbudował luźnie; szereg to szkiców z życia rycerza stepowego, zaciągającego straż na pograniczu, oddanego całą duszą tej służbie niewdzięcznej a niebezpiecznej, zrosłego ze stadem swem i pasieką, z klasztorem bazyljańskim, gdzie doroczne rekolekcje w wielki post odbywał, nieprzyjmującego awansu, coby go ze stepem i służbą rozłączył. Postać tego rycerza, czujnego, jak żóraw, silnego, jak lew, z gołębią prostotą, z sercem złotem, uosabiającego wszelkie cnoty staropolskie, w swej skończoności i nieruchomości (dopiero w przedostatnim „obrazie“ dowiadujemy się o tragicznych przejściach, co go w step, na kresy, wygnały) nie nadto plastyczna, wystawiona ku potępieniu nowego świata i jego marnych rycerzów — uczy, do jakiej wysokiej bezinteresowności, do jakiego oddania się czy wylania na służbę ojczyźnie zdolni byli przodkowie; na grobli borysowieckiej zasłania bohater odwrót wojska i ginie. Około niego wiążą się obrazy i tradycje najrozmaitsze; opisy wykonane prześlicznie rywalizują z opisami „Pana Tadeusza“, ale całość epiczna przez to nie powstaje; nie o nią też chodziło artyście, co we wstępie do rapsodu zgromił świat nowoczesny z jego fałszywemi bóstwami, z jego wyszydzaniem i kalaniem wszelkich pamiątek i przeszłości; lecz spostrzegł się świat w bolu i biedzie, że ta droga nie wiedzie do celu, i wraca do wiary, do obyczaju domowego.

Zwężeniu myśli, zdziwaczeniu morałów towarzyszyło osłabienie twórczości, artyzmu wykonania, najświetniejszego właśnie w Mo-

horcie. W „Wicie Stwoszu“ (1855) tylko pojedyńcze ustępy są mistrzowskie: odczucie piękna gotyku, co Pol pierwszy u nas wyraził, trwogi i dreszcze, przejmujące artystę; ale kara, jaka spotyka Stwosza, gardzącego przywilejem szlacheckim, nieszczególnie jest umotywowana. Wszelki zmysł kompozycji opuścił Pola w „Pacholęciu Hetmańskiem“; jakby nawracał tu do owej, szczęśliwie zapomnianej maniery XVII wieku, wierszującej zawzięcie wszelkie opisy i kroniki. Bohaterem poematu miał być człowiek, mały wzrostem a wielki sercem, siłą i głową, Tarnowski, lecz bał się autor, czy to pamiętny nieudałego Czarnieckiego (Koźmiana), czy to niedorosły do złożonej natury człowieka Odrodzenia, samego hetmana wprowadzić do działania; więc każe opowiadać o nim pacholęciu Różance (był Różanka lekarzem hetmańskim); ponieważ Różanki pod Orszą, Obertynem i Starodubem nie było, niby w aneksach czy ekskursach o tych akcjach rozprawia! W istocie ani Różanka, gorący wielbiciel swego starego pana, ani Tarnowski nie są bohaterami tego rapsodu; koń węgierski, co umknął i po roku wrócił z doborowem stadem; zegar misterny z obrotami sklepienia niebieskiego i tym podobne ciekawostki antykwarskie — wysuwają się na czoło.

I nie dziw, że ginęło znaczenie Pola, że skarżył się rzewnie, wymownie na niewdzięczność, na napaści: Smutno mi, Boże! Smutno nad pracą, bo nożem złości świat mi serce kraje, Nie to mi dają, co ja z duszy daję, ale zniewagą stare służby płacą! A właśnie rapsod ów, słusznie przezwany „*Diarjuszem* Walentego Różanki, dworzanina niekiedy Imp. Jana z Tarnowa“ kosztował go wiele trudu, gdyż starał się i o język archaistyczny, i wprowadzał wiele osób czyli raczej masek, i dekoracji nie żałował. Niżej jeszcze zeszedł poeta w „Rapsodzie rycerskim z wyprawy wiedeńskiej“, rzeczy okolicznościowej, napisanej dla pięciuwiekowego jubileuszu uniwersyteckiego: w Żółkwi, wśród pamiątek po Sobieskim, wspomina autor o owym uczniu akademji, o błogosławieństwie rektora nad ruszającym pod Wiedeń, o suplikacjach po kościołach krakowskich — wymienianych, jakby kto Pruszcza „Klejnoty“ w wiersze przesadzał.

Powtarzał się poeta: niegdyś w „Pieśni o ziemi“ wysławiał dom polski, rosnący w miarę, jak gości przybywa, teraz stworzył osobną „Pieśń o domu naszym“, tylko bez świeżości owej pierwszej pieśni, z moralizacją rozwlekłą — morały umieszczał Pol zwykle po wstępach i niemi publiczność obruszał, jak Rzewuski przypi-

skami. Wydawał rzeczy dawniejsze, próbował i dramatu („Powódź“ z tradycyj poleskich, o walce z rozpasanym żywiołem). Szybko dogasał wzrok jego, duchowy i fizyczny: już ociemniały, jeszcze wracał do tradycyj, myśliwskich tym razem, poświęciwszy dotąd tylko pobieżne wzmianki najulubieńszemu sportowi narodowemu — w „Staroście Kiślackim“ rewolucję w psiarni wybuchłą opisał; prozą „Rok Myśliwca“, zajęcia, przygotowania wedle miesięcy kreślił. I dawniej próbował sił i w prozie opowiadającej i w literaturze naukowej, uważając geografję za swą gałęź specjalną, odtwarzając ręką artysty krajobrazy; ciekawsze były jego odczyty lwowskie, szczególniej o nowszej literaturze polskiej.

Obok epika Pola staje **Syrokomla Władysław** (właściwie **Ludwik Kondratowicz** herbu Syrokomla), jak Pol, fanatycznie przywiązany do ziemi i jej przeszłości, jak on, szczery i kochający, zresztą zaś całkiem odmienny. Ze wszystkich poetów najpełniej typ słowiański wyraził Syrokomla. Bez nadzwyczajnych darów umysłowych, z marną nauką — luki później, jako tako, dopełniał — z sercem złotem, nieopatrzny i lekkomyślny, spuszczający się na „jakoś to będzie“, gościnny, z własnym znacznym uszczerbkiem, dobroduszny i szczery, skromny, jak rzadko, nienawidzący form i obłudy wielkiego świata; tak wrosły w swą ziemię, że mimo rozpaczliwego położenia z Litwy swej ukochanej żadnym widokom wywabić się nie dał; demokrata z krwi i kości mimo herbu; mimo zaściankowości, w jakiej wyrósł, od wszelkiej zaściankowości daleki — jeśli kogo z obcych przypomina, to chyba Burnsa, i życiem i sztuką.

Pieśniarz to ludowy, jak Burns, ale w odmiennem znaczeniu lud jego to drobna szlachta, szaraczkowa, „okolice“ szlacheckie, różniące się od chłopów mniej trybem życia, raczej mową, wiarą i tradycją; uprawiacze roli, jak niegdyś, lecz już nie, jak niegdyś, potrzebni panom, więc nieraz skazani na gorzką poniewierkę, niewdzięcznością płaceni; jako rolnicy patrjarchalnym, tradycyjnym porządkom oddani, wsłuchani w przyrodę, z nią zżyci, zrezygnowani, cierpliwi, uporni a przecież pokorni, nie bez smętnych wspomnień innych, lepszych czasów. Wyrósł nad nich Syrokomla, objął sercem i chłopa, a myślą i całą przeszłość, i w pieśni, co czuł, wyśpiewał. Nie silił się na bogaty, dziwaczny wymysł: pod mikroskop połóżcie, mówił do pieśniarzy, co łaska i wola,

Główkę motylą lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola,

A rozpowiedźcie sumiennie a święcie
Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu
A pieśń już sama utworzy się snadnie,
A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie,
Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu,
A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla żniwiarzy!

Tych zasad trzymał się ściśle; szczerze wyznawał, że inaczej nie potrafi:

kiedy biorę ołówek
I, nie wiedząc co kreślić, błędne stawiam kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościołek wioskowy lub dworek litewski.
Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy;
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze;
Chciałem kreślić gmach pański, — ołówek się kruszy.

Więc, kiedy mu przyszło gwarzyć „w pieśni czy w dialogu", zawsze to było „o Panu Bogu, o moich braciach, o mojej ziemi", a przytem „zawszem miał pamięć na ziarno żywota": dydaktyczność, moralizacje cechują jego, jak Pola, chociaż innego one rodzaju.

Odczuł brak poezji domowej, pomników jej uchwytnych, zazdrościł szczęśliwszym;

Ej boleśno, boleśno — czemuż to, mój Boże,
Lirników i gęślarzów miało Zaporoże?
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy?...
My domowe pamiątki kamieniami znaczym...
Ejże, jako żywo! lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiejszej doby...
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa;
Z każdej ludziom nauka, płacz albo zabawa,
A pamiątka i pieśnia przywiązana do niej
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

I był przekonany o niewyczerpanem bogactwie podań litewskich:

Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Albo, widząc, nie widzi, a słysząc, nie słucha,
Kto rodzimym powietrzem nie napoił ducha.

Czego zaniedbali inni, dopełniał poeta, gdy nareszcie uwierzył w swoje powołanie. Z wierszami nosił się oddawna, lecz skromność

nie dawała z niemi występywać publicznie; rozczytawszy się w Literaturze Wiszniewskiego i polubiwszy łacińskich poetów, Janicjusza i innych, przewierszował ich po polsku, pozostawiając oryginały daleko wtyle co do kunsztu; wystąpił wreszcie z własnemi gawędami.

Po pierwszych, nieraz nieco niepokaźnych, bladych legendach i opowiadaniach gminnych, po „Poczytyjonie“, i i. wyroiło się ich mnóstwo; najobszerniejsza — wydana w roku 1853, pisana o wiele wcześniej, „Urodzony Jan Dęboróg, dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiadane, a rytmem spisane“; najpiękniejsza — „Kęs Chleba“. Dęboróg przesiąkł autobiografją; bieg szkolnego życia, rozrywki wiejskiego, opisał poeta własne; stąd nadzwyczajna świeżość i szczerość tych wierszów; fabuła sama nieco romantyczna, o rodach od wieków zwaśnionych, pogodzonych, jak w „Stryjance“, jak w „Panu Tadeuszu“, ożenkiem Dęboroga z Brochwiczówną; sens moralny, jak zawsze, jasny: *redde quod debes;* postaci: dobrego, mądrego ks. definitora, starego, upartego Dęboroga, skreślone znakomicie, jak żywe; nie brak i tej uwagi, że stary „wierzył mocno w katechizm jedyny, że szlachcic stworzon z innej, a chłop z innej gliny“. „Kęs Chleba“ podyktował poecie los własnego ojca: starego Łagodę wykwitowano z dzierżawy i majątku i puszczono z torbami; lecz przyroda sama mści się za jego krzywdy, bo gorzkie rodzi się na polach Zabory zboże i trująca z niego mąka. Najpiękniejsze są tam opisy skromnego, pobożnego życia wiejskiego, cały poemat przesiąkł urokiem stron nadniemeńskich, rozgwarem ich pieśni, aromatem ich łąk; morał ten sam niemal, co w pokrewnym treścią, wcześniej napisanym „Zaścianku Podkowie“; przygrywka równie piękna, jak przed „Dęborogiem“ (o Niemnie i sercu Litwina).

Podania gminne i szlacheckie zlewają się całkiem w „Janku Cmentarniku“ i w „Ułasie“: Janek z panem na obczyźnie wojował, a gdy siły sterał, pana pochował, po czterdziestu latach do rodzinnej wioski wrócił, z nowymi ludźmi ładu się nie dopytał i na cmentarzu dopiero między swoimi się ocucił — alegorja dosyć wyraźna; Ułas życie poświęcił za panów, nie wydał kryjówki Czartowego Ostrowu, zato Oksenę jego o zdradę posądzili i zabili, ale ten Ułas i ta Oksena to właściwi bohaterowie poświęcenia, i tu wypowiedziany jest morał: łza chłopska i szlachecka spłynęły się razem, a w tej łzie (o czem szlachta wątpiła od wieka) był tylko jeden, wspólny pierwiastek, człowieka. Inne gawędy i opowiadania

efektowne „Stare Wrota“, „Chodyka“ (i replika jego szlachecka, „Spowiedź pana Korsaka“ — w obu dobrowolne przyjęcie kary za grzech) zahaczają o historję. Niekoniecznie jednak o historję, znaną z kronik i dziejów; jest inna, niewciągnięta w roczniki i pamięć narodową, a mimo to prawdziwa i żywa; ot, takie przysłowia „historyczne“: wyszedł, jak Zabłocki na mydle; tłucze się, jak Marek po piekle; wyrwał się, jak Filip z konopi; o hrabi na Wątorach; ułożył je lud, niewiedzący o Cezarach, Chrobrych, Napoleonach, tem silniej Marków i Filipów pamiętający — a komentarz dorobił poeta, komentarz dowolny, na który się nauka nie zgodzi, a który świadczy najlepiej o sercu i myśli poety. Marek za życia łasił się około panów, po śmierci i ci go nie przyjęli i swoi odrzucili; Filip za podszeptem głowy i serca zawsze się w niewczas odzywał; już jako chłopiec, gdy, chrześcijanin, przeciw mitologji w szkole protestował, jako mąż, gdy Żydów prześladować nie dawał, jako obywatel, gdy przeciw kandydatowi służbodawcy swego wotował, jako poseł, gdy równouprawnienie chłopów i szlachty (i w płaceniu podatków) wnosił, na łożu śmiertelnem, gdy księdzu obowiązki zamiast dziesięciny wytykał — wszędzie wyśmiany, wysieczony, wyrzucony i opuszczony.

Przeszedł Syrokomla i do dziejów właściwych, niezawsze z korzyścią dla swej sztuki, która nie umiała wystawiać wielkich zawikłań, namiętności, obrazów. Przeszłość pojmował inaczej, niż Pol, nie przemilczał jej wad, kiedy to:

Na królów twarde włożono pęta,
W pasterzach znikła gorliwość święta,
Senatorowie poili braci,
Szlachta się ciągle konfederaci,
Żołnierz jął gnębić tych, których bronił,
Kupiec przez lichwę bogactwa strwonił,
Kmiotek niewolnik zmarniał na dworze
Anioł zatrąbił na sądy Boże!

albo: „Długo stare zegary... nad głową waszych ojców biły w ekscytarze, budząc ich myśli i czyny, brzęk puharów, gwar śmiechów tłumił ich gderanie, aż Pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie, aż pękły rdzawe sprężyny“. Z przeszłości tej wybierał też motywy, o jakieby się Pol nie kusił, wystawiając w „Kanoniku Przemyskim“ (Orzechowskim) walkę między uczuciem a powołaniem; w „Zgonie Acerna“ (Klonowica) niedolę wieszcza narodowego; w „Studzieńskim“ rozterki między szlachtą a mieszczaństwem;

nieznośną pychę pańską w „Hrabi na Wątorach“; prywatę możnowładczą, gubiącą kraj w „Zofji księżniczce Słuckiej“ (obie ostatnie w formie dramatycznej). Całości udatnej nie stworzył, niektóre rzeczy rzucał niedokończone: „Kanonika“ (mimo ładnych ustępów) i „Sejm Lubelski“; w „Staroście kopanickim“ głębiej wzruszyć czy zająć nie potrafił. Najwyższego mniemania był o „Margierze, poemacie z dziejów Litwy“, o obrońcy bohaterskim zamku Pullen, pokonanym zdradą, przenoszącym śmierć nad niewolę; poeta cieszył się, że bez uprzedniego zamiaru znalazło się w poemacie wszystko, czego krytyka od epopei bohaterskiej wymaga: inwokacja, jedność akcji, przeszłość daleka, maszynerja epicka — wszystko było, prócz ducha epickiego, prócz siły słowa i blasku kolorów; Margier z „Czarnieckim“, nie z „Wallenrodem“ do pary stawał. I dramaty „historyczne“ uczyły poświęcenia dla ojczyzny. O sprawach społecznych prawili „Wiejscy politycy“; dobrego pana wywłaszczają wierzyciele, lecz chłopi ratują go pożyczką, stosunku dworu do wioski dotykały i poezje, „Lalka“, której skarży się panieneczka na niegrzeczność chłopów, co tatkowi smaczny sen rykiem o chleb przerwali — i słuszne plagi za to wzięli, ale sumienie, obawa przed Panem Jezusem, co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie, przed dziadami, co się przyśnią i jeszcze do torby zabiorą, podszeptywa jej coś innego:

Już ja, kiedy wyrosnę i mieć będą zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Fazy sprawy uwłaszczenia śledził poeta pilnie i zawrzał oburzeniem na niewczesny akt szlachty wileńskiej:

Przecież się stało... Kraju mój rodzony,
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili.
Ojcowie twoi własnemi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili...
O, wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem,
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Nie dramaty i epopeje, ale owe serdeczną prostotą tchnące gawędy i coraz liczniejsze liryki stanowią chwałę Syrokomli. Nie udawały się wycieczki poza światek najbliższy, ale własne uczucia bolu i zawodu, troski i wątpliwości wyśpiewywał poeta, tem tkliwiej i głębiej, im bardziej się życie kruszyło, im nieznośniej bolało; śmierci pragnąc, zdobywał się na najwymowniejsze, najrzewniejsze pieśni; „Śmierć Słowika“ to najwierniejszy obraz przejść jego

własnych; im głębiej zasuwał się w grób, tem wyżej wznosiła się pieśń jego; wkońcu nawet z siebie żartował i własny pogrzeb nędzarza opisywał z humorem. A chociaż fizycznie ginął, dumny, czoła nie ugiął przed nikim: dzieła jego, wywołane doskwierającą nędzą, wyśpieszone strasznie, nieogładzone — nie splamiły się żadnym cynizmem, pochlebstwem, przymilaniem się do gustów JW. publiczności — mogą być niedoskonałe pod względem formy czy kompozycji, nie wznoszą się na wyżyny myśli, nie oślepiają blaskami, niema w nich nic romantycznego, ale zawsze czyste, zdrowe, orzeźwiające, jak zdrój krynicznу; wyszły z tradycyj litewskich, przesiąkły powietrzem lasów i niw nadniemeńskich, ale obeszły cały naród, i nic w nich prowincjonalnego — chyba w języku. Powoli przebojem zdobywał sobie poeta uznanie i oklaski, ale konał z pieśnią na ustach, po śmierci otoczony tą opieką, której za życia zabrakło; a nie skarżył się ani miotał nieszczęśliwy.

Obok formy nowej, utworzonej przez Pola i Syrokomlę, nieprześcignionej przez nikogo innego, toczyły się rydwany epickie i staremi torami, wyżłobionemi przez Byrona, przez szkołę ukraińską, przez „Pana Tadeusza“. Ale byronizm krajowy, po r. 1831, zrzekał się tytanicznych zapasów, karlał, rozmarzał się w pogoni za ideałem; szkoła ukraińska schodziła coraz bardziej na etnograficzną zabawkę, na przewierszowywanie nieraz dosłowne całych podań czy pieśni ludowych; „Pan Tadeusz“, napozór tak do naśladowania łatwy, najmniej znajdował naśladowców — przecież nie mogły się z nim mierzyć gawędy!

Jeszcze przed Polem wystąpił **Tomasz August Olizarowski**, Krzemieńczanin, który wprawdzie Ukrainy samej nie znał, ale na Wołyniu pokochał „serdeczny lud ruski, z ludzkiej na oko odarty cechy“, i opracowywał wątki ludowe. Najobszerniejsze — „Zaweruchа“; przeczucia chaty i sprzętów, że utracą gospodarza, znachor i czarownica, fantastyczne akcesorja, niezbędne dla powieści ukraińskiej, jak i pogoń za chmurą Zaweruchy — podobały się, nawet Grabowski przyznawał pomysłowi rozmowy ławki, ścian „wykonanie zręczne i we wszystkich szczegółach poetyckie“; znamienne było, że Zawerucha nie z dali, lecz z teraźniejszości zaczerpnięty; i w innych powieściach nie przeważał żywioł historyczny; „Wojewoda Czjorcz“, z czasów Bony, w tonie Ariosta-Beniowskiego utrzymany. Fatalniej wypadł „Bruno“, „dzikich marzeń potępieniec“, skłonny do odludztwa, zabijający z zazdrości przyjaciela, potem będący z upiorem w najlepszej komitywie.

I pieśni nie są lepsze, chociaż poeta miał szczytne wyobrażenie tamtoczesne o powołaniu wieszcza: chodził po nie do nieba i przez straże piekła przedrze się do serc i wywoła w nich sprawiedliwości i ludzkości ducha. Sam wyrobił sobie, jak Goszczyński, zasady katońskie, żył ideałem aż do zrzucenia ziemskiej cielesności, ale pieśni jego „nic nie mogły lub niewiele więcej od szumu wiatru lub piosnki dziecięcej". Powstawały, jak i niedrukowane po wielkiej części powieści poetyckie („Złote jabłka") i dramaty historyczne, na emigracji; tu przełożył wierszem polskim prozę francuską „Konfederatów Barskich".

Żywsze nadzieje budził, witany przez Grabowskiego jako talent największy, **Aleksander Groza**, spółuczeń Zaleskiego i Goszczyńskiego, jako twórca i „Starosty Kaniowskiego" (1836) i innych powieści. W owej powieści rozwałkowywał pieśń o Bondarywnie a w dramacie „Hryć" drugą równie znaną (Ne chody Hryciu na weczernyciu); sklecił i „misterjum z podań narodowych", Twardowskiego, za klechdą Wójcickiego. Inni ten sam temat opracowywali w guście „Fausta", np. Juljan Korsak, żeglujący jeszcze ciągle po falach byronizmu, dziwnie jednak płytkich. „Twardowskiemu" Korsaka życie brzmi w harmonji świata, „jak nuta niesforna w muzykalnym chórze", lecz ideały jego nie są wysokie, inkomoduje on aż szatana, bo „chciałby już pojąć żonę, ją w pożyciu tkliwem uszczęśliwić i przez nią żyć potem szczęśliwym!" W powieściach poetyckich, dawnym „Bejramie", późniejszym i udatniejszym „Kamoensie" znalazł choć niektóre silne słowa dla odmalowania losu poety, wlokącego marny żywot. Tłumaczył wiele; pierwszy przyswoił całą „Boską Komedję", chociaż nawet formy oryginału zachować się nie starał i grzeszył rozwlekłością — lepszy późniejszy przekład Stanisławskiego, wierszem białym, zachowującym ściślej kontury oryginału.

Prócz Grozy i Korsaka i **Gustaw Zieliński** opracowywał w pseudodramatycznej formie „Czarnoksiężnika Twardowskiego"; oklaski zyskał tylko wydany w roku 1842 „Kirgiz", po „Sonetach Krymskich" pierwszy oryginalny poemat wschodni u nas — gdyż Derary czy Bejramy nie wychodziły poza słabe naśladownictwo Byrona czy Moore'a. Szalona jazda Kirgiza przypomina na początku poematu nieco Farysa, chociaż tło jest odmienne; i z jego piersi wyrywa tęsknota pieśni „melancholijne, jak te płaszczyzny, dzikie, jak krwawej zemsty pociski, rzewne, jak tęskność do pól ojczyzny"; burza zmusza go do przyjęcia gościnności aułu stepowego Bija, wroga

swego; pokochał córkę jego, Demelę, i z nią uszedł; gdy pogoń ich doścignąć nie może, każe Bij step zapalić; daremne ich wysiłki: „i przeszło przez nich morze płomieni, przeszło, a w miejsce zgasłych pożarów dziś znowu cisza pośród obszarów i jeszcze bujniej step się zieleni". Cenność „Kirgiza" polega na prawdziwości, dokładności, malowniczości opisów stepu, życia Kirgizów, ich obyczajów; stepowcy to nie salonowi, Demeli włos kruczy w siedmiu plecionkach na twarz płynie, Kirgiz, „na stepowe bacząc zwyczaje, najlepsze kąski sam w palce bierze i z uprzejmością, jak sąsiad bliski, posyła do ust młodej Kirgizki". Opisowość była silną stroną talentu Zielińskiego, wykazał ją w „Stepach"; fabuła ciekawa; silny wyraz namiętności, niewylewającej się w słowach i gestach, lecz wymownej samem milczeniem, gwałtownej, dzikiej zapewniły „Kirgizowi" powodzenie u swoich i obcych (liczne tłumaczenia). Lecz Zieliński talentu dalej nie próbował, pracując na roli i między obywatelstwem.

Jak „Kirgiz" wyróżniał się nowością tematu i plastyką wykonania z całej powodzi powieści poetyckich, podobnie wypłynęło w dwadzieścia lat później, chociaż dotąd nie tak powszechnie uznane ani wedle wartości ocenione, „Dziewczę z Sącza" zgasłego przedwcześnie **Mieczysława Romanowskiego.** Pisywał wiersze wcześnie, udając byronistę; lecz pozbył się wkońcu zwątpienia i goryczy; za przykładem Pola i Syrokomli tworzył gawędy, dobierając wątków z czasów walk Kazimierzowskich, niewyczerpanej kopalni przygód rycerskomiłosnych. Z jego „Łużeckich" (1856) jeden, dumny, wyniosły naraża wojsko na klęskę, siebie na niesławę; drugi, cichy i pokorny, walczy na ochotnika, zwycięża i imię uświetnia. Wyżej stanęło „Dziewczę z Sącza". Pierwszy to i na długie lata jedyny poemat mieszczański; wobec przewag szlacheckich zapominało się o mieszczańskich zupełnie, a przecież konfederację tyszowiecką wyprzedził godnie przykład Nowego Sącza, gdzie Szwedzi pierwszy, dotkliwy szwank ponieśli. Oficer szwedzki Oskar chce z uplanowanej rzezi ocalić kochankę Basię i każe jej Sącz opuścić; Basia zdradza się niepokojem wewnętrznym, w ekstazie wykrywa tajemnicę, i mieszczanie (z góralami) wyprzedzają Szwedów; Oskar i Basia giną. Całość rozgrywa się — szlachta z Wąsowiczem i górale to tylko komparsy — między mieszczanami, w domu i gospodzie, w kościele i rynku, między rzemieślnikami (próżno wzdycha cieśla Bartek do Basi; potem jej robi trumnę), przy radzie i w bitwie — i w tym drobnym światku fakcje i wielka rozmaitość charakterów, uczuć,

osób, odmalowana trafnie i dobitnie, chociaż dyskretnie. Dramat, „Popiel i Piast“ (1862), na scenie nie przyjął się, mimo wartości pomysłu, dla nieco naiwnego wykonania. Zamierzchłą przeszłość ożywił poeta konfliktem słowiańsko-germańskim; kontrastem charakterów, zamysłów, sposobów, przeprowadzonym konsekwentnie przez wszystkie sytuacje dramatu, zwierciedlącym się w nawracaniu ogniem i mieczem czy w apostolstwie miłości, w zakusach despotycznych czy w obronie wolności, w intrygach służalczych czy w prostocie szczerej a łagodnej. Romanowskiego pociągały te czasy i dzieje; opracowywał ich motywy i w balladach i w „Wandzie“. Śmierć bohaterska w powstaniu przerwała rozwój ostatniego romantyka, co zapalał się, nie na słowa tylko, do czynu, śmierć przeczuwał rychłą i sam się do niej gotując, obojętnych gorącym, acz mało artystycznym wierszem pobudzał, zapaleniec, czysty, idealny.

Wobec gawęd i rapsodów ustępywały na dalszy plan ballady i legendy, Chojeckiego czy ks. Hołowińskiego, Morawskiego czy Siemieńskiego; nie celowały artystycznem obrobieniem; pierwiastek ludowy był największą zaletą takiej „Brzozy Gryżyńskiej“ czy „Baszyny“ czy „św. Izydora“; morał górował nietylko u księdza-autora. Najwięcej legend zebrał Ignacy Hołowiński (jako Kefaliński, tłumacz Szekspira, wyszydzony przez Słowackiego; autor i pięknego opisu podróży do Ziemi Świętej) ale zebrał je nietyle z ust ludu, ile z Niesieckiego lub kronikarzów.

Właściwy pierwiastek ludowy wybuchał inaczej; prądy demokratyczne, nurtujące w Warszawie i Poznaniu, o wiele słabsze we Lwowie i Krakowie, występowały znacząco i w poezji; odwracano się umyślnie od pałaców i dworów do chat i pól, i powieści poetyckie, dramaty i liryka, przesiąkały pierwiastkiem ludowym. Od karmazynów Pola, szaraczków Syrokomli, odbijała sukmana kmiecia innych.

Najradykalniej, acz najostrożniej, występowała „młoda Warszawa“ z „cyganerją“, przezwaną od paryskiej *bohême*, chociaż nie wyzywała filistrów w imię sztuki, prawdy, ideałów, nie szydziła z ich trybu życia i gnicia, lecz demokratyczna, chłopomańska chciała utworzyć w literaturze — gdyż w życiu chyba krojem ubrania i pogardą rękawiczek czy konwenansów zaznaczać się mogła — obok szkoły ukraińskiej i litewskiej i mazowiecką; wędrowali jej wyznawcy między lud, spisywali pieśni i podania, naśladowali je lub tworzyli oryginalne chłopskie powieści, dyszące nieraz niena-

wiścią stanową. W Poznaniu o „szkole“ osobnej nie myślano, zato cele demokratyczne, podniesienia kosztem panów ludu z wiekowego upodlenia, jawnie wystawiano; otwarcie grożono przewrotem, zemstą i karą.

Najjaskrawiej miotał się wielce uzdolniony, namiętny, zgorzkniały **Ryszard Berwiński**; wiersze jego ogniste płynęły z inną mocą, niż tyrady rymowane pani Wojkowskiej, chociaż nie odrazu krańcowa nuta w nich zabrzmiała. I on zaczął od wędrówek między ludem, spisywania klechd, ogłaszania ich prozą i wierszem; zapuszczając się jednak w ich krytykę, w czasie dwuletniego więzienia doszedł do nieprzewidzianych, słusznych jednak wyników, zwątpił o samobytności zabobonów, gusł, klechd ludowych, sprzeniewierzył się zasadzie romantycznej, ceniącej każdy utwór ludowy jako objawienie psychy ludowej; w czasach bezkrytycznego zachwycania się wszystkiem pseudoludowem jego „Studja o literaturze ludowej z stanowiska historycznej i naukowej krytyki“ (1854, dwa tomy) były walnym krokiem naprzód, ale wielką stratą dla nauki słowiańskiej, a specjalnie polskiej, było to, że na tory, wytknięte już przez Berwińskiego, zresztą za obcym, niemieckim przykładem, dopiero po wielu latach nawrócono; narazie dzieło jego przeszło bez wpływu; nieufność, oburzenie, jakie poeta-renegat wywołał, przeniesiono na badacza.

W przeczeniu nikt go nie prześcignął. To, co później tak znienawidził i wyszydził, sam najpierw poznał, bawiąc się w Don Żuana, w rycerza podwiązek, hołdując wierszami bogdankom; już w tych wierszach występował jednak nastrój gwałtowny, byroński, i nie wahał się śpiewak wobec swych zawodów modlić o jedno, „ażeby sęp pamięci, krwią jego zbroczony, na głazie jej serca zaostrzał swe szpony“. Ale z rojeniami miłosnemi pożegnał się rychło i na zawsze i przeciw byrońskiemu napisał „Don Żuana Poznańskiego“, gdzie silił się na przepych wiersza, na malowniczość tła, wydanie harmonji otoczenia, aby podłość i śmieszność romansu podstarzałej Hery i głupiutkiego Leandra tem niemiłosierniej wykpić. Nieudałe spotkanie nocne było pozorem, ramką, w którą wplatał gorzkie zarzuty przeciw samemu narodowi, jego klasom przodowniczym; zaczynały się one w samym tytule („bez końca“), bijąc w ów brak wytrwałości, co go tak strasznie razi: „herosi polscy“ dnia czwartego skończyli według zwyczaju szlachecko-polsko-narodowego — bo nie skończyli dla kraju, a było ich tam sto razy tyle, co owych synów Hellady... brzydko umierać, gdy

pięknie żyjem z cudzych darmochów i danin; żyj więc, motłochu — nuta ta sama, co w „Grobie Agamemnona“, jeszcze krzykliwsza, jeszcze niesprawiedliwsza.

W namiętnych przeczeniach posuwał się Berwiński coraz dalej; morzem krwi czerwonej groził szlachcie; zrzekał się wiary, ubogim w duchu rzucał w oczy:

Ty u stopni ołtarza rozściel się w pokorze
I czołgaj się wśród błota, jak zgniła kałuża;
Ja chcę być, jak bezbrzeżne i bezdenne morze;
Myślą moją uragan, a modlitwą burza.

Najzupełniej przedstawił zwątpienie swe i gorycz w „Ostatniej spowiedzi w starym kościele“; wyliczał zawody, szukania szczęścia w miłości, szukania prawdy w wiedzy („wiem, czegom nie wiedział, że między nami a prawdą jest przedział nieskończoności, w któren tylu dumnych tyle rzuciło głów wielkich, rozumnych na pomost głupstwu!“); wkońcu „duch czasu do serca mu zagadał płaczem tysiąców“, ale i plac walki opuścił, bo któż sił nie straci, gdy widzi marność, i hańbę, i nędzę, i podłą gnuśność rodzonej braci:

Znam was i gardzę, lecz tak wami gardzę,
Że lepiej niechaj zamrą na mej wardze
Te wszystkie słowa i wszystkie gorycze,
Któremi plunąć mógłbym wam w oblicze.

Przenosi się myślą w szczęśliwe lata dziecięce, lata błogiej wiary, porównuje je ze stanem dzisiejszym — „i wyż to myślicie, że warto żyć, jak żyję, i kochać to życie?“; wystawia przyszłość szczęśliwszą (gdy zbytków niewolnik wyrzeknie się dumy, kiedy głupcy przestaną walczyć na rozumy) i kończy:

Kiedy nakoniec w ludziach sumienie się wzbudzi,
Wtedy życie ukocham — uszanuję ludzi.
Ach! wtedy może nawet z tą piersią rozdartą
Jeszczeby z wami cierpieć i żyć było warto!

Potem kazał na zawsze swym pieśniom zginąć, lecz czynów nie wzbudził — nietylko jego „Don Żuan,“ ale i własne życie jego było „bez końca,“ „bo serce, co niegdyś złotych pełne omamień, dziś samo w siebie nie wierzy“.

Minjaturowa rzeczpospolita krakowska wydawała i minjaturowych poetów, zapomnianych oddawna, prócz jednego, który jednak popularność swą głównie zawdzięcza dźwiękom Moniuszki. Chociaż i oni sięgają po motywy ludowe i w ich oddawaniu są najszczęśliwsi, dalekoż im, „dzieciom szału,“ czy do szału Ber-

wińskiego, czy do energji byrońskiej, czy do wcielenia poezji ludowej.

Z trójki krakowskiej najwyżej wzniósł się **Edmund Wasilewski**; choć nie Krakowianin rodem, zrósł się z miastem najściślej. Łagodnego marzyciela w życiu i pieśni, rozśpiewanego do swej „Halki," odrywali przyjaciele (Gustaw Ehrenberg, drugi z tej trójki, poeta i literat, autor pieśni „Gdy naród do boju wystąpił z orężem" i „Hej tam w Karczmie za stołem"), od jej stóp, wskazywali mu ogólniejsze, wyższe cele; zrywał się więc poeta i wołał sam na towarzyszów: „Naprzód z myślą — bo przed wami ludzkość; jak wielki step morza, prujcie spienione fale silnemi piersiami, cień nocy rozświeci zorza!" Całkiem w byrońskiej pozie przedstawia się poeta w „Dziecku szału" (1837), historji, jakich wiele, o zawiedzionej miłości, gdzie dziewica jest najpierw aniołem, potem szatanem; zawód wypycha go w świat, do walki, ginie na wygnaniu, lecz, inny w tem od byrońskich bohaterów, siebie samego oskarża o złamane życie, bo nawet „czyn mój szlachetny, uroczy, miał swój początek w rozkoszy lub szale":

zdawało mi się, że ja jestem wszystkiem,
a przecież byłem tylko drobnym listkiem,
który podmuchy jesieni ususzą;

to poznanie własnej marności, nicości — pierwszy krok wyjścia z obłędnego koła byronizmu. Zresztą sarkał na świat, na życie (chwilę maligny między dwiema śmierciami), groził: rzućmy się na świata zręby, do rąk pochodnie i głownie, wściekłemi poszarpmy zęby starego świata warownie!

Od takich uniesień wracał do łagodnej tęsknoty, właściwszej jego usposobieniu, albo do przeszłości i w „Katedrze na Wawelu" dawał się duchowi Kmity oprowadzać, wskrzeszał Racławiczan; tkliwe to i wdzięczne, wówczas bardzo cenione; on pierwszy, przed Wyspiańskim, wyczuł czary wawelskie. Ludowa nuta, pod wpływem Zaleskiego, zabrzmiała w jego najpopularniejszym a zarazem najoryginalniejszym utworze; w innych, bardzo popularnych, wyczuwa się ciągle to „Odę do młodości," to inny wiersz Mickiewicza, zato krakowiaki jego rzewne i śpiewne, ochocze i wdzięczne, motywy ludowe oddawały doskonale, od owego pierwszego: „Wesoły, szczęśliwy Krakowiaczek ci ja," aż do ostatniego, „Zapomniane skrzypki moje."

Trzeci, Franciszek Żygliński, o losie jeszcze cięższym, walczący z nędzą, śpiewał na tę samę nutę rozczarowania byroń-

skiego, wzdrygał się przed zimnym ziemi szkieletem, po którym biegają ludzie-robaki, jak głodny owad po zgniłym kwiecie — lecz od tytanicznych porywów był jeszcze dalszy, niż Wasilewski, i w melancholijnej rezygnacji, w łagodności spokojnej, zapatrzonej w grób, we wzywaniu świętych dokonał bolesnego, cierniowego pochodu życia.

W Warszawie i poza „cyganerją“ hołdowano temu pierwiastkowi; najlepsze i najobszerniejsze rzeczy, które napisał prawnik z powołania, Antoni Czajkowski, przerobił z fantazji ludowej („Madej;“ „Baśń o żelaznym wilku“) — przy poezji jednak nie wytrwał; albo Karol Brzozowski, który zbierał i piosnki ludowe (z okolic Aleksoty nad Niemnem) i motywy ludowe („Mężobójczyni“) opracowywał i w gawędzie przy ognisku obozowem („Noc strzelców w Anatolji,“ w roku 1856) wywoływał wspomnienia ojczyste, nawet antagonizmu szczepowego (między Mazurem a Litwinem). Całkiem zanurzali się w ludzie i jego wierzeniach warszawscy „cyganie“: Roman Zmorski, z którem się potem Brzozowski na Wschodzie spotykał, Włodzimierz Wolski, Seweryn Filleborn, Józef Bohdan Dziekoński (medyk) i inni, grupujący się najpierw około łagodnego i sympatycznego Filleborna i jego krótkotrwałego „Nadwiślanina“, w „Jaskółce“, potem w „cechu głupców“ (gdzie Wójcicki był poważnie głupi, Czajkowski prawnie głupi) i około „Dzwonu literackiego“ Wilkońskiego.

Znamionowały ich wszystkich żądza oświaty i podniesienia ludu, zwrot ostry przeciw obłudzie pod każdą postacią, szczególniej religijną; radykalne zakusy i protesty przeciw rzeczywistości w tonie Wasilewskiego („na świat, z chwały obdarty, wyrzućmy piorunów ognie‘), a raczej Berwińskiego („Anioł Niszczyciel“ Zmorskiego; „Zapał“ Wolskiego; wiersze Anieli Dembowskiej, żony redaktora „Przeglądu Naukowego“); wprawdzie patrjotyczną nutą nie mogli się odzywać, pole ich musiało być ogólno-ludzkie, ale w zastoju warszawskim budzili oni myśl, ruch jakiś. Już oni wpadali na pomysły, jakie o wiele później miały się zaznaczyć dobitniej, np. Dziekoński naśladował w powieściach swoich nietylko fantastykę Hoffmanna; w „Wyzwoleniu zapaleńca“ samobójca, który przeszedł te same losy, o jakich „Ostatnia spowiedź“ Berwińskiego prawi, w chwili przedzgonnej „wyjąknął modlitwę do szatana... jak błagał czarnego ducha“, a obok satanizmu wynurza się okultyzm nowoczesny w jego „Sędziwoju“ (alchemiście XVII wieku,

zagranicą, u Czechów, lepiej znanym, niż u nas); alchemista wystawiony tu jako szukający wiedzy dla uszczęśliwienia całej ludzkości, ale służba jego nie jest bezinteresowna, gdyż i on, jak ów „Zapaleniec," jak „Dziecko szału" Wasilewskiego, hołdował „najśliczniejszemu" samolubstwu, „myśląc o innych, dbał tylko biedak o dogodzenie własnym urojeniom (krytyka byronizmu), czuł się wyższym od tłumu, co go otaczał, ale swą dumą tracił tę wyższość." Wobec Sędziwoja, coraz bardziej upadającego z powodu własnej słabości i namiętności, staje mag Sethon, tajemniczy syn wieków, który wzniósł się do poświęcenia i pozyskał prawdziwą wiarę, gdyż zapomocą miłości odzyskał ów stan pierwotny, „w którym człowiek sam wszystko rozumiał", na drodze ciągłych a trudnych zwycięstw ducha nad ciałem — istotnie, los owych wybrańców-adeptów był nadzwyczaj ciężki, i drogo opłacali oni każde mniemane zwycięstwo nad materją. Dziekoński sam wyemigrował, pisać zaprzestał; umarł jako towiańczyk; oddalał się może najbardziej od przeciętnego typu „cyganerji". Najlepszym przedstawicielem tego typu był młody Wolski, jego „Ojciec Hilary" (w roku 1843, gdy autor lat kilkanaście liczył) uchodził za rodzaj objawienia: w guście Byrona, ale przeniesionego ze Wschodu dalekiego na niwy nasze, równie gwałtowny, namiętny i — nieprawdopodobny. Jak w „Giaurze", słyszymy tu spowiedź przedśmiertną mnicha Hilarego z grzechów całego żywota; zacięcie demagogiczne silne już we wstępie:

> Ja chłop, niewolnik z imienia i rodu;
> Ojca nie znam, a matka, żebraczka zgrzybiała,
> Psom pana Podczaszego obiady dawała.
> Ja, ojcze, miałem urząd piękniejszy, dwojaki:
> Byłem zwierzę, na które panicz strzelał z łuku,
> I, jak pies, pilnowałem pańskiego ogrodu;

w podobnym duchu utrzymał powieść o nierównej miłości, o haniebnym afroncie, zemście nieudałej, zamknięciu klasztornem i ostatecznym wybuchu trawiącej żądzy zemsty; nowe, niebyrońskie było to, że bohaterem strasznych cierpień moralnych, gorszych niż fizyczne, był chłop. Później ochłonął Wolski z tej nienawiści, ale tematów nie zmieniał; i libretto do „Halki" Moniuszki i „Połoskę" osnuł na podobnych konfliktach; lecz dobry anioł sprawia, że grzeszna pani mrokiem pokory, pokuty nocą, z duszą oczyszczoną wraca na drogę zbożną, a chłopka przebacza straszną krzywdę; opowiadanie samo pełne jest gwałtownych

starć i namiętnych skarg, ale przejęte ideą litości, opromienione i miłością do ziemi ojczystej, wyrażoną w przedśpiewie.

Liryk Wolski próbował zwykłych naówczas tonów: to sławił romantycznie moc wieszcza, to żegnał się z rojeniami miłosnemi. Łagodny marzyciel „czynnym ognistym szaleńcem“ był w teorji, zrucił potem poezję; pisywał nowele i powieści z życia mieszczańskiego i rzemieślniczego, np. „Domek przy ulicy Głębokiej“, gdzie je bardzo szczegółowo i realistycznie opisywał, w „Bakałarzu“ i innych powieściach obrabiał wiejskie tematy.

Nie ochłonął, jak Wolski, z romantycznych i ludowych zapałów **Roman Zmorski**, wytrwał przy nich i przenosił je z równin mazowieckich nawet na mokradła łużyckie i płoniny bałkańskie, był panslawistą warszawskim i ludowcem. W jeszcze dziwniejszy sposób, niż Wolski, sprzęgał byronizm pośledniejszego gatunku z ludowością, nie realną, lecz urojoną w „Lesławie, szkicu fantastycznym“ (wydanym w roku 1848, napisanym wcześniej), popsutym przez wymysły z baśni ludowych, czarownice i wodnice, strzygonie i topielce; Lesław, niby hrabia Henryk, rozkochany w Dziewicy-Chmurze, waha się między nią a ziemianką, Heleną; sprzeniewierzając się jej, przyprawia ją o śmierć i sam skacze w piekielną przepaść; uderzają niektóre niezwykłe myśli: o wszechnienawiści panującej w świecie („wątkiem istnienia jest nienawiść wieczna“ — cicha walka, „co się w każdej chwili na każdem miejscu ziemi z równą mocą nieubłaganej nienawiści toczy“). Gdy w „Lesławie“ ludowe motywy byrońską pokryły się pleśnią, w innych utworach Zmorski ludowy wątek w całości odtwarzał, np. „Wieża siedmiu wodzów“, „Dziwy“; po latach tłumaczył, wierniej, niż Zaleski, pieśni ludowe serbskie, epiczne, „Lazaricę“, o „królewiczu Marku“ i inne. Obok tej epiki, napoły ludowej, wylewał Zmorski skargi namiętne w lirykach, silnych, pełnych dysonansów, jakby się umyślnie w nich lubował; ognistym i burzliwym był nietylko w wierszu, ale i w życiu tułaczem.

Łagodnością i rezygnacją chrześcijańską, niby drugi Żyglíński, odbijał od tych namiętnych postaci Karol Baliński, uczony twardem życiem cierpień, zawodów i zsyłki. Nie tracił nigdy pod nogami gruntu chrześcijańskiego; tylko „droga najświętsza Golgoty i krzyża“ zbliża do nieba; z „Męczeństwa Zbawiciela“; drukowano ustępy; do koła warszawskiego zbliżała go nieukojona tęsknota za ideałem, wysokie cele, jakie wytykał wieszczowi („musi, jak ogień, sam siebie strawić, rozkosze ziemskie w jeden stos zwa-

lić i własną ręką ten stos podpalić"), szczególniej w wierszu-alegorji „Farys wieszcz" (1844): duch tęsknotą nieba trawiony, zesłany tutaj na ciągłe boje, na ciągłych pragnień żar niezgaszony; farysów-gońców ideału zmiótł huragan — głucho na stepach, a w stepie życia, ach, smutniej jeszcze — wiatr wszystko wywiał, lecz wymodli wieszcz u Stwórcy, że jeszcze z ziemi „okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy"; szata wschodnia zwiodła cenzurę.

Z koła warszawskiego wytrwał najściślej przy poezji ludowej **Teofil Lenartowicz**, lirnik mazowiecki, w głębszem znaczeniu „lirnik" swej ziemi, niż Zaleski lub Syrokomla. Syrokomlę dzieliło wszystko od ludu białoruskiego i litewskiego; Zaleski przed teraźniejszością zasklepił się w kraju ułudnym, roztęczonym w wyobraźni i tęsknocie; Mazur Lenartowicz zżył się z ludem, proste jego uciechy dzielił, rzadkie jego łzy ocierał. Nie odrazu znalazł właściwą drogę; tworzył, jak „cyganie" tworzyli, skarżył się, pragnął i dumał, wieszczył w „Wierszu do poezji", r. 1844. Opuściwszy Mazowsze (w Warszawie się urodził, lecz i na wsi żył i trybem młodocianym przypomina nieco Brodzińskiego), sam ożył i ożywił swoją pieśń we wspomnieniach wioski i ludu, powtarzając siebie samego, mało urozmaicając i wątki i formę. Los przeznaczył dla sieroty ubogą skrzypkę tułacką, a na niej będzie pod niebem brzmiała wiernego ludu cicha pochwała... Zamłodu z chłopakami nocną dobą ponad Narwią konie pasał, pobratał się uściskiem ze spracowaną Kurpia dłonią. Stąd przynosił „pieśni stare, ale takie rzeźkie, jare, że, słuchając, jak we wiośnie, dusza, gdyby ziele, rośnie i świat jej się w oczach złoci, aż się cała rozochoci." Pieśni tworzył sam, nie powtarzał tego, co lud śpiewa, wdumał się w ton ludowy i nań własne pieśni stroił, o Mazurze za wołami; o wiochnie, co na książce czytać umie i „baranka", jak żywego ulepi; o dziewczynie, jak malinie, co ma ręce do roboty, serce do kochania; o orylu „nad Wisłą"; o starym Józefie, gdy w niedzielę skrzypkę stroi; o Jagodzie, z której ust piosnka to żałosna, to wesoła nigdy nie schodzi; o Baśce, co jej krowę zajęli; Coś tam o Kurpiach; Jak to na Mazowszu — polski to Kolcow.

W duchu ludowym tworzył i większe rzeczy. Właśnie owa „Jagoda" to cała sielanka o sierocie Jagusi i Janie parobku, jak się pokochali i pobrali, jak przykładnie żyją, aż się coraz z piersi Cierpiały okrzyk wyrywa: ach, jaki ja chłop, mój Boże! Ciężka próba jeszcze bardziej nauczy go cenić skarb swój, „żonę, swego człeka". W dalszym ciągu odźwierciadla poeta nawet zaświaty,

jak się w głowie wieśniaczej przedstawiają; jego „Zachwycona“, to niby wędrówki duszy chłopskiej, niby „Hannele“ Hauptmanna; chora wieśniaczka opowiada dziecku wizje zagrobowe, jako to w raju same jabłonie i wielkie grusze, a na nich dobre duszyczki — owoce złote; Pan Jezus owieczki na łące pasie; Najświętsza Panna wyrabia płótno ze srebrnej przędzy, wiatr je jesienią po polach roznosi; widać z nieba wszystko, co się hen na świecie dzieje; smutno w czyśccu, a w piekle i łoże Madejowe i Judasz z trzosem. „Błogosławiona“, to dopełnienie „Zachwyconej“, mniej udane, chociaż i tu nie brak akcesorjów ludowych, jest przecież i list z nieba zesłany i świętych widzimy, jak z obrazków zdjętych. W tym samym tonie naiwnej prostoty opisał i Racławice, wkładając opowiadanie w usta chłopka-uczestnika, z siłą i animuszem, na jaki go rzadko stać było. Póki się tego tonu ludowego trzymał, tworzył szczęśliwie, np. w „Szopce“ (r. 1849), gdzie występują w pierwszej części zwykłe figury jasełkowe, w drugiej figury z dziejów polskich, najlepiej spopularyzowane.

Poeta nie mógł oderwać oka myśli od swego Mazowsza gdzie, „po szerokiem polu modra Wisła płynie, pochylone chaty drzemią na dolinie“ i nie mógł się go dosyć wychwalić:

O, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze,
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze...
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się roześmieje tak raźno dziewucha?...
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce, moje serce do tych lasów goni:
Do Wisły, do Wisły, oj, tęskno mi do niej!

I gdy mu struna „poojczystym brzękła żalem“, płynęły od niej wiersze, proste i świeże, „jak ta ziemia z rana we łzach rosy wykąpana“; jeśli w jego wierszach „czego niema, tego niema — ta swej ziemi pełno“; nie dla siebie żądał ani śpiewał, przygrywał na zbudzenie miłości dobra i prawdy, cieszył się, że już coś świeci, „już rozjaśnia się w sercu słowo, nim je człowiek pojmie głową.“ I w tym skromnym, pobożnym tonie wyśpiewywał szary skowronek z pod kamienia legendy o świętych robotnikach, o Najświętszej Pannie Marji Studziennickiej i widzeniu starego mularza, o świętej Zofji i męczeństwie jej trzech córek.

„Myśl moja cicha, jak moja chata, nad dym ojczystej wioski nie wzlata, oko nie sięga dalej i szerzej, jak do tych lasów, jak do tych krzyży, jak do tej wody, co płynie srebrna, czyż większa

mądrość człeku potrzebna?“ Mądrości tej starczyło też na kreślenie małych obrazków rzewnych i wdzięcznych, o wierszu nadzwyczaj melodyjnym, nieraz skocznym, zawsze śpiewnym (Mazur ci ja Mazur, z pod Warszawy rodzic; melodje dorabiał Komorowski i przyczyniał się tym do popularności Lenartowicza). Lecz ludowość Lenartowicza jest jednostronna nieco, wyidealizowana i zmanierowana; jego Mazur a kozak Zaleskiego to niby bracia; wzrok toczy po powierzchni, widzi dobrze, ale wszystko różowo, sielankowo na tym najlepszym z światów. Ujmujący za serce optymizm poety, jego radość życia udziela się każdemu; wyznaje szczerze: „co ja będę na złe wróżył, powróżę na lepsze, i znów chata się wystawi, opatrzy, podeprze“; z jego piosnki „w szczęśliwej godzinie może myśl dobra w dobre serce spłynie“; dysonanse są rzadkie. Z własnych smutków się nie spowiadał, a były one dotkliwe i coraz dotkliwsze; i on, jak sierota, „całe życie goni słonko, dogonić nie może.“ Wkońcu jednak powtarzają się zbyt te radosne i smętne tony i obrazki, a jeśli pierwsze większe zbiorki, „Lirenka“ (1855) i „Nowa Lirenka“ (1859) podobały się nadzwyczaj, to dodać do nich poeta nie umiał niczego.

Silił się zaś na rzeczy coraz większe, na co nie starczyło owej prostej mądrości. Człowiek z wiarą tak naiwną, że dziwił się, iż głowa chrześcijaństwa tyle pogaństwa (pomników rzymskich) około siebie cierpi, zabierał się do ilustracji wielkich dziejowych pomysłów lub postaci; zaraz też „Gladjatorami“ obruszył na siebie Klaczkę, chociaż krytyka była raczej napaścią, gniewała się o rezygnację, ton żałosny, na jaki się poeta wyłącznie umiał zdobyć; i fantazja o Napoleonie silniej do fantazji nie przemówiła. Poeta, tułający się wszędzie, osiadł wkońcu na stałe w Florencji, gdzie się i rzeźbiarstwu i popularyzowaniu literatury polskiej między Włochami oddawał; występował odtąd z wierszami tylko w dłuższych przerwach. Wątków nastręczały i wrażenia włoskie („Album włoskie“, 1870, z refleksją niegłęboką, z trafnemi zato rysami tego, co widział), i rapsody dziejowe („Ze starych zbroic“, niby śpiewy Niemcewiczowskie, o Bolesławach, o Piotrze Duńczyku; „Rytmy narodowe“, w 1861 r., ustępy z epopei o Sobieskim, „Ostatni Rycerz“) i motywy ludowe („Echa nadwiślańskie,“ odnowione, rozszerzone dawniejsze) i żale osobiste („Cienie — na przepadłe imię“, 1883) z powodu zobojętnienia publiczności wobec „dziadory niebogiego, którego kiedyś nazywano poetą“: ja snuję, snuję, biedny pająk, z siebie, a paję-

czynę moją wiatr roznosi, i, kiedy innym złoty łan się kłosi, mnie, jak zmarłego, wasza ręka grzebie, słuchać nie raczą, a grzebią mnie żywcem... Pisywał rzeczy coraz obszerniejsze, wydane po śmierci dopiero np. „Sędziowie ateńscy“, (o Sokratesie, dialog dramatyczny), albo wcale dotąd niewydane.

Już Lenartowicz nie miał tego epicznego zacięcia, znamiennego dla Pola, Syrokomli, Romanowskiego; w mieszanym, liryczno-epicznym wierszu najwyżej się wznosił — ptak małego lotu. Wyłącznie lirykiem, napróżno kuszącym się o epiczne rzeczy, wcześnie też zamilkającym, był ostatni znaczny z grupy tych poetów-rówieśników, co i poezję i wszystkich towarzyszów przeżył, **Kornel Ujejski.**

W otoczeniu lwowskiem, spiskującem, „węglarskiem“ mimo wszelkich rewizji i represaljów, przejął się poeta patrjotycznemi ideami; płomienna poezja emigracyjna, „Dziady“, „Kordjan“ i „Irydjon“, kształciły mu myśl i styl; najbardziej oddziaływał Słowacki, i nie zrażał się młody poeta „przeczeniami“ jego, jak Pol. Popędu do twórczości dostarczyła najpierw miłość, naturalnie wzgardzona, rozgoryczenie stąd płynące, wzdychanie za ideałem, ale od liryki osobistej oddzielił się Ujejski rychło. Imię dwudziestodwuletniego poety rozsławił w szczupłem gronie lwowskiem, „Maraton“ (w roku 1845), nie dla rozmarzenia w piękności świata greckiego:

wy chcecie pieśni, ni kwiatu do wieńca,
coby wśród uczty mogła was pochwalić,
a jabym pragnął wam *w ogniu rumieńca*
rozmiękłe dusze, jak zbroją, ostalić.
dawnych olbrzymów przed wami postawię,
i z nimi wskrzeszę cały świat zamarły,
może choć wtenczas *przy waszej niesławie*
z wstydem przyznacie, że jesteście karły...

Przemowa Miltjadesa do Ateńczyków, nie walka, zbyta ogólnikowo, zogniskowała w sobie cały poemat. Od świata greckiego, od tłumaczeń tragików, odciągała chrześcijanina biblja; ustępy jej parafrazował („Pieśni Salomona“); jej prorocy przejmowali go najgłębszem wzruszeniem, tem bardziej, skoro wedle katechizmu romantycznego polskiego wieszcz a prorok — to jedno. Już w roku 1844 nakreślił swój program poetyczny, „Gęśl Jeremiasza“: kruszył dawniejszą, bo dla siebie już śpiewać nie może, a sięgał po nową; zapierał się siebie, a wślad za Konradem wołał: cały mój

naród jest moją rodziną, łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię cierpiąc ból jego, chcę śpiewać. Ani przeczuwał, jak rychło słowa te miały się ziścić.

Rzeź galicyjska roku 1846 odbiła się w czternastu „Skargach Jeremiego“, napisanych tegoż samego roku. Gdy rozpacz goretszych, pognębienie wszystkich ogarnęły, wzbił się nagle nad zdrętwiałe tłumy młody, silny głos, mądry wiarą i miłością, kojący, jak balsam, pokrzepiający. Nawiązując czy do modlitwy Pańskiej, czy do suplikacyj kościelnych, czy składając akt wiary, rozwiązały te psalmy usta narodu, obleciały wszystkie dzielnice, strzeliły wgórę modlitwą tysiąców. Nabrzmiałe uczuciem grozy i żalu nie klęły ludu-Kaina, były dlań wyrozumiałe („lud nasz dotąd się jeszcze nie nazwał narodem; jak liść jesienny, zgromadzony w lesie, tam on ulata, gdzie go wiatr poniesie“); nie rozpaczały mimo słów wstępu (o zniszcz nas lub podnieś), wierzyły głęboko,

> żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
> żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
> by całą ludzkość prowadzić ku Tobie...
> że, chociaż czasem słabymi zachwiejesz,
> jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem...

mesjanista wierzył w postęp ludzkości, że „miłość i wolność opaszą tę ziemię, jak wiecznie zielone powoje“. Po wierszach emigracyjnych nikt nie znalazł wyrazów tak wzniosłych, skargi tak głębokiej, jednak nie bluźnierczej, ufności tak wielkiej, nie przesadnej, korności nieudanej. Poeta wzbił się odrazu ponad rówieśników i stanął obok mistrzów; w wierszu religijno-patrjotycznym nie przewyższył go nikt. Luźne napozór ustępy składały całość artystyczną, podobnie, jak „Treny“ Kochanowskiego.

Na wyżynach tych nie utrzymał się jednak. Nie panował nad zbyt rozległemi tonami; tworzył bardzo nierównomiernie; z owemi wierszami, wrącemi, jak lawa, mieszały się mdłe i prozaiczne w „Zwiędłych liściach“ i „Kwiatach bez woni“; tymczasem oczekiwano po nim rzeczy coraz większych; gdy mistrzowie poumierali, lub zamilkli, on, zdawało się, jedyny był powołany do dzierżenia po nich berła. Ujejski nie całkowicie zawiódł oczekiwania; w „Melodjach biblijnych“ (1852 r.), pisanych w ciągu lat kilku, odzywała się gęśl Jeremjasza polskiego, bo nie brak w nich ciągłych aluzyj do rzeczy polskich, począwszy od Jubala, którego pieśniami gardzą, lecz będą go kiedyś prosić o jedną. Poeta wystawił też siebie: sławą i pieśnią nie wzleci wysoko, ale ma duszę

czystą i nie świecką, serce do uczuć, do łez skłonne oko... on twoich żałów wiernym będzie echem, bo w jego kraju nie mieszka wesele, w narodzie jego każdy śmiech jest grzechem...

Następca Byrona i jego „melodyj hebrajskich“ w literaturze świata, u nas zaś skromnego Witwickiego i jego „poezyj biblijnych“, różnił się jednak od obu; nie przewierszowywał w ten, czy inny sposób ustępów biblijnych, ale raczej własne natchnienia wylewał w formach zapożyczonych, więc największe wywoływał wrażenie tam, gdzie to natchnienie bije najsilniej, gdzie losy Judei splatają się jakby z losami własnego narodu, gdzie te pod tamte podkłada. Jedne z tych „Melodyj“ są to więc artystycznie obrobione sielanki Starego Testamentu; drugie, o większem znaczeniu, są silnym wyrazem religijno-patrjotycznego nastroju.

Poeta nosił się i z dramatem biblijnym, ale napisał tylko ekspozycję, akt pierwszy, swego „Samsona“: ciekawy i piękny, przygotowujący wystąpienie bohatera po słowach i zwierzeniach rodziców jego i służebnicy, a podejściu zdrajcy. Na nic większego już się nie zdobył; prób epicznych, z autobiografji („Podróż przerwana“, niby legjonisty, do gniazda Ujejskich w Świerczkowie, „Ustępu z powieści sybiryjskiej“, „Po latach osiemnastu“) również nie zaokrąglił poeta-liryk; i w tych epikach najlepsze są ustępy całkiem liryczne.

Większe bez porównania odnosił triumfy, gdy się znowu stawał tłumaczem obcych natchnień, gdy, podobnie jak niegdyś muzykę chorału Nikorowicza we własny chorał przelewał, tak teraz pod melodje Chopina podkładał własne słowa; z „Tłumaczeń“ tych (późniejsze, Bethovena, znowu słabsze) „Marsz pogrzebowy“ najbardziej porywa jako wybuch rozpaczy po śmierci ukochanej istoty. Prócz „Tłumaczeń“ tylko jeden i drugi wiersz, czy z powodu swej idei demokratycznej, czy z powodu poruszającego do głębi tematu roznosił szeroko sławę autora, np. ów „Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem, podobnaś do mogiły... w niebie i w myśli jego (gospodarza) noc, a noc bez końca, a spłonie świt — w świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę“, albo jego bardziej znane „Za służbą“, z wyrazami głębokiego żalu („o ty, ziemio polska, ty zawodna... o ty, ziemio, ty, macocho gminu... a dla większej części dzieci swego rodu o nie owoców już ani miodu, ale nie masz nawet chleba...“); „Pogrzeb Kościuszki“, niby z miarowym odgłosem dzwonów pogrzebowych, i inne, między niemi i treści osobistej.

Talent słabł widocznie; poeta umierał zamłodu, „z świeżą jeszcze pamięcią u mego narodu, co przy ogniu mych pieśni chętnie się rozgrzewał“, umierał, jako autor „Skarg Jeremiego“ — gdy ich wtórą część po wypadkach roku 1863 dopisywał, już posłuchu nie znalazł; wytrwał wprawdzie przy swych hasłach, ale i siła poetycka już mu nie dopisywała, i coraz bardziej czuł się odosobnionym; świat, wedle słów jego własnych, szybko zmienił barwy, przebrał się, pobiegł naprzód, „a ja stoję, jak po wielkiej powodzi, gdy opadną fale, zapomniany, samotny zostałem na skale“. Odtąd wylewał siłę słowa i żaru nie w wierszach, lecz w rzadkich zresztą przemówieniach, czy nad grobem Grottgera, czy w odpowiedzi na uroczystość ku czci Husa, bratając się gorąco z Czechami, wnosząc „kielich“ szczęścia „dla wszystkich“, czy w rocznicę zgonu Goszczyńskiego, czy w wierszu, „Mój Orzeł“, zwalczając grzechy narodowe: pychę, prywatę, lenistwo, obczyznę. Jako obywatel roli wybitnej już nie odegrał; nie liczył się ze zmienionemi okolicznościami; nieprzejednany, republikanin, wróg Stańczyków, nie wchodził w żadne kompromisy, nie paktował z nikim. Lwów uczcił pamięć jego, jak i Fredry, pomnikiem.

Liryków, jak Ujejski, ale słabszych talentem, rychło zapomnianych, liczył ten okres wielu; dla zapełnienia tła należy się słowo wzmianki, z dawniejszych, Tadeuszowi Ładzie Zabłockiemu, który niegdyś, w stylu napoły klasycznym, niby Wężyk, opisywał okolice Witebska, później z za Kaukazu, jak Janiszewski i inni, opiewał łagodny smutek i cichą rezygnację. Po tym białoruskim poecie, przejętym czcią dla wieszcza litewskiego, można wymienić Ukraińca, Henryka Jabłońskiego, który, rzuciwszy Dniepr i Boh, po różnych tułaczkach, umarł jako konsul francuski w Zanzibarze: przy poezji nie wytrwał, chociaż roił górne marzenia o znaczeniu sztuki, szczególniej w swoim „Gwidonie“ (1855), w którym muzyk rzuca dla sztuki rodzinę i kraj, bo „przez nią chce serca napełniać jasnością, ją chce uczynić anielskim wołaniem... poznają miłość — pójdą za miłością, poznają niebo — i zatęsknią za niem: Ja zaznajomię ich z nieśmiertelnością i ziemię niebu w ucisk oddam graniem“; gdy starania jego zawodzą, zniechęcony rzuca świat, lecz za to sprzeniewierzenie się posłannictwu sztuki ponosi karę i z dzikiej skały Bohu odgłosem smętnych dum ludowych poruszać będzie serca tak długo, aż się urodzi mistrz, który go wyzwoli, który „z serca wygrzmi pieśń swobodną, godną ziemi i nieba.“ Nie przepomnimy też Lwowianina, Adama Pajgierta, druha Ujejskiego i Romanowskiego, który lirykami swemi i tłumaczeniami zagładził niefortunną pamięć ojca-wierszoklety.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

DRAMAT I POWIEŚĆ (1831—1863).

Dramatycy: Fredro, Magnuszewski, Romanowski. Powieściopisarze: Korzeniowski i Kraszewski, Rzewuski i Chodźko, Kaczkowski. Autorki: Gabrjela i Deotyma. Tłumacze. Wyniki.

Podczas gdy epika i liryka wyrobu krajowego nie mogła się równać z emigracyjną, żyła niby okruchami z jej stołu, ta domorosła literatura stawała niezawiśle, o własnych siłach, w dramacie i powieści. Już samo istnienie trzech stałych scen, warszawskiej, lwowskiej i krakowskiej (rozwijającej się dzielnie za Meciszewskiego), musiało na to wpływać; kusiło się też wielu, dla samego choćby naśladownictwa, o dramat, szczególniej narodowy, t. j. historyczny, lecz powołanych było aż nadto mało.

Najbardziej powołany, **Aleksander Fredro**, zamilkł zupełnie, po kilkunastu latach dopiero, gdy wszelkie rachuby innej czynności ponownie zawiodły, gdy po r. 1848 mroźna reakcja ścięła ziemię, wrócił do muz młodości; nie zmienił się ani wydoskonalił, o wymagania nowej sceny nie dbał; pisał więc po dawnemu, to znaczy, o wątek nie starał się wiele, wystarczała anegdota, pierwszy lepszy pomysł, omyłka; po dawnemu nalepiał na typy, bo do indywiduów się nie zniżał, etykiety Jenjalkiewiczów i t. p.; zachował dawny humor, bawił się sam w najlepsze, chociaż nie zapominał o nauce, morale; zamiast wierszów jednak, ustępując czasowi, posługiwał się częściej prozą. Dowcipu wdzięcznego starczyło na stworzenie bluetek, jednoaktówek znakomitych („Świeczka zgasła", „Koncert", „Dwie blizny"); większych pomysłów nie obrabiał jednak należycie; np. w „Godzien litości" przedstawił Alwina, poświęcającego się na zawołanie, niezrozumianego niby, ofiarę losu i ludzi — w istocie wyzyskującego bezczelnie wszystko i wszystkich, ale

typ ten opisał, nie przedstawił w działaniu. Lepiej powiodło mu się w komedji „Wielki człowiek do małych interesów“: jak Alwin jest zawsze ofiarą, tak Jenjalkiewicz zawsze administratorem, organizatorem i statystą; samodzielny, wszystkiem kieruje i niechybnieby siebie i pupilów wykierował na nędzarzów, — taki w istocie niedołęga, i każdy go w pole wyprowadzi; wiele mówi, nic nie czyni ani umie: typ, szczególniej między naszymi mężami stanu, niestety nierzadki. Nie waha się przytem autor zapożyczać najdrastyczniejszych i najbardziej zużytych środeczków jeszcze od „Natrętów“ Bielawskiego czyli od *Les Fâcheux;* jeszcze mniej, niż dawniej, skupia siły, obmyśla efekty — tworzy przecież nie dla publiczności, nie dla sceny, lecz dla zabicia czasu, dla własnej szufladki, pozwalając dopiero po najdłuższem życiu na ogłoszenie czy wystawienie tego spadku, krzywdząc siebie, scenę i literaturę.

Najzabawniejszy jest tam, gdzie występuje bez żadnych pretensyj, np. w sztuce kolejowej „Z Przemyśla do Przerowa“, gdzie stadło małżeńskie, rozwiedzione i znowu się łączące, otaczają dobroduszny Gamciewicz, ciągle wszystko gubiący; Czech Kropaczek, madame Stock z podejrzaną bardzo francuszczyzną i inne komiczne typy. Nie zawahał się nawet przed komedją zwierząt: w „Brytanie Brysiu“ wystawiał w typach zwierzęcych ludzkie ułomności. Do satyry ciągnęło go coraz bardziej to, co naokoło siebie spostrzegał; nawet świeża autonomja galicyjska nie wymykała się przed uszczypliwemi docinkami, dostawało się nietylko demokratom, ale i braciom szlachcie; nie brakło nawet wierszów lirycznych — ale wszystko na trzy spusty zamykał. Pisał i pamiętniki, umyślnie bez ładu, „Trzy po trzy“, jakby powstawały za przypadkowem kojarzeniem się myśli, a miał co opowiadać — nie każdy pamiętnikarz zaczynał przecież od ordynansu przy Napoleonie.

Repertuar teatralny opierał się na „starym“ Fredrze. Obok niego, mimo wszelkich zatargów i nieporozumień z dyrekcją warszawską, prowadzących aż do ucieczki przed nią do lwowskiej — stanął **Józef Korzeniowski,** Krzemieńczanin. Po długich wysiłkach dopiero udało mu się osiągnąć pierwszorzędne stanowisko: i w życiu i w sztuce zdobywał wszystko przebojem, pracą, usilnością — szczęście mu się samo nigdy nie uśmiechnęło. Pióra próbował przez niemal pół wieku: drukował pierwsze swe rzeczy wtedy, gdy Mickiewicz stąpał jeszcze w powijakach Trembeckiego, i był naturalnie również klasykiem; ale studja niemieckie obznajomiły go z Schillerem również wcześnie, jak z Wolterem, i nie dawały

mu zagrząść w pseudoklasycyzmie. Zaczynał, jak młodzież ówczesna, od ód i listów poetyckich, ale przerzucił się rychło na pole, gdzie konkurentów było nierównie mniej, a mianowicie do dramatu. I, jako dramatyk, popełnił jeszcze (jako *tour de force*, wskutek zakładu) „Pelopidów", tragedję deklamacyjną w guście francuskim; ale napuszoność tę porzucił sam już wcześniej, w dramaciku „Klara", w dramatach „Aniela" i „Dymitr i Marja" (udramatyzowana to „Marja" Malczewskiego); już tu widoczne zajęcie się Szekspirem, wzorowanie się na nim (rażące szczególnie w późniejszej nieco „Pięknej Kobiecie", napisanej prozą, o wątku z romansów angielskich); zresztą próby te nie odznaczały się ani żywszą dykcją czy akcją, ani wybitną charakterystyką; wszystko toczyło się równo, spokojnie, umiarkowanie i bardzo sentymentalnie, bo, nierównie więcej niż Szekspir, Schillera „Intryga i Miłość" te sztuki z „Prób Dramatycznych" (1826) natchnęła i zrodziła. Ale „Próby dramatyczne" zrywały z dramatem pseudoklasycznym, wprowadzały po raz pierwszy romantyczny i na tem polega ich znaczenie. Ckliwą była i podniosłość w misterjum o „Mnichu", pokutującym Bolesławie Śmiałym, któremu duch ofiary przynosi przebaczenie — pierwszy to z nieskończonego dotąd szeregu dramatów o Śmiałym.

Czy to jako profesor kijowski, czy jako dyrektor gimnazjum charkowskiego, a potem warszawskiego, nie ustawał w pisywaniu dramatów i komedyj, ze sfer obcych i swojskich, historycznych i spółczesnych. Z długiego szeregu dramatów wyróżnia się „Andrzej Batory", z dziejów siedmiogrodzkich: bohater rwie się do niepodległości, lecz w nierównej walce z przewagą habsburską i niesfornością panów ulega ten, co ma tylko pozory siły — rzecz bardzo rozsądnie i starannie obmyślana i wykonana, lecz chłodna i sztywna. O wiele wyżej stanął dramat, w którym Korzeniowski spłacił niezbędny wówczas dług ludowości, „Karpaccy Górale", arcydzieło jego (z r. 1840), do dziś wysoko cenione w inwentarzu nietylko sceny polskiej, ale jeszcze bardziej małoruskiej. Huculów i Żabie, gdzie się rozegrała (najprawdziwsza) tragedja „Rekruta" Antosia Rewizorczuka, znał autor z wycieczek wakacyjnych; zaciekawił go lud rosły, odważny, tęskniący za górami, do znoszenia wszelkiej krzywdy i płaszczenia się — jak lud na nizinach — wcale nieskłonny; ten najumiarkowańszy z ludzi stanął po stronie uciśnionych, choć się do zbrodni porwali; figury rządowe (mandatarjusza i strzelca Prokopa) przedstawił w świetle najgorszem, jako obłudników, godnych pogardy; wyidealizował Antosia

i Maksyma; odmalował wiernie lud, mowę (również wyidealizowaną — o fonograficzną wierność nikt się wtedy, i słusznie, nie troszczył), zwyczaje, zabawy, pieśni, temperament; szlachetna tendencja, akcja żywa, prawdziwa, zajmująca, charaktery utrzymane dobrze — wszystko złożyło się na całość, której Korzeniowski już nie przewyższył, chociaż i tu „Zbójcom“ Schillera a nawet Ofelji wiele zawdzięczał.

Na ten sam okres czasu przypadają jego najlepsze komedje „Żydzi“ (1843) i „Panna Mężatka“ (1844). W podróżach po prowincji poznał Korzeniowski szlachtę i większą i drobniejszą — powieści miały rychło uwydatnić tę znajomość; z znanych sobie stosunków zaczerpnął treść „Żydów“, tak przezywając panów i panków, frymarczących czcią i wiarą; Żyd prawdziwy, Aron Lewe, ma więcej od nich serca, uczciwości, sumienia, jak się to okazuje w owej pysznej scenie ze Staroświęckim, kiedy mu w imię dawnej przyjaźni i wspomnień o niej coraz po procencie opuszcza (znakomity odpowiednik tej sceny odnaleźć można w starozakonnym z słynnego romansu Reutera); hrabia, łotr wierutny, jego żona, chorująca na francuzomanję, chociaż jej francuszczyzna strasznie nieprawidłowa, jego siostra, stara kokietka — są scharakteryzowane znakomicie; intryga sama nieco banalna; obok uwag bardzo trafnych są i morały czy aforyzmy wątpliwej wartości.

Wyżej, jako całość, stoi „Panna Mężatka“ — Cecylja, udająca mężatkę, aby w Fabjuszu Kunktatorze, szczerym, ale nieśmiałym, wiecznie niezdecydowanym wielbicielu jej powabów i umysłu obudzić żal i wyprowadzić go z rezerwy, co się znakomicie udaje, chociaż dla salwowania przewagi męskiej i Adolf podobną intrygą jej odpłaca. Nie jest to już molierowska czy fredrowska komedja typów, lecz komedja charakterów; osoby jej nie uosabiają jakiejś wady, nałogu, to nie ich wykładniki, skupiające wszelkie rysy podobnych indywiduów, lecz indywidua same; to ludzie, nie „skąpcy“, „obłudnicy“, „tchórze“ czy „fircyki“ — a do tej zalety dołączała się znakomicie zbudowana akcja, dialog żywy, humor prawdziwy; więc nie dziw, że nazwano ją „jedyną i pierwszą na scenie polskiej dotąd przedstawioną komedją“.

Przy teatrze jednak Korzeniowski nie wytrwał; i dyrekcja i krytyka nie były łaskawe na autora z dalekiej prowincji, i coraz jaśniejsze przekonanie, że beletrystyka przyszłości utonie w powieści, sprowadzały autora do powieści i romansów, szcze-

gólniej w ostatniem dziesięcioleciu jego pracy literackiej. Sukcesów tak trwałych, jak owych trzech sztuk już nie odnosił, ale powodzenie chwilowe nieraz jeszcze dopisywało świetnie, czy to gdy odtwarzał sceny z życia rzemieślniczego, czy gdy zdobywał się na farse i wodewile (chociaż lekkiego dowcipu nie posiadał wcale), czy gdy wreszcie, idąc za nałogiem czasu, w roku 1852 dopuścił się jednostronnej idealizacji karmazynowej przeszłości („Wąsy i peruka," gdzie tylko kilka scen, np. z Corticellim, dobrych); poruszał on i hasła postępowe, nowoczesne, ale z o wiele większym sukcesem czynił to w romansach.

W dramacie społecznym próbowali sił i inni; nikt jednak nie dorównał Korzeniowskiemu, ani Karol Drzewiecki, Krzemieńczanin, w dramatach i komedjach z życia szlacheckiego („Kontrakty", wołyńskie i inne, wcale niewytworne, raczej naiwne nieco, ale prawdziwe — wydane jednak dopiero po śmierci autora przez Kraszewskiego, który wydał i pamiętniki ojca, szefa); ani Jan Chęciński, mimo gromkich oklasków, jakie osiągnęły jego tyrady w „Szlachectwie duszy" w roku 1859, które się zetknęło z również wierszowaną komedją Korzeniowskiego, „Majątek albo imię", gdzie panna Aniela, wahająca się między jednym a drugiem, wybiera, za pociągiem serca, nie bogacza ani arystokratę, lecz ubogiego artystę — jedno z lepszych dzieł Korzeniowskiego zarówno dla kilku sytuacyj i charakterów, jak i dla dowcipnego słowa.

Chęciński, autor, piszący i dla sceny, i pieśni, i gawędy, wybrał temat nieco spokrewniony, bronił z nadzwyczajną wymową przeciw uroszczeniom rodu czy pieniędzy zasług osobistych; orał jednak cudzym wołem (Komedją Swibojedowa), lecz się tego wypierał; pisał potem wiele, lecz galerje aplauzów już nie biły, i zemścił się zato na recenzentach w komedji „Krytycy".

W teatrze krakowskim miał wielkie powodzenie sztuczkami ludowemi Władysław Ludwik Anczyc; „Łobzowian", „Flisaków", dwie sztuki tendencyjne, dzielił przeciąg czasu niemal lat trzydziestu. Na zniesienie pańszczyzny w Galicji napisał „Chłopów-arystokratów" (1849), przedrzeźniając fumy pańskie i bezradność wiekową w nagle uwolnionych i uwłaszczonych, obchodzących się bez dworu, jego rady i pomocy; śpiewki tej krotochwili stały się bardzo popularne. Już nie krotochwilę, lecz dramat osnuł na niepokojącem zjawisku, t. j. na „Emigracji chłopskiej" (1876), wykazując jej matactwa i sprężyny; i Anczyc jednak głębiej nie sięgał i ludowość jego była powierzchowna.

Dramat historyczny kusił coraz bardziej; Mickiewicz sam dramaty czy pierwsze ich rzuty palił; Odyńcowi czynili to inni, lecz ten los, który spotkał w roku 1849 „Felicytę“, należał się i „Izorze“, wziętej z misterjów zamków średniowiecznych, angielskich, nie polskich. „Felicyta“ z czasów prześladowań chrześcijaństwa uczyła zbyt wyraźnie pokory i rezygnacji i podrażniła studentów dorpackich; na moralne autodafe naraził się Odyniec wraz z innymi Wileńczykami w roku 1859. Nie powiodło się mu wtedy nietylko proroctwo o bliskiem nadejściu królestwa bożego, ale również i wielkie poema dramatyczne w sześciu aktach z prologiem i obszernemi dopiskami, „Barbara Radziwiłłówna czyli początek panowania Zygmunta Augusta“; wyidealizował bohaterkę, podsuwając jej to, o czem tylko Jadwiga marzyć była zdolna; wyszydził anarchję religijną i polityczną; z chronologją obchodził się byle jak; zato wprowadził mnóstwo osób — niby w powieści dialogowanej — i dramatu nie stworzył, ani w „Barbarze“, ani w „Jerzym Lubomirskim czyli wojnie domowej w Polsce“; lepszy z niego tłumacz Byrona i Moore'a. Jako sędziwy starzec przysłużył się rzeczywiście literaturze „Listami z podróży“ i „Wspomnieniami z przeszłości“: jako towarzysz Mickiewicza prowadził dziennik podróży po Niemczech (Wejmar) i Włoszech i z niego, sztukując pamięcią, nieraz zawodną, urobił owe listy, w których zarysowuje się jasno i znacząco szlachetna postać wieszcza — zbliżył go do nas Odyniec i jeszcze więcej nauczył cenić.

Od długiego zawodu literackiego Odyńca odbija zawód krótki, jak meteor, Dominika Magnuszewskiego, Warszawianina, który wystawiał przed rokiem 1831 komedyjki w Teatrze Rozmaitości, potem osiadł w Galicji; stawiano go na czele czerwono-ruskich poetów. Liryki jego tchnęły najpospolitszą romantycznością; w dramatach naśladował Wiktora Hugo, „Hernaniego“ zaczął sam tłumaczyć. Spuścizna jego nie jest bogata; najbardziej znano go z „Niewiasty polskiej w trzech wiekach“ (1843); są to dwie powieści i jeden dramat. W dramacie „Barbara Radziwiłłówna, jeszcze Gasztołdowa żona“ występuje po kobiecie-płci z części pierwszej, noszącej tytuł „Krwawy Chrzest“, a rozgrywającej się za czasów Śmiałego, kobieta-dusza, pobożna, czuła, lękliwa Barbara, którą Bona chciała syna tylko zająć, aby sama tem swobodniej panować, ani przypuszczając, że silna namiętność pochłonie króla. W trzeciej powiastce, „Posiedzenie Baciarellego, malarza“, pokazał autor kobietę wyemancypowaną, zagarniającą

w swe ręce i króla i kraj; walkę dwu kobiet, Grabowskiej i Lulli, o wpływy nad Stanisławem Augustem wystawił zręcznie a żywo.

Pisywał i inne dramaty historyczne, nie skąpił najdrastyczniejszych efektów, tylko psychologja głównych postaci, chromała najokropniej. Mniej pospolity pomysł przeprowadził w „Dramacie w naturze“ (w r. 1844; już w następnym umarł): w trzech obrazach, poranku, południa i wieczora, występują rośliny, motyle, ptaki, żywioły i prawią ogólniki i tkliwości, symbole i podania; Magnuszewski nie był jednak dosyć poetą, aby podobny temat z wdziękiem opracować.

W dramacie historycznym próbowali sił najrozmaitsi; między innymi i wytrawny filolog, zaprawiający świeżo na przekładzie „Elektry“ własne pióro — **Antoni Małecki**. Przeniósłszy się z Poznańskiego do Galicji, profesor krakowski, później lwowski, napisał niemal równocześnie tragedję „List Żelazny“, i komedję „Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem“, (1855); jedna z czasów Kazimierzowskich, druga wykrojona z Pamiętników Paska i jego niefortunnej żeniaczki, komedja historyczna, jak „Wąsy i Peruka,“ jak sztuki Kraszewskiego i Bełcikowskiego. Odznaczały się staranną dykcją, dobrze obmyślane, lecz nerw ich dramatyczny słaby, chociaż konflikt „Listu Żelaznego“ nadzwyczaj efektowny, wdzięczny dla deklamacji patetycznych, Ciechanowiecki, wojewoda, w przeddzień ślubu dowiaduje się, że nie jest szlachcicem, że jest zamienionym synem wieśniaczki, traci więc prawa ludzkie i obraca się w nicość; dla miłości Heleny i ambicji własnej nie waha się wydać matki na śmierć; ponurą tragedję kończy piorun, jak w „Balladynie“. Od rozwlekłego wiersza „Listu Żelaznego“ odbija „Grochowy Wieniec“, prozą, swobodniejszy; podobał się bardzo i słusznie się na scenie utrzymał.

Od starannego wykończenia tych dramatów, od ich języka, archaizującego szczęśliwie, od wiernego oddania ducha czasu i szczegółów — odskakują tem fatalniej próby rozmaitych niezdar, udramatyzowania najświeższych wypadków, rzucane na papier byle jak, pisane namiętnie, anonimowe, przypisywane to Słowackiemu (!), to Siemieńskiemu, np. „Dwa akty“ (Szymon Konarski, poema dramatyczne, obraz I, śmierć ks. Trynkowskiego, 1845); inne niedrukowane, podzielone na „Widoki i sceny“ (w Petersburgu, Rzymie i t. d.): podłe rymy, dobre chęci, brak sztuki — podobne ciągną się aż do naszych dni (Szymon Konarski, 1883, i inne).

Nie brakło też dramatu fantastycznego, poezja mesjaniczna emigracji wywoływała oddźwięk w kraju; najsilniejszy w „Jordanie“ Antoniego Sowy (Edwarda Żeligowskiego), w Wilnie w roku 1846 dwukrotnie wydanym. Na fakturę oddziałały i „Nieboska“ i „Kordjan“ i Byron: i tu są sceny życiowe, ironiczne i sarkastyczne; w „Salonie Marszałka Ćwika“, w „Obywatelskiem posiedzeniu“, w „Deklamatorze“ piorunuje młody, gorący autor na cynizm, gnuśność, najobrzydliwszy materjalizm spółczesnych wyzyskiwaczów cudzej pracy, cudzych darmochów i danin, truchlejących na samą myśl uwłaszczenia włościan — bo, gdy chłop własnością tylko być przestanie, cóż się wtenczas z całą szlachtą stanie? Rozpajają chłopa, bo inaczej na wódkę nie będzie odbytu; wszyscy ci Nowofraccy, Nowoherbscy, Zbutwieńscy, „bogom ambrozją gotują w browarach, a smołę djabłom pędzą z swego lasu“; wszyscy to prawi ludzie, bo są przeciw chłopom, za browarami, choć, niestety, „dziś z prawością nieraz kryć się trzeba.“ Między nimi wyróżnia się poeta Prot; owa ambrozja i smoła nie zalały w nim do szczętu iskierek uczucia; budzi się z tego zgniłego letargu do czynu, na usługę kraju i braci, łącząc się z pracującą w Pieczarach młodzieżą. Właściwy bohater, idealista Jordan, nie wprzęga się do roboty spiskowej; wymaga samoudoskonalenia, uduchowienia każdego pracownika, jeżeli czyn nie ma pozostać marnym gliny zlepkiem; owocować może tylko czyn z ducha.

Tak przygotowany miał Jordan przystąpić do czynu; czyn ten w owych czasach musiał się objawiać w przeobrażeniu opłakanych stosunków wiejskich; drugiej części, w której miała być o tem mowa, Żeligowski nie wydał.

Poezję Jordana i Zorskiego rozmienił natomiast na prozę powieści „Dziś i wczoraj“ (1858); potępiał tu bezowocne marzycielstwo, próżne uniesienia przeciw twardej rzeczywistości, mesjanizm sam nawet, czyli uważanie siebie za naród wybrany, zato wydobywał prawo moralnej grawitacji, poczucie i pokochanie *obowiązku*, ożywiającego tych, których rani, bóstwa dusz silnych, zbawcy dusz słabych, gwiazdy polarnej duszy ludzkiej: ktokolwiek cię wyznaje, bogactwo staje się temu zobowiązaniem, ubóstwo nauką, władza trudem, wolność wędzidłem — cała późniejsza poezja i prasa postępowa warszawska nie wyśpiewały wymowniejszego hymnu pracy i obowiązku. W myśl tych zasad pracuje bohater powieści nad sobą, nie upada w zawodach, materjalnych i miłosnych, i, gdy się nakoniec dobija znaczenia i ma-

jątku, autor w ostatnim rozdziale, z bolesną ironją „Bajkami“ zatytułowanym, opisuje jego pracę około podniesienia ludu, literatury, sił fachowych a praktycznych — jego „pracę organiczną“, „niech każdy niesie swoje ziarno i głos, czy to jako mrówka lub pszczoła, czy jako gęś Kapitolu — kto kocha kraj swój całą myślą i sercem, staje się, jakby jego duchowym królem“. Zaznacza przytem wyraźnie sympatje słowiańskie. Poetą nie był, język ma twardy, niewolny od obcych naleciałości, szczególniej w późniejszych dziełach; pomysły niepoetyckie, nieraz sztuczne, ale wymowny idealista i gorący zwolennik ludu zwraca się pierwszy na nowe tory.

Nierównie większe tryumfy, niż dramat, święciła powieść; właściwą zasługę tej epoki stanowią dzieła, Kraszewskiego i Korzeniowskiego, Rzewuskiego i Kaczkowskiego. **Józef Ignacy Kraszewski** dopiero pod koniec tej epoki, po roku 1860, stanął niezaprzeczenie na czele całej literatury, w kraju i zagranicą. I on, jak Korzeniowski, długo i usilnie trudził się na różnych polach, nim się dobił uznania; w wieloletniej pracy literackiej, czuły na prądy i tendencje wieku, do nich się przystosowywał i wraz z niemi nieraz zmieniał barwę, co mu bynajmniej ujmy nie przynosi, skoro czynił to w najlepszej wierze: dążył zawsze ku postępowi, a że po różnych torach, cóż z tego? Zawodził często oczekiwania, to młodych postępowców, to zacietrzewiałych wstecznników, ultramontanów i liberałów, arystokratów i demagogów, czerwonych i białych naprzemian: gdy się zdawało, że partja czy tendencja usidliły go na zawsze, on właśnie zrywał się do nowego, swobodnego wzlotu.

Sarkano więc na jego odstępstwa we wszystkich obozach pokolei; sam do żadnego się nie poczuwał; płynął przecież zawsze z prądem i czasem, nie było jego winy w tem, że gdy jedni na jakim cyplu utkwili, jego prąd rychło dalej ponosił Czas i doświadczenie leczyły z uprzedzeń czy urojeń, godziły z przeciwieństwami; że zaś każda faza myślowa odbijała się u niego natychmiast w dziełach i szkicach, można go było z łatwością z własnych dzieł pomawiać o wszelkie skrajności: o domatorstwo, o apoteozę pańszczyzny i patrjarchalności, o krucjatę w imię wiary, o wycieczki przeciw zgniłemu Zachodowi; ale również wykroić można z jego dzieł apoteozę spisków, przewrotu radykalnego, zerwania z rutyną, wyrzeczenia się przesądów kastowych i wyznaniowych. Każde stronnictwo może wojować hasłami i dziełami Kraszewskiego; sam nie należy wyłącznie do żadnego.

Obok tej proteuszowej natury, u naszych pisarzów wcale nieczęstej, chociaż leży w naszej przyrodzonej bierności, poddającej się łatwo wszelkim wpływom i właśnie dlatego niepewnej, nieobliczalnej, cechowała Kraszewskiego nadzwyczajna, fenomenalna ruchliwość umysłowa. Umysł oddziaływał na byle jaki impuls; ze wszystkiego zdawał sobie sprawę, obserwował, porównywał, wnioskował, może zbyt pośpiesznie, porywczo; narażał się ciągle na omyłki, poprawki, bo światła, czy idei, którą zdobył, czy mniemał, że zdobył, nie chował pod korcem, ale natychmiast stawiał na świeczniku; nadzwyczajna łatwość wysłowienia, pióro wcześnie wyrobione, fantazja twórcza nadzwyczaj bogata, chociaż wcale niegłęboka, zamiłowanie do pracy nieprzeparte, nałóg pisania, olbrzymia masa spostrzeżeń, uwag, faktów, które wyładowywać musiał — złożyły się w ciągu niemal sześćdziesięcioletniej pracy na sporą bibljotekę, stworzoną piórem jednego, rychło schorzałego człowieka; rozmiarami, płodnością tej pracy nie dorównał Kraszewskiemu, tytanowi pracy umysłowej żaden pisarz nietylko polski, ale i słowiański, trzebaby sięgać w dalekie kraje i czasy, żeby kogoś podobnego odnaleźć.

Wołyniak, urodzony w Warszawie, a w Wilnie nauki kończący, czas jakiś chciał koniecznie za Litwina uchodzić, i dziś jeszcze można u naiwnych partykularystów litewskich z dzikim przesądem się spotkać, jakoby Polacy Litwinom Kraszewskiego (i Mickiewicza) zabrali, czy zawdzięczali! Szlachcic dał się poznać w literaturze opowiadaniami z życia burżuazji i małego miasteczka; nawet w początkach swych, gdy sięgał do powieści historycznej, tumulty miejskie, wyznaniowe pociągały pesymistę. Domowe wpływy zacisznego, staroszlacheckiego, patrjarchalnego, głęboko religijnego trybu i wychowania zacierało Wilno ludne i gwarne, wolnomyślne, egzaltowane; przewrót przyśpieszała lektura; poddawał się jako młodzieniec realizmowi Stendhala i Balzaka, gwałtowności Wiktora Hugo, fantastyce Hoffmanna, sentymentalizmowi Jean Paula, swawoli Paul de Kocka.

Przymusowy dłuższy pobyt w Wilnie w roku 1831 wtrącił mu pióro do ręki, nie mogącej się narazie jąć niczego innego, i posypały się szkice i obrazy Donżuanerji wileńskiej, knajpiarstwa, orgij małomiasteczkowych w „Panu Walerym“ (z roku 1830, pierwszej ogłoszonej powieści, gdzie w przedmowie i z klasyków i z romantyków szydził); w „Wielkim świecie małego miasteczka“, w „Panu Karolu“, w „Kościele Świętomichalskim w Wilnie“ (kłótnie

wyznaniowe z roku 1640). Już wtedy pociągała go silnie historja, archeologja, bibljografja nawet; zajmowały pomniki dawnego piśmiennictwa; z studjów tych urosły później cztery tomy „Historji Wilna“, dwa tomy „Litwy“, o ludzie i dziejach jego.

Nakoniec wyjechał na wieś i przez lat kilkanaście jej nie opuszczał; tu się ożenił i gospodarował, chociaż gospodarka niezbyt się wiodła, ani w Gródku, ani w Hubinie; czego pługiem nie wyorał, Pegaz dostarczał. Pierwsze wrażenia pobytu wiejskiego, otoczenia szlacheckiego, ludzi, żyjących brzuchem tylko, podniecały żyłkę satyryczną; obrazki wiejskie były jeszcze jaskrawsze, niż owe miejskie; „Cztery wesela“, „Improwizacje dla moich przyjaciół“, przedstawiały w całej nagości brak serca i głowy u świeckich i duchownych, karykaturowały te sumienia i mózgi.

Młody pisarz pozował na satyryka, nietylko w tych powieściach, ale i w licznych artykułach, umieszczanych w „Tygodniku Petersburskim“, które zbliżyły go z Przecławskim, a wkońcu do Pentarchji wciągnęły. Artykuły owe literackie i społeczne odznaczały się młodzieńczą ciętością, bo autor rąbał wszystko niemiłosiernie; w jednym, z roku 1837, „Jak się robią książki nowe ze starych książek, rzecz o kradzieży literackiej“, odmawiał literaturze oryginalności, posądzał ją w czambuł o plagjat; w drugim, „Asmodeusz“, potępiał postęp i jego mniemane zdobycze ku największemu zadowoleniu redaktora a zgrozie młodzieży kijowskiej.

Nie tej satyrze i ironji jednak zawdzięczał Kraszewski pierwsze istotne powodzenie; zawojował serca powieścią „Poeta i świat“, hołdującą romantycznym przekonaniom o wzniosłej roli sztuki i losie wieszcza, twardym a niewdzięcznym, (1839). Temat ten sam miał Kraszewski nieraz jeszcze i głębiej i lepiej przedstawić, lecz większego wrażenia już nie wywołał, gdyż właśnie wtedy Gustaw jego, w pogoni za ideałem nieznajdujący w świecie — głównie naturalnie w miłości — zaspokojenia, był na czasie, jako obraz aktualny rozdźwięku między marzeniem a rzeczywistością; wyższy od swego otoczenia, niezrozumiany, osamotniony, zamknięty w sobie, topi zawody i smutek w trunkach; co autor sam odczuł i przebolał, wyraził w Gustawie i porwał spółczujących głębokim liryzmem, wymownem słowem, głęboką ironją.

Już wtedy, roku 1840, zastanawiał rozmach jego pióra. Obok coraz nowych powieści roiło się od jego szkiców („Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne“; „Studja literackie“), pisanych żywo i barwnie, i coraz częstszych wycieczek na pole historji,

dramatu i powieści historycznych; nawet i w wielkiej epopei składał świadectwo głębokiego wrażenia, jakie pseudohistorja litewska i mistyczne uszanowanie podań niby narodowych, samej treści i jądra narodowości, na nim zrobiły. Jego „Anafielas“ (bajeczna góra odrodzenia czy zmartwychwstania) składał się z trzech poematów: z „Witoloraudy“ („płaczu“ po Witolu), „Mindowsa“ i „Witoldowych bojów“; i autor i spółcześni przecenili strasznie tę mozolnie wysmażoną epikę; znaleźli się nawet gorliwi tłumacze, przynajmniej dla „raudy“, na litewskie i niemieckie, chociaż dopiero po latach; Kraszewski sam nie ochłódł w przywiązaniu do tego płodu poronionego i wiele sobie po nim tuszył, jak Syrokomla po „Margierze“. Nas i „rauda“, nie mówiąc o tamtych, pozostawia tem obojętniejszymi, że sam materjał, z którego ulepiono miłostki Mildy i jej syna Witola, prześladowania bóstw, narodziny Lizdejki — dowolnie od mitologów za obcemi, greckiemi i fińskiemi, wzorami sklecono.

Pobyt wiejski podziałał; autor umiarkował się sam i na łonie życia patrjarchalnego ochłódł znacznie w satyrycznym i ironicznym zapale, zato zbliżył się do przyrody i ludu. Poddał się cichemu urokowi ciemnych borów sosnowych z ich tęsknym szumem, gładkich i jasnych szyb jeziornych; tkliwe serce uderzyło dla zgnębionego ludu. Nie zanikł odrazu pierwiastek satyryczny, jeszcze w „Latarni Czarnoksięskiej“ (1843 i 1844) rozwinął olbrzymi obraz ludzi i stanów ze wszystkich dzielnic, chociaż tylko to znakomicie skreślił, na co sam patrzył: kontrakty kijowskie, zabawy i polowania wołyńskie. I on hołdował teraz ludowości, i do największych zasług jego literackich liczymy jego powieści ludowe, między rokiem 1840 a 1850 napisane, od „Historji Sawki“ (1841, wcielonej do „Latarni Czarnoksięskiej“), przez „Ulanę“, „Ostapa Bondarczuka“, „Budnika“, „Jarynę“ aż do „Chaty za wsią“, nieco późniejszej (1853).

Wszystkie te powieści wykonane są nader starannie, szczegółowo, z obszernemi opisami przyrody, odczutej znakomicie; nie biją wprost na poddaństwo i pańszczyznę — były to czasy, kiedy „Chaty wuja Toma“ tłumaczyć nie było wolno, bo paralela nastręczała się sama — ale ubocznie; przedstawiają, od jakich kaprysów zależy dola i niedola włościan. Ulanę, dziką różyczkę panicz zerwał, niby po drodze dla zabawki, rzucił, gdy się sprzykrzyła; że cała rodzina poszła na marne, nikogo o to głowa nie zabolała; przedstawił tu Kraszewski i ciężki los budnika, ni to chłopa, ni wolnego, zawisłego od byle grymasu pańskiego; i los utalentowanego syna chłopskiego, wyniesionego nauką nad sferę

rodzimą, nad którym jednak ciąży klątwa pochodzenia z tej sfery; w „Chacie“ ujął się nawet za parjasami, cyganami, za nieszczęsną, co pokochała cygana i poszła za nim na wzgardę i pośmiewisko całej wsi.

Obok ludowości spłacał dań i filozoficzności wieku; zapoznawał się z systematami, opierał się Heglowi i Trentowskiemu; spoważniał teraz jeszcze bardziej; jak karty ludowych powieści przepełniał rzewny smutek, tak nabrzmiewają nim i karty w „Pod włoskiem niebem“, w „Pamiętnikach nieznajomego“, w „Sfinksie“. Temat w nich niby ten sam, co w powieści „Poeta i świat“, ale pogłębiony i rozszerzony; własne doświadczenia i przejścia malują się w nich wyraźnie. Idealiście i entuzjaście opadają skrzydła w zetknięciu z światem, czekają go same rozczarowania w pogoni za szczęściem osobistem; drogą rozumowania dochodzi do wniosku, że dla uzyskania trwałego szczęścia należy nie zaskorupiać się egoistycznie, lecz poświęcać dla dobra ogółu. Z kart wieje tęsknota, ból ukryty; wiele pięknych uwag; całość zharmonizowana tak dalece, że realistyczne postaci utrzymał w półmroku, na uboczu.

Najbardziej znamiennym był „Sfinks“, dzieje malarza, kończącego, jak malarz Gogola, w klasztorze, rzucającego się w objęcia sztuki chrześcijańskiej, nazareńskiej (Overbecka i jego szkoły), odnajdującego w religijnej twórczości jedyny żywy zdrój natchnienia i namaszczenia zarazem. Kraszewski, sam niezgorszy rysownik i muzyk, wiele rozmyślał nad sztuką; od romantyczności przejął się podziwem dla roli artysty, tytana, pojmującego prawdziwy sens życia, wbrew prozie światowej i takim artystom, którzy dogadzając tłumowi, dochodzą do znaczenia i dostatków, gdy tamci muszą kroczyć po ciernistej drodze; właśnie w „Sfinksie“ (symbolu artysty, którego skrzydła z pęt natury zwierzęcej nie uniosą), przedstawił jaskrawo kontrast między owymi rzemieślnikami sztuki, a prawdziwym artystą, przeczulonym, słabym, cierpiącym głęboko, męczennikiem sztuki i talentu.

Na przełomie owej epoki, około roku 1850, autor odznaczał się silnym nastrojem religijnym, konserwatyzmem coraz bezwzględniejszym. Chociaż nie dla zasad, lecz dla sprzeczek osobistych, rozszedł się wkońcu z koterją „Tygodnika“, wojował z Rzewuskim i nawet księdza Chołoniewskiego do pomocy wzywał, nie oparł się prądom reakcyjnym i wyruszał na własną rękę przeciw postępowcom kijowskim; zwrot ten zaznaczał się w „Dziwadłach“ (1849);

autor porzucał własne demokratyczne poglądy, znajdował, że wieśniacy niedowarzeni, czytający byle co, psują się, że źli panowie dawniej byli tylko wyjątkami. I zwrócił się, zdawało, stanowczo ku uwielbianiu przeszłości z jej niezachwianą wiarą, prostotą obyczajów, patrjarchalnym stosunkiem między panem a włością; odkrywał coraz nowe cnoty słowiańskie, odżegnywał się od zmaterjalizowanego, zżydziałego Zachodu. Wszelkie odstępstwo od toru przodków wydawało się mu teraz grzechem, więc bił na panów i półpanków, którzy małpowali cudzoziemszczyznę i wnosili zarodki zgnilizny, a choćby tylko niepokoju w błogi zastój domowy; w tem prześladowaniu obcego zepsucia i skrzywionej przez to natury dochodził do gryzącej satyry, jak w „Komedjantach", gdzie hrabiowie Denderowie godni stanąć obok owych „Żydów" Korzeniowskiego; już teraz w „Dwóch Światach" formułował te poglądy, które później świetnie rozwinął w „Morituri": o wyczerpaniu się i niechybnej zagładzie tej kasty. Tem bardziej idealizował szlachtę mniejszą; wprawdzie i u niej nie wszystko pochwalał; zganił przesąd, zabraniający imania się łokcia i kwarty, w „Ostatnim z Siekierzyńskich", przeciwstawiał jej zacnego i mądrego mieszczanina w „Złotem jabłku"; nie ukrywał jej zepsucia i sobkostwa w „Interesach familijnych", słabości woli i niezaradności w Szarskim z „Powieści bez tytułu", nowego wcielenia Gustawów i Janów z „Poety" i „Stinksa".

Mimo tych zastrzeżeń wystawiał tę szlachtę jako nadzieję i siłę narodu, już dlatego, że przechowała wiarę, a wiara robi cuda; więc wylicza te cuda w „Kordeckim", piętnuje odstępców od ufnej wiary przodków w „Djable", piorunując na rozpasanie obyczajów za Stanisława Augusta, na reformy Sejmu Wielkiego jako naleciałości cudzoziemskie; wiara, według niego, wywołuje przewrót cudowny w człowieku i stwarza świętych. Idealizował nawet poddaństwo; w sielankach wierszem i prozą w „Wiosce" i „Jermole" opisywał patrjarchalność słowiańską; odnalazł w niej razem z Aksakowem „mir" wielkoruski, kiedy swobodni kmiecie siedzą na ziemi, niedzielonej zagonem ni miedzą, kiedy gromad *wspólnem* jeszcze mieniem bogi rządzą kapłanów i starców skinieniem; kreślił obraz wtargnięcia obcych czynników i rozluźnienie zatem pierwotnej karności; w „Ładowej pieczarze" cały ustrój dawny przedstawił tak samo anielskim, jak ówcześni „republikanci", Lelewel, Szmitt, Wróblewski pojmowali konstytucję staropolską, veto i elekcję, i przeczył, aby można było lepszy ustrój wymyślić, niż ów słowiański; w „Bożej Czeladce" i w „Staropolskiej miłości" wyideali-

zował nawet gracjalistów i rezydentów; tylko na wyidealizowanie ekonomów i bizuna nie starczyło tchu.

Coraz jawniej występował autor z morałami, z tendencją, dostrajając się do ówczesnego, reakcyjnego tonu Pola, Kaczkowskiego, Chodźki i Rzewuskiego; w „Chorobach wieku“ i „Metamorfozach“ oskarżał tendencyjnie ułudną cywilizację materjalizmu i wtórował piosnce slawofilów, Chomiakowa, Aksakowych i innych tegoż autoramentu, o Europy „starości niedołężnej, co się poi i pobudza, aby żyła potrosze, durzy się i szaleje“, niepomny, że sama teorja slawofilstwa urosła z najniedołężniejszych bredzeń starej Europy, że slawofilów nawet na oryginalne głupstwa stać nie było, że i w nie się musieli zapożyczać od zgniłego Zachodu.

Rola Kraszewskiego w tym ruchu — jeśli apoteozę bezruchu tak zwać wolno — była tem wybitniejsza, że wymienione właśnie powieści należą do jego najlepszych, że nigdy nie opisywał dokładniej, nie komponował staranniej, nie przemawiał rzewniej i życzliwiej; i dziś te właśnie powieści czytelnika, obcego samej tendencji, chwytają za serce, wystawiają mu ów dawny świat w dziwnie uroczem świetle, rozmarzają go i unoszą.

Gdy tak Kraszewski wielbił szacowną przeszłość, jej cnoty, szczerość, prostotę, braterstwo, węzły, sprzęgające rodzinę, pana i włościanina, dokonywał się w nim samym przewrót zupełny. Wycofywał się z ortodoksji slawofilskiej; przekonywał się naocznie, w pierwszej podróży po Europie, że mniemana zgnilizna występuje przecież wspaniale, właśnie wobec naszego zacofania i niedołęstwa — jeszcze bardziej zaś oddziałał na niego nowy prąd reform, reformy włościańskiej przedewszystkiem. Zapomniał więc Kraszewski o sławieniu patrjarchalnych związków między dworem a gminą, wrócił do demokratycznych zakusów z przeszłego dziesięciolecia i działał na umysły współbraci nawet zapomocą alegorji, komedji, czy żywego słowa w komisjach. „Historja kołka w płocie“ (1858), bardzo oryginalnie pomyślana, bardzo ładnie wykonana, przedstawiała równolegle wolne wzrastanie dębczaka i Zacharka, chłopka z duszą artystyczną, złamanego poddaństwem, warjata, który z owego dębczaka wkońcu wystrugał poczwarę; „Stare dzieje“ przemawiały ze sceny za zniesieniem poddaństwa, za zbrataniem się stanów; w „Jasełkach“ (1860) Juraś rzucał salony i czuł się dopiero wtedy szczęśliwym, gdy z wieśniakiem siadał gwarzyć na mogiłach, słuchać śpiewu w lesie bożych dzieci — chociaż zarazem karcił ostro komedję chłopomaństwa, nowej formy dawnych nałogów, dawnego

bałagulstwa; w komisjach występował Kraszewski z radykalnemi projektami i rzucił niewdzięczną pracę, gdy natrafił na opór niechętny.

Z komisyj włościańskich przeniósł swą działalność na pole pedagogiczne i umysłowe; jako kurator okręgu żytomierskiego, pośredniczył w wykonywaniu szeroko obmyślanych planów wydawniczych, urządzaniu czytelń i szkółek, lecz, gdy i tu nie wszystko szło po myśli, wycofał się zrażony i przyjął wkońcu chętnie propozycję Kronenberga, aby w Warszawie redagował „Gazetę Codzienną“ („Polską“).

Warszawa nęciła go oddawna nadzwyczajnem rozbudzeniem życia umysłowego i społecznego, ścieraniem się rozmaitych prądów, głuchem wrzeniem podziemnem. Narazie pochłonęła go nowa praca redaktorska; „Gazetę“ postawił wysoko — ilością abonentów przewyższała inne dzienniki. Szerzył w niej Kraszewski te zasady właśnie, przeciw którym niedawno jeszcze występował: o znaczeniu przemysłu dla dobrobytu, oświaty, o równouprawnieniu stanów i wyznań, niezawisłości wiedzy; ideały kontuszowe pogrzebał na zawsze, prawda, że już w r. 1856 przestrzegał przed ich jednostronnością; wołał o samobójstwie, popełnianym przez literaturę, bo „szaleje, kto dla miłości zmarłego zakopuje się z nim w jednym grobie, chybaby sam chciał umrzeć; inna jest opłakiwać na mogile, inna do niej zstępywać“ — nie przeszkadzało mu to zresztą zaczerpnąć wątek najlepszego swego utworu dramatycznego, „Miód kasztelański“ (1860) właśnie z kontuszowej przeszłości.

Jako redaktor nie stanął otwarcie po stronie Wielopolskiego; odstręczała go od niego rosnąca z każdym dniem niepopularność margrabiego, u białych, nieprzyznających się do niego, u czerwonych, potępiających go namiętnie; porwany wirem, skłaniał się coraz bardziej ku skrajnym zapatrywaniom; wydrukował zagranicą „Sprawę Polską“ i opuścił wkońcu redakcję „Gazety“, musiał nawet opuścić Warszawę (1863) i przesiedlił się do Drezna, ani przeczuwając, że już nie wróci.

Pobyt warszawski w tych latach najgorętszych dostarczał bystremu obserwatorowi najrozmaitszego materjału; widział on białych, niedołężnych nietylko do czynu, ale nawet do skutecznego oporu; czerwonych, niezorganizowanych jawnie, tem śmielszych i energiczniejszych, nawiązujących stosunki wszędzie, w kraju i zagranicą, łudzących się doniosłością tych związków i poręczeń; potęgowanie porywającego uczucia i u obojętnych; siłę wzruszenia,

nieliczącego się z rzeczywistością. Nowy ten materjał opracował dopiero w Dreznie.

W tej dobie twórczości romans historyczny Kraszewskiego, acz do niego ciągle wracał, znacząco się nie rozwinął. Najmniej udawały się rzeczy, sięgające zbyt daleko wstecz, w wiek XVI. i XVII.; ciekawsze było to, co zaczerpnął z czasów bliższych, mianowicie Stanisławowskich. Stronę ich obyczajową znał, jak nikt inny, znał rękopisy i wydawał pamiętniki ówczesne, od pierwszych lat życia spotykał się z żywą tradycją. Nie rywalizował jednak z Rzewuskim; nie wskrzeszał ani uwielbiał przeszłości kontuszowej; tłem jego malowideł była „orgja“ warszawska, zepsucie i bziki wielkich panów (hetmana Ogińskiego, Poniatowskich, braci królewskich, Branickiego), rozwydrzenie, żądza używania, zanik moralności u wszystkich. Obrazów historycznych nie roztaczał; „Maleparta“, „Djabeł“ (jedna z najefektowniejszych jego powieści), „Macocha“, skreślone na tle obyczajowem, nie zahaczają wcale o walki wewnętrzne i reformę; posiłkował się nawet całkiem fantastycznemi wymysłami (arjańskie podziemia z ich ofiarami!). Wystawił więc wiek przełomowy jednostronnie, zbyt czarno go odmalował, zrzucał całą winę zbyt pośpiesznie na karb moralnego zepsucia; zato charakteryzował świetnie panów i panie, obłudników i rozpustników, ohydną palestrę (nienawidził jej, jak ekonomów w XIX wieku) i labusiów francuskich; nie udawały się postaci dodatnie, proroków, wieszczących upadek, jednostek, żyjących starym trybem po bożemu, ckliwych i nudnych (szczególniej w wieszczeniach „Staropolskiej miłości“).

Największą zasługą Kraszewskiego było już wtedy nie samo budzenie myśli — i jego myśl kołowała nieraz po bezdrożach — lecz zaszczepienie, rozpowszechnienie książki polskiej. Gdy raz w kole Podolaków hrabia Zamoyski odczytał jego powieść, nie chciano wierzyć, że mogą być tak ciekawe i dowcipne książki polskie; on to nadmierną choćby produkcją, choćby zbyt pośpieszną i przez to w niejednym względzie niedomagającą, wyrobił uznanie dla literatury i jeśli francuszczyzny nie wyrugował, to, dostarczając niemal rok rocznie kilku tomów powieściowych, tworzył niby repertuar powieściowy, zapełniał najdotkliwszą lukę piśmiennictwa.

Nie należy jednak zapominać i o jego spółpracownikach. Najdzielniejszym okazał się zawołany dramaturg: **Józef Korzeniowski.**

Epiki nie zaniedbywał nigdy, jeszcze zamłodu pisywał powieści poetyckie *à la* Byron, potem i do prozy się przerzucał, ale prócz moralizujących powiastek niczego większego nie tworzył, zajęty dramatem. W dramacie spotykały go zawody i utrapienia, zamiast zachęty; uśmiechała się coraz bardziej powieść, gdzie o powodzenie łatwiej; wzrastające jej rozpanoszenie się groziło zalewem ostatecznym każdej poezji, nawet dramatu. I, chociaż zupełnie nie zrywał z sceną, jednak od sukcesów „Spekulanta" (1846), a jeszcze bardziej „Kollokacyj" (1847) coraz częściej stawał w szeregu powieściopisarzów i nawet teoretycznie, przeciw zasadom przestarzałej estetyki, dowodził i bronił racji bytu powieści. Wątku do pierwszych powieści dostarczało życie szlacheckie, które obserwował na Podolu i Ukrainie, potem w Królestwie, w ciągłych podróżach po prowincji jako wizytator szkół, nakoniec życie warszawskie, od sfer bankierskich poprzez urzędnicze, emerytów, czy aplikantów, aż do rzemieślniczego.

Obserwował Korzeniowski bystro i trafnie; opowiadał dobrze, choć nieco rozwlekle; nie skąpił miejsca na opisy, rozmowy, myśli; wstrząsających efektów, jak i natur skomplikowanych unikał, nie bawiąc się w głębszą analizę psychiczną; dowcipu miał poddostatkiem. Trzeźwość jego graniczy niemal z suchością; staranność, czasem aż do drobiazgowości czy pedanterji posunięta — mścił się grzech pierworodny bakałarstwa — rozsądek wielki i głębokie doświadczenie cechowały jego długie powieści. Nie porywał nigdy ani olśniewał czytelnika, zato go prawie zawsze przekonał; wycieczki fantastyczne zupełnie mu się nie udawały, zato nie wykolejał się nigdy — jak nieraz u Kraszewskiego — jego sąd o ludziach i rzeczach. Nie wpadał w ostateczności; jeśli w dramacie i powieści historyczności hołdował i uprzedzeniu o cnotach dawnego wieku, zrobił to przelotnie i na żadne anatema przeciw wiekowi XIX i postępowi się nie zdobył.

W powieści — inaczej, niż w dramacie — uprawiał wyłącznie tematy swojskie; kładł nacisk na wypełnianie obowiązków, liczył zamiary na siły, trzymał się silnie podstaw wiary; wszędzie zachowywał miarę, strzegł się egzaltacji, entuzjazmów, o jakie u nas nietrudno. Wiał więc z jego powieści pewien chłód, odczuwano pewne rezonerstwo; ale to, co dawał, było zdrowe i dobre; nie schlebiał żadnej próżności, ani narodowej, ani artystycznej, tem mniej stanowej. Nie liczył zwolenników między gorętszymi. Za „Krewnych", nie za wykonanie, lecz za tendencje, napadał nań

i Siemieński i Klaczko, oskarżając o sprzeniewierzanie się ideałom, o moralność kuchenną bez ofiary, bez natchnienia, i słuszniej, niż Pol, mógł Korzeniowski się żalić: nie to mi dają, co ja z duszy daję, ale zniewagą stare służby płacą — chociaż jeden i drugi szczegół mógł autora narazić na słuszne zarzuty.

„Spekulant“ przedstawiał w bohaterze, Auguście, jednego z „Żydów“ i jego zdemaskowanie, ale z tym typem balzakowskim połączył panią Podchorążynę jeszcze z czasów ś. p. ks. Krajewskiego i na szyderstwo krytyki (Gabrieli) zasłużył. Więcej skomplikowaną, bogatszą w typy, w rysy szczerze komiczne obfitszą była „Kollokacja“, malująca ambicję, zawiść, życie nad stan i inne wady drobniejszej szlachty, od małych udziałów pnącej się do wysokich progów; prawdziwym bohaterem powieści była nowa postać balzakowska p. Prezesa i jego przeciwniczka, własna córka, mądra a energiczna Kamilla — takie panny u niego nie są rzadkie. Najmniej bawiły „Wędrówki oryginała“ i „Nowe wędrówki oryginała“: tendencja ostatnich, stworzenia typu pana-obywatela, wypełniającego obowiązki wobec społeczeństwa, była bardzo chwalebna, ale Firlej był manekinem, Panem Podstolim naszych czasów, nie zaś człowiekiem. Z artystami i z naturami artystycznymi rozprawiał się w „Wędrówkach“ (muzyk Klarysz) i w „Garbatym“ (malarze), nawołując do pracy wytrwałej, do skromności, do zachowywania granic w sztuce, niesadzenia się na oddanie tego, czego należycie oddać nie można. „Emeryt“ opierał się na znakomitej figurze tytułowej; w „Tadeuszu Bezimiennym“ ujął się za losem nieślubnych dzieci, przynosi mu to zaszczyt, jeśli zważymy, jak pod tym względem było zacofane prawodawstwo nawet u najwykształceńszych narodów, tutaj też rzewnie wspominał Krzemieniec z własnych, najszczęśliwszych lat życia; powieść narażał na szwank z powodu heroiny i jej romansu rosyjskiego.

W najobszerniejszej powieści, „Krewni“, opisał Korzeniowski losy Ignacego i Eugenjusza Zabużskich, synów szlachty dobrej, zrujnowanej majątkowo; jak Siekierzyński handlu, chwyta się Ignacy wkońcu rzemiosła, nie chcąc od niczyjej łaski zależeć, lecz czasy się zmieniły, rozumni krewni nie odwodzą go już od pracy, która go postawi na własne nogi; starszy brat, Eugenjusz, wolał się czepiać klamki pańskiej u bogatych krewnych, aż względy stracił i byłby upadał coraz niżej, gdyby nie zebrał resztek sił moralnych i fizycznych na spełnienie ciężkiej ofiary; wstąpił do wojska rosyjskiego i w rygorze służbowym odzyskał hart

woli i tęgość zdrowia i szacunku się dorobił. Korzeniowski nie lubił dysonansów, więc w powieści wszystko do szczęśliwego końca doprowadzał. Tendencji się wcale nie zapierał; uczył chętnie, jakby i w powieści spełniał służbę zawodową; mimo to szablonów i abstrakcyj (prócz np. Firleja w „Nowych wędrówkach“) nie tworzył, wszystkie postaci występowały wypukle, jasno; fabuły nie gmatwał. Językowa strona jego powieści była wzorowa, odbijała od niedbałości, w której się Kraszewski, zresztą wirtuoz języka, nieraz „zabywał“, nie mówiąc o innych, o Litwinach, kaleczących język (u Syrokomli rażą prowincjalizmy, *wolej* zamiast *raczej* i in.), o poetach, w romantycznej dowolności dobywających z instrumentu językowego wcale nieharmonijne tony.

Jeżeli Korzeniowski hamował się i swoją wstrzemięźliwość posuwał aż do pozornego chłodu czy obojętności, nie wykluczało to bynajmniej głębokiego przejmowania się sprawami ogółu, bolesnego odczuwania wszelkich zawodów; świadczą o nich wymownie twory lat ostatnich. Od roku 1860 nie pisał już dla publiczności; nie przeznaczał dla niej smutnych, pesymistycznych „Trenów Przedgrobowych“ ani „Naszej Prawdy“, poświęconej świeżym wypadkom; „Wspomnień z własnego życia“, w Dreznie zaczętych, nie dokończył. W inną strunę, w ton romantyczno-satyryczny, w ton Don Juana i Beniowskiego, trącał w oktawach „Fortunata“, poetyzując i ironizując własne przejścia życiowe. Jak Kraszewski, zajmował się i on żywo malarstwem i muzyką, stąd uwagi o nich w jego powieściach, szczególniej ze świata artystycznego; o wiele od niego chłodniejszy, trzeźwiejszy, nie dał się porywać żadnym ułudom, sprzeciwiał się z zasady wszelkim uniesieniom niewczesnym i zapędom; stąd narażał się na podejrzenia uwłaczające, jakoby zabawiał go widok naszych błędów, jakoby posuwał się aż do zaprzaństwa czy odstępstwa — dziś o zarzutach tych niesprawiedliwych zapomniano zupełnie; tem wdzięczniej wspominamy rzetelne zasługi dramaturga i powieściopisarza.

Równie pięknej pamięci nie zostawił po sobie inny, narazie przeceniony powieściopisarz, **Henryk** hrabia **Rzewuski**: nie potrzebował on, jak Kraszewski i Korzeniowski, dobijać się długo i mozolnie popularności: pewnego pięknego poranku obudził się jako znakomitość literacka, i nie odrazu nawet prysnął ten czar, chociaż sam autor, ile go stać na to było, starał się najusilniej, aby ułudną swą znakomitość rozwiać i zaprzepaścić; powiodło mu się to wkońcu tak, że gdy pan (na Cudnowie) dopiero umierał, autor (Rzewuski)

dawno już był pogrzebany. Błyskawicowe wzniesienie się i powolniejsze, tem gruntowniejsze opadanie zawdzięczał Rzewuski jednej i tej samej tendencji; pozostał sobie wiernym, czy wtedy, gdy kreślił „Pamiątki Soplicy“, czy kiedy zalecał powrót do barbarzyństwa; publiczność wówczas dopiero odwróciła się od niego, gdy bez obsłonek ujrzała niepoprawnego „Targowiczanina“.

Powodzenie „Pamiątek Imcip. Seweryna Soplicy“ (wydanych w roku 1839, niby bez wiedzy autora, a rzeczywiście z jego poprawkami stylu) było, jeśli nie zasłużone, to konieczne, naturalne. Wiek XVIII nie zostawił po sobie żadnego barwnego obrazu, choćby takiego, jaki Pasek swojemu wystawił; najmniej mógł brak ten zastąpić pedantyczny Kitowicz. Domagał się zaś ten wiek upoetyzowania, uidealizowania cnót, dzielności, animuszu, rzeczywistych i pozornych; swego ładu i nieładu, ruchu i stroju, prędkiego czynu i powolnej myśli, gorącego serca a niedołężnej głowy. Nie wystarczał „Pan Tadeusz“; w nim bowiem świadczyli o sobie już tylko ostatni mohikanie tego życia, same niedobitki przeszłości, tak bujnej, że nawet krytyczniejszy Syrokomla się nią unosił:

Bom widział, że ta przeszłość, choć zmarła, nadgniła,
Jeszcze przy naszym wieku wyglądała butnie,
Jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła.

Najbliżsi epigonowie tej przeszłości, wytężający ostatnie zasoby, aby uchylić czy złagodzić fatalne jej skutki, na jej podziwianie zdobywać się nie mogli, ale w następnej generacji, im podlej było za życia, z tem żywszem czuciem zwracano wzrok tęskny ku tej zamierzchłej krainie.

Na panegirystę przeszłości wykierowały Rzewuskiego i tradycja rodowa (Rzewuscy najdłużej wierzyli w owe arkana, gwarantujące nieład polski) i otoczenie domowe (ojciec, pan kasztelan witebski, mówca i wierszopis dawnego autoramentu, wróg konstytucji trzeciego maja) i wychowanie prywatne, jezuickie, wpajające nienawiść przeciw hasłom, wstrząsającym Europą. Rzewuski z początku ani myślał o literaturze, pędził życie wielkiego pana, poznawał różne typy, ocalałe z pogromu XVIII wieku, wchłaniał w pamięć życiowe anegdoty i rysy obyczajowe i nawykał do tonu gawędziarskiego, staroszlacheckiego, jakim zachwycał Mickiewicza w Rzymie, czego dowodem był sam „Pan Tadeusz“. Już wtedy nalegano na hrabiego, żeby spisywał to, co opowiadał: takie to gawędy złożyły się na „Pamiętniki Soplicy“. Zaczął od mistyfikacji i mistyfikacją („Pamiętnikami Michałowskiego“) swój zawód

zakończył; pierwsze jednak nie nosiły jeszcze wyraźnej tendencji, uchodziły za im naiwniejszy, tem prawdziwszy wyraz całego pokolenia i budziły ogólny, bezkrytyczny zachwyt. Zdawało się, jakby ożyła na nowo owa przeszłość kontuszowa, hałaśliwa, dzielna, patrjarchalna, znająca się na sztuce krzyżowej, nie na djalektyce, gorąca do szabel, jak i do „kochajmy się“, wierząca głęboko a kornie, ceniąca honor i klejnot, ze łbami wygolonemi, krzywemi karabelami, dziwnem opasaniem. W figurach, przesuwanych zręczną ręką autora, poznawał każdy coś z własnych antenatów; byli tam barszczanie, i palił im ks. Marek niezrównaną filipikę, niby ów pater obozowy u Schillera; był tam Panie Kochanku, nowy Bakchus, choć nie z Indji i między tygrysami, zato na beczce Nieświeskiej piwnicy wyjeżdżający, otoczony Albeńczykami, bandą, związaną uczuciami, które całą brać szlachecką miały ogarniać; były zatargi Koroniarzy z Litwinami, Wołodkowicza z sądami, — wszystko pochodziło z krewkości, a jeśli granice przekraczało, karę winną przyjmowało samo na się; z dworków szlacheckich, krużganków klasztornych, arkad trybunalskich, komnat nieświeskich wysypywały się roje huczne, buńczuczne; opowiadały swoim dosadnym, malowniczym językiem, z humorem i werwą, przygody własne i obce, częściej śmieszne, niż tragiczne, a zawsze zajmujące, bo tak odmienne od dzisiejszych.

Zachwycona publiczność nie pytała o odwrotną stronę medalu; nie skrupulizowała, czy owa pobożność nie wyczerpywała się nieraz praktykami zewnętrznemi; czy owa dzielność nie wyszafowywała się na burdy; czy owa równość i wolność okrzyczana nie kryła zawisłości zupełnej od magnata i jego humorów; czy tężyzna fizyczna i umysłowość nieskomplikowana nie były jednoznaczne z strasznem zacofaniem, zupełną nieświadomością o świecie i jego biegu; czy owe złote czasy nie były złotemi tylko dla małej liczby wybranych, a odbijały się tem smutniej na ogóle; tem mniej troszczyła się o rozmaite niedokładności i dowolności w opowiadaniu. Głosy krytyczne milczały — tylko dla siebie zapisywała Hofmanowa, że, jeśli dawna Polska taką była, cóż za dziw, że skonała; pamiętniki rozchwytywano (liczne wydania i tłumaczenia) i naśladowano (nawet Słowacki nie oparł się pokusie).

Cześnik parnawski opowiadał niby tak sobie, od serca, ale Rzewuski sam, oszołomiony powodzeniem, wystąpił niebawem, aby kuć żelazo, póki gorące, aby głosić jawnie i konsekwentnie te myśli, jakim w zarodku hołdował i jego cześnik. W „Mieszaninach

obyczajowych Jarosza Bejły“ (1841 i 1843, które hr. Olizar słuszniej „Pomieszaniem Bejły“ przezwał) prawił publiczności i krytyce (Zielińskiemu) kazania obozowe bez obwijań i zastrzeżeń — odwagi cywilnej posiadał autor aż nazbyt, przeradzała się ona nieraz w chęć drażnienia, wyzywania nawet najspokojniejszych — niby ks. Marek; mówił o rzeczach najrozmaitszych, wyszydzał inteligencję miasta prowincjonalnego na wieczorze literackim, pasibrzuchów i samochwałów, mówił o świeżem bałagulstwie i honorze staropolskim, o literaturze narodowej i „bardach“ polskich, trafnie i dowcipnie (choć nieraz z grubą przesadą, jak właśnie o „bardach“); o roli arystokracji, podobnie jak Krasiński, tylko dochodził do innych wyników, przepowiadając jakiś legitymizm beztreściowy i bezsensowny: skoro rola jej upadła, upadł i naród sam; próżno galwanizować trupa, daremny wszelki ruch, należy się poddać biernie wyrokom losu i skupiać się dla utworzenia potęgi moralnej, opinji publicznej, podniesienia prawdziwej oświaty, jedynie katolickiej, około resztek rodów dawnych. „Mieszaniny“ podziałały niby uderzenie obuchem, oszołomiły publiczność, tak, że nawet nie odzywały się zbyt licznie głosy protestu i oburzenia („Artykuł nadesłany“ ks. Chołoniewskiego, niedawnego przyjaciela Rzewuskiego, teraz antagonisty); inni znowu, cała koterja „Tygodnika Petersburskiego“ z Grabowskim na czele nie mogli się nadziwić mądrości wołyńskiej. Niebawem ukazał się w łamach „Tygodnika“ romans historyczny „Listopad“ i dolał oliwy do ognia.

Romans ten miał, niby Janus, dwa oblicza; jedno, zwrócone do przeszłości, do pierwszych lat Stanisława Augusta, uchodziło za nienaganne, chociaż przeceniono je, jak i inne rzeczy Rzewuskiego: kilkanaście to mniej lub lepiej udanych sylwetek z owych czasów; na dwu braciach (Strawińskich) zobrazował autor kontrast staropolskiej i sfrancuziałej natury sarmackiej; opowiadanie choć luźne (romans miłosny, walka braci o narzeczoną, o akcję historyczną, uwięzienie króla, wcale nie zahacza), ale obszernie skomponowane, wprowadzające najrozmaitsze postaci, od króla, Radziwiłła, dewotki, generała Kunickiego, aż do najpodrzędniejszych, Wazgirda i Skołuby — to wszystko stawiało „Listopad“ nietylko wyżej od luźnych szkiców „Soplicy“, lecz czyniło go najbardziej zajmującym romansem historycznym, opartym o ideę wcale głęboką, o ów kontrast dwu światów, temperamentów, a nawet kodeksów, honorowych i moralnych. Chociaż autor swych umiłowań nie taił, mimo to Wersalczyka, Ludwika Strawińskiego, nie skrzyw-

dził, nawet mimowoli zajął więcej czytelnika układnym Francuzikiem, niż sztywnym i drewnianym Michałem, perłą atawizmu, katechizmu i republikaństwa; zachował więc miarę aż nadto. Nie zachował jej jednak w drugiem obliczu, przedrzeźniającem postęp, myśl filozoficzną, brak legitymizmu: w przypiskach, nieuzasadnionych, niepotrzebnych, rozwijał paradoksy i bronił chińszczyzny. Z powodu tych przypisków wywołał „Listopad“ między młodzieżą ukraińską żywą opozycję, grupującą się w piśmie zbiorowem „Gwiazda“ (petersburska, potem kijowska); stanowili ją Zenon Fisz, Albert Gryf (Marcinkowski), Jakób Jurkiewicz (Dołęga) — szczególniej ci dwaj ostatni zapomocą ironji i argumentów rzeczowych zwalczali paradoksy Rzewuskiego — dostało się i Kraszewskiemu za stronniczą ocenę pisarza francuskiego. Gdy zamknięto „Gwiazdę“, przenieśli walkę do „Pamiętnika naukowo-literackiego“ („nieukowym“ przezwał go Kraszewski, wtedy właśnie w ortodoksji i konserwatyzmie po uszy zagrzęzły) Podbereskiego, lecz i „Pamiętnik“ uległ losowi „Gwiazdy“. Bądź co bądź zaprotestowała młodzież z tych samych „stron“ w imię żywotności narodu i jego literatury, w imię postępu i demokracji przeciw zbyt bezceremonjalnym uroszczeniom arystokratycznym Rzewuskiego i ciasnej prawowierności Hołowińskiego.

Cała ta walka poderwała znacznie popularność Rzewuskiego; w Warszawie i tak się na nią krytyczniej zapatrywano (Zieliński w „Bibljotece Warszawskiej“), niż na prowincji. Nie podniosły znaczenia pisarza późniejsze romanse historyczne, ani „Zamek Krakowski“, ani „Adam Śmigielski“, ani „Rycerz Lizdejko“, ani „Zaporożec“. Im więcej się Rzewuski od czasów, z żywej tradycji znanych, oddalał, tem bardziej słabł jego talent; jeszcze w „Śmigielskim“ ratował go ton gawędziarski, dopasowany do ludzi i czasów; w powieściach z czasów wcześniejszych tracił i tę podporę. Z historją obchodził się z lekceważeniem, w „Adamie Śmigielskim“, np. i ojcu-arjanowi, arcytchórzowi (tak mścił się za deizm arjański) kazał wojować za Sobieskiego, i syna z jednego obozu do przeciwnego przerzucił. Czasów i ludzi bardziej skomplikowanych, Zborowskich wieku XVI, nie umiał doceniać; najlepiej udawały się mu szarże komiczne, pojedynek Adasia z p. referendarzem przed Sobieskim, lub role podrzędne z czasów wojen szwedzkich i z otoczenia Bogusława Radziwiłła. Kompozycja szwankowała stale: Śmigielski, to biografja, nie powieść: o akcję się nie troszczył. Akcji niema i w fantastycznym „Paziu Złoto-

włosym," gdzie wedle starej tradycji wieku XVIII orjentalna powieść była pokrywką satyry spółczesnej; Skotostan romansu to Wołyń, i inne szczegóły, o Bibikowie i t. d., nie mniej przejrzyste.

Powieściopisarza zabił wreszcie publicysta, chociaż i temu, jak tamtemu, szczęście z początku sprzyjało. Urzędnik zaufania przy boku księcia namiestnika, zaczął wydawać „Dziennik Warszawski" w roku 1851; postawił go na stopie europejskiej, zgromadził licznych spółpracowników (nawet niedawnych przeciwników z „Gwiazdy"), pozyskał świetnego feljetonistę (Szymanowskiego), dawał liczne korespondencje, bogate informacje. „Dziennik," podnoszący czasopiśmiennictwo na niebywały poziom, zyskał wielką wziętość i utracił ją, z winy redaktora. Przekonany, że zdobył powagę nadmierną, doszedł redaktor w artykułach „Cywilizacja i religja" do słupów herkulesowych donkiszoterji reakcyjnej; wypowiedział wojnę nowoczesnemu rozumowi, którego z wiarą pogodzić nie można (o co starał się ks. Chołoniewski); nowoczesnej ekonomji politycznej, troszczącej się o bogactwa, potępiane przez chrześcijaństwo; zato apoteozował do wyżyn niedoścignych szlachectwo, o którem w chrześcijaństwie głucho zupełnie, kończył policzkiem: społeczeństwo winno się wyzbyć cywilizacji i rozumu, nowoczesnych, skażonych i nikczemnych, szukać innych przewodników, chociażby miało to opłacić kosztem nauk, kunsztów, przemysłu i powrotem do barbarzyństwa. Śmieszność ta zabiła „Dziennik", chromający odtąd do końca żywota, (1860 r.); na długo przedtem wycofał się autor z publicystyki i powieściopisarstwa.

Smutny ten finał nie przeszkadza oddaniu sprawiedliwości talentowi Rzewuskiego. Słynął z dowcipu nadzwyczaj uszczypliwego, którego próby mamy i w „Mieszaninach"; najlepsze obiegają dotąd w ustnej tradycji; opowiadał świetnie, chociaż epikiem nie był, nad anegdoty i gawędy wznosić się nie potrafił; czy żywił te przekonania, które głosił? — chyba więcej w tem było przekory, niż otwartości czy szczerości; nadto był mądry, żeby nie dostrzegać poczwarnej ich paradoksalności, lecz nadto mało cenił ludzi, żeby się do niej przyznawał: strawią i tak, myślał — lecz nie strawili; paradoksami jednak zabijał głębokie i słuszne uwagi, których nie brak nawet w owym osławionym artykule.

Przez jedno dziesięciolecie stał niby na czele literatury krajowej, a przykład jego działał ożywczo; lecz należy porównać go właśnie z naśladowcami: jak żywo i barwnie odbijają od szarego ich tła, od banalnej ich konwencjonalności, postacie i sytuacje z opo-

wiadań Sodalisa-Barszczanina, — niema się co mylić, pierwszy występ Rzewuskiego był zarazem najudatniejszy; nawet „Listopad“ ową żywością nie dorównał nowelom historycznym Soplicy, najkrótszym a najlepszym, jakie literatura nasza posiada. W tych to nowelach ożył naprawdę — nie cały wiek XVIII, ale przeciętne i znamienne typy jego kontuszowców; z równą siłą nie odtworzył ich nawet i Kraszewski, najlepszy znawca tych czasów, bo brakło mu owej sympatji dla czcicieli szkaplerza i klejnotu, korda i antału, którą Rzewuski od ojca odziedziczył: twierdzili przecież złośliwi, jakoby Rzewuski nie wysnuwał swojej przędzy z niezapomnianego ojcowskiego wątku, lecz że poprostu przepisywał pamiętnik ojca. A przyświecało Rzewuskiemu jeszcze coś innego: nie wskrzeszał on tych postaci tylko dla rozrywki, własnej i publiczności, służyły mu za coś więcej, bo za potwierdzenie na żywych przykładach niezmiennych, wedle jego zdania, prawd moralnych i religijnych; stąd to wrażenie, którego same anegdoty i ilustracje, choćby najbarwniejsze, bez owej idei i tendencji wywołaćby nie mogły.

A wrażenie było wówczas olbrzymie, poddawali się mu ludzie, jak Kraszewski, który dla Soplicy gotów był uściskać i Jarosza Bejłę; najfatalniejszy wpływ wywarł Rzewuski na **Michała Grabowskiego**, który mimo swej trzeźwości i chłodu nie zawahał się przyprząc samego siebie do jego rydwanu i wydzwaniać *urbi et orbi* chwałę Soplicy i Bejły, nawet wtedy jeszcze, gdy dawna wziętość Rzewuskiego ustąpiła już zawziętości przeciwnej. Krytyk, historyk i powieściopisarz Grabowski odpokutował srodze za życia i swój zapał dla Rzewuskiego i niefortunne wystąpienie z ideami ugodowemi; niedawny „dyktator rzeczypospolitej literackiej nad Wisłą, Wilją i Dnieprem... umysł podnioślejszy i głębszy, niż czyj bądź między literatami polskimi“ (słowa B. Zaleskiego), pełen zasług istotnych, wycofał się w pełni sił z życia literackiego, odosobnił w „samotności miejsc i oddali serc i myśli bratnich“. Wychowanek powiatówki bazyljańskiej w Humaniu (wraz z Grozą, Goszczyńskim, Zaleskim) wyniósł z niej, jak tamci, zamiłowanie do stron ojczystych i, gdy po pogromie wrócił do domu, wobec przerażającej apatji starszych, bałagulstwa młodzieży, wegetowania literatury domowej, żyjącej nędznemi przekładami francuskiemi, budził ducha zapomocą krytycznych prac, oceniających „szaloną literaturę“ francuską, pielęgnujących kiełkującą ojczystą, mianowicie „ukraińską“, podkreślających kierunek religijny, katolicki i oby-

watelski. Trzy tomy „Literatury i Krytyki“ w 1839, „Korespondencja literacka“ w 1845, zawierały wiele ocen trafnych, chociaż sympatje osobiste unosiły nieraz sąd krytyczny, a pierwsze wrażenie zbyt pośpiesznie na papier się przelewało; wstręt ku wszelkiej rewolucyjności, ku wszelkim zakusom wolnomyślnym, nieliczącym się ściśle z konserwatyzmem religijnym i społecznym, zakrywały mu zalety literatury francuskiej, a wyolbrzymiały jej braki; ale już w krytykach Grabowskiego ocena dzieł wybiegała całkiem z dawnych formuł, uwzględniała historję, otoczenie, indywidualność autorską, pod wpływem Villemaina i Sainte-Beuve'a.

Ulubieńcem Grabowskiego był Walter Scott; jego przykład, silny pociąg ku historji i tradycji miejscowej, wpływ wreszcie Rzewuskiego popchnęły krytyka ku samoistnemu tworzeniu. Nie dopisywała jednak fantazja: powieści historyczne Grabowskiego, dziś zupełnie zapomniane, i w latach 1838—1852 nie znajdowały licznych czytelników. Uznać należy rzetelną pracę kolekcjonisty, ceniącego każdy szczegół historyczny czy tradycyjny, wszystko, co się w okolicach Tajkur, Hulajpola czy Aleksandrówki pochwycić dało; opisywacza, który najdokładniej odtwarzał koloryt miejscowy, krajobrazy stepowe; ale i „Kolisczyzna i stepy“ (o hajdamakach), i czterotomowe „Tajkury“ (r. 1845, życie szlachcica wołyńskiego za zawieruchy XVII wieku) i „Stannica hulajpolska“, i „Starosta kaniowski“ wywoływały w czytelnikach jedynie nieokreślone wrażenia; archeolog-powieściopisarz sam zabijał wszelką iluzję, upewniając czytelnika, że osoby, choć o nich tak długo opowiadał, nie żyły nigdy w rzeczywistym świecie; od wielkich kompozycyj powracał do mniejszych obrazków, ale i tym brakło kolorytu i ruchu.

Wydawał i pamiętniki obce: Borejki i Micowskiego z życia wołyńskiego, nieciekawe; wydał i „Pana Starostę Zakrzewskiego“, powieść, czy pamiętniki raczej, niby opowiadanie marszałka Ciechońskiego, ale i te nazwaćby można „sklepem gratów, czerwonych butów i żupanów.“ Nie wiodło się więc „Tarszy“; lepiej zasłużył się jako historyk, wydając wraz z Przeździeckim i Malinowskim „Źródła do dziejów polskich“ (t. I, 1843), szczególniej zaś „Ukrainę dawną i teraźniejszą“ (1850, o najdawniejszych zabytkach prowincji, wykopaliskach). Najwyżej stanął, obok działalności na polu krytyki, jako polityk; oceniał trafnie sytuacje, przewidywał daleko, ale umiarkowany głos jego głuchł w namiętnym

gwarze chłopomanów i radykałów, zaprzepaszczających sprawę narodową, w której obronie on stawał:

na mnie szemrały głupich podejrzeń wyrazy,
z potwarzy rosła dla mnie obojętność głucha...,
przyszłość, teraz zakryta, komuś z nas dank przyzna,
lecz na wygranej jeden przed drugim nie zyska.

Nie wzniósł się jako powieściopisarz i zacny ks. Stanisław Chołoniewski, były żołnierz i dyplomata, czerpiący z szlacheckich tradycyj o sodalisach czy o księdzu Marku — te rzeczy ukazywały się dopiero po jego rychłej śmierci; za życia w „Śnie w Podhorcach", widzeniu, przestrzegał przed pomiataniem etyki w imię poezji i namiętności; w innych rozmowach i listach szerzył mądre uwagi, uzupełniając czynność kaznodziejską (kazania wydał po wielu latach ks. Badeni) i obywatelską, nie krępując, jak Rzewuski i Hołowiński, rozumu, dozwalając i jemu przystępu do świątyni Pańskiej. Ani Grabowski, ani Chołoniewski tradycyj ukraińskich, ludowych czy szlacheckich (tylko te znał Chołoniewski z własnego otoczenia) wskrzesić nie potrafili; litewskie zaś odżyły nietylko u Rzewuskiego.

Obok „Pamiątek Soplicy" stanęły godniej tylko „Obrazy litewskie" **Ignacego Chodźki** (w pięciu serjach, 1840—1850) i „Podania litewskie" (cztery serje, 1852—1860). Chodźko, z rodziny występującej w literaturze ówczesnej wielokrotnie, przechodził koleje umysłowe podobne nieco do rozwoju Grabowskiego; i on nie wystąpił odrazu jako apologeta atawizmu, bogobojności i trybu przodków, nie przeklinał zawsze „wieku oświeconego z filozofją z piekła rodem, bezbożnego niedowiarka, co oniemił ziemię dla Boga", lecz sam był niegdyś i wolnomularzem i Szubrawcem i w duchu „oświeconego wieku" pisywał powiastki, a przed romantycznością uciekał. Dopiero w późniejszych, szczęśliwych latach spokojnego życia familijnego na wsi odżyły wspomnienia dziecięce, z dworków obu dziadków, Widmonta i Chodźki, niegdyś wyniesione, opowiadania zasłyszane o świetności Nieświeskiej, o Radziwille, Wołodkiowiczu, Łopacińskim. Odtwarzając te wspomnienia, lubował się autor w roztaczaniu samych pogodnych obrazów, w szczegółowem opisywaniu miejsc i ludzi, domów i sprzętów, dworów i dworków; myśl krytyczną odganiał, oko miał tylko dla pozorów barwnych, dla ładu rodzinnego, nie pytając, co się w kraju działo; istniały dla niego tylko starożytności prywatne ukochanej Litwy szlacheckiej. Publiczność zachwycała się prostem, rzewnem, malowniczem oddaniem „Domku

mojego dziadka", czy „Brzegów Wilji", czy szkoły Boruńskiej i jej bazyljanów, czy Napoleona w Wilnie, czy „Pamiętników kwestarza", czy „Dworków na Antokolu"; i jemu, jak Rzewuskiemu, rzecz udawała się tem mniej, w im głębszą przeszłość sięgał i o im większe rozmiary się kusił (np. w „Żegocie z Malinowa Malinowskim"), dlatego „Podania" nie miały już tego uroku, co „Powieści".

Chodźko nie przedstawiał jaskrawych obrazów, jak Rzewuski; przeważała u niego tkliwa tęsknota; zapatrzony w świat przeszłości, widział go ozłocony słońcem zachodzącem i czytelnikowi udzielał błogiego uczucia spokoju, jakby świat ten nie był bez jutra, jakby znowu miały się toczyć jego dni równe, pogodne, jasne.

Do tych przedstawicieli dawnej kultury na jej straconych posterunkach, świadczących najwymowniej o potężnem jej rozszerzeniu i żywotności, napozór niewzruszonej, przybył inny *laudator temporis acti*, główny przedstawiciel powieści historycznej, wysnutej z tradycji, między rokiem 1850 a 1860, gdy gwiazdy Rzewuskiego, Grabowskiego, Chodźki schodziły już z zenitu, **Zygmunt Kaczkowski**. Jak u Chodźki, wypłynęły i u niego wspomnienia dziecięce, zasłyszane od babki, pamiętającej doskonale Barszczan, od innych „starych bajarzy z nieznanym już dzisiaj darem obrazowej wymowy", dopiero później; narazie przygłuszał je ruch polityczny, rewolucyjny, w którym młodziutki Kaczkowski brał udział. Ochłonął z niego na zawsze, otrzeźwiał; pod wpływem strasznego rozczarowania przerzucał się nawet początkowo świeży radykał w drugą krańcowość.

Wykształcony, zdolny, czuł oddawna żywy pociąg do literatury i, gdy droga do każdej innej roboty zamkniętą się zdawała (do gospodarstwa brakło powołania i zdrowia), chwycił się powieści po rozmaitych próbkach wierszem i prozą, beletrystycznych i publicystycznych, na których rękę zaprawił.

Otwierały się przed nim dwie drogi: miłość tradycji, wyniesiona z otoczenia sanockiego, podsycana studjami historycznemi, którym się w Osolineum gorliwie oddawał, nęciła go przykładem i wzorem Pola, Rzewuskiego, Chodźki; powieść spółczesna nadawała się do krzewienia nowych, dojrzalszych idei. Kaczkowski puścił się, niemal równocześnie, oboma torami, lecz tylko powieścią historyczną zaskarbił sobie trwałe względy czytelników — i dziś drukują jego powieści Nieczujowskie — o spółczesnych zapomniano rychło; nawet inne powieści historyczne, nie z cyklu Nieczujowskiego, nie znalazły uznania; tylko z owego cyklu bił tem-

perament, wybitna cecha indywidualności, której brak zaszkodził innym jego powieściom.

Do epoki, którą miał opisywać, zabrał się po wszechstronnych studjach; nosił się z myślą napisania historji konfederacji barskiej, zarył się w tym celu w literaturze drukowanej i nierównie bogatszej rękopiśmiennej, napiętrzył całe stosy notat, lecz ani nie stworzył historji, ani nie zdobył się na wydanie surowego materjału; narazie zamierzał „podmalować tło“ tych dziejów, lecz i tu zdało mu się „rzeczą najwdzięczniejszą dla sztuki na tamtoczesne drobniejsze wypadki, charaktery i obyczaje zapatrywać się okiem i sercem tamtoczesnego człowieka, bo dziś tylko on jeden mógł je z całą prostotą brać tak, jak były, i opowiadać z bezwarunkową miłością“ — dla krytyki miejsca nie było. Szereg opowiadań incipana Marcina Nieczui zaczęła „Bitwa o chorążankę“ (1851), epizod z dziejów antagonizmów, dzielących pokrewne ziemie czy dzielnice; spółzawodniczą tu Sanoczanie i Przemyślanie. Walka ta na docinki i wyzwiska, na kielichy i krzyżową sztukę, podjęta w imię zagrożonego materjalnego interesu (panny posażnej), nielicząca się z prawami gościnności, dufna w przewagę liczebną — dla nieco czulszych czytelników mogłaby wydawać się wstrętną, ale ani narator nie skrupulizował w swej „bezwarunkowej miłości“, ani czytelnik nie opierał się naiwnie idącej z duszy apoteozie tego barbarzyństwa. Rzecz, treścią i rozmiarami drobniutka, miała nadzwyczajne powodzenie i, jak z rogu obfitości, posypały się za nią inne „opowiadania Nieczui“.

Nie były one prostą repliką „Pamiątkom Soplicy“, przeniesionych żywcem na grunt sanocki z litewskiego. Samo tło było inne; nie było tu żadnego nieświeskiego słońca, krążącego wśród niezliczonych planet i satelitów; Osoliński Bal czy Mniszek nie mogli się przecież równać z Panie Kochanku, więc szlachta nie była tak zahukana: w przystępie fantazji napadła i na zamek samego wojewody; nie było tej jednostajności litewskiej, ponad strychulec szlachecki wystawały liczne głowy; było tu więcej odmiany, odrębności, poczucia godności osobistej. Na tem tle kreślił Kaczkowski inne konflikty; u Rzewuskiego wysuwały się sprawy publiczne, porwanie króla, u Kaczkowskiego wyłącznie rzeczy potoczne, nawet zabójstwo Wielkiego Kuchmistrza nie przekraczało ram sprawy domowej.

Kompozycja była też o wiele obszerniejsza; nawet drobniejsze opowiadania Nieczui przekraczały znacznie rozmiary Soplicow-

skie. Nie było też wycieczek krzywdzących nowsze czasy i ich postęp; chociaż i Nieczuja lubił moralizować, nie sadził się jednak na żadne paradoksy, nie przeklinał filozofji i rozumu „szalonego“, nie ubóstwiał głupoty. I Nieczuja wprawdzie nie wzniósł się ponad czas, jego nałogi i widzimisię; i on tkwił w atawizmie po uszy, ale autor się z nim nie utożsamiał, miał więc wszelkie prawo nie wybiegać poza widnokrąg przeciętnego szlachcica, patrzeć jego oczami; gdzie, jak w „Annuncjacie“, od siebie opowiadał, wypadał konterfekt Barszczan odmiennie, bez aureoli Nieczujowskiej. Jeżeli Nieczui otwierały się oczy na straszny upadek kraju, moralny i materjalny, winił o to, jak satyrycy XVIII wieku, nie ojców i praojców, ale napływ idei cudzoziemskich, sfrancuziałość obywateli!

Powieści Nieczui były nierównej wartości. Najobszerniejsza i najciekawsza to „Murdelio“, ów typ niezwykły, który Kaczkowski w kilkadziesiąt lat później odtworzył ponownie na innem tle, siłacz fizyczny i moralny, gwałtowny i niepohamowany, nie bez instynktów szlachetnych, zagadkowy nieco, wzbudzający mimowolny przestrach w człowieku przesądnym, pomawiającym go o związki chyba z nieczystym, poświęcający wszystko i wszystkich dla swego widzimisię, wzór owego rozbujałego indywidualizmu, przeradzającego się w proste warcholstwo. Podobny nieco typ „Męża szalonego“ (Kitajgrodzkiego) graniczy już z niepoczytalnością: przerzuca się on z jednej ostateczności w drugą, od mordów i okrucieństw do najgłębszej skruchy czy ekstazy religijnej.

Inny dziwak-ekscentryk przedstawiony jest w „Swatach na Rusi“; tu i w „Gnieździe Nieczujów“ wystawiony jest stosunek szlachty do możnowładztwa, wzajemne uściski i usługi, przerywane wybuchami antagonizmu, łagodzonemi znowu czapką i papką. W „Grobie Nieczujów“ finał tego świata, miejscami wstrząsający i poruszający do głębi, chociaż brak głębszego podkładu myślowego; Nieczuja rozbitek w religji szuka zapomnienia straty i nowej otuchy, modli się i odprawia akty skruchy, a w ostateczności porywa się do szabli; nie przerodził się, nie przystosował się do nowych okoliczności — on i świat jego muszą zginąć.

Obok Nieczujowskich pisał Kaczkowski i inne powieści historyczne, udatne, kiedy była mowa o tych samych czasach i ludziach, np. w „Annuncjacie“, historji o konfederacie barskim, znanym partyzancie Bierzyńskim i jego miłości do Annuncjaty, niezwykłej bohaterki, ukrywającej swoje uczucia, aż wybrany jej okaże się

ich godnym; nieudatne zupełnie, gdy sięgały w czasy dawniejsze, jak ckliwa i nieskończenie długa historja o Ożarowskim, w „Sodalis Marianus“, wzorze wszelkich cnót męskich, religijności i patrjarchalności; refleksje i morały autorskie niszczyły tylko iluzję i przerywały tok opowiadania.

Ten pierwiastek refleksyjny, nieistniejący wcale w opowiadaniach ostatniego z Nieczujów, szkodził powieściom społecznym, pisanym niemal równocześnie, lecz o wiele bezbarwniej i sztywniej, począwszy od „Katona“ (1851), a skończywszy na „Żydowskich“ (1860), i „Rozbitku“ (1861). Powieści te są ciekawe zarówno dla poznania stosunków galicyjskich, jak i dla powolnej modyfikacji zapatrywań autorskich, powtórnego jego linienia. Walkę arystokracji z demokracją w „Dziwożonie“, kontrast Kamila i Edmunda, przedstawicieli typowych obu kierunków, przeprowadził autor w ten sposób, że potępił demokratę, wzniosłego w słowach, niskiego w czynie. W „Wnuczętach“ wystawił miarowe obniżanie się sił żywotnych w trzech pokoleniach: najstarsze najdzielniejsze, mimo przesądów arystokratycznych (Demboroga) i wygórowanej religijności (szefa Niemiry), umie się przynajmniej wyrzec ruchów niewczesnych i jąć się pracy około gospodarstwa; w młodszem przeważają braki, niezaradność i bierność, wydobywają się nawierzch jednostki wręcz niemoralne, szkodliwe; najmłodsze, spółczesne skarłowaciało fizycznie i umysłowo; ludzie nowych haseł (demokrata Drabik) są nikczemni.

Jak wybrnąć z tego zgubnego zastoju i ożywić społeczeństwo, uczy Kaczkowski w „Stachu z Kępy“, w „Bajroniście“ i „Rozbitku“: nawrócony ks. wikary wpływa przez wiarę na ulepszenie stosunku włościan do pana i księdza; nieszlachcic nabiera wszelkich cnót w pożyciu z ludźmi dobrego rodu; w „Rozbitku“ wychodzi autor poza ciasne nieco koło doktryny szlacheckiej i ludowej; bohaterowie jego, Karol i Skiba, wytrzeźwieli po roku 1846, uznali społeczną rolę szlachty i oddają się pracy gospodarczej, po uwłaszczeniu włościan tem bardziej naglącej. Najciekawszą z tych powieści jest „Bajronista“, kruszący laskę nad marzeniem bezowocnem, wyżerającem siły moralne (tu spotykał się autor z sądem Gabryelli); jego Miron żył, jak Słowacki, od młodu w świecie własnym, urojonym i skończył przedwcześnie, zniewidziwszy ludzi, książki i świat; miejsce tego zera zajmie przy boku wdowy, w zrujnowanym majątku, w gronie obywatelskiem, dzielny Stefanek, wynoszący się z chłopskiego stanu. Z marzeniami liczył się i w „Kronice ro-

dzinnej“ o „Żydowskich“, godząc w Ujejskiego, ale zarazem i w zacofańców arystokratycznych, wyłaniając się coraz bardziej jako apostoł cichej, wytrwałej pracy organicznej, jako wróg demagogji i rewolucji, liczący się z rzeczywistością, zrzekający się wszelkich fantasmagoryj. W imię tych zasad wystąpił i jako publicysta, nie zadowalając się dotychczasową swą beletrystyką tendencyjną.

On i Ujejski znaleźli się w przeciwnych obozach. Gdy Ujejski ostatki żaru lirycznego przelewał w listy i przemówienia, Kaczkowskiego publicystyka wykoleiła zupełnie: odpokutował ją nietylko więzieniem, ale nawet opuszczeniem kraju i zawieszeniem wszelkiej czynności literackiej. Dopiero po latach kilkunastu wrócił zarówno do publicystyki, jak i do powieści. Wychodźca dobrowolny zmierzył się z „Teką Stańczyka“ i stronnictwem krakowskiem, konserwatywnem, w „Tece Nieczui, posłaniu Imcip. Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie czytać mogą dla zbudowania i krotochwili“ (1883). Naśladował tu wcale niefortunny pomysł i „Teki Stańczyka“ (niekrępującej się zresztą tym pomysłem) i dawnych „Dialogów umarłych“, każąc p. Nieczui rozmawiać o rzeczach bieżących z cieniami literatów zmarłych; ale braki pomysłu nagrodził wykonaniem, werwą i plastycznością języka o toku prawdziwie staropolskim, nieczujowskim, uszczypliwą satyrą, trafnemi nieraz sądami.

Jako wróg materjalizmu i socjalizmu, wystąpił Kaczkowski już poprzednio, w nowej powieści, „Graf Rak“ (1878). Początek jej obiecywał wiele; zdawało się, że emigrant opisze życie emigracyjne i wpływ jego na człowieka, lecz niebawem zwichnął się tok opowiadania, wyłoniła się najzbędniejsza i najnudniejsza krucjata przeciw naukom przyrodniczym, torującym drogę materjalizmowi, chęć dowiedzenia, że wyniki ich nie przeczą dogmatom, dadzą się z niemi pogodzić, i wszelka ochota do czytania tej powieści do końca ginie w czytelniku jeszcze przed grafem-egoistą, ubóstwiającym żonę i ginącym dla jej wiarołomstwa.

Pod wpływem, jak mówią, powodzenia trylogji Sienkiewiczowej, wrócił do powieści historycznej; jako jej krytyk stawiał żądania zbyt wysokie, jakim Sienkiewicz w jego oczach nie podołał; sam więc o ich wykonanie pokusił się w „Abrahamie Kitaju“ (1886) i w „Olbrachtowych Rycerzach“ (1889). Żądał mianowicie nie oddawania pewnej tylko strony i szczegółów mniej lub więcej barwnych, lecz odtwarzania samej myśli dziejowej, samego ducha czasu. „Abraham Kitaj“ to nowy Murdelio na tle groźnej anarchji,

niedołężnego autorytetu państwowego, za czasów Sobieskiego; uwydatnić nadmierną wybujałość indywidualizmu, rządzenie się owem słynnem od wieków polskiem „widzimisię", fatalne jego skutki dla całości, mimo świetnych pozorów, jakiemi fantazja i energja, buta i siła jednostki rozpasanej łudzić mogą, było zadaniem autora, lecz nie podołał mu artysta.

Lepiej powiodła się druga powieść: i ona doskonałą nie jest, robi wrażenie olbrzymiego płótna akademickiego, z masą szczegółów, wystudjowanych najsumienniej, wykonanych najstaranniej — z całości jednak wieje chłód przeraźliwy; Kaczkowski wciągnął do swej powieści wszystkie stany ówczesnej Polski, od króla i rycerstwa do mieszczan i kupców, dał nawet pieśń miłosną w ówczesnej ortografji, odtworzył niby całą umysłowość epoki, ale ani jednolitego, ani żywego opowiadania nie wysnuł, pomimo niektórych scen świetnych i postaci drugorzędnych bardzo zajmujących — te wypadały u niego, jak u Rzewuskiego, o wiele żywiej, plastyczniej, niż sami bohaterowie, nietylko tym razem, ale już i dawniej.

Zakończył Kaczkowski działalność literacką powieściami spółczesnemi: „Wasi ojcowie" (1892), „Zaklika", „Święta Klara" (1895), cennemi dla tendencji, słabemi w wykonaniu. Ciekawsze były jego przyczynki autobiograficzne, malujące stan umysłowy Galicji przed rokiem 1846; cenne jest studjum literackie, „Słowo o romantyzmie", w którem zerwał z dawnym, ciasnym poglądem, potępiającym zwodnicze pieśni Mickiewicza i szaleństwa Słowackiego, wystawiającym romantyzm jako szkodliwy i zgubny dla narodu: już to my jesteśmy mistrze w zwalaniu win własnych na obce barki!

Kaczkowski przypomina nieco Kraszewskiego; umysł trzeźwiejszy i chłodniejszy chronił go wprawdzie od krańcowości, nie występują one u niego tak wypukło, niemniej jednak istnieją; garnął się do postępu, a obawiał się postępów nauk przyrodniczych, Stańczyków nienawidził. Od powieści historycznej przechodził do spółczesnej, której szkodziły najbardziej zbytni dydaktyzmi, widoczna tendencja; jako talent znacznie mniejszy, oddał jednak niemałe zasługi, właśnie w latach zastoju, nietylko zabawiając czytelnika apoteozą dawnej szlachecczyzny, ale budząc myśl, zbyt jednak ściśle mierzył naukę katechizmem, zbyt wąsko pojmował udział sił nowych w pracy narodowej. Tylko w opowiadaniach Nieczui wyszedł sam z siebie, dał się porwać wyobraźni, przenoszącej go

w czasy, umiłowane sercem; w głębszą analizę psychologiczną nie wdawał się nigdy, nie zadowoli też czytelnika o większych wymaganiach, chociaż rozrzucił wiele mądrych uwag i przeprowadził rozumne tendencje.

Grono tych wybitnych powieściopisarzów, czerpiących i z otaczającego życia i z kontuszowej przeszłości, działających w imię rozmaitych idei, powiększał szereg beletrystów drugorzędnych, dziś zapomnianych, niegdyś wcale poczytnych.

Józef Dzierzkowski kreślił z wielkiem powodzeniem obrazy stosunków galicyjskich, w których wyrósł, przedstawiając ich strony ujemne w barwach jaskrawych i rysach nieraz przesadnych; opisywał głównie szlachtę i hrabiów galicyjskich, nie oszczędzał nikogo; i figury ludowe nie wychodziły jako lepsze. Zepsucie młodzieży, jej miłostki i karciarstwo, demoralizację ogólną, gonienie za groszem i użyciem, łudzenie pozorami, niesumienność, niecofająca się wkońcu przed kryminałem, opiekunów, zdzierających niemiłosiernie swych pupilów, szlachtę, batożącą chłopów, adwokatów, zdradzających swoich klientów, mężów, sprzedających żony, uwodzicieli, świadków fałszywych, intrygantów najnikczemniejszych — oto osoby jego „Kuglarzy“ (1845), „Dla posagu“, „Salonu i ulicy“ (1847), „Szpicruta honorowego“ (1848).

Nie brak tu efektów drastycznych, kopjowanych od Francuzów; dziś napiętnowalibyśmy niejedną z tych powieści mianem „sensacyjnej“ i „melodramatycznej“; wówczas służyły one agitacji demokratycznej, pracy nad otrząśnieniem się z nałogów, budzeniem sumień; autor stawał się satyrykiem-publicystą i w huku roku 1848 przerzucił się całkiem na publicystę jako najgwałtowniejszy rzecznik demokracji w artykułach „Gazety Narodowej“ i osobnych broszurach; namiętny ton dziennikarstwa lwowskiego, jego szkalowania i wyszydzania, obrzucanie przeciwnika ostatniemi wyzwiskami datuje się właśnie od Dzierzkowskiego i jego piorunującej prozy, przebiegającej wszystkie skale od wzniosłości i patetyczności do kpin i obelg najprostszych, do najdotkliwszych szyderstw. Następstwa tego roku, udział w kampanji węgierskiej, wycofały Dzierzkowskiego narazie z literatury; powrócił do powieściopisarstwa po roku 1850, lecz w drugiej fazie swego zawodu sukcesów np. „Salonu i ulicy“ (pierwsze to wielkie powodzenie na lwowskim bruku) nigdy już nie dosięgnął; nie zrzekł się poglądów demokratycznych, pozostał dlatego ulubieńcem młodzieży lwowskiej, ale pisał o wiele oględniej, spokojniej, hołdował nawet

powieści historycznej („Uniwersał hetmański") i poruszał do łez sentymentalizmem „Wieńca cierniowego".

Waleremu Łozińskiemu śmierć nie pozwoliła rozwinąć talentu; strony rodzinne, ich światek drobnoszlachecki, Samborszczyznę, przedstawił w „Szlachcicu chodaczkowym"; opowiadanie to, prócz wiernego koloryty miejscowego, raziło efektownemi scenami; szczególniej obfitowały w nie, dla uciechy wszelkich abonentów wypożyczalni książek, późniejsze powieści, zbójeckie, napoły historyczne: „Czarny Matwij", „Zaklęty dwór", „Szaraczek i Karmazyn" i inne, z sensacjami, niegorszemi od francuskich.

W Warszawie cyganerja, z Dziekońskim, Sierpińskim odgrywała rolę Dzierzkowskiego; Bogusławski i Bogucki,opisywali stosunki specjalnie warszawskie, dawali „dagerotypy warszawskie", „wizerunki społeczeństwa warszawskiego", naśladując w większych powieściach nawet „Żyda Tułacza" i inne powieści francuskie. Największy rozgłos zyskali tu jednak dwaj humoryści, August Wilkoński i Albert Wilczyński. Wilkoński, Wielkopolanin, gdy musiał rzucić ojczyste strony, a na gospodarstwie wiejskiem utrzymać się nie potrafił, przeniósł się do Warszawy i zaczął kreślić odniechcenia anegdoty, szkice, ramoty i ramotki, o wszystkiem, o przygodzie szkolnej własnej (o plagach, odebranych w szkole pruskiej za narodowość Kopernika — tą ramotą zaczął szczęśliwie zawód literacki ten „chirurg filozofji i krzyża naturalnego kawaler" w r. 1840) i innych przygodach ziemiańskiego bytu, nawet o literaturze, o cudzoziemszczyźnie, o czytaniu romansów francuskich, o jarmarku w Łowiczu i jego praktykach, o ożenku dla grosza. Były to powiastki proste, rubaszne, nieprzebierające w wyrażeniach; dyktowało je poczciwe uczucie (złote to było serce — i dla swoich chłopków i dla nauczyciela starego, Królikowskiego, którego przygarnął, a ten do „literatury" go nakłonił) i sąd trafny; humoru wiele nie było, zastępywały go nieraz satyryczne wycieczki (np. o pani „literaturze warszawskiej" i jej siostrach, p. Drzymlik w Krakowie, p. Nygusowicz we Lwowie, p. Szczypalskiej w Wilnie, p. Krzyczkowskiej w Poznaniu, p. Pokutnickiej na emigracji, o jej lokach filozoficznych z cudzych włosów, o jej chusteczce od nosa z nauk przyrodniczych, ale takiej malutkiej), i dla tych wycieczek obawiano się i obmawiano autora, który wkońcu porzucił i „Dzwon literacki i literaturę, i humor stracił na zawsze.

Żywe ujęcie się za włościanami wyróżniało go bardzo korzystnie; istny to chłopoman; w humoresce „Kraszewski w Warszawie“ żalił się, „że prócz Ulany narodowych poswarków nadzwyczaj skąpo — szkoda, bo Ulana jest najpiękniejsza, przedmiot najwięcej żywotny, najwięcej chrześcijański“; protestował przeciw rozpijaniu ich, przeciw pańszczyźnie; walczył przeciw przesądom rodowym: gdy przeciwnik odzywa się, że i glina różna bywa, na cegły, na garnki, na porcelanę, odcina się: z cegieł kościoły budują, w garnkach jeść warzą, a porcelany używają nieraz dla bardzo podrzędnych celów. Tendencja zawsze najuczciwsza, wykonanie bardzo naiwne, słabe, niemal pedantyczne i suche, zawsze powierzchowne.

Nie z satyrą wystąpił autor „Kłopotów starego komedjanta“ tak podpisywał stale Albert Wilczyński nawet i ostatnie swe utwory. Wilczyński, Warszawianin, znał i lubił naczelnika komendy inwalidów w małem miasteczku; opisując jego próżne zabiegi o marsowy wygląd i rygor napoleońskich (nieraz) ekszołnierzy, kreślił obrazy życia na partykularzu, tak mało dotąd w powieściach uwzględniane. O satyrze nie było tu nawet myśli; dobroduszny, jowjalny nastrój panował wyłącznie, czy to wtedy, gdy porywczego wiarusa udobruchała żona, czy wtedy, gdy mu towarzysze figla wypłatali, czy wtedy, gdy córkę-sierotę pułkownika w domu przytulił; opowiadanie czepiało się tych drobnostek cichego życia, dalekiego od głębszych kolizyj, lubowało się w szczegółach pogodnych obrazków, nie wybiegało poza ów światek malutki. Niezwykłość i tematu i sposobu patrzenia nań (chyba u Chodźki nasuwały się podobne obrazy) wywołały wielkie zajęcie, wyrobiły popularność autorowi; tłumaczono to nawet na rosyjski i niemiecki.

Autor sam zmienił potem tryb życia, opuścił Warszawę, gospodarował i wrócił ponownie po długiej przerwie zarówno do miasta i biura we Lwowie, jak i do zajęć pisarskich. Nie zmienił sposobu opowiadania, nadzwyczaj szerokiego, rozwałkowywał nieraz rozmiary prostej anegdoty do całej powieści, przemawiał zwykle w pierwszej osobie, z dobrodusznym uśmiechem politowania — już nie nad „komendantem“, lecz nad obywatelstwem, zaskoczonem różnemi awanturami, czy to w postaci natrętnych gości, których aż pozbyć się należy opowiadaniem o strachach, czy w sroższych przejściach strapionych ojców i matek, „dla dobra dzieci“ przenoszących się do miasta i niemogących nawyknąć do odmiennego trybu życia, czy w innych opałach majątkowych i sercowych. Te-

maty wcale nie bywały równie niewinne; to mąż za późno dostrzegał flirt niewiernej małżonki, to wyłaniały się fatalne niedobory moralne i materjalne, na które nie humor, ale chyba chłosta ciętej satyry spadaćby miała; do obywatelstwa dołączali się i urzędnicy, mali i wyżsi, kupcy, mieszczanie; wdowcy słomiani, rywale o rękę ładnej panny (niebezpiecznego, młodszego, odsadził starszy śmiesznością, na jaką się ów naraził) i podobne codzienne drobne motywy. Autor nie poruszał namiętności; sfery właściwej, wołów roboczych poświęcających się dla magnifiki czy dla krescencji, mężów, wodzonych za nos przez kochające małżonki, wdowców, których wszyscy w zawody swatają — nie opuszczał. W środkach nie przebierał; najczęściej pisywał niby gawędy, tylko ani nie o dawnych ludziach ani nie w stylu staroszlacheckim, bez pretensji, z uśmiechem i nad dysonansami wcale nie śmiesznemi.

Niżej stanął smutnej pamięci Placyd Jankowski czyli John of Dycalp, poczytywany niegdyś za pierwszego humorystę; nie było o to trudno wobec rażącego niedoboru humorystów w naszej literaturze: humor, to produkt przeważnie miejski, a literaturę tworzyli zawsze jeszcze ziemianie, bajroniści, ludowcy, pisarze tendencyjni, — gdy humor właśnie wyklucza tendencję. Więc Jankowski, którego życie pełne jest niespodzianek, wcale nie humorystycznego zakroju, owszem, wstrętnych, łatwo uzyskał dyplom humorysty, skoro uwziął się pisać śmiesznie, zaraz na karcie tytułowej dowcipkując („Komujedzie", wedle znanego prowincjalizmu litewskiego), albo pisząc o rzeczach, których wcale nie rozumiał. Najwdzięczniejsza jego rzecz, to wspomnienia własnej młodości, a tej się sprzeniewierzył, zdradzając filomatów.

Zaroiło się od beletrystów; od Dźwiny i od Dniepru szły na sukurs coraz nowe siły. Taki Kazimierz Bujnicki, wychowanek jezuicki, klasyk jeszcze, jako taki skłonny do ironji i satyry, piszący źle wierszem (przekład Psałterza), lepiej prozą powieści i gawędy w duchu ultrakonserwatywnym, ultrareligijnym, głównie spółczesne, rzadko w dawne czasy sięgające („Pamiętniki księdza Jordana", z apologją jezuitów) i wielbiące je, może więcej zasłużony jest wydawaniem „Rubona" (Dźwiny), pisma zbiorowego, jednoczącego siły literackie prowincjonalne: Borchów, Platerów Chrapowickich i innych Inflanczyków. Krzemieńczanin, Tytus Szczeniowski w „Bigosie Hultajskim" (jako Izasław Bleponski) chłostał wszelkie zdrożności w otoczeniu ukraińskiem, próżność, próżniactwo, lekkomyślność, w formie niby powieściowej, rozpra-

wiając się z „Mieszaninami“ Bejły, bo ich jako filozoficznie wykształcony, a zarazem praktyczny i patrjotyczny obywatel nie strawił, przyszłość, nie przeszłość wystawiając za cel dążenia; i on, jak Korzeniowski, poświęcał Krzemieńcowi wdzięczne wspomnienia.

Wśród tych beletrystów i tłumaczów z francuskiego, których imię, jak i liryków ówczesnych, jest legjon, wyróżniał się, nietyle talentem, ile raczej wyborem tematów, wojskowy, unikający jednak tematów żołnierskich — to uprawiał niezmordowany Adam Kosiński, czerpiący głównie z czasów legjonów i bawiący niemi niewybredną publiczność — pułkownik **Ludwik Sztyrmer**, pisywał pod imieniem swej żony Eleonory. Pierwsza powieść, „Pantofel, historja mojego kuzyna“ (1841), określiła jego ulubiony sposób: nic nie opowiadał, ani nie rezonował, ale cieniował subtelniej, wszechstronniej naturę swoich bohaterów, studjował ich psychologję gorliwiej i wytrwalej, niż Kraszewski i Rzewuski; z nimi dzielił przekonania konserwatywne i spółpracownictwo w „Tygodniku petersburskim“, chociaż, jako „Gerwazy Bomba“, właśnie na Kraszewskim ostrzył ząbki krytyczne. Bohater pantoflowy, bez woli i energji, był jego pierwszym typem bardzo udatnym; i pomysł i wykonanie opuszczało zwykłe tory, celowało oryginalnością. Następne typy wybierał Sztyrmer z domów zdrowia: „Frenofagjusza i Frenolestów“ z domu warjatów, „Duszę w suchotach“ (analizującą wszystko, oschłą całkiem), „Kataleptyka“. Z analizą psychologiczną czy psychopatyczną łączył jednak pułkownik wycieczki przeciw duchowi czasu, postępowi, wszechwładzy (mrzonkom) rozumu i młodszych wzywał do protestów, ale humorystyczny ton jego i satyryczne wycieczki nie mogły zastąpić braku obfitszego wątku powieściowego, więc popularność jego rychło zblakła; i analiza psychologiczna, dokonywana przez tego człowieka o umyśle arcytrzeźwym, niezdolnym do odczuwania nieskończonych falowań psychicznych, nie zadowalała wybredniejszych; był to niby polski Amadeusz Hoffman, tylko o wiele uboższy fantazją, pedant i burżuj wobec owego romantyka-cygana z płomienną duszą.

Namiętne obrazowanie, energiczne ujęcie się za prawami kobiet, oswobodzenie instynktów indywidualnych kosztem przesądów czy dogmatów, gorące apostołowanie tych nowatorstw przez panią Sand zelektryzowało i kobiety polskie; trudno sobie dziś wyobrazić wpływ czarodziejski niemal, jaki właśnie męczące nas dziś tyrady i nieskończone jej dygresje wywierały na ówczesnych; romantyczka Sand, jak niemniej i Balzak, utorowały drogę kierunkowi realistycz-

nemu, chociaż wpływ bezpośredni pani Sand w naszej literaturze jest nierównie słabszy, niż w rosyjskiej; wpływ ten ujawnia się głównie w autorkach, nawet takich, które nie wykraczały z najzwyklejszego szablonu w życiu i w twórczości. Paulina Wilkońska, wdowa po humoryście, już za życia męża pisująca i redagująca z nim „Dzwon literacki", później próbowała sił na najrozmaitszych polach, głównie jednak w powieści, uprawiając ją na gruncie poznańskim; poruszała więc tematy specjalne dzielnicy, np. zaborczość germanizacyjną („Obrazek poznański"), 1857; zresztą opowiadała najrozmaitsze przygody, rozwlekle, blado, brak inwencji sztukując opisowością, przez lat zgórą trzydzieści (1841—1874) — pracę jej cenić należy dla uczciwej tendencji, dla ujmowania się za ludem, występowania przeciw uprzedzeniom kastowym, sarkania na konwencjonalne małżeństwa; cechował ją duch demokratyczny, bardzo umiarkowany. Antypodem jej była Wojkowska, wielbicielka pani Sand, jako tej, co obudziła kobietę do samodzielności, wyzwoliła z pod ohydnego jarzma jednostronnej opinji, a nie odarła z uroku i poezji.

Do autorek dawnego autoramentu należała panna Günter na Litwie, talentu bardzo drobnego; wyżej stanęła Ewa Felińska, matka arcybiskupa, chociaż się późno chwyciła pióra. W długiem jej życiu (1793—1859) przesunęły się najrozmaitsze odmiany ludzi i stosunków, więc gdy zaczęła kreślić „Pamiętniki z życia" a doprowadziła je zaś do r. 1821, umiała o życiu dawnem domowem na Litwie i Wołyniu wszystkich warstw opowiedzieć wiele znamiennych szczegółów; „Wspomnieniami z podróży do Syberji" poprowadziła znacznie dalej ową literaturę syberyjską, umiała patrzeć szerzej i głębiej, niż Kopeć. Przed temi dziełami, zaczerpniętemi z autopsji, pisywała powiastki i obszerne powieści, osnute na doświadczeniu własnem, obfitujące w zacne i mądre myśli, acz nieobrobione artystycznie.

Żywszy ruch wzbudziły „entuzjastki" warszawskie, z najznakomitszą, najoryginalniejszą, najgłębszą **Narcyzą Żmichowską** (Gabryellą) na czele. Były to „piękne dusze", takie, jakby je Goethe wymarzył, uprawiając kult entuzjazmu, idealizowania miłości i sztuki, dyskutujące o najwyższych zagadnieniach ludzkości. Publicznie występywały z poezjami programowemi w „Pierwiosnku" Pauliny Krakowowej, z powieściami i rozprawkami w „Przeglądzie Naukowym"; najwymowniejszą i najwpływowszą ich rzeczniczką była właśnie „Gabryella". Do r. 1850 szła torami Słowackiego z „An-

hellego“: w marzeniu upatrywała najwyższy, najpiękniejszy cel, gardziła rzeczywistością, a im bardziej jej samej uczucia miłosne stawały się niedostępnemi, tem ogniściej o nich śniła. Zaczęła wedle mody ówczesnej wierszami, łącząc z działalnością poetyczną nadmierny kult poezji i wieszczów; „być poetą to światu wielkiemu dumnie panować i gwiazdy nocy, poranku zorze, ciche strumienie, wzburzone morze według swej woli kierować!“ Potem sławiła potęgę marzenia, jej Maina to niby Anhelli czy Mieczysław Słowackiego, śniąca sny prześliczne, uśpiona przez dobroczynnego Kościeja, napróżno budzona do życia przez siostry, Krasę i Bogutę (niby Martę z Ewangelji), „bo kto ma serce tylko do czucia, do pieśni, ten niech całe życie prześni, tego zostaw w pokoju“. Siły Słowackiego jednak, aby ten świat marzeń, tę kopułę myśli tęczową wystawić, bynajmniej nie posiadała.

Do najdalszych krańców egzaltacji doszła w prozie poetyckiej „Poganki“. Opowiadanie najfantastyczniejsze nie liczy się z warunkami czasu czy miejsca, narodu czy otoczenia, snu czy rzeczywistości, a raczej plącze wszystko, idealizując artystę, rozgrzeszając go ze zmysłowości, tworząc z niej „formę najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność bóstwa z duchem i ciałem.“ Rozmarzona entuzjastka poświęca wszystko fantazji, rojeniom artystycznym i miłosnym, związanym nierozdzielnie; kultowi natur demonicznych, wyższych nad przesądy i obowiązki; uczuciu, pochłaniającemu człowieka całego, czyniącemu go niezdolnym do życia celowego, moralnego; cóż znaczą typy płaskie i szare rodziny Benjamina wraz z ich równowagą moralną i spokojnością, wobec tych zachwytów, w jakie wpada autorka na widok twórcy-artysty (Cyprjana), bachantki miłości (poganki Aspazji), kapłana uczucia (Benjamina)?

Z gorączkowych tych snów ochłonęła w (niedokończonej) „Książce Pamiątek“ (1847), chociaż i w niej widoczny jest impuls „Poganki“, przystosowany jednak do Warszawy i jej życia artystycznego i salonowego, przynajmniej w pomyśle. Tym razem Marja Regina, owa egoistka-poganka, kocha w bracie Romualdzie artystę i poświęca mu z najzimniejszą krwią ofiary serca, byle talent jego podsycać nowemi wrażeniami; ta entuzjastka w teorji, a wyrachowana spekulantka w życiu, mimo całej „piękności duszy“, czyni wstrętne wrażenie; Romuald bez woli, jak Benjamin, a mniejszy, niż Cyprjan, artysta, musi się sztucznie podniecać do worzenia i bez mentorki swej zaraz u wstępu zwichnąłby nat

zawsze swą karjerę artystyczną; inne osobistości to komparsy, ciekawsze w istocie, niż bohaterowie sami, szczególnie z wdziękiem oddana Helusia, jedna z tych ofiar sercowych. Autorka poszła naprzód, nie roi już z zachwytem o artyście, depcącym wszelkie uczucia, co, „żeby wyśpiewać piosenkę miłości, kładzie spokojnie ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły *cudzego* serca i przebiera po nich palcami marmurowemi, dopóty, dopóki mu artystycznego nie dadzą dźwięku"; wyrzeka już na marnowanie uczucia — „piękne dusze" poświęciły świeżość miłości dla swych rojeń i przegrały stawkę życiową, zwęziły się i spodliły doszczętnie — i kończy wymownym zwrotem: „nie bawię się po dawnemu w subtelności romansowe, nie prawię moim słuchaczom o zorzach na niebie i archanielskich wizjach — czuję, że gwałtowniejsze cisną nas potrzeby, rozpaczliwsza dokucza nam nędza."

Ten zwrot ku rzeczywistości, uwydatniający się już w niektórych ustępach „Książki Pamiątek" (w przelotnym obrazku z życia złotej młodzieży, kradnącej społeczeństwu procent od swoich zdolności, rodzinie utrzymanie kosztowne, kobietom dobre imię, a jedni drugim pieniądze przy zielonym stoliku), spotęgował się w czasach reakcji po r. 1850, gdy należało bronić religji przeciw obłudzie i zasklepieniu się w formach, swobody rozumu przeciw deklamacjom o „pysze jego" i karze za nią, walczyć z rezygnacją, zobojętniałą na wszystko, z brakiem przekonań, z martwotą i apatją, wśród chaosu pomyłek, kłamstw i zwątpień. W nowej tej fazie zasługi Gabryelli są istotniejsze, czy to, gdy ze swoim Adeodatem fantastycznym, niby z nowym Asmodeuszem, odprawia wędrówkę po salonach i domkach, wszędzie trafiając na obojętność, a mimo to nie rozpaczając: „bracia moi obojętni i uporni, kochać was będę wszystkich, was, co umrzeć w zepsuciu, odżyć wyrokiem Najwyższego musicie"; czy to, gdy zużytkowuje podania z przeszłości.

Najciekawszy jej utwór to „Biała Róża". I Biała Róża, jak Marja Regina, żyje podwójnem życiem: zaskorupiła się w skrupulatnem przestrzeganiu wymagań towarzyskich, nie popełniała najmniejszego odstępstwa od *comme il faut* — bo tego ją od dzieciństwa uczono, wyśmiano i wytknięto każdy śmielszy poryw jej czucia czy myśli; zrzeczenie się praw człowieczych, tę martwą obojętność salonową wynagradzała sobie bujaniem w świecie myślowym, stworzonym w jej główce, rozświetlonym błyskami sub-

telnej ironji, urozmaiconym najbardziej fantastycznem marzeniem. Lecz nie zadowoliła się autorka przedstawieniem takiej dwulicowości, potępiła błędy towarzyskie naszego społeczeństwa, przesadę, egzaltację, romansowość, i niedawna kapłanka marzenia rozbiła z największą gwałtownością swoje bożyszcze: „wolę wszystko, co jest śmieszne, zdrożne, zaczepne“, niż marzenie; marzenie jest „szkaradnym nałogiem, jest prostem pijaństwem ze wszystkiemi skutkami pijaństwa, lubo z trochę napozór odmienną przyczyną... marzenie w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, w nieszczęściu jest niedołęstwem, w zepsuciu jest zagłuszonem sumieniem... w nas, siostro, jest utratą nieba dla kilku chwil martwej rozkoszy.“ „Tyle jest do roboty, tyle jest do wyrzucenia z siebie, do odratowania w bliźnich, do wydarcia przyszłości, do odpokutowania z przeszłych grzechów, do zasłużenia cnotami... a ludzie marzą!“

Zdolność raczej wmyślania się w istoty skomplikowane, cieniowanie subtelne wszelkich faz uczucia i myśli, a nie obserwowanie zewnętrznego świata i wystawianie większych obrazów, cechują Gabryellę. Zwykły element powieściowy ginie u niej zupełnie, chociaż i w „Książce Pamiątek“ i w „Białej Róży“ nakreśliła ciekawe sylwetki osób i wprawiła je nieraz w żywszy ruch; przeważa zupełnie analiza subtelna, element dydaktyczny, moralizatorski. Czytelnika, rozczarowanego treścią, niezajmującą w zwykłem znaczeniu słowa, oczaruje styl Gabryelli, oryginalny, pełny finezji i precyzji zarazem, wyrzeźbiony, zdradzający potężną osobistość, budzący swego czasu rzetelny podziw (w entuzjastycznych wierszach Balińskiego); zajmą go myśli, głębokie i trafne (w owym liście brata do siostry na zakończenie „Białej Róży“); obrazki, acz drobne, ale dosadne owej martwoty z czasów około 1850 r.; zajmie wysoki cel, przyświecający późniejszej jej pracy, udoskonalenia samego siebie, wypracowania dla swej osobistości najbliższego z Bogiem podobieństwa. O porywach emancypacyjnych właściwie nawet mowy nie było; żądania ograniczały się do wymagania podniesienia poziomu umysłowego kobiety.

Około tego pracowały obok Gabryelli i inne, żadna z taką siłą i głębią, jak ona; nie brak było i rzeczniczek reakcji; właśnie z szeregu kobiecego piorunowano najgwałtowniej na „pychę rozumu“ w „Pielgrzymie“ Eleonory Ziemięckiej, pierwszej naszej filozofki, która poznała filozofję niemiecką, aby ją zwalczać, aby rozum i wiarę pogodzić, aby utworzyć „Zarysy filozofji katolic-

kiej“ — lecz i ona nie wytrwała w skrajnej negacji, zdobyła się nawet na tłumaczenie dzieła „O godności rozumu ludzkiego.“

Do żadnego obozu nie należały inne autorki, których późniejsza, długoletnia czynność zaznaczyła się znamiennie już w tym okresie. Najznakomitsza między niemi — **Jadwiga Łuszczewska** (Deotyma), słynna improwizatorka, mająca bogaty zasób obrazów, rymów i słów, darem tym chętnie się popisująca już od wczesnej młodości. Zbiory jej improwizacyj i poezyj wychodziły od r. 1854: tematy ich są ogólnikowe, przeważała refleksja; są one czerpane z głowy, nie z serca; brakło im czucia ciepłego, którego nie mogła zastąpić retoryka. Autorka sięgnęła niebawem do wielkiego tematu, o co się oddawna, od czasów klasycznych jeszcze, zawsze napróżno kuszono: jej „Polska w pieśni“ miała opiewać przełomowe chwile i postaci dziejów ojczystych. Na nieszczęście jednak sięgnęła zbyt daleko wstecz; pierwsze dwa tomy (z roku 1859 i 1860) objęły tylko „Lecha“, „Wojnę Olbrzymów“, „Wyszymira“ i „Dwunastu Wojewodów“; retoryczność i fantastyczność tych postaci nie zastąpi braku myśli i motywów. I nie o wiele lepszy jest dalszy ciąg: „Gonitwy w dolinie Prądnika“, trylogja dramatyczna o Krakusie i Wandzie (wydane dopiero w r. 1887), pomimo wysiłków autorki, aby nawet tło przyrody na podstawie własnych wycieczek górskich, jak najdokładniej oddać. Panuje tu ta sama operetkowa fantastyczność i podobna retoryczność, szafująca nowożytnemi ideami, aż do emancypacji kobiet i szalbierstwa kapłanów; w jednym punkcie jednak postęp jest widoczny: ciężkie przejścia, osobiste i krajowe, gdy na wygnanie za ojcem podążyła, pogłębiły nadzwyczaj uczuciowość sympatycznej autorki, przez słowa jej przebija żal i żar sercowy; gorętsze one, namiętniejsze.

Największe dowody talentu złożyła Deotyma w najpóźniejszych swych utworach w prozie i wierszu. Powieści, literackie szkice z podróży, pisywała oddawna — czytelników zdobyły tylko jej wielotomowe „Branki w jasyrze“ (1889). Nie o jasyrze tatarsko-ukraińskim tu mowa, ale o owym pierwszym, mongolskim, gdy wylew z Azji środkowej zatopił Wschód europejski. Studja do dzieła robiła autorka bardzo wszechstronnie; dzieje mongolskie, urządzenia opowiedziała z nadmierną nieraz dokładnością — właśnie opisowość stanowi jej siłę. Temat jedyny w swoim rodzaju, daleki od ubitych torów naszych powieściopisarzów, wzniosła myśl przewodnia o cudach poświęcenia i wytrwałości, efek-

towne opowiadanie o ofiarach zarazy i cudownem ich wyleczeniu — zapewniły powieści powodzenie.

Podobnie wzniosła się i w epopei; porzuciła zamierzchłe czasy, bo w ich bezbrzeżnej pustyni poeta się mimowoli gubi, a zwróciła się do ostatniego przebłysku rycerskiej przeszłości i wyśpiewała „Sobieskiego pod Wiedniem“. Całość rozpada się na pojedyńcze śpiewy, odrębne tonem i treścią; pierwszy przypomina Kochowskiego; treść jego waży się „między niebem a ziemią“, jest to alegorja walk Wschodu i Zachodu, występują aniołowie-opiekunowie państw przed tronem Wszechmocnego i spierają się między sobą: poetka nie gardziła pomysłami teologicznemi. Inne śpiewy zato całkiem ziemskie, realne, opisują, stylem niemal gawędowym, z makaronizmami w mowie, szczerze a jędrnie to, co się działo „pod Hollabrunem“ i „w Setteldorfie“; nie idealizują przedmiotu, nie ukrywają wad i śmieszności i tem skuteczniej działają.

Wobec Deotymy, jej świetnego języka i wielkich pomysłów, wydają się Seweryna Duchińska (Pruszakowa) i Marja Ilnicka ptakami najniższego lotu. Cechuje je obie praca długoletnia, wytrwała, choć skierowana na odmienne pola. Duchińska zaczęła „Powieściami poetycznemi“ (1855) w guście ówczesnym, reakcyjnym (sarkania na pychę naszego skromniutkiego rozumku) i gawędowym, nawet kontuszowym; tok języka i wiersza gładki i poprawny, szlachetne zasady, prostota pomysłu i obrobienia ujmowały niewybrednych; niżej stały jej „Obrazki dramatyczne“ i „Powieści naszych czasów“. Potem oddała się literaturze dla dzieci, spoczywającej u nas stale w ręku kobiet, i wydawała „Rozrywki dla młodocianego wieku“ (1856- 1863); przesiedliwszy się do Paryża, przestała tworzyć oryginalnie, oddała się tłumaczeniom z obcych języków, przeważnie romańskich (Antologja poetów francuskich XIX wieku i liczne inne) i przez długi szereg lat (1870—1900) umieszczała w korespondencjach z Paryża do „Bibljoteki Warszawskiej“ obszerne sprawozdania z ruchu umysłowego francuskiego, streszczenia ksiąg, dokładne i obfite, chociaż wybór jej nie zawsze padał na najważniejsze objawy.

Całkiem na redaktorkę wyszła Ilnicka, prowadząc „Bluszcz“ od r. 1865, począwszy swój zawód tłumaczeniami, powieściami, wierszem i prozą, dramatami. Obie panie pracowały pierwotnie w tym samym kierunku: wyszły od życia wiejskiego, z zażyłości między dworem a gminą patrjarchalną, i opracowywały z lubością

motywy wiejskie, ludowe; Duchińska próbowała własnemi „Jasełkami“ zastąpić ludowe; Ilnicka w „Ilustrowanym Skarbczyku polskim“ pragnęła wznowić dzieło Niemcewicza w tonie bardziej ludowym. Ideałów nie szukały poza sobą; oddawały się ścisłej pracy, Duchińska, sama układając materjał powieściowy, historyczny, literacki dla swej młodzieży, Ilnicka dla „anielskiego“ Bluszczu pisząc własne, i opracowując obce *(ad usum Delphini)* powieści. Nowe prądy ani entuzjastek niegdyś, ani emancypantek potem, nie oderwały ich od gruntu rodzimego; czepiały się ziemi, ludu, przeszłości, służyły prawdzie, miłości, nadziei. Duchińska stanęła wyżej w wykonaniu niejednej trafnej sylwetki literackiej: Drużbackiej, Brodzińskiego, Marji księżnie Wirtemberskiej, Zaleskiego. W tłumaczeniach sięgała nietylko po pieśni o Rolandzie i o Cydzie, lecz nawet do Petöfiego i do Kalewali.

Cały ten okres bogaty jest właśnie w tłumaczenia i rozszerza znacznie ich okrąg. Dotąd wciągano weń tylko literaturę klasyczną i francuską; o jedną i tę samą tragedję Rasyna czy Woltera kusiło się kilku naraz tłumaczów, trzech spółcześnie o Henriadę, a rzeczy stokroć cenniejsze leżały odłogiem. Romantyzm zerwał z tą rutyną; jedną z jego celniejszych zasług było właśnie rozszerzenie widnokręgu polskiego na literatury germańskie, romańskie, wschodnie, na przyswajanie rodzimemu językowi skarbów Byrona i Moore'a, Schillera i Goethego, Petrarki i Dantego, pieśni nowogreckich i gazel arabskich; Mickiewicz sam (tłumacz Giaura i ustępów z Schillera i t. d.), Odyniec, Korsak i inni, aż do skromnego ks. Ślązaka, Bącyka, występowali tu raczej dorywczo; inni pracowali systematyczniej. Klasyków greckich przekładali: Małecki, Zygmunt Węclewski, Siemieński, Kaszewski; działali Krajewski i Ludwik Jenike, długoletni wydawca „Tygodnika Ilustrowanego“, tłumacz Goethego (Torquato Tasso, Ifigenja). Szekspira tłumaczył licho ks. Hołowiński, lepiej Komierowski i Paszkowski; Calderona Słowacki i Baliński — nie mówiąc o tłumaczeniach beletrystycznych, rzucających się na wszystko, na Dickensa i Thakeraja, na Fryderykę Bremer i Andersena, na Azeglio i Edgara Poe. Znajomość literatur obcych wzrastała szybko, chociaż duchem ich właściwie się nie przejmowano, od swojskości nie odstępowano; zgorzkniały pesymizm Heinego i Musseta znajdował mało oddźwięku, np. u Syrokomli; zbogacały się zato język i formy.

Tak kończył się najświetniejszy okres literatury. Postęp jej nadzwyczajny przechodził najśmielsze marzenia; od r. 1801 i jego rozpaczliwego położenia, bez wyjścia niemal, wzniosła się ta literatura w przeciągu lat kilkunastu do niesłychanej wysokości. Pierwsze nowe pokolenie wytężoną pracą kulturalną, zaczepiającą o najżywotniejsze tradycje, przygotowało ziemię dla bujnego plonu, drugie go wydało. Nadzwyczajnem zaś było to, co się nigdzie w świecie nie powtórzyło: wychodźcy, walczący z nędzą materjalną, niepodtrzymywani ani zachęcani przez nikogo, na obczyźnie, stwarzają tak świetną literaturę narodową, jakiej najszczęśliwsze, najbogatsze narody zazdrościć muszą, a nietylko od dzieł, lecz i od samych twórców, bije blask siły moralnej niespożytej. W kraju, przy mniejszych talentach, mniejsza i zasługa, ale rzetelna: z odrętwienia chwilowego, przerywającego pracę owocującą, otrząśnięto się zupełnie i już po połowie okresu, po roku 1845, przeszła rola dominująca z wychodźtwa napowrót do ojczyzny.

Literatura, dotąd zawsze na cudzym pasku wodzona, zdobyła teraz samoistność; wyraziła ducha narodowego w całej pełni, stanęła po raz pierwszy równolegle obok każdej innej literatury świata; żeby ten postęp należycie ocenić, należałoby literaturę tę porównać z innemi słowiańskiemi. Pisarze zmężnieli, zahartowali się w twardej szkole, zrzekając się szczęścia osobistego, oddani swej służbie, wytężyli fantazję i uczucie i stworzyli dzieła nieśmiertelne. U podnóża tego Parnasu pracowała literatura w kraju skromniej, bez wysileń tytanicznych; wykuła zato ów podkład niezbędny: wywołała i zaspokoiła sama potrzebę książki polskiej, czasopisma, dzieła scenicznego; wślad za literaturą powstawała po raz pierwszy i rodzima sztuka polska.

Nie chodzi tu o mnogość wydawnictw, czy autorów, ani o rozmaitość ich stanowiska i form; rozstrzyga to, że literatura, rozszczepiona zupełnie, jak nigdy i nigdzie indziej, na wychodźtwie, na obczyźnie, kusiła się o najwyższe, ogólnoludzkie zagadnienia, nie tracąc charakteru narodowego; że w żywym związku z prądami europejskiemi, panującemi w sztuce i nauce, pracowała nietylko dla uprzystępnienia ich swoim, lecz sama przysparzała myśli, tematów, form, że, zacząwszy od naśladownictwa, zawisła od potrącenia z zewnątrz, wydała uczniów, którzy wtyle zostawili mistrzów; że dowiodła w nich rasa słowiańska, jakie wyżyny ducha i artyzmu są jej dostępne. Gmach literatury narodowej odrazu wzniesiono do nadzwyczajnej wysokości, nieprześcigniętej nigdzie; pozostało

zadanie — rozszerzać go, dobudowywać w szczegółach, stosować odmiany, jakich wymagał duch czasu, chronić go od skaz wszelakich

Duch czasu zmieniał się jednak szybko. Z szałów i zapałów romantycznych otrząśnięto się zupełnie: wypadki same przyczyniały się do tego najbardziej. Coraz wyraźniej zaznaczał się przewrót; z pierwszemi jego objawami spotykaliśmy się już w dramacie i powieści spółczesnej, ze zwrotem ku prozie życiowej, ku obserwacji dokładnej, ku stosunkom, ludziom i konfliktom codziennym, ku realizmowi w sztuce i w poezji, z tym samym, co zawładnął już myślą i wiedzą, gdzie od wielkich konstrukcyj filozoficznych, od systemów i teoryj, przeszło się do badania życia samego we wszystkich jego objawach, do ustalania praw, rządzących przyrodą i człowiekiem. Obok pozytywizmu i realizmu, materjalizmem przezywanych, zgłaszały się coraz uporczywiej dążenia socjalne do polepszenia bytu, podniesienia materjalnego, bez czego niema moralności. Nietylko w nauce i życiu społecznem nurtowały te prądy; wystąpiły i w literaturze pięknej; stanowią też cechę doby następującej.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

REALIZM LAT 1863–1890.
POEZJA I DRAMAT.

Rozwój umysłowy w Galicji, w Poznańskiem i w Królestwie. Epigonowie romantyzmu. Sowiński, Asnyk, Faleński, Konopnicka. Warunki rozwoju dramatu. Dramat historyczny; Szujski i Bełcikowski. Komedja. Świętochowski.

Nową katastrofę wywołała polityka romantyczna, wcielająca poezję w życie, nielicząca się z siłami, kusząca się z motyką na słońce, idąca łatwowiernie na lep każdej ułudzie oraz fatalny zbieg okoliczności, przyczyny inne, głębsze. Z katastrofą polityczną i jej nieuchronnemi klęskami splotła się wielka reforma włościańska, zmieniająca odrazu podstawy ekonomiczne społeczeństwa. Wobec tych ciosów i zmian, gdy minęło pierwsze przygnębienie, musiała wziąć górę reakcja krytyczna, obliczanie się z pozostałemi siłami i z nowemi warunkami; rozstanie się z ułudami, z zasadą „im gorzej — tem lepiej"; praca, mniej głośna, wytrwalsza zato i wszechstronniejsza; porównywanie, w swym wyniku bardzo smutne, naszego rozwoju z rozwojem narodów ościennych, wykazywanie jego niedoborów, pragnienie gorące wydobycia się z zastoju i zacofania. Równocześnie, nieraz w całkiem odmiennym duchu i kierunku, odbywała się i rewizja ubiegłego procesu dziejowego, trwała praca nad wzmożeniem sił narodowych; literatura naukowa i artystyczna odczuła żywo tę walkę.

Wprawdzie zwęziła się znacznie podstawa tej literatury; zaczęła się wycofywać z dawnych kresów, uszczuplały się rozmiary jej pola działania; zato wzmogły się napięcie i wydatność tej pracy.

Wzmogły się najrychlej i najbardziej w Galicji. Nowe klęski państwowe podcięły w r. 1866 centralizm austrjacki, rozwiały złu-

dzenia hegemonów wiedeńskich, zniszczyły zakusy utrzymania blichtru niemieckiego w kraju odwiecznie słowiańskim. Pożegnano się więc z niemi na zawsze i wcale szybkim krokiem dokonało się za rządów Agenora Gołuchowskiego spolszczenie urzędów, szkoły, administracji; tylko w wojsku ostała się niemczyzna, chociaż i tu poczyniono ustępstwa. Obok polskiego przyznano i językowi małoruskiemu prawa w szkole i urzędzie, dano mu sposobność i pole do rozwoju. Samorząd, wolność prasy i stowarzyszeń, życie parlamentarne wywołały nadzwyczajny ruch polityczny z zabarwieniem społecznem coraz wyrazistszem; niebawem zarysowały się ostro partje, konserwatywna i postępowa; zarodki ich sięgały r. 1848 wraz z ówczesnemi przeciwieństwami stanowemi, szlacheckim i mieszczańskim; stronnictwo postępowe rozwijało się w coraz bardziej radykalnym, wreszcie socjalistycznym kierunku, aż się rozszczepiło wyraźnie.

Konserwatywne koła krakowskie łączyły się z „podolskiemi"; przeciw nim stawał Lwów, miasta, gminy wiejskie. Najzdolniejsi rzecznicy konserwatyzmu, Stanisław Koźmian, Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, zespolili się w „Czasie" i w „Przeglądzie Polskim", nie gardząc i bronią satyry, kiedy w boju politycznym zakulisowym wodził rej Podolanin Grocholski. Najznamienniej wystąpiła trójca krakowska w „Tece Stańczyka", i od niej przezwano całą partję Stańczykami; szereg to listów luźnych, wydawanych w „Przeglądzie Polskim" w roku 1867, walczących na kilka frontów, zarówno przeciw demagogom i rewolucjonistom, jak i przeciw karjerowiczom: listy, dowcipnie pisane, nieraz z gryzącą ironją, chłostały i nasze Egerje polityczne i wybryki lwowskie i *liberum conspiro,* pod alegorją aż nadto przejrzystą, albo i bez obsłonek. „Tygrysów" odgryzał się, jak mógł, ale nie dorównywał ciętością; pozycja Stańczyków nie była łatwą do zwalczenia: przemawiali w imię rozsądku i rozwagi i nie obawiali się niepopularności, wyzwisk od „straży pożarnej", od gasicieli ducha narodowego.

Dziennikarstwo lwowskie walczyło między sobą w imię rozmaitych programów, a raczej rozmaitych osobistych przeciwieństw; próby zaszczepienia liberalizmu w Krakowie samym długo się nie powodziły, również i konserwatyzmowi we Lwowie się nie wiodło. Dawnej politykomanji, kombinacyj wielkich, nikt już nie uprawiał; pisma służyły sprawom krajowym, rzeczy zagraniczne uwzględniały mało. Osobnych tygodników ani miesięczników (prócz „Przewodnika", dodatku do urzędowej „Gazety Lwowskiej"), nie

stworzono, mimo kilku prób („Tydzień“) we Lwowie; w Krakowie trzymał się, pod redakcją Tarnowskiego, potem Mycielskiego, „Przegląd Polski“, bogaty w rozprawy literackie, historyczne i ekonomiczne, „Przegląd Powszechny“ jezuitów uwzględniał rzeczy wiary i Kościoła.

Równie, a raczej jeszcze silniej ożywiło się życie naukowe przez dwa uniwersytety i do godności Akademji Umiejętności wyniesione dawne Towarzystwo Naukowe krakowskie. Akademja krakowska stała się rzeczywiście warsztatem pracy naukowej polskiej, o czem Szujski zawsze marzył; wydała po pracy trzydziestoletniej 472 tomy i z 660 instytucjami zagranicznemi utrzymywała stały stosunek; najruchliwszy w niej wydział historyczny; wydział filologiczny uprawiał w pierwszym rzędzie dzieje języka i piśmiennictwa.

Uniwersytet krakowski, niegdyś chwała narodu i zasługa jego, znalazł gorliwych zbieraczów materjałów; skrzętny Żegota Pauli, niezmordowany w gromadzeniu i wypisywaniu, przygotował pierwsze tomy kodeksu „dyplomatycznego“; po nim Władysław Wisłocki wciągnął się całkiem w dzieje szkoły i jej mistrzów.

Największego postępu, przewrotu, doczekały się studja historyczne. Młodzi pracownicy — a przyświecali im Helcel w pojmowaniu, Szajnocha w przedstawianiu epok — nieraz wyszkoleni u najznakomitszych mistrzów zagranicznych, zaciągnęli się w długim, coraz rosnącym szeregu do gruntownego badania dziejów ojczystych. Nęciły najrozmaitsze widoki: jeśli historja *magistra vitae*, toć dla zwyciężonych i osłabionych nauki jej podwójnej wartości być muszą; nęciła sama świetność tych dziejów, tem widoczniejsza, im bliżej je poznawano. Na czele historyków stanęli **Józef Szujski** i **Walerjan Kalinka**.

Szujski zabrał się wcześnie do wydania obszernych dziejów polskich; w pierwszym tym ich, czterotomowym zarysie nie uwolnił się jeszcze od panującego „republikańskiego“ nastroju, od czego go odwiodły dopiero świeże wypadki i pogłębienie studjów. Potępił jako działacz polityczny ruchy niepolityczne, wybujały indywidualizm, brak silnego rządu, wszystko, co wiodło do katastrofy końcowej zabrnął nawet zbyt głęboko, bo pociągał do odpowiedzialności, składał winę i na humanizm, który odhartowywał charaktery, i na reformację, która podkopała jedyną niezachwianą powagę kościoła. Z nowego, „stańczykowskiego“ punktu widzenia całości dziejów już nie wyłożył obszerniej, ponieważ jego „Ksiąg dwanaście dziejów polskich“ zbyt są na to treściwe i zbite;

ale w szeregu studjów i odczytów przeprowadzał nowe myśli; forma świetna porywa, każe zapominać o paradoksie, jednostronności, stronniczości. Walerjan Kalinka, już ksiądz (zmartwychwstaniec) obrał chwilę gasnącej Rzeczypospolitej, „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta“ i „Sejm czteroletni“ (którego nie dokończył) dla wystawienia wielkiego obrazu. Zwolennik monarchizmu i katolicyzmu, starał się zrehabilitować króla, umniejszyć zasługi przywódców polityki przeciwnej, sprawdzić wyrok, wydany przez obrońców konstytucji Trzeciego Maja. Dzieło oparte jest na gruntownych badaniach archiwalnych, chociaż nie odsłoniło wszystkich tajemnic i sprężyn ukrytych; chociaż ogranicza się do skreślenia akcji politycznej, domowej i zagranicznej, a nie bada stanu społeczeństwa; chociaż nie ukrywa się z predylekcjami i nie skąpi morałów — imponuje świetnemi charakterystykami ludzi, spraw i stronnictw, trafnemi wywodami, znakomitym stylem; nie oszczędzało ostrej prawdy i rozwiało niejedną iluzję.

Od nich obu a łączono z nimi i niezdarę, Antoniego Walewskiego, niewczesnego obrońcę lojalizmu, chorującego na legitymizm i bigoterję i dyskredytującego Kraków — wywodzono początek osobnej „szkoły krakowskiej“, która całą przeszłość rozpatrywała z punktu widzenia upadku państwowego, szukała w niej tylko momentów, osłabiających wiązadła państwowe, i nie objektywnie, lecz owem zgóry narzuconem kryterjum mierzyła sprawy i ludzi. Najjaskrawiej wystąpił i wywołał najżywsze też protesty Michał Bobrzyński „Dziejami Polskiemi w zarysie“ (kilka wydań i tłumaczeń); widziałby on chętnie Polskę silną i rządną, więc bezwzględnie z tego punktu widzenia oceniał każdy ruch, stronnictwo, osobistość niemal; jego zarys to nie przedmiotowe przedstawienie, jakim być zamierzał zarys Szujskiego: z pod pióra prawnika i polityka wyszedł akt oskarżenia ludzi i czasów, *post festum* do tego. Dzieła innych historyków krakowskich nie dzieliły tych uprzedzeń. Tadeusz Wojciechowski nie stworzył większej całości; oddawał się badaniom specjalnym, od początków społeczeństwa, śledząc je nawet w imiennictwie osad, aż do dziejów katedry krakowskiej; studja jego odznaczają się nadzwyczajnym darem kombinacyjnym; drobne szczegóły, pomijane przez innych, wiąże autor i rozświetla z ich pomocą zamierzchłe czasy, szczególniej wiek XI. Stanisław Smolka, po pierwszem, świetnem dziele („Mieszko Stary i jego wiek“) pisał szkice, ciekawe pod względem treści, o wykwintnej formie, głównie z przełomowych czas ów XIV i XV wieku

w „Mieszku“ sięgnął w wiek XII i odtworzył nie dzieje książęce, lecz całą epokę, wyzyskując najlżejsze napomknienia kronik, czy aktów, dorabiając do nich tło obszerne, malownicze.

Imię Franciszka Piekosińskiego, niestrudzonego wydawcy zabytków prawnych, dzieł heraldycznych, dyplomatarjuszów, rozgłosiła najbardziej teorja najazdu, pokutująca od wieku u naszych i obcych historyków, coraz inaczej pojmowana. Wincenty Zakrzewski pracował nad dziejami XVI wieku, nad Batorym i reformacją.

Stefan Pawlicki, niegdyś wolnomyślny docent warszawski, potem ksiądz, prawomyślny profesor filozofji, badał jej dzieje w starożytności; był znakomitym stylistą, nieuprzedzonym nadto, nawet wtedy, gdy pisał o Renanie. Apologeta, ks. Marjan Morawski, jezuita, w „Wieczorach lemańskich“ i w „Filozofji“ gruntował, w poważnej treści i wykwintnej szacie, nieomylność katolicyzmu jako jedynej kotwicy zbawienia. Wincenty Lutosławski, wychowanek i docent uniwersytetów rosyjskich, w Krakowie zajmował zupełnie niezawisłe stanowisko. On jedyny między filozofami polskimi — bo pomimo obojętności rasowej przeciw wszelkiej abstrakcji i mimo dawnych i modnych szyderstw pozytywistów-społeczników i materjalistów-przyrodników z wszelkiej metafizyki, możemy mówić o filozofach polskich, nawet w Warszawie, — zdobył się na samoistny zupełnie pogląd na świat, na system monad wyższych, podnoszących niższe. Pracował w dwu kierunkach, to oddany badaniom nad Platonem, cenionych głównie (i wydanych) w Anglji, to szerząc „eleuterję“ indywidualistyczną, apostołując dla niej po kraju i w Szwajcarji, godząc niby mesjanistyczne poglądy (w czem ze Szczepanowskim Piastem się stykał) z kampanją przeciw alkoholowi; jego „Wychowanie narodowe“, jego pisma i odczyty, zataczają coraz szersze koła mimo protestów fachowych ludzi, ale jego „Seelenmacht“ spotykała się z uznaniem i w krytyce niemieckiej.

W historji literatury, obok zasłużonego monografisty Puław, L. Dębickiego (spółpracownika „Czasu“, gromadzącego w „Tece Dziennikarza“ szkice, barwnie pisane), wystąpił towarzysz jego przekonań politycznych i społecznych, Stanisław Tarnowski, zarazem pisarz i działacz polityczny, uczeń niegdyś Klaczki i Kalinki, spadkobierca stylu Klaczki i tłumacz jego „Wieczorów florenckich“, po Józefie Majerze prezes Akademji Krakowskiej. Przez politykę wszedł do literatury: najpierw badał dawnych pisarzów politycznych XVI i XVII wieku; opracowywał biografje (Kalinki, Kochanowskiego,

Krasińskiego), pisywał znakomite recenzje (o Słowackim Małeckiego), wygłaszał świetne pod względem formy, a poważne treścią odczyty (o Fredrze w Warszawie, o Słowackim w Poznaniu); potem wystąpił z obszerną „Historją Literatury Polskiej". Znakomity stylista; opowiadał żywo i barwnie, wznosił się do patosu, ale używał i ironji; celował trafną analizą estetyczną i szerokim widnokręgiem. W sądach swych powodował się stale duchem obywatelskim, pytał najpierw, o ile dzieło sztuki odpowiada moralnym wymaganiom, jaką odda służbę społeczeństwu i nie olśniewało go nigdy samo wykonanie, choćby najświetniejsze; raziła go też wszelka fantastyczność, Słowackiego czy Wyspiańskiego. Dzieło jego pociąga wysłowieniem, ciepłem, miłością wszystkiego, co polskie, urozmaiceniem wykładu; uczy cenić i kochać tę literaturę, chociaż jej autor nie zrzekał się bynajmniej uprzedzeń, nietylko, chociaż głównie politycznych, ale i estetycznych; Rejowi nie przebaczył gorliwego protestantyzmu, Goszczyńskiemu demagogicznych zapędów, a na modernizm z największą spoglądał nieufnością; estetyczne jego oceny o wytwornej formie zachowają stałą wartość.

Józef Tretiak, autor pięknego dzieła o młodości Mickiewicza, kowieńskiej i odeskiej, wyczerpującego, wzorowej monografji o Bohdanie Zaleskim, szkiców literackich, głównie poświęcanych XVIII i XIX wiekowi, stworzył dzieło o Słowackim, zajmujące, jak romans psychologiczny, niewolne od uprzedzeń na niekorzyść poety, zbyt obniżanego w porównaniu z Mickiewiczem. Marjan Zdziechowski, jedyny u nas obok Grabowskich znawca literatur słowiańskich, kreślił szerokie obrazy, mesjanizmu i słowianofilstwa, albo wpływu Byrona na literatury słowiańskie; odznaczał się pięknością formy, a przejęty ideą religijną, „przeczeniów" nie znosił, szukał ducha wierzącego i witał go entuzjastycznie.

Pierwsze kroki stawiali równocześnie z nim Józef Kallenbach, autor znakomitego studjum psychologicznego o Mickiewiczu, biograf młodości Krasińskiego, i Stanisław Windakiewicz, studjujący nowszą i dawną literaturę na najszerszem tle europejskiem, bystry spostrzegacz i wytworny stylista.

Obok historyków literatury i estetyków zasłużył się niepomiernie **Karol Estreicher**, po lwowskiej i warszawskiej wycieczce osiadły w Krakowie, po pracach o teatrze polskim olbrzymiem wydawnictwem „Bibljografji Polskiej". Pierwsze jej tomy obejmowały wiek XIX, następne przygotowały główne dzieło, wyliczenie wszystkich druków polskich XVI do XVIII wieku; dzieło nieoce-

nionej korzyści dla każdej pracy z dawnej literatury; niniejszy zarys gorliwie się niem zasilał. Nie jest to bowiem suche wyliczenie tytułów i wydań; przy każdym autorze czy dziele jest podana cała literatura o nich, poruszone wszelkie wątpliwości, powydobywane z przedmów i tekstu ciekawe szczegóły, tak, że nabiera się pojęcia i o samem dziele, co przy nadzwyczajnem rozprószeniu dawnych ksiąg polskich znacznie ułatwia pracę.

Z historyków sztuki, po Ambrożym Grabowskim, Kremerze, Łepkowskim, po dziele Niemca, Essenweina, o pomnikach krakowskich (1866 r.), badał Włodzimierz Łuszczkiewicz zabytki architektoniczne, szczególniej kościelne, zdejmował plany, odtwarzał całości; jeździł w tym celu po całej Polsce. W Krakowie samym przystępywano do odnowienia dawniej jeszcze bibljoteki jagiellońskiej, potem Sukiennic i tumu marjackiego (dziś przychodzi kolej na Wawel).

Szersze badania podejmował Marjan Sokołowski, sięgając od przedhistorycznych czasów do nowszych, zajmował się głównie historją rzeźbiarstwa i malarstwa dawnego, stykami z Bizancjum i sztuką ruską, wpływami zachodniemi (od Norymbergi i Pragi). Jerzy Mycielski badał malarzów polskich zagranicą, np. Lubienieckich; przedstawiał w pięknej książce „Wiek malarstwa polskiego“, uprzystępniał nam obcych: Van Dyka — szeroki podkład historyczny, smak i znawstwo w rzeczach sztuki nadają tym studjom znaczenie wybitne. Na pograniczu sztuki, kultury i literatury rozwijał Kazimierz Chłędowski wielkie obrazy kultury włoskiej: Siena i Ferrara, sztuka, życie i historja odrodzenia włoskiego, promieniującego i do Polski Zygmuntowskiej, znalazły w nim wytrawnego znawcę i wymownego opowiadacza, idącego o lepsze z powieściopisarzem.

Za Krakowem nie pozostawał wtyle i Lwów, między historykami jego zaważył Ksawery Liske swoją energją; większych dzieł nie napisał, ale żywem słowem umiał cały zastęp młodszych pracowników zespolić około „Kwartalnika Historycznego“, czasopisma, popierającego rozprawami i recenzjami ruch wiedzy historycznej. Wśród nich należy wymienić prawnika Oswalda Balzera, nadzwyczaj czynnego, autora pomnikowej „Genealogji Piastów“, wydawcę aktów i konstytucji; Aleksandra Semkowicza, redaktora „Kwartalnika Historycznego“; Ludwika Finkla, autora znakomitej „Bibljografji historji polskiej“.

Z starszej generacji najwybitniejszą siłą był **Ludwik Kubala,**

jego specjalność to wiek XVII; w znakomitych monografjach (o Orzechowskim, Osolińskim) i szkicach (nadzwyczaj barwnych, przewyższających mocą słowa i plastyki szkice Szajnochy) do znajomości dziwnych tych czasów i ludzi przyczynił się najbardziej; pod ich wpływem powstało „Ogniem i Mieczem".

Dziejami Lwowa zajmywał się **Władysław Łoziński**, dawną świetnością miasta, jego handlowemi stosunkami, jego sztuką czy patrycjatem; jest to nietylko historyk obyczajowości, lecz i beletrysta niepospolity, jego „Madonna Busowiska" to jedna z najlepszych naszych nowel, celował i w szkicach „Pierwszych Galicjan" i w popularnych opowiadaniach, IMc. P. Wita Narwoja, rotmistrza kawalerji koronnej, z XVIII w., z nadzwyczajną werwą żołniersko-szlachecką, albo w „Oku Proroka" (z życia mieszczan lwowskich na szlaku handlowym wschodnim) i i., pisanych przez „Lubicza", świetnych stylem i barwą. Za jego zasługą powstał „Przewodnik naukowy i literacki" jako dodatek do „Gazety Lwowskiej", jedyny lwowski miesięcznik tego rodzaju. Z badań lwowskich przeszedł Łoziński do czerwono-ruskich i złożył na podstawie suchych zapisek sądowych w dziele „Prawem i Lewem" najbarwniejszy a zarazem najsmutniejszy szkic, jak to się bito i krzywdzono za Zygmunta III: Djabeł Stadnicki, ale i Szczęsny Herburt doczekali się słusznej oceny. Znawca i zbieracz niepospolity, stworzył nakoniec obraz „Życia dawnego", przeważnie szlacheckiego, w XVI—XVIII w.; barwniejszego, wyrazistszego, pełniejszego nie dała nam żadna powieść. Osolineum zaprzestało wydawnictwa Bibljoteki, łożyło zato koszty na monografje i na wyczerpujący katalog swych rękopisów.

W historji literatury i w filologji polskiej (zaniedbywanej w Krakowie, gdzie dopiero Lucjan Malinowski zapełnił lukę i wykształcił szereg uczniów) zajaśniał **Antoni Małecki**. W wykładach obejmował całość literatury; poświęcał rozprawy postaciom Morsztyna i Fryca; monografja jego o Słowackim (wydał i listy jego do matki i pisma pośmiertne) była pierwszą, znakomitą, wyczerpującą, wzorową pracą tego rodzaju, oceniającą i poszczególne utwory i *faculté-maitresse* pisarza, uwydatniającą szczegóły, lecz niegubiącą się w nich. Jego gramatyka polska przełamała lody: przed Małeckim gubiła się ta gramatyka co najwyżej w płonnem filozofowaniu o języku, lub pełzała na samych nizinach szeregowania faktów codziennego życia; on pierwszy skorzystał z postępów filologji słowiańskiej, z prac Miklosicha, powiązał z niemi historję języka i wykreślił jej tory. Gdy ustąpił z katedry lwowskiej,

nie wykonał dzieła, któregośmy się po nim spodziewali: badając życie średniowieczne, wdał się w szczegóły, odwodzące go od dziejów literackich coraz bardziej do początków narodu, do kwestji lechickiej, do studjów heraldycznych (tu zajął odrębne od Piekosińskiego stanowisko) i ekonomicznych; na tem polu zdobywał Nestor piśmiennictwa coraz nowe zasługi.

Uczeń jego, Roman Pilat, pisał nieliczne i nieobszerne monografje, cenne z powodu krytycznego opracowania nowego materjału; przewodniczył Towarzystwu imienia Adama Mickiewicza, które wydało szereg tomów „Pamiętnika“, zawierającego najcenniejsze przyczynki do genezy i historji pomysłów i dzieł wieszcza; Towarzystwo przystąpiło potem do znakomitego, iście pomnikowego wydania jego dzieł, rywalizującego z pomnikami z spiżu i kamienia, a wkońcu, w duchu tego, co o sobie samym najchętniej milczał, przekształciło się w Towarzystwo literackie, pielęgnujące w swoim „Pamiętniku“, w rozprawach i recenzjach, całość dziejów literatury narodowej.

Rozwijało się więc życie na polu badań historycznych i literackich, jak i na polu krytyki i publicystyki, ospałość umysłową starto nakoniec. Nie rozszczepiały i nie osłabiały ruchu i życia tego nowe waśni narodowe, wyznaniowe, społeczne. Również wzmogła się sztuka — Akademja sztuk pięknych krakowska zaważyła w rozwoju malarstwa, niegdyś za Matejki, potem za Fałata; teatr krakowski stał wysoko, prowadzony znakomicie przez Stanisława Koźmiana, stańczyka, Egerję Badeniego, znakomitego publicystę, który jednak historykiem — mimo źle ułożonego „Roku 1863“ nie został.

Kraj więc, najbardziej zacofany, wysuwał się, mimo zaniedbania ekonomicznego i innych niepomyślnych warunków, coraz energiczniej na czoło i przodownictwo, a wyróżniał się od innych dzielnic tem, że nie w jednem ognisku skupiał się tu ruch. Kraków, jeszcze przed pół wiekiem miasto wspomnień i grobów, ciche i senne mimo całej swej kultury i tradycji, reprezentuje dziś nazewnątrz najpoważniej naukę i sztukę polską; Lwów. przed pół wiekiem opierający się na kilku ludziach i na jednej, od założenia swego mało ruchliwej instytucji, z rozpanoszonym żywiołem napływowym, obcym, rozbudzonem życiem umysłowem, umiejętnem, skupiającem się w licznych towarzystwach i wydawnictwach, zdobywał zasługi, jakich za najświetniejszych czasów dawniejszych miasto handlowe i przedmurze przeciw islamowi nie dorobiło się

nigdy. Od dwu miast głównych szerzył się ruch i na mniejsze, Tarnów, Tarnopol, Stanisławów i Drohobycz.

Na ziemi galicyjskiej spotykają się od wieków światy słowiańskie, zachodni i wschodni, dwie narodowości, dwa obrządki, dwie kultury; stąd wynika znaczenie tej ziemi, jako pola najwdzięczniejszego dla badań etnograficznych, antropologicznych, a nawet archeologicznych. Podejmowano je też tutaj oddawna; ożywiły się teraz pod wpływem Akademji; znakomite wykopaliska, sięgające czasów scytyjskich (skarb michałkowski) i bogaty materjał ludowy same pobudzają do badań i porównawczych wywodów. Archeologją zajęli się Sadowski, poznańczyk, rozkopywając grodziska, cmentarzyska i jaskinie, i Demetrykiewicz. W ludoznawstwie odznaczył się **Oskar Kolberg**; szedł on torami Wacława z Oleska czy Wójcickiego jeszcze, zbierając pieśni ludowe i ich melodje; niebawem rozszerzył program, ogarnął wszystko, co stanowi „ludowość", chatę, ubiór i pożywienie, pieśni, bajki i język, wierzenia, przesądy i gusła, które sam zbierał, wędrując po kraju, i które wyczytał w dziennikach, kalendarzach i dawnych bruszurach. Tak powstały zbiory, wydawane pod tytułem „Lud" w nieskończonej ilości seryj i tomów; nie uwzględnił tylko Śląska i Prus.

W porównaniu z rosnącem z roku na rok bogactwem umysłowego życia Galicji, zasuwało się coraz bardziej w głąb Poznańskie, zubożone wychodźtwem wybitnych sił, uczonych, literackich, publicystycznych, wystawione na najcięższą walkę z górującym żywiołem obcym, rozporządzającym olbrzymiemi zasobami i wszechpotęgą państwową; w tej nużącej walce codziennej zużywało najlepsze siły. Kurnik, choć zmienił właściciela, mecenasował po dawnemu literaturze; dyrektor jego, Zygmunt Celichowski, wydawca to nieznużony, acz przeciążony pracą, nietylko literacką; zawdzięczamy mu dalszy ciąg Tomicjanów i publikacje rozmaitych skarbów bibljoteki kurnickiej. Dalej rozwijało swą czynność Towarzystwo Przyjaciół Nauk, po przewodniczących Stanisławie Koźmianie i Auguście Cieszkowskim prowadzone przez historyka kościoła (dziejów Unji), ks. biskupa Likowskiego.

Zbiory Towarzystwa obejmują i galerję obrazów i wykopaliska przedhistoryczne; w „Rocznikach" przeważają nieraz przyczynki lokalne, np. o dziejach Gniezna. Między kanonikami kapituły gnieźnieńsko-poznańskiej wyróżnił się dziełem o arcybiskupach i prałatach diecezji, ks. Korytkowski. Jako historyk litera-

tury i filolog, niespożyte położył zasługi Władysław Nehring, profesor wrocławski; wydawał najcenniejsze dawne zabytki, psałterz florjański i kazania gnieźnieńskie (najlepsze studjum o pomnikach staropolskich wydał po niemiecku), a studja i szkice literackie poświęcał różnym sprawom; trafna analiza estetyczna i myślowa, uwzględnianie prądów obcych, obszerne tło, włączające i literatury słowiańskie, czeską i ruską, cechują każdą z jego prac.

Wobec drobnych zasobów prowincji ani teatr ani dzienniki należycie rozkwitać nie mogły; kierunek i publicystyki i społeczeństwa samego pozostawał ultrakatolicki, zachowawczy aż do lękliwości przeciw każdemu wolnemu słowu i sądowi. Postępowało jednak znacznie uświadomienie narodowe, zdobywało klasy, nietylko miejskie, ale i wiejskie — chłop wielkopolski stawał na tej arenie, gdzie szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo, dla drobnej liczby, roztrwonionych zasobów, słabej energji, nie mogły liczyć na zwycięstwo. To uświadomienie ludu, mimo zaciętego oporu szkoły i urzędu, a nawet czasami i samego duchowieństwa, kierowanego od Wrocławia przez Niemców, robiło postępy walne i na Śląsku; zmieniły się czasy; z skromnego posiewu pierwszych działaczów rosły coraz bogatsze plony, czasopisma polskie liczyły już tysiące odbiorców („Katolik“ Bytomski do 25.000) i ruch coraz się wzmagał; występują poeci ludowi i budzą miłość języka ojczystego, unikając gwary ludowej; większych talentów nie było.

Na Śląsku austrjackim rząd nie stawiał przeszkód — na przeszkodzie stał brak sił, szczupłość środków, ale posłowie, nauczyciele (Miarka, Cieńciała, ogłaszający wiele materjału z zakresu ludoznawstwa), księża (ks. Londzin) krzątali się raźnie około potrzeb duchowych. Na innych ukrainach, w Prusiech Wschodnich (między Mazurami protestantami) i Zachodnich w walce nierównej siły się bardzo chwiały; niezawsze udawało się utrzymać dłużej zdobyte stanowisko — a takiem było już wydawanie dziennika dla ludu — wpływy duchowieństwa i tu były wszechmocne. Na Kaszubach próbowano nawet pisania w narzeczu miejscowem, dla spotęgowania kolorytu miejscowego; udało się to wcale dobrze H. Derdowskiemu w pieśni o „p. Czorlińscim co do Pucka po sece jachał“, owianej smętnym urokiem nadbrzeżnych sośnin i piasków kaszubskich; po nim A. Majkowski śpiewał jak w „Koscerzne koscelnygo obrele, abo pięc kawalerow a jedna jedyno brutka“.

Przez wychodźtwo i obieżyświatów tworzyła się diaspora pol-

ska daleko poza kresami; dawniej wsiąkali nieliczni wychodźcy bez śladu w otaczające tłumy obce; później w olbrzymiem centrum Berlinie, na czerwonej ziemi Westfalji, nawet za oceanem w Ameryce, szczególniej północnej, łączyli się i organizowali coraz liczniejsi wychodźcy, starając się o utrzymanie cech narodowych, zwracając się w poezji emigracyjnej (ludowej) z tęsknotą do ojczyzny, zakładając nietylko szkółki, ale i kościoły, wydając czasopisma. Czasopiśmiennictwo na obczyźnie było zresztą dosyć prymitywne; w amerykańskiem dbało o czystość, poprawność języka, wystawionego na straszną konkurencję angielszczyzny, im łatwiejszej tem niebezpieczniejszej.

Innemi torami kroczyło życie umysłowe Królestwa, t. j. Warszawy, monopolizującej niby drugi Paryż, to życie; miasta prowincjonalne, nawet Łódź, bogata w obce siły i zasoby, o rozwoju bajecznym, amerykańskim, odrębności czy samoistności nie zaznaczały. Wobec braku życia politycznego i zanikającego ruchu naukowego, prądy literackie i artystyczne, niemal wyłącznie teatralne, dalej krytyczne i społeczne zawładnęły publicznością i publicystyką, miesięcznikami i tygodnikami, nawet organami codziennemi; najpopularniejszy z nich, „Kurjer Warszawski“, o charakterze tak lokalnym, że poza rogatkami warszawskiemi wartości jego nie można się dopatrzyć.

W latach siedmdziesiątych na gruncie warszawskim rozegrała się właściwie walka między „młodymi“ a „starymi“, chociaż pierwsze jej strzały padały w Galicji, we Lwowie, w artykułach Kaz. Chłędowskiego i Pawlickiego. Wychowańcy Szkoły Głównej — niema w dziejach drugiego przykładu, żeby tak krótkotrwała instytucja, tylko siedm lat istnienia licząca, wydała tak znakomity posiew, zaznaczyła się tak głęboko w dziejach umysłowości — gdy kraj ochłonął, stanęli w imię postępu, wiedzy, wolności myśli, do boju. Zacofanie było straszne; mścił się teraz trzydziestoletni brak wyższego wychowania, studjów uniwersyteckich; postęp nauki i myśli europejskiej był olbrzymi, a nie wiedziano o nim w kraju, rozmarzonym i sennym, stającym bezradnie wobec przykrej i niemiłosiernej konieczności; sama przecież reforma stosunków włościańskich wywoływała przewrót olbrzymi. Młodzież ta wzięła stanowczy rozbrat z tradycją porywów i przeciwstawiła jej zasadę odradzania się przez rozwój cywilizacyjny; najgłośniejszy i najwymowniejszy jej rzecznik, Aleksander Świętochowski, autor słynnego manifestu „My i Wy“, formułował jeszcze w r. 1882, gdy siła nowego prądu

już się wyczerpywała, program jego w tych słowach: „*marzeniu* o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny *staraniom* o samodzielność wewnętrzną; samodzielność ta zaś może być tylko wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materjalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzacji społeczeństwa, powołującej do działania w nim pierwiastki nierozbudzone". Program „pozytywistów" warszawskich stykał się więc miejscami z programem stańczyków krakowskich; różnił się zasadniczo łamaniem, burzeniem wszystkiego, co zastarzałe, tradycyjne; wiarą w hasła najnowszej nauki zamiast wyznaniowego konserwatyzmu.

Najbardziej wojowniczym organem pozytywistów był „Przegląd Tygodniowy"; najbardziej zacięte walki toczyły się w latach 1871—1874. Młodzież, kształcąca się na dziełach obcych, wypowiadała walkę poglądom tradycyjnym na religję, na świat i na dzieje własne, na wszystkie zagadnienia chwili; w imię trzeźwości i pracy organicznej burzyła ołtarze romantyczne i szranki patrjarchalne i biczowała obskurantyzm i zacofanie na każdem polu; ubóstwiała rozum, pracę i postęp. Bożyszczami jej byli Anglicy, Francuzi i Niemcy: historyk-determinista Buckle, kultowi jednostek przeciwstawiający znaczenie mas; przyrodnik Darwin, dopełniający kręgu ewolucjonizmu przez niewyłączanie z niego osobnym aktem tworzenia człowieka; pozytywista Comte, chociaż nudnego, ciężkiego, rozwlekłego Francuza znano raczej tylko z dzieł jego popularyzatorów; Renan, oblekający wywody Niemca (F. D. Straussa) w szaty najponętniejszego wysłowienia; strasznie przecenieni materjaliści niemieccy, dziś zapomnieni, Büchner, Moleschott i Vogt. Szerzeniom nowych, „trzeźwych" poglądów oddawali się wojowniczy, wymowni przodownicy w tej walce, Świętochowski, Ochorowicz i inni; wywoływali u przeciwników, zagłuszonych i nieśmiałych, bo zaskoczonych znienacka, im mniej treściowe, tem złośliwsze i jadowitsze repliki; walki programowe obniżały się nieraz do zaczepek i wyzwisk osobistych. Powoli stygnęły zapały, lecz burza oczyściła powietrze; nikt nie miał odwagi powracać jawnie i otwarcie do dawnej zaśniedziałości i zardzewiałości. Wynik ostateczny był nieco połowiczny; i „pozytywiści" nie zawładnęli ani krajem, ani nawet młodzieżą; szczególniej po r. 1880 uwidoczniało się coraz bardziej, że zakrzyczeni, oszołomieni „zachowawcy" nie stracili przecież ziemi pod nogami, że odzyskali niemal stracone stanowiska; popłacały hasła, nawet stronnicze i wsteczne, np. antysemityzm; po drugiej stro-

nie hasła coraz radykalniejsze, przemycane głównie z Cesarstwa, od socjalistycznych aż do najskrajniejszych, najbardziej między młodzieżą coraz liczniejszych znajdowały wyznawców.

W tych zapasach umysłowych odegrały najgłówniejszą rolę prócz nauk, później społecznych, przedtem przyrodniczych, w które przez jakiś czas jedynie wierzono, filozofja, historja, krytyka publicystyka. H. Struve, filozof Szkoły Głównej, idealista-realista, zwracający się z lubością do podstaw narodowych, szukający odrębnych cech filozofji polskiej, niemógł narazie imponować uczniom Wundta, admiratorom Haeckla, przesadzającego na grunt polski Darwina i darwinizm i głuchły i głosy tych, co poważali się krytykować autorytet Buckla; pozostało zasługą Struvego obudzenie zajęcia dla dociekań filozoficznych. Ruch zapanował i w dziedzinie historji, leżącej w Królestwie dawniej odłogiem, chociaż przystęp do niej był łatwiejszy, niż do filozofji, wymagającej przygotowania i uzdolnienia, nie zawsze będącego udziałem publicystów, szczególniej prawowiernych. Od badania faktów zewnętrznych, czem się doniedawna zadowalano, przeszedł Adolf Pawiński, historyk Szkoły Głównej (obok Plebańskiego), uczeń Waitza w Getyndze, jak Smolka, do intensywnego badania dziejów wewnętrznych. Miał poprzedników i w kraju, np. ks. T. Lubomirskiego, historyka stosunków włościańskich, ale przewyższył ich nadzwyczajną ruchliwością, metodą wydoskonaloną, pogłębieniem. Zwrócił się — a jako dyrektor Archiwum korzystał z jego niewyczerpanych zasobów pełną ręką — ku badaniom ekonomicznym i prawnopaństwowym; w „Polsce XVI wieku“, olbrzymiem wydawnictwie, dokonywanem i z pomocą innych (A. Jabłonowskiego dla ziem ruskich), badał ilość ludności, rodzaj jej danin i wszelkie inne stosunki; szczególniej pociągały go dzieje Batorego, badał skarbowość jego czasów, kreślił w znakomitym szkicu jego chwile ostatnie, albo jego łowiectwo; dalej ustrój i wpływ sejmików ziemskich, instytucji, pomijanej przez historyków naszych milczeniem, skupiających uwagę na sejmie walnym, gdy instrukcje sejmikowe właśnie obowiązywały i posłów i sejm koronny; w ustroju niby federacyjnym rzeczypospolitej sejmiki te stanowiły ważny czynnik. Podejmował kwestje specjalne, o Ostrorogu; jego „Młode lata Zygmunta Starego“ są nieprześcignionym wzorem analizy psychicznej i kreślenia strony obyczajowej.

Pokrewny kierunek uwydatnił się w pracach Tadeusza Korzona, Władysława Smoleńskiego i Aleksandra Rembowskiego

Korzon napisał „Dzieje wewnętrzne za Stanisława"; w kilkutomowem dziele wykazał liczbami i tabelami, jakie były zasoby krajowe i jak się wzmogły za Stanisława, jak bogate były wyniki tej pracy cichej, organicznej. Zapomocą innych dzieł dowiódł jednak Korzon, że nęcą go i osoby; pomijamy jego studja o Staszycu i o Lelewelu, ale „Dola i niedola Sobieskiego", tak bogate w szczegóły, malownicze, charakterystyczne, że czyta się je, jak powieść zajmującą — to pomnik najpiękniejszy, jaki dotąd wzniesiono marszałkowi i hetmanowi wielkiemu koronnemu: autor urywa na koronacji; również zasłużył się wystawieniem pomnika-biografji Kościuszce Specjalnością Smoleńskiego były czasy Stanisława Augusta, przełom w narodzie, wyjście z odrętwienia saskiego, wielki proces obyczajowy odrodzenia duchowego. Autor poświęcił szereg barwnych szkiców Kuźnicy Kołłątajowskiej i samemu Kołłątajowi, lożom wolnomularskim i księdzu Markowi, Komisji edukacyjnej i opinji publicznej; doprowadził dzieło Kalinki, „Ostatnim rokiem sejmu wielkiego" do końca. Aleksander Rembowski, ostatni magister Szkoły Głównej, oddał się studjom prawno-państwowym i historycznym; wszelkie plany reformy, pomysły polityczne w dawnej Polsce, od Modrzewskiego począwszy, rozmaite strony dawnego ustroju państwowego, nawet rokosze, znalazły w nim sumiennego badacza, posługującego się chętnie metodą porównawczą, obznajmionego gruntownie, na czem u nas często zbywa, i z literaturą obcą i z dziejami postronnemi. Dzielna siła Stosława Łaguny zeszła niespożytkowana do grobu; w drobniejszych przyczynkach i w pracy redaktorskiej przy „Ateneum" rozproszył skarby wiedzy, przenikliwości, zdolności jasnego wykładu. Aleksander Kraushar, który i z piersi bolejącej wydobył strofy silne i piękne, odtworzył z dziejów tyle zapomnianych postaci, że złożyły się na bogatą galerję. Najbardziej pociągała go Warszawa; najobszerniejszą też monografję poświęcił „Towarzystwu Królewskiemu Przyjaciół Nauk, 1800—1832", ogłaszając protokóły jego posiedzeń.

Czem Kraushar w Warszawie, tem był Antoni J. (lekarz kamieniecki, Rolle) na Podolu i Ukrainie; dyletant, zwabiony ciekawością podań, żałujący butwiejących, lub rozproszonych archiwów, jeżdżący po prowincjach południowych, obeznany z żywą tradycją, z osobami i miejscowościami, co wyczytał lub usłyszał, o Malczewskim czy o pani Delfinie Potockiej, o Stachu z Zamiechowa czy o „bardach" polskich, Hulewiczu czy Tomaszewskim, czego się doszukał

po Niemiryczach, po Chmielniczeńce i tak dalej wstecz aż do XVI wieku — opowiadał, zawsze bez pretensji, czasem i bez krytyki, zato zajmująco i żywo: to „obrazy ukraińskie“, niby litewskie Chodźki, i także coraz nowemi serjami wydawane; opisał życie kresowe, „ruinę“, hajdamaczyznę jak najbarwniej — z jakimiż to oryginałami nie zapoznawał czytelnika: od filozofów domorosłych i mistyków (Grabianka) aż do rozmaitych awanturników i warchołów; ileż to wspomnień uratował od zagłady! Żywą tradycję z tych samych stron skupił Bobrowski w swoich wspomnieniach, w pierwszej chwili, okrzyczanych jako zbyt niedyskretne; malują one społeczeństwo szlacheckie, od niedobitków XVIII wieku, panów i podpanków aż do chłopomanów kijowskich; galerja jego portretów bardzo osobliwa, są i literackie wielkości, np. Rzewuski, przeważają prowincjonalne; brak podobnie wydatnego źródła dla dziejów innych ziem i prowincyj. Uzupełniają je najrozmaitsi; cały wiek XIX, a nawet i czasy dawniejsze obejmywał Eug. Helenjusz, kuszący się o historjozofję, zniżający się jednak i do prostej *silva rerum* staroszlacheckiej; bliższym czasom poświęcił barwne wspomnienia i studja mieszkający we Lwowie Franciszek Rawita Gawroński, zasłużony i jako nowelista, opowiadający i o Sadyk-Baszy i o r. 1863 na Rusi, stawiający pomnik i Chmielnickiemu — odmienny od kijowskiego. W inne czasy i strony sięgają dwa pamiętniki zasłużonych pasterzów naszych, nierówne zresztą co do wartości i obszerności, biskupa Krasińskiego, urywający rychło, i Szczęsnego Felińskiego, bogaty w szczegóły niesłychanej dramatyczności, głęboko wstrząsający.

Ruch naukowy warszawski posiadał znamiona obce galicyjskiemu. Cechowały go coraz liczniejsze tłumaczenia, dzieł Spencera, Tylora, Hettnera; wydawnictwa zbiorowe „książek dla wszystkich“. Popierała ten ruch pożyteczna instytucja, Kasa imienia Mianowskiego (rektora Szkoły Głównej); w znacznie skromniejszych rozmiarach niby Akademję w Warszawie wyręczała, chociaż sama nie dawała podniety do badań i pracy naukowej, tylko wspierała gotowe prace czy wydawnictwa krajowe. Rzeczy oryginalne, w całej produkcji warszawskiej ustępowały na plan dalszy dla braku uczonych specjalistów. Przeważały encyklopedje, ogólne i fachowe, od teologicznej i pedagogicznej aż do rolniczej, i wypełniały braki literatury zawodowej.

Do cenniejszych wydawnictw warszawskich, oprócz Wielkiej Encyklopedji, należał „Słownik Geograficzny ziem polskich“, wielo-

tomowy, wydanie Sulimierskiego, dokończone przez Br. Chlebowskiego, znanego chlubnie i na polu krytyki i historji literatury (w studjach o Kochanowskim, Janie i Piotrze, o Reju, o Szymonowicu, Twardowskim, Pasku i t. d.) — śledzono tu dzieje każdej miejscowości na źródłowej podstawie i wyprzedzono ogromnie dawną pracę Lipińskiego i Balińskiego. „Bibljoteka wyborowa", wydawana pod redakcją P. Chmielowskiego, mieściła w sporych tomach arcydzieła obcej i naszej literatury.

Równocześnie pobijała Warszawa Galicję miesięcznikami i tygodnikami. Nawet ilustrowane w Galicji („Strzecha") nigdy się utrzymać nie zdołały; w Warszawie, prócz „Kłosów", „Tygodnik Ilustrowany" wiele się i około beletrystykę zasłużył. Z miesięczników najstarszy, „Bibljoteka Warszawska", programowi swemu nie sprzeniewierzył się nigdy, chociaż redakcje się zmieniały; w latach 1870—1890 dawał się odczuwać pewien zastój; kierunkiem silnie zachowawczym (aż do pisowni) odznaczały się czasy Plebańskiego; podrywało znaczenie „Bibljoteki" „Ateneum" pod redakcją Chmielowskiego, Pawińskiego, Łaguny; dział beletrystyczny pozostawiał w obu miesięcznikach wiele do życzenia. Z tygodników występowała najdonośniej „Prawda" pod redakcją Świętochowskiego — dopiero w ostatnich latach, gdy kredyt pozytywistów się poderwał, zmalał jej wpływ.

Wśród krytyków warszawskich wybił się na czoło wykształcony filozoficznie uczeń Szkoły Głównej, który kolegował z Świętochowskim, Sienkiewiczem, Kotarbińskim, Ochorowiczem, Głowackim, a który wszystkich przerósł wydatnością i metodycznością pracy — **Piotr Chmielowski**, walczący w szeregach pozytywistów, potem całkowicie oddany dziejom literatury, spółczesnym i dawniejszym, i bieżącej krytyce beletrystycznej, szczególniej jako redaktor wieloletni w „Ateneum". Metodyczność i trzeźwość, graniczące z suchością i chłodem, przeniósł pozytywista na pole literackie; zastosował żelazną siłę systematycznej pracy, niemarnującej żadnej godziny, do olbrzymiej produkcji historyczno-krytycznej, i pytamy zdziwieni, gdzie znalazł czas, żeby to wszystko przeczytać, gdzie czas, żeby to wszystko napisać? Żadna powieść, utwór dramatyczny czy liryczny ostatniej ćwierci wieku nie uszły jego uwagi, o każdem wydał sąd — a że trafnie pokazało się to wtedy, gdy mógł bez zmian zebrać w jednej książce to, co w ciągu owej ćwierci wieku pisywał o Sienkiewiczu; zbiorowa książka obok podobnej książki Tarnowskiego utrzymać się mogła niezgorzej;

uznano ją za najlepszą rzecz o Sienkiewiczu. Podobne roboty są u niego częste; tytuł, zapowiadający niby całość, zawodzi, gdyż to zbiór luźnych artykułów, wyjątkowo nanizanych na cienką nitkę, (historja dramatu polskiego). Sędzią był wymagającym; pięknością czy oryginalnością formy nie dawał się podkupić; stąd jego sceptycyzm wobec modernizmu; pozytywista i altruista nie mógł się pogodzić z wygórowanym indywidualizmem, egotyzmem, mistycyzmem; sąd jego o Wyspiańskim i Rydlu bywał ostry; nie odznaczał się przytem ani wrażliwością na piękno, ani ponętną formą. Trwalszą wartość mają też jego studja, zwrócone ku przeszłości, badające ją najżywiej w ciągu jednego wieku, 1760—1860. Przygotowanie filozoficzne, olbrzymie oczytanie, nadają stałe znaczenie dziełom, studjom i szkicom, o Adamie Mickiewiczu, o Kraszewskim, o Krasickim, o Rzewuskim i Sztyrmerze, o Żmichowskiej, o walce liberalizmu i obskurantyzmu na Litwie i Rusi, o dziejach krytyki. Spokój i wstrzemięźliwość tonu, rzetelne docieranie do dna prawdy, obmyślenie głębokie przedmiotu, wszechstronne jego zbadanie zalecają każdą z tych prac. Przeszedł Chmielowski i do całokształtu dziejów naszej literatury: wydał go w sześciu tomikach, którym „Zarys literatury najnowszej“ (w każdem nowem wydaniu — coraz bardziej rozszerzany) służył za dopełnienie; dwie trzecie tej pracy przypadły na lata 1800—1864.

Do dziejów starszych zwracał się R. Plenkiewicz, zasłużony pedagog; jego inicjatywie zawdzięczamy jubileusz Kochanowskiego, uświęcenie jego wydaniem pomnikowem dzieł, w którem góruje biografja, najobszerniejsza z tych, na jakie się u nas dotąd dla pisarza dawnego zdobyto. G. Bem, pedagog i krytyk, dbały o czystość językową, występował z drobniejszemi przyczynkami, umiał licznych uczniów zachęcać i wychować w miłości dla słowa ojczystego. Mimo braku fachowych sił naukowych zawdzięczamy Warszawie prace wielkiej wagi. Karłowicz, Kryński i Niedźwiedzki przystąpili do wydania „Słownika języka polskiego“, zapełniając lukę, dotkliwie odczuwaną oddawna — po Lindem i słowniku wileńskim (Orgelbranda) obywaliśmy się przez pół wieku byle czem, a raczej niczem, jeśli pominiemy pracę biskupa Krasińskiego o synonimach polskich. Karłowicz, niestrudzony w pracy obywatelskiej, postępowy, o szerokim widnokręgu, zasłużył się nadto umiejętnem traktowaniem rzeczy ludowych, gwarowych, szczególniej wydawnictwem „Wisły“, organu ludoznawczego,

i stworzył szkołę, bo i rosyjska „Żiwaja Starina“ i czeski „Lid“ i lwowski „Lud“ „Wisłę“ wzięły za wzór.

Warszawianin (uczeń Szkoły Głównej), Baudouin de Courtenay, pracował poza krajem, w uniwersytetach rosyjskich, pisywał też głównie w obcych językach; oryginalny to badacz, zwracał się z zamiłowaniem raczej ku ogólnym, psychologicznym podstawom i prawom, niż ku historycznym, konkretnym objawom życia językowego.

Osobne stanowisko zajął Zygmunt Gloger, uczeń Szkoły Głównej, już od ławy szkolnej zbieracz rzeczy dawnych i ludowych i szczęśliwy ich popularyzator. Najbardziej przysłużył się wydawnictwem „Encyklopedji Staropolskiej Ilustrowanej“, niewyczerpanej skarbnicy wiadomości o dawnych ludziach i czasach, ubiorach i zabawach, życiu i mieszkaniu; z iście synowskim pietyzmem, z wiedzą bogatą, kreślił ciepłem słowem szczegóły, o jakie powieść nasza historyczna tak często potrąca, a o których przeciętny czytelnik zwykle bardzo niejasne miewa wyobrażenia. I w innych pracach („Pieśni ludu polskiego“) występował jako głęboki znawca i miłośnik rzeczy ojczystych i umiał dzielnem piórem wzbudzać ku nim zajęcie; wydobywał szczęśliwie dawne zabytki, a jeden z pierwszych zagaił badania nad obrzędami ludowemi.

Rzeczy litewskie nie doznawały natomiast należytej opieki; jedyny A. Mierzyński, profesor Szkoły Głównej, podtrzymywał tradycje dawne, Zalewicza, Kraszewskiego, Narbutta, pracami nad archeologją i mitologją litewską. W litewskiem społeczeństwie samem odzywały się między młodzieżą pierwsze separatystyczne tendencje; hasła narodowościowe, panujące wszędzie, rozbudzane nawet między żydami (przez sjonizm, zakreślający coraz szersze koła i w Królestwie), musiały oddziałać i na Litwę, t. j. na Żmudź, gdzie jedynie żywioł litewski jest silny. Młodzież odwracała się od polskiej mowy i kultury, pielęgnowała jakąś niebywałą, urojoną własną, starała się wykreślić wspomnienia przeszłości polskiej. Tracił więc element polski grunt pod nogami i na rdzennej Litwie; jeszcze bardziej dawało się to odczuwać w dalszym obrębie Krajów Zabranych. Dwory po wsiach, zaścianki, ludzie wykształceńsi zachowali tryb dawny, niezmieniony, lecz po miastach, gdzie przeważa element żydowski, zmieniał się ten tryb coraz widoczniej, nawet w Wilnie, nie mówiąc już o mniejszych i dalszych. Brak wydawnictw perjodycznych, osłabienie ruchu umysłowego, życia

duchowego · mimo pracy jednostek — objawiały się coraz groźniej w swych skutkach.

Obok Warszawy Petersburg publicystyką i wydawnictwami zdobył stanowisko, jakie już niegdyś, przed rokiem 1848, posiadał. Nie mówimy tu o pisarzach pochodzenia polskiego zupełnie zruszczonych, jak noweliści Jasiński lub Barańcewicz, lecz o gronie, skupionem około „Kraju". Pomijamy Czesława Jankowskiego (poetę, rzeźbiącego z nadzwyczajnym kunsztem swe arabeski, monografistę powiatu Oszmiańskiego) i redaktora „Kraju" E. Pilca, aby zatrzymać się na najwybitniejszej postaci wśród Polaków petersburskich, **Włodzimierzu Spasowiczu**. Należał on do dwu literatur, do rosyjskiej i polskiej. Był dzielnym profesorem prawa, potem wymownym adwokatem — o fachowej jego pracy tem łatwiej zamilczeć, że wyrażała się głównie w języku rosyjskim; jako polityk-publicysta i jako krytyk-historyk literatury opracowywał tematy rosyjskie i polskie, — przeważały polskie. Nie napisał niczego równie obszernego, jak „Historja literatury polskiej", doprowadzona do r. 1863, głównie poświęcona poezji (przynajmniej w XIX wieku), albo jak ocena działalności „Margrabiego"; studja o Puszkinie lub Lermontowie, albo ocena Kawielina im nie dorównywują; wydawał pamiętniki Matuszewicza dla Litwy XVIII, Bobrowskiego dla Rusi XIX wieku zaczął zawód literacki od tłumaczenia łacińskich dziejopisarzów krajowych (dla wydawnictwa Wolffa). Nie poruszamy tu strony politycznej, zasad i przekonań — o nie Spasowicza napastowano najczęściej i najzawzięciej, podejrzewając go o wszelkie możliwe odstępstwa, o czem mu się ani śniło, płacąc mu niewdzięcznością za wszystko, co działał, pisał i mówił. Jego występy w literaturze, bo tylko o nich tu mowa, cechowała świeżość, brak szablonów literackich, samoistność sądu człowieka głęboko myślącego, bardzo wykształconego, o najszerszym widnokręgu umysłowym, któremu — o co u nas tak trudno — obca była wszelka zaściankowość, ocierającego się ciągle o wielki świat (myśli i wiedzy), wolnomyślnego, demokratę, więc zgóry przeciw Polowi np. uprzedzonego. Każde jego studjum literackie, czy dotyczy Hamleta lub Wallenroda, czy Schillera i Goethego, lub Połanieckich i Dołęgi, pomijało kwestje filologiczne, badało jądro myśli i treści, charakteryzowało na zasadzie dzieła nietylko autora, lecz społeczeństwo i epokę. Jego historja literatury polskiej, przed czterdziestu laty napisana i niewielka rozmiarami, przewyższała wszystkie inne głębokością i trafnością

sądu, całością ujęcia, wykładem zajmującym i żywym; coraz nowe jej wydania polskie (tłumaczenia Bema) dowodziły najlepiej jej niezachwianej powagi.

Dzieje porozbiorowe przedstawiają istny kalejdoskop: widoki zmieniają się ciągle. Co stało się z dawną emigracją, z ową Polską poza obrębem Polski, wiodącą niegdyś rej umysłowy? „Naród w minjaturze“ zszedł, wobec zmienionych warunków, dawno już na coraz skromniejszą kolonję polską, tracącą spoistość, łączącą się jeszcze w celach głównie dobroczynnych, podtrzymującą z największym wysiłkiem dawne fundacje — z niejednych chyba nazwa pozostała. Na ten przewrót, na to unicestwienie niemal zupełne dawnego znaczenia emigracji, złożyły się najróżnorodniejsze stosunki i wpływy. Same szeregi wychodźców przetrzebiała śmierć; amnestje Aleksandrowskie nowe w nich czyniły szczerby; nie zasilał ich napływ nowych przybyszów, nawet po wypadkach 1863 i 1864 r., bo wychodźcy z tych czasów rozpraszali się raczej po Szwajcarji, Włoszech, Anglji, a nie skupiali się więcej w Paryżu samym. Tu dogasali tylko Mohikanie emigracyjni, np. Zaleski, ale druh jego humański, Goszczyński, wrócił do kraju. Z młodszych należy się najgłębsza uwaga znakomitemu poecie-malarzowi, Cyprjanowi Norwidowi (brat jego Ludwik pisywał mało, głównie obrazki satyryczne, „choć z piersią rozdartą śmiał się z ludzi, bo płakać nie warto“). Z cyganerji warszawskiej, z kółka Wolskiego, Dziekońskiego, przeniósł się Norwid do Paryża, gdzie po podróżach we Włoszech i w Ameryce życia dokonał w wielkiem ubóstwie, w szpitalu. Jak poezję, tak dzielił on i losy Słowackiego — niezrozumiany, wyszydzany za życia, pośmiertne dopiero uzyskał uznanie i dopiero moderniści, Miriam przedewszystkim, uprzystępnili ogółowi skarby jego puścizny literackiej. Za życia nie znalazł nawet jednego Krasińskiego, coby „niezrozumiałego“ słusznie ocenił; perły natchnienia i głębokiej filozofji, dziejowej i życiowej, rozrzucał daremnie. I on, jak Słowacki, fantasta, symbolista i mistyk; mistrz myśli i słowa, nie formy; serce czyste, idealne, o popędach altruistycznych, silnych; wierzący głęboko, sztuce swojej najwyższe zakreślał zadania; po pierwszych powodzeniach warszawskich, krótkotrwałych, przeszedł przez życie jako smutny asceta, ofiara poezji. Nie tworzył dla dnia, dla mydlarzy i ich wymagań; smagał je owszem biczem zasłużonej satyry, opowiadając w ciętym wierszu, jak to „reduktor“ rzeźbę, przedstawiającą męczenników, aby ją łatwiej sprzedać, w apoteozę kapita-

lizmu przerobić kazał; stronił od miasta, „serc i kwiatów grobu“, wielmożna świetność kłuła i mroczyła wszędzie jego „chłopskie“ oczy. Pociągało go wszystko wielkie, tajemnicze, czyste; zwracał się do najgłębszej przeszłości narodowej, do misterjów o Krakusie, o Wandzie; znakomicie odżywał świat starożytny pod jego piórem w „Kleopatrze“ (zdefektowanej); do arcydzieł poezji należy jego wizja południowa w Pompei; jego powieść wierszem, „Quidam“ (z czasów Hadrjana), nierównie więcej klasycznym owiana duchem, niż najzawołańsze romanse świata, przeszła całkiem niepostrzeżona, bo gardziła, jak autor sam na własną szkodę, wszelką efektownością, niepozorna napozór — najcenniejszy to hołd polski, dawnemu złożony Rzymowi. Towiańczyk, jak Słowacki, utożsamiał słowo z czynem; goniec przyszłej, narodowej sztuki, broniący jej przeciw Klaczce, nietylko wymagał czystych natchnień, bezinteresownej służby, ale i sam tego dopełniał, niezrażony milczeniem grobowem, jakiem przyjmowano rzadkie jego występy; jak Słowacki, wyczuwał w słowach i nazwach osobliwsze tajemnice, wskazówki. Schodził i do życia codziennego, i odtwarzał je znakomicie i głęboko w drobnych utworach. Ale ten kapłan sztuki wielkiej i czystej, zaliczający się do Nazarejczyków między malarzami, wymagał od czytelnika, by się dostrajał do jego głębi, by dosnuwał z siebie to, czego nie wypowiedział całkowicie poeta. Dla przeciętnego czytelnika był więc zbyt „tajemniczy“ — jego poezja nie dla zjadaczów chleba, „kawiar to dla tłumu“, jak i Słowacki. Igrzyska poetyckiego emigracyjnego najgodniej, najwznioślej dokończył. Sztuka jego wszędzie „stygmatów“ cech wiecznych się doszukuje, gardzi przeciętnością, dąży do nadczłowieka i nadnarodowego stanowiska, chętnie używa alegoryj („Fortepian Chopina“, rozbity przez kozaków na warszawskim bruku). Poeta „ruin nieplastycznych“ nie zniżał się, acz obarczony klęskami osobistemi, w hardej swej duszy, w nieskażonem niczem sercu do tłumu, wznosił go raczej do siebie — dziś dopiero oceniany wedle swej niespożytej wartości.

Miejsc dawnych nie zajmowali nowi przybysze; czynność Towarzystwa literackiego wyczerpała się; „Bulletin polonais“ zasilał głównie Gasztowtt tłumaczeniami „Pana Tadeusza“; kolonja sama liczyła więcej artystów-malarzów, niż literatów. Najczynniejszym był Władysław Mickiewicz; nietylko dla Francuzów skreślił biografję ojca, ale z nadzwyczajnym pietyzmem zebrał w cztero-

tomowem dziele polskiem wszystko, co ocalało z papierów i wspomnień po ojcu, wydał jego korespondencję i pisma francuskie.

Wychodźtwo traciło tem bardziej na znaczeniu, że się nie skupiało, jak dawniej, we Francji, lecz rozpraszało we Włoszech, Anglji, Szwajcarji, gdzie obok Jeża, obok Muzeum Raperswilskiego — które Plater St. ofiarnie założył, bogatego w rzeczy polskie, najbardziej w emigracyjne, zasilanego niegdyś hojnie przez równie ofiarnego, jak skromnego radykała, Katona w życiu, antykwarjusza w narzuconym przez okoliczności zawodzie, H. Bukowieckiego ze Sztokholmu — należałoby wymienić Bolesława Limanowskiego, który się tu przeniósł z Galicji, radykała, badacza dziejów nowego ruchu społecznego.

Tak potężniał ruch naukowy i krytyczny, przejmował się nowemi metodami i ideami, nie zaskorupiał trwożny i oględny w dawnej szlachecko-wyznaniowej jednostronności. Uwzględniał w pierwszym rzędzie i teraz jeszcze rzeczy polskie, ale sięgał i poza nie, nawiązywał do ruchu europejskiego, wychodził z dawnego odosobnienia, z patrzenia na wszystko wyłącznie pod kątem swojskości, bo dążył do ogólniejszej, trafniejszej oceny. Nie zacierał jednak cech narodowych, owszem starał się i je uwydatnić i stykał się w tem z literaturą piękną, wyrażającą z coraz większą samowiedzą ducha narodowego.

Dziedzin tej literatury nie uprawiano jednomiernie. Zdawało się jakiś czas, że ziszczą się przepowiednie Korzeniowskiego, i wylew powieściowy je całkiem zatopi. Szczególniej groziło to poezji; trzeźwa, czy wytrzeźwiona teraźniejszość wyrzekała się stanowczo romantycznej przeszłości i jej poezji. W stuleciu pary i węgla, nauk przyrodniczych i społecznych, wyprzedzających filozofję i dzieje, materjalizmu i walk ekonomicznych (gdy dawniej ludzie z głodu i deptania cierpliwie i przykładnie umierali), rozwiewały się ułudy, burzyły ołtarze poezji i dawna rozmarzona poezja uchodziła w dal wieków. Już nie bojowano w imię haseł romantycznych, lecz w imię pracy organicznej od podwalin, wyrzekano się uroczyście (przez usta Świętochowskiego) wszelkich marzeń politycznych, zadowalano się protestem myślowym przeciw gwałtom. Pocieszano się, że naród, który wprawdzie politycznie przestał być i który zwątpiłby musiał o swojem istnieniu, oparty o sam dorobek cywilizacyjny, duchowy, może powiedzieć o sobie: myślę, więc jestem. Za miskę soczewicy owej kultury sprzedawano wszelką myśl o prawach narodowych, żegnano się

niby przed upiorem od szału uniesień romantycznych, potępiano sam romantyzm i w nim upatrywano przyczyny klęski narodowej. Jeżeli jeszcze uznawano poezję, to tylko tendencyjną, zwalczającą wszelkie przesądy, broniącą wydziedziczonych, druzgocącą dawne powagi, szerzącą kult światła i prawdy, sławiącą pracę, postęp, wiedzę, nowe, jedynie trwałe potęgi. Huk młotów, świst pary, zgrzyty walk stanowych zagłuszały poezję i zanosiło się u krótkowidzów na to, że zatrzasną się rychło podwoje sztuki za ostatnim poetą.

W Europie spółczesnej występowały już podobne objawy — u nas miały one napozór nierównie większe uzasadnienie. Przecież polityczne bankructwo romantyzmu było okupione przerażającemi zawodami i ofiarami owego porwania się z motyką na słońce. Jeżeli naród nie miał zatonąć ostatecznie we krwi własnej, należało spojrzeć w oczy owej rzeczywistości i prozie życiowej, nie bujać chimerycznie; należało leczyć rany, wybrnąć z zacofania, ze straszliwego ubóstwa, uświadomić lud, który zawiódł zupełnie pokładane w nim urojone zresztą nadzieje; zjednywać sobie obcych. Było więc aż nadto pracy naglącej, aby, pożegnawszy wszelkie ułudy i rojenia mesjaniczne czy jakiekolwiek inne, ratować od zagłady, utrzymywać dla jakiejś lepszej przyszłości to, co pozostało. Młodzież nie chciała już powtarzać haseł ody romantycznej ani nie chciała słyszeć o kulcie piękna, sztuki, ideału estetycznego; szydziła nielitościwie ze spóźnionej romantyczności. W słynnym artykule („Przeglądu Tygodniowego“ z r. 1867), „Groch na ścianę“, wydrwiła „czułych śpiewaków róży, makolągwy i gila karmiących się lazurem i esencją liljową“, potępiła w artykule ks Krupińskiego (popularyzatora Comte'a), „Romantyzm i jego skutki“. Pozytywiści, jak Asnyk śpiewał, „przypasali miecz Darwina, mściwi, groźni i zajadli, i do gaju Apollina na drzemiących wieszczów wpadli“ i tryumfowali, że odtąd „poezja zdradziecka umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie“, i ludzkość „nie będzie roiła o cudach dziwacznie“. Dwudziestolecie to było najniełaskawsze dla poezji, uprawianej po dawnemu; nie znajdowała poprostu słuchaczów; wiersze liryczne ukazywały się chyba po czasopismach, z osobnemi zaś zbiorami mało kto występował. Poezja jednak nie umarła, przetrwała mrok zwątpień i wybuchła świeżym ogniem.

Obojętność powszechna nie zrażała prawdziwych zdolności, takich epigonów romantyzmu, jak Sowińskiego, Faleńskiego, i Asnyka, którzy zaczęli zawód poetycki jeszcze przed r. 1863. Najmniej między nimi zrównoważony, najbardziej przypominał roman-

tyczność rozwichrzoną Podolanin, **Leonard Sowiński**, demokrata, z urodzenia i przekonań, jak niegdyś Goszczyński, chłopoman, jak jego koledzy kijowscy, wielki czciciel Tarasa Szewczeńki (tłumacz jego „Hajdamaków"), silny i namiętny. Zaczął od wyśpiewywania odmiennych wrażeń, z podróży włoskiej, od opiewania dzieł sztuki chrześcijańskiej; rozpoczynał od „Widziadeł" o ciernistym zawodzie poety; od „Satyry", potępiającej zepsucie, zarozumiałość rozumu i wiedzy, materjalizm, ale potępiającej w słowach gwałtownych i opieszałe sługi kościoła („Kurzawo brudna bożego domu, oprawcy ducha!") w imię krzyża, poświęcenia i wcielenia królestwa bożego w czyny. Sile nawoływań nie odpowiadała plastyka wykonania; raziło to szczególniej w „Satyrze", rozprawiającej się z Hoene-Wrońskim jako bohaterem myśli; z Michałem Aniołem jako bohaterem sztuki; z Napoleonem niby bohaterem czynu, półbogiem w wyobraźni, nędznym w swych natchnieniach kainowych; gardzącej tem bardziej kapłanami, których dziełem „pustki w gruzach sterczącej wiary i społeczeństwa skrzepłe sumienie", i poetami, pasącymi się dymem hołdów; przeciwstawiała im „Satyra" kornych sług piękna, Fra Angelico, lub owego bohatera, co „piersią własną, w sukmanę strojną, miłością ludu kmiecego zbrojną", przykrył rodzinne progi. Bezwzględniej, niż w tej „Satyrze", natchniętej przecież ideałem chrześcijańsko-społecznym, dążącej do „szczytności", rozprawiał się poeta w „Fragmencie Powieści" z kobietą i miłością, oskarżając je, że wielu „nadziejami wielkich zamłodu" znieprawiły i złamały; jest to osobista spowiedź, namiętna więc i wybuchowa, pisana krwią i łzami.

Sowiński, targany niepokojem, płynącym z niezadowolenia ze siebie i ludzi, próbował sił na wszystkich polach; najcenniejszą rzecz stworzył w dramacie „Na Ukrainie", z wichury r. 1863, wydanym w r. 1873. Pofolgował tu nienawiści przeciw „panom" (przecież i znany wiersz o „psubratach arystokratach" jest jego), przedstawił rozmaite typy, trwożliwych, nieopatrznych, jeśli nie gorszych; przedstawił również antypatje społeczne, szczególniej w „Prologu" do tego dramatu, rozgrywającym się o dwadzieścia lat wcześniej, zawierającym straszne dzieje i wyrzuty jeszcze straszniejsze; antypatje narodowe, antagonizm między Polakami a Rusinami; szlachetne tendencje młodzieży z jednej i drugiej strony; zakorzenialość przesądów, kastowości, nieufności wzajemnej u starszych; łatwość poddawania się podszeptom obcych lub własnej wygody; lekkomyślność, ale i rzetelne poświęcanie siebie samego

– a oddał to wszystko z wielkim temperamentem. Nie jest to całość dramatyczna, lecz luźne sceny, nieraz bardzo silne i piękne; język zbyt jednostajny, autorski, niecharakterystyczny; sama świeżość tematu, wstrząsający epilog, gwałtowna wymowa i szlachetna tendencja, a przytem silny zmysł krytyczny, którego żadne frazesy i hasła przeciw rażącej prawdzie nie otumanią, wznoszą ten dramat wysoko, i mimo braku prawdziwej sceniczności (co się i przy wystawieniu w Krakowie okazało), sztuka wzrusza głęboko. Wszystko w niej zmyślone, ależ nic bardziej prawdziwego; stał przecież Sowiński na czele samego ruchu (co przypłacił Sybirem) i szedł najpierw razem z Włodzimierzem Antonowiczem, żeby go później zwalczać, gdy ten się okazał wrogiem Polaków i podziwiamy prawdę i moc i brak uprzedzeń i jego gorące pragnienie sprawiedliwości.

Mniej powiodła mu się epika: „Graf Jarosz“ o miłostkach pańskich, i „Prażnik“, obrazek ludowy o kolorycie lokalnym, podolskim. Obszerny romans prozą, „Na rozstajnych drogach“ (1886) zaciekawiał sylwetkami osób, jakby żywcem z pamiętników Bobrowskiego wyjętych, księżną „Brykabrak“, bijącą się z córką, grafem-kozakiem Petruchą, ekspedagogiem i kutwą Czubem, niedobranemi parami, ale osoby główne i dalszy wątek romansu (na włoskiej ziemi) zrażają naiwną melodramatycznością — dziwne, jak na Sowińskiego, potępienie agitatora Horna, odruch może własnego krytycznego zmysłu.

Do sarkań na nowoczesny materjalizm wracał w lirycznych wierszach, zwątpiałych, gorzkich, w „Fragmentach Satyrycznych“ przeciw naszemu wiekowi, który zostawi po sobie „stos węgli, martwych ksiąg i kłamstwa nowy krój i wielki grób w ostygłem potomności łonie“; napaści jego na miałką, bezduszną, pozorną naukę mogli pozytywiści warszawscy zaliczyć na swój karb. Ale gorycz i zwątpienie nie wystudziły w nim wiary; i on się rzucał do stóp krzyża i zwracał lot pieśni skrzydlatej ku szczytom sumienia. Temperament, siła, aż do szorstkości, była; brakowało prostoty, harmonji, rzewności, a ponieważ czasy nie sprzyjały poezji, i jego poezja mijała bez wrażenia i uznania — nie doceniano go, a raczej nie oceniono wcale [1]).

[1]) Jego obszerny „Rys dziejów literatury polskiej“ jest kompilacją, pouczającą tam, gdzie mówi o spółczesnych.

Równy niemal los przypadł w udziale **Felicjanowi Faleńskiemu**, chociaż trudno o większą sprzeczność między dwoma poetami: Nestor poetów warszawskich, odznaczał się wielkim artyzmem, temperamentem spokojnym, pogodnym sceptycyzmem, czemś z ducha antyku, daleki był od burzliwości, namiętności i sarkazmów Sowińskiego. Zna on i podziwia Kochanowskiego i Szarzyńskiego i w ślad za nimi „sobie śpiewa, nie komu“ i wyróżnia się od „nieznacznego“ (banalnego) tłumu. Gdy Sowiński zawsze sobą zostaje, wciela się Faleński z lubością we wszelkie możliwe typy poetyckie, naśladuje i tłumaczy z nieporównaną łatwością Petrarkę i Wiktora Hugo, Dantego i „Stary Testament“; przyswajał literaturze Orlanda (wyjątkami), igrając z trudnościami (dla Polaka) włoskiej oktawy, trafiając w ton rycersko-awanturniczo-drwiący oryginału.

Taka sama wielostronność wzorów i wpływów cechuje jego dramaty, układane nie dla scenicznych efektów, niehołdujące wymaganiom etycznym, zato psychologiczne, o wytwornym dialogu, wzorujące się i na Szekspirze i na Calderonie, ślecz chłodne i retoryczne. Unikał tendencji, przystosowania do potrzeb chwili bieżącej, jak wszędzie, tak i tutaj, i tem zasłużył na wielką niełaskę u pozytywistów; w jednym z tych dramatów, nie najlepszym, „Królowa“ (Jadwiga) poświęca siebie i swe uczucia dla sprawy wiary i ojczyzny, zaślubiając Jagiełłę. Tym samym artystą wytwornym, który panuje nad własnem wzruszeniem, unika pospolitości niemniej, jak patetyczności, włada świetnie słowem i rymem i popisuje się nim nawet w zwalczaniu wszelkich trudności, jest Faleński w zbiorkach swoich poezyj, wychodzących pod różnemi tytułami, ze znacznemi przerwami, od pierwszego, od „Kwiatów i kolców“ jeszcze z r. 1856, odpowiadających coraz wyższym wymaganiom estetycznym autora. Stronienie od sentymentalności, od wszelkiej uczuciowości wyradza się u niego w pewien chłód: przeważa refleksyjność, poeta nie zdoła porwać czy olśnić czytelnika Istny Proteusz poetycki, w noweli humorystycznej i w farsach scenicznych odnosił największe sukcesy u tłumu. Ciekawe są jego dramaty fantastyczne, zaprawne ironją i humorem (coś niby polski Faust, ale części drugiej), nie znalazły jednak uznania.

Popularnością i sławą cieszył się między wszystkimi poetami jedyny El...y (**Adam Asnyk**). I jego wykoleiły wypadki r. 1864 i wygnały z Królestwa; odtąd zżył się z Krakowem i w liberalnej jego publicystyce wytrwale pracował. Epigon romantyzmu, prze-

jął się żywo Słowackim, którego kult właśnie między młodzieżą po raz pierwszy silnie się szerzył, Słowackim-satyrykiem z „Grobu Agamemnona“ i mistykiem, o czem najwymowniej świadczy jego „Sen Grobów“, pełen sprzeczności i niejasności. Później przeważały tony dowcipne i sceptyczne, czerpane od Heinego i Musseta; one to największą mu zjednały wziętość, niby dla tendencji, drwiącej z uczuć i miłości. Drażliwie czułej duszy-mimozie poety właśnie one najmniej odpowiadały; wesołość ich ukrywała smutek, płynący z wewnętrznego rozdarcia, z sprzeczności jawnej między marzeniem-ideałem a rzeczywistością, przybierającej coraz ostrzejsze kształty, gdy materjalizm hardo urągał ideom i ideałom, a myśliciel-poeta nie miał ani odwagi, ani woli, by mu czoło stawić.

Marzyciel łagodny doznał ukojenia, a raczej złagodzenia tego smutku i rozterek dopiero na łonie przyrody; wyśpiewał osobliwszy urok Tatr, odczuł całą potęgę ich ogromu i grozy, przepaści i odmętu rozpasanych żywiołów. Pojęcie ewolucji doprowadziło go do panteizmu, do zlewania się z przyrodą, do zapominania o swem odosobnieniu, o swej bezsilności. Pożegnał więc Asnyk satyryczne i mistyczne dźwięki, roztoczył obrazy przyrody, ale się w niej nie rozpłynął; znalazłszy opokę pod nogami, schodzi z pod Wysokiej między ludzi i lud i poezji wytknął nowe cele, uspołecznienia narodu, szerzenia światła i prawdy. Temi celami właśnie i filozoficznością swojej poezji odróżnia się Asnyk najznamienniej od Faleńskiego, dzieląc z nim czar słowa i kunsztowność formy; unika on pospolitości; głęboka rzewność, uczuciowość, wyschłe niemal u Faleńskiego, biją żywym zdrojem u Asnyka. One to sprawiają, że nie gubi się w abstrakcjach ewolucyjnych i filozoficznych, że odczuwa silnie to, co go wiąże z własną ziemią i bracią, gdyż każdy „na własnej tylko niwie zakwita silnie i szczęśliwie“, tam tylko „kształt i barwę właściwą przybiera, na czas dojrzewa i na czas umiera“.

Liryk, czarujący formą, imponujący poważną, głęboką myślą, coraz wyżej dążący ku światłu, nie stworzył większych kompozycyj, chociaż próbował sił i w dramacie, jak Faleński, nie z wiele większem powodzeniem. Fars nie pisał; komedyjka „Gałązka heljotropu“ odznacza się szczerym wdziękiem. Sięgał i po wyższe wawrzyny tragedji historycznej, w „Cola Rienzi“ (prozą), w „Kiejstucie“ (wierszami; jest to historja Wallenroda, syna Kiejstutowego, na pierwszym etapie „zdrady“, jeszcze mniej fortunnej, niż późniejsza wielkiego mistrza), i w innych. Deklamacja piękna,

szlachetne tendencje ratują te utwory; autor unikał wszystkiego, co poziome i brudne, nawet „Przyjaciół Hioba“ pogodnie zakończył: artysta, przeciw któremu świat i przyjaciele się sprzysięgli i dla którego ostyga własna, kochająca żona, zdobywa napowrót i miłość żony i oklaski świata (w rzeczywistości takiemu Grabbemu np. toż samo nie powiodło się wcale). Stworzył społeczną komedję w „Braciach Lerche“, w dziejach rodziny niemieckiej na ziemi wielkopolskiej, gdzie w walce narodowościowej staje Stefan Lerche po stronie uciemiężonych, gdyż nie zechce należeć do ciemięzców i służy sprawie, która jego miłość przykuwa cierpieniem; szlachetność jest wybitną cechą i bohaterów i autora.

Nie była to wojownicza natura, — złamało ją życie; to, co ukochał, co tyle czcił, zdeptane w pyle padło bez sił; rozpacz i hańbę widząc po drodze, stanął w trwodze, widział klęski duchów i ciał, więc obłąkany boleścią chodzi we łzach i trwodze i nie wie teraz, w co wierzyć ma, jak dzień swój przeżyć w ciemności, sam. Odzywają się więc na jego lutni i tony ironji dotkliwej: „potrzeba śmiać się narówno z wami, wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać, potrzeba śmiać się, śmiać się i umierać“; lecz nie ugrzązł ani nie zastygł w tej ironji, gdyż hasłem jego, wbrew naszym pesymistom, było: trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe. Więc tylko mimochodem pieśń jego gromem wstydu pali obojętnych, za to, że, w nikczemności pędząc żywot marny, płazowe szczęście, nie wielkość, obrali i jałmużną pogardy płaci ich rodowi, szczęsnemu, cierpliwemu i karnemu; uczy zato stałości (miejmy odwagę, nie tę jednodniową, tchnącą szałem); nie każe zrywać — wobec pozytywistów na nieśmiały protest się zdobywając — z ideałami, z ołtarzami przeszłości, którym winniśmy cześć:

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić. —
Lecz nie przestańmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość.

Cicha, smutna rezygnacja kryje się w jego wierszach; lecz spokój i równowaga jego są pozorne raczej, i napróżno je w nas i w siebie wmawia ten duch nie z tego świata. Zbyt łatwo zapominamy o złotych jego słowach: „nie marzmy o łatwym cudzie“, o jego życzeniach „rozumu, niezgiętej woli, prawdziwej duchowej siły i serc czystości — i z naszej skromnej mogiły dzieci się będą

uczyły, jak żyć w przyszłości". Asnyk wywarł większy wpływ nie na spółczesne, ale dopiero na następne pokolenie. Poezje jego pod względem kunsztownej formy i zawartości ideowej są najwyższem artystycznem wcieleniem epoki pozytywistycznej, ale nie dla tłumu wiersze swe orzeźbił.

Nie brakło w tych czasach najrozmaitszych ptaków małego lotu, to onieśmielonych szyderstwem pozytywistów, to zrywających się do pieśni na ich nutę, sławiących pracę, postęp i wiedzę, pochodzących z miasta (Ordon-Szancer i Miron-Michaux) i ze wsi (Marja Bartusówna, nauczycielka ludowa), studentów i synów obywatelskich. Próbowali oni najrozmaitszych tonów, lirycznych i satyrycznych za Heinem i Mussetem, (szczególniej Miron), epicznych i dramatycznych; naśladowali przeważnie nieudolnie Słowackiego, np. rozwichrzony romantycznie Buława (Władysław Tarnowski), powstaniec, autor piosnki „Na wojence jak to ładnie", wcześnie zgasły Marjan Kochanowski (w „Pośmiertnych i Ostatnich Poezjach"), Bogumił Aspis, wyższy od nich żywszem czuciem i sztuką; Karol Świdziński, poeta tendencyjny; Bolesław Czerwieński, autor „Czerwonego sztandaru". Nawracano i na dawne tory, choćby gawędziarskie, np. Stefan z Opatówka — Giller — w „Krótkiem curriculum vitae Matjasza, co zwan był Kobeżnikiem".

Kuszono się nawet o odtworzenie i połączenie w sztuczną całość baśni ludowych: Wojciech Dzieduszycki, filozof-estetyk, badacz dziejów pierwotnych (jako geograf i archeolog), konserwatywny działacz polityczny i mówca znakomity, weredyk i facecjonista o niemożliwych dla druku pomysłach, spłodził i niemożliwą dwutomową „Baśń nad baśniami", gdzie treść dla dwunastu pieśni o babie Jadze i jej pasierbach, o Żywie i synu Piaście, o Lechu i Czechu morskim, czerpał z pseudopodań i pseudobajek (Glińskiego). I nie brak takich pseudoepopej, prasłowiańskich nawet albo historycznych, „Borys" Julji Terpiłowskiej albo „Kniaziowie Różyńscy" Bronisława Komorowskiego, i ciągną się one do naszych dni, pojawiając się nieraz po wielu latach dopiero, np. Lumira „Gwiazda Wschodu", „poema dramatyczne słowiano-polskie", poświęcone „Polakom, Czechom, Rusom i wszystkim braciom słowiańskim", opiewające walkę rodzimego pogaństwa z napierającą falą chrześcijańsko-germańską. Drukowanie tego utworu jeszcze Kraszewski odradzał.

Z nierównie większą pewnością mógł liczyć na powodzenie wiersz epiczny, jeśli się łączył z satyrą i ironją. Pojawili się też

satyrycy z powołania, a pisma humorystyczne, polityczne, jak lwowski „Szczutek“ i „Śmigus“, krakowski „Djabeł“; niepolityczne, jak „Kolce“ i „Mucha“ warszawskie (z dzielnym ilustratorem Kostrzewskim), satyryków-humorystów i potrzebowały i płodziły; jeden z nich Liberat Zajączkowski (od „Szczutka“) przeniósł się do Wiednia i jego bardzo podkasanej humorystyki. Do wybitniejszych należeli Rodoć (M. Biernacki), Włodzimierz Stebelski (Rusin) i Włodzimierz Zagórski, lwowianie, kończący życie tragiczną śmiercią, czy to samobójstwem, czy w szpitalach warszawskich. Rodoć celował w feljetonach humorystycznych, listach wierszowanych, charakterystykach filistrów (Pan Karol), lecz z latami ubywało mu werwy i zacięcia; do późniejszych wydań nie włączał nawet najjadowitszych wycieczek przeciw klerykałom i konserwatystom; ukrywana uczuciowość wybuchała i w lirykach, poświęconych przejściom osobistym. Stebelski, wiecznie gnany niedolą i przez nią złamany, wzorował się niby na Berwińskim jeszcze i „Don Żuanie poznańskim“; powieść o artyście — nieudanym kochanku, utrzymał w tym tonie. Zagórski-Chochlik, jeden z filarów „Szczutka“ i jego typów (Goga, Gogątek i innych), nietylko Florcia (Ziemiałkowskiego) i Koło polskie zwalczał, lecz z lwowskiego bruku czerpał barwne a żywe opowiadania, z satyrycznemi tendencjami („Pamiętniki starego parasola“; „Wilcze plemię“), potem w nowelach z mniejszem powodzeniem próbował sił; filozoficzno-pesymistyczne nastroje w pieśniach „Króla Salomona“ wyrażał, wpadając w namiętność „Pieśni nad pieśniami“ z goryczy „Koheletu“ czy Eklezjastesa bardzo nagle i niespodzianie; nie musiał ten pesymizm być tak straszny, skoro głos niewieści mógł go rozwiać. Jego Salomon rozkoszuje się w szale zmysłowym, ale w nim nie ginie: drogę do Boga znachodzi w tęsknocie do Niego, najpiękniejszym hymnie, jaki się z pod pióra liryka wylał. „Król Salomon“ z oboma tonami, pesymizmu i zmysłowości, i z owym wspaniałym hymnem „Tęsknoty“, to najznaczniejsze dzieło Zagórskiego; nie dorównają mu ani liryki jego, ani transkrypcje ballad burszowskich Scheffla i innych Niemców. Sonetem władał znakomicie i w sonecie też jego budowę określił; zajmowały go nawet głębokie, muzykalno-rytmiczne studja nad wersyfikacją polską.

Wszystkich spółczesnych poetów, młodszych i starszych, zaćmił największy talent poetycki drugiej połowy XIX wieku, **Marja Konopnicka**. Nie odrazu weszła na drogę właściwą; i ją znęciły syrenie dźwięki pozytywizmu, i ona hołdowała tendencji i stosowała

sztukę-deklamację do wymagań aktualności. W pierwszych występach poetyckich raziło i romantyczne naśladownictwo Słowackiego, i służba nowym hasłom; zdawało się jej, że „pieśń nasza — to ludów wrzawa, huk młotów i turkot maszyn, nie ta łzawa, słodka melodja niebieskich ptaszyn", a modlitwa nasza „to nie to mgliste, tęskne za lepszym światem wzdychanie — to wiekuiste, łączne miłości z wiedzą działanie" (coś niby „romans dwóch komórek, w pacierzowym tkwiących rdzeniu"). Lecz już w tych pierwszych jej występach było i coś więcej nad hasła i tendencje: miała serce i patrzała w serce, i pieśń jej, chodząc po ziemi i łzy zbierając, zawsze leciała skrzydłami drżącemi, gdzie duch omdlewa i tęskni i płacze, kędy niedola zasiada u progu, i nie czczym frazesem zostało jej godło:

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku;
Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną, czy w walce gasną —
Lecz z tobą płakać, człowieku!

To głębokie współczucie niedoli ludzkiej — jeszcze po wielu latach odczuła ona rzewny głos Ady Negri i spolszczyła cudownym wierszem jej „Niedolę-Burzę" (r. 1901) — i przywiązanie do ziemi rodzinnej, do krain, „kędy na dnie progu świt we łzach cały, długo wyprasza się Bogu, by mu patrzeć nie kazał na stary ból świata" — wzniosły ją nad pozytywizm i tendencje; niedarmo pierwsze wrażenia z przyrody ojczystej, jakie odniosła w Tatrach potrąciły o fale jej poezji.

Narazie zbladły te obrazy wobec retorycznych wierszów „Do Kobiety" i „Do Braci", wobec miękkiego zwątpienia i kobiecotkliwego bolu, wobec dręczących pytań „Dlaczego i Czemu", rozsadzających jej pierś, wstrząsających błękity swym protestem; skarżyła się coraz, nie za siebie, ale za te „twarze blade i serca złamane, i w każdej ludzkiej piersi jakąś ranę i w każdym oku jakąś łzę tajemną" i latała, „jako ptak zraniony, nisko nad ziemią tą, co w bolach kona", a jeżeli się wzniosła, to z nowym wyrzutem:

O Panie, przebacz mi, tyś Bóg, tyś wielki...
Łzy ludzkie cóż są? — Ach, rosy kropelki,
A przecież wszystkie masz je policzone...
Co? Policzone? — Co? i — nieotarte?

Lecz nie gubiła się poetka w tych „naiwnych rekryminacjach“, jakie jej krytyka zachowawcza wyrzucała, ani nie zaciągała się ostatecznie pod coraz modniejszą chorągiew pesymizmu, i dziwną była jej wiara, niezłomna, uparta, że ludzkość „znajdzie prawdę i Boga“, to przekonanie, że z „z ciemnic więzienia, ze stosów męczeństwa myśl ulatuje żywą i skrzydlatą, by śpiewać hymny zwycięstwa“.

W programowych niby jej wierszach, zapełniających pierwsze serje jej poezji (z r. 1881 i 1883), było jeszcze wiele sztuczności, napuszonych tyrad i frazesów; większa nierównie prostota, niewymuszona, głęboka a rzewna, przemawiała już z ówczesnych jej pieśni ludowych, z cyklów „Z łąk i pól“, „Na fujarce“, „Łzy i pieśni“, gdzie oczy poetki ujrzały „lud nasz posępny i cichy i nędzne chaty“; ona „rodzinnych swoich pól zna wymowę — łzy i ból“. I tu nie brakło przecież owych nawoływań i owej dydaktyczności: uściskiem bratnim przyciągnijmy blisko pierś ludu skrzepłą; owych skarg, że nic „sennych chat, gdzie lud, gdzie brat, rozbudzić nie może“; owych zwątpień: „a kiedyż my doczekamy takiej zorzy, takiej doli, że nam wzejdą złote kłosy na tej naszej czarnej roli?“

Tak tworzyła szereg „Obrazków“ z czarnej doli chłopskiej: Wolnego Najmitę, któremu wolno, gdzie chce — z głodu umierać; pytała, *Co pocznie* nędzarka, podrzucająca niemowlę; *Czy zginie* dziewczę wiejskie na bruku miejskim; pytała: „O bracia, czy w was wcale niema winy, że słonka Jaś nie doczekał?“ — uczyła, że nie *Przed sądem*, ale do szkoły stawać dzieciakowi, jeśli nie ma zbłądzić.

U Syrokomli (prócz „Lalki“), u Lenartowicza, nie było jeszcze takich „Obrazków“ pełnych zgrzytów, zawierających obwinienia przeciw społeczeństwu; dopiero teraz różowe ułudy sielanki wiejskiej rozwiały się na zawsze; nie wesołe są te „Obrazki“ z naszej wsi wesołej, wsi szczęśliwej. Wrażenie psuje tylko ta zbyt natrętna, zbyt widoczna tendencja; ale poetka pozbyła się rychło tej domieszki niepoetycznej, szybując coraz wyżej i coraz wznioślej. Nie udawały się również próby dramatyczne, jeśli wolno nadawać takie miano dialogowanym fragmentom „Z przeszłości“, o różnych ofiarach ciemności, przesądu i gwałtu.

W trzeciej serji „Poezyj“ (z r. 1887), mieszczącej i świetne przekłady z Heinego, Heysego, najpiękniejsze, najrzewniejsze tony dobyła znowu z fujarki sielskiej, czy we „Dzwonach“, co chłopskim trumnom w drogę żałosną dzwonią, czy „kiedy mi przyjdzie

zagrać w polu dziewczynie, da! dana!", czy w onej niezrównanej pieśni o tęsknocie, co poetki nie puszcza za wiatrem, czy za bystremi wodami w świat daleki, na kraj świata, bo „mi cię żal, ty chato, pod tą lipą rosochatą, pod tym sadem pełnym rosy, pod błyskami jasnej kosy."

Ale motywy sielskie nie wypełniały twórczości; to odrywało ją wzburzone uczucie poetyckiej parafrazy „Wojny" Grottgerowej — sztuka Konopnickiej lubuje się stale w „transpozycji" wrażeń, obraz i rzeźbę ona na słowa przełoży, jak nikt inny; to próbowała sił w luźnych oktawach „Imaginy", epopei symbolicznej, niedośpiewanej, rozgrywającej się w sennych marzeniach Lucyla, tęskniącego za ideałem, za Imaginą, przybierającą jednak rysy coraz bardziej ziemskie: oktawy Imaginy z pysznemi obrazami miały tylko przygotować poetkę do opanowania misternej, nowej formy. Przeszła do prozy i w nowelach jeszcze wyłączniej, niż w wierszach, obierała tematy sielskie, dusze proste a głębokie, czy Wojciecha, wiarusa Napoleońskiego, który w znajdka Antka zapały swe „napolijońskie" przelewał; czy Banasiową, która do dzieci umierać ściągła i wstyd jej i markotno, że nie umiera; czy starą matkę, która wszystko synkowi na pochów własny, nie szpitalny, wydała, a nic dla siebie nie schowała; Hankę z „Pod prawem", dopowiedzenie obrazku „Czy zginie?"; dzieci, posądzone o kradzież „z włamaniem" i *Przed sądem* tym nie ma już owej dawniejszej wymarzonej wyrozumiałości; staruszkę-pątnicę „U źródła", dla której mistycyzmu niema żadnych tajemnic na świecie; głupiego Franka, który „Miemcom" i tę modrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki sprzedawać każe; Mendla Gdańskiego, który się „w to miasto urodził", za swego, nie za obcego, się uważał, aż mu nagle „umarło serce do tego miasto".

I coraz silniej pomiędzy pesymistami i erotomanami wyodrębniała się jej indywidualność poetycka; wbrew parnasistom zniewieściałym mężniała jej pieśń i coraz donioślej rozlegał się jej głos. Na wierszach jej uczono się znowu czcić i cenić poezję. Symbolizmowi epoki spłaciła dań w dialogach „Prometeusza i Syzyfa": jak każda głębsza alegorja, i ta o lotnym duchu *Excelsior* i o tępym niewolniku pracy fizycznej, różnie da się zastosować, gdy np. Syzyf duma: „mówi (Prometeusz) „bracie" — piękna to rzecz, ale nie jest prawdziwa... ile razy ci tam w górze pomocy naszej potrzebują, to nam mówią: bracie; nie dowierzam ja ci, ptaszku", albo gdy znowu Syzyf komunę paryską ci przypomni —

a te cudowne słowa o nowym, piątym żywiole, bolu, co ma sił i treści za tamte, za wicher jęku i łez morze i ogień męki i ziemię mogilnych prochów — co na tej stanie, wieczne jest, a co łzy napoją, żywe jest, a co ogień męki wypali, twarde jest, a co jęk wyśpiewa, miljony zmocni. Uderza nadzwyczajna siła tej prozy poetyckiej, prozy Krasińskiego.

Powoli wyczerpały się dawne motywy, przybywają nowe, czerpane z wrażeń pod obcem niebem, ale i na obczyźnie pozostaje poetka nawskroś polską. Więc wzmaga się — w czwartej serji „Poezji“ z r. 1896 — nuta tęsknoty za krajem, nie rozpaczliwej, namiętnej (obcej kobiecie), lecz rzewnej: nigdy o was nie zapomnę, pola moje przewaliste, lasy moje przeogromne, wody moje bystre, czyste; wzmaga się siła plastyczna i talent malarski, kreślący coraz nowe obrazy z dalekich stron, z niezrównanym wdziękiem; wzmaga się poczucie obowiązku (ja com winien sobie) i wlewa je poetka w przyszłego człowieka: niech się uczy, jak ma uczcić „dolę kmiecą i zgrzebną sukmanę“, jak ma nosić „zbroję ducha nieśmiertelną, co się zowie wolą, cnotą, a za oręż stoi“.

W przybytek samego piękna wdziera się poetka w cyklu „Italja“ (1901). W „Sonetach Włoskich“ rywalizuje z „Krymskiemi“ w sile i malowniczości wyrazu; i tu nie brak tęsknej nuty: pod niebem auzońskiem, wobec madon włoskich, z których jedna „iśćby mogła między pola nasze, między nasze płoty, a nie zlękłoby się nawet ptaszę, nie zlękłyby się i sieroty“; pogląda ona „na liche i zapadłe chaty, na czarne, uciszone bory, na cierniem zarosłe ugory“. Dzieła sztuki, „W Sykstynie“ i gdzie indziej, natchnęły te obrazy o linjach klasycznych, pełnych blasku słonecznego; szum morza „rozperlił toń jej myśli na dźwięki i głoski“ i nadał im rytm boski; coraz nowe widoki czy myśli, Nad Ticinem duch Barbarossy, w Zatoce Baji postać Cycerona, to garibaldczyk jakiś, to mnich w Zakrystji na Murano, lub stary ksiądz w Bagnasco — wykuci w marmurze tego słowa, prześwietleni słońcem południowem.

Spółcześnie pisało się, rozpoczęte w r. 1892, jedyne dzieło poetyckie naszych czasów, godne stanąć za „Panem Tadeuszem“ i „Królem Duchem“: „Pan Balcer w Brazylji“. Literatury świata znają wszelkie możliwe epopeje, rycerskie i heroiczne, fantastyczne i symboliczne, mistyczne i religijne, narodowe i żeglarskie, mieszczańskie nawet — nie znały epopei ludowej. Konopnicka ją utworzyła, a utworzyła tak, że największym niemal dorównała. Epo-

pejom północnym szczęście nie przyświeca tak, jak południowym; ich bohaterom laury zwycięskie nie wieńczą skroni — i „Pana Tadeusza“ nagle urwać wypadło i rzucić zasłonę na straszny rok klęski. Więc walka tragiczna, o siłach nierównych, wypełnia strofy i tego eposu, ludowego i wychodźczego zarazem.

Niesłusznie biadano, że poetka oderwała chłopa od gleby rodzinnej, że puściła go w wielki świat, postawiła go w niezwykłych warunkach; że na własnej ziemi chłopa tego mogła pełniej, realniej, wszechstronniej wyobrazić. Ależ „Pana Balcera“ gna żywiołowa tęsknota, przez Sawanny i Andy, ku morzu, za morze ku zagrodzie, ku łanom i ruczajom, gdzie przez błonia słychać, jak na Anioł Pański dzwonią i aż od Częstochowy zalatują echa. Żadne obroty zwykłej doli wiejskiej, walki czy o kawał chleba, czy o miedze, czy o dziewuchy, nigdyby tła wielkiej epopei nie zapełniły ani fantazji autorki nie zapłodniły — bez epopei napoleońskiej czemby był Pan Tadeusz? Tylko potężny, żywiołowy ruch mógł wywołać istotną epikę, brak jego tłumaczy martwotę wszelkich innych spółczesnych prób epicznych. A jakżeż inaczej zgromadzić wszelkie typy etniczne dawnej Rzeczypospolitej? Febra wychodźcza, *febris* — nie *aurea*, lecz *terrestris* zatrzęsła organizmem ludowym, rozległy się, jak daleko polskie niwy, już niewdzięczne, niegościnne dla tego ludu; nie bada Konopnicka, co się na to złożyło, co z tego będzie, ale pyta o przejścia samej duszy mazurskiej w owych strasznych opałach, gdzie wszystko, i dal niezmierzona, i klimat zabójczy, i wąż-przyroda zaprzysięgły zgubę obcym przybyszom. Stajemy od pierwszej strofy poematu między wychodźcami na okręcie, płyniemy przez dalekie morza; nowość, niezwykłość przedstawia się jeszcze nieraz i z okrasą uśmiechu, humoru, tak rzadkiego u Konopnickiej gościa, lecz gdyśmy nareszcie na ląd ów wyrojony i wyśniony wysiedli, zasępia się, raz na zawsze a coraz groźniej to niebo obce nad tą gromadą, ginącą w uściskach chorób, nędzy i głodu; srogo, nieludzko zawiedzeni, gdy się siły wyczerpały, rzucają wszystko i, gnani strachem panicznym, niedobitki, potem już tylko szkielety, nie ludzie, w nadludzkim wysiłku, a zawsze korni i ufni, podtrzymywani wiarą — cudem brną przez lasy, stepy i rzeki, do morza, do morza, „i jedna tylko moc porusza niemi: iść a iść, póki nie dojdą swej ziemi“, chyba już poto tylko, aby złożyli kości na niej, którą rzucili dla faty morgany, wabiącej nadmiarem żyznych pól, wydatnej pracy. Opowieść tej zgrozy włożyła poetka w usta „pana“ Balcera, z waszeci,

kowala; nową trudność tem sobie stworzyła, bo należało tę powieść utrzymać w tonie nie książkowym, autorskim, lecz odpowiadającym szczerej a prostej myśli, wiedzy dziecinnej, uwagom naiwnym, choć trafnym, mędrca wiejskiego.

I dokonała autorka prawdziwego cudu: jej oktawy płyną w ustach Balcera, jedna piękniejsza od drugiej, i w najżywszych barwach skrzą się opisy przejść i miejsc, jakich sama nie doznała, ani widziała, a dziwną intuicją odgadła, z nadzwyczajną siłą wykonała; mnożą się obrazy: burzy, czy na oceanie, czy w lesie podzwrotnikowym, ognia na morzu i stepie i spustoszeń śmierci — zarazy i targań głodu i rozpaczy na tle dziewiczych lasów i spiekłych stepów zamorskich.

Niemniej bujna jest galerja żywych osób, sylwetek chłopskich, od mistyka Horodzieja, patrjarchy słowiańskiego, wodza duchowego, rozmodlonego tej gromadki, trwającego, dopóki od zasłuchanego duchem w dzwony, sytego trudów dusza-gołąbek nie odleci ku ojcu niebieskiemu — do poleszuka Łucia, urządzającego się po domowemu wśród błot amerykańskich, do filuta Opacza. Nad mrowiem postaci — i niemieckie scharakteryzowane krótko, lecz misternie — góruje Pan Balcer sprytem i duchem, siłą i wolą, wiedzą i zdolnościami, a krystalizują się w nim wszelkie cnoty Słowianina, bez jego słabości.

I, znowu niesłusznie, skarżono się na poetkę, że jej epopei brak bohatera, „a w każdej epopei wątek i bohater być muszą i są od czasów co najmniej Homera". — Gdzież bohater Pana Tadeusza? Tam Litwa szlachecka, z przyrodą i ludźmi, tu lud wychodźczy, a potem wygnańczy, są bohaterami, a nie ta lub owa osoba; podobnie jak i w „Iliadzie" nie Achil, znikający na liczne pieśni zupełnie, lecz Grecja heroiczna jest bohaterem. A co najważniejsza, ani na chwilę nie utyka akcja i powieść, ciągle jesteśmy wraz z naszymi bohaterami w ruchu, od pierwszej strofy, kiedy muskularny kowal — a styl jego równie żylasty, jak pięść — „stanął na onym pokładzie, na pewnych nogach i szeroko w kroku" aż do ostatniej — bez nużących dygresyj i epizodów nieciekawych, ciążących na tylu sławnych epopejach.

Mylił się więc Asnyk, gdy biadał, że „przeminął czas tęczowej powieści, niezrozumiałym już się stał orężny szczęk epopei dla znikczemniałych smutnych ciał bez męstwa i bez nadziei!" Z postaci najzwyklejszych, z przejść codziennych — cóż, niestety, częstsze, niż takie wychodźtwo i takie jego zmarnowanie — wskrze-

siła Konopnicka epopeę bohaterską, acz ludową; uderzyła, wedle rady jej Syzyfa, „człowieka o Zeusa — jeśli człowiek wytrzyma, to będziesz miał z tego taką jasność, że to ha!“ I niczego nie brak tej epopei; jest inwokacja, acz późna:

Zaś wymaluję lud ten i wypiszę
Aż do ostatka tułaczów tych drogi...
Mar, z których każda wspominania żąda
I śniadą twarzą skroś fali przegląda,
A ja, na mary owe patrząc zgóry
I jęku głosów miawszy pełną duszę...
... ile chwycić i unieść mam mocy,
Tyle ich fali wyrywam i nocy,
Lecz one, wisząc u piór moich końca...,
Wołają: Ty nasz zbawca, ty obrońca,
Ty imię nasze zachowasz na ziemi,
Iż wygładzone nie będzie z pod słońca...

są porównania, choćby i chłopskie, jak np.

Nie tak słonecznik obraca łodygi,
Gdy słońce nad nim podstąpi pod Raka,
I nie tak na wiatr latają w krąg śmigi,
Gdy młynarczyki popuszczą wiatraka;
Nie tak cygany wiercą mamałygi,
Kocieł nad ogniem zwiesiwszy u haka, —
Jakem ja kręcił te łby kędzierzawe...

są walki nadludzkie i z chorobami, i z głodem, i z murzynami, kiedy rozszalały od bolów, zawodów, wściekłości lud:

Tak jednym wichrem i w jednym rozpędzie
Lecim mordować, bić, co się nawinie...
Niech się zapada świat! Niech wszystko ginie!...
Zmizerowani krzywdami i głodem,
Jak piorunowa pędzim nawałnica,
Kto ranny, nie wie nawet, że ma ranę,
A wszystkie twarze, oczy, krwią pijane —

drogę zastępuje im wtedy ksiądz z krzyżem w ręku... „Dopieroż my tu w płacz, jak w te organy... dopieroż hukniem razem litanij, jakby zawieja zerwała się sroga dusz, co gdzieś w niebo lecą pod gwiazdami: Kirje elejzon, zmiłuj się nad nami!“ A cóż powiedzieć o języku, pełnym archaizmów i prowincjonalizmów, pięknym, silnym, wyrazistym, typowym; skaz niema na nim żadnych, skaz, jakie może w szczegółach opowiadania, nie zawsze stłumiającego sentymentalność kobiecą, i w zwrotach myśli, nieraz dla „Pana

Balcera“ nadto górnej i wyszukanej, wykazaćby się dało, gdybyśmy na słońcu plam szukać chcieli.

Lecz nie wywodzi się ta epopea od „Pana Tadeusza“; błogi jego spokój, jasne promienne obrazy rażą wobec tej łuny krwi i pożogi, wobec tych przejść wstrząsających, rozdzierających serca, i nie „aleksandrynami“ jego poważnemi, lecz wartką oktawą „Beniowskiego“ i „Króla-Ducha“, barwami z palety Słowackiego, tonami marszu pogrzebowego Chopina lśnią i brzmią te strofy. I nic, prócz może jakiego przeczulonego rozjęku, nie zdradza pióra kobiety, i zawstydzeni ustąpić muszą poeci; przenosi ich poetka wyobraźnią i siłą iście męską, widnokręgiem szerokim, wiarą niezłomną.

Brak na lutni Konopnickiej struny erotycznej. Pisała wprawdzie i ona wiejskie zalecanki i do „Szwajcarji“ mistrza tworzyła repliki pełne wdzięku, lecz wobec rozpanoszenia się, to jawnie bezwstydnego, to lubieżnie ukrytego, erotyki w poezji nowej i najnowszej — jakby ludzie innych myśli, trosk, uciech nie znali — bije od wierszów Konopnickiej ta rzewność i świeżość, jaką przyroda łąk i lasów nas wita, gdy rzucamy wąskie ulice i ciemne komnaty, pełne wstrętnego odoru i ckliwych perfum. I mogli znowu koledzy poeci brać przykład z tej poetki.

Nie wyczerpał się tem jej dorobek; stworzyła jako Jan Sawa „Śpiewnik historyczny“, tylko miejscami silny i piękny („Sen Jermaka“ o Rosji), ale stamtąd „Rotę“, przysięgę wierności dla ziemi, powtarzają dziś wszystkie obchody patrjotyczne; dała znakomite przekłady czy mistycznych zachwytów „Hanusi“ Hauptmanna, czy rycerskości „Cyrana de Bergerac“ Rostanda; studja o Mickiewiczu czy o „Krzyżakach“, o Asnyku czy o B. Zaleskim, o renesansie Klaczki czy o Lenartowiczu. Rzecz to nie profesorska; nie uwzględnia trwożliwie wszelkich dat, fakcików, dziełek; nie pyta o metrykę, paszport, filjację; daje się unosić potężnemu tchnieniu poetyckiemu; są to wzory krytyki twórczej, sięgającej intuicyjnie w sam głąb natur, pokrewnych natchnieniem; lecz i subtelnej analizy im nie brak (np. w owej miażdżącej krytyce podkładów myślowych, z jakich „Duch od stepu“ powstał).

I tu olśniewa poetka świetnością prozy, silnej i jędrnej zarazem i tak rytmicznej nieraz, że się aż w wiersze układa czy też o nie prosi. A wybiera i dla tych studjów wzory i rzeczy, od których światło bije — nigdy nie wodzi nią prosta ciekawość, studjum byle jakiego zajmującego zjawiska.

Najbardziej przyciągają ją te „proste, mierne dusze“ — gdy

o nich myśli, to się sercem kruszy i wielkiem ludzi kochaniem przejmuje; nie zaślepia jej jednak to kochanie, umie ona wybuchnąć i w najostrzejsze skargi: „O rodzie ludzki, o plemię Kaina! W gniewie ty jesteś i w pomście poczęty, z dziada na ojca, a z ojca na syna siew starych zbrodni upada przeklęty, i własna matka ziemia cię przeklina...“ Takich obrazów nie brak i w „Panu Balcerze“ nawet. Lecz nie nienawiść jej pieśnią, i właściwe drogi swej twórczości określiła trafnie, wkraczając na nie niegdyś.

Przez pola puste, przez czarne te role,
Po nad któremi dzień wschodzi przyszłości,
Idę i rzucam siew bratniej miłości
Dla tych, co słabi, i dla tych, co prości...
Ja ducha mego, ja krew moję sieję,
Ja pragnę wstrząsnąć tą ziemią zoraną,
Jak grzmot wiosenny, aż jutro z niej wstaną
Ludzie, godniejsi piastować to miano...
... mój kamień mogilny
Mieć będzie napis: braterstwo i zgoda.

Szlachetność tej pracy, ożywczą siłę tej poezji, górność jej natchnień, swojskość jej ducha uczczono też godnie, gdy w obchodzie jubileuszowym zespoliły się wszystkie stany, płci i wieki, począwszy od drobnej dziatwy, dla której ona tyle słów pięknych a mądrych znalazła.

Wiktor Gomulicki „przeniósł sielsko-szlachecką dotąd poezję polską w nowożytne ognisko życia i flamandzkim swym pendzlem nadał jej charakter miejsko-mieszczański“; poeta to Warszawy, nawet w nowelach (drobnych rozmiarami, misternych w wykonaniu, choćby takie „Pod parasolem“, uwite z samego dialogu) i w romansie historycznym („Miecz i łokieć“, z czasów rokoszu Zebrzydowskiego i początków Warszawy-stolicy), śpiewający chwałę „grodu swawolnego, lecz dobrego“, zgrabnie a płytko. A śpiewa tę chwałę bynajmniej nie pesymistycznie, chociaż przyzna, że wśród miejskiej mgły, wlokącej się brudno po ziemi, trudno „znaleźć drogę do nieba“; ani też tendencyjnie, chociaż bogaczowi, nieczułemu na nędzę, bardzo energicznie sumienie roztrząsa, a z innego skupigrosza szydzi: „cóż zyskał za serca martwotę, za dni, w mroku pędzone i ciszy? do wygodnej trumny wieko złote!“. A wszystkim w uszy i serca kładzie:

Niechaj ofiary biorą od was wszędzie
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha,
Lecz wprzód — niech głodnych pośród nas nie będzie!

Dla niego ma miasto „upojenia, jakich nie dają wiejskie wczasy, gdy się ulica rozpłomienia, szumią koronki i atłasy, idziesz, niesiony ludzką falą, jakbyś sen roił gorączkowy, świat ci biesiadną zda się salą i ze krwią bije szał do głowy"; jemu „z każdego głazu dramat ludzki huczy: oto jestem". I takich dramatów i sielanek miejskich pełno u niego; najpiękniejsza owa „El mole rachmim", kiedy „żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką, a goście i ciekawi zalegli podwórko — i miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni... zdawali się ludźmi zwykłymi, co strzegą z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia... żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną", ale pod wpływem słów chazena (kantora) do oblubienicy-sieroty i pieśni za umarłych, płynącej spokojnie, potem rosnącej w moc i rwącej się coraz namiętniej, aż do szału rozpaczy, już „nie raził mnie strój Icka ani Icka imię, i stałem się, jak człowiek, co na jawie marzy... Podwórko, nie, to była już kwietna dolina kędyś u stóp Libanu"...

I poza Warszawą zajmują go miasta, czego dowodem żartobliwo-ironiczna „Pieśń o Gdańsku" z obrazkami z Sopot i Kaszubji; w Warszawie samej oddał się lokalnym badaniom, i o każdej kamienicy staromiejskiej umie opowiadać, wedle aktów czy tradycji; w powieściach społecznych nieraz dowodził szerszego widnokręgu; pisywał i artykuły literackie, zbierał i ogłaszał rzeczy zapomniane, np. spuściznę poetycką po Zanie.

Mówiąc o Gomulickim, nie sposób przemilczeć o Or-ocie (Arturze Oppmanie), młodszym o lat dziesięć od Gomulickiego, o liryku, już do Młodej Polski się liczącym, który prócz wyśpiewywania smutku-tęsknoty za życia wiosną, „tętniące prostą nutą staroświecką pieśni, mieszczańskie dziecko, poświęcał dziecku mieszczańskiemu". Or-ot rzadziej do starych dziejów zwracał myśl; częściej nasuwała mu się Warszawa emerytów, jej bakałarz, pan Baltazar Podbipięta, z surdutem tabaczkowym i umiłowaniem klasyków łacińskich; trzy boginie, schodzące się na kawę z plackiem i plotkami; dziaduś przy kominie, opowiadający o lempererze i legjonach; facjaty staromiejskie i ich odwieczni lokatorowie; lecz nie wprowadza on ich w akcję, zadowala się samemi obrazkami. Siłą słowa, głębokością myśli, polotem wyobraźni niższy od Gomulickiego; rzewny, szlachetny i szczery, nigdy namiętny.

Całkowicie romantykiem starej szkoły był Kazimierz Gliński. Zaczął zawód poetycki od liryk i ballad, ale bardziej go nęciły, romans i dramat historyczny, uprawiane w romantycznym, nie

realistycznym duchu. Więc pisał „Cecorę“, gdzie więcej historji, niż romansu, i „Imc. Pana Filipa z Konopi“ z nadto sentymentalnym bohaterem z łaski Syrokomli, który zająca (bo ów Filip z Konopi nigdy czem innem nie był) w szermierza przedwczesnego altruizmu przerobił; hula ten Filip (bez filipa w głowie — wedle innego, nie gorszego przysłowia) po świecie, i z grozą odtrąciłby go od siebie Pasek i Zagłoba.

Równie wymarzone postacie, liryczno-romantyczne przewijały się i w jego dramatach, w „Żydach“, gdzie główną rolę odgrywa bajka o Esterce i przywileju Kazimierza Wielkiego dla żydów, bajka, tak zakorzeniona, jak owa o złamaniu przysięgi przez Warneńczyka; w „Annie Firlejównie“, mogącej w niehistoryczności rywalizować z „Filipem z Konopi“, z fabułą całkiem romantyczną; „Almanzorze“ bohaterze mauryjskim, przez szczęście opuszczonym, gdy go żeniaczką, nie orężem, dobywać się kusił; w „Bolesławie Śmiałym“.

Nie brak żadnej z tych sztuk efektów, podniosłych scen lirycznych, czasem, np. w „Almanzorze“, wielkich scen ludowych; brak im tylko istotnego życia dramatycznego. A to samo można powtórzyć o jego wielkiej epopei „Pieśń Królewska“, z dziesiątego jeszcze wieku i z walk z Teutonami i okrutnym a przebiegłym grafem Gerenem, gdzie znajdziesz wszelkie ingredjencje epickie, prócz tchnienia epicznego, czego przy biurku nie wymyślisz.

Komiczne „epos“ A. Morgenbessera, „Obrona Sokołowa“, znajdzie, i słusznie, liczniejszych i wdzięczniejszych czytelników.

Innemi torami, niż poezja liryczna i epiczna, kroczyła twórczość dramatyczna; ci sami pozytywiści i „organiczniki“, którzy obalali ołtarze romantyzmu, witali w komedji, jak i w powieści, dzielnego spółpracownika w kruszeniu przesądów, w szczepieniu nowych idei, i, kiedy inne działy poetyckie skazywano na wymarcie, dramat i powieść kwitły w najlepsze, jednak nie z równym wynikiem. Gdy bowiem na polu powieści literatura polska staje godnie obok innych europejskich, gdy ilością i rozmaitością talentów lirycznych wyróżnia się między innemi, brak jej i do dziś wielkiego dramatu narodowego i dramaturga takiego, jakich epików czy liryków posiada. Czemuż ten brak przypisać? Alboż to tylko przypadek?

Może i nie: nietylko nasza, ale i inne literatury słowiańskie dotychczas nie wydały wielkiego dramatu. I rosyjska tylko ro-

mansem stoi; dramatu nie stworzył nawet Ostrowski, najbardziej dramatyczny ze wszystkich jej autorów; o czeskiej i chorwackiej niema co i wspominać. Epiczna rozlewność pisarzów słowiańskich, we wsi sennej, nie w ruchliwem mieście wykołysanych, walczy z wymaganiami scenicznemi; ich dramaty bywają dialogami i kronikami, gubią się w słowach i szczegółach; brak im akcji, jednolitości, napięcia, a braku tego nie powetują poetyczne piękności poszczególnych scen, dowcip i finezja słowa; osoby znakomicie scharakteryzują, lecz ani nie potrafią wystawiać ich w czynie, ani akcji energicznie rozwijać i skupiać. Przez całe stulecia nie sprzyjały zewnętrzne warunki rozwojowi, a raczej samym początkom teatru, bez którego dramatu nie będzie — i Szekspir i Molier byli aktorami i dla aktorów pisali, a tych u nas nie było wcale; do życia miejskiego i dworskiego szlachta nagiąć się nie dała, żyła samopas, po dworach i dworkach; miejsca dla teatru nie było zupełnie. Gdy nakoniec, za wzorami obcemi, teatr powstał i działać zaczął, zadowalano się zbyt łatwo — nie na tem polu jedynie — wytwórczością obcą, łatwo dostępną; repertuar mógł się długo obywać bez sztuki rodzimej, występującej raczej okolicznościowo, dla celów oficjalnych.

Istotnego zajęcia dramatem i sceną u nas nie było; mniej u nas teatromanów nawet, niż w Rosji; jedyny chyba Bogusławski stanowił nadzwyczajny wyjątek.

Znakomitych artystów wydała dopiero druga połowa wieku; najznakomitszy dawniejszy, Bogumił Dawizon, później pracował tylko na scenie niemieckiej. Największy talent dramatyczny, Słowacki, łączności z sceną nie miał żadnej. Niekorzystne inne warunki oddziaływały i na teatr, bardziej nawet na teatr (i dramat), niż na jakąkolwiek inną gałęź sztuki. Muzyka i dramat są najpóźniejszym dorobkiem kultury słowiańskiej, nietylko u nas, chociaż dramat właśnie u nas największe przeszkody miał do zwalczania, już całkiem zewnętrzne, cenzuralne, strasznie dokuczliwe.

Usiłowań nie brakło; najniewdzięczniejszą nawet gałęź, dramat historyczny, uprawiano najgorliwiej, co przy naturalnem zwracaniu oczu ku przeszłości narodowej zgóry samo się narzucało. Tymczasem tu właśnie piętrzyły się trudności; dzieje polskie — jak i słowiańskie wogóle — nie obfitują w zawikłania dramatyczne. Słowacki kierował się bardzo trafnym instynktem, kiedy swe kroniki dramatyczne cofał w dal zamierzchłą, gdzie wymysłów nikt nie sprawdzał. Dopiero wiek ostatni był bogaty w zapasy tragiczne, u barszczan i Horsztyńskich, ale te nie na każdą scenę się nadawały.

Niwę dramatu historycznego, zanim się jeszcze komedja społeczna urodziła, uprawiali najgorliwiej **Józef Szujski** i **Adam Bełcikowski.** Liczne pamiętniki, wprowadzające w tryb domowy przodków (choćby Pasek) pełniejsze oświetlenie dziejowe, budziły oczekiwania powstania dramatu historycznego. Już K. Wł. Wójcicki zapowiadał z pewnością w r. 1843 bliskie narodziny dramatu historycznego; ale lata upływały, i luźne próby Przeździeckiego, Odyńca, Szajnochy nie sprawdzały tych oczekiwań; autorowie sami rzucali rychło niewdzięczne pole.

Inaczej Szujski. Mniemał, że był stworzony na poetę i przez całe życie, nawet jako zawołany historyk i działacz polityczny, nie wyrzekał się nęcącej pokusy, i, acz wkońcu ochłódł w zapale, jeszcze w jubileusze, Kopernika i Długosza, z poematami dramatycznemi występował. Ale — *quantum mutatus ab illo!* — Cóż tu z dawnego Szujskiego zostało! Na pytanie Kalimacha, gdzież ta wiara, ta potęga, co ręce ku modlitwie skłania, odpowiada u niego Długosz:

> a gdzieżby? W pokorze, w zapomnieniu o sobie,
> w miłości za sobą świata, ludzi, kraju,

innemi słowy: po trzydziestu latach, w rozwoju europejskim najbardziej stanowczych, częstuje nas Szujski receptą z „Bożej Czeladki" Kraszewskiego, wywietrzałą już w 1851 roku! Cofnął się więc, zacieśnił myśl strasznie, a formy nie poprawił, siły słowa i akcji nie wyrobił większej.

Jako młodzieniec zaczął zawód dramatyczny „Zborowskim" w roku 1857 i romantycznym „Wallasem" (1860), grzmiącym hasłami o niepodległości i walce zawziętej z wrogiem odwiecznym. Z latami zmieniał formy; od naśladownictwa Szekspira, z nadmiarem akcji i charakterów, przechodził do deklamacyjnej tragedji Schillerowej i francuskiej, z ograniczoną ilością osób i akcją bardziej skąpą, z tem bujniejszym dialogiem; studjował dramat starożytnych i spolszczał Arystofanesa, formy szukał u Calderona i Wiktora Hugo — własnej nie znalazł. Poezję, polot wyobraźni, krępowała sumienność historyka, rozwaga działacza politycznego: wmyślał się w swoje tematy, aby z nich zaczerpnąć nie obrazy, ale naukę i przestrogi; gdzie tego nie znachodził, chłódł natychmiast, nie dawał się porywać świetności efektu; refleksja zabijała twórczość, zamiast nią kierować, a historyk psuł stale koncept

poety. Poeta przeprowadził jako tako w „Zborowskim“ ideę porządku i ładu do zwycięstwa, lecz sumienie historyka kazało doczepić niby epilog, osłabiający ponownie ów triumf pozorny; do tego tematu wracał dwukrotnie. Opracował naturalnie i Halszkę z Ostroga i Dymitra z Maryną, nie lepiej, niż poprzednicy; najbardziej pociągała go epoka przełomowa dziejów polskich, potęga, jaśniejąca nazewnątrz, dozwalająca Władysławowi pieścić się planami tureckich wojen, a słabość wewnętrzna, ujawniona tak strasznie a rychło w wojnie domowej. Nęcą go więc Władysław, Kazanowski, Osoliński, królewięta, ale tego pomysłu głębokiego przeprowadzić nie umie; wszystko, co powie, szlachetne i mądre, lecz niedramatyczne; niektóre sceny epizodyczne wykonane bardzo ładnie, np. owo bawienie się pacholąt w Rzeczpospolitą, całości jednak niema. Najdziwniejsze to, że historyk paktuje łatwo z poetą, nie zabrania mu w szczegółach wymysłów bardzo problematycznych, nadto sentymentalnych — ogółem chorują postaci Szujskiego na hipertrofję szlachetności; dobre to dla Felińskiego i deklamacji patetycznej, lecz nerwu dramatycznego nie posiada. Brak dramatyczności, konsekwencji, jedności akcji zabija dramaty Szujskiego, pominąwszy wiersz i język ich ciężki; działają te dramaty o wiele korzystniej na czytelnika, niż na widza — właśnie głębokością myśli, trafnością sądu, prawdami historycznemi, od których się roją.

Niemal równocześnie z Szujskim rozpoczął i Adam Bełcikowski zawód dramatycznego pisarza; język i wiersz jego bardziej są potoczyste i na większą siłę się zdobywają, lecz i jemu nie było danem zwyciężyć. Prozy użył w jedynej komedji społecznej (galicyjskiej, „Protegujący i protegowani“) i w komedjach historycznych, gatunku powszechnie zaniedbywanym, i tu właśnie wcale udatne rzeczy tworzył. Tak „Obaj Radziwiłłowie“: stary kanclerz Olbrycht, świętoszek i intrygant, jako dziewosłąb kuzyna samby najchętniej rękę nadobnej Potockiej posiadł, lecz odkosza się nabawił. Albo w „Królu Don Żuanie“ dawne sułtanice, hrabina Cosel i Madame de Teschen walczą, aby nową, poświęcającą się chętnie faworytkę królewską, warszawiankę Duval, kochającą nie króla, lecz Augusta, z wpływów i względów wysadzić. Za przykładem Małeckiego i Wołowskiego, w 1902 r., znowu prozą udramatyzował Pana Paska z ordynatem Myszkowskim.

Od komedji wracał stale do tragedji i kroniki dramatycznej. Nieraz brał tematy obce, dalekie a efektowne, z historji bizantyńskiej, ale bardziej pociągały go tematy swojskie: największe osią-

gnął poeta powodzenie „Mieczysławem II“ i „Bolesławem Śmiałym“. I jeszcze dalej wstecz, niby za przykładem Słowackiego, cofnął się, aż stanął „U kolebki narodu“ i opracował motyw o Wandzie i o Koronie Lechowej (walkę ze smokiem). Dla widowisk popularnych udramatyzował Sobieskiego i Kościuszkę. Wszystkie jego dramaty są zbudowane bardzo poprawnie, logicznie, regularnie; język ich zawsze szlachetny; bohaterowie upadają w konfliktach moralnych, jako ofiary Nemezis dziejowej, mszczącej wszelkie wykroczenia, albo tylko pod zbiegiem fatalnym okoliczności zewnętrznych. Nie chodzi mu o naukę i przestrogę, o tendencyjne zabarwianie tematów, przystosowanie ich do wymagań polityki; przeważają więc poetyckie, romantyczne żywioły. Mimo tych przymiotów nie osiąga trwałych, głębokich wrażeń; brak jego bohaterom temperamentu, siły wybuchowej i żywiołowej — wymyśleni oni i wymarzeni raczej, niż głęboko odczuci; fantazji jego brak tego bogactwa, któreby nam zupełną wizję przeszłości odtworzyło; nie zastąpi go rozwaga, umiejętna, chłodna. Ta sama rozwaga cechuje i estetyczne i literackie jego prace.

Szujski i Bełcikowski to tylko koryfeusze szeregu, liczebnie bardzo silnego — produkcja dramatów historycznych nie ustaje ani na chwilę. Mało z nich jednak ukazuje się na deskach scenicznych; jeszcze mniej wytrzymuje ogień krytyki, a sukcesy bywały jednodniowe, np. dramatów Wincentego Rapackiego, znakomitego artysty, w którego rodzinie talenty są dziedziczne; i syn jeden twórczości nowelistycznej się oddaje. Jego „Wita Stwosza“ przyjęto niegdyś z istotnem uniesieniem, ale z każdem nowem dziełem uniesienie to malało, mimo silnych efektów scenicznych, języka namiętnego, energicznej akcji — coraz widoczniej występowało aktorskie traktowanie sceny i efektów, coraz bardziej melodramatycznych, coraz mniej prawdziwych; w długim szeregu tych dramatów, w „Koperniku“, „Acernie“, „Odsieczy Wiednia“, „Pro honore domus“, „Figliku Stańczyka“ i t. d. nie powtarzał się już efekt bujnej deklamacji „Wita Stwosza“.

Od dramatów historycznych przeszedł Rapacki do romansów i nowel historycznych, przedstawiając choćby Hanzę niemiecką i dopowiadając do „Ogniem i Mieczem“ „Grzechy Królewskie”, o „Kostce Napierskim“. Fantazja poetycka, jak i w dramatach, rozpościera się tu nadto kosztem prawdy historycznej i prawdopodobieństwa. Inni, np. Gorczyński, o wiele słabsi, dyskredytowali chyba dramat historyczny; jeszcze inni, wyjątkowo raczej tę

gałęź uprawiali, np. Józef Kościelski, znany mecenas literatury i sztuki i sam ich niepospolity znawca, w „Arrji“ (rzymskiej), w „Władysławie Białym“, wcale efektownym dramacie o miłości (Anny i ziemi swej), która odwodzi bohatera od walki ambitnej o tron piastowski; Karol Brzozowski w „Maleku“ z tematów wschodnich; Aureli Urbański, niezgorszy autor komedji lekkiej i farsy, przyciężki w twórczości patrjotycznej, jak i w „Watażce“ i „Kseni“; Michał Wołowski (dyrektor teatru), czerpał temat „Towarzysza Pancerngo“ z Paska; Bronisław Grabowski, jeden z nielicznych slawistów warszawskich, zasłużony popularyzator rzeczy słowiańskich, tłumacz gorliwy, próbujący sił swych w oryginalnych dramatach, historycznych i ludowo-fantastycznych.

Między młodszymi pojawiał się na scenach najczęściej **Stanisław Kozłowski**. Jego „Wójt Albert“ wyszedł z konkursu, opromieniony sławą, niby „Wit Stwosz“ Rapackiego, lecz po wystawieniu na scenie wydmuchana ta sława upadła odrazu; ani język wiersza, ani treść nie czyniły zadość wyższym wymaganiom. Narazie został poeta przy wieku XIV i po wystawieniu walki krakowskiego, butnego niemieckiego mieszczaństwa (i biskupa Muskaty) z potęgą rodzimą, Łokietkową, udramatyzował, mniej poetycznie niż K. Gliński, „Esterkę“, potem zwrócił się na obce niwy, w „Taborytach“, w „Turnieju“, jednym z rzadkich u nas dramatów renesansowych o artystach: malarz wydobywa ze współzawodnika tajemnicę jego powodzeń, nęcąc go pięknością żony, aby się pozbyć odrazu podwójnego rywala. Nie wzniósł się jednak nad poprzedników, nawet nie nad efektowny „Posąg“ W. Szymanowskiego, z Moną-lwicą florencką i jej nieszczęśliwym mężem-rzeźbiarzem, rozbijającym wkońcu posąg-żonę. W „Dianie“ przedstawił Kozłowski życie pod Blachą wesołego, hulaszczego księcia „Pepi“, jakby Poniatowskiego nigdy inne myśli, prócz o wawrzynach na polu galanterji, nie nachodziły; dobrze oddał anegdotyczną, obyczajową stronę czasów pruskich. Zazdroszcząc wawrzynom symbolisty (Staffa) i erotomana (Przybyszewskiego) napisał „Pochodnię“, bardzo niezwykłą o tyle, że zwykłą niewiarę małżeńską i karę za pogwałcenie szczątkowego organu (sumienia) rzuca w daleką przyszłość, między apostołów nowych idei.

Inni wcześnie milkli, np. Gadomski, stworzywszy „Larika“, broniącego ojczyzny przeciw Rzymianom i ginącego w nierównej walce, i Józefat Nowiński, po „Białej Gołąbce“, dramacie, również wziętym z sfer artystycznych, ale raczej lirycznym dialogu, niż dramacie.

Nierównie większem powodzeniem cieszyła się komedja. Gdy w dramacie historycznym głównie Szekspir i Schiller rej wodzili, a brak właściwej dramatyczności i odczucia ducha czasu zastępować musiały szczegóły antykwarskie i bujna deklamacja, w komedji zapanowała wszechwładnie sztuka nowoczesna francuska, sztuka tendencyjna, *à thèse*, Augiera, Dumasa syna, Sardou. Najpierw u **Józefa Narzymskiego** (z Rządu Narodowego 1863 r.); czego żądał jako agitator i publicysta, t. j. ażeby autor dramatyczny był i myślicielem, moralistą, agitatorem, ażeby chłostał podłość, ostrzegał przed zgubnemi prądami, budził i wyszlachetniał dusze, pchał bryłę świata silnemi ramiony, to jako autor wypełniał, szczególniej w dwu niegdyś głośnych komedjach, w „Epidemji“ i w „Pozytywnych“; dalszemu rozwojowi rychła śmierć przeszkodziła. Napiętnował w tych komedjach epidemję gry giełdowej, gorączkę rychłego wzbogacenia się, wyżerającą wszelkie moralne zasoby indywiduów i społeczeństwa; i takich pozytywistów, co z wszelkiemi mrzonkami pozbyli się zarazem i wszelkich ideałów, uznali tylko cele materjalne, służąc tylko hasłom praktyczności, trzeźwości, wyziębili uczucia, obniżyli poziom moralny. Szlachetnym zamiarom patrjoty-publicysty nie odpowiadało równie znakomite wykonanie; żyły komicznej Narzymski nie posiadał, był satyrykiem i moralizatorem; nie grzeszył i uczuciowością, brakło więc jego utworom polotu i ciepła; odzywa się z nich suchość czy oschłość.

Edward Lubowski w „Nietoperzu“, „Sądzie honorowym“, „Pogodzonych z losem“, „Karjerach“ karcił ostro, satyrycznie to, co mu się wydawało zdrożnem: naszą opinję publiczną, dającą się byle komu za nos wodzić, usiłowania rozmaitych gasicieli ducha karjerowiczostwo. I tu znowu przeważała tendencja satyryczna, ustępowało żywsze uczucie; komedje jego ośmieszały, potępiały, potem tylko bawiły; najczęściej dostawało się plotkarzom i wszelakiej hipokryzji, umyślnej, gorszącej, i niewinnej.

Ulubieńcem publiczności był na jakiś czas **Józef Bliziński**, który zdobył jej względy złotym swym językiem, złotem sercem i złotym humorem; jest to po Fredrze najznakomitszy komedjopisarz. Zrósł się zupełnie z sferą, którą opisywał, szlachecką; mieszczan wprowadzał tylko takich, którzy pięli się do szlachectwa, Kiksów-Kiksiewiczów, zbogaconych na arendzie czy hotelu, gwałtem wydających córki za prawdziwych panów; innych klas ani nie znał, ani nie uwzględniał. Długoletni mieszkaniec wsi, przejrzał nawylot swoich „dilektów“: ich dobre w gruncie serce, ich rażący

brak logiki i konsekwencji — jego rejent, smakując w pieczystem, napada gwałtownie na Zosię w „Panu Tadeuszu“, odmawia jej serca, boć ona nie przeszkodziła rzeziom w kurniku — ich lekkomyślność, ich życie nad stan nieopatrzne, ich ratowanie samych pozorów, ich safandulstwo, słabość woli i charakteru — jak łatwo zdobywa Pawłowa „Marcowego Kawalera“! Z takich ludzi nie można wykrzesać silnych konfliktów dramatycznych, omijają więc te komedje wszelkie wiry i rafy i lądują szczęśliwie w przystani; autor jest takim samym optymistą, jak jego figury. Poza sceną wloką „Rozbitki“ łańcuch upokorzenia czy nieszczęścia przez całe życie; u Blizińskiego upija się łyk — pan młody — przed samym ślubem na śmierć i zrywa w ten sposób związek nienaturalny, a familję ratuje *deus ex machina*, syn, robiący świetną partję, nieśmiały wobec swego anioła o złotych piórach, aby go nie posądzano o interesowność.

Bliziński unikał stale „dramatów“, chociaż każda z jego sztuk, z większą może racją, kończyćby się powinna „dramatycznie“, bo i „Przezornym Mamom“ nie wiodą się rzeczy tak gładko i, gdy „Chleb ludzi bodzie“, pokutują zato niewinnie ofiary Geldhabów, a „Mąż od biedy“ staje się parawanem dla wszelakich wykroczeń przeciw szóstemu przykazaniu, i „Pan Damazy“ nie znalazłby testamentu, któryby od naiwnej Tykalskiej interesowna żona-wdowa dawno była wyłudziła. Możnaby się więc nieraz spierać o prowadzenie akcji, ale i krytyka, a cóż dopiero widza, rozbraja jego humor i serce. On nie umie przedstawiać złych ludzi, nawet rejenta i wdowę z „Pana Damazego“, nawet bardzo niesympatyczne w gruncie osoby „Rozbitków“ ratuje jakiś rys charakteru, odezwanie się poczucia godności czy serca i nie dozwala nam ich potępiać. A cóż dopiero jego osoby „dodatnie“, ta idyliczna para Dawnowskich albo ów nieprzepłacony Damazy, szlagon, który się nie da skrzywdzić, o głosie strasznie donośnym i ruchach nadto wyraźnych, o sercu miękkiem jednak i uczuciu delikatnem pod powłoką gruboskórną. A jak jego złota młodzież jest głęboko sympatyczna — choćby ów syn rejenta, pozytywista warszawski, w istocie romantyk starej daty, za pierwszym pociągiem serca instynktownie się rzucający, ku przerażeniu ojca - niepozytywisty.

I historyczne komedje Blizińskiego, jak „Zemsta“ Fredry, malują obywateli wiejskich — do miasta Bliziński wcale nie zagląda, żyda i chłopa nie zna już nawet po wywłaszczeniu — opisują ich nałogi patrjarchalne, anormalne, w życiu nowoczesnem.

wkorzenione od wieków, i których pozbyć się niepodobna. Na każdym kroku, mimo wszelkiego optymizmu, wykazuje Bliziński głębokie znawstwo serc i umysłów swej braci; przytem posiada wiele komizmu i tworzy postacie, epizodyczne choćby, lecz niezapomniane, np. owego Brylańskiego z „Przezornej Mamy“, którego od żony, niby bliźniaka sjamskiego, nic odłączyć nie zdoła, albo owej Pawłowej, niańki-tyranki „Marcowego Kawalera“. Tendencji, idei żadnych nie przedstawiał; tam, gdzie starał się być moralizatorem umyślnie, jak w „Chwaście“, wyjałowiającym nasz grunt społeczny, nie znajdował powodzenia, wiernego mu, póki przedstawiał same obrazy życia szlacheckiego.

Szczególną zaletą komedji jego jest język, szczero-polski, wypieszczony; żadne jego tajniki nie były obce Blizińskiemu, który przy końcu życia, pełnego zawodów, oddawał się z miłością — badaniom językowym, nad czystością jego i nad przysłowiami jego. A mowę tę znał we wszystkich odcieniach; jego Pawłowa np. to skarb dla etnografa. Toż to niby Sabała, choć na równinach i w spodnicy.

Obok Narzymskiego, wcześnie zgasłego, Lubowskiego, który się do każdej, nawet wkońcu do ibsenowskiej komedji serjo czy nie serjo naginał, Blizińskiego, nie naśladującego nikogo, nie pytającego o tendencje, malującego, z humorem i uczuciem, jakiego ani Narzymski, ani Lubowski nie posiadali, ten świat szlachecki, z którego wyszedł, — popisywali się liczni współpracownicy. Najwytworniejszym był Zygmunt Sarnecki, obracający się z zamiłowaniem w świecie wyższym („Zemsta Pani Hrabiny“), pisujący komedje salonowe, a obok nich i taką „Febris aurea“, z pysznym Lutnickim, Panem Damazym, schodzącym na psy, z dorobkiewiczem Gałdzińskim, z pytaniem: „dukaciku, kto cię rodzi? praca i cnota, czy lichwa i występek?“ Sarnecki, zamiast siły rozwijać, zszedł na dramatyzowanie bajek ludowych („Szklanna Góra“, treść i motywy czerpiąc jeszcze z „Bajarza“) albo utworów powieściowych: najlepiej wypadły mu „Harde Dusze“ z „Bene Nati“ Orzeszkowej.

Najwięcej powodzenia miał **Kazimierz Zalewski.** Komedje jego „Przed Ślubem“, „Małżeństwo Apfel“, wykazywały talent satyryczny, znakomitą obserwację, zmysł sceniczny; od Francuzów, jak i Lubowski, przeszedł do naśladowania Ibsena, dawał publiczności niby zagadki do rozwiązywania i tematy poważne („Jak myślicie?“, „Syn“, „Prawa serca“), schodził jednak stale na pole najzwyklejszej farsy, odznaczając się chyba pieprznością („Oj mężczyźni, męż-

czyźni"), albo do melodramatów dla teatrów ludowych i przedstawień niedzielnych o szwaczkach warszawskich; na polu farsy miał niebezpiecznego konkurenta w Zygmuncie Przybylskim, autorze „Wicka i Wacka" i tylu innych pociesznych fars.

W farsie celował przez długie lata **Michał Balucki** i utratę dawnej popularności wkońcu przypłacił życiem. Zaczął jako powieściopisarz (Elpidon), i powieści i nowel nie rzucił nigdy, chociaż powodzenie „Radców pana Radcy" do sceny go odwabiło. Jak Bliziński światek szlachecki, tak on maluje mieszczański, szczególniej krakowski, chociaż „Pipidówka" jego i na partykularzu się mieści. Życie krakowskie znalazło w nim najwierniejszego rysownika, nie dawne, wielkich wspomnień pełne, ani nowe, artystyczne, ale owo szare, przeciętne, na plantach z emerytami, karmiącymi wróble chlebem, a dziatwę łakociami, na rynku z kumoszkami, na linji A-B z grubemi rybami i drobnym narybkiem, z tuzami politycznymi, finansowymi, miejskimi, z różnymi letkiewiczami, karjerowiczami, nicponiami, z parantelą ich męską i żeńską, protektorami i protektorkami.

Pierwsze jego występy nowelistyczne budziły większe zajęcie: „Młodzi i Starzy" było studjum obyczajowem, z podkładem romantyczno-idealistycznym, wywołanym świeżemi starciami, lecz już pierwsza komedja („Radcy pana Radcy" z r. 1867) zapowiadała przyszłego farsistę, któremu nie chodzi ani o prawdopodobieństwo akcji, ani o subtelniejsze cieniowanie charakterów, ani o język literacki, który ma jeden cel: zabawiać salę karykaturą charakterów, dosadnością języka, graniczącą z trywjalnością, komicznemi sytuacjami, epizodycznemi figurami, tak, że się od śmiechu trzęsiemy. Z rogu tej naszej Amaltei dramatycznej sypały się krotochwile i farsy i bawiły chwilowo niewybrednych; jedynie nie umiał sobie radzić z efektami melodramatycznemi, z rewolwerem i trucizną („Flirt"), z czego się chyba śmiano, kiedy on na serjo puszczał bombę, i z tendencjami nowemi. Powoli szczuplało koło jego wielbicieli, coraz obojętniej przyjmowano jego obrazki sceniczne i coraz daremniej walczył on przeciw tej fali zapomnienia, grożącej mu pochłonięciem jeszcze za życia. Wszystko to rzeczy lekkie, rzucone tylko z gruba, niewykończone, element ich satyryczny, niby narzucony, ujawnia się w uwagach i szczegółach, nie w całości; szare postacie, szara akcja — nic nie wzruszy, nie wstrząśnie, a coraz bardziej wszystko się powtarza, szarzeje. Wyżej stawały utwory powieściowe, liczące się ostrzej z nędzą

i blichtrem galicyjskim, walczące przeciw klerykalizmowi, dotkliwie chłoszczące sobkostwo i niezaradność mieszczan Pipidowskich; lecz i tu szwankowała nieraz akcja, a charakterów się nie pogłębiało.

Z farsami Bałuckiego, nieraz grubemi i płaskiemi, konkurowali nietylko Przybylski i Zalewski; talent dramatyczny dziedziczny był w rodzinie Fredrów i po ojcu hr. Jan Aleksander kusił się o wawrzyny sceniczne — lecz ani w życiu, ani w sztuce, chociaż warunki, zdawało się, były wszystkie po temu, nic większego, całego, nie zdziałał i o tej niemocy sam aż nadto był przeświadczony, więc nie wysilał się na nic innego, prócz jednoaktówek, bluetek, żartów scenicznych, które znajdowały drogę i na obce sceny. A kolegów miał licznych, hrabiów (np. Koziebrodzkiego), nawet i aktorów (Stanisława Dobrzańskiego).

Dramat ludowy pozbywał się powoli szablonu konwencjonalnego, chłopków rozśpiewanych i roztańczonych, przytupujących dziarsko, zaczerpniętych z szopek, nie z życia. Najlepsze rzeczy dawał Galasiewicz, krocząc w ślady „Emigracji Chłopskiej“ Anczyca, w „Ciarachach“, w „Ławie Czartowskiej“, „Wspólnych winach“, gdzie i język chłopski wierniej oddawał i, bynajmniej niezaślepiony w ludzie, wad jego nie ukrywał, a mimo to wykazywał przymioty głębokie i cechy trwałe. Przeważał jednak u niego element komiczny, tragicznych momentów nie wyławiał i sentymentalnemi, melodramatycznemi wcale nie gardził; we „Wspólnych winach“ pan wydziedziczony i chłop-dziedzic rozrzewnieni padają sobie w ramiona.

Obok niego próbowali sił Staszczyk, Świderski i inni; dramat miejski, przedmieszczański, najmniej znajdował miejsca; farsa lokalna, uprawiana z takiem powodzeniem po wielkich miastach zagranicznych, u nas, na warszawskim czy lwowskim bruku, kwitła i kwitnie słabo. Sztuki ludowe zato, widowiska niedzielne, cieszą się wielkiem powodzeniem, szczególniej osnute na podkładzie historycznym, czy o Sobieskim pod Wiedniem, czy o Kościuszce — najlepsza Juljana Mörsa z Poradowa (pseudonim Elżbiety Bośniackiej, piszącej powieści) „Przeor Paulinów“; jest to patrjotyczna bardzo i wcale efektowna rzecz o Kordeckim.

Jak powieść, tak i dramat specjalizował się, rozglądał po świecie, badał różne warstwy. — Specjalność taką uprawiał, złamany wcześnie życiem i nędzą, sam aktor wędrowny, Szutkiewicz, autor „Popychadła“ i innych słabszych rzeczy scenicznych, zarazem autor powieści, w „Jednym z wielu“ i innych opisujący po-

stacie z życia parjasów sztuki dramatycznej; skoro się wychylał za to pole najbliższej obserwacji, nie dopisywały mu siły.

Gorliwych naśladowców znajdowali obcy, Ibsen, Praga, Sudermann, Hauptman, Becque, górujący w przekładach nad naszym repertuarem własnym, zdobywającym się raczej na przedrzeźnianie ich tematu i sztuki. Brak u nas ciągłości, wysiłków stałych; często pojawiała się sztuka, zapowiadająca nową siłę, cóż, kiedy ta zapowiedź nigdy się nie sprawdzała. Tak było z „Leną“ Jasieńczyka (Karczewskiego), który się potem przerzucił na powieść ludową i krytykę; z „Minowskim“ Mańkowskiego; były liczne komedje Stanisława Graybnera (najlepsza może „Maruder“, człowiek innych zapatrywań i czasów) i pani Mellerowej („Fałszywe blaski“ i inne); nie przechodziły jednak z repertuaru do literatury, a zdjęte raz z afisza, nie wracały na scenę.

Zupełnie odosobnioną była twórczość **Aleksandra Świętochowskiego** (Okońskiego). Zdawało się, że pierwszym dramatem, „Niewinnymi“, wkraczał i on na tory dramatu czy komedji *à thèse*, lecz z każdym następnym ubiegał się coraz mniej o sceniczność, i z licznych jego rzeczy późniejszych tylko niektóre jeszcze wystawiano, żadna zaś nie weszła do stałego repertuaru — z wielką stratą dla sceny i publiczności, opędzających swe potrzeby produkcją obcą i tandetą domową. Publiczność, rozbawiona farsami marki paryskiej, choćby firmy Sardou lub Rostanda, nie ocenia piękności i zalet dramatów Świętochowskiego; tylko czytelnik wraca do nich zawsze — pomimo wszelkich braków tak zwanej sceniczności i innych, jakie im zarzucano. Są to utwory niepospolite i zostaną na zawsze w literaturze, kiedy o innych, bardzo scenicznych i bardzo mile witanych, nawet bibljograf nie wspomni. Wraz z Asnykiem wysuwa się Świętochowski na samo czoło literatury polskiej w jej okresie pozytywistycznym.

Talent Świętochowskiego jest wybitnie publicystyczny, stylowy; w dziełach jego, jak u Krasińskiego, poruszają się idee, nie ludzie i czasy. Wcześnie zasłynął ten pozytywista warszawski, niosąc sztandar w gorących walkach między starymi a młodymi; z pod jego świetnego pióra wychodziły owe artykuły programowe, „My i Wy“ i inne, któremi się upajała młodzież postępowa, które jątrzyły do krwi naszych zachowawców. Chociaż pierwszy ferwor minął, stawał Świętochowski zawsze na strażnicy społecznej i jako Poseł Prawdy (tygodnika), w *Liberum Veto* zwalczał nielitościwie wszelkie safandulstwo i sobkostwo, szowinizm i kastowość, uprze-

dzenia wyznaniowe i stanowe, przesądy i atawizmy, a zwalczał je owym stylem brylantowym, ciętym, pełnym świetnych antytez, dowcipu, jakiemu polszczyzna naszych najwytworniejszych stylistów rzadko dorównuje, nigdy go nie przewyższając. Zalety stylu i myśli przeniósł Świętochowski i do swoich dramatów i (nielicznych) nowel.

Styl ten, błyszczący dowcipem a raczej ironją i nadzwyczajną finezją, święci pradziwe triumfy w dialogach, w których przeciwnicy, gracze o równej sile, odrzucają sobie naprzemiany argumenty, lekkie docinki, dotkliwe uszczypliwości. Nie sposób zapomnieć takiej szermierki na słowa, np. ekskochanki i jej eksuwodziciela w „Ojcu Makarym", albo odbijania, jak w palancie czy lawntennisie, owych rzutów zręczności i dowcipu w „Pięknej" lub „Aspazji", lub w dialogu-noweli „On i Ona". Dialog ten nie ubiega się nigdy o prostotę niewymuszoności, i można go słusznie oskarżać o przerafinowanie, lecz przypomina pierwszorzędnych stylistów świata, francuskich (Woltera) i rosyjskich (Hercena), albo Courriera, pamflecistę, podkopującego skuteczniej, niż wszelka opozycja, monarchję burbońską i orleańską.

Myśl Świętochowskiego, to myśl spółczesna tych filozofów i przyrodników, na których dziełach wzrósł. Determinista, przeczy wolnej woli człowieka; pokazuje, jak on bez świadomości staje się winnym, bo winnym stać się musi; darwinista, w świecie ludzkim uznaje te same żądze i namiętności, co i w zwierzęcym, więc jego samicę-Piękną oblegają samce, chciwi połowu, a jeśli go nie odnoszą, nie jest to zasługą jej zasad ani stałości, ani wierności, ślubowanej mężowi: to tylko na ten raz rzecz się nie udała. Wobec „pięknej" brzydka kobieta nie posiada nawet racji bytu — walczyć na talenty, umysł, serce, to próżna rachuba; lepiej odrazu samobójstwem wycofać się przed strasznem upokorzeniem. Nie są inne i jego idee społeczne: jako gorący ich rzecznik występuje autor i w obrazach ze świata starożytnego, stając się wyznawcą uczłowieczenia kobiety, uznania praw jej myśli, skruszenia więzów wszelkiej niewoli. W takiej „Aspazji" rażą jej hasła nowoczesne; marzy już ona o zabezpieczeniu renty na starość, narazie tylko dla obywateli ateńskich, a Eurypides jego to nietylko nowoczesny pesymista, ale w jego słowach dźwięczy już ta nuta, na której niebawem Strindberg i Przybyszewski wygrywać będą warjacje; przecież twierdzi, że świata naprawić niepodobna, bo ta maszyna została odrazu źle zbudowana, najwadliwszą zaś jej sprężyną jest

kobieta, która swą przewrotną miłością przeżera, jak rdzą, najtwardsze serca męskie. — Ale Aspazja zbija go słusznie: „Rzuć klątwę, Eurypidesie, na arystokratyczną rozpustę, z której zepsutych piersi wyssałeś tę niezdrową gorycz... wierzę tobie, że znasz tylko przebiegłe żmije, boś innych w gnijącym zbytku nie widział". Są to anachronizmy umyślne, chociaż nie brak i przypadkowych (np. o amerykańskich ananasach — w starożytności!); nie Świętochowskiemu po utartych drogach chodzić, a chociaż on w szczegółach historję depce, trudno o piękniejszą wizję wyrafinowanej kultury ateńskiej, niż sceny w domu Aspazji, z Sokratesem, olśnionym jej wdziękami, z kobietami-ptakami burzy, z sofistami, podtaczającymi świat starogrecki, z świetną nad wszelki wyraz obroną Peryklesa, gdy zbija zarzuty bezbożności kochanki — brylant to czystej wody, oprawa jego godna Platonowego „Krytona." Czytając te rzeczy, a znając opinję o nich naszego ogółu, wspomnisz mimowoli a smętnie parabolę ewangeliczną o rzucaniu pereł!

Świętochowski występuje wszędzie w obronie praw indywidualnych albo w walce z hipokryzją, np. w trylogji „Ojca Makarego" gromi z piorunującą wymową celibat, a politykę kolonizacyjną państw europejskich na wybrzeżach Afryki piętnuje z przerażającą dosadnością. Najciekawszem dla niego zagadnieniem są walki duchowe i w całym szeregu obrazów epiczno-dramatycznych kreśli pochód „Duchów" przez dzieje ludzkości, od jej pierwotnej dzikości, gdy się nieprzyjaciół pożera, a kobietą wspólnie włada, poprzez barbarzyństwo i rozwydrzoną kulturę starożytnego świata aż do nowych czasów. Wykończył z tego pochodu myśli, postępu, miłości kilka obrazów: we wstępie retorycznym uosobił potęgi kosmiczne, rzucające hasła przyszłego rozwoju; w następnych obrazach znajdujemy parę ludzi o jednem nazwisku, Ariosa i Orlę, w owych trzech stadjach, walczącą i ginącą stale w imię nowych haseł, które się dla miłości indywidualnej, międzyplemiennej i ogólnoludzkiej z biegiem czasu z powszechnej dzikości wyłaniają. Wysmagał przytem, w dwóch pierwszych obrazach, z zaciętością iście wolterowskiego *Ecrasez l'infâme,* teokrację w zaczątku jej i rozwoju; w trzeciej pokazał, z jaką pogardą, a raczej obojętnością sfery rządzące przyjmują nowe hasła (chrześcijaństwa), jak tylko niewolnicy i kobiety do nich się garną. W dramacie o „Aurelim Wiszarze" napiętnował Świętochowski „godziwość" środków, jakich się chwyta konkurencja dla uduszenia niebezpiecznego człowieka.

i niewytrawność robotnika, dającego się podbechtać byle szui: socjalistą Świętochowski nie jest!

Zdawałoby się, że wobec takich idei niema wcale miejsca w tych dramatach dla par gruchających. Tymczasem jest gorzej. Erotyzm jest niemal dominującą nutą w dramatach Świętochowskiego, a nie brak go i w jego nowelach („On i Ona"). Nie myślimy się spierać o zasadę „Duchów", skoro przynajmniej w ostatnim obrazie powstrzymał się autor od romansu między bohaterami, chociaż przypuszczamy, że w rozwoju ludzkości głód może więcej zaważył, niż miłość; razi jednak to ciągłe wplatanie w porę i nie w porę, to lubowanie się w obrazach erotycznych. Jak „Piękną", tak i Reginę oblegają samce; i Wiszar żyje tylko dla niej, miotany chucią bestjalską, lecz on przynajmniej przybywa z Afryki. W „Aspazji" jeszcze najmniej erotyzmu, ale rozwiązłość starożytna w trzecim obrazie „Duchów" aż nadto szeroko jest traktowana. Nadmiar ten erotyzmu nie zastąpił jednak braku prawdziwego, lirycznego, sercowego uczucia.

Jak encyklopedysta francuski, nie grzeszy niem i pozytywista warszawski; wyrozumował swoje idee i postacie, serca w nie nie wlał; one żyją tylko z łaski jego *esprit;* okazy to ciekawe, warte poznania, stworzone na chłodno i przejmujące nas chłodem. Czcimy i cenimy mistrza słowa i stylu — a zasługa to nadzwyczajna wobec naszej domorosłej bezstylowości i lekkomyślności, potęgującej się w używaniu słowa do błędów i grzechów przeciw językowi; imponuje nam myśliciel jasnością, konsekwencją swoich poglądów, nie wzrusza nas poeta: abstrakcjom jego brak krwi, świetne słowo zastępuje zawsze czyny. Od jego utworów dramatycznych odbijają nowelistyczne, gdzie właśnie wyrażał głęboką sympatję ku rozmaitym upośledzonym, których my sami krzywdzimy, np. nowele o Capeńku i t. d., które autor niepotrzebnie epigrafem tendencyjnym zaopatrzał. Pozytywista warszawski występował i w licznych pracach filozoficznej i estetycznej treści, np. o Wolterze; dziesiątkami lat jako Poseł Prawdy wybitne zajmował miejsce w publicystyce.

Mają jednak dzieła Świętochowskiego i głębokie cienie — popularne nie będą one nigdy; niema tam niczego dla tłumów, ale myślący, wykształcony czytelnik zawsze do niego będzie wracał. Nęci go szeroki widnokrąg, tak rzadki u nas, zapatrzonych w swoje cztery ściany, jakby poza niemi świata bożego nie było. — Świętochowski to kosmopolita duchem i treścią swych dzieł, wabi go

świat klasyczny, jak Goethego, chociaż ani Achileidy, ani Ifigenji, człowiek ten, zbyt spółczesny, nie wykuwał — wizję tego świata ma niemniej jasną; nic doskonalszego nad jego krótkie rzeczy antyczne, sceny i bajki. I „Aspazja“ jego, mimo wprowadzenia haseł „organiczników“, tchnie pogodą i spokojem antyku, pięknością jego linji, słonecznością jońskich wybrzeży, a dykcja jej prawdziwie klasyczna, jakby ustęp z „Sympozjonu“—„kawior dla pospólstwa“, szczególniej dla naszego. Ale w ostatniem dziele, w powieści satyrycznej „Drygałowie“ (1914), zwróconej i przeciw mieszczanom-filistrom i przeciw sztuce Młodej Polski („Towarzystwa ostatniego krzyku“) stanowczo się wykoleił; z realisty zszedł niemal na niewybrednego plotkarza.

Silny talent dramatyczny objawiła **Gabrjela** (Śnieżko) **Zapolska**, chociaż talent to może więcej reżyserski, niż poetycki; ma zmysł budowy sztuki — co u naszych nawet największych bardzo chroma; zna i oblicza efekty sceniczne. Zaczęła od powieści i nowel naturalistycznych, obniżając wielkie koncepcje i metodę Zoli do koncepcji „Kaśki Karjatydy“, służącej ze wsi, zdrowej i młodej, z krwią burzliwą, którą temperament i lowelasy lwowscy najpodrzędniejszej marki, traktujący wybraną sińcami, w błoto wdeptali.

Pociąg do teatru i szkoła paryska na scenie p. Antoine odciągnęły ją poniekąd od romansu i noweli, i wystawiła szereg ciekawych sztuk; „Małka Szwarcenkopf“ zaimponowała zewnętrzną znajomością świata żydowskiego, chociaż od „Lejby i Siory“ temat wykształconej, a rzuconej w świat najgrubszych przesądów i uprzedzeń dziewczyny nie jest u nas nowy. Melodramatyczności, na którą „Małka“ choruje, nie było w „Żabusi“ którą już tak stworzono, tak jej w główeczce i serduszku (Warszawka bez słówek zdrobniałych się nie obejdzie) ułożono, że i męża i przyjaciela musi zdradzać: postać znakomita, pełna życia i prawdy, podczas gdy jej odpowiednik, „Mężczyzna“, zbyt uogólnia typ jeden, kobieciarza czy babiarza, nie mężczyzny. „Życie na żart“ jest w szczegółach trafne, w fabule zajmujące, w części satyrycznej (o złotej młodzieży, o życiu lwowskiem) znakomite. Jedyna też Zapolska reprezentuje u nas naturalizm, wyrodzenie niby realizmu, bo w powieściach, i w ich udramatyzowaniu dotyka stale najdrażliwszych pytań i omawia je w najdrażliwszy sposób. Więc wprowadziła ona do literatury to, „O czem się nie mówi“ i to, „O czem się nawet myśleć nie chce“ t. j. prostytucję i choroby płciowe, oburzona na moralność urzędową, co nad „ofiarami temperamentu“ przechodzi do porządku — policyjnego. Już to tej moralności nikt

takiemi nie obłożył batami, jak właśnie ta kobieta, poczynająca od wychowania panienek w „Przedpieklu“ rozmaitych zakładów, schodząca aż do salonów-domów rozpusty; najsilniej oskarżała niemoralność stosunków płciowych, wygodne położenie mężczyzn, „Ahaswerów“ miłości, „panów“ wiecznie pożądliwych, bo swoim kaprysom folgować mogą. Satyra jej nie ogranicza się do „Córki Tuśki“ i „Panny Maliczewskiej“ (aktoreczki, której i papa i synalek hołdy składają), zagląda bez ceremonji i do biur i do domów wzorowych obywatelek i stamtąd anegdotami nas raczy, lekko odmieniając nazwiska i fakty. Kto to był „Wodzirej“, toć o tem w namiestnictwie lwowskiem wszyscy doskonale wiedzieli, a w „Moralności Pani Dulskiej“ „obrobiła“ kamieniczniczkę, u której sama mieszkała. Właśnie ta „Dulska“ to nieśmiertelny typ cynicznej moralności burżujowej, okrywającej niechlujny egoizm zaszarganemi strzępami przyzwoitości, wysmagany ze złośliwością, na jaką się tylko kobieta zdobędzie. Nie jest to głębokie, ale dosadniejszej karykatury niema w literaturze świata; nikt nie prześcignął drastyczności rysunku i szczegółów. Z warszawskich wspomnień wyniosła równie silne obrazy rządów moskiewskich i pod przybranem nazwiskiem Maskoffa bez maski napiętnowała i uwieczniła całą ich nikczemność w powieściach i w sensacyjnym dramacie „Tamten“ (granym z powodzeniem i na scenie berlińskiej). Talent to pierwszorzędny, chociaż nieskupiony ani zbyt przenikliwy; szybuje po powierzchni, daje się unosić łatwości pióra, powtarzaniami (np. o pani Dulskiej) osłabia pierwsze wrażenie. Zawojowała powieści i dramatowi nowe, niezwykłe dziedziny, prawdzie służy gorąco, nad ofiarami losu, nędzy, krzywdy społecznej gorzkie łzy leje i bezwzględnie, brutalnie pociąga do odpowiedzialności przedstawicieli i przedstawicielki porządku, opartego na obłudzie i egoizmie, nie zna obsłonek ani alegorji, każdą ranę społeczną obnaży nielitościwie, szczególnie jednak zagięła parol na brzydką płeć i mężczyznę stawia na pręgierzu. Nie zniża się jednak do fars pieprznych w guście p. Zalewskiego i wszelakich Fruncuzików, nie łechce lubieżnie zmysłów, jak oni, bo satyry i roli Mentora-oskarżyciela nigdy się nie wyrzeka. Dorobek jej bardzo nierównej wartości, szkodzi jej pospiech w wykonaniu, bladość jej postaci dodatnich, niewybredność wywodów i scen, ale jej „Dulska“ (tylko bez ciągów dalszych) przetrwa wieki. Przy rażącym u nas braku talentów scenicznych podwójna to jej zasługa.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

POWIEŚĆ.

Na wychodźtwie: Kraszewski i Jeż. W kraju: powieść społeczna i tendencyjna, Zacharyasiewicz i Plug. Lam. Orzeszkowa. Prus. Sienkiewicz.

+ Po wszelkich klęskach i zawodach bolesnych właśnie powieściopisarze poczuwali się do publicznej służby obywatelskiej, do nawoływania ku skupianiu sił, do szerzenia poglądów postępowych, do zwalczania uprzedzeń i przesądów, do przestrzegania przed czynnikami rozkładowemi, wciskającemi się z zewnątrz, czy tworzącemi się w łonie własnem. Ich realizm był daty starszej, nie zaczynał się dopiero od pozytywistów warszawskich. +

Czoło ich zajmował **Józef Ignacy Kraszewski**, który po śmierci Korzeniowskiego i zamilknięciu Kaczkowskiego, bez godnego współzawodnika przez lat niemal dwadzieścia na niem się utrzymał. Opuściwszy kraj, zbywszy się ostatecznie kłopotów redaktorskich, gospodarczych, urzędowych, oddał się z olbrzymią, wręcz nieprawdopodobną rzutkością umysłu a wydatnością pracy literaturze, uprawiając obok niej i muzykę, nie zaniedbując rysunków i malarstwa, prowadząc olbrzymią korespondencję. W kilkanaście dni wykańczał całe tomy powieściowe — złośliwi powtarzali dawne koncepty o maszynce do pisania; pochłaniał wszystko, co wychodziło, nietylko w polskim języku; w korespondencjach, rozrzucanych po dziennikach i tygodnikach, zdawał sprawę z ruchu artystycznego i beletrystycznego zagranicznego, szczególniej niemieckiego, gdy osiadł na stałe w Dreźnie. Była to fenomenalna praca, a zdobywał się na nią człowiek fizycznie coraz ułomniejszy, trapiony dotkliwemi cierpieniami; życie stawało się mu chorobą, praca lekarstwem. Niezawsze znajdował Kraszewski drogi właściwe, podejmował się rzeczy, obcych jego organizacji umysłowej,

np. odegrania roli politycznej; wrzenie warszawskiej pracy redaktorskiej i emigracyjnej nie odrazu się uspokoiło; następowały najrozmaitsze próby, to kierowania z Drezna lwowskim dziennikiem politycznym, to spółpracownictwa w krakowskim organie postępowym („Kraju"), a gdy się to nie kleiło, wydawał sam przeglądy roczne, „Rachunki" z życia politycznego i społecznego ziem polskich. „Rachunki te", jak i cała działalność polityczna Kraszewskiego, nabierały rysów charakterystycznych dla całego wychodźtwa: obok nieznajomości, a nieraz i umyślnego nieuwzględniania stosunków i potrzeb dzielnicowych, ferowanie surowych wyroków, przywłaszczanie sobie roli Pitji politycznej — z tytułu oddalenia i bezstronności, żółciowość i zgryźliwość wobec nieuznających tej powagi; stronnicze napady na jednych (Krakowian-stańczyków, Szujskiego, Popiela), zbytnie pobłażanie innym, np. ziemianom poznańskim. Lecz sam Kraszewski uczuł niebawem niewłaściwość takiego mieszania się i mentorowania i zwijał polityczne placówki; kusił się o wydawnictwo organu nie politycznego, co wkońcu zarzucił, pochłonięty coraz wydatniejszą pracą beletrystyczną.

W pracy tej po roku 1864 Kraszewski narazie jakby się rozszczepił; inne rzeczy pisywał Bohdan Bolesławita z motto: *All is true*, inne J. I. Kraszewski. Katastrofa i to, co ją poprzedziło, wytrąciły z równowagi umysł nadmiernie wrażliwy: w podnieceniu gorączkowem ujrzał się Kraszewski w obozie czerwonych, solidaryzował się z nimi, miotał się na obojętnych i zimnych; niebawem brał górę zmysł rzeczywistości, ostudzały się zapały, wracała zdolność krytyki, i ten sam, któremu imponowały demonstracje uliczne, bratanie się stanów, sympatje rewolucjonistów obcych, który nie skąpił ostrych porównań, zaczepek i oskarżań, a wielbił ducha-rewolucjonistę, przeradzał się w białego, w stańczyka niemal i protestował już tylko — i słusznie — przeciw potępianiu całej emigracji wczambuł, odmawianiu jej przytułku i chleba, on, który sam zawsze był gotów do poświęcania sił, czasu i środków, aby ulżyć obcej niedoli. Stanowisko jego nie odbiegało wkońcu daleko od stanowiska „straży pożarnej", krakowskich gasicieli ducha — postępowiec oddalał się głównie w kwestji religijnej, zwalczając, ile sił stało, dogmat nieomylności; raziło go również zbyt trwożliwe uchylanie się z wszelką „polakierją", owe wygórowane obawy narażania się komukolwiek i gdzieśkolwiek.

Powieści Bolesławity, im namiętniej pisane, tem bardziej chromały w układzie i szczegółach; szkice to raczej, rzucane w go-

rączkowym pośpiechu na papier, w urywanych zdaniach, w urywkowem opowiadaniu i charakterystyce fragmentarycznej; przewijają się na ich kartach i propaganda czynu, i masowe ruchy uliczne, i rozgorączkowanie młodzieży, i chwiejna bierność i nieporadność starszych; są typy najrozmaitsze — autor sięga nawet do dawniejszych pokoleń i przeprowadza dzieje całej rodziny na tle analogicznych wypadków. Wszystkie te powieści, ciągnące się do roku 1875, bez większej wartości literackiej, ciekawe są jako oznaka czasu, jako przyczynek do psychologji ludzi i autora.

Od powieści Bolesławity przedostał się namiętniejszy ton i do powieści społecznej Kraszewskiego, i dojrzały autor zdawał się wracać do usposobień satyrycznych, w jakich niegdyś „Cztery wesela“ i podobne rzeczy pisywał. Nie były to już jednak chwilowe uniesienia kapryśnego pióra artysty, pokłóconego z jałowością i ospalstwem duchowem braci herbownej, uniesienia, któreby znowu w apoteozę dawnej patrjarchalności odmieniać się mogły; autor pogłębił swą znajomość owych kół, zasiadał przecież sam z Wołyniakami w komitetach włościańskich, obserwował zdala rolę stańczyków, obszarników, polityków na posadzkach Burgu, zbliska paniczów rozmaitych, goniących resztkami ojcowizny po rozmaitych badach, typy polskiego hrabiego zagranicą. Urosły z nich wzory dla „Morituri“, jednej z najlepszych jego powieści: wyborowi między nimi, owi książęta Brańscy, z godnością chyba tylko umierać umieją; przeważna część lekkomyślnie trwoni grosz swój i obcy; wierzy w bogaty ożenek lub miejsce zyskowne; zna się na kartach, koniach i metresach; ceni tytuły, ordery i koligacje; odurza się frazesami zdawkowemi o roli i powołaniu szlachty, gotowa do zdrady własnych przekonań, do ustępstw i kompromisów najbezecniejszych za byle cenę, pogardzana i wyśmiewana przez własnych braci, pod maską cynizmu ukrywających resztki dumy rodowej i godności ludzkiej. Stan jako taki zmarniał, niema racji bytu, musi wyginąć; z niedobitków ratują się ci nieliczni, którzy, przesądy zawiesiwszy na kołku, jęli się oburącz pracy, owi *Resurrecturi*, raczej wymarzeni w teorji, niż zaobserwowani w rzeczywistości; dlatego też ustępuje nowa powieść dawniejszej pod względem wyrazistości, realności, konsekwencji. Czasy „Bożej Czeladki“ minęły na zawsze; wyczerpywała się jednak i bezpośrednia obserwacja. — Kraszewski nadrabiał coraz bardziej fantazją i pamięcią.

Nie zadowalał się apostolstwem nowych haseł, kreśleniem postaci z jednego stanu, obrazowaniem przejść i przemian rozmai-

tych Siekierzyńskich. Chcąc zawodniczyć z romansem francuskim, spopularyzować książkę polską, budzić dla niej zajęcie, nie wahał się wkraczać na niwy, uprawiane przez romans sensacyjny i policyjny pp. Gaboriau i spółki, i zapełniał swe karty najrozmaitszemi okazami intrygantów, fałszerzów, rycerzów przemysłowych, demimondek, graczów, obłudników; opuszczał światek polski i bujał nad Sprewą i Dunajem; właśnie zagranicą natrafiał nieraz na najciekawsze, najchorobliwsze odmiany dusz polskich, owe „Chore dusze“ nad Tybrem, prototypy Płoszowskiego, rozpróżniaczone i przeczulone, jak on, dla byle katarku żołądkowego wytaczające proces Opatrzności, zrezygnowane ze wszystkiego i zrozpaczone na zawsze, chociaż byle wąsik lub zgrabna nóżka ze wszystkich smutków i pesymizmów ich wyleczy. Nie zawahał się nawet przedstawiać dziejów rodzin polskich w ten sposób, że gałęź, osiadła w Gdańsku, zniemczała, wydała ludzi zamożnych, porządnych, pożytecznych; ci, co w kraju zostali, zbankrutowali moralnie i materjalnie.

Po r. 1870 zajął w twórczości Kraszewskiego bardzo wybitną rolę romans historyczny. Było to nawrotem do pierwszej miłości, do romansów historycznych dawniejszych. Zmieniło się teraz stanowisko; zarzucił tendencje, zaciekawiały go czasy i ludzie, szczególniej to, co znał najlepiej z tradycji rodzinnej, z pamiętników (ogłaszał Ochockiego i innych), ze studjów, jakie na szeroką skalę podejmował; jego „Polska w czasie trzech rozbiorów“, dzieło trzytomowe, jest najpoważniejszem ich świadectwem; znakomita monografja o Krasickim, chociaż bardziej człowieka, niż pisarza uwzględnia, inny tegoż dowód.

Tak dopełnił rozpoczętego już dawniej szeregu powieści z czasów saskich i Stanisławowskich. Jeżeli historyk Röpell przyznawał wartość dokumentalną „Pamiętnikom Soplicy“ Rzewuskiego, należy się ona w równej mierze i powieściom Kraszewskiego. I on jak Rzewuski, nie wytaczał spraw pierwszorzędnych, i on trzymał się na uboczu od duchów-wodzów epoki, omijał nawet Augusta Mocnego, syna baryłę i eleganckiego stolnika litewskiego. Ale czy o Hrabinie Cosel mówił, czy „kawał literata“ w Warszawie Poniatowskiego wystawiał, czy kreślił życie na dworze hetmańskim w Białymstoku, imponował znawstwem epoki i ludzi, ich myśli i mowy; najmniejsza nawet z tych powieści odchyla jakiś ciekawy, znaczący szczegół tych czasów. Nie przedstawił on nigdzie ich całości; zbyt nęciło go samo wystawianie rozpasania, rozbe-

stwienia ich moralnego, zbyt często wystawiał kontrast świętego partykularza i sodomy warszawskiej; zbyt często nęcił go też książę Panie Kochanku.

Nadzwyczajna popularność tego bezmózgowca nie najpochlebniej świadczy, i ów najgłupszy z Radziwiłłów pokutuje niby trup wyschły Sicińskiego w Upicie. Kościuszki nikt w romansie czy dramacie nie wystawił należycie, Panie Kochanku przedrzeźniał się ciągle rozumowi z powieści i sceny; widziano go i strzelającego do liter z abecadła i przyjmującego „Pana stolnika“ w Nieświeżu, widziano go siedzącego bez spodni na beczce wina i kapiącego od diamentów i złota, w posiadaniu dwunastu apostołów i żyjącego na kredyt obcy, rozbijającego się po nietrzeźwu z Albeńczykami i umierającego samotnie. W komedjach wystawił go Kraszewski (dramatyczne jego popisy zarówno jak i liryczne są wogóle rzadkie); w „Ostatnich chwilach księcia Wojewody“ rzucał blichtry zwykłe i nieciekawą prawdę o nim odsłaniał.

Powodzenie owych romansów historycznych, z bezprzykładną ilością figur coraz nowych, niezbyt pogłębionych co prawda, ujętych jednak żywo i barwnie (aż do stronników Trzeciego Maja, wcale nie schlebionych) i przykład niemiecki („Przodków“ G. Freytaga, zstępujących od pradziejów w Ingu i Ingrabanie aż do prusko-polskich stosunków XVI wieku) skusiły Kraszewskiego do wystawienia olbrzymiego cyklu powieści historycznych polskich, od prasłowiańskiej „Starej Baśni“ aż do XVIII-go wieku. Tylko taki *chalkenteros*, jak Kraszewski, mógł się tej pracy podjąć i wykonać ją w dwudziestu ośmiu powieściach o siedmdziesięciu dziewięciu tomach.

Lecz właśnie ta robota w dorobku literackim Kraszewskiego przedstawia najwątpliwszą wartość. Świetne oczekiwanie rodził wstęp, owa idyla starosłowiańska „Starej Baśni“, tłumaczona, i słusznie, na inne języki słowiańskie, najbardziej poetyczna apoteoza ludu cichego, rolniczego, gościnnego, patrjarchalnego; ciąg dalszy dopisywał coraz mniej. Słabły siły; nie wystarczało i znajomości głębszej odległych czasów i ludzi; psuł wykonanie zadawniony pesymizm, przegryzający, jak słabość niewyleczona, organizm autorski. Bez głębokiej miłości owej przeszłości, rzewnego zatopienia się w niej, rzecz taka nigdy się udać nie może; nie zastąpi ich sucha, antykwarska i kronikarska metoda autora i każda nowa powieść przynosiła chyba coraz nowe rozczarowanie, omijanie stron

świetnych, ludzi wielkich, jakby lubowanie się w kreśleniu scen ujemnych.

Jak w społecznych, tak i w historycznych romansach Kraszewski wyjątkowo tylko sięgał do obczyzny: klasyk z zamiłowania, tłumacz np. Plauta w więzieniu magdeburskiem, Rzym chyba obierał i czasy Cezarów; właśnie jego „Rzym za Nerona“ (1865) to jedna z najlepiej skomponowanych i najstaranniej wykończonych powieści, przyczem unikał własnych refleksyj, moralizacyj, porównań, niszczących zazwyczaj wszelką iluzję, których romans historyczny najbardziej wystrzegać się winien, chociaż przeciw tej kardynalnej zasadzie grzeszą nawet najwięksi, choćby Tołstoj w „Wojnie i pokoju“.

Pośpiech w wykonaniu, „robotę maszynową“ wyrzucano Kraszewskiemu stale, ale pieszczenie się kilkuletnie z jednym tematem, przegładzanie każdego zdania *à la Flaubert* nie zgadzało się wcale z organizacją artystyczną Kraszewskiego; metoda ortopedyczna, stosowana do jego powieści, nie wychodziła im na dobre. Nadmiernie wrażliwy i ruchliwy, skupiać się ani nie umiał, ani nie chciał; rzucał odniechcenia, pospiesznie, sylwetki i epizody i niezawsze je należycie spoić potrafił; opracowywał stosunkowo najlepiej początkowe kartki, który ciąg dalszy nie dorównywał zazwyczaj; wprawa mistrzowska, niby owego sławnego czy osławionego *Fa presto* w malarstwie, bogactwo myśli i obserwacyj, śledzenie tętna czasu — sprawiały, że każda, i najmniej oszlifowana i najbardziej surowa bryła jego powieści piętno Kraszewskiego nosiła, piętno indywidualności bogatej, myślącej: głębszą naukę czy myśl wszędzie zawierała; każda z jego wybitniejszych postaci nadaje się do uogólnień, ot, choćby ów Florjan Małdrzyk herbu Wąż („Na tułactwie“), gdzie już samo nazwisko charakterystyczne — człowiek to nie z kruszczu, lecz z sera, dobry na Lasocinie, marniejący w nieszczęściu. W każdej sprawie zabierał Kraszewski natychmiast głos: ledwie zaczęły się rugi pruskie, i już odezwała się jego „Czarna Godzina“ i nie obszedł się teraz tak gładko z szlachtą wielkopolską, jak niegdyś w „Rachunkach Bolesławity“. Do ostatniej chwili, póki nabrzmiałe i skostniałe palce pióro utrzymać mogły, nie schodził z placówki, z obserwatorjum społecznego.

I nie było to przesadą, gdy w Krakowie w roku 1879 obchodzono z nadzwyczajną uroczystością jego jubileusz, pierwszy obchód tego rodzaju u nas. Nie był Kraszewski genjuszem sztuki czy myśli, chyba genjuszem pracy; chociaż nęciły go obce sprawy i dzieła (zamiłowanie Dantego), z setek jego dzieł i pism, z miljonów

wierszów drukowanych, wszystko do kraju i spraw jego, choćby pośrednio, się odnosiło, nawet „Rzym za Nerona“ nie bez takiej myśli pisał. Nie miał przekonań jednolitych, któreby od kolebki do grobu wyznawał, — tylko głupcy się nie zmieniają, jak to jeszcze przed Bismarkiem Puszkin twierdził. W ciągu niemal sześćdziesięcioletniej pracy popadał w sprzeczności i z samym sobą i z otoczeniem; nie byłoby trudno, układając własne jego zeznania, urobić z niego białego i czerwonego, ultramontanina i postępowca, arystokratę i ludowca, wyznawcę sztuki dla sztuki i sztuki dla propagandy idei, marzyciela i pozytywistę, slawofila i nieprzejednanego wroga slawofilstwa, mogliby do niego rościć prawa Rzewuski (Henryk) i Jeż, Veuillot i Büchner, prerafaelita i naturalista — tylko słowa i prozy nie opuszczał. W wierszu wyjątkowo tylko mu się powodziło, mianowicie w rzewnych skargach, łzami i goryczą nabrzmiałych. Łodzią duchów sterować nie mógł, gdyż na przewodnika nie był powołanym; płynął z biegiem, nigdy mu się nie opierał; z nim jednak omijał rafy i mielizny; z wszelkich ostateczności i krańcowości wycofywał się zawsze i, gdy myślano już, że pogrążył się w odmęcie stronnictwa czy doktryny, gdzieś daleko znowu głowę wychylał, swobodny.

Napadali więc na niego pokolei i młodzież i starcy, postępowi i zacofani, biali i czerwoni. Cechowała go nadzwyczajna wrażliwość na każdy nowy powiew czy prąd, co go wtył rzucał lub naprzód popychał; starał się wszystko sobie przyswoić, a innym wyłożyć, od ludzi do tendencyj, od najdawniejszych do najświeższych. Istotą należał jednak do spółczesnych, do otoczenia; powieściom o kraju, a szczególniej o jego młodzieży postępowej, o emancypantkach („Szalona“), pisanym bez ich naocznej obserwacji, po roku 1863, brak świeżości, powietrza rodzinnego, które odznaczało dawniejsze — chyba, że prawią o Polakach na obczyźnie; tem łatwiej cofał się teraz w czasy coraz dawniejsze. Potężnych, wstrząsających dzieł nie stworzył wcale; nie od święta ani od parady pisał; zaspokajał potrzeby dnia. Za jego to zasługą książka polska wszędzie dostęp poczęła znajdować, w salonie i na poddaszu; on budził u całych pokoleń zamiłowanie do czytania polskiego; on gallomanję zwalczył najskuteczniej czynem; jego chleb, może i razowy, ale pożywny, wypierał ciastka francuskie. Rewolucjonistą w prozie, jak Mickiewicz w poezji, wcale nie był, ale możnaby go nazwać ojcem prozy polskiej; trzebaby porównać stan tej prozy, kiedy zaczął pisać, a kiedy z pola

strudzony schodził, bo na zmianę ku lepszemu nikt tak nie wpłynął, jak on właśnie.

Onbudził wytrwale umysły; on niósł przed narodem pochodnię oświaty; światło jej mogło nieraz przyćmiewać się bardzo — nigdy nie zagasło; każdą nową siłę witał pierwszy, najchętniej, i na stare lata jeszcze, np. Konopnicką; nigdy się nie zaskorupił ani w teorji, ani w tendencji; eklektyk, z każdego ruchu, poglądu, myśli wybierał to, co go nęciło. Fantazja jego nie szybowała nigdy w lotach nadgwiezdnych, ziemi i rodziny trzymał się ściśle; dzieło jego to „Omnibus", a nie dla smakoszów i znawców; ledwie zdążał wszystkiego nastarczać; praca jego jest, jak ta sól Wieliczki, którą się odrazu czystą dobywa, niewyczerpana. Niewiele po niej dla wykwintniejszych podniebień; w codziennym trybie, dla wszystkich, nic jej nie zastępowało. Czas, jak te dzieła ożywiał, tak je grubą warstwą pyłu przykrył; w olbrzymiej spuściźnie niewiele znajduje się znakomitych rzeczy, jest ich jeszcze najwięcej między dawniejszemi. Stało się z nim, jak z pożytecznymi działaczami bywa: gdy pora ich przechodzi, rychło się o nich zapomina — i dzisiejszym jednak nietylko dla języka, dla wielości figur, trafności rysów, miłości swojszczyzny polecać go należy.

Żadnego chwiania i wahania się nie zaznał nigdy T. T. Jeż ⟨Zygmunt Miłkowski⟩, wykuty z jednej bryły, to też dla wielu niekoniecznie miły, pisarz, który pisma i poglądy własnem życiem pieczętował, życiem ciekawszem nieraz, więcej awanturniczem i poświęcenia a hartu pełnem, niż u bohaterów jego powieści. Jeż to pisarz bez porównania więcej tendencyjny, niż Kraszewki, w tematach powieści dużo mniej pomysłowy (udają mu się właściwie tylko opowiadania z rodzinnych stron i dziejów rodzinnych), i nierównie niższy jako artysta.

Życie upływało mu w walce ustawicznej z losem i nędzą w Londynie czy na Bałkanie; późno chwycił się pióra, może otoczenie literackie w Konstantynopolu, gdzie się z Berwińskim, Brzozowskim, Zmorskim i Jabłońskim stykał, na obudzenie żyłki pisarskiej wpłynęło. Przedtem kreślił chyba artykuły polityczne — tych nie porzucał do ostatniej chwili — albo korespondencje, ale właśnie barwne opisy z Dobrudży, Bułgarji, Konstantynopola, umieszczane w Dobrzańskiego „Dzienniku literackim" lwowskim p. t. „Wyjątki z pamiętników włóczęgi" (1856 i 1857 r.) zjednały mu imię rozgłośne; szczęśliwy debjut powieściowy z sympatycznym „Wasylem Hołubem" (1858) pseudonim Jeża spopularyzował na zawsze.

Z długoletnich wędrówek po Turcji i Serbji, z kampanji węgierskiej przedtem, odbytej z honorem, wyniósł Jeż tematy, literaturze polskiej dotąd obce. Dziś, kiedy u Bułgarów J. Wazow (tłumaczony i na polskie), u Kroatów A. Szenoa czasy niewoli tureckiej i ruchów chłopskich opisują, zapominamy, że pierwszy między Słowianami nasz Podolak ciekawe te i barwne i pouczające tematy uprawiał, że to on Bułgarom i Serbom dawał pierwsze dobre próby ich rodzimego romansu historycznego. Kraje te przewędrował wdłuż i wszerz; poznał lud, obyczaje i mowę, patrjota i demokrata współczuł tym ruchom; tak powstały jego historyczne powieści, sięgające od czasów „Asana“ i powstania bułgarskiego przeciw Bizancjum, od XII wieku, poprzez walki z półksiężycem XIV wieku, poprzez „Uskoków“ (najpiękniejszą z tych powieści), „Narzeczoną Harambaszy“ aż do początku XIX wieku („Dachijszczyzna“) i do walk węgierskich roku 1848; jego „Szandor Kowacz“ (pierwszy czasowo z tego cyklu) przedstawiał Madziara, wyrosłego między Serbami, wynarodowionego, który dopiero w odgłosie walki narodowej odzyskał poczucie rodowe. Mniej szczęśliwe są podobne powieści z dziejów polskich, „Za Króla Olbrachta“, „Dersław z Rytwian“; chyba tam, gdzie mowa o stosunkach i stronach ruskich, „Z burzliwej chwili“ (z 17. wieku), wznosi się autor do opisów barwniejszych i scen efektowniejszych.

Obok tych nieco egzotycznych historycznych powieści — i one nie obywały się bez tendencji, uczyły przecież, jak się dla wolności żyje i ginie, uczyły o obowiązkach narodowych — pracował Jeż systematycznie i wytrwale na polu powieści społecznej, ściśle tendencyjnej. Wybierał, w czasach jeszcze pańszczyźnianych, chłopa na bohatera swych powieści, aby w nim ukazać człowieka; np. ucieka Wasyl Hołub w step przed uciskiem pańskim, ale w bitwie daszowskiej jednemu z tych panków uratuje życie; w „Historji o pra-pradziadku“ wystawiony jest dzielny chłop, który nobilitacji nie przyjmuje, chcąc zostać między swoimi, a tracąc przez to uznanie szlachty; w „Historji o pra-prawnuku“ harmonja pożycia między dworem a gromadą wystawiona jest na tle stosunków, jakie istotnie panowały u Miłkowskich; nawet żyd wciągnięty jest w ową atmosferę i w karczmie odprawia boruchy za pana Naczelnika, jakby za jakiego patrjarchę izraelskiego rodu. Posiew co prawda zawiódł wszelkie oczekiwania — dlaczego, kto zawinił, o tem i w „Hryhorze Serdecznym“ czytać można. Podobnych tematów nikt u nas zresztą nie tykał, specjalność to Jeża, słabe echo dawnego

chłopomaństwa. O sentymentalnej idealizacji nie było tu nawet mowy, występował chłop realny, z przymiotami i przywarami, ale szanowało się w nim człowieka, a przygotowywało obywatela.

Jeszcze ważniejsze zadanie czekało Jeża między bracią. Z domów szlacheckich, z wychowania ówczesnego wychodzili próżniacy, letkiewicze, niewieściuchy, wyrodki wszelkiego rodzaju, kobiety nielepsze, przeczulone, sentymentalne, najczęściej gąski, czasem kukułki albo sowy; w obywatelstwie samem panował najdotkliwszy brak poczucia obowiązków. Jeż wyczerpywał się w nawoływaniu do obowiązku, przykładach z życia, satyrycznych i idealnych. O zachowanie miary mu nie chodziło; niełatwo o potworniejszą karykaturę, niż młodego księcia pana z „Ofiar", słonia chyba czy hipopotama, któremu piękną, bogatą pannę narzucają; cóż może być śmieszniejszego nad wiece szlacheckie, tym razem z Litwy, o gotowości wojennej roku 1831, w „Drugiem przykazaniu"? Szereg tych utworów bardzo długi; poruszał tu Jeż wszelkie zagadnienia, od emancypacji kobiet począwszy; do tych należą „Pamiętniki starającego się", „Pani Komisarzowa" i inne liczne.

Powieści te bywają źle zbudowane; gdyby istniała szkoła powieściopisarska, możnaby na niejednej z nich, np. na „Ostapku, kartach z dziejów emigracji", uczyć, jak powieści pisać nie wolno. Wady kompozycji, przemowy autora, dygresje, rozrywające wątek i psujące wszelką iluzję, wynagradza żywość opowiadania i dobitność stylu: jakgdyby się autor zaprawił na literaturze rosyjskiej, tak lubuje się w dosadnych zwrotach, w alegorjach — nie mających nic wspólnego z klasycznemi — w nieceremonjowaniu się z obrazem i wyrazem. Celuje w satyrze; uczuciowość nie jest jego działem, gruchania gołębiąt nie wyrazi, a przecież w takiej „Historji o pra-prawnuku" głęboko potrafi wzruszyć. Sam się z tego spowiada: „poświęcić majątek, czas, życie, rozum, dla wszczepienia w ogół szlachetności przekonań, to mi ideał, który warto bohaterstwem zaszczycić, ale nie idealizowanie jakichś miłostek, salonowych lub alkowianych intryg i artystycznych rojeń".

Brak samodzielności, sobkowskie instynkty, nieszanowanie narodowej godności, gnuśność i wszelkie inne wykroczenia przeciw „Dziesięciorgu społecznemu" oto przez lat czterdzieści tematy jego wycieczek satyrycznych, obrazów powieściowych. Kiedy zasłużony, czcigodny starzec dobiegał osiemdziesiątki w rzeźkiem zdrowiu, fizycznem i umysłowem, wyczerpała się inwencja i satyra, wstawały w pamięci dawne czasy dzieciństwa Saracejskiego, szkoły Niemirow-

skiej, potem późniejsze z „centralizacji“ londyńskiej o Daraszu czy Worclu — i kreślił je autor z dziwną drobiazgowością.

Beletrystyka emigracyjna, jeżeli nie rozprawiała o własnych, tułaczych losach, mimowoli przybierała rolę mentora czy satyryka; w kraju niełatwo było jej dogodzić; splin emigracyjny karcił może nieraz zbyt obcesowo, zbyt mało liczył się z warunkami, niecierpliwił się i srożył. Tem spokojniej toczyły się narazie, przed r. 1880, fale beletrystyki krajowej; przedstawiali ją najpierw, żeby nie wspominać o mniejszych, zapomnianych, np. o Władysławie Sabowskim (Skibie), pisującym nie bez humoru o „Kanarkach“ rozmaitych, Jan Zacharyasiewicz i Adam Pług.

Jan Zacharyasiewicz wprowadził nową nutę do powieściopisarstwa krajowego, a mianowicie nutę mieszczańską. Występy jego sięgają daleko wstecz poza rok 1864; rówieśnik to Kaczkowskiego, dzielił z nim tryb wychowania gimnazjalnego i prześladowania polityczne — dwoma nawrotami odsiadywał więzienie dłuższe, skąd wynosił oczytanie w niemieczczyźnie, zniemczenie narazie języka i upodobanie w małostkowości, sentymentalizmie i marzycielstwie niemieckiem. Wziętość zdobył właśnie w latach 1865 — 1880; potem gwiazda jego, nie będąca nigdy pierwszej wielkości, zbladła wobec słońc, pojawiających się na horyzoncie polskim, Prusa i Sienkiewicza; imię jego cieszyło się tradycyjnym rozgłosem, ale pojawienie nowej powieści czy zbiorku nowel, godzących nieraz zbyt wyłącznie w prostą humorystykę *quiproquo* i innych przypadków, nie budziło żadnego odgłosu; szczególniej zwrócili się przeciwko niemu najmłodsi, o wiele ostrzej nawet, niż przeciw Kraszewskiemu, posądzając go o wsteczność i inne zbrodnie, ponieważ im nie wtórował; wyrzuty te nacechowane są widoczną stronniczością.

Wyszedł Zacharyasiewicz z sfery miejskiej, galicyjskiej, i zaczął wcześnie, zapalony niegdyś demokrata, niby radykał czy socjalista w oczach wystraszonej szlachty, stosunki społeczne jako tło do powieści dobierać; tu zdobył sobie może najrzetelniejsze zasługi. Po kilku próbach, wykazujących, jak zasklepić się może, zaskorupieć i wyziębić dla wszystkiego prócz swego fachu „Uczony“, niegdyś entuzjasta, pokazujących niecność Tartuffe'a galicyjskiego w „Sierocie wielkiego świata“, albo opisujących potrzeby oświaty narodowej — zdobył w roku 1860 większy rozgłos powieścią „Na kresach“. Podobnie, jak pierwszy w „Bożem Dziecięciu“ dzwonił na gwałt dla potrzeb oświaty, tak, w ćwierć wieku przed Bismarkiem i komisją kolonizacyjną, wykazał w powieści topnienie ziemi wielko-

polskiej, kresowej, przechodzącej do rąk obcych, potęgę niemiecką i opieszałość czy bezradność polską — przed nim tylko Paulina Wilkońska na podobny temat w małym „Obrazku Poznańskim“ się odważyła. Piekącą właśnie wtedy, około roku 1862, sprawę ruską w Galicji obrał za tło „Świętego Jura“, a w następnych powieściach coraz inne, również niewesołe tematy poruszał: w „Marcjanie Kordyszu“ rozdźwięk między górnemi wzlotami fantazji a marną rzeczywistością życia, w „Zakrytych kartach“ sprzeczność między zasadami napokaz a postępowaniem, w „Złotym interesie“ spustoszenia, czynione przez gorączkę złota; w Czerwonej Czapce“ wystawił na tle galicyjskiem hofratów - polenfresserów, których synowie kierują się na wzorowych obywatelów krajowych, ku zgrozie wszelkim Minnom, Laurom i ich tatkom.

Obok tych powieści społecznych, ciągnących się do r. 1875, nie zaniedbywał Zacharyasiewicz innego działu i potem oddał mu się wyłącznie: sprawom sercowym ku uciesze tkliwych panienek.

Marzyciele i marzenia — prawdziwych namiętności unikał — ideały i wizje we śnie i na jawie, cierpliwa wytrwałość nieuznanej czy wzgardzonej, rwanie się za ułudami dalekiemi i wracanie korne do zapoznanej ofiary serca, jak w „Wiktorji Reginie“, wynagrodzonej za tą ręką hrabiego — oto treść owych powieści. Cechą ich było lubowanie się w kreśleniu stanów duszy, rozwoju psychologicznego. w malowaniu drobnych rysów, drobnych nieraz charakterów. Ale zamiłowanie autora do swego drobnego światka i nas porywa; on kocha maluczkich i chętnie z nimi obcuje, chociaż tyradami humanitarnemi nie szafuje; stała ta mieszczańska, dickensowska obserwacja, w przeciwieństwie do Kraszewskiego, który pod lupę niczego nigdy nie brał, jednała autorowi sympatje czytelników.

Mniej udawały się powieści historyczne z czasów Stanisławowskich; najlepsza między niemi najkrótsza, „Konfederat“, o mieszczaninie-patrjocie, zdobywającym obce papiery szlacheckie, aby tylko móc walczyć w szeregach barskich: nie było w nich przecież miejsca dla powolnego przekształcania się charakteru, jakie się dokonywa w zetknięciu z realnością — a ulubiony to Zacharyasiewicza temat — przy czem wiele iluzji odpada. Tej szkoły życiowej nie wystawiał jednak nigdy w owych grubych, nieraz aż karykaturalnych rysach Jeża: wybuchów namiętności i sarkazmów zbytnich nie dopuszczał chłodny temperament Zacharyasiewicza; bladością sylwetek a rozwlekłością akcji i dykcji grzeszą też najbardziej jego powieści, choćby ostatnie, np. „Tajemnica Stefanji“, naturalnie miłosna.

Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), po zawodzie pedagogicznym redaktor „Kłosów“ warszawskich, potem „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“ i feljetenu „Kurjera Warszawskiego“, uniknął jedyny gromów, jakich najmłodsi nie skąpili nawet Kraszewskiemu, a cóż dopiero Zacharyasiewiczowi, „pseudopostępowcom“. Prawda, zbytnio nie narażał się nigdy, i jego dorobek literacki objętością nie dorównywał wcale okazałemu pocztowi tomów u tamtych. Rówieśnik to jeszcze i przyjaciel Syrokomli, chociaż litewskie strony wcześnie na kijowskie zamienił; wiązał się potem z „Gwiazdą Kijowską“ i w szeregi chłopomaństwa wstępował. To demokratyczne zacięcie nie opuściło jego prac wierszem i prozą, z życia ludu i z przeciwieństw stanowych czerpanych, ciągnących się od roku 1847 jeszcze — ale w późniejszych latach czynność redaktorska głównie mu siły pochłaniała.

W szóstym dziesiątku, przed uwłaszczeniem, gdy kwestja chłopska nie schodziła z porządku dziennego, pisywał tendencyjne powieści, wierszem i proza: „Dzieciobójcę“, „Marcina Futornika“, „Duch i Krew“ (1859 roku), akt oskarżenia przesądów arystokratycznych, uwielbienia szlachetności serc i myśli u niższych i ludu; „Piastunka“ była obrazem bezwzględnego poświęcenia kobiety z ludu dla rodziny szlacheckiej. Te kontrasty społeczne, mniej jaskrawe, przenosił i do innych sfer, w „Oficjaliście“ i w „Bakałarzach“, między panów, nieraz grubo niesprawiedliwych dla swych oficjalistów, kreśląc także i smutny stan nauczycieli prywatnych, z których bytu i nowsi powieściopisarze (Stanisław Grudziński „Pod szczęśliwą gwiazdą“; Józefat Nowiński „Świat i marzenia“) niejedno efektowniejsze wynieśli opowiadanie. I powieści Pługa grzeszą rozwlekłością w opowiadaniu i dialogu, przesadzają w liryzmie i sarkazmach. Najpiękniejszą pozostanie idyla drobnoszlachecka, zaściankowa „Sroczka“.

Zresztą występowali z powodzeniem gawędziarze, Berlicz Sas (hr. Strutyński), opowiadający najwymowniej z tradycyj rodowych o ludziach „Z starego autoramentu“, w „Mozaice“ o panu Mokosieju Denisku, który z sługami „komediju ihraje“ i na kurhany szeptów słuchać chodzi, sięgając i w najświeższe czasy i konflikty, bez większej sztuki, po domowemu, z szlachetną tendencją; albo Bodzantowicz - Suffczyński, wybierający „zawsze ich“, bohaterów barskich i kościuszkowskich, a zarzucający nieraz całkiem formę powieściową.

Gawędziarzem z satyrycznem zacięciem był i **Jordan** (Juljan Wieniawski) w „Wędrówkach delegata“ (Towarzystwa Kredytowego

między bracią szlachtą dla nowego otaksowania posiadłości); satyra i humorystyka to jeszcze bardzo prymitywna: po Blichtrowach, Łgarzewach i Kuflewach siedzą, piją i procesują się Pływalski, Pieniacki, Szczujski. W późniejszych utworach — a przeszedł Wieniawski nie bez powodzenia i na scenę komiczną — satyra mniej zgryźliwa, humor większych praw nabywa, obserwacja dokładniejsza, obfitsza; komedje jednak z śmiechem zdrowym, dobrodusznym, pogodne nad farsy się nie wznoszą. „Kartkami z pamiętnika“ (1911) zakończył godnie służbę obywatelską.

Nierównie wyższym talentem wyposażyła natura Jana Lama, kronikarza niegdyś „Gazety Narodowej“, potem z jej redaktorem, Dobrzańskim, co niedziela staczającego boje w kronikach „Dziennika Polskiego“. W tej pracy dziennikarskiej, urozmaiconej przez stałe konfiskaty c.-k. prokuratorji, wyszafował Lam nieoględnie swój talent, chociaż zdobywał się obok niej na skupianie siły twórczej najpierw w krótszych obrazkach, potem w pretensjonalnych nieco powieściach. Najudatniejsze, najkomiczniejsze, perła humorystyki polskiej, to „Panna Emilja czyli wielki świat Capowic“. Opisał tu przerażenie, z jakiem Wencel Precliczek, wzór c.-k. urzędnika, „becyrkowego“ dawnego, bachowskiego autoramentu, córkę na konszachtach z „powstanckim“ łapie; całe otoczenie tej biurokracji na partykularzu oddane znakomicie. Już „Koroniarz w Galicji“, temat pokrewny, był znacznie słabszy. W większych powieściach, „Głowach do pozłoty“, rozwadniał nadto Lam i rozprowadzał przebłyski swego talentu satyrycznego; i fabuły nie były najszczęśliwiej obmyślane, i ideje zasadnicze niezbyt ważne. Do ruchu politycznego i społecznego w Galicji w latach 1870 — 1880 znamienne są tam przyczynki, niewtajemniczonego w te dzieje niebardzo wzruszyć potrafią.

O wiele niżej jako powieściopisarz, próbujący sił w historycznym, społecznym, satyrycznym romansie stanął jego kolega dziennikarz, Józef Rogosz, tworzący szybko, łatwo, ale bez trwałych sukcesów.

Wśród autorek-kobiet, coraz liczniejszych, uprawiała Walerja Marrené-Morzkowska niwę, na której już Zacharyasiewicz pracował: tematy erotyczne w coraz nowych warjacjach w „Auguście“, „Mężu Leonory“. Talent jej unikał głębokich tragedyj i konfliktów: zczasem dochodziła autorka do coraz bardziej pesymistycznych wywodów, pokazując, jak niemiłosiernie „Świat Rzeźbiarz“ z charakterami i iluzjami się obchodzi, chociaż romans względnie szczęśliwie się kończy, Numa przy Pompiljuszu zostaje, ale jakże obsku-

bani oboje! Morzkowska przeszła od powieści na pole folkloru i popularyzowania nauki.

Najwyżej wzniosła się **Eliza Orzeszkowa**. Losy jej autorstwa podobne są nieco do losów Konopnickiej. Obu nie było dane zabłysnąć odrazu wielkim talentem; zamiast przedmiotowości, uczucia, poezji, zdawało się, że gruba tendencja zapełniać będzie ich karty, zabije ich zdolności; gdy poetka dążyła za organicznikami i ludowcami, powieściopisarkę pochłaniała walka o emancypację kobiety. Już jako małe dziecko objawiała popędy artystyczno-twórcze, uprawiała z siostrzyczką dramatyzowanie rozmaitych tematów; zwykły tryb wychowania i życia córki obywatelskiej zagłuszały te próby i zajęcia; odżyły one, gdy panna Pawłowska zamąż wyszła. Były to lata przełomowe na Litwie; powstania, uwłaszczenie włościan; wychodziły najaw sprzeczności, łączyli się jedni i drudzy w imię stanowych interesów czy w imię sprawiedliwości i ludzkości. Za emancypacją włościan i za katastrofą polityczną poszły nowe: zniesienie pańszczyzny obniżyło strasznie wartość dóbr i stopę życia szlacheckiego; darmochy wszelkie ustały, „dusze“ należały do siebie, nie do panów, i każdą ich robotę należało opłacać, dawna patrjarchalna gospodarka prowadziła chyba do ruiny, a do innej, postępowej, nie nawyknięto. Niezwykłych zasobów kulturalnych szlachty dowodzi to, że tę społeczną katastrofę, spotęgowaną inną, polityczną, nieraz o wiele straszliwszą, wręcz niszczycielską, przetrwała, ale najfatalniej odbił się przewrót ten na kobietach. Wychowane dawnym trybem, z „talentami“ towarzyskiemi, nie posiadały żadnych prawdziwych, nie mogły marzyć o samodzielności, a tu wymykały się wszelkie widoki wyjścia zamąż, jedynej karjery dla córki obywatelskiej, skoro nietylko wobec zniesienia pańszczyzny życie stawało się coraz trudniejsze, założenie nowego ogniska domowego coraz ryzykowniejsze, lecz poprostu całe okolice z młodzieży męskiej się wyludniały.

W takich warunkach chwyciła Orzeszkowa za pióro i po próbach, ogłoszonych i nieogłoszonych, wydała w przeciągu paru lat (1869 — 1872) kilka obszernych romansów i nowel - powieści i wysunęła się odrazu na czoło piszących, wywołała entuzjazmy i najsurowsze oceny. Nie o artyzm walkę toczono, szło o rzecz samą, a znaczne braki techniczne tych powieści w niczem nie uszczupliły ich olbrzymiego wrażenia: niektóre z nich stawały się niby ewangelją w nowej walce, równie silnie działały i zagranicą; „Marty„ używały niemieckie emancypantki poprostu jako środka agitacyj-

nego. Powieści występowały przeciwko tradycyjnemu unieruchomieniu kobiety, stworzonej nato, aby cierpliwie, poszcząc i odprawiając wotywy, czekała na upragnionego Adonisa, który ją zaprowadzi przed ołtarz, aby potem przy nim wieku dokołatała, bez względu na to, czy Adonis okaże się bydlęciem albo łotrem; nazywało się to w teorji uświęceniem ogniska domowego, a hasłem tej teorji było: kochajcie i wytrwajcie. Orzeszkowa pytała, a jeśli się niema nikogo do kochania, a jeśli wytrwać nie można?

Dziewczę, któremu „dobre wychowanie“ oczu na świat nie otworzyło, nieświadome, niewinne, wyszło za „Pana Grabę“, który jest też tylko niewinnym produktem modnego wychowania; od dzieciństwa wkładano mu w serce miłość blasku i próżności a siły sposobiono do próżniactwa; matka, dama światowa, na wybryki synka groziła mu filuternie ze słowami: oj, ty figlarzu! a ojciec filozof użycia, wtajemniczał go chyba w tę filozofję; stał się więc Graba szulerem, nikczemnikiem, i do niego przykuto na całe życie osobę czystą, szlachetną, wzniosłą, a gdy śmie się ona świętemu ojcu Innocentemu poskarżyć i pytać o poradę, nawymyślają jej od buntowania się przeciw woli bożej. „Wacławie“, tak samo wychowanej, pod wpływem zawodu otworzyły się wcześniej oczy; nim się w kajdany niegodne zakuła, zerwała z narzeczonym, a gdy ją bogata krewna za sprzeciwianie się jej zamiarom matrymonjalnym wydziedziczyła, zarabia jako nauczycielka własną pracą na utrzymanie matki i swoje; staje się pożytecznym, godnym członkiem społeczeństwa; z towarzyszek jej jedna zakłada introligatornię, te zaś, które nie miały siły czy odwagi dla torowania sobie drogi własnej, giną fizycznie lub moralnie. Ale obu powieściom szkodziła rozwlekłość („Dziennik Wacławy“ to cztery tomy!) i widoczna przesada, np. w malowaniu pana Graby, którego autorka nie mogła dosyć oczernić, aby ofiara jego odbijała tym pełniejszym blaskiem. Tem skuteczniejszą była „Marta“. Krytyka mogła wzruszyć ramionami na ten fakt z kroniki policyjnej, nieukładający się w żadne ramy estetyczne; dla spółczesnych był to czyn społeczny, wyzwolenie, wypowiedzenie jawne tego, co wszystkim myślącym oddawna ciążyło. Marcie, wychowanej znowu, jak tamte bohaterki Orzeszkowa odmienia przez wszystkie przypadki i liczby swój temat — szczęśliwej żonie i kochającej mateczce, umiera nagle mąż i żywiciel; ona niebawem, bez środków do życia, rzuca się na wsze strony, dawałaby lekcji muzyki, francuskiego, rysunków, niczego jednak dobrze nie posiada, chwyta się wkońcu najmarniej-

szego zarobku, ale i z niego ani sama nie wyżyje, ani nie wyżywi i nie wyleczy chorej córeczki; ze wstrętem odpycha wstrętne propozycje i oszalała z bolu, bez pamięci, instynktownie, chwyta obce pieniądze i, uciekając, ginie pod kołami. Tak samo Monika („Na dnie sumienia") chodzi, łamiąc ręce, po tym bożym świecie i rozpaczliwie woła: nic nie umiem; napróżno poszukuje pracy, gdy jedynaczka wypieszczona i ojca i narzeczonego odrazu straciła; autorka przedstawia ojca takiej rodziny jako karjatydę, dźwigającą całą gromadę osób, i odzywa się do nich: a zleźcież, niedołęgi, i pochodźcie choć trochę o własnych siłach; musi jednak dodać: a dlaczegóżeś, niedołęgo, nie nauczył ich chodzić na własnych nogach?

Nie wymagała Orzeszkowa rzeczy nadzwyczajnych, nie burzyła ołtarzów, nie odrywała kobiety od ogniska rodzinnego, sawantek nie chciała (żadnej też do swoich powieści nie wprowadziła nigdy), ale oburzała się przeciw zaślepieniu umyślnemu, przeciw silnym, dbałym o „świętą nienaruszalność słabości niewieściej", bo im z tem wygodnie; przecież już mistrz krakowski, Andrzej Glaber, twierdził w roku 1535, że jakoby mężczyźni, bacząc, iż rozum płci panieńskiej „ku nauce i wyrozumieniu wszelkiej rzeczy ostry a prędki, więcej niż otroczy (gdyż nawet dzieweczki rychlej się imują mówić, niżli chłopeczkowie), przeto oni, bojąc się swej sławy utracić, aby białe głowy rozumem ich nie przechodziły, chcąc wiele umieć, bronią im czytania pisma głębokiego, chyba modlitw a paciorków". Wołała więc głównie o poprawę, pogłębienie wychowania, nie dla jakichś zachcianek emancypacyjnych, lecz dlatego, że tylko prawdziwie wykształcona kobieta zostanie dzielną pomocnicą męża-obywatela; tylko ona zaszczepi głębsze myśli i uczucia w nowem pokoleniu; dlatego nie wahała się pokazywać nieustannie ofiar zgubnego wychowania, a winę tego kładła nietylko na karb rodziny, ale powoływała do odpowiedzialności i całe społeczeństwo. Na to śmiałe apostolstwo idei humanitarnych obruszano się tem bardziej, że po drodze chłostała ona niemiłosiernie wszelką hipokryzję; że dostawało się i zewnętrznym oznakom nabożeństwa („modląc się... potrzebowała koniecznie widzieć malowane świętych twarze"); że dowodziło się, iż wiara bez miłości prowadzi do oschłego, nielitościwego, nierozumnego ascetyzmu. Niechęć konserwatystów towarzyszyła jej odtąd stale.

Taką była pierwsza faza twórczości Orzeszkowej, całkiem tendencyjna, obracająca się w dosyć ciasnem kółku tych samych

pojęć, stosunków i ludzi, które dotąd jedynie znała. Przesiedliwszy się do Grodna, widziała nową szarą niedolę: uderzyła ją najpierw moralna i materjalna nędza żydowstwa, zapychającego nasze miasteczka. I wystąpiła Orzeszkowa znowu jako wymowna rzeczniczka, pokazywała wybijające się przez lodową skorupę wieków poniżenia i spodlenia pędy odrodzenia i z lubością malowała obrazki poetyczne z życia tradycyjnego, z szczególną siłą w noweli o „Silnym Samsonie", krawcu nędznym, opromienionym przecież w oczach własnych i obcych rolą Samsona, którą raz odegrał, podobnie, jak Urbanowa (w noweli Konopnickiej) nie zapomni nigdy o purpurowej szacie Heroda, która raz okryła jej Jaśka.

Z jej żydowskich romansów ważniejszy i znamienniejszy, niż „Eli Makower", gdzie się chrześcijanie stykają z żydami, jest „Meir Ezofowicz", gdzie żydzi szybowscy żyją tylko między sobą. Zaznajomiwszy się z trybem wychowania żydowskiego, przerażona fanatyzmem średniowiecznym, nienawiścią wyznaniową i rasową, w jakiej po chederach przyszli pobożni chusyci wychowywani są przez ciemnych melamedów na wrogów zawziętych gojów, synów tej samej ziemi, wystawiła w postaci młodego, szlachetnego Meira, ograniczonego jeszcze do literatury własnej, do wpływów Majmonidesa, protest przeciw tej zaślepionej jednostronności, niesprawiedliwej, pożerającej w nienawiści najlepsze siły. Temat więc niby ten sam, który Niemcewicz przed sześćdziesięciu laty opracował w „Lejbie i Siorze", ale jak odbiegła od suchości „klasyka" plastyka i poezja Orzeszkowej; z jaką siłą skreślona była namiętna, rwąca się do światła, tęskniąca za innym światem dusza bohatera; jak bogatym, miejscami natchnionym, zawsze podniosłym był język, jak bogate w szczegóły malowidła!

Zajęły autorkę te dzieje żydowskie tak silnie, że dla nich ekspatrjowała się niby; ona, która nigdy do przeszłości polskiej nie sięgnęła, zwróciła się ku czasom rzymskim i wydobyła z nich między innemi krwawą sielankę o Mirtali, żydówce, wahającej się między Rzymianami a własnem plemieniem i jego bohaterem, Jonatanem; w gminie stają przeciw sobie zwolennicy fanatyka Szamaja i łagodnego Hillela, a otacza ją zawiść, nienawiść i pogarda Rzymian.

Nie powodziły się jedynie — podobnie jak Kraszewskiemu („Szalona") — wycieczki w świat młodzieży spółczesnej, odzywającej się już na hasła kosmopolityczne, płynące z cesarstwa, idącej między lud, przywdziewającej czerwoną bluzę robotniczą, od-

dającej się propagandzie nowych idei, straconej dla własnej ziemi, kochającej wszystko, prócz najbliższych, obojętnej na rzeczy ojczyste, pochłoniętej rzeczami „ważniejszemi“, egzaltującej się dla mrzonki, oschłej zresztą albo nawet pod płaszczem górnych haseł służącej własnej próżności i mściwości społecznej. Same tytuły tych powieści, „Bańki mydlane“ lub „Widma“, pouczają o stanowisku autorki, kreślącej te postaci, jak Kraszewski lub Turgeniew swoje, raczej z wyobraźni, niż z bezpośredniej obserwacji. Nie poznała się też w nich młodzież.

Życie miejskie „Ongrodu“ czy „Onwilu“ nastręczało jej głębokim sympatjom ku wszelkim upośledzonym coraz nowe tematy, od zaniedbanych dzieci („Z różnych sfer“) aż do owej znakomitej „Jędzy“, niesłusznie tak przezwanej tylko dlatego, że sobie na nosie grać nie pozwalała, ofiarnej, dobrej, pracowitej, cichej, na którą jednak spada szczęście, które tak rzadko nawiedza bohaterów Orzeszkowej. Już ta nowela, pisana bez wszelkiej tendencji, podbijająca czytelnika swoją szczerością, świadczyłaby o nadzwyczajnym talencie realistycznym autorki. Świadczyły o nim najlepiej nowe jej powieści wiejskie, silnie oparte o obserwację chłopa, o miłość przyrody.

I tu nie odrazu dosięgła autorka wyżyn. Pisywała je już dawno, przed wszystkiemi innemi, i wróciła do nich na nowo. Zaczęła od takich, gdzie tendencja jeszcze może i przeważa, np. „Niziny“, gdzie pokazała doradcę prawnego, podłego wyzyskiwacza ciemnego tłumu, z jego ofiarami, matką nieszczęsną, któraby tak rada chorego syna żołnierza blisko siebie zatrzymała. Coraz wyżej jednak porywała ją poezja przyrody i coraz głębiej śledziła uczucia dusz prostych, dobrych; w „Dziurdziach“ wystawiła z nadzwyczajną siłą owę Pietrusię, hożą i dobrą, na którą nierozum, zawiść, fatalny zbieg okoliczności piętno czarownicy nakłada, która się daremnie temu opiera i wreszcie ginie, niewinna całkiem, jako ofiara strasznego obłędu, okultyzmu sielskiego.

Jeszcze ciekawsze i głębsze studjum „Chama“, rybaka, który przygarnął Frankę, wietrznicę miejską, nie odepchnął nieszczęśliwej, gdy skuszona dawnem życiem znowu go opuściła i znędzniała strasznie wróciła kornie poto, aby się znowu buntować całą swą niesforną, zepsutą z gruntu naturą przeciw pobłażaniu i dobroci niewyczerpanej męża. Po chłopach rozejrzała się Orzeszkowa między zaściankami, żyjącemi, jak chłopi, lecz wynoszącemi się nad nich odwieczną tradycją, gardzącemi nimi stale. Na konflikcie

serca i dumy oparta jest powieść „Bene Nati“, jedna z najlepszych, cudowna przedewszystkiem i dla opisów przyrody i dla zwięzłości, wstrzemięźliwości słowa, tak u niej niezwykłej, i dla świetnej charakterystyki postaci, Osipowiczów i ich koligatów aż do dziewosłęba z wytrzaskaną gębą i jego mazgaja-klienta; Salusia pokochała Jerzego, „szlachcianka“ — chama, ale rodzina nie dopuści, by za niego wyszła, rodzinę i siebie na wieki skompromitowała; i podda się Salusia ciągłym namowom i wyrzutom, ale serce jej pęknie.

Odtąd bierze Orzeszkowa rozbrat z żydami, mieszczanami, chłopami i zaściankami, chyba przygodnie, w nowelce czy obrazku, do nich wróci, podobnie jak wróci i do samej przyrody, ukochawszy głównie świat roślinny, nieznużona jego obserwatorka. Pozatem oddała się całkiem światowi szlacheckiemu, z którego wyszła i o którym wiedziała, że podstawy jego są głęboko zachwiane, przyszłość groźna, odstępcy coraz liczniejsi. Coraz natarczywiej budzą się pytania, co będzie, jak niebezpieczeństwu zaradzić, czy mają nasze hasła siłę ożywczą, czy nie strupieszały one, czy miejsca ich nie winny zająć inne, ponętniejsze, wygodniejsze; czy opłaci się jeszcze nużąca robota bez widoków lepszej przyszłości? Tym pytaniom są poświęcone jej romanse i nowele od najobszerniejszego „Nad Niemnem“ do ostatniego, „Ad astra“, pisanym do spółki z p. Romskim (Zdziechowskim).

Długi ich szereg, ale wartość nierówna; linja ich spuszcza się od wyżyny „Nad Niemnem“ dosyć nisko, aby się znowu wznieść w natchnionych dytyrambach na cześć przyrody i kraju w „Ad astra“.

„Nad Niemnem“ to epopea teraźniejszości litewskiej, jak „Pan Tadeusz“ jej przeszłości, nastrojona smętnie, nie beznadziejnie jednak; splecione tu są dzieje i tradycje zaścianku, Bohatyrowiczów, szlachty, Korczyńskich, arystokracji, Różyców. Sfer arystokratycznych unikała Orzeszkowa, chyba w celach satyrycznych zwróciła się do „Czółna Don Don Pompalińskich“, przypominających jednak rozwlekłością i jaskrawością stylu dawną jej manierę z „Pana Graby“ i „Dziennika Wacławy“. „Nad Niemnem“ celuje opisowością; krajobrazy oddane są z taką wirtuozją, tyle ciepła w nie włożone, że ustępują chyba tylko obrazom puszczy białowieskiej z „Ad astra“; z równą dokładnością skreślone najrozmaitsze typy od zblazowanego nieco artysty-arystokraty aż do pełnego życia i sił Bohatyrowicza, co rękę pięknej i bogatej panny

osiągnie; obok nich postacie najrozmaitsze: kobiety-histeryczki, utrapienie własnych i obcych nerwów, mężczyźni zrezygnowani, złamani losem, podtrzymujący machinalnie ład zewnętrzny i w nim zaskorupieli, młodzi, rwący się przeciw temu składaniu rąk. Z powieści wyłania się gorące napomnienie skupiania sił — gromada rzecz wielka! — i trzymania się ziemi-matki w imię świętych tradycyj, mimo wszelkich przeszkód. Podobnie jak Jeż i Orzeszkowa posługuje się z lubością mową alegoryczną.

Odtąd temat przywiązania do swego i swoich będzie u niej zasadniczym; odzywa się wymownie w zbiorach nowel i szkiców pod tytułami: „Pierwotni“, „Melancholicy,“ „Iskry“, „Chwile“ (tu najmniej). „Pierwotni“ to ci, którzy dla egoizmu wyrzekają się wszystkiego, kosmopolici, dla własnej wygody depcący to, co się nie zgadza z najpierwotniejszemi, brutalnemi instynktami; „Melancholicy“ to rozczarowani, znajdujący sens życia i ujście przed groźnemi widmami śmierci i unicestwienia w miłości bliźniego; „Iskry“ zasypane są od lat wielu popiołem z rozmaitych „pasztetów życiowych“; przypadek jakiś, wspomnienie, obrazek, melodja, rozdmuchał je i w ich świetle dochodzą bohaterowie do poczucia tego, czego się wyzuli ci złamani przez życie, zobojętnieli dawno, i odwracają się z przerażeniem od pustkowia, które dotąd nazywali życiem; „Chwile“ uniesienia, zapomnienia zdziałają to, na coby się życie całe nie zdobyło.

Z takich to pierwotnych, melancholików, kosmopolitów, łowców zachłannych wszelakich „pasztetów“, którzy odrzucili i myśl o malowanych czerepach i cerowanych skarpetkach (o przynależności jakiejś do ludu, ziemi, rodziny; o sumieniu, honorze, obowiązku), wychodzą bohaterowie ostatnich romansów Orzeszkowej, tendencyjnych, jak jej pierwsze, w obserwację bezpośrednią niebogatych, nieraz znowu rozwlekłych i jaskrawych, nawianych nawet przez literaturę, niezawsze przez życie samo.

„Dwa bieguny“ powtarzają w Gronowskim i Sewerynie Płoszowskiego i Anielę z „Bez Dogmatu“, tylko Seweryna to nie bierna ofiara splinu i nudów sybaryty-arystokraty, rozpróżniaczonego przez samo wychowanie: świadoma obowiązków, poświęci im miłość jałową Gronowskiego i odda się owocnej pracy, budząc u młodego pokolenia uczucia, snując nici tradycji. „Australczyk“ Roman zbogacił się zagranicą, lecz bogactwa nie wypełnią mu próżni istnienia, i wróci do swoich, do Darnowa; tu mieszkańcy Darnowa przejęli się chyba Tołstojowską ewangelją pracy fizycz-

nej, bożej. Roman nie rozumie ich zrazu, i romans kreśli przełom, jakiego w nim dokonywał ich przykład. Darwid goni za złotem runem miljonów; nowożytny „Argonauta“ celu dopiął, lecz po drodze zaniedbał rodzinę zupełnie, stał się jej obcym tak, jak ona jemu; każde z nich ugania się za występną miłością, za użyciem za każdą cenę, za pieniądzem, za najnowszemi wymysłami obcemi; serce Darwida wysycha, żyje jeszcze miłością ku najmłodszej córce i, gdy mu ją śmierć odbiera, nie widzi Darwid celu dalszego życia; gdy tamci nie rozumieją wcale jego tęsknoty i pragnień, ginie samobójstwem.

W „Ad astra“ uczony poświęcił się zupełnie badaniom i nauce; z wyżyn jej i ewolucji światowej spogląda z lekceważeniem i litością na czepiających się w Krasawcu wszelkich ułud dawnych, ale i on samemi abstrakcjami, zdobyczami myśli nie wyżyje; i u niego odzywa się boleśnie organ szczątkowy serca i daremnie odgania on swe pokusy, trapiące go najbardziej w chwilach reakcji i apatji; nawraca go romantyczka, co znalazła cel życia w miłości swoich i swego, na pysznem tle przyrody.

Tory powieści Orzeszkowej są dziwnie jednolite; poczęły się w tendencji i nie wyrzekły się jej nigdy. Sztuka jej rozwijała się powoli, jak i jej widnokrąg obejmował narazie otoczenie najbliższe; różne pytania wstrząsały samą autorką, kroczącą ku swym powieściom nie ze strony fantazji, lecz ze strony życia; pytania te dotykały małżeństwa, rodziny, wychowania, losu kobiet. Powoli widnokrąg obejmował coraz nowe okolice i widoki, miejskie, żydowskie i sielskie; tendencje humanitarne, opieka nad słabymi, uciemiężonymi przez niedolę, przesądy, zacofanie, gorąca miłość bliźniego — przemawiały z nich coraz śmielej i wymowniej.

Rosnące niebezpieczeństwo zwróciło baczność autorki ponownie i ostatecznie ku sferom najbliższym, tracącym coraz ziemię pod nogami, materjalną przez straszne uszczuplenie ojcowizny, idealną przez straszne zubożenie, wyczerpanie się siły odpornej; nowi przybysze zabierają włości, nowe ideje głowy i serca — cóż będzie? I nachodzi nieraz autorkę zwątpienie, ale otrząsa się rychło: temperament to męski, wojowniczy, niedarmo zawsze występowała w pierwszym szeregu. Hasła jej są ożywcze, słowa mądre a ciepłe, rada zdrowa i rozumna. I długo wszyscy znużeni, wątpiący czerpać będą z jej powieści pokrzepienie i otuchę.

A sztuka jej? Nie wypiera się kobiety i jej słabości. Więc chętnie idealizuje nawet Jerzego z „Bene nati“, nie mówiąc o he-

roinach z „Ad astra"; retoryka więc, patetyczność, deklamacja, raziły wręcz w utworach początkowych, w owych zwrotach autorskich, morałach i niby dopiskach; nawet w scenach miłosnych wpada stale w retorykę — pozbywa się jej zupełnie w niewielu dziełach; więc wielkich obrazów, silnych konfliktów nie tworzy, brak jej dziełom rozmachu czy powiewu epickiego. Zato obserwuje, bada pilnie, uważnie; nie gubi się w drobnostkach; jest realistką, ale, daleka od wszelkiego poziomego naturalizmu, nie skala niczem wyobraźni, nie ubliży uczuciu — u naszych autorek, oprócz Zapolskiej, rozumie się to samo przez się, u Niemców najwyuzdaniej pisują właśnie autorki.

Tworzy dzielne, silne, skupione charaktery — maluje i przeciwne udatnie. Uwielbia przyrodę; jej widoki nadniemeńskie, życie łąk i pól, albo białowieskie należą do najpiękniejszych krajobrazów naszej literatury. Jest ona Litwinką, jak Mickiewicz lub Syrokomla byli Litwinami; wrosła silnie w swą ziemię, z niej czerpie siły i soki; wyrosła wysoko, znana i ceniona zagranicą, w Rosji i u Niemców wtedy, kiedy o Sienkiewiczu było jeszcze głucho, a Kraszewskim imponować nie mogliśmy. Z Orzeszkowej i Konopnickiej dumną być może literatura; nie każda literatura, choć wielka, posiada równe im autorki; społeczeństwo szlacheckie, co takiego demokratę, jak Orzeszkowa, wydało, nie zmarniało.

Ale jeszcze bardziej, niż nuta demokratyczna przenika całą jej twórczość nuta patrjotyczna; jako młodziutka znała Traugutta, jego słowami i hasłami jedności i ofiarności przejęła się na całe życie. Nie ograniczała się do literatury; rząd zawiesił jej wydawnictwa, a samą trzymał pod ścisłym nadzorem. Musiała się ciągle liczyć z nieubłaganą cenzurą i w tej podjazdowej walce ucierpiało nieraz wysłowienie, należało czytać między wierszami — sztuka, u nas jak i w Rosji niegdyś bardzo potrzebna, obca dla szczęśliwszych, wolniejszych krajów. Dopiero za czasów rewolucji mogła w r. 1905 wystąpić ze zbiorem nowel p. t. „Gloria victis", które opromieniały ofiary poświęcenia strasznego roku, i swój zawód zakończyła wrażeniami chwil, z których wyszła niegdyś. Przesiąkły od nich melancholją jej utwory, nawet takie, które odbiegły od zagadnień społecznych i krajowych, np. „Pieśń Przerwana", niedoszła sielanka miłosna między młodym księciem a córką podwładnego, i jej obrazy przyrody z jej powodu zawsze niby przymglone. Mimo to bije z jej kart i udziela się czytelnikom optymizm nie-

złomny: tylko przetrwać, nie rozpaczać, nie gorznieć, jak jej Benedykt Korczyński (Nad Niemnem). Sursum corda!

Humorem nie obdarzają muzy autorek; przymiot to męski, niema go w uczuciowych dziełach Orzeszkowej, jak go wogóle w naszej literaturze nowej — inaczej było w dawnej, jowjalnej — niewiele; posiada go „Pan Tadeusz“, obcy jest Słowackiemu.

Na humorystę o wysokiej skali kierował się długi czas, tak przynajmniej się zdawało, **Bolesław Prus** ⟨Aleksander Głowacki⟩. Był on pozytywistą, jak wszyscy znakomici uczniowie Szkoły Głównej; i on wprzęga się rychło do pracy dziennikarskiej jako ceniony kronikarz i aż do końca trwa na swem obserwatorjum, ręki od pulsu społecznego nie odrywając, ciągle zbierając, badając liczby i fakty, nie pobłażając swoim dilektom, stawiając coraz wyżej swe ideały społeczne. Od kronikarza zawodowego do humorysty przeskok nie był nagły — z humorystycznemi nowelami i opowiadaniami wystąpił na polu beletrystyki. Pisarz to niezbyt płodny; dopiero późniejszy dorobek literacki obejmował dzieła większe, i całe lata je przegradzały. Obserwacja humorysty rozpraszała się; utworzył pyszną humoreskę z owem fatalnem: „Taty szlug“ („Na pograniczu“) nawet na tle przemytnictwa; bohaterami jego bywały dzieci, podlotki i zwierzęta, przemądry Kurta, dzielnie-śpiący i przez sen nawet filozofujący, koniki; ożywiała się cała przyroda, nawet chmury i wiatry natrząsały się u niego z nieporadnych i opuszczonych. „Przygoda Stasia“ i krótki triumf pana sędziego z powodu domniemanego ojcowstwa zakrawały jeszcze całkiem na humorystykę; w innych już tylko poszczególne postaci czy epizody bywały humorystyczne (w pretensjonalnych nieco „Duszach w niewoli“); jeszcze w innych ulatniał się całkowicie humor, dopełniały się ciche, tem bardziej dojmujące tragedje, tak w „Antku“, stworzonym nie do roli, naturze raczej artystycznej, czego dowodzą nietylko jego wyroby ręczne, lecz jeszcze bardziej wizja wójtowej; albo w skazanej na śmierć przedwczesną, ofierze lekkomyślności ojcowskiej, „Anielce“ i jej nieszczęśliwym piesku. Przeciwnie, niż u Orzeszkowej, nie istnieją dla niego krajobrazy; przyrodę zna tylko w bezpośrednim stosunku do człowieka, osobnego zmysłu dla niej, jak i Dickens lub Dostojewskij, wcale nie posiada. Pochłania go całkowicie człowiek, miłość bliźniego, sympatja ku małym, antypatja ku możnym, niepomnym przykazań boskich i ludzkich. Zajmują go konflikty takie, jak fabrykanta, wyzyskującego robotników i dotkniętego srogą karą losów („Po-

wracająca fala"), spory a raczej brak wszelkiej łączności między dworem a chłopem, między sferą rozprożniaczoną a pojmującą życie serjo, między postępem a rutyną i wstecznictwem.

W kreśleniu tych walk nawet niezawsze zachował miarę artystyczną, skupiał nierównomiernie światło i cienie. Przekonanego rzecznika postępu, nieuznającego kompromisów, nieskąpiącego dotkliwych prawd, witali z uniesieniem młodzi i dla jego tendencji wybaczali mu wszystkie niedobory, wyolbrzymiali postacie i ich znaczenie.

Pierwszy donośny triumf, to triumf „Placówki" i jej Ślimaka. Nazwisko bohatera jest fatalne, i on sam nielepszy, ale zato prawdziwy to chłop słowiański, osiadły między Niemcami, posiadającymi już przyległe grunty, czyhającymi na jego spłacheć, niezbędny im dla przeprowadzenia racjonalnej meljoracji. I po dobremu i na udry idąc, wyzuliby go za pieniądze z ojcowizny, ale Ślimak nie ustąpi, a gdyby jego upór osłabnął, zwycięży upór baby. Przymioty jego to chyba nieporadność, atawistyczny brak energji, nieodzowna potrzeba spoczynku w najniestosowniejszej chwili, niespokojne rzucanie się na wsze strony w razie przypadku; już baba jego i ruchliwsza i sprytniejsza i wygadana, i tylko respekt przed jego kułakiem ją powściąga. Zawiśli od przyrody; matka-ziemia ma ich całkiem w władzy, instynkt każe się im jej trzymać do ostatniego wysiłku. O ile marniejsi od nich ci z dworu, letkiewicze, próżniacy, apatyczni; o ile nieszczęśliwsze te popychadła wiejskie, idjotka Zośka z dzieckiem, nad którem się chyba Maciek pastuch zmiłuje, nędza nad nędzą jeszcze dotkliwszą. Była to na długo najlepsza powieść chłopska, ale jednostronna, jak to pokazała niebawem gorączka emigracyjna.

„Placówka" to raczej nowela. Pierwszy wielki romans to „Lalka" z chybionym bohaterem i nieciekawym problemem. Wokulski-inżynier, dobijający się o rękę krasawicy-arystokratki, z powodu marnej pannicy ginący dla tych zadań, do których dostrajał całe życie, to romantyczny chochoł, nie nadzwyczajna synteza, nie znamienna kreacja, jak Płoszowski czy Judym, nie typ, lecz słabeusz, i bardzo się dziwimy, że taki dzielny Rzecki nie poznał się lepiej na tym ptaku niskiego lotu. Rzecki, o wiele od niego, Wokulskiego, sympatyczniejszy, tęższy, wyższy, chociaż były żołnierz z kampanji węgierskiej nie wyszedł ponad subjektostwo w sklepie Minclowym. I „Lalka" wcale nieciekawa, ot sobie konwencjonalna. Szczegóły i epizodyczne postaci zachwycają czytel-

nika. Jako całość jeszcze mniej może zadowolić następny, obszerniejszy romans, „Emancypantki“; o kompozycji nawet i mowy niema; pierwszy tom nie wiąże się z dalszemi; zato pyszny typ kobiecy, owa Madzia, bohaterka altruizmu, niewyrozumowanego lecz płynącego wprost z serca, więc nie inteligencją, lecz sercem wyższa od wszystkich i dlatego im obca, jeden z najpiękniejszych, najgłębszych typów kobiecych, jakie kiedykolwiek powieść i to nietylko nasza stworzyła. I znowu porywają czytelnika epizodyczne obrazy, z nadzwyczajną nieraz drastycznością skreślone. Tytuł wprowadza w błąd, gdyż najmniej chodzi o „emancypantki“. Odsłania tu Prus najgłębsze koncepcje filozoficzne — żaden z naszych powieściopisarzów nie filozofował tyle nad światem, życiem i śmiercią.

Jednolitością kompozycji odznacza się „Faraon“, z dziejów staroegipskich, zostawiający daleko za sobą „Uardę“ i inne, wysmażone w tygielku profesorskim (Ebersa) pseudoromanse. Powieść nadzwyczaj zajmująca; zyskałaby, jeśliby autor mniej szafował erudycją, podarował nam zarówno liczenie miesiącami egipskiemi, jak i owe przypiski o autentyczności przytaczanych tekstów, niby ostrzegające czytelnika, że wszystko inne to zmyślenie. Ale „Faraon“ jest nietylko zajmującą powieścią, ma podkład głęboki; tacy bowiem, jak Faraon, siedzieli nieraz na tronach; niedaleko sięgając, pierwszy samozwaniec mógł służyć za wzór: letkiewicz, kobieciarz, energiczny, wojowniczy, odczuwający — przed innymi — konieczność radykalnych reform, krępowany istniejącym „boskim“ porządkiem, zżymający się na obcy autorytet, ciążący mu dotkliwie, postanawiający się z niego bądź co bądź zrzucić i ginący w nierównej, przedwczesnej walce, z winy, a raczej nieopatrzności własnej. Lecz ofiara jego nie jest bezowocna; ci sami, którzy w imię zagrożonego porządku zwalczali go i zwyciężyli, zaczną wykonywać to, co on zamierzał, nie tak nagle i hałaśliwie, lecz niemniej radykalnie — ofiara postępu ginie, postęp triumfuje. Ten szlachetny optymizm Prusa nadaje tej powieści, nielicującej pozornie z całym jego trybem, odwróconym od wszelkiej przeszłości, piętno osobliwsze, czyni ją niby alegorją, niby hymnem na cześć prawdziwego postępu, niewstrzymanego żadnemi kruczkami, zboczeniami, katastrofami. Ostatnie większe dzieło powieściowe Prusa, oddającego się coraz wyłączniej dydaktyce społecznej, mentorującego publiczności w feljetonach, artykułach wstępnych i odczytach, kreślącego katechizm moralny o bardzo

wysokich wymaganiach, to „Dzieci“ (1910), zwiedzione rewolucją 1905 r., jej ofiary albo wyrodki.

Powieść polska dokonała już była kilku zwrotów. Za Kraszewskiego i Zacharyasiewicza powieść społeczną zabarwiał idealizm — bohaterowie jej mogli błądzić, a nawet ginąć, satyryczne przebłyski mogły się pojawiać, niejedna scena tchnąć realizmem, mimo to nie zapierał się autor idealizowania i bohaterów i rozmów, jakie toczyli. Za Jeża i Orzeszkowej ta idealizująca powieść była całkiem tendencyjną; tylko wrodzony artyzm Orzeszkowej i zmysł prawdy wzbijał się nieraz wysoko ponad wszelkie programy i dydaktykę dla społeczeństwa; tworzył, bo odczuwał piękno, realistycznym nie był z zasady. Takim stał się dopiero u Prusa; ale i Prus nie jest wolny od tendencji, chociaż u niego ona, raczej ukryta, nie narzuca się ani nie bróździ, jak u poprzedników; zabarwia tylko, rozpływając się sama, ową falę obserwacji z jej rozpędem ku realizmowi. Zato nikt tak nie wyczuł ani nie oddał miasta, Warszawy, jak właśnie Prus, miasta, które dla naszej przeważnie sielskiej literatury (Orzeszkowa!) jeszcze jakby nie istniało (próby Korzeniowskiego warsztat, nie miasto, badały).

Na wyżyny obrazowości i artyzmu wznosi się powieść u **Henryka Sienkiewicza**. I on, uczeń Szkoły Głównej, zaczął, jak koledzy, od pracy dziennikarskiej, od feljetonów i kronik w „Gazecie Polskiej“, gdy pierwsze jego debjuty powieściopisarskie, „Humoreski z teki Worszyłły“, i powieść z życia studenterji kijowskiej, „Na marne“, nie zwróciły uwagi ogółu. „Litwos“ (skoro jego rodzinne Podlasie do „Litwy“ należało) obok kronik zaczął ponownie, od r. 1875, pisywać nowele i one to zdobyły mu pierwszą popularność, narazie między młodymi.

W nowelach („Szkice węglem“ i inne) mimo naogół pesymistycznego ich nastroju uderzała łatwość, z jaką się autor poruszał na rozmaitych polach, czując się wszędzie jak w domu; uderzała pewność i zamaszystość rysunku, a soczystość słowa, odbijająca od bezbarwności naszych „idealistów“, Kraszewskiego czy Zacharyasiewicza, od rubaszności Jeża, od wielomówności autorek. Ta siła słowa, szczerość uczucia, znakomity humor nadawały nadzwyczajny urok czy to „Staremu słudze“ i „Hani“, czy ustępowi z „Pamiętników nauczyciela poznańskiego“, czy niezrównanemu „Bartkowi Zwycięzcy“; przeważały nuty tęskne i wyrzuty, jak w „Janku Muzykancie“, w losach Rzepowej; nawet Bartek, który się pod Gravelotte tak odznaczył, strasznie zmalał w domu —

wyrzuty te godziły ostatecznie w inteligencję, trwożliwą, sobkowską, nieopatrzną, obcą ludowi i nieumiejącą z nim iść.

Nie ugrzązł jednak autor w owym tanim pesymizmie organicznika i postępowca; wyrwał go z niego sam wyjazd do Ameryki, skąd Litwos, otrząsnąwszy się z brukowego filisterskiego życia warszawskiego, pisywał świetne „Listy z podróży", docierającej do Kalifornji. Po długiej nieobecności wrócił wprawdzie do dziennikarstwa, wziął znowu do rąk „chochlikową lutnię", ale do taczki kronikarskiej już się nie dał zaprząc. Próbował bez powodzenia sił w dramacie („Czyja wina", „Na jedną kartę"); coraz bardziej uwydatniało się przeobrażenie byłego postępowca i pozytywisty w konserwatywnego szlachcica; ku szlacheckim ideałom, ku dawnej świetności od obecnej szarzyzny i marności, ku bohaterom od otaczających liliputów pociągało go coraz bardziej.

Szkice Kubali dolały oliwy do ognia; już w roku 1880 pojawiła się nowela historyczna, „Niewola Tatarska", w której Imp. Zdanoborski opowiadał o regulusowej swojej wytrwałości nie zwrócono na nią uwagi, chyba tylko o tyle, o ile krytyka postępowa odmówiła autorowi zdolności do... odtwarzania przeszłości!... Ale nie jest rzeczą krytyki przepisywać autorowi, co ma a czego nie ma robić — wie o tem tylko autor.

W maju roku 1883 zaczęło się w odcinku „Słowa" warszawskiego i „Czasu" krakowskiego pojawiać „Ogniem i Mieczem"; w krótkich odstępach potem dalsze części trylogji: „Potop" i „Pan Wołodyjowski". Były to właśnie czasy zupełnej prostracji romansu historycznego, owego bastarda romansu i historji (owej „prawdziwej" kawy figowej), to obrażającego poczucie prawdy, to schodzącego na suchą kronikę, i nie stać było Kraszewskiego na ożywienie tej martwej formy. Nikt więc nie wróżył powodzenia nowej powieści, litowano się nad nieopatrznem przeliczaniem się z siłami, nad płochym zamiarem wskrzeszenia spopielonej przeszłości, nad daremnem marnowaniem sił.

Przepowiednie jednak krytyczne sprawdzają się nieraz, jak meteorologiczne, t. j. nawspak. Zajęcie powieścią rosło z dnia na dzień, przybierało niesłychane u nas dotąd nigdy rozmiary, rozgorączkowało poprostu czytelników, zasypujących autora listami, prośbami, wskazówkami, radami; zapał, wzniecony „Ogniem i Mieczem", przetrwał nawet „Potop" i „Pana Wołodyjowskiego", przekroczył szranki literatury polskiej, udzielił się zagranicy, która trylogję mimo jej przerażających rozmiarów (po cztery, sześć i trzy

tomy) witała z radością. Gdzież tajemnica tego niesłychanego powodzenia u nas i obcych?

Dotychczasowy romans historyczny grzeszył przedewszystkiem wyborem tematu i opracowaniem. Romans historyczny jest eposem, a epopei nie wypełnią nigdy losy różnych filistrów i dusigroszów czy fircyków i pędziwiatrów XVIII wieku — takimi zaś bawili nas przeważnie Kraszewski i Rzewuski. Trafny instynkt odwiódł Sienkiewicza całkiem w inne strony, w wiek XVII, jedyny wiek bogaty u nas w najdramatyczniejsze przejścia, w kataklizmy niesłychane, w awantury heroiczne, utrzymany stale w duchu i tonie epicznym — i przemówił mu ten wiek do wyobraźni w niesłychany przedtem sposób.

Poprzednicy zadowalali się głównie czasami Poniatowskiego, rzadziej saskiemi; ale z münchhauzjad Panie Kochanku, z strzelania do bab kukających Starosty Kaniowskiego, nawet z krwawych szałów hajdamackich niesposób wykrzesać romansu, wątku tu starczy chyba na szkice czy nowele *à la* „Pamiętniki Soplicy"; nie wyczerpało się też bynajmniej życia staropolskiego kruczkami adwokackiemi, cięciami serpentyną, libacjami alkoholicznemi, liwerją bandy albeńskiej, wielkopiątkowem biczowaniem. Tem bardziej nęcił wyobraźnię artysty ów czas między r. 1648 a 1683, pełny głębokich upadków i wielkich wzlotów, heroizmu i podłości, klęsk niesłychanych i niespodziewanych triumfów, zdrajców i męczenników; zagłuszany nieustannym szczękiem broni, grożący naprzemiany ostatecznym upadkiem Rzeczypospolitej i pocieszający zupełnem rozbiciem wszystkich jej wrogów.

Na bujnych, bogato zaludnionych polach Ukrainy, gdy pług polski coraz głębiej wżerał się w stepy, fortuny wielkopańskie coraz olbrzymiały, a wychodźtwo z przeludnionej Wielkopolski czy Mazowsza stwarzało nowe etnograficzne warunki, powstaje odrazu groźne widmo upadku państwa szlacheckiego, a gdy je zażegnano spustoszeniem, ruiną Ukrainy i hekatombą miljona ludzi, wznosi owa hydra swe łby jeszcze groźniej od Północy, nie napotyka już jednolitego oporu, i niebawem widzimy cara Aleksego w Wilnie, Karola Gustawa w Krakowie, Jana Kazimierza z drobną garstką wiernych na wygnaniu, szlachtę z Radziwiłłami i Opalińskimi w łykach u najeźdcy.

Ale *fortuna variabilis, Deus mirabilis* woła Szymon Starowolski przed Szwedem; nie był jeszcze porażony szpik pacierzowy narodu, nie wysuszyły go jeszcze czasy saskie i budzi się ten naród z chwilowego letargu; jednem uderzeniem prawicy roztrzaskał polski lew chciwego łatwej zdobyczy Rakoczego, zrzucił obce

jarzmu, spojrzał aż z-d Danji Szwedom w oczy, a Litwę wyswobodził i sam zagroził Moskwie inwazją.

Klęskom i triumfom ukraińskim poświęcił Sienkiewicz pierwszą część trylogji; następną walkom szwedzkim, nie wciągając do niej drugiej „północnej potencji“; oblężenie Zbaraża w pierwszej, w drugiej Częstochowy, w trzeciej Kamieńca jest osią powieści. Coraz więc nowe bitwy i oblężenia wypełniają karty trylogji, i zdawałoby się, że nawet sztuka artysty nie uchroni czytelnika od znużenia a nawet zniechęcenia. Stało się inaczej dzięki nadzwyczajnemu talentowi twórczemu, igrającemu z przeszkodami, piętrzącemu samowolnie trudności, ażeby je tem pewniej pokonać. Atawistyczny chyba animusz rozochocił Sienkiewicza do kreślenia bojów, jakie przodkowie z równą fantazją sami toczyli; wyobraźnia jego jest niewyczerpana, nie powtarza nigdy tych samych rysów czy szczegółów; każde jego oblężenie odmienne; każdy nawet jego pojedynek inny, czy to między Zagłobą, podszytym tchórzem, a olbrzymem Burłajem, czy między równymi graczami na szable, Bohunem a Wołodyjowskim; każda ucieczka ma swój właściwy przebieg, czy gdy Zagłoba z Heleną przez morze płomieni się ratują, czy gdy Skrzetuski między trupami brodzi w moczarach i lasami do króla umyka, czy gdy Basia do męża ucieka przez stepy. Nic się nie powtarza; odmieniają się ludzie, krajobrazy, czasy, ale na całym przeciągu olbrzymiego dzieła nie ustaje ów rozmach epiczny, właściwa tajemnica powodzenia trylogji nawet u obcych, którzy mimowoli w niej słyszą surmy bojowe.

Nie jest to Walter Scott z opisywaniem turniejów, więzień, ucieczek, ze zbójami, rycerzami, damami, z chłopem anglosaskim, żołdakiem miejskim, przekupniem żydowskim; ani Dumas z wyperfumowanymi muszkieterami, z strojnisiami Ludwikowymi, intrygami pałacowemi, zazdrosną grą kardynałów i królowej — wielka burza dziejowa rozszalała się w trylogji, w jej wściekłym podmuchu nie ostać nikomu, wszystko ona porywa, druzgoce, jeśli trafem szczęśliwym nie zapadniesz w jakie ustronie, nie przetrwasz burzy. Od takiego tła płomiennego i krwawego — a zapowiadał je wymownie ponury prolog — odbijają efektownie i drobne przejścia; potężnieją namiętności, ludzie urastają do rozmiarów posągowych, epicznych; olbrzymią falą porywa ów potop dziejowy wszystko i przewala się niewstrzymany przez kraje i lata.

Wobec takiego tła nie trzeba było wcale wysuwać jeszcze jakichś historycznych osobistości na pierwszy plan; „Jarema“ znika

już w pierwszej części trylogji; o innych bohaterach głównych spółcześni nic nie wiedzą albo wspominają ich pobieżnie, kobiety wszystkie wymyślone. Nie krępowały więc autora żadne względy, liczył się z kilku faktami, Zbarażem czy Zborowem, zresztą był niezawisłym panem swych postaci. I to im wyszło na dobre.

Wszystkie one, jak i całe tło, nadzwyczaj malownicze i plastyczne; sztukę przedstawienia plastycznego wykazywały już dawniejsze próby, teraz podniosła się ona do idealnych rozmiarów: więc przedewszystkiem w opisach, w zewnętrznej malowniczości nikt Sienkiewicza nie przewyższył: widzisz i słyszysz jego walki, narady, uczty, czy u Janusza Radziwiłła, czy na zapustach Chreptyjowskich; domy i jary; ubiór i minę; ruch masowy czy jednostki opisze on i przedstawi, jak żywe, bo myśli samemi obrazami i tak je na papier przelewa. Posiadł wszystkie skarby języka; umyślnie nie archaizuje, mimowoli trafia w sposób myślenia i mówienia owych ludzi. Każdy z nich przemawia swoim właściwym językiem — kunszt, obcy naszym dawniejszym powieściopisarzom — kto się nieco w powieść wczytał, odgadnie ze słów samych, czy je mówi błazen-pieczeniarz Zagłoba, czy potulny a chciwo-przebiegły Rzędzian, czy ów łycar kozacki Bohun ze swą tęskną nutą ludową, czy krewki Wołodyjowski, czy ów sentymentalny seladon-żołnierz, czy rezolutna Basia, czy namiętny Tatarzyn; nikt u nas nie charakteryzował subtelniej tylu postaci tylu językami. I nikt nie przedstawił tylu prawdziwych.

Kraszewski mógł ich liczyć więcej, ale jak słabo wrażają się one w naszą pamięć; z Sienkiewiczowych żadnej nie można zapomnieć. Włada znakomicie sztuką kontrastów i przez te światła i cienie uwypukla każdą postać; tracą one natychmiast na wyrazistości, skoro skupia na nich same światła, jak na Skrzetuskim czy na Oleńce; w nadmiarze tego światła zacierają się rysy indywidualne, po których jedynie poznajemy człowieka. Oto Podbipięta, Litwin, uparty, małomówny, wzdrygający się fizycznie na uprzykrzone gadulstwo koroniarza, lgnący do niego mimo to, olbrzym wzrostem i siłą, z duszą niepokalaną dziecka, z żarem rycerza krzyżowego, ciężki na ciele i myśli, stały i niewzruszony. To znowu grzeczny kawaler, gracz na szable niepospolity, pełen animuszu, zwinny, drobny raczej, śmieszy nas i wąsikami i niepoprawnem zalotnictwem. Jego przeciwnik z całkiem innego kruszcu ulany: otwarty i skryty (Wołodyjowski niczegoby ukryć nie potrafił), szczery, korny i hardy, namiętny, słodki i mściwy, wróg

Polaków, bo tak wypadało, im stokroć bliższy, niż chamom, którym przywodzi. Albo Zagłoba, zdaleka niby Falstaff, stary, gruby, facecjonista, pieczeniarz, egoista, tchórzem podszyty, łgarz, warchoł jakich mało, ale bieda i trwoga dobywają z niego i animuszu rycerskiego i niewyczerpanych zasobów przebiegłości, sztuczek i figlów; starzejąc się, przybierze nawet pozory powagi patrjarchalnej; drastyczna komika słów jego, wzorowanych na Pasku, na innych spółczesnych — Sienkiewicz zna ich wszystkich — ratuje każdą sytuację; w opisy o grozie tragicznej wplata ów kontrast: nutę jasną, wesołą, świadczącą o niewyczerpanych zasobach optymizmu, animuszu, buty szlacheckiej.

Tak dokonywa się w naszych oczach moralne odrodzenie Kmicica-Babinicza, z wywołańca i bandyty przez szereg nadludzkich niemal pokus i prób dążącego do oczyszczenia klejnotu. Niesłychane bogactwo postaci, nawet drugo- i trzeciorzędnych, wyrazistość ich ruchów i mowy; malowniczość i plastyczność opisów; tło nadzwyczajne; przygody i przeprawy aż nadto romantyczne — zapewniły trylogji owo powodzenie niesłychane, które odrazu powołało do nowego życia zdyskredytowany zupełnie romans historyczny.

Trzy części trylogji nie są równej wartości. Najwyżej stoi bezsprzecznie pierwsza — nietylko dla nowości wystąpienia. Jest ona najbardziej epiczną, nie waha się nawet autor używać środków stylowych prawdziwej epopei; tłoczy się w niej najwięcej najciekawszych postaci, kontrastów, faktów. „Potop“ nuży niepomierną rozwlekłością: tam już tylko sceny są niezapomniane, od owej uczty Radziwiłłowskiej począwszy poprzez oblężenie Częstochowy. Najbardziej zacieśnia się pole w „Panu Wołodyjowskim“; sam tytuł charakterystyczny dla dzieła, sielanki historycznej dwu ludzi na tle kamienieckiem, nie wielkiego malowidła dziejowego, jakiem były poprzednie; zato najlepiej skomponowany i pełen scen nadzwyczajnego czaru, odbijających tem bardziej od jaskrawego tła.

Rozmaite zarzuty czyniono Trylogji, głównie „Ogniem i Mieczem“. To oskarżono autora o jednostronne uwzględnianie samych bojów, jakby na nich wyczerpywało się życie narodowe — ale na Rusi rzeczywiście wtedy tak było, przecież nie z winy Sienkiewicza. Oskarżano go o niesprawiedliwe szafowanie światłami i cieniami, jakby kosztem kozaków i czerni wywyższał Lachów — samym Bohunem, ba i Chmielnickim, mógłby się Sienkiewicz przeciw zarzutowi stronniczości obronić; najelementarniejsza sztuka epiczna

nie dozwalała przecież zbytniego poniżania przeciwnika, a jeśli nie docenił on wszystkich momentów, rozstrzygających w owej krwawej waśni, toć i nie było jego zadaniem zastąpić pracę wyczerpującą historyka — gdzież zresztą ten historyk, któryby bez uprzedzeń, bez stronniczości przystępował do kreślenia tych walk; czy może Kostomarow lub Kulisz?

Innym nie dawały spać mniemane reminiscencje z „Trzech Muszkieterów“ ale najbardziej znaczące to chyba liczba ta sama — albo od Szekspira nawet: trzebaby tylko dowieść, że Podbipięta Francuz, a Zagłoba Anglik; to znowu żalono się na usterki chronologiczne i geograficzne, jakby one w powieści cośkolwiek znaczyły; to znowu na osobistości, np. na Jaremę i na ową imponującą scenę u krzyża, jedną z najbardziej wzruszających, ale magnat mógł wtedy jeszcze żywić, choćby przemijająco, podobne uczucia, dowodem nieco później Sobieski; to nawet zarzucono, że w owem starciu na słowa Skrzetuskiego i Chmiela argumenty ich nie odsłaniają całej prawdy — ale wzajemne inkryminacje mają zawsze na celu zgnębienie przeciwnika, nie wyłuszczenie prawdy, czego kiedyś, gdzieś, inni dopiero dokonają.

Trylogja ma pewne błędy, w kompozycji, w szczegółach, w oświetleniu. Grzechem przeciw przeszłości było przedzierzgać błazna Zagłobę w sam kwiat rycerstwa polskiego, w jego wyrocznię, w uosobienie jego powagi i miłości ojczyzny. Kozak Bohun i Tatarzyn Azja przypominają bohaterów romantycznych, z „Agajchana“ Krasińskiego i z „Tarasa Bulby“ Gogola: obaj rozkochani w Laszce, dla niej ginący i usychający — nie taka była to rasa i nie takie były to czasy; kozak i Tatarzyn to nie kobieciarze przecież, nie podwiązkowi rycerze; ale efektowni oni nadzwyczaj właśnie w tym sprzeciwie, chociaż kosztem prawdy historycznej osiągniętym. Umyślnie, czy nie, wyłączył autor zupełnie stronę religijną, która w tych walkach odgrywała niepoślednią rolę. Chmielowi i Bohunowi obrządek był obojętnym; kozacy zgodzić się nie mogli na szczupłość rejestru, lecz w głupią czerń rzucili hasło religijne; czerń wierzyła ślepo, że bat'ko Bohdan rozwinął krasną chorągiew z archangełom za stare błahoczestje i gnała naprzód zawalać okopy cielskami, przekonana, że każda ofiara jeszcze tego samego dnia do raju wejdzie; w obozie kozackim otrąbiano, że strach Boży bije Lachy; groza nie oszczędzała Rusinów-unitów; wieszano księży; żydów przemocą — daremnie — nawracano.

A podobnie i w „Potopie“ przemilczano sprawę wiary, pro-

testantyzm Radziwiłłów, triumfy arjanów i kalwinów polskich, ich entuzjastyczne witanie króla tegoż wyznania, zdradzanie ojczyzny w imię religji. W tych i innych szczegółach czuł się Sienkiewicz widocznie krępowanym i wolał zostawić lukę, niż ją byle jak zapełniać; ponieważ nie mógł wszystkiego wypowiedzieć, więc słusznie wielu rzeczy nie tykał wcale.

A że Polska żyła nietylko bojami, że w Krakowie i Poznaniu nic nie dbano o to, co się na Ukrainie dzieje — to nie mogło wpłynąć na opowiadanie, toczące się właśnie na Ukrainie. Nie stracą nigdy na wartości te jaskrawe wizje dzielnej, hartownej, cudownej przeszłości.

Sienkiewicz odczuwał potrzebę skąpania się po brudach i mętach codziennego trybu w owym odmładzającym zdroju ofiar i poświęceń innych czasów i ludzi — pisał je dla pokrzepienia ducha i cel wpełni osiągnął. Opromienił aureolą bohaterstwa tę szlachecką przeszłość, więcej zdziałał dla jej spopularyzowania, dla wydobycia z niej ożywczej treści, niż którykolwiek inny z naszych pisarzów dramatów i powieści. Poprzedników miał tylko w „Panu Tadeuszu“, który poetę też od mętów i kwasów chwili leczył i chronił, i w „Śpiewach historycznych“, które również wznosić i krzepić miały umysły stroskane, zwątpiałe, niepomne dawnej chwały. Cenzura połapała się w tem i dalszych podobnych dzieł jużby nie dopuściła.

To i samo prawo kontrastu wywołało u autora reakcję; od burzliwej fali walk i katastrof, od bohaterów z siłą woli niemal nadludzką, od tłoku postaci, zgiełku czynów, szczęku broni, jaskrawości barw, widoków coraz nowych, niebezpieczeństw coraz innych, zwrócił się ku szkicowi psychologicznemu, zgłębieniu jednego osobnika, „rozszczepianiu włosów“. Bohaterem „Bez dogmatu“ jest dekadent, neurastenik, znużony odprysk znużonego rodu, wykluczony siłą stosunków ze zwykłego trybu życiowego szlachty innych krajów, ze służby wojskowej czy karjery dyplomatycznej, skazany więc zgóry na bezczynność, oddający się zajęciom najnieproduktywniejszym, bo zawsze tylko dyletanckim, zawsze tylko dla zabicia nudy i czasu, czy wtedy, gdy się odda zachciankom artystycznym, czy zakusom naukowym, filozoficznym i religijnym — jeśli nie machnie ręką na wszystko i w koniach, kartach czy kobietach jedynego poważnego celu życia nie upatrzy.

Z rodu, pędzącego od kilku pokoleń takie denerwujące życie, wyszedł Leon Płoszowski; wychowany zagranicą, strawił młode

siły i lata, nie zdobył żadnego punktu oparcia, stracił wszelką możliwość wydobycia się z sennego, próżniaczego życia, nabawił się w kuchni cudzoziemskiej kataru żołądka, ciągłej autoanalizy, zdawania najdokładniejszej sprawy o sobie sobie samemu i przerafinowania estetycznego mimozy, odczuwającej ze wstrętem wszelką gminność i płaskość; oddany kaprysom i śnieniu, zaniedba ostatnią sposobność, by stać się człowiekiem i wydobyć się z zaczarowanego koła snobizmu, błagi i nudy, kultu próżniactwa; gdy już za późno, gdy nie odstanie się więcej to, czemu nie zapobiegł, póki mógł, jak dziecię uparte, bo głupie, wzdrygać się będzie przed koniecznością nieuniknioną, i wszystko, co najnaturalniejsze, najpospolitsze, będzie go najstraszniej trapić i razić, póki tego życia bez celu i sensu, bez dogmatu, nie przerwie kula. Pamiętnik jego zapoznaje nas z nim. Prawdziwem mistrzostwem było raczenie czytelnika przez trzy tomy takiem minimum faktów, a maximum rozmyślań i analiz, i niezbrzydzenie mu tej rudery ludzkiej i tej wiwisekcji ciągłej każdego pół- i ćwierć uczucia — na całe uczucie żaden Płoszowski nigdy się nie zdobędzie; właśnie to malowidło duszy zjednało Sienkiewiczowi najpierw, przed Trylogją, uznanie zagraniczne.

Dla naszej powieści było to nadzwyczajną nowością; nie znała ona takiej wnikliwej, nielitościwej, ciągłej analizy psychicznej — dawna nasza „psychologiczna“ powieść nie podejmowała nigdy obszerniejszych obserwacyj. Postać sama polskiej ziemi wcale obcą nie była. Płoszowski to natura wyposażona talencikami, pozbawiona zato woli, chwiejna, nieujęta w żadne zewnętrzne karby, więc rozpryskująca się na wsze strony tak, że się nigdy już skupić nie potrafi, skazana zgóry na to, by się włóczyć za jaką Klarą Hilst po koncertach, lub w Monako od jednej Laury Davis do drugiej przechodzić; wmawia w siebie miłość ku Anielce, lecz wtedy dopiero, kiedy została Kromicką, i rozpacza zamiast dziękować niebiosom, że najnierówniejszej pary nie sprzęgły w jarzmo; byłby od jej chłodu po pierwszych trzech miesiącach uciekł, lecz teraz życie jego nabiera jakiegoś celu, i gdy śmierć Anielki przerywa i tę zabawkę odrabiania tego, co się odrobić nie da, ginie ostatni powód, dla którego taki Płoszowski żyje.

W kreśleniu „Płoszowskiego“ zetknął się Sienkiewicz wcale blisko z „Hrabią Augustem“ („Notatki i wrażenia“, wydał Aleksander Mańkowski, 1890, znany bardziej jako autor dramatów obyczajowych szlacheckich z Podola i i.) i z Leonem Belmontem (L. Blumental,

tłumacz Oniegina, publicysta-satyryk z r. 1905), który „W wieku nerwowym“ nieco odmienny (dla wieku i stanu) przedstawił typ bezwoli i niszczącej analizy; takich kobieciarzy, jak Płoszowski i hr. August, wyprzedził niegdyś i „Graf Rak“ Kaczkowskiego, chociaż od nich wyższy w swej „babiej“ słabości — daleko jednak obu do niezrównanego mistrzostwa portretu Sienkiewicza. I tak mściła się kobieta za wzgardę, jaka właśnie u Słowian „babom“ w udziale od wieków przypadła.

Sienkiewicz jednak uogólnił poniekąd Płoszowskiego, bo spychał osobiste jego konto na jakąś „nieproduktywność słowiańską“, chociaż jego „genjusz bez teki“ należy tylko do tych ludzi, którzy z siedmiu dni tygodnia dni powszednie skreślili, siedząc na tarasach, dyskutując o sztuce, literaturze, kobietach, obcy temu życiu u dołu, przewalającemu się, jak morze, tej realnej walce o byt, o kawał chleba, życiu pracy mrówczej, zwierzęcych potrzeb, namiętnych chuci, codziennych wysiłków. Wyodrębniwszy się od tego życia, poza jego nawiasem, zniechęceni do wszystkiego, zużyją wkońcu bogate środki, by sobie i innym zepsuć życie, nie uznając żadnych dogmatów, prócz kodeksu towarzyskiego, żadnych obowiązków prócz szlifowania paznokci.

Gdy tak Płoszowskiemu brak poprostu organu czy instynktu życiowego, nadmiarem zdrowia i siły, ruchu i woli wetuje bohater „Rodziny Połanieckich“ wszelkie biadania nad nieproduktywnością słowiańską; od szlachcica-schyłkowca przeszedł Sienkiewicz do szlachcica-przemysłowca. Nauki pozytywizmu warszawskiego nie poszły więc w las, i, chociaż późno trochę, zerwał się autor na skreślenie i wyidealizowanie swego „organicznika“.

Powieść przyszła nie w porę, odpowiadałaby raczej jeszcze czasom „Morituri“, a spółczesności swej z roku 1895 nie dowodziła wystarczająco hasłami neochrystjanizmu, slawofilstwa i innych teoryjek. Mimo rozmiarów jest to najmniej znaczące dzieło Sienkiewicza, chociaż i tu nie brak pysznych osobników, owego starego egoisty i sybaryty, poświęcającego się dla wszystkich i wszędzie na słowa, a żyjącego samemi poświęceniami innych, np. córki, (typ niegdyś stworzony już przez Fredrę); albo owej dziecinki, Litki, rozwiniętej chorobliwie, zazdrosnej o swego przyjaciela, owych artystów, owych pań z towarzystwa, dowodzących znowu niesłychanego mistrzowstwa w kreśleniu coraz nowych, coraz odmiennych postaci. Marynię wyidealizował; ożywił martwą nieco Anielę Płoszowskiego, chorującą na zimno i brak temperamentu

kobiet polskich, chociaż i Marynia nadzwyczaj w sobie skupiona, nie działa, wszystko zostawiając czasowi i losom, za dumna, by walczyć nawet o męża, choć głęboko jego niewiarą dotknięta. Połaniecki nie jest jej chyba godzien; rychło znudzony jednostajnością, pewnością posiadania skarbu, traci go lekkomyślnie a przerażony skutkami, wraca pokornie — czy na długo? Jak wierzyć się nie chce w stałość jego miłości, wyrozumowaną bardziej, niż wyczutą, tak można i powątpiewać o jego praktyczności i pytać, czy go i tu jednostajność i pewność wkońcu nie znużą, czy nie pofolguje fantazji i temperamentowi właśnie tam, gdzieby je najsilniej należało hamować. Wkońcu wytknąćby można i zbytnią rozwlekłość, dorzucanie słów i rysów, niedodających niczego nowego.

W odstępach pisywał autor nowele, np. humorystyczną z sfer artystycznych warszawskich („Ta trzecia"), albo rozwijał epizod z „Połanieckich" w bardzo podkasanym szkicu („Na jasnym brzegu"); pisywał nowe „Listy z podróży", tym razem z Afryki i celował znowu sztuką malowniczego i plastycznego zarazem oddawania każdego wrażenia; powoli przygotowywał nowe dzieło. Artysta to bowiem nadzwyczaj sumienny: jak do Trylogji przewertował historyków, pamiętnikopisarzów, całą spółczesną literaturę, tak samo oddawał się teraz archeologji i topografji rzymskiej i studjom nad klasykami.

Rzym nęcił go zawsze, klasyków uwielbiał od młodości, wczytywał się w Tacyta, więc kusiło go zmierzenie się z ziomkami i z obcymi, z Kraszewskim i Bulwerem, w wystawieniu obrazów antyku, zmysłowości jego orgij, artyzmu jego wybrańców. To jedna strona wizerunku; sam zmysł kontrastu, tak silnie u niego wyrobiony, wywołał przeciwstawienie Neronowi, histrjonowi na tronie, panu świata, który ten świat w cyrk, a siebie samego w jego reżysera i aktora przeobraża, owego starca, ubogiego, niewątpiącego, prostaczka, któremu niegdyś cały świat przypadnie w udziale.

Powiew neochrystjanizmu, coraz bardziej odczuwany w Europie i Ameryce, mógł go tylko w tej myśli utrwalić. I, jak niegdyś przed Trylogją wypuścił w świat opowiadanie Zdanoborskiego, tak wysłał na zwiady „Pójdźmy za nim", i poklask, jaki zyskał, tem raźniej go pobudził do „Quo Vadis". Romans ten to jedno z największych powodzeń, jakie zapisać może nie literatura polska, lecz literatura całego świata; sama Anglja i Ameryka spotrzebowały w parę lat dwa miljony egzemplarzów, we Francji

osiągnął Sienkiewicz w r. 1900 cyfry jakiemi ani Zola ani Ohnet poszczycić się nie mogli; tłumaczenia na trzydzieści kilka języków, próby udramatyzowania, włoskie i francuskie, goniły jedne drugie; typy, np. Petronjusza, stawały się przysłowiowemi na bulwarach paryskich, tak niechętnych wszystkiemu, co niema ich marki.

Na nowo powodzenie złożyły się prócz wartości samego dzieła i warunki zewnętrzne. Przyszło ono w momencie, kiedy publiczność znużyła się doszczętnie naturalistycznemi brutalnościami i psychologicznemi analizami, kiedy zapragnęła wielkich obrazów, porywających efektów, podniosłej myśli. Autor dostarczył jej tego, czego żądała; nie wytłumaczymy jednak powodzenia jego ani samą chęcią odmiany, niespodzianem zaskoczeniem, reakcyjnemi tendencjami; jak Trylogją krzepił Sienkiewicz serca ziomków, tak podawał teraz, w formie bardziej kunsztownej, niby w amforze o cudnych kształtach klasycznych, napój orzeźwiający dla wszystkich, którzy pragną zwycięstwa dobrego nad złem, sprawiedliwości nad uciskiem, miłości nad nienawiścią, bez względu na to, jakiej są narodowości czy wyznania.

Sztuka artysty dosięgła zenitu. Znowu imponowała nadzwyczajna łatwość i bujność tej niewyczerpanej wyobraźni; jeżeli myślisz, że niepodobna odmalować nowej orgji, wystawić nowych zapasów w cyrku, następne opisy przekonają cię, że niema nic niemożliwego dla Sienkiewicza-malarza. Przeciwstawia on Rzymowi Cezarów, okrutnemu i lubieżnemu, rozwiązłemu i cynicznemu, szalejącemu w zbytkach i ucisku, pijawce i pasorzytowi świata, Rzym podziemny, Rzym miłości bliźniego, gardzący światem i światowością, nieuznający niewolnictwa ani poniżenia kobiety, niebrzydzący się pracą ręczną, zapatrzony w życie przyszłe, głęboko wierzący, aż do ekstazy i mistycyzmu — rosę boską na spiekłe łono ludzkości.

Te przeciwieństwa wyraża cały romans i każda jego osobistość, i nabierają one krwi i ciała, jakich nie widzimy w licznych, słynnych powieściach Newmana czy Farrara. Najznakomitsze są owe dwie pary. Jedna uzmysłowia antyk, umierający w piękności: sybaryta, esteta, stoik, Petronjusz, *arbiter elegantiarum*, najbardziej wyrafinowany produkt kultury starożytnej, wraz z Euniką, upostaciowanym jej wdziękiem zmysłowym, tęskniącą do tego swego ideału męskiego, za nim bez wahania w ciemne wrota Hadesu zstępującą. Druga para to Winicjusz i Ligja; ona — urocza jasnowłosa Słowianka, z królewien północnych; on — Rzymianin srogi,

brutalny, ze zwierzęcemi, niskiemi, instynktami, nieumiejący, niechcący się hamować, przeobrażający się powoli pod wpływem nowej wiary; opadają zeń te chuci, instynkty, i wraz z oblubienicą dąży i tęskni do nadziemskich przestworów, zrezygnowany, pokorny, miłosierny, bo sam pragnący miłosierdzia.

Obok nich, cóż za galerja portretów, od Cezara, Poppei i Tigellina aż do najniższych tłumów, katów i niewolników. Oto Ursus, oddany królewnie swego rodu, broniący jej, jak niedźwiedź rozsrożony, najpierw przed chuciami Winicjusza, potem przed kopytami żubra — w niesłychanym, nadludzkim wysiłku, od którego cyrk oniemiał, oddech się zaparł, bijące serce rozpierało pierś. Oto chrześcijanin Glaukus, korny, litościwy, z przebaczeniem na ustach, nawet wtedy, gdy, zwisając, patrzy na sprawcę mąk okrutnych; jest i Crispus, który klnie z krzyża matkobójcę i prześladowcę spółwyznawców. To znowu ów Grek, potworny w swej podłości, szpieg, donosiciel, wszystko wiedzący, złośliwy, tchórzliwy, nikczemnik Chilon; i w nim odzywa się sumienie na widok owych nieszczęsnych; przypadnie do ziemi, posypując nią głowę, klnie Nerona i, z prześladowcy wyznawca i męczennik, przyjmuje chrzest na straszną śmierć. I tłoczą się obrazy ręki mistrzowskiej, coraz inne, kontrastem swym coraz bardziej wzruszające, i nie wiadomo co podziwiać, czy barwne szczegóły, rysy plastyczne, sposób wysłowienia charakterystyczny, typy przepyszne, czy wzniosłość idei, architektoniczną poprawność całości.

Z nadzwyczajną miłością i znawstwem wykończony jest właśnie świat gasnący, wdzięk i kultura antyku; Petronjusz i Eunice artystycznie bardziej pociągają, niż Winicjusz i Ligja. Sumienność historyka czy archeologa wprowadziła niektóre szczegóły zbytnie, podobnie jak już w Trylogji ustępował czasem poeta uczonemu; protestantów dotknęło boleśnie upośledzenie Pawła wobec Piotra. I myślał świat, że Sienkiewicz nie opuści tak rychło tych czasów i dziejów, że znęcą go Marek Aureli czy Juljan Apostata, że zapomni o swej Północy, o kraju Ligji i Ursusa. Ale Sienkiewicz nam zawsze gotował niespodzianki.

Wrócił do swoich, i znęciły go czasy naszego szarego jednostajnego średniowiecza, nieurozmaiconego podaniami, literaturą, sztuką, więc niemego — lecz czyż poeta nie jest czarnoksiężnikiem, który zaklętym przywróci moc słowa i ruchu? Nie zawahał się w wyborze tematu: pociągnął go najdramatyczniejszy ustęp z dziejów odwiecznych bojów między światem słowiańskim a ger-

mańskim, kiedy po jednej stronie ufność w dobrą sprawę, kipiączka sił młodych, gorące pragnienie odwetu, stanęły do boju z chęcią nowych grabieży, kiedy na polach grunwaldzkich rzucano kości, czyja lepsza. I znowu wybrał autor postacie, o których dzieje nic nie wiedzą, a które nam dziś stały się bardziej poufałe i bliskie, niż wszystkie rzeczywiste.

Temat leżał długo odłogiem; genjalny malarz uprzedził literaturę, gdzie chyba barwne dzieje Szajnochy uczyły o wielkim królu i większej królowej; powieść Kraszewskiego, mimo scen efektownych, nie zrobiła wrażenia. Trudności napotykał Sienkiewicz znaczne, inne, niż w utworach poprzednich. Dla Trylogji miał wszystko gotowe w swych źródłach, mógł pełną ręką czerpać ze spółczesnych; czytał ich listy, mowy, kazania; miał ich portrety, literackie i malarskie; miał gotowe „patrony", wedle nich kozacy gniewy Tuhaj Beja przedrzeźniali, albo sentymentalny Szkot ubóstwiał Krzysię. Podobnie z „Quo Vadis": o Petronjuszu mógł się pouczyć z własnego jego dzieła, o każdym innym z tysiącznych źródeł; jako źródła służyli mu Pasek i Horacy, Tacyt i kronikarze ukraińscy, apokalipsa i Morsztynowie. Teraz było inaczej: sztywna łacina Długosza zakrywała linje polskie pod gęstemi fałdami togi klasycznej, rzucała obce, nienaturalne światło na te posągi o średniowiecznej nieruchomości; brakło wszelkich źródeł w języku narodowym, pouczających o mowie i myśli ówczesnej — i te trudności przezwyciężył jednak Sienkiewicz.

Już w Trylogji triumfowało jego uzdolnienie językowe, zdolność wyrażania wszelkich cech i odcieni mowy ówczesnej, osiągnięta samym szykiem słów, doborem stosownym, acz miernym, słówek łacińskich, używaniem zwrotów i dawnych terminów. Najtrafniejsza intuicja zwróciła go teraz ku skarbom gwary ludowej, mianowicie zakopiańskiej, jaką oddawna podziwiał w ustach Sabały: przy nadzwyczajnym konserwatyzmie naszego języka mogła mu dzisiejsza gwara ludowa zastępować przeciętny typ językowy około r. 1400. Tak powstał język, którym nasi rozmawiają w „Krzyżakach". Ludzi tworzył autor na podobieństwo dawniejszych, znowu więc przeważa, jak w Trylogji i romansach spółczesnych, sama szlachta; Sienkiewicz przedstawia bohaterów jedynie z jej łona, wyjątkowo po komparsów skądinąd sięga. Większego uwzględnienia domagało się duchowieństwo średniowieczne; Sienkiewicz nie przedstawiał dotąd liczniejszych jego typów, w Trylogji występował tylko Kordecki w Częstochowie, natchniony i mistycznie wpa-

trzony w niebo; w innych jej częściach, może i z szkodą dla prawdy historycznej, nie wprowadzał duchownych ani w bitwach, ani w oblężeniach (prócz epizodycznego ks. Jaskulskiego, zerkającego w procesji z muru na lichą pukaninę kozacką).

W „Krzyżakach“ dopiero wystawił galerję znamiennych odcieni duchowieństwa średniowiecznego, począwszy od owego szlachcica-opata, gwałtownego, hulaszczego, otoczonego wagantami i jigrcami, ufnego w siłę i zasoby, składnego raczej do miecza, niźli do brewjarza; przez ks. Wyszonka, pokornego sługę Bożego, cichego, gorliwego w nabożeństwie, stroniącego od zgiełku i zabaw, nie od ludzi, pełniącego z przejęciem obowiązki kapłańskie, aż do soli ziemi naszej, do owego wizjonera i mistyka, Kaleba, płonącego w miłości nadziemskiej, poprzednika ks. Marka.

Mieszczanie i chłopi występują znowu przygodnie; na pierwszym planie rozpiera się szlachta polska, może nadto wyłącznie jak na wiek XIV. Ale znowu występuje nie właściwi jej przedstawiciele, magnaci mało- i wielkopolscy, którzy Węgierkę, Loisównę, utrzymali na tronie i wyswatali za Litwina, i Szkołę Główną dźwignąć pomogli, lecz ów drobiazg bezimienny, ci Gradowie i inni, niby poprzednicy późniejszych dopiero tłumów z Woli i rokoszów; możnaby nawet pytać, czy takie wysunięcie owego drobiazgu na pierwszy plan — dalecyśmy przecie od sejmikowania i warcholstwa późniejszego — nie narusza właściwej cechy tych czasów. Zato uchwycił autor nadzwyczaj trafnie znamienne rysy tej braci, jej głód ziemi i jej gotowość wojenną. Jesteśmy w samych początkach owego dziejowego procesu, który rycerzów przemienił we włodarzów, zbogacił szlachtę a Polskę zubożył; głód ten przybiera osobliwsze formy: ziemi jest jeszcze podostatkiem, raczej brak rąk do karczunku i uprawy; nie sama ziemia, lecz chłop osiadły i niewolny stanowią bogactwo pańskie. Tej kolonizacji i skrzętnej gospodarki pełen jest sam romans, i słyszymy niemal ów stuk nieustanny siekier, przetrzebiających odwieczne lasy, gotujących nowe sadyby, nowe gniazda dla coraz rozrastających się „gniazdowiców“.

Ziemia opiera się na rodach szlacheckich, więc obok dbałości o gniazda czuwanie nad rodem, by nie wygasł i nie sczezł, czujność napoły pogańska, jakby przodkowie wymagali koniecznie od potomków pieczy grobowej, jakby wygaśnięcie rodu dopiero całkowicie ich umarzało. Stąd więc ta obawa Grada Maćka o Zbyszka, bo na jego głowie polega ród, i wymieniłby on swą siwą za

tę młodą, jeśliby sędziowie dopuścili. Obok głodu ziemi i dbałości o ród popycha i pobudza żądza sławy, pojmowanej bardzo materjalnie w formie sutego obłowu, czy to drogich materyj, tkanin i złota zachodnich kupców, czy to rumaków, niewolników, broni, specjałów wschodnich. A z żądzą zdobyczy i sławy idzie nieodzownie w parze lekceważenie, pogarda śmierci: w przeddzień egzekucji rozmawiają najspokojniej Zbyszek i Maciek; Maciek chwali się, że kupił nowe sukno, że nie spadnie głowa Zbyszkowa tam, gdzie już mieszczańska spoczęła, i Zbyszek dziękuje mu za tę delikatność! Skorzy więc są do miecza, ale nietylko w zwadzie karczemnej, jak to później bywało, lecz i na granicach przeciw wrogowi, i, gdy się przebierze miarka cierpliwości, rozbrzmi Polska jednem „Na koń“ od końca do końca, i ze stu tysięcy ust wzniesie się do nieba „Bogurodzica-Dziewica“.

I znowu, jak „Ogniem i Mieczem“, nie przedstawiają „Krzyżacy“ tylko zbioru anegdot, epizodów i awantur średniowiecznych, jakieby równie dobrze lub jeszcze lepiej opisał Walter Scott, oparty o jeszcze głębsze studja archeologiczne, strzegący sie anachronizmów, jak ognia. Już sam tytuł nadaje całości tło i znaczenie, wyższe od wszelkich indywidualnych, przemijających przygód; takiż gwałtowny podmuch epicki, jak w „Ogniem i Mieczem“, porywa i tu wszystkich i pędzi ku ostatecznemu kresowi.

Osobistości historyczne występują tu jeszcze rzadziej i krócej, niż w Trylogji: Jadwiga sama, jak wizja niebiańska, na ciemnem tle tumu gotyckiego; sztuka artysty polega właśnie na tem, że w wyobraźni naszej, jak w Zbyszkowej, ta wizja się nie zaciera. Znowu imponuje nieskończony szereg postaci, tym razem bardziej jednostajnych, bez sprzeczności wszelkich, owych wielkich dzieci, ciekawych wszystkiego, co obce, jaskrawe, nowe, od powolnego, rozmyślnego, przebiegłego i nieubłaganego wkońcu Maćka aż do wybuchowego, nieposkromionego Zbyszka; do owego Juranda, właściwego bohatera duchowego tej epopei, z wrącego mściciela ciężkiej krzywdy, własnej i narodowej, przemieniającego się w apostoła miłości, utracającego z rozkazu nieludzkiego mnicha-rycerza wzrok doczesny, aby odzyskać nadziemski i z padołu tego dążyć do Jerozolimy niebiańskiej.

Obok Juranda jego Danusia, poezja wcielona ziemi polskiej, mistyczna, powiewna; sama przyroda, zdaje się, opłakuje jej zgon, i nie przeboleje jej Zbyszek; aleśmy nie w wieku sentymentów, więc rubaszniejsza Jagienka, nie cofając się przed niczem, nie traci

nadziei — przecież spółcześnie i kobietę-zbója powieszono, mimo płci i rodu szlachetnego — że wróci go ziemi i zdobędzie jego serce przez zmysły. Epizodów olśniewających, jak orgje Neronowe albo pożar Rzymu w „Quo Vadis“, nie mają „Krzyżacy“: ani czasy ani ludzie, ubodzy na duchu, silni na ciele, ani szare i ciemne strony północne po temu; nie zatrą się jednak w pamięci liczne sceny, pełne życia.

Sienkiewicz stanął u szczytu chwały, stał się ulubieńcem narodu, wdzięcznego za pokrzepianie serc, za roztaczanie wielkich obrazów chwały narodowej, za służbę obywatelską. Matejko prozy naszej dotarł do najdalszych, najbardziej zapomnianych kresów, na Śląsku nawet i w Prusiech, i w budzeniu ducha narodowego nowe pozyskał zasługi. Zasługi artysty uznała wdzięcznie i zagranica (akademja Nobla).

Wyżej czy dalej jednak Sienkiewicz już nie postąpił. Narzucono mu, wymuszono na nim jeszcze jednę powieść-chwałę, Odsiecz wiedeńską; ale jak w historji czyn sam mało owocował, spłacony niewdzięcznością, nieuznaniem, podobnie i w dziejach sztuki nigdzie się trwale nie zapisał, ani nawet i w twórczości Matejki. Zaczął Sienkiewicz nową trylogję, „Na Polu Chwały“; lecz wykonał tylko pierwszy jej epizod — króla żegnamy już w Krakowie, w pochodzie samym nie uczestniczymy. Wrażenia silniejszego już nie wywołał: powtarzają się ludzie i czasy z pierwszej Trylogji, nic nie zyskują na tem powtarzaniu. Są sceny efektowne ręką mistrzowską skreślone, z dawnym rozmachem; całość nie przykuwa wyobraźni; na bohaterów jej spoglądamy obojętniej; ani Quasimodo szlachecki ani polski Don Kiszot nie obudzili prawdziwego zajęcia. Podziwiamy łatwość tworzenia, bujność imaginacji, wprawę w wikłaniu i rozwikłaniu sytuacji, język niezrównany, ale nie odczuwamy ciepła serdecznego w kreacjach, owego porywającego wichru dziejowego; bardziej obojętni, przyglądamy się spokojnie malowniczym obrazkom, jakie roztacza kunszt autorski. Większy rozgłos, niż owa powieść, budziły wystąpienia autora w sprawach publicznych, szczęśliwe i mniej szczęśliwe; jubileusz jego pracy autorskiej był największym jego triumfem: w tym chórze uwielbienia nie było rozdźwięku.

Dał się jednak niebawem usłyszeć; podnosiła go nie sama zawiść zawodowa; odzywały się w młodszem pokoleniu literackiem i głosy krytyczne, chociaż przygłuszały je coraz namiętniejsze (jak to u nas!) i coraz niesprawiedliwsze zaczepki: gniewały „szla-

checkość", konserwatyzm, religijność, optymizm, powierzchowność, płytkość i chciano na gwałt obniżyć wielkiego pisarza, niewygodnego, bo protestującego i czynem t. j. własną twórczością, i słowem przeciw jednostronności nowej sztuki, przeciw „rui i porubstwu". Herostraci krytyczni obudzili w publiczności niesmak a autora, który przypisywał im zbytnie znaczenie, zniechęcali do pracy. Mimo to z nieudałych „Wirów" rewolucji 1905 r. przerzucił się znowu do przeszłości epickiej, do „Legjonów", ale i tego dzieła ze znakomitemi ustępami, zapowiadającego się dobrze, nie posunął daleko; sięgnął jeszcze pamięcią we wrażenia podróży i łowów po Afryce i napisał „W pustyni i puszczy", niby dla młodzieży, nadzwyczaj plastyczny i barwny obraz przyrody tropikalnej, z hazardami przepraw niebezpiecznych, pokonanych wytrwałością i męstwem. Pozostał w naszej wdzięcznej pamięci autorem Trylogji i pereł nowelistyki („Latarnik" i inne), o niezrównanej plastyce i barwności, o cudownej mocy wskrzeszania najciekawszych ludzi i czasów, stawiania wzorów charakteru i miłości ziemi i ludzi.

Dramat i powieść polska są między europejskiemi najmłodsze; bogatszego dramatu narodowego, mimo Słowackiego i Wyspiańskiego, nie posiadamy, ale powieścią wzbiliśmy się na same szczyty. Pełzała ona długo przyziemnie, jeszcze u Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Jeża, przeszczepiana z romansu francuskiego, Balzaca głównie, aby wytrącić z rąk rodaków obcą powieść, zastąpić ją własną, i nie wyzbywała się dydaktyki, z odautorskiemi uwagami, z najpospolitszą moralizacją. Wzniosła się nieskończenie, szczególnie w utworach Sienkiewiczowych, chociaż i im myśl służby obywatelskiej nie bywała zupełnie obcą; polot fantazji, wizje olbrzymie przeszłości, ruch epiczny, porywały czytelnika i twórcę. I on był realistą, jak cała nasza powieść przesiąkła realizmem, ale realizm realizmowi nie równy; od suchego, bladego protokołowania rzeczywistości, od fotografowania jej najstaranniejszego, od wszelkich małostkowości odbijał teraz przedziwny artyzm i rozmach potężny, które odrywały od deptaka powszedności, pokrzepiały serca, napawały je nową otuchą, podbijały fantazją.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

MŁODA POLSKA (1890–1914).

Symbolizm i nowy romantyzm w Europie i u nas.
Liryka — Przybyszewski — Wyspiański.

Gdyśmy zawsze jeszcze w najlepsze służyli realizmowi, choćby uszlachconemu sercem a roztęczonemu fantazją, przygotował się tymczasem w Europie, we Francji i Belgji, zasilany wpływami od północy, zupełny rozbrat z wszelkim pozytywizmem i realizmem w sztuce, nie w samem życiu, które podstaw raz uzyskanych już nie rzucało, owszem budowało na nich dalej — i zapowiadał się nowy przypływ romantyzmu. Wybredniejszych umysłów, chroniących się pospolitości, żądnych nowych wrażeń, nie mogło zaspokoić na trwałe przedstawianie prawdy banalnej, jednostajnej, zacieranie wszelkich porywów i wzlotów w dal i nieskończoność, ślęczenie i pełzanie w kolei codziennej śród oklepanych motywów i tematów, niezbyt urozmaicanych nawet wpływami dziedziczności i środowiska, miejsca, czasu. Zapowiadała się więc nowa, zwycięska reakcja uczucia, fantazji, artyzmu przeciw jednostronnemu panowaniu utylitaryzmu i doktrynaryzmu, oddającym sztukę na wyłączne służenie dosyć niskim celom i hasłom chwilowym, zapominającym o tem, że człowiek łaknie nietylko chleba, nietylko zmysłom się oddaje, nietylko zabawy szuka; że rzeczywistość sama nigdy go zupełnie nie zadowoli; że pod powłoką zewnętrzną, niby jedynie realną, doszukuje się treści i prawdy głębszej; że nęci go zaświat, że myśl jego ku niebu się wznosi i w otchłań opuszcza; że zbrzydnie mu wkońcu ta pańszczyzna, to chodzenie w jarzmie pospolitości. Od tej pospolitości odrywała się ponownie sztuka,

przypominała sobie własną niezawisłość, boski swój początek i w imię prawdy wyższej przeciwstawiała się realnej. Nie odrazu ani nie jednolitym trybem. Po drodze do nowej sztuki zbaczano na wszelakie manowce. Wypielęgnowano tak i dekadentyzm zniechęcenia, znużenia, rozczarowania, przeczenia, staczającego się aż do unicestwiania życia, do nirwany buddyjskiej; przerzucano się doń od innej ostateczności, od rozpętanej zmysłowości, od szału bakchicznego i erotycznego, od chuci nagiej i bezwstydnej; upojenie namiętnością, choćby najwyuzdańszą, gorycz przesytu, wyczerpania i niesmaku statecznie sobie wtórowały. Nęciło dalej wydanie wszelkich uczuć i obrazów w formie najstaranniejszej, najkunsztowniejszej; przodowali w tem uwielbianiu formy, w jej cyzelowaniu jeszcze parnasiści a wstępowali na ich miejsce ci, co oddawaliby we dźwięku i rytmie to, czego słowami wyrazić nie można.

Coraz donośniej powtarzano teraz hasło, tak z pozytywizmem niezgodne, sztuki dla sztuki, i odsuwano ją od wszelkiej służby obywatelskiej, od powszedniości i realizmu. Zamiast jego dotykalności upatrywano cel nowej sztuki w wywoływaniu nastrojów; wrażliwy czytelnik winien wlot chwytać natchnienie i zamiary autorskie, przejmować się niemi, snuć je dalej. Stąd owe przeczucia, owe tajemnicze głosy, gesty, postacie, budzące lęk trwożliwy jeszcze przed nadejściem katastrofy, szczególniej w dramacie modernistycznym. Inna znamienna cecha modernizmu to symbolizm — nie owa dawna płaska i płytka alegorja, chociaż i tą nie gardzono, ale owe fantastyczne, widmowe skróty myśli i obrazu, niepojęte nieraz dla czytelnika, może i dla autorów niejasne. Goniono przytem za efektem, za nowem wrażeniem i wyrażeniem, więc stawał się modny egzotyzm, sprowadzający barwy i kształty z najodleglejszych kątów świata, dziejów, gusł i przesądów, owo jakby popisywanie się erudycją, olśniewanie czytelnika najbardziej wyszukanemi środkami. Modernizm zajął zupełnie odmienne stanowisko wobec człowieka, narodu i przyrody, obce nietylko realizmowi, ale i dawnemu romantyzmowi. Romantyzm zwracał się stale ku nim, ależ jak często zadowalał się zewnętrznemi objawami, nie przenikał pokrywy czy skorupy, nie wznosił się nad ogólniki. Realizm rozszerzył nieskończenie kręgi spostrzegania i badania, ale ich znacznie nie pogłębił. Tego domagał się właśnie modernizm; to też od krajobrazów, ludzi, ludu dawnych romantyków i świeższych realistów odbijają jego krajobrazy, współzawodniczące z malarskiemi w oddawaniu wszelkich odcieni, jego ludzie, wystudjo-

wani naprzekór fizjologji i psychologji aż do najsubtelniejszych falowań myśli, czucia, woli, jego lud, kreślony nie wedle zdjęć fotograficznych, lecz niby od samego wnętrza.

Romantykom i realistom wystarczał też dawny zasób słów: Mickiewicz, Słowacki, Zaleski, ani Wiktor Hugo nie tworzyli żadnych nowych; moderniści dla oddania owych najdrobniejszych wrażeń i odczuć zbogacali słownik przestarzałemi czy prowincjonalnemi wyrazami, tworzyli własne nowe, a wymagali istotnie ludowych; Wyspiański chciał ustępy „chłopskie“ Balladyny tłumaczyć z języka Słowackiego na język właściwy. Rozluźniali zarazem wszelkie dawne formy, znosili wszelkie szranki w dziedzinie piękna, lubowali się w najfantastyczniejszych kombinacjach wiersza i prozy, dramatu i epiki, współzawodniczyli z muzyką; łączyli wszystkie sztuki za sobą.

Nowy ten kierunek i naszej poezji, Młodej Polski, objawiał się widoczniej już około r. 1890, a w pięć-sześć lat później stanął w całym rynsztunku do walki, przeciw krytykom, potępiającym wczambuł tę poezję, niemogącym jej odczuć; przeciw publiczności, odwykłej od wierszów; przeciw brakowi owej nici sympatji, jaka była dawniej, między ogółem, głuchym teraz dla poezji, a poezją, wzamian obojętną na pragnienia ogółu. Na jej pojawienie, cechy i losy złożyły się wpływy najrozmaitsze, rodzime, a jeszcze więcej obce.

Jak niegdyś barwny step ukraiński i ciche lasy i jeziora litewskie odrodziły poezję romantyczną, tak nową poezję ożywiły Tatry i sioła nasze, kujawskie czy krakowskie, i z ich dopiero pomocą stanęła ona na ziemi własnej — nowemu Anteuszowi przybywało nowych sił. Już Seweryn Goszczyński wierszem „Sobótki“ i prozą „Dziennika podróży do Tatrów“ zapoznawał z ich poezją i ludem, ale „tatromanja“ wybuchła dopiero w pół wieku później. Przyczyniali się do niej i lekarze, Chałubiński, szerzący w Warszawie kult Zakopanego; i krytycy-malarze, najbardziej cięty Stanisław Witkiewicz, słowem i ilustracjami swego dzieła „Na Przełęczy“, energiczną propagandą stylu i zdobnictwa „zakopiańskiego“ (razem z Matlakowskim); znaleźli się i entuzjaści, którzy z zakopiańskiego stylu wyprowadzali osobny styl polski, narzucając go nawet sukniom damskim; sprawę Morskiego Oka rozdmuchano w r. 1902 do niebywałych rozmiarów.

W tatromanji przodowała poezja. Hasło dał cykl Asnyka, „W Tatrach“ (r. 1879), zapomniano bowiem rzeczy Steczyńskiego,

Maniewskiego i jeszcze dawniejsze innych, chociaż właściwych opisów przyrody i wrażeń tatrzańskich w sonetach i wierszach jego mało, chociaż przeważały roztrząsania filozoficzne i alegorje: poczucie kojące łączności z ziemią ojczystą, gojącą dobrotliwie rany, spędzającą z duszy palący ból życia, mającą dla swoich dzieci zawsze oblicze miłością promienne; albo zanurzanie się w źródle wiecznie żywem, poruszającem wielkie koło bytu; uznanie się jednem ogniwem łańcucha, rozciągniętego przez otchłań błękitu. Za Asnykiem Konopnicka odnalazła „W Górach“ swój talent, chociaż całkiem jeszcze zamknięty w retoryce.

Wyżej stanął Franciszek H. Nowicki, w „Tatrach“ (1886) naśladując i współzawodnicząc z „Sonetami Krymskiemi“, wyolbrzymiając, jak i Mickiewicz czynił, wrażenia i obrazy przyrody, splatając z niemi rzeczy uczucia i myśli; sonet, poświęcony Siklawie, kończył:

Siklawo! ty, huk gromom wyrwawszy zuchwale,
Wiecznie w jednę głębinę staczasz się kipiąca,
Gdy rozbijasz wyjące z rozpaczy swe fale.

Tęsknoto! ty, żrąc ogniem, skradzionym u słońca,
Wiecznie strącasz łzy moje w jednę głąb bez końca,
Gdzie na nutę odwieczną serce płacze żale.

I on ma nieodstępnego „towarzysza podróży“, ból swój, goniący za nim w swobodę gór; o społeczeństwie i tu nie zapomina, nie skąpi mu jędrnych a gromkich słów, imponując między młodymi siłą wyrażenia; umilkł jednak rychło i na zawsze. Za Nowickim staje cały legjon innych: Kazimierz Tetmajer, Podhalanin, od młodości zapatrzony w Tatry, wznawiający tradycje dziada, Rydel, Kasprowicz; jak o ukraińskiej czy litewskiej, tak możemy mówić o szkole tatrzańskiej. Całkowicie do niej należy syn tej ziemi, malowniczej a twardej i niewdzięcznej, Władysław Orkan, (Smreczyński), liryk, dramatyk i nowelista, niewahający się przemawiać w malowniczem, charakterystycznem narzeczu wirchów i turni, gdzie „śmierć“ głodowa czyha na ludzi, gdzie bohaterom jego („Komornicy“; „W Roztokach“) tylko „sczeznąć“ przyjdzie. Minęły dobre czasy — my ich nie zaznali — słonko jaśniej świeciło, chleb się ludziom darzył, teraz ucisk i nędza; rozpaczliwe ich obrazy znajdziemy i w jego powieściach, odsłaniających „nagą duszę“ chłopską, i w dramacie „Skapany świat“, o macosze i pasierbach, o nieszczęsnem weselisku i zachłanności okrutnej. Zżył się Orkan z jałową, skamieniałą ziemią tą i z szarym jej ludem, nie oszczędza nam żadnego jej smutku i żalu, przygnębia nas tą

masą cichych cierpień, jakich świadkami są te skały nieużyte, odtwarzając z wielką siłą i plastycznością nie sielanki, lecz same katastrofy, jak to gazdowie-kapitaliści wyzyskują ostatnich biedaków-komorników. Nie zadowolił się wkońcu kreśleniem nędzy dzisiejszej i sięgał w znakomitej epopei prozą „Drzewiej“ (dawniej) w r. 1912, do prawieku jej napoły mitycznego i wywiódł na pysznem tle przyrody dzikiej, pierwotnej, równie dzikich, pierwotnych bohaterów w walce o kobietę-siostrę. Stopka, etnograf Podhala, biograf niezapomnianego Sabały, Homera-Zagłoby tych gór, powtarza pysznym językiem klechdy Sabały i anegdoty tych stron; Józef Jedlicz w nowelach i lirykach służy im gorliwie.

Lecz nie od Tatr tylko, i od równin, od Krzemionek i Bronowic, od Gopła i Wisły, motywy ludowe — ale cóż, motywy raczej sam język, myśl i instynkt chłopski, jaskrawa barwność krakowszczyzny, smętność cichych wielkopolskich łanów, mazowieckich lasów poszumy przepoiły czy przewiały lirykę nową, a jeszcze bardziej nowy dramat i powieść.

Lud odgrywa teraz rolę, jakiej literatura dawniejsza, choćby Lenartowicza, zupełnie nie znała; już Konopnicka pożegnała się z marami sielankowemi, wiecznie uśmiechniętemi: może nawet nadto jednostronnie tylko czarną dolę tego ludu wyśpiewała; teraz do literatury wkracza lud, jaki jest, niedzielno-barwny i codziennoszary, rolny i fabryczny, zamożny i nędzarz, z własną mową i myślą, ze łzami i uśmiechem, tradycjami i nadziejami, przymiotami i przywarami. I uludowia się poezja niesłychanie głębiej, niż to dawniej bywało, i brata się istotnie z najmłodszymi i najstarszymi, z ostojami narodu, z widoczną jego przyszłością, kiedy z pola „uszli magnaci, szlachta i mieszczanie“.

Ludowa nuta jednak nie jest wyłączna w tej poezji i nie zlewały się z nią inne w pożądany akord. Górował ponownie nieco zbyt podszarzany pesymizm, ów dawny wyjałowiony z romantyzmu, schodzący od miotań bezsilnych, rozpaczliwych, do rezygnacji, do unicestwienia; rzucający odwieczne zagadnienia na wiatr, zrzekający się ideałów, bluźniący im lub szydzący. Tylko skok jeden dzieli ten pesymizm od zmysłowości: pogrążyć się w niej, zapomnieć dla niej o bożym świecie, żyć a raczej gnić dla niej, skoro niema innych rozkoszy — to nęci młodych, siłą się więc na sofistyczne jej obrony i przesadzają w wyrafinowaniu jej obrazów. Erotyzm dźwięczy tu aż nadto natrętnie, więc wkońcu przykro; instynkt, pociąg, namiętność przerodziły się w szał, wyuzda-

nie, chorobliwą manję;. we śnie i na jawie trapi ta zmora niejednego z poetów, zawładnęła wyobraźnią i uczuciami i, jak nałogowiec do wódki, wraca poeta taki do „kobiety“ i wmawia w siebie, słabość woli maskując, jakiś fatalizm erotyczny, jakąś nienawiść żywiołową obu płci, jakieś rozdarcie pierwotnej androgyny i nieziszczalne, zawsze daremne pragnienie złączenia się napowrót. W ten sposób wymysł Platona w krew i ciało przyoblekając, zwodząc głupich i maluczkich, idących naiwnie na ten lep, szerzy literatura kult chorobliwy samej choroby, gardząc zdrowiem ducha i ciała.

Inne tory prowadzą od pesymizmu do marzeń, do umyślnego rozpajania się ich haszyszem, do odtrącania gniewnego rzeczywistości; z rozkoszą odbijają marzyciele od jej brzegów i krążą po morzu, omijając przystanie lub odbywając nadgwiezdne noclegi. Albo uprawiają poezję refleksyjną, filozoficzną, chociaż unikają tendencyjnej, zdyskredytowanej — czy na zawsze? I coraz częściej hołdują sztuce dla sztuki, i fala powracająca — jak dalekośmy od piasków pozytywizmu! — porywa ich na morze pięknej formy, choćby... bez istotnej treści.

W tym rozgardjaszu — a namnożyło się u nas poetów o wiele więcej, niż w sąsiedztwie, gdzie coraz mniej poetów, pisujących tylko poezje, nie dramaty lub powieści, — odzywają się wszystkie możliwe tony; brak wybitnego zwrotu ku religijności; to co u nas przybiera pozory religijne, legendy czy *Dies irae,* od każdej prawowierności dalekie i rezolutnie nie Bogu lecz grzechom się kłania, wywołując ów dawny satanizm (lucyfer - zło triumfuje nad dobrem; on tylko życiem, myślą, ruchem, postępem, walką) i uwielbienie grzechów, jakiemu jeszcze w XVI wieku włoscy sektanci i u nas się oddawali — ale nie w wierszach.

Coraz częściej też szerzą się symbole i alegorje tej poezji. Sztuka, w szkole niedawnego naturalizmu zbyt wychłodzona i wyschła, pchnęła się odruchową siłą kontrastu w nierealność; realizm zbytni, jednostronny wywołał dążenia zaświatowe, mistyczne; rzucają więc poeci wiotkie mosty nad przepaście, łączą brzegi dwóch światów, naszego i nieziemskiego, duchowego, astralnego; pogłębia się niezmiernie sztuka, lecz... ulatnia się treść; chcąc oddać słowami i barwami to, co chyba dźwiękiem napomknąćby można, zacierają wszelkie granice wyrażalnego. Nie wystarczają im więc słowa i rysy, jasne, określone; wolą rozlewność, mglistość wyrazu i obrazu; słowem, jak muzyką, budzą raczej nastroje, wy-

magają od słuchacza dosnucia, dośpiewu, i poezja traci obowiązującą niegdyś jasność, dostępność, przestaje być udziałem ubogich na duchu, staje się ezoteryczną, nie dla profanów, lecz dla adeptów kabały poetyckiej.

Rwą więc stare formy, sadzą się na dziwaczne sploty wyrazów, wyginają zwrotki w niemożliwe, pozbawione rytmu układy i rzucają wkońcu wiersz dla jakiejś prozy miarowej. Prostota i naturalność ulatują z tych wierszów — przeładowane myślą, niewyrażające jej, a częściej bezmyślne, chociaż udające myśl, każą się podziwiać, jak obrazy „secesji“ lub jej ornamenty, gdzie dziwaczność nieraz bywa jedyną zasługą.

Związek między sztukami pięknemi stał się widoczniejszy, niż kiedykolwiek; przy wierszu Kasprowicza i rzeźbie Flauma, przy obrazie Okunia i halucynacji Przybyszewskiego pytamy mimowoli, czy zapożyczyli jeden od drugiego pomysłu czy też bezwiednie zetknęli się w jednym pomyśle? Różnica między secesjonistą a sztukmistrzem słowa polega raczej na tem, że ów techniki swej poprostu nie opanował, nie zgłębiwszy jej tajemnic, że pomysł dobry w szkicu w wykonaniu tylko zmitrężył, gdy ten błyszczy właśnie techniką, wykończeniem swoich cacek. Od Wagnera i muzyki znowu przyjęło się powtarzanie niby „leitmotiwu“: dla uwydatnienia i wzmacnienia nastroju powtarzają ciągle zdanie czy wiersz, nieraz bez wszelkiej potrzeby, nieraz z lekką odmianą; to nęcą zabawki aliteracji; to urywają się słowa — niby trącanie zlekka w struny. Granice między zmysłami się znoszą, barwy dźwięczą, sennie lub krzykliwie; głos mięknie i zgrzyta, zapach trafia słuch. Szafuje się bez wyboru kaskadami światła, falami dźwięków, splotami ciał, orgjami barw i kształtów; potworne wizje, obrazy przerażające odejmują sen filistrom.

Widzimy coraz nowe wyrafinowanie sztuki, doszukiwanie się bogatych, niezwykłych rymów, najmisterniejsze układy zwrotek, przepych słów, unikanie płaskich, zwykłych, tworzenie nowych, wyławianie starych i gwarowych. Rosną wymagania myśli coraz odmiennej i wzbogaca się forma i język. Obok ubóstwiania przyrody-wszechmatki, prałona, z którego wychodzimy, aby w niem się znowu unicestwić, obok panteistycznych zakusów, obok nuty ludowej, coraz silniej dźwięczącej, obok molocha erotyzmu, pożerającego swoich czcicieli — staje poezja filozoficzna, alegoryczna, symboliczna; poezja marzeń, przeczuć i nastrojów, oddźwięków; poezja, bujająca po mitach indyjskich i egipskich, po zaświatach,

w prabycie, fantastyczna, mglista, przesadna. Nie zapiera się ona poetycznej, idealnej tęsknoty, lecz góruje w niej jałowy smutek, gorzki ból, nadmiar cierpienia i przypominają się nieraz zjadliwe słowa Morawskiego w liście do romantyków z r. 1827. Lecz oto umieją wyzwolić się z tego poeci w imię mocy, snów o potędze, w zapasach tytanicznych nadludzi i hegemonów; nowi ci zbawcy-wieszcze odmienni są jednak zupełnie od tytanów mesjanizmu. Egotyzm, odnoszenie wszystkiego do siebie wyłącznie, wypowiadane jawnie lub tające się skrycie, staje się główną ich sprężyną; jednostka nie chce słyszeć o społeczeństwie, a raczej o zjadaczach chleba, przeaniela się sama, zamiast cierpienia za miljony lub ich ukochania odpycha je od siebie, przedrzeźniając Nietzschego, dumna z cech antyspołecznych.

Ekonomji nie zachowuje żadnej, szafując rozrzutnie bogactwami; gdy spotykamy strofę (u Staffa):

> Morze rozpęka rozziewem zachłannym,
> Grzmi rozpęd wichrów w fal podniebne skoki,
> Pięści bałwanów zamachem orkannym
> Druzgocą w wodzie odbite obłoki,

nie przypuszczamy, że tu tylko mowa o „odjeździe w marzenie", z papierosem w ustach, na sofie. Przesada ta razi, ogłuszają te fanfary (np. w strofach kunsztownych „D-moll") o rzeczach marnych. Nie zachowuje się miary nawet w języku: chwali się tej poezji sięganie do gwar i starożytności, współzawodniczenie niby z Matlakowskim, którego proza nabrzmiała niezwykłościami, ale zgadzając się na *wirchy* i *turnie*, na *swarnych* i *żleby*, nie rozumiemy, dlaczego *płomię* miałoby być lepsze, niż *płomień*, a *haście*, niż *chaszcze?* Wcale nie rozumiemy już takiego wiersza: a po brózdach czarnych wszerz przez *ugorny drętwy ścież* śmierć wędruje do ogniska (z „Opali" Edmy Mierz); z *drętwym* spotykamy się często, a wyrób to — Jacka Przybylskiego! W prozie znowu szafują, Kisielewski albo Nowaczyński, tylu nowotworami i słowami obcemi, na polską miarkę przykrajanemi, że wychodzą nieraz dziwolągi, styl jakiś całkiem „précieux", nienaturalny, wymuszony.

Imponuje jednak liczba i siła tych talentów i nie wątpimy o szczerości natchnień i prawdzie wynurzań tej poezji. Męty opadają; płaczliwy pesymizm milknie, kwasy zwątpienia, zgorzkniałości, rozczarowania przed użyciem jeszcze, sceptycyzmu przed życiem, ulatniają się; pragnienie siły, czynu, nowej syntezy, po

orgjach zbytniej analizy, niedowierzającej niczemu i nikomu, wytwarza się coraz dobitniej; opary błota zmysłowego wiatr halny zdmuchnął; a to, co się wyłania, widzimy z sonetu Staffa:

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykuwać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne — serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieodporne,
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne.

Bo lepiej giń, zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

Nie są to marne frazesy, a chociaż melancholja i smutek nie wypuszczają swych ofiar, chociaż oczy błądzą po bezbrzeżnej pustce w dali milczącej, modro-sinej, przybiliśmy już do nowego lądu, przemawia do nas już nie dusza, co „jest z operetki arją, którą śpiewa człowiek cierpiący na zęby“ (Wł. Perzyński), ani „suchotniczy anemji czar, co stopą senną depce łąki zielone w żywicznej ustroni“, ani „oczy moje, jak lustra, dziwnie obojętne na wszystko, co zoczywszy odbiją w swej toni“ (Jan Pietrzycki) — to raczej sztuka zdrowa i rodzima, o formach doskonałych, o języku cudownym, jak blednieje język nawet Asnyka wobec byle którego z naszych „dekadentów“!

Nowe te prądy pochodzą nietylko z wirchów i lasów, zawiały one do nas i z obcych sfer i stref. Wyprzedzili nas Francuzi i Belgowie; ich parnasiści i symboliści, dekadenci i mistycy, Baudelaire, Verlaine, Maeterlinck i Anglik O. Wilde; przyłączyły się nuty północne, Strindberga Spowiedź Głupca, pomruki muzy niemieckiej i przechwałki Nietzschego, burzliwe protesty nihilizmu, przez Tołstoja czy przez Krapotkina wzniecane.

Jak nad początkami romantyzmu naszego panowali Schiller i Goethe, Herder i Jean Paul, Szekspir i Byron, tak i dzisiejsi adepci Młodej Polski od Francuzów i Germanów wywodzą myśli i formy, symbole i natchnienia, i nigdy nie było większej spójni,

łączności duchowej, między polskim a obcym światem umysłowym; nigdy nie przyswajaliśmy sobie tak gorliwie ani z taką sztuką płodów obcego piśmiennictwa, jak dziś. W dziełach Miriama, Kasprowicza, Langego, tłumaczenia z francuskiego, czeskiego (Zeyera, Vrchlickiego), duńskiego, holenderskiego są liczniejsze niż własne utwory; od studjum nad Maeterlinckiem i Belgami rozpoczął Miriam teoretyczną kampanję, skuteczniejszą, niż jego publicystyczna w „Życiu“ warszawskiem. „Młoda Polska“ wytworzyła sobie organy specjalne; warszawskie „Życie“ Miriama odżyło w krakowskiem „Życiu“ Szczepańskiego i Przybyszewskiego, w „Krytyce“ Feldmana, przeniosło się potem do „Chimery“ warszawskiej Przesmyckiego (Miriama), arystokratycznej, artystycznej, ezoterycznej, szatą i treścią. Liczba jej adeptów rosła; dosięgli do „połowy wielkiego sta“ czyli do kopy i w tłumie tym, nieraz bardzo jednolitym, śpiewającym na jeden ton, powtarzającym siebie samych, drukującym nadzwyczajnie wiele z nadzwyczajnym pośpiechem, żeby nic z nastroju nie uronić, trudno się dokładnie rozejrzeć, uchwycić rysy indywidualne, nie mieszać *Qui Amant* z *Anima lachrimans*, jednego *Dies Irae* z drugim, Chrystusa z Legendami, Rokitę z Borutą czy Arfem. Nie brak kobiet; po rychłym zgonie Kazimiery Zawistowskiej, „A. M-ski“ t. j. Zofja Trzeszczkowska w dalekiem ustroniu białoruskiem, odzywająca się rzadko, ale rzewnie, tłumaczka „Luzjad“ i innych rzeczy; „D-moll“ (Maryla Wolska) w pięknych, nieraz zbyt rozśpiewanych strofach, wierszem i prozą, oddaje z silną obrazowością wrażenia z dziejów (Kleopatra), z przyrody i z życia duszy-mimozy, tęsknotę za czemś nieziemskiem, niejasnem, za światłem i ideałem; dalej pisuje egzaltowana nadto Komornicka, Arnszteinowa, Ostrowska, (Edma Mierz), tonąca w wizjach i mrokach „Opali“, i inne.

Niepodobna odmówić zasług „Młodej Polsce“; pomijamy pierwszorzędne jej siły, w dziejach literatury uwiecznione; fakty świadczą, że przełamała obojętność publiczności, że zrehabilitowała poezję, podniosła smak czytających, wstrząsnęła nimi, że poruszała nowe zagadnienia, próbowała nowych form, odświeżyła język: wszak i z języka Mickiewicza natrząsali się niegdyś klasycy, łając od pińczuków i barbarzyńców i tylko samych siebie na wieki ośmieszając; że nie stało się to z niejednym Zoilem „Młodej Polski“, zawdzięczał on tylko krótkiej pamięci naszego, chyżo naprzód pędzącego czasu.

Jeśliby nic innego nie zdziałali, już za to się im należy wdzięcz-

ność i uznanie; skarg na niezrozumiałość*), na uchylanie się od haseł społecznych i pracy organicznej, na naśladownictwo obcych, na orgje zmysłowe i rozpaczliwy pesymizm, na powtarzanie się i przesadę, czasem i częściowo słusznych, uogólniać się nie godzi. Nigdy nie zapomnimy, że to oni odwojowali dziedzinę poezji, że odwiązali ją od pręgierza tendencji, od katechizmu życiowego dla *vulgus profanum*, że oddali ją sztuce.

Na czele siłą talentu szczerością uczucia i gwałtownością skarg staje Jan Kasprowicz. Czas jakiś zdawało się, że to „ludowiec", że wspomnień skarbem bogatym są dla niego:

szare chaty, nędzne chłopskie chaty!
jak się z wami zrosło moje życie,
jak wy proste, jak wy bez rozkoszy!

W liryki, wiersze epiczne, skoro nazwiska ballad już się nie godzi używać („Z chłopskiego zagonu" i dodane do „Anima lachrymans"), w dramaty wnosił zawsze to, co wynosił „Z Chałupy". Jego „Świat się kończy" to sukces naturalizmu czy weryzmu polskiego ze wsi wielkopolskiej, gdzie słabość Mięty, nędza Cierpika, lichwa Wróbla, porywczość Walka splotły się w taki węzeł, że rozerwać go można tylko mordami i samobójstwami.

Do motywów wielkopolskich przybyły tatrzańskie w „Tańcu zbójnickim", niby apoteozie Janosika, tatrzańskiego Dobosza; w dramacie historycznym „Bunt Napierskiego", gdzie najlepiej udały się burzliwe narady i kłótnie gazdów i baców, gdy główna figura zbyt chwiejna i zbyt mało wpływa na bieg akcji. Ale nie wytrwał Kasprowicz przy ludzie i pracy społecznej u podstaw; nauczył się rychło cenić tylko tę poezję, która o absolut zarywa, i pożegnał nie na żarty tłum:

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie...
Przyszedłeś ku mnie ty, płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemiężcom złorzeczy:
Ty wrogu ducha, stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy,

i ulatywała od niego poezja jego tam, gdzie:

---

*) Jeszcze M. Zdziechowski pisał w r. 1897 o Norwidzie, do którego się Młoda Polska przyznaje, „pomimo najszczerszej chęci nie byłem w stanie zrozumieć, więc pisać o nim nie mogę". Stało się, jak z Mickiewiczem, „nierozumianym niegdyś a dziś go każde dziecko rozumie" — twierdził słusznie swego czasu Krasiński.

myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
czystość poświęceń, rycerskie porywy,
modły zachwytne...

a drogę wskazywała mu Miłość, lecz nie idealna, spokojna, zrównoważona, lecz walka niecna, szamotanie się namiętne, a daremne, daremny protest:

jakto? nad wszystko, co duch czysty spłodził,
i co się stało dążeniem szermierzy,
maż być silniejszym ów symbol słabości,
Kobieta?

i miłość ta, zmysłowa, lubieżna, trapi go odtąd, jak zmora, wciska się wszystkiemi porami nawet w poematy religijne. Bo i tematy religijne wcześnie opracowywał. W tercynach „Chrystusa“ występował jeszcze z nastrojem społecznym, z tłustymi fabrykantami i bankierami i z głodnymi najmitami; dla bluźnierczego tonu miecz prokuratorski spadł na to dzieło, i słusznie, jeżeli bezbrzeżny smutek i nadmiar litości stanowią bluźnierstwo a wymowa rozkrwawionego serca jest paszkwilem. Do działu poezji religijnej należą głównie: „Moja Pieśń Wieczorna“ (zawierająca, prócz „Pieśni“, sceny dialogowane „Na wzgórzu Śmierci“, „Dies Irae“, „Salomę“) i „Salve Regina“ (z „Hymnem św. Franciszka z Asyżu“, „Judaszem“ i „Marją Egipcjanką“). Na Golgocie Kasprowicza uchodzą jednak Alethej i Szymon z Kyreny przed głosem rozpaczy Zbawiciela — straszny to głos, w mej duszy ciemno i straszno; „Dusza wygnana z raju“ po chwilowem wahaniu wraca do Lucyfera, by spłonąć przy jego całunkach, nieśmiertelności zadać kłam w rozkoszy i błagać go namiętnie:

Powróć, zwycięski panie, ze swym promieniem,
Który mi jednem świeci przeświadczeniem...
Że w życia odmęty
Synowie boży nie wniosą spokoju,
Że nie przekształcą kałuży
W czyste, krwią grzechu nieskalane rzeki!

Na tę samą nutę nastrojona jest ponura „Pieśń Wieczorna“, wzywająca kary za naszą winę, że „dawno już przeszedł czas, gdzie miłość i spokój nie były ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennem, ślepem przerażeniem“; „Święty Boże Święty Mocny“ kończy u stóp Szatana, nie Boga, upajającego się wielkością stworzenia, gdy pośród nas tu głód i mór i zniszczeń dymiące dni. I szalona wizja „Dies Irae“ zna tylko jedno ukojenie: na wszystko mrok nicości nieprzebyty spłynął.

Najwyuzdańszym szałem namiętności unosi się „Salome“ nad głową ściętego i, inaczej niż u Wilde'a, miota nią jedno ostre uczucie i burzy jej krew do żaru. Nawet św. Franciszka niepokoją lubieżne mary; nawet Marji Egipcjance „szczęściem warga się śmieje, scałuj te szczęście najprędzej“, choć ją wzgardzone łzy dławią i srom się za nią wlecze, ale, nim u stóp krzyża złoży to brzemię, nadto wielkie na jedno serce człowiecze, głuszy śpiew jej „hymn najwspanialszy, który cnotę zrównywa z grzechem — on cudotwórczy hymn Śmierci“. Dalecyśmy od wszelkiej prawowierności; Syn Ziemi staje się Synem Grzechu, Bolu i Rozpaczy; rzuca „Ginącemu światu“ w oczy zgrzyty swej hardej dumy i nieukojonej rozpaczy.

Uczucia, targające piersią, umie poeta wyrazami, pełnemi zgrozy, jakiejś dzikiej, żywiołowej muzyki, przelewać w serca słuchaczów; jego wizje trwożą, a słowa żrą i palą; przerażeni, zakrywamy głowę przed temi ciosami, przed żarem tych skarg i wyrzutów. Jednego nie użyczyły mu muzy, a mianowicie powabu i wdzięku; surowe, ostre, chropawe tony dobywa on ze swej liry, niby z piersi pierwotnego człowieka, buntującego się przeciw wszystkim konwenansom i fałszom. Talent jego próbuje coraz nowych dróg; w Uczcie Herodjady, replice do Salomy, pokusił się znowu o stworzenie dramatu — nie bez scen bardzo efektownych; sam tylko temat, z „zapaszkiem“, te wszystkie Salomy w malowidłach, posągach, operach i dramatach, obrzydły nam gruntownie; czyż innych tematów na świecie nie było? Ale spiritus flat ubi vult. Próbował i nastrojów prozą, świetnych, gdy poetycznie patrzy na świat, ciężkich, gdy szydzi z „mydlarzy“ — humor nie jest mu właściwy. W wierszach „Księgi Ubogich“ (1916) poznajemy innego Kasprowicza: zrównoważonego, cichego, ogarniającego ciepłem słowem maluczkich i przeubogich, silącego się na prostotę, odsłaniającego znowu głębię religijnego nastroju, wyróżniającego go wśród całej Młodej Polski. Niestrudzony to zarazem tłumacz.

Czego losy odmówiły Kasprowiczowi, tem obdarzyły **Kazimierza Tetmajera**, podbijającego powabem, wdziękiem, czarem formy, nadużywającego może tej władzy i pieszczącego się własnemi słowami; syn gorzkiego pesymizmu, piewca hymnu do Nirwany, z „bezbrzeżnego“ pesymizmu „bezdeni“ rzucał się w wir zmysłowości i albo nie mógł się nasycić opiewaniem piękności nagich ud, albo oddawał się marzeniom. Więc „melancholja, tęsknota,

smutek, zniechęcenie są treścią mojej duszy"; i w Tatry ulubione dąży za nim „błękitne zadumanie" i przeczy możliwości szczęścia:

Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
Tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,
Nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył;

ironja, klątwa poety, klęska jego żywota, psuje każde uczucie, i nic go z niej nigdy nie wyrwie. Odurza się na chwilę szałem zmysłowym, jak jego Faun, ścigacz smukłokształtnych ud, ścigacz nimf nagich, zwykły pić rozkosz z ich ciał, jak wino z czar; śpiewa więc Hymn do miłości, która jest szczęściem szczęścia, poręczą, mostem, lekarstwem, zbawczynią ludzi; lecz na dnie tej czary miłosnej chyba są jakieś męty, bo odwraca się i poeta i Faun jego do najczystszej z czystych, do jasnoczołej pani ros, która przez świat przeszła, by zostawić mu tęsknotę nadziemskiego snu.

Tu uduchowienie, opuszczenie błota zmysłowego, stanowi znamię późniejszych jego poezyj; zaprzątają go teraz inne wizje, kraina Ciszy, Przestrzeni i Światła, widziana kiedyś we śnie, i wznosi z błaganiem ręce: wiedźcie mą duszę, gdzie jest milczenie ciche, wielkie, gdzie jest spokojnie; poeta wierzy w byt przyszły, w nieśmiertelność duszy: zło życia w nim obudza tę wiarę, jak w Zagórskim. W fantazji lirycznej „Qui amant" traci teraz jego cudna pani i jej otoczenie wszelkie wyraźne kształty i rysy, rozwiewna, eteryczna.

Natchnienie Tetmajera nie kończy się jednak na egotyzmie; pomijamy utwory młodzieńcze, z nutą społeczną i patrjotyczną, odbijające gromko od nirwany i buddyzmu; należy się zato wzmianka próbom powieściowym i dramatycznym. Nowela o „Księdzu Piotrze", obrazek słoneczny, szczeropolski, chwyta za serce; „Otchłań", spowiedź gorącej miłości, szalejącej z bolu zazdrości i pełnej wątpliwości rezygnacji, pisana prozą, prosi się o wiersz; mniej udatne są rzeczy większe, „Anioł Śmierci" i „Zatracenie", romanse o artyście Rdzawiczu, podbójcy serc niewieścich, kończącym samobójstwem, którego erotomanję widzimy i oceniamy, tylko nie wierzymy jakoś w jego sztukę, mimo zapewnień autorskich, i w jej wieniec cierniowy, wplatany w jego skronie; dalej „Panna Mery", romans, coś z czasów Indjany i Consuelo, wyborny w rysach satyrycznych, w aforyzmach mechesa Hammerszlaga. Obok powieści spółczesnych z przesadnemi nieraz karykaturami, nie ludźmi, dał się wkońcu porwać kultem bohaterów i stworzył cykl Napoleońskiej legendy z Poniatowskim i Elsterą: Koniec epopei

w czterech częściach, 1913—1916. Próbował sił i w utworach scenicznych; w „Sfinksie“ hołdował dreszczom i nastrojom Maeterlinckowym, w „Zawiszy Czarnym“ kusił się o dramat historyczny, w którym osiągnął jeszcze mniejsze powodzenie, niż w romansie. Liryczne partje dramatu są piękne, szczególniej wyraził wymownie miłość do ojczyzny, zbudzoną niby nagle dotknięciem się jej ziemi, i sceny góralskie; osoby zaś główne, swoje i obce, są nie z XIV czy XV wieku, lecz modne z modnemi zwrotami, nerwozą i erotomanją; akcja słaba.

Perłami całej twórczości Tetmajera pozostaną szkice i nowele górskie („Na Skalnem Podhalu“, serji pięć 1903—1914); oczarowany bajecznym światem Tatr, ich ludem, osmaganym wiatrami halnemi, wyskwarzonym na słońcu, ze zbójnicką żyłką, odtwarza Tetmajer z niekłamanym zachwytem i znawstwem głębokiem ten lud pierwotny, nieugięty, namiętny, naśladując nawet swobodnie narzecze z owych „wirchów i perci“ — ku zgrozie recenzentów, niewiedzących chyba, że i Niemcy, Francuzi nawet, nie inaczej postępują (Reuter i t. d.). W wypadkach politycznych 1905 r. odnalazł poeta drogę do młodzieńczej poezji społecznej — w dramacie „Rewolucja“, w „Poezjach współczesnych“ na ołtarzu wolności składając ofiary.

Drugi Krakowianin, **Lucjan Rydel**, nie wnosił w lirykę silnej nuty osobistej; misterna technika i wysłowienie czyniły z niego raczej parnasistę, autora wierszów o formie nieskazitelnej. Zato treść ich nie odznacza się nowością, ani wtedy, gdy opiewał czy to wdzięki Wenery, czy przyrody. Silnie dźwięczała w niej nuta rodzima, tęsknota za wsią polską, trapiąca go nawet nad zieloną Sekwaną, tęsknota nie urojona, nie dla formy, ale szczera, głęboka; z lubością kreślił obrazy tej przyrody: nie dzielił nigdy zwątpień, ironji, sarkazmów rówieśników — przekleństwo łzom lejącym się próżno, gdy burza wre dokoła, marzeniom, gdy spłonął dach nad głową i trzeba go budować!

I w dramacie próbował różnych nut, za Maeterlinkiem i innymi, lecz tylko „Zaczarowanem Kołem“ uzyskał wielkie acz nietrwałe powodzenie. Zwyciężył językiem, mistrzostwem jego doskonałem, charakterystycznem, czy, gdy kazał długie oracje makaroniczno-panegiryczne recytować wojewodzie, czy, gdy wprowadzał djabłów rubasznych, pannę sentymentalną à la Rousseau, Maciusia-poetę natury, szepty tajemnicze wodne, czy przestrogi i nauki Leśnego Dziadka. Świat realny, z czasów saskich, więc ciemny

i przesądny, splótł z fantastycznym; ludzi unosi własna namiętność, żądza sławy u wojewody, miłość występna u młynarki, i wprowadza w „Koło Zaczarowane“, nie wyjdą już z niego — uwiązł ptaszek za pazurek, cały zginie, brzmi drugi tytuł „Potęgi ciemności“; szatani ci to uosobione pokusy.

Ze wszystkich baśni ludowych, jakie u nas dotąd udramatyzowano, Grabowskiego, Sarneckiego i innych, „Koło Zaczarowane“ najlepiej się podobało; prędzej niż od „Dzwonu Zatopionego“ Hauptmanna, możnaby je wywodzić od „Balladyny“. Formy dramatycznej Rydel już nie rzucał; próbował sił w dramacie historycznym i społecznym (na temat walk z Niemcami, czy za czasów „wendyjskich“, napoły mitycznych, czy za dzisiejszych, o ziemię w Poznańskiem, na temat lekkomyślności naszych paniczów); poruszał i inne tragiczne motywy, z czasów popowstaniowych, co i na szwedzkie tłumaczył Jensen i wystawił w Sztokholmie; wszystko mijało bez głębszego wrażenia mimo szlachetnej tendencji i dykcji. Najlepiej udaje mu się odtwarzanie wątków ludowych, np. o Twardowskim (epiczne), albo splatanie naszych szopek i kolęd w dramat-misterjum Narodzenia (Betleem polskie).

Siłą temperamentu i słowa, mniej sztuką i formą odznaczał się **Andrzej Niemojewski**, zapalony demokrata, zwalczający w imię szczerych haseł ludowych z innymi Warszawianami narodową demokracją. I u niego gra nuta ludowa, gwałtowna Kasprowicza, nie sielankowa Rydla, w wierszu opisowym i w dramacie. Ton „Branki“ jego, jak wicher, porywa, ze swym refrenem: Jezus Marja, wódki, żydzie, toż to idzie! toż to idzie! Wyziewy i okrzyki karczmy, ze łzami matek i dziewuch, z milczeniem starych, z zawadjacką butą młodych, kryjącą rozpacz chyba albo rezygnację, wszystko zbite w kłębek, migoce przed oczyma, wzrok pali i serce rozdziera, a nie brak i finału w stronę dworu: hej, ty panie, jasny panie, jakże straszny żal cię bierze... gdzież ten wawrzyn dziś niestety? kiedy wieszasz, czcisz portrety, więc z win przodków, panie jasny, zdaj rachunek i z krwi własnej...

U Niemojewskiego panuje nuta społeczna, obca Rydlowi i wogóle wszystkim parnasistom i dekadentom; on pierwszy zstąpił do fabryk, między lud roboczy i zawojował dla poezji nową dziedzinę. Obrazki jego, wierszem i prozą („Listopad“), przejmują dreszczem; tendencyjne, zaprawne ironją, smagają i chłoszczą do krwi i piorunującym głosem odbijają od wymuskanej poezji salonowej. Dźwięczy w nich straszna skarga (o Wisło, my dotąd nie

lepsi w upadku) na panów, co „w kieszeniach swą ojczyznę wiozą do Monaco“ — wszyscy uszli, tylko lud roboczy pozostał i kroczy ze swym krzyżem na ramionach.

Oprowadza nas po piekle dni teraźniejszych, w hucie stajemy nad robotnikiem, który chwilkę znużony usnął i padł natychmiast ofiarą:

Grzmią walce, wre hala, drżą gmachu posady,
Pomyka ognisty wąż dalej,
Śród wrzasków nieludzkich przypadły gromady,
Wzrok stanął mu słupem, na wargach krwi ślady...
Odejdźcie, trup leży wśród hali.

Takich obrazów coraz przybywa i prześladują cię one aż do stóp krzyża u wzgórza, ginącego w dymów toni, a śród tumanów grzmi i chichoce burza fabryk, jak ukryty chór szatanów. Niemniej jest wymowy, gdy w cyklu „Polonia irredenta“ do podziemi walki politycznej schodził. Z życia sielskiego zaczerpnął dramat „Familja“, o Skibie-Learze, mszczącym się wedle rady familijnej na krzywdzących go dzieciach — podpaleniem i mordem.

Z fabryk, podziemi i niw przenosił się do sfer obywatelskich — co za pyszny obraz jego „Majówka“ na Wiśle i za Płockiem, u sióstr-panien na wsi z ich płaczem i śmiechem — i artystycznych: „Listy szalonego człowieka“, wymowna bardzo historja modelki Bronki, ofiary „sztuki dla sztuki“, bezmyślnego w ustach miernoty frazesu; dlaczegoż mają to być listy *szalonego* człowieka, skoro on chyba jedyny trzeźwy i spokojny w tym wirze egoizmu, szopek i blichtru?

Następnie przerzucił się Niemojewski w świat fantastyczno-alegoryczny i legendowy, jakby mu rzeczywistość zbrzydła do reszty. Zaczął „Bajką“, o licencjacie (nowym Fauście), którego podniecają pragnienia młodości i szczęścia, życie zaś gnębi, aż poszuka ukojenia u spokojnej śmierci; wyżej wzniósł się w „Rokicie“ — djable (bardzo modni są djabli, Boruta, Kusy i cała ich koligacja szlachecka i chamska): syn Złego, który się w myśli darmo utopił, i Niji, którą zawiodły uczucia, goni za marą piękną i jasną, zoczoną w piekle; wychodzi na świat uszczęśliwiać ludzi — niegdyś aniołowie to chyba robili, ale my dziś czcimy Lucyfera — osiedla się, w wieku Faustów i Twardowskich, w wieku XVI, między nimi, lecz nie może z nimi wyżyć; podrażniony, coraz radykalniej sobie poczyna, aż wkońcu musi się salwować nagłą ucieczką do piekła, bo i djabeł, skoro poczciwy, skoro nie świę-

toszek, nie konserwatywny, nie może wyżyć na ziemi, wypłoszą go, choćby nasi mrzonkarze ze swoją wiarą i nadzieją — bez miłości; lecz Rokita wróci, mimo przestróg i wycia djabląt. Na ten męski, silny hymn przyszłości jest nastrojone całe dzieło.

Najgłośniejszemi stały się „Legendy", bo prokuratorja lwowska sprawiła im najlepszą reklamę konfiskatą. O co Kasprowicz w wierszu, o to samo pokusił się Niemojewski w prozie i poszedł nawet dalej, do całkiem ludzkiego wytłumaczenia rzeczy całkiem nadludzkich, wymykających się zupełnie pragmatyzmowi, w ślady Tetmajera i Kasprowicza, Renana i Straussa. Pomieszane tu istotne legendy (o skowronku i cierniu) z wymysłami autorskiemi; niektóre z nich, bardzo poetyczne, wzruszają istotnie, zato nie udało się filisterskie uzewnętrznienie kusiciela, marnego polityka, a legenda wstępna, o którą najbardziej rozsrożono się na autora, chociaż wiersze Kasprowicza nierównie więcej bluźniercze i sceptyczne, całkiem jest zbyteczna, niczego nie wyjaśnia. Z „Legend" bije głównie rozrzewnienie i miłość, ta sama nuta społeczna, panująca w każdym niemal utworze naszego ludowca, bez dawnej jego burzliwości. Autor pozostał przy dawnych legendach wschodu i starożytności (Z pod pyłu wieków), przetłumaczył starannie dzieło Józefa Żydowina; potem w „Myśli niepodległej" namiętnie kler zwalczał, Chrystusa i romantyzm.

Silnego temperamentu nie posiadał, większą sztuką odznaczał się **Stanisław Rossowski**, rzewny i melancholijny, daleki od zgrzytów i ironji Niemojewskiego, piewca „Róż Jesieni", zdobywający się wyjątkowo na silny wyraz, szukający ukojenia w przyrodzie, aż wzrok jego spoczął na ostatniej jej karcie, gdzie znalazł bezdenny jar, w którego czarnej głębinie miłość, zdrój życia, jasność i żar, wszystko bez wieści przeminie, ni ruchu, światła, ni żaden szmer; zmrok tylko, ległszy na szczycie, spoglądać będzie w otchłanie sfer, ciekaw, czem było to życie — finał nadto częsty u naszych modernistów.

I on przeszedł, jak Niemojewski, do dramatów symboliczno-alegorycznych i w nich próbował sił z lepszem powodzeniem, aniżeli w dramacie historycznym („Nawojka", z dziejów Krakowa i uniwersytetu, o dziewczynie, co, żądzą wiedzy parta, za chłopca się przebrała i na jakie niebezpieczeństwo się wystawiła); najbardziej w „Circe": rozkaz bogów wypycha w świat nowoczesny rozkosz dawną, zmysłową, po uśpieniu dwutysiącoletniem, aby budziła zmysły i radość, lecz próżne są jej starania; świat zezwierzęciał

zupełnie, odarł rozkosz ze wszystkiego wyższego, boskiego, splugawił ją obrzydliwie, i doświadcza tego Circe w wędrówkach po ogródkach, tingeltanglach, między ludem fabrycznym, i skrwawiona, zdeptana, umknęłaby do swojej Eei, gdyby nie wezwanie Zbawiciela — nasi duchowni kazali tu położyć djabła — aby rozkoszą przeanielała ludzi-zwierzęta. Jego nowele odznaczają się, prócz tonu rezygnacji, uwielbieniem szczęścia familijnego, tak obcem zresztą naszym dekadentom.

Nie pozostał lirykiem nawet poeta-filozof, **Jerzy Żuławski.** Przeważają u niego nuty zwątpienia i rozczarowania. Bóg jego włada tylko światem górnym, Lucyfer dolnym; rycerzami jego są, którzy wzrośli nad motłoch spodlony, którzy w głuche wieków zasłuchani szumy śnią, którzy tęsknią i tworzą, pragną lub gardzą. Walka między duszą a ciałem trwa ciągle, odkiedy niezmącona pogoda grecka bezpowrotnie zniknęła, dziś poznała dusza grubość murów swego więzienia, nie odważa się już na wielkie porywy, ale drżą znowu pióra w skrzydłach ptaka-duszy; „W Nocy Zwątpień", „Na Stepie Życia" budzi się jakiś „Świt Nowy". Pogardza Żuławski mądrością zdawkową, podsycającą, niezaspokajającą głodu poznania; pogardza rzeczywistością; ubóstwia marzenie-poezję, twórcę-poetę wszechwładnego; każe ginąć światu, podnosi króla-ducha, władnącego królestwem pieśni, odzianego zbroją czarnoksięską, ponad mocarzy na ziemi.

Nie wytrwał jednak przy liryce filozoficznej i w „Opowiadaniach", w „Prolegomenach", rozprawkach niby filozoficznych (popularyzował Spinozę), przeszedł do prozy. Specjalnością jego jest obieranie nadziwniejszej treści: w efektownym „Srebrnym Globie" przedstawił zanik rasy ludzkiej, przeniesionej na księżyc, i tam karlejącej stopniowo, a podobnie postępował i w dramatach (np. „Wianek Mirtowy" z narzeczoną, strasznie obcesową przed — ślubem i nie ku — narzeczonemu!). Bogata kultura, oczytanie, refleksja wybijały piętno na jego dziełach, na „Dyktatorze" (Langiewiczu, wystawionym raczej wbrew tradycji). Największe powodzenie odniósł „Eros i Psyche", niby wędrówka po mapie miłości (a raczej tęsknoty niezaspokojonej) przez wieki; do mitu starożytnego wprowadzony brutal płaski, Blaks, który spłoszył Erosa; nie odnajdzie go więcej Psyche, odkrywając wszędzie tylko parodję Erosa, Blaksa; „fantazja" dramatyczna w rozdziałach średniowiecznych i renesansowych bardzo efektowna.

Lirykiem, jak i Żuławski nim się przedzierzgnął w epika i dra-

matyka był **Leopold Staff**, lwowianin. Od dekadentów dzieliło go stale pragnienie potęgi i czynu, siła, gardzącą kwileniem pesymizmu, i nikt o nim nie śmiałby powiedzieć (Sterling), co o tylu „młodych“ jest prawdą:

Idziemy drwiący, cisi, obojętni,
Burza w nas huczy zwątpienia ogromem,
I morze pragnień konających tętni;

nie ugrzązł ani na chwilę z nimi w bagnach zmysłowości i, gdy śpiewał o kobiecie, wielbił szczytnie a górnie matkę i jej posłannictwo. Z dekadentami dzielił tylko, a raczej ich wszystkich przewyższał czarem słowa, przepychem wiersza i tem odrazu zwrócił na siebie uwagę. Po „Snach o Potędze“, po licznych wierszach, oryginalnych (cykl „Matka“) i tłumaczonych, wystąpił z tercynami „Mistrza Twardowskiego, pięcią śpiewów o czynie“. Mistrz Twardowski, bohater z Krzemionek raczej tytularny, czasem i miejscem przypomina nieco „Rokitę“ Niemojewskiego: i on chce ludzi uszczęśliwić, i on budzi postępowaniem swojem nieufność i nienawiść, i jemu zabijają Krzysię, i on uchodzi przed tłumem. Lecz wplata się inny motyw: Twardowski posiadł eliksir przeciw nędzy i bólom; zapomocą niego chce uszczęśliwić świat; widok spodlonych tłumów, łaszących się teraz do niego tak, jak go przedtem napadały, natchnął go inną myślą: walka jest nieodzowna; tylko w pasowaniu się dojrzewa człowiek, inaczej gnije, więc ginie z nim tajemnica cudotwórczego płynu, czegoby Rokita, jeśli go dobrze znamy, nigdy nie uczynił. Porywa język, nie zadowala zaś całość, rozwlekła, rezonerska, są jednak śliczne ustępy, mocne myśli. Lepiej powiodło mu się w dramacie; całkiem alegoryczny „Skarb“, odgrywający się nigdzie i w piersi każdego z nas, imponuje dykcją, zawikłaniem nawet i efektownemi postaciami; mniej udał się dramat angielski, z ballady Tennysonowej zaczerpnięty i mimo to nieco zakrawający na alegorję, Godiwa. Mimo tych i innych prób dramatycznych pozostanie Staff mistrzem najkunsztowniejszego wiersza i najpiękniejszego słowa; rojenie i refleksja godzą się w nim znakomicie — ale jest on tylko lirykiem i w ostatnim cyklu, wywołanym przeżyciami wojny: „Tęcza łez i krwi“ (1918).

Obok Staffa wystąpił z nadzwyczajną siłą wyrazu, szczerością uczucia, fantastycznością obrazów kosmicznych, wielką erudycją z nich mówiącą, rozmaitością tonów, krakowianin, **Tadeusz Miciński**, który zaczął ładną nowelą („Nauczycielką“), potem oddał

się wierszom lirycznym i epicznym, aż za innymi dotarł do dramatu; całkiem fantastycznego, niejasnego („Nocy Rabinowej") nie dokończył, ale nawet gdy najrealniejszą katastrofę („Kniazia Potiomkina" z floty czarnomorskiej i z buntu lejtnanta Szmitta) dramatyzował, nie ustrzegł się ani naturalistycznych niepotrzebnych brutalności, ani tonów górnych ekstatycznych, nielicujących ze wszystkimi bohaterami utworu. Ze wszystkich poetów Młodej Polski jest on najmniej dostępny dla zwykłego czytelnika, który nie zdoła rozumieć tej samowolnej, dziwacznej plątaniny eterycznej fantazji, prześcigającej Słowackiego, z realistycznemi szczegółami choćby z powiatowej kroniki skandalicznej, jakie cechują jego „Nietotę" (niby odgrywająca się w Zakopanem, ale jakiemś nadgwiezdnem, nie realnem) i „Księdza Fausta". Walkę Chrystusa i Lucyfera, ducha i materji, przeobleka w najrozmaitsze mity, odszukał ją i w swej bizantyńskiej kronice dramatycznej o „Bazylissie Teofanu", demonie kobiecym, na najbardziej wzorzystem tle owej dziwnej kultury carogrodzkiej. Tu chyba najbardziej jeszcze opanował natchnienie-fantazję; wszędzie indziej gardzi wszelakiemi szrankami dziejów, czasu, miejsca, gubi się „W mroku gwiazd" i buduje swe eteryczne światy. Szczególniej chętnie zapożycza się w świecie staroindyjskim a z magami spoufalił się najpełniej; pogarda rzeczywistości, dziejowej czy ludzkiej, towarzyszy jego wzlotom. Miewa nadzwyczajne pomysły, śledzisz je z wytężoną ciekawością, ale straszne odskoki zbijają cię z tropu i gdybyś, czytelniku, chciał przyprzeć autora samego do ściany, chybabyś nie wymusił zadowalającej cię odpowiedzi, objaśnienia. Ale siła jest, czucie głębokie, polot myśli nadzwyczajny, obrazy piękne nęcą i porywają, brak autokrytyki, równowagi.

Wyróżnił się następnie **Gustaw Daniłowski** poematem alegorycznym „Na Wyspie", o słonecznym kraju *dolce far niente*, gdzie są ludzie syci i zadowoleni, gdzie uprawiają sztukę dla sztuki, żyjący z pracy lądu, jemu zostawiwszy dnie trudu, sobie niedzielne, odciąwszy się od jego znoju dostatkiem i próżnowaniem. Lecz nie zabili wszelkiej tradycji dawnej łączności, i odżyła ona w piersi pieśniarza, Dajmona; odtrącony dla propagandy, którąby mogła zakłócić spokój Wyspy, z topniejącą gromadką spółczcicieli zatraconego ideału rusza na statku przez morze, nie dbając o przeszkody, wiatry przeciwne, rozbicie. Czy dopłynie? Nie, jeśli sądzić wolno z wzruszającej powieści „Z minionych dni", osnutej niby na

motto z „Marji“: naco dobroć się tu przyda, gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci, gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda! Postacie Wiktora i Maryni-Laodamji, daremnie swego Meleagra wzywającej i najbrutalniej o tajemnicy śmierci rozczarowanej, dziecka ich, ginącego, jak rodzice, w pogoni za kwiatem paproci — owiane są czarem nadzwyczajnym. Jeszcze w „Jaskółce“ (1907) opromieniał bojowników za wolność, ginących na obcej ziemi, a z filistrów szydził; lecz w następnych powieściach, „Marji Magdalenie“ (1912) i „Lilli“ zeszedł do najpospolitszego albo i najwyuzdańszego erotyzmu; o dawnym sobie zupełnie zapomniał.

Starszy wiekiem i zasługą jest **Zenon Przesmycki, Miriam**, wydawca niegdyś „Życia“ warszawskiego, w którem modernizm stawiał pierwsze kroki, później wytwornej „Chimery“, gdzie już panował niepodzielnie. On i **Antoni Lange**, który przerzucił się i na pole dramatów historycznych („Wenedzi“; „Attyla“), mogą uchodzić i za dogmatyków nowego ruchu i za jego pionierów; oni to stworzyli tłumaczeniami łączność z ruchem zagranicznym, szczególniej Miriam, w którego dorobku literackim tłumaczenia, od Maeterlincka do Rimbauda, znacznie przeważają nad oryginalną twórczością.

Mistrzem formy jest Miriam, nikt nie potrafi lepiej od niego wycyzelować strofy; tłumacz to niezrównany, wykwintny; w jego własnych poezjach dźwięczy, prócz bujań i marzeń wyobraźni, tęsknot i bolów, uwielbienie przyrody; zaplącze się tu niekiedy i nuta rodzima. Był on „dzwonnikiem nowej świątyni“, „pierwszy, który odczuł nadchodzący nowy moment wiosenny poezji — pierwsze jego utwory to okrzyk, że poezja zamilkła, później ubóstwienie poezji i wezwanie do pieśni“, twierdzi o nim Lange, a wezwanie to w najponętniejsze przyodział formy; „ponad ziemskim lecąc globem, w brylantowych skrzę się rosach, wonne róże na mych włosach, z moich ramion spływa bluszcz, nad otwartym stanę grobem, pocałunki śląc namiętne i uwiodę cienie smętne w lazurowych kraje puszcz... do mnie, do mnie, tu do łona... spłyńcie roje smętnych mar, ja otwieram swe ramiona, pocałunkiem zmyję pleśnie...“. Ale i u niego nie brak pesymizmu ani walk prometejskich i ich męczarni ani groźby ostatecznej: sto granic, kresów, śmierci, końców, zgonów ludzkości, co pyłkiem jest w bycie, o najjaśniejszych idei rozżarze przyjść może straszny ten dzień... nic nie zostanie, cała wieków praca stać się tem musi, czem była na początku — prochem.

Podobne tematy uprawia i liryka Langego, kochająca się w spiętrzonych trudnościach rytmu i rymu: „nie lubię rzeczy łatwych, lubię łamać granit... biały wiersz, cud nad cudy... oto, co dziś mnie nęci... tak, bo rym się bez trudu w poezję ularwi, poezja dziś ze swych wyżyn zeszła w nędzę dolin, i dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin, jest tralala na wszystko, formuły, algebra, w legjony dziś się rozrósł wierszopisów szereg, i rymy leją gładko, niby wodę z cebra, a łatwo tak, jakby to był walc lub oberek... więcej jest takich, co, jakoby chrząszcze, brzęczą rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen". Cóż za dziw, że, żądni nowości, chwytają nietylko za biały wiersz, ale i za prozę rytmiczną.

Lubowanie się w sztuce dla sztuki nie przeszkadza jednak modernistom w „zniżaniu się" do poezji ludowej; w dorobku poetyckim nawet Langego, Arnsztajnowej, Rossowskiego, Or-ota — nie mówiąc o Rydlu, Tetmajerze, Kasprowiczu — znajdą się nieraz znakomite „ballady" ludowe i liryki: „Piosnki" Rossowskiego w zbiorku „Psychy" z pogodnie smętnym nastrojem; Mazurki i Oberki Or-ota, wierszującego i baśni ludowe; „Grajek" Arnsztajnowej, słyszący około siebie „takie granie, taki śpiew", jak Maciuś w „Kole Zaczarowanem"; „Powieść o płanetniku" Langego.

Całkiem w tonach sielskich, zdawało się, zanurzył się jedyny Kazimierz Laskowski (El), przeciw szkole tatrzańskiej tworząc niby mazowiecką, wyśpiewując „Z chłopskiej piersi" i „Z pod serca" to szopkę, to krakowiaki i mazurki, to cały opis wesela chłopskiego, od zmówin i zrękowin aż do oczepin i chrzcin, w usta drużby je wkładając; ale jakżeśmy dalecy od Lenartowicza i jego idyli! Chciał też dośpiewać „Pana Tadeusza".

Chociaż koryfeusze liryki modernistycznej powoli przechodzili na inne dziedziny, nie przerzedzały się szeregi pieśniarzów; nigdy ich się nie zjawiało tylu. Nieraz migali rychło, np. bracia Brzozowscy, synowie romantyka Karola, sławni a raczej osławieni wierszem o Kameljach-Ofeljach, takim skarbem dla mydlarzy-krytyków, jakim były „blade nogi" Brjusowa dla rosyjskich. Z nieskończonego szeregu autorów jednego lub paru tomików lirycznych wyróżnia się chyba Edward Słoński prostotą i szczerością marzeń swoich o wiośnie, szczęściu i miłości, do których dodał w r. 1905 pieśni rewolucyjne a w 1915 legjonowe o tej, co nie zginęła, o ojczyźnie. Pisze też przeczulony Mirandolla (Franciszek Pick), tłumaczący Novalisa; dalej Wacław Lieder, tworzący dla niewielu, odcinający się hardo od tłumu, sam się stający baśnią niezrozu-

miałą dla tłumu; Bolesław Leśmian, całkiem fantastyczny; ekstatyczny Tad. Nalepiński, zbyt górnie przedstawiający i kometowy bieg Polski i duszę ruską; melancholiczny Edward Leszczyński. A obok tej modernistycznej liryki i dawną domorosłą uprawiali nie mniej liczni, taki np. przedwcześnie zmarły Aleksander hr. Piniński (bracia wydali wytworny zbiorek jego wierszów); Marjusz Zaruski, który wyśpiewał Sonety morskie i północne, Kosiakiewicz W., znany i ceniony powieściopisarz, opowiadający o bólu osobistym; Nawrocki; Józef Wiśniowski, który zapomocą dramatycznych obrazków wysławiał dworki nasze w blasku słonecznym; Kaz. Lewandowski, który się zniżył aż do opiewania wdzięków fryn najpospolitszych i i.

Dziwniejsze to, że w formie modernistycznej odżyła nawet bajka, skazana, zdawało się, na zawsze na płaską dydaktykę w pokoiku dziecinnym. Odżyła ona pod ciętem piórem dwóch warszawian, Jana Lemańskiego, nadzwyczajnego mistrza formy i słowa (w swoich nielicznych lirykach), trawionego tęsknotą za ideałem, więc pesymisty wobec dzikiej bezmyślności rozpasanego używania, i bardziej dobrodusznego, pokpiwającego sobie z ciągłych kontrastów życiowych i społecznych Benedykta Hertza. Bajki Lemańskiego (1902), rozlewne, jak Lafontaine'a, wyszydzały najdotkliwiej wszelkich burżujów z krain Ćwioczków-utylitarystów i Gwoździków-sybarytów, wystawionej obszernie w powieści „Ofiara Królewny"; bajki Hertza, zwięźlejsze, docinały i naszym nieproszonym opiekunom; Lemański zarzucił potem całkiem tę dziedzinę, która go wsławiła, i rozprawia się wprost z ohydą życia i bytu prosięcego w satyrycznych utworach, nużących nieco zbytnią rozwlekłością.

Jego bajka zwierzęca, z najmodniejszemi hasłami, aż nadto komicznemi w otoczeniu czworonogiem czy skrzydlatem, wyróżnia się i oryginalnym językiem i śmiałemi nieraz aż cudackimi nowotworami, i ciętą satyrą. Na równej wyżynie nie stanęła ani jego satyra wprost, np. „Nowenna" w 99 dytyrambach opiewająca szczęście małża-małżonka i burżujów wszelkich, ani mimo wszelkich zalet stylu i myśli owa alegorja powieściowa.

Lecz nie lirycy sami nadali Młodej Polsce tony najbardziej zasadnicze — pieśń zawsze mniej uchwytna, więcej lotna, nie zwycięża; nierównie silniej oddziałuje dramat, epos i powieść. Skupiła się więc nowa twórczość właśnie około dwóch takich, którzy pieśni wcale albo tylko wyjątkowo pisywali. Trudno o sprzeczniejsze charaktery i losy; jeden z nich, dramatyk i powieściopisarz,

zawrócił odrazu młodym głowy, wypłynął jak meteor, ale jego blask fosforyczny nie był trwałym; drugi, dramatyk i epik, musiał długo walczyć, zanim jednym utworem nie wybił się na czoło literatury i na niem się utrzymał mimo wielkiej nierówności swej upornej i upiornej pracy. Ów typowy „dekadent“ w guście cudzoziemskim, nie rozpoczynający nawet nadomiar od polskiego słowa, to **Stanisław Przybyszewski.** Przeszczepiony z ziemi kujawskiej na grunt obcy, przejął się w Berlinie, w obcowaniu z artystami ponurej Północy, ze Strindbergiem czy Munchem, z Młodemi Niemcami, w orgjach (fantastycznych, wizjonerskich, nierealnych), w nadzwyczajnem podniecaniu nerwów muzyką chopinowską, szałem erotycznym, nadużywaniem alkoholu — wszelkiemi „zarazkami“ dekadentyzmu i modernizmu, Nietzschem i Tołstojem, satanizmem i anarchizmem, pogardą filistra i jego etyki i, skopawszy nogami głupie sumienie (ów organ szczątkowy świata moralnego poczucia obowiązków) i wstrętną rzeczywistość, wzniósł się jako nadczłowiek, wstrząsł posadami świata, zaczął burzyć dla samego burzenia poto, aby potem ugiąć się przed kobietą; znieważał ją, aby wystawić płciowość na ołtarzu ludzkości, rozpasał wyobraźnię i nadzwyczajną moc słowa, aby kręcić się w zaczarowanem kole „Astaroty“ i „Androginy“. Wszystkie jego poematy prozą, powieści i dramaty nastrojone są na jeden ton i nużą wkońcu mimo nadzwyczajnej błyskotliwości formy, paradoksalnych aforyzmów, zawrotnych głębi przepaści, odsłaniającej obok naszej samowiedzy i woli — nadętych pęcherzy, które nam jako tako umożliwiają pływanie po fali życiowej, nierealnych zresztą — jakiś „drugi mózg, który zupełnie inaczej myśli, który sobie ze mnie kpi, cały mój rozsądek wywraca“, tę drugą duszę, nagą, ukrytą poza świadomością, niespokojną, męczącą się i szarpiącą wiecznie, którą zwykły śmiertelnik nazywa mazgajstwem, brakiem charakteru, słabością woli, a w stopniu wyższym uznaje za chorobę i odsyła do domów zdrowia. I życie jest złem, dziełem szatana i wyraża się najpełniej w stanie chorobliwym, w ekstazie, w nerwozach; wstrętny jest człowiek zdrowy, wieprzowaty, jakby go Słowacki mistyk nazwał — bydlę, pijące wodę i chodzące w jarzmie, które samo sobie narzuciło. Czytając te rzeczy, przepyszne w szczegółach, z nadzwyczajnemi wizjami, niepokojące i burzące, nie można opędzić się przykremu uczuciu, jakie gnębi trzeźwego w towarzystwie pijanych, zdrowego w szpitalu manjaków, Saula między prorokami, niewiedzącego, czy oni wieszczą na serjo nową ewangelję,

czy okrutnie drwią z filistra. Odmienił Przybyszewski słowa ewangelji: nie zanalazłszy uznania między obcymi — chyba jedyny Strindberg odstąpiwszy z nienawiścią od niego, ocenił duszę subtelną z śladami genjuszu, marzącą o najwyższej sławie, — wrócił do swoich i między swoimi znalazł adeptów, kornych czcicieli, ślepych naśladowców i nałożył swe piętno nawet na niezwyczajne umysły; synagogę szatana budował w Krakowie, Lwowie i Warszawie. Ale czar nowego Mefista prysł rychło; zaczadzone głowy trzeźwiały tem bardziej, skoro mistrz sam w dramatach wkraczał na odmienne tory, o związku między winami a karami przebąkiwał coraz śmielej.

Pisał po niemiecku, i polszczyzna jego nie wyzbyła się odrazu śladów niemczyzny; pierwsze jego prace, z pominięciem studjów estetyczno-psychologicznych o północnych malarzach i pisarzach, nie miały wcale lub mało wątku powieściowego; były to analizy, wylewy, samobiczowanie owej nagiej duszy, wyznania bolesne na temat żywiołowej roli kobiety we wszechświecie i nieskończoności bolu, cierpienia, z których się odradzają światy: tak było w „Vigilien“ i „Totenmesse“. Potem nastąpił romans o Falku, „Homo sapiens“ — tytuł chyba ironiczny, skoro mowa o *homo insipiens*, ale dzieło samo bynajmniej nieironiczne; włożył w nie autor zbyt wiele własnych przejść i myśli — t. j. trylogja: „Na rozstaju“, „Po drodze“, „W Malströmie“; tłumaczenia na polski dokonywał autor sam, ale to nie tłumaczenie, raczej przeróbka. Historja zawsze ta sama: zdeptanie serca poświęcającej się, naiwnej, wierzącej Marit; uwiedzenie narzeczonej przyjaciela, Izy, sprzeniewierzanie się jej i powrót do niej z siłą niepohamowaną; przytem wstręty, doznawane od Olgi. Z tego błędnego kółka nie wyrwie się bohater, szamocący się ciągle z samym sobą, w niesłychanej rozterce instynktów czy popędów, z odziedziczonem sumieniem, zawsze upadający, zawsze robiący to, czego nie chciał, i zdobywający się na szumne tyrady, aby sobie i bliźnim oczy zamydlać, o jakimś musie, co mu po trupach kroczyć każe, o nadczłowieczeństwie, bez sumienia i litości, jak natura, srogiem, wspaniałem, dobrotliwem. Nie chodzi tu o szczegóły zewnętrzne; całe światło skupione na stanach i aktach samej duszy; powieści te to znowu tylko analizy psychiczne, jak przedtem „Wigilje“, jak „De profundis“ potem, rozdzierający jęk duszy, niezdolnej się oprzeć popędom, wizjom, przeświadczonej o swej niemocy i agonji — para kazirodcza kończy samobójstwem. W „Dzieciach Szatana“ prze-

kształca się satanista Gordon w anarchistę; najwięcej tu opowiadania, ale najsłabsza to powieść, najmarniejszy bohater, pławiący na własne dzieło zniszczenia — dla zniszczenia, wyższy od bohaterów podobnego romansu Dostojewskiego tem, że ma choć samowiedzę swojej dętej wielkości.

Odtąd zwrócił się Przybyszewski ku dramatom, pisując obok nich już tylko studja, o Słowackim czy o Kasprowiczu, albo alegorje i wizje, „Nad Morzem“ czy „W Godzinie Cudu“, w stylu strasznie nierównym, wybuchowym, w obrazach gwałtownych niesfornej wyobraźni, lubującej się w nadziemskich widziadłach, czarnych słońcach, miastach skalnych, stapiając w jedno barwy i zapachy, głosy i dotknięcia. W dramatach temat znowu ten sam; w „Dla Szczęścia“ Mlicki przypomina bardzo Falka, Helena ową Marit, a Olga Izę; „Złote Runo“ i „Matka“ osnute na wiarołomstwie, lecz nastąpiła tu znacząca zmiana — owo zdeptane sumienie to wąż, kąsający stopę po nim depcącą; nie opuści jad jego organizmu; czyny popełnione, bezwiednie niemal, mszczą się okropnie. Moralność triumfuje więc na całej linji, lecz zwycięstwo to Pirrusowe; nie orzeźwia ono ani wytrzeźwia, tylko do dawnych bolów dodaje nowe, tak dojmujące, że samobójstwo wywiera nieprzeparty urok. I tak karze złośliwa natura za grzechy, które sama w serce wszczepiła; karę wymierza sobie serce samo za własne złe podszepty; niema sprawiedliwości boskiej czy ludzkiej, jest tylko niezmienny porządek rzeczy, a kto go przełamie, skazany jest na śmierć. Dramaty zbudowane wcale efektownie, chociaż przeładowane dialogami, a nie wszystkie ich postacie odpowiadają wysokiemu mniemaniu autora o sile; „Matka“ wprowadza temat Klitemestry, Egista i Oresta: młodzieniec, wracający do domu, domyśla się powoli strasznej prawdy i opuszcza ten dom, wrogi mu odtąd; w skróceniu byłby dramat zyskał na sile. Nastroju Maeterlinckowskiego próbował autor w „Gościach“, gdzie nastąpi za dawne winy i ciągłe wyrzuty ostateczny rachunek i gdzie ciągle odczuwamy przybliżanie się katastrofy.

Podobnie nastrojowym był i „Śnieg“, który pochłonie ślady zdeptanej wiary małżeńskiej, zbyt słabej, by się oprzeć wpływom demonicznej kobiety. W dramacie alegorycznym czy bajecznym siły mniej dopisały; i tu był zatarg głównie erotyczny, albo odwieczna tęsknota za „absolutem“. Nie wzniósł się wyżej Przybyszewski w ostatnich powieściach o „Mocnym człowieku“, depcącym po swych ofiarach dla bardzo poziomych, wcale nie tytanicz-

nych ani wulkanicznych celów, w „Dzieciach nędzy“, w nowelach wojennych „Powrotu“.

Na przeciwnym biegunie tej sztuki o koźlich nogach, pseudosatanicznych ruchach i głosach, wywodzącej się od obcych, stanął ów „pogrobowiec romantyzmu“, wizjoner, fantasta rdzennie polski, najznakomitszy malarz i poeta całej „Młodej Polski“, Stanisław Wyspiański, wyrosły w tradycjach Krakowa, na gruncie jego sztuki (pod okiem Matejki) i jego wspomnień. O malarstwie jego, oryginalnem, nieprzymilającem się pobieżnemu wzrokowi filistra, odstraszającem go raczej, nęcącem głębią i samoistnością pomysłu i stylu, celującem nie farbą, lecz linją, może dałoby się niejedno powtórzyć z tego, co i dla poezji jego jest charakterystyczne. Jest to epik i dramatyk; jako epik, przynajmniej w rapsodach o Bolesławie Śmiałym, całkiem może współzawodniczyć z „Królem Duchem“, z jego oktawami, z jego kolorytem bajecznym (części niewydanych przez poetę za życia), z jego wizjami świata słowiańsko-polskiego, narzucającemi się naszej wyobraźni jako realne i z rozwiewnemi marami jego wyobraźni.

Oryginalnym jest jego „Kazimierz Wielki“, jedyny w swoim rodzaju, odgrywający się w r. 1869, gdy zwłoki królewskie odkopywano na Wawelu. W początku poematu towarzyszy nam znowu Słowacki; jak jego Her Armeńczyk, ścigający widmo Sławy-Polski, nie zaczerpnie wody letejskiej, podobnie i Kazimierza od źródlisk rzeki niepamięci odwodzi jakiś głuchy jęk i szmer; zapomnieć — byłoby zawinić, więc choć palony strasznem pragnieniem, choć dusza łaknęła „być jako dziecko czystą i niewinną, nie znać, co będzie, i nie znać, co było“, wraca do trumny wawelskiej i widzi wdzierającą się doń zbłąkaną, bezpańską czeladkę z Matejką i Szujskim na czele; nie rozumie narazie ich skarg i smętków, pyta zdziwiony, jakąż to chwałę wskrzeszać, gdzie zapadła, któż sławę ich pohańbił i podeptał, gdzie króle nasi, następcy dziedziczni, jakie ofiary miłości przepadłe; lecz przemawia do niego jęk: bądź wskrzeszon, stań się, duchu; woła więc naród na wiekowe wiece i przypatruje się mu. Roztacza się przed nim smutny widok; naród ten tak się w swą przeszłość weśnił, tak zżył się ze wszystkiemi grobowemi piwnicami, tak ich ten grób, te trumny weselą, że jakby innych radości nie znali, tylko te, a gdy cmentarze światłem ścielą, to w najświetniejsze się szaty przybierają; co gorsza, tylko wtedy oni są zgodni i ofiarni. Zresztą rozrywają ich kłótnie; nawet wodzowie narodu, a raczej samozwańczy jego prorocy, rozstajne wska-

zując mu drogi, wzajem się w słowie jęli lżyć i winić, aż wyrośli na olbrzymie duchy trwogi — wtedy zerwało się widmo królewskie do czynu, ugodziło młotem w mówcę, a naród obaczył się wolnym od szarpania się swoich bogów.

Pełniej wyraził się poeta w dramatach. I tu nie schodził między ludzi wyfraczonych i wyróżowanych, nęcili go pierwotni, bajeczni, jak mistrza jego, Słowackiego, a że z polskich niw mitycznych wiele wycisnąć się nie da, sięgnął do świata greckiego, naturalnie nie do sofistów z „Aten“ Świętochowskiego, lecz do „Iljady“, którą opatrywał rysunkami (do tłumaczeń Rydla), do mitów heroicznych, o Meleagrze, o Laodamji. Mity te najrychlej zwabią spółczesnego romantyka: przecież Laodamja i Protezylas to pierwowzór romantycznej „Lenory“! Lecz pogodę i słoneczność grecką całkiem konwencjonalną i stereotypową, zasłaniającą nam jak już i światu klasycznemu samemu, pierwotną dzikość i niesamowistość grecką, pokrytą grubym lakiem „klasyczności“, mimo to przezierającą tu i owdzie bardzo wyraźnie, zamącił tęsknotą, przeczuciami, nastrojami modernizmu, i łamią się proste linje klasyczne w mrocznej i namiętnej, w sennej i tęsknej księżycowej nocy, i uczucia ludzi przeczulonych, dla nadmiaru boleści czy szału pozbawionych wszelkiej równowagi, walczą z posągowemi kształtami, z właściwą im formą. Na sprzeczności tej zyskują postacie prastarych mitów, natchnione nowem życiem duchowem; jak „Aspazja“ Świętochowskiego, tak i „Laodamja“ Wyspiańskiego dają łudzącą, idealną wizję świata starogreckiego.

Polskiego artystę ciągnie jednak wszystko ku swoim. Jeszcze przed „Meleagrem“ próbował sił w „Legendzie“, nowem obrobieniu w długim szeregu wszelakich Wand. I tu wniósł modernizm, i obdarzył starego Kraka i córkę dziewicę naszemi nerwami, trwogami i przeczuciami, niespodzianemi u samej kolebki narodu — lecz może bardziej nęciło go malowanie owych czarów podwodnych, świata rusałek i topielic, potęg żywiołowych, tajemniczych, uroczych, jak niksy Boecklina. Rosły mu coraz bardziej skrzydła i coraz potężniejszym lotem unosił się nad rzeczywistością, nad światem naszym lub nam bliskim.

W „Klątwie“ posągowe formy tragedji klasycznej wypełnił ludem z Bronowic; winnych ściga fatum gniewne, i trwoga klątwy i jej skutków matkę występną wraz z dziećmi-aniołkami za to, że zgrzeszyła z księdzem, wydaje płomieniom; ze wszystkich utworów Wyspiańskiego ten najsilniej jest osadzony na ziemi, najgłęb-

sze sprawia wrażenie: w otoczeniu przesądnem do obłędu doprowadzona matka-Niobe sama dzieciom gotuje grób i przemienia się w furję; wobec niej bledną inne postacie, szczególniej winny jej nieszczęściu młody ksiądz, który pofolgował sercu.

Ze wsi przerzucił się do obozu i roztrząsał wewnętrzne sprawy 1831 r., w „Lelewelu“ przeciwstawiając fanatyka-idealistę, demagoga z frygijską czapką, arystokracie-dyplomacie, marzącego o tronie; wobec tych dwu osób inne całkiem schodzą na drugi plan. Skupił się świetnie w jednoaktówce, w „Warszawiance“, przeraźliwie smutnej, nie dlatego, że narzeczony Marji ginie, że ona przeczuwa i odczuwa wieść o zgonie jego, że sprawdzają się jej przeczucia, choć nikt jej słowami tego nie wyzna — ale smutnej tem, że ci wodzowie, i dzielni i do poświęceń się rwący, nie wierzą we własną sprawę, i niema serca w ich piersi lub zbladło ono i tak się trzęsło, jak liść olchowy — jak niegdyś u Wenedów.

„Legjon“ to dramat najfantastyczniejszy, i pomysłem i wykonaniem; są to wizje apokaliptyczne o znaczeniu wieszcza-ducha, nadmiernie wyolbrzymiałem, jakby poeta tą siłą niezłomną, której w Chłopickim nie odnalazł, stokrotnie obdzielił nie piewcę „Pana Tadeusza“, lecz Konrada-mesjanistę, Konrada-towiańczyka, kierującego nawą ducha polskiego, ku odrodzeniu, ale przez śmierć, zatracającego więc ufną weń załogę.

A jeżeli i ta łódź, wiedziona przez fale straszne, nie dotrze do brzegu? Gdzież szukać siły? W ludzie, z nim się zlewać — to nadzieja ostatnia. Rzeczywiście zaczynamy się z ludem bratać, nawet na tej ziemi, gdzie widmo Szeli i „rabacji“ jeszcze nie wygnane na zawsze. Jakżeż wygląda to bratanie? Odpowiedź daje „Wesele“, które poetę, znanego dotąd głównie w kółkach artystów krakowskich, malarza szarpanego przez krytykę, poetę, który sceny nawet „Warszawianką“ silniej zawładnąć nie zdołał, odrazu zrobiło sławnym i popularnym. Dobry to znak, że, pieszczeni zwykle przez własnych poetów, dzieci zepsute, strawiliśmy tę nielitościwą satyrę.

Słowacki, który naród swój po swojemu, ale namiętnie kochał, chłostał strasznemi cięgami i kadłub szlachecki i pawia narodów — nie inaczej Wyspiański. Już w „Kazimierzu Wielkim“ wprost wyrzucał i zapatrzenie w trumny i przechwałki próżne i niesforne rady; teraz użył broni zjadliwej, gorzkiej ironji i nikogo nie oszczędził. Z niesłychaną niedyskrecją obrał świeży fakt, ślub druha-poety z dziewczyną wiejską, fakt nie pierwszy w Kra-

kowie zresztą, i z tego faktu wysnuł fantastyczne obrazy, przybierające coraz większe rozmiary, jakich może autor sam w początku nie przypuszczał. Prawdę mówią sobie z otwartością rubaszną same osoby a jeszcze ostrzejsze wypowiada autor samem przeprowadzeniem treści. Długi czas nie zawiązuje się żadna akcja, choć ruch jest szalony: w izbę na scenie wpadają z przyległej izby pary tańczące i nietańczące, by na chwilkę wytchnąć, podzielić się wrażeniami, poflirtować; przesuwają się w ciągłej zmianie ludzie z miasta, inny jakiś poeta, dziennikarz, pani radczyni z córeczkami, i ludzie ze wsi, z księdzem, żydem i dziadem; już tu sypią się owe ostre przycinki i o panach, którzy nie chcą chcieć, i o tej komedji bratania, pociągającej narazie, bo nowej i barwnej — no, pan się narodowo bałamuci, panu wolno, pan to przecie jutro zrzuci. Czy nie kończył się na tem pierwotny pomysł? Dał się jednak autor unieść zapalnej swej a lotnej wyobraźni. Nie pora to wprawdzie Dziadów, jesienna, ale i w zapusty możnaby sprosić gości zaświatowych, których bieda, piekło dręczy, których duch się strachem męczy i do wyzwoleństwa się rwie; prozaiczne weselisko nie starczy autorowi, chce on poetyczności dla was i chce ją rozdmuchać, jak to określa jego żydóweczka-modern; jego poeta wlot to podchwytuje, zgadzają się państwo młodzi i nawet chochoła słomianego z sadu zapraszają; skoro północ zacznie bić, do nas tu na izbę przyjdź, sprowadź jeszcze, kogo chcesz.

Duchy, przychodzące w akcie drugim, wypełzły z wnętrza tych osób, którym się zjawiają, ucieleśniają na chwilę najtajniejsze ich strachy, pożądania, myśli. Poecie zjawi się bohater jego myśli, niby Zawisza Czarny; dziennikarzowi Stańczyk — rozmowa obu najznamienniejsza, zaprawna najbardziej gryzącą ironją — gospodarzowi zjawia się Wernyhora, z obrazu Matejki i z tragedji Słowackiego zstępujący na jaw, bo przybliżył się czas. Ale gdy Stańczyk, Szela i inni nikną bez śladu, zostawił Wernyhora ważne rozkazy gospodarzowi: rozesłanie wici, zgromadzenie ludu przed kościołem, nasłuchiwanie tętentu, i wręczył mu też złoty róg; gospodarz, po narodowemu, zasnął, kiedy właśnie najpilniej czuwaćby i krzątać się należało; wygodny, z siebie na Jaśka ciężar rozkazów zrzucił i nastąpiło to, co u nas niezawodne: w ostatniej chwili zabrakło tego, co najważniejsze. Wrócił Jasiek, naród w gorączkowem, osłupiającem oczekiwaniu, z zapartym oddechem, każdy szmer uchem łowi... lecz nie ozwie się róg, od którego miał się

wzmóc taki duch, jaki nie był od lat stu, bo Jasiek go zgubił, gdy za czapką z pawiem piórem, którą wicher unosił, w lesie się chylał. I skamienieli wszyscy, wsłuchani w ton, który już nie nadejdzie, i z letargu wyrywają ich powoli nuty ciche, spokojne, wsi wesołej, wsi szczęśliwej — nic nie słysom, nic nie słysom, ino granie, ino granie — i zwiędły chochoł przygrywa im i szydzi: miałeś, chamie, złoty róg, miałeś chamie, czapkę z piór, ostał ci się ino sznur. „To tak w każdym z nas coś woła — jakaś historja wesoła a ogromnie przez to smutna".

Alegorja poetycka to nie program polityczny; od męża stanu, nie od poety, wymagamy wskazania dróg i celów; poeta wypełnił zadanie, jeśli wzruszył słuchacza, zatrząsnął łańcuchem długich rozmyślań, jeśli porwał nas wgórę, skąd oglądamy komedję-maskaradę u dołu, tłum rozbawiony, bezmyślny wielkich dzieci — tego zadania dopełnia „Wesele". Moglibyśmy spytać, czy i ono jeszcze nie łudzi, czy nie realniejsza jest jego parodja, ów „Pogrzeb" (Laskowskiego), gdzie artysta Stanisław, chłop od głowy, od nóg szlachcic, pyta rozczarowany: czy ten lud już nic nie kocha, czyż w tej chacie nic nie bije, czyż pierś chłopska — pustka, step? Gront przed wszyćkim — woła tu Kacper przez sen — ziemię kocha, co mu rodzi chleb, krzyż przy drodze, w polu pług, co mu dano to i ma... ale to nie złoty róg!

Mimo tych zastrzeżeń krytycznych niesposób nie podziwiać oryginalności i śmiałości pomysłu i wykonania. Scenki, mimo swej lapidarnej stylizacji, wrażają się w wyobraźnię; widzimy te fizjonomje i te stany psychiczne mimo wszelkiej oszczędności rysów i szczegółów; kontury są ostre, wyraziste, nieraz aż na karykaturę zakrawają (postać „Nosa"); myśl głęboka, patrjotyczna, boleje nad tem, że nas bawią malowanki, zapóźne żale i swary, biadania nad winami niepopełnionemi; nawołuje więc poeta do czynu, abyśmy się nie dali znowu uśpić graniem Chochoła, a nadewszystko wnosi się ten język, z chłopska rubaszny, silny, zdrowy, rodzimy. Ale poeta trafia na „śpiących rycerzów" i nie zbudzi ich do czynu cud-złoty róg, powiodą ich tony najmarniejsze najcodzienniejszego, trywjalnego tańca Miłości i Śmierci, rzępolonego przez Chochoła.

Zasadnicze rysy „Wesela" powtarzają się i w „Wyzwoleniu" (1903 r.); takie same przesuwanie się cieni czy figur z jasełek czy komedji *del'arte,* brak akcji, nadmiar symbolów; ten sam pesymizm, jeszcze bardziej zgorzkniały; protest wymowny przeciw poezji i poetyzowaniu doli i roli narodowej, przeciw wszelkim za-

kusom samobójczym, przeciw apoteozie śmierci i przeszłości. Jak Kazimierz między politykami wiecowymi, tak tu występuje „Konrad" Mickiewiczowy, ale nowy, między aktorami na scenie narodowej; tłoczą się około niego statyści i protagoniści, przedstawiciele stanów, warstw i haseł najrozmaitszych aż do poezji modernizmu, kryjącej straszne nic pod najzdobniejszym szychem, niby maski, niby upiory z „Dziadów"; rej wodzi między nimi Genjusz romantyzmu polskiego, zapatrzony w przeszłość, w Wawel i jego groby, wiodący do niego, „byście, nikczemność widząc ciała, ujrzeli okiem żywem kres, śmierć, która cudu działa"; czar jego słów pryska pod nawoływaniem Konrada, bijącego w głowę jego słowami, niby młotem: „złudo wielkości, oto chcesz ująć nas sidłem piękna, co zamarło i zgasło, i jęk chcesz obudzić w piersi naszej, a nie wołanie radości; kochanku ruin i zapadłych uroczysk chwalco... piewco dróg błędnych i stróżu labiryntów wodzisz... w sklepiska, skąd wyjścia niemasz, jeno ogniki świecące próchnem (autor używa prozy w przemowach, a wierszów w uwagach scenicznych) — poezjo precz, jesteś tyranem"! I wyzwala się Konrad z jej pęt w imię czynu: chcę ludzi, ludzi, woła, lecz znajduje tylko aktorów i wszystko udane, miota się więc bezsilny, opuszczony, na scenie, skąd się wydobyć nie może. „Tu dramatowi temu koniec, lecz myśl, ten chybki, lotny goniec, poza ten dramat polatuje". Nie poezja to, raczej sugestja; dośpiewaj sobie, czytelniku czy widzu, coby autor miał czy chciał powiedzieć; niewiele ci wytłumaczy i końcowa dziewka bosa.

Nie jest to poezja o posągowych kształtach, o stałych linjach; działa jak muzyka, i nie da się dokładnie zsumować czy obliczyć, z jej pomocą nie uda ci się wytknięcie pewnych dróg, ale rozmarza ona, unosi; to protestujesz, to dajesz się porwać. Wymagania autora są wielkie; satyra jego bardzo dotkliwa: zginęliśmy, można śmiało o jego przedstawicielach Polski powiedzieć. Ciekawa jest rozmowa Konrada z maskami, myślami własnemi, które mu zamąciły wzrok; wypełnia ona akt drugi nieco zbyt rozwlekły, przygotowujący jednak ów czyn Konrada w trzecim akcie, ową walkę z ponurym Genjuszem uśmiercającego rozmarzenia, z Mickiewiczem-mesjanistą; walka sama scenę przepyszną stworzyła. Niema jednak w rzeczywistości wyzwolenia, chyba w dziedzinie myśli; końcową wskazówkę o rewolucji ludowej autor później odrzucił. W symbolach jest rozkochany, ale niezawsze można uchwycić ich znaczenie. Rażą najbardziej wtedy, gdy symbole

starogreckie, kłócące się strasznie z Belwederem, splatają się z rzeczywistością Nocy Listopadowej i jej bohaterów czy wyrodków — ale i w tej Nocy nie chodzi o historję, o przebieg (od czegoż pamiętniki prozą?), lecz o dusze; rozgrywają się sceny napozór całkiem realne, ale to złudzenie, to tylko walkę duchów rozstrzyga poeta. I zdaje się ciągle, jakby odkrywał najgłębsze, nieuświadomione wcale podkłady czy instynkty. Wrażenie niektórych scen wręcz wstrząsające — mimo ich rozbicia wyłania się smutna całość i znowu poczucie, że zginęliśmy!

Autor, jak Słowacki, nękany chorobą, rozwijał zadziwiającą czynność: sceny dramatyczne i epiczne goniły jedna drugą. Lubił się powtarzać, wracał do tych samych tematów; nie opuszczała go ani Noc Listopadowa ani tragedja na Skałce ani Legenda o Wandzie. Wizje i zmory jego, bardzo nieuchwytne, czepiały się byle jakiej tkanki; w „Akropolis“ zstępują w noc wielką postacie z arasów flamandzkich, zawieszonych w tumie na Wawelu, obrazy starogreckie mieszają się z biblijnemi i jakiemuś Apollinowi-Chrystusowi torują się drogi. Równa dowolność w snuciu nowych wątków, np. w „Achilleis“, łączącej modernizm z tradycją rapsodów; ale pomysły bywają świetne, język zawsze pyszny, uwagi często głębokie (i w rozbiorze „Hamleta“). Nadużywa alegorji i symbolów; popularnym Wyspiański nigdy nie będzie już dla tajemniczości i rozwiewności swych fata morgana; przypomina on twórczość Słowackiego-mistyka, acz od innych podstaw wychodzi. Cechuje go nadzwyczajna rozrzutność talentu: równocześnie przerobił i „Cyda“ Corneille'a i, jako pendant do Achilleidy, wystawił dramat o powrocie Ulissa. Wracał jednak stale do tematów polskich; w dramatach jego nie osoby, lecz ideje poruszają; ich przyszły rozwój cięży nad bohaterami, nad „Bolesławem Śmiałym“, nad św. Stanisławem („Na Skałce“, z światem duchów i rapsodów słowiańskich, garnących się do mocarza ducha, do biskupa); silniej oparł się na gruncie historycznym w tragedji o Barbarze i Zygmuncie, i tę tragedję zaklął w formy klasyczne, greckie. A co wszystko pozaczynał, z czem się nie nosił!

Męczennik to życia i poezji; nastrojony pesymistycznie, mógłby o sobie powtórzyć to, co kładzie w usta Odyssowi:

W ojczyźnie własnej odnalazłem piekło...
Co było szczęściem kłamanem, uciekło.
Nic, nic poza mną; nic, nic, nic przede mną...
Noc wieczna pustką i ciemną.

Jedyna myśl, myśl boskie wiano.
Bodaj mi nigdy żyć nie było dano!

A takież przekleństwo rzuca życiu:

Niech nikt nad grobem mi nie płacze...
Za nic mi wasze łzy sobacze
I żal ten wasz zmyślony i t. d.

Nie ustaje w nawoływaniu narodu do czynu; nie może znieść hańby jego niewoli; „Polska to wielka rzecz", ależ jacyż mali jej synowie, więc chciałby ich porwać, nie znosi tej myśli, że nam jedynym nie dano tego, co wszyscy inni mają: wolnego, własnego państwa. Nie dożył on Piłsudskiego — w niego byłby się wcielił poeta.

Twórczość Wyspiańskiego bardzo jest nierówna; nawet tam albo właśnie tam, gdzie o ten sam motyw zahacza. Co za przepaść dzieli „Warszawiankę" od „Nocy Listopadowej"! Mści się też niejasność pomysłu, walka z wiatrakami w „Legjonie" i „Wyzwoleniu", gdzie romantyk romantyzm wyzywa i gromi Mickiewicza, upiornego wodza, on, który sam uprawiał upiorną poezję; myśl o śmierci szczególniej w ostatnich utworach nie opuszczała go. Utworzył arcydzieła, jego Arystofanowa komedja „Wesele", groza monumentalna „Klątwy", smutek przerażający „Warszawianki" ostaną na wieki a ileż porozsiewał różnych nadzwyczajnych piękności w utworach, niezadowalających jako całość; czy może być cudowniejsza a zarazem wznioślejsza modlitwa, jak modlitwa Konrada w „Wyzwoleniu", błagającego Boga:

Byś zawiódł z wędrówki długiej
Mój naród do Wszechmocy,
Byś dał, co mają inni...
Daj nam poczucie siły
I Polskę daj nam żywą...
Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi.
Niechże w nie duch twój wstąpi
I śpiące niech pobudzi....

Entuzjastyczny miłośnik muzyki, malarz i rzeźbiarz, mistrz słowa marzył, nowy Wagner, o połączeniu wszystkich sztuk i operowa kompozycja a malarska sceniczność cechują liczne jego dzieła; widziane na scenie działają nierównie silniej, niż w czytaniu. Z tą wielostronnością artysty łączył się niepospolity hart duszy, dumne spoglądanie na marności świeckie, idealny pęd ku zorzom przyszłości a nielitościwe smaganie i wyszydzanie braków

społeczesnych — gryzł on sercem. Wypiastował dramat ludowy w „Klątwie“ i w „Sędziach“, szczególniej pierwszy w formie posągowej, któremu nie dorównał Orkan, Kasprowicz, Maciejowski-Miciński („Marcin Luba“). W świat fantastyczny, ale ludowy zawsze jeszcze, w świat boginek i rusałek wstępujemy w jego „Legendzie“ (dwukrotnie opracowanej, ostatecznie go niezadowalającej) i w jego dramatach i rapsodach o Śmiałym i Skałce, gdzie się ścierają poniekąd resztki zmysłowego pogaństwa z nowym ascetyzmem, gdzie walczą ze sobą państwo mocarne z etyką katechizmową, dwa silne, upiorne duchy wrogie, dwie prawdy. Dalej rok 1831, w który mimo klęski wierzył, patrząc z niezmienną ufnością w przyszłość, kiedy wzejdzie po długiej zimie posiew Kory; należy jednak pożegnać mary samobójcze, zapatrzone w grobowce i stąd walka z owym marzycielskim, sennym romantyzmem, co się w mogiłach rozkochał, i nawoływanie do czynu. Sen wieszczy w „Akropolis“ to odrodzenie ku światłu; lecz nierównie dosadniejsza bywa satyra, co chłoszcze fałsze, maski, obłudy, co budzi ze spiączki wygodnej, chochołowej, galicyjskiej. A obok tego widzimy w niesłychanych u modernistów rozmiarach wskrzeszanie bohaterskiego świata greckiego, mitycznego; o czem roił Goethe („der letzte Homeride zu sein“), tego dopełnił Wyspiański, chociaż jako człowiek nowoczesny nie zawahał się heroom trojańskim (Hektor był jego ideałem) narzucać rozdarcie duszy nowoczesnej. Wystarczy porównać jego „Powrót Odyssa“ z Hauptmannowym, aby się przekonać o jego oryginalności, o swoistym czarze jego postaci; bezbrzeżna tęsknota, smutek niezgłębiony wabią, jak syreny; „dola, los, wieczna krzywda człowieka“ — oto główny jego refren.

Po Mickiewiczu i Słowackim największy to genjusz poetycki, najoryginalniejszy, rdzennie swojski, o niesłychanej tężyznie językowej, o pomysłach, nigdy przed nim nieobjawianych, lecz o formie zaniedbanej (nie miał czasu ni chęci piłować i gładzić; jego wiersz chropawy a rymy słabe), o spoistości przeważnie luźnej a myśli mętnej; jego dzieła, „Legjon“, „Wyzwolenie“, „Akropolis“, to same sny, nieraz z dowolnem, przypadkowem kojarzeniem obrazów i myśli, i „Wesele“ w drugim i trzecim akcie to tylko nasz „sen nocy zimowej“. Słowacki, mistrz Wyspiańskiego wychodzi od lektury, od Szekspira lub Dantego, Wyspiański od dzieł sztuki, od arasów wawelskich i posągów belwederskich, od trumny św. Stanisława i witrażów kościelnych. Jak Słowacki, zwraca i on

wzrok pełen grozy na otaczający świat, widzi go zawsze w świetle tragicznem, nigdy nie patrzy wesoło, swobodnie, wesołości nawet zrozumieć nie może; ale groza Słowackiego wyładowywała się we krwi mordów i w trzasku pożogi, jego groza odziała się w całuny śmierci i w upiorny strach, nietylko wtedy, gdy kościotrup („Na skalce") i trumnę („Bolesław Śmiały") wprowadza; i poza tem widmowa to poezja i ciągle miesza się sen z jawą.

Mimo rdzennej swojskości podlegał i on wpływom obcym. Oczarował go pseudoklasycyzm francuski, Atalja i Cyd, i retoryka panoszy się stale, nawet w nieodpowiedniem miejscu (Chłopicki w „Warszawiance" i i.). Ale znał i cenił równie dobrze nastrojowość Maeterlincka i symbolizm Ibsena; najbardziej zwyciężył go jednak francuski gotyk: kto u nas odczuł tak, jak on, czar tumu marjackiego, tumów w Chartres, Rheims? Z ich mroków wyszedł mroczny ton jego wierszów. Stronił od spółczesnych ów hardy samotnik, bo nienawidził ich, bo jego Polska to nie „wielka rzecz", lecz „wielki ból", a jego gniew na „podłość Polski" to gniew na jej niewolę i bezsilność. Zalatywał myślą w czasy pierwotne, silne, bohaterskie i sprzęgał w imię ich pierwotności ze światem prapiastowym świat pragrecki; uchylał się świadomie od arystokratycznej pogody, od konserwatywnego spokoju, od słoneczności homerowej, i odczuwał Grecję nie ateńską, a bardziej barbarzyńską, arkadyjską z wilkołakami i Erynjami; w braku zupełnym mitów słowiańsko-polskich, pogardzając zmyślonemi Świętowidami czy Zniczami, słusznie wprowadzał Pandory i Niki.

Ból Polski struł mu życie jeszcze za czasów zupełnego zdrowia i dlatego tak rzadkie są u niego przebłyski nadziei, ufności, szczęścia, czy kiedy we wczesnej alegorji „Daniela" sławi moc wieszczów, czy w parafrazie wspaniałej Veni Creator, czy w słowach natchnionych Kory, czy w symbolu triumfalnym, kończącym „Akropolis". Pesymizm, zgorzkniałość, walka z losem, wszechwładza śmierci („umrzeć musi, co ma żyć"), to nuta wyłączna jego pieśni, głęboko religijnej, o litość błagającej, ale jej nieoczekującej, całkiem prawowiernej, mimo wszelkich palingenetycznych zakusów. Obca tej pieśni wszelka erotyczność (raz tylko wcielił chuć w Laodamję); wystawia raczej szczęście rodzinne.

Pieśń jego oplotła Kraków i Wawel; bez nich jej nie można zrozumieć. Dla tego, kto nie był na Wawelu, „Akropolis" pozostanie zagadką; „Wesele" znowu powstać mogło tylko na gruncie galicyjskim i nie chciał go poeta, budzący nim ze snu swoich, wystawić

w Warszawie; w Warszawie też na nie ostro sarkano: tu, gdzie o narodowym obchodzie nawet myśl kiełkować nie śmiała, nie rozumiano poprostu owego pastwienia się nad galicyjskiemi szopkami narodowemi i malowankami i stąd urosła niechęć do poety i nie przypadkowo tu się znęcano nad „laurami Wyspiańskiego“ (chociaż prawda każe wyznać, że i w Krakowie domorośli pseudoklasycy Słowackiemu w czyścu za pokutę wiersze Wyspiańskiego do czytania dawali); tę niechęć widać nawet znacznie w dziele Kotarbińskiego, starającego się o największą przedmiotowość. Po wszelkich słabych próbach dawniejszych, Wasilewskiego i i., dopiero u Wyspiańskiego wkroczył Kraków w swe prawa poetyckie.

Nie przypadkowe to, ani dowolne, bo istotnie Młoda Polska na gruncie krakowskim dopiero okrzepła. Wyprzedził ją Miriam wydawaniem „Życia“ w Warszawie, ale Warszawa „kurjerkowa“, mniej poważna niż dzisiejsza, zupełnie zlekceważyła „Życie“; z Paryża potem głosili Miriam i Lange nową sztukę; punkt ciężkości jej działania przesunął się nad górny bieg Wisły. Po całych trzech stuleciach stanął wtedy Kraków po raz pierwszy znowu na czele ruchu umysłowego, mimo swej zaściankowości i małości, dla swoich tradycyj, zbiorów i obu Akademji przeznaczony na odrodzenie sztuki i słowa. I właśnie w Krakowie skupia się cała Młoda Polska, jako w jedynem wtedy rdzennie polskiem mieście, wolnem od obczyzny, około nowego „Życia“, gdzie Przybyszewski nad tekstem, a Wyspiański nad formą roztaczają opiekę, około teatru, gdzie Pawlikowski walczy o odnowienie repertuaru i wystawy. Była to chwila wyjątkowa, przemijająca; sztuka a nawet nauka tu obrały sobie niby wyłączne siedlisko. Nie mogło to starczyć na długo wobec małego świata krakowskiego, opuszczali więc wkońcu gród wawelski nietylko goście obcy jak Przybyszewski, ale i najrodowitsi, jak Nowaczyński, żegnali „Nowe Ateny“ na zawsze. Ale i około r. 1900 literatura piękna nie eśrodkowała się wyłącznie ani w Młodej Polsce ani w Krakowie.

Powtórzyło się zresztą z neoromantyzmem t. j. z romantyzmem, który przeszedł przez okres pozytywistyczny i realistyczny, to samo, co poprzednio spotkało falę romantyzmu. Jak w r. 1818 empiryk Śniadecki otwierał pochód przeciw bredniom metafizycznym i romantycznym, tak teraz idealista Struwe trąbił pobudkę przeciw anarchji duchów — z równym skutkiem. Liryka, wiersze epiczne i dramatyczne, powieść i dramat Młodej Polski krakowskiej, zasilone skutecznie powieścią Żeromskiego z Warszawy,

zwyciężyły, lecz zwycięstwo nie trwało zbyt długo. Upadek rewolucyjnego napięcia umysłów po r. 1905 „otrzeźwił“ u nas, jak w Rosji, umysły, które się wyrzekły politycznej a za nią i literackiej romantyki, spokojnie wróciły do koryta materjalizmu i głosiły znowu same hasła „pracy społecznej, uprzemysłowienia Polski“ i t. p. jak po r. 1870; ze sztuką pożegnały się a zamiast niej zbożnie piastowały kabaret z jego orgjami zmysłowemi. Jawnie wyrzekano się wszelkich ideałów i literatury, która je wbijała w mózgi i serca, i ten sam, który niedawno jeszcze należał do „wielbicieląt“ (wyraz szczęśliwie przez Belmonta ukuty) Wyspiańskiego, teraz śpiewał:

Gwiżdżę na waszą romantyczną trójcę,
Gdybym mógł, spaliłbym, jak kalif Omar,
Wszystko ich...
Gorszych niż wszystkie z zewnątrz zbójce,
Przez które naród, zgnięty ztyłu, pomarł...

w swym rozpędzie kabaretowym ani przypuszczając, że za parę lat odżyją wszelkie romantyczne „zapowietrzenie“, ale tym razem nie na papierze, lecz w czynie bohaterskim. Traciła więc Młoda Polska ledwo uzyskany kredyt i głosy puszczyków obywatelskości, „rozsądku“, dyscypliny duchowej przeciw obcemu nam rozkładowi, anarchji, „zarazie“ romantycznej rozbrzmiewały coraz donośniej; upadek literatury poważnej stawał się coraz widoczniejszy; po przedwczesnej śmierci Wyspiańskiego w r. 1907, niezastąpionego przez nikogo — ani przez wizjonera, ekstatycznego księdza Antoniego Szandlerowskiego, spajającego kapłaństwo z Bożenną-sztuką, ascetyzm z natchnieniem, wzywającego Parakleta do kruszenia więzów i stawiania nowego królestwa duchom — Młoda Polska zsuwała się powoli w przeszłość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

LITERATURA POTOCZNA.

Tło i działacze. Powieść i dramat. Krytyka. Tłumacze. Rok 1914. Zakończenie.

Lata 1890—1914 niby niczem nie różniły się od poprzednich; w trójdzielnej Polsce zostało niby wszystko po dawnemu. W Poznańskiem toczono walkę coraz zaciętszą z niemczeniem kraju i młodzieży; coraz bardziej utrudniało się zachowanie ziemi ojczystej, ale też budziło się coraz większe uświadomienie narodowe między mieszczaństwem i ludem a szerzyło się coraz widoczniej i na Prusy zachodnie i na Śląsk, skąd niebawem pierwszych posłów polskich do sejmów wysłano. W Królestwie nie zachwiały się niby rządy Hurki i Apuchtina, ale za nowego cara wyłaniały się nowe widoki i prądy, chociaż niebawem prysnęły doszczętnie ułudy ugodowców tak tu, jak i w Poznańskiem; zato wzmagał się ruch podziemny, nieludzko tłumiony, wybuchający za rewolucji rosyjskiej; wkońcu zduszony znowu opór bierny objawił się silnie w strajku szkolnym. Na kresach upadek siły narodowej był coraz jawniejszy, bo do walki z caratem przybywała coraz trudniejsza walka z separatyzmem, szczególniej litewskim, zajmującym coraz bardziej wrogie stanowisko wobec polskości kraju. I w Galicji wszystko niby pozostawało po dawnemu, tylko zaostrzała się coraz bardziej walka z nowym „ukrainizmem“, występującym z coraz większemi wymaganiami („za San“); stronnictwo konserwatywne wobec powszechności wyborów traciło na sile i wpływach; ludowe się wzmagało.

Słupy jednak graniczne w dziedzinie duchowej coraz mniej znaczyły; coraz ogólniej panowała jednolitsza myśl, postęp, ruch;

nie było mimo rozbieżności politycznej — bo każda dzielnica musiała dbać o swój stan posiadania, — dawnej rozbieżności ideowej. Już nie należało więcej dzielić literatury wedle dzielnic; mogło się Poznańskie słabiej do niej przyczyniać, wyczerpując siły w nierównej walce z Niemcami, mimo to wobec łatwości komunikacji — zjeżdżała przecież cała Polska do Zakopanego — wobec złagodzenia cenzury (nawet w Warszawie, gdzie szczególniej w r. 1905 i 1906 cenzura niby wodze z rąk wypuszczała), wobec rozszerzenia prasy, stawał się wspólny okrąg pracy umysłowej i na polu literatury pięknej coraz bardziej jednolity. Przyczyniały się do tego potężnie prądy polityczne, nieuznające granic celnych, paszportowych, cenzuralnych. Wszechpolacy, narodowa demokracja, endecy opanowali z Warszawy lwowskie „Słowo Polskie“ i zdobyli mimo oporu „galicyjskiego“ (szczególniej w zagadnieniu „ukraińskiem“) przynajmniej w prasie panowanie; obok ich nacjonalizmu, bratającego się choćby z konserwatyzmem i klerykalizmem, ogarniał ruch socjalistyczny, z początku kosmopolityczny, zczasem coraz bardziej narodowy, najdalsze kręgi; niebawem powstało hasło gotowania się do niechybnej europejskiej wojny. W idei, duchu, istniała już Wszechpolska, szydząca z trójlojalizmu, gotująca się do otwartego wystąpienia, zbierająca skarb narodowy i drużyny, narazie tylko sokole, potem i strzeleckie, bojowe. Mogli więc pisarze zdradzać przyzwyczajenia, tło, treść prowincjalną; mimo to znikła dawna zaściankowość, nawet taka Rodziewiczówna nie będzie przesiadywała tylko z Czertwanami pod Dewajtysem, jak swego czasu Orzeszkowa, lecz — mniejsza o to, z jakiem powodzeniem — rozglądnie się po całym świecie polskim. I chociaż Żeromski pisał tylko o „Obrzydłówku“ (w Warszawie czy na prowincji), jego walkę z szatanem, jego nakaz: czcij człowieka, rozumiano i we Lwowie i w Poznaniu.

Stała się więc literatura znowu zupełnie jednolitą i nie zachwycano się we Lwowie czemś, czego w Warszawie niktby ani czytał. Dalszą nową cechą tego okresu jest to, że literatura dzieli się stanowczo na piękną i naukową, które się więcej nie łączą w jednej osobie. Taki Szajnocha i Małecki, Łoziński i Szujski, nawet Bielowski i Przeździecki należeli do jednej i do drugiej, same czasy tego wymagały. Bogatszy, głębszy rozwój różniczkuje talenty; jeżeli się uwzględniało dawniej i naukę, szczególniej historyczną, jeżeli wcielało się byle jakie wydawnictwa dziejowe i do dziejów literatury (Niemcewicza jeszcze, Lelewela i i.), to odtąd

można śmiało w przedstawianiu literatury pięknej do niej się ściśle ograniczyć, pomijać nawet najbarwniejsze dzieła fachowe, naukowe, szkice Askenazego, Kochanowskiego, Konopczyńskiego, czy też bardziej ściśle Potkańskiego, Fijałka, Birkenmajera i tylu, tylu innych. Zwęża się więc, i słusznie, w naszem nawet przedstawieniu łożysko literatury narodowej.

W tej literaturze nie panuje wyłącznie Młoda Polska; obok niej, czasem nawet ze znaczniejszem o wiele powodzeniem nietylko u naiwnej publiczności, utrzymuje się w całej sile dawna, potoczna, nieszturmująca niebios, pełzająca najspokojniej po ziemi. Dla odcinków po dziennikach, dla miesięczników i tygodników, dla wypożyczalni książek płodzi się po dawnemu powieści i nowele w owych mitycznych czasach, kiedy to pieniądz miewał jeszcze wartość, a Gebethner płacił po sto rubli od tomu; na scenie roiło się od dramatów historycznych i komedyj nieobyczajowych; dla „dodatków“ niedzielnych pisywano niewinne liryki — wszystko w dawnym guście, realistycznie aż do naturalizmu, wedle reguł niby jak za czasów pseudoklasycznych. Ale z tej powodzi szarzyzny wybijają się silne talenty, interesują nas nowe, niezwykłe zagadnienia, treść niepospolita, szata modernistyczna.

Powieść nasza była realistyczną pod piórem Prusa i Sienkiewicza, ale realizm ich różnił się od spółczesnego, francuskiego. Literatura polska nie służyła, podobnie jak angielska i rosyjska, zmysłom i chuciom, była wstrzemięźliwa, czysta — więc, jeśli Sienkiewicz dotykał drastycznych rzeczy w „Rodzinie Połanieckich“, nie rozwałkowywał ich, jak Francuzi, Niemcy, Włosi, nie pomijał ich milczeniem, ale nie pozostawał w kałuży czy błocie. Prus chyba w „Faraonie“ folgował zmysłowości, przy czem za wymówkę służył temat egzotyczny, orjentalny; w polskich powieściach unikał wszystkiego, co wstrętne, nieczyste; zmienił się ten charakter od Przybyszewskiego, przedtem od Zapolskiej, jednak nie na długo.

Naturalizm Zapolskiej w „Kaśce Karjatydzie“, „We krwi“ był naleciałością obcą, naśladownictwem Zoli i to niezdarnem, bo polegał na obserwowaniu najdrobniejszych, nic nieznaczących szczegółów, nie wznosił się nigdy do syntezy albo symbolu: znaczenie poddasza warszawskiego czy ciupki lwowskiej nie urośnie nigdy i pod mikroskopijną obserwacją w *Ventre de Paris* albo *Au bonheur des Dames;* tak samo, gdy przyszła moda na sugestję, „Janka“ Zapolskiej aż do Paryża uciekła za studentem i tam zamarniała.

Nieco oryginalniejszym był realizm Sygietyńskiego; jego „Wysadzony z siodła“, dzieje butnego szlachcica, schodzącego na popychadło u córki-kokoty i żebrzącego o posadę oddźwiernego u jej uwodziciela, nie pozostawiał pod względem drastyczności szczegółów fizycznych nic do życzenia, tem bardziej chromała psychologja; później wydał Sygietyński tylko „Wrażenia“, szkice nowelistyczne, i oddawał się coraz wyłączniej krytyce i dziejom sztuki.

Realizm i naturalizm, ale reporterski, cechuje teraz liczne romanse Artura Gruszeckiego. Jest to mistrz w odnajdowaniu coraz nowych tematów, na ziemi i pod ziemią, w Warszawie i na prowincji, w salonach i na turfie, na Śląsku i Węgrzech, w Galicji i na Mazowszu. Pierwsze jego powieści, tendencyjne, z sfer ziemiańskich („Tuzy“, cukrownicy na prowincji) aż do wielkopańskich („Rugiwojscy“), nie przynosiły wiele nowego; to samo kreślili dawniej i lepiej Korzeniowski i Kraszewski. Dopiero od „Hutnika“ i „Kretów“ wpadł Gruszecki za mistrzem Zolą na właściwy swój tor. Ciężkie życie w hutach, wobec trujących wyziewów cynku, cięższe w kopalni węgla, głęboko pod ziemią zagrożone wodą i ogniem, wybuchem gazów i załamaniem się brył, uwidocznił w szeregu postaci hutników i górników, wystawionych do tego na nieludzkie zdzierstwo przedsiębiorców, żydów, sztygarów; nie oszczędził żadnej okropności w pożyciu „sularza“ Uracza i jego nieszczęsnej, znarowionej rodziny, w tragedji Pakosza i Butnego u Grotków; wszelkie szczegóły bytu górniczego, urządzeń kopalni, aż do wpływu, jaki wywiera ta denerwująca praca na ludzi, aż do ich wizjonerstwa, przesądów, gwałtowności, oddane są z największą troskliwością, na podstawie autopsji i notatek. Tak samo wystudjował autor „Szachrajów“ na giełdzie warszawskiej, żydów i Niemców, Strauchfelda, Salinau, Danborskich i innych, kroczących w pogoni za miljonami po drodze, usłanej trupami łatwowiernych ich ofiar. Zabierał głos w każdej aktualnej kwestji: walkę żywiołu polskiego z niemieckim na Śląsku przedstawiał nieraz w „Szarańczy“ i w „Zwyciężonych“ — ze zwyciężonych narazie mogą wyjść kiedyś zwycięzcy, silni swą solidarnością, chociaż wrogowie przemagają ich stokroć wpływami, zasobami materjalnemi i umysłowemi, całą potęgą państwową, silącą się na wynarodowienie.

Nawet poza Karpaty sięgnął Gruszecki, opisując w „W Tysiąc lat“ Węgrów, znęcających się nad Słowakami; między Słowakami — Węgrzy jego są wszyscy na jedno kopyto — rozróżniał ostroż-

nych, biernych, przedajnych, od gorącej młodzi, szarpiącej się do niewczesnego czynu. Gdy kreślił „Dla Miljona“, udał się do Borysławia, Drohobycza i Schodnicy, wszystko podpatrzył, obliczył, zważył i z lekką zmianą nazwisk albo i bez niej wystawił swoich Florjańskich, Krausbergów i Van Haechtów. Wobec tej gonitwy za aktualnością i dokładnością schodził artyzm na bok; autor zadowalał się byle konwencjonalną fabułą i doprowadzał ją byle jak do końca, albo raczej urywał wystrzałem z pistoletu czy spadnięciem cegły na głowę.

Tło bywało stale o wiele ciekawsze, niż sama fabuła i jej bohaterowie; miewał też Gruszecki świetne pomysły, chociaż nie wyzyskał ich należycie, owego „Nowego Obywatela“, Polaka, wracającego między swoich, niesharmonizowanego już z żywiołem rodzinnym, więc oskarżającego ten żywioł o nieszczerość, o brak serca, gdy sam tylko grzeszy brakiem wychowania i ogłady. Dobrym pomysłem była też historja o tem, jak mści się sprzęgnięcie owej pary, syna Strauchfeldów i córki Danborskich. Taka specjalizacja reporterska prowadzi wkońcu do tego, że Gąsiorowski dał „Pigularza“, t. j. powieść o farmaceutach i subjektach, jakby każde studjum fachowe, każda „ankieta“ musiała się koniecznie wyładować w powieść.

Do naturalistów zaliczano z powodu jaskrawości kolorytu i niewybredności wyrażeń **Adolfa Dygasińskiego**, nadto realistyczne obrazki sielskie („Dramata Lubądzkie“, dramaty chłopskie) usprawiedliwiały jako tako tę nazwę. Dygasiński to typ bardzo ciekawy, niezwykły; od nauki i pozytywizmu — był najgorliwszym jego wyznawcą — od popularyzowania wiedzy, od zakusów czysto pedagogicznych, wyzwoliły go i wkońcu natchnęły czystą poezją — zwierzęta! Inni bydlęcieją między ludźmi, on się przerodził w idealistę między wilkami i psami, zającami i mysikrólikami. Przyrodnika nęciła nietylko przyroda, Nadnidzie, chłopi, ale pilna, sympatyczna obserwacja życia zwierząt, nie dla prostych celów dydaktycznych — *haec fabula docet* — lecz dla „godów życia“, dla orzeźwienia siebie samego w odmładzającym stoku Żywy i Krasopani.

Więc przed Kiplingiem jeszcze sięgnął do tajników bytowania Butnych i Azorów, odczuwał ich walki i troski, smutki i radości i to, co wyczytał w księdze przyrody, tem nas obdarował, a więc życiem wróbli pod strzechą i kaczek na stawie, wiecznie przestraszonych zajęcy i wron, staczających z jastrzębiem walki.

W obserwacji doli chłopskiej zastąpią go, i lepiej i wyraziściej, inni, ale nikt nam nie zastąpi naszego Brehma-nowelisty. Opisywał on nawet zwierzęta przedpotopowe, pana „Jędrzeja Piszczalskiego“, z pysznemi sylwetkami bytu szlacheckiego przed uwłaszczeniem, z jego pieczeniarzami i gracjalistami, z fantazją i animuszem Panie Kochanku *en miniature*. W ostatniem, symbolicznem dziele, hymnie, wyśpiewanym na cześć przyrody, słońca i miłości, wrócił już nie do personifikacji, ale do apoteozy tej przyrody, i, gdy wyśpiewał „Gody życia“, śmierć mu wytrąciła pióro z rąk.

Był czas, kiedy z Dygasińskim walczył o wawrzyny w obserwacji doli chłopskiej i szlacheckiej **Klemens Junosza** (Szaniawski), którego życie, upływające w pośpiesznem, nadsilnem tworzeniu dla kawałka chleba, jest jeszcze cięższe, smutniejsze, niż dola Dygasińskiego. Płodność jego jest zatrważająca; niema mowy o pogłębieniu i stylizowaniu utworów. Ale i Junosza odwojował sobie specjalność, w której go również nikt nie wyręczy: specjalnością tą jest opisywanie żydów „pająków“, ich moralności i strategji, ich rzadkich upadków i stałych triumfów. Żyd, sama sól szlacheckiego bytu, bywał dotąd gościem na scenie i w powieści, epizodem, karykaturą; wyjątkowo, w celu ściśle społecznym, zajmowali się nim Niemcewicz i Orzeszkowa; jeszcze bardziej wyjątkowo zstępowano, jak Orzeszkowa i Zapolska, w szczegóły tego życia dla niego samego, jeżeli pominiemy literaturę żargonową, chociaż o polskich żydach traktującą, lecz, z powodu obcego języka, wyłączającą się z literatury polskiej — literaturę żargonową znał u nas jedyny Junosza. I Junoszę właściwie zajmuje nie żyd sam, żyd chederu i bożnicy, kahału i talmudu, w chałacie i patynkach, hussyt czy purec, lecz żyd-pijawka i żyd-nędzarz w zetknięciu z „Czarnem Blotem“ i z jego mieszkańcami, od czasów kwilenia w kolebce aż do spacerów pod kolumnadą karlsbadzką. Rzucił więc na papier nieskończony szereg tych postaci, od Łaciarza, przekonanego o tej jedynej prawdzie, że, jeżeli żyć chce, to spać nie może, a jeżeli spać, to mu się życia wyrzec wypadnie, aż do owych Gancpomaderów, Zwanzigów i Kaltkuglów, koniokradów, przemytników, podrabiaczów wszystkiego, od paszportów do antyków, lichwiarzów, spekulantów i giełdowców. Powija się im niekiedy noga; to chłop zrozpaczony uśmierci pięścią Chaskiela, to sąd nieraz zwinnemu działaczowi przez całe lata każe się szamotać w próżni; to inne nieszczęścia obalą się na maruderów — ale gros armji kroczy

zwycięsko po trupach chłopskich i szlacheckich do triumfu, do wyłowienia ostatniej kopiejki ze skurczonej dłoni chrześcijańskiej. I w pochodzie tym subtylizują się pokolenia: Gancpomader poznał się na wartości rubla, mając dopiero siedem lat, wnuk jego trzyletni już grywał w lombard; wytwarzają się filozofowie, jak Uszer Engelman, uczący ziomków, by zbyt silnie nie zdzierali, i dobrodzieje ludzkości, odpłacającej się im grubą niewdzięcznością, gdy stara się wydobywać z sieci Pająków.

Na cały ten świat, tak nam obcy a tak dla nas ważny, spogląda Junosza właściwie bez powziętego zgóry hasła antysemickiego; może to i nie jego jedynie wina, jeśli z tych niezliczonych, powtarzających się szkiców, noweli, powieści, przeziera tendencja. Junosza nie wypiera się nigdy współczucia ze szlachcicem-Syzyfem, uginającym się pod nieznośnem brzemieniem owych wiecznych, groźniejszych od trąby archanioła pytajników: skąd? jak? kiedy?; z chłopem, wyzyskiwanym koncertowo; z samym żydem-biedakiem, bo przecie nie dla wszystkich zastawione gody życia — i przez śmiech rabuszny, dowcip płaski czuć te łzy zatajone. Nie wchodzi on w głębie psychologiczne, nie splata fabuł, ale tworzy postacie żydowskie, ekonomskie, szlacheckie, albo choćby owego nauczyciela łaciny w „Czwartym“ i do umoru śmieszne i do łez poruszające.

Do wielkich utworów, o rozmiarach iście epicznych, wzniósł się naturalizm, wszechstronne, dokładne odtwarzanie samego życia, w dziełach **Wł. St. Reymonta.** Talent jego dojrzewał nadzwyczaj szybko, w ciągu sześciu, siedmiu lat wybił się na sam przód powieściopisarstwa. Powodzenie zawdzięczał Reymont szkicom z życia trup wędrownych, które znał jak najlepiej, i z pod strzech wieśniaczych, skąd sam wyszedł. „Komedjantka“ jego nie jest tylko zbiorem wzorków z trupy nieśmiertelnego „Samego“ „Capińskiego“; historję bohaterki dopowiadają „Fermenty“ i trwa to długo, nim panna Janka Orłowska wyburzy się doostatka z fermentów młodości, tęsknoty, niezadowolenia z płaskiego otoczenia, z artystycznych popędów, nim ta żona niesforna, a matka przykładna sfilistrzeje dotyla, że były jej towarzysz z sceny i wielbiciel nielada splunie i w świat ruszy na chłód i głód, byle daleko od niej i od jej atmosfery. A gdyby w „Fermentach“ były tylko typy, jej i najbliższych, Grzesikiewiczów, z którymi zżyć się nie może; ale stacja kolejowa, Bukowiec, skąd w świat ucieka i dokąd złamaną przywiodą napowrót, obfituje w tyle innych typów, ma-

njaków — ojciec jej przynajmniej umysłowo nieuleczalny, ale Zwierkowski np.! — historyczek, mamuś, siostruń, a opowiadanie pełne jest tylu epizodów, (pogrzeb Rochowej), tylu przepysznych obrazów lasu, jazdy sannami, że zapiera oddech, że niesposób nie podziwiać tego piętrzącego się aż nadmiaru bogactwa, tej niewyczerpanej siły twórczej autora.

Nadmiar ten fantazji, obserwacji, pamięci rozsadził nawet wiązanie następnej wielkiej powieści, „Ziemi obiecanej". Tłem jej „nasz Manchester", Łódź, jej życie przemysłowe, jej miljonerzy, Niemcy i żydzi, nasi dyrektorowie-dorobkiewicze i nasze ofiary wyzysku. Gdy w „Bawełnie" Kosiakiewicza sama fabryka, jej urządzenie, praca fabryczna są na pierwszym planie, u Reymonta rasy i narodowości, semicka, niemiecka, polska, owa trójka, Moryc, Baum i Borowiecki, a za nimi cała fala innych, łotrów wielkich i małych, lwic i samic najrozmaitszych, przewala się w rozpędzie epicznym przez wszystkie szczegóły życia łódzkiego, od buduarów miljonerek do piwiarni nocnych, od orgij z szampanem do opatrywania chorego chłopca na polu — w tym wirze głów, barw, głosów, ruchów, planów, podłości, słabostek, namiętności gubią się niemal rysy podstawowe; pasorzyty-epizody rosną kosztem całości w nieskończoność; *lodzermensch* Borowiecki przestaje nas zajmować swoją niesumiennością, bezczelnością, słabością woli w gruncie, samą żądzą użycia, górującą nad wszystkiem, wreszcie ostatecznem przeobrażeniem w filantropa z nudów i przesytu; zagłusza go ów rozgardjasz piekielny, ginie w olbrzymim, barwnym, jaskrawym aż nadto obrazie. Wrócił jeszcze raz Reymont do Capińskiego *et consortes* i przeanielił niemal uroczą Lili, odbijającą od tła najpospolitszego, najpoziomszego, okupując tę przesadę sylwetkami jej otoczenia, jedną pocieszniejszą i tragiczniejszą od drugiej; ale to chyba ostatni hołd złożony na ołtarzu Talji prowincjalnej.

Coraz bardziej nęcił go lud, występujący u niego dotąd epizodycznie (niezrównany opis pogrzebu i stypy w „Fermentach") lub w nowelach, z których najznakomitsza jest „Sprawiedliwie", zepsuta przy końcu efektami melodramatycznemi. Jak przedtem w epopei łódzkiej, tak teraz wystąpił w epopei chłopskiej, „Chłopi", najpełniej roztaczając taki obraz życia wiejskiego, jakiego dotąd literatura świata nie posiadała.

Ten pociąg do ludu, tak znamienny dla naszych poetów, triumfujący u Wyspiańskiego, nurtujący niegdyś w Sienkiewiczu, nim się przerodził w Homera szlachetczyzny, stał się osobliw-

szym tytułem chwały dla Reymonta. Niepożytą zasługą Reymonta jest to, że dał on poznać wieś, ciche jej dramaty i groźne konflikty, na tle przyrody, cudownie opisywanej, uchwyciwszy całą powagą i wszystkie słabostki naszych Piastów, nie, jak dotąd najczęściej bywało, z punktu widzenia ekonomskiego czy łyków, niemogących się dosyć nadziwić chamowi, lecz ze wnętrza wsi samej, w jej własnem oświetleniu, z najgłębszem wniknięciem w psychę chłopską, w rozmiarach, a nieraz i w stylu homerowym (w opisie Zaduszek, nieco fantastycznie wyolbrzymionym). Nie schodząc do tworzenia w gwarze wiejskiej, nie wahał się nawet w opisy i słowa swoje wplatać terminów chłopskich, powiedzeń w rodzaju „kiej", „nikiej", „se"; w rozmowach bohaterów skrupulatnie zachowywał ich język — ale również głęboko przejął się ich uczuciami, sposobem myślenia, poglądami na świat. Więc nietylko w Bronowicach schodzą do ludu, i w Warszawie potrafią go wyczuć i oddać — bez tendencji, takim, jak jest. Siłę Reymonta stanowi obserwacja, czysto epiczna, patrzy on i pisze obrazami, pełnemi życia — sam las żyje u niego, nietylko ludzie; humor mu nie obcy, chociaż częściej pióro jego trąci satyrą; studjuje dusze, lecz w analizy psychiczne wyjątkowo tylko się wdaje; synteza, symbol, idea mu obce; nieprześcigniony on zato w opisach. Po „Chłopach" (1909) talent osłabł; nie udał się cudacki „Wampir", a „Rok 1794" obfituje w przepyszne, zmysłowo drażniące sceny, ale całości nie tworzy, ducha epoki nie wyczerpywa.

Tego mistrza realizmu nie dosięgają inni, chociaż znacznie dawniej dosługujący się na polu literatury i również pewne sfery wyłącznie studjujący. Taki Marjan Gawalewicz obrał wielkie miasto, Warszawę, dawniej próbując najrozmaitszych tematów, nawet występując z dramatami i dopisując legendy o Matce Boskiej do ilustracji Stachiewicza. „Dwa pokolenia", „Mechesy", „Szubrawcy", „Warszawa" wreszcie to dla niego najbardziej znamienne w całym, pod względem liczbowym bardzo bogatym dorobku literackim. To przedstawił przemysłowców-Niemców we dwu pokoleniach, jak się asymilują z tubylcami, jak z własnemi cnotami kojarzą cnoty otoczenia, albo jak obcemi przywarami i miejscowych jeszcze zarażają; przechrztów ze wszelkiemi antagonizmami, nowemi i dawnemi; opinję publiczną, a raczej szubrawców, którzy ją u nas urabiają; życie warszawskie, po redakcjach, knajpach, salonach — lecz tu wyraził właśnie szczegóły raczej, choćby obojętne, niż samą treść. Wobec nadzwyczajnej jędrności stylu Reymonta czy Żeromskiego

razi jego rozwlekłość, jego ciągłe powtarzanie się; brak mu rzewności, głębokości, mocy, jego obrazy ciekawią, nie wzruszają, nie nawiązują się nici sympatji między bohaterami a czytelnikiem; ale obserwacja bystra i prawdziwa, nie waha się przed dotkliwą ironją w kreśleniu świata literackiego.

Obok tej wielkomiejskiej galerji tworzył oddawna Wincenty Kosiakiewicz swoją małomiejską, swoich „Gąsiorkowskich“ i „Łatkowskich“, „W małem miasteczku“, z prawdą, humorem, uczuciem; nie wytrwał jednak w wąskiej tej sferze, którą zresztą wcześnie i na świat dziecięcy — niegdyś też jego specjalność — rozszerzył; próbował sił w nowelach społecznych, nieraz wcale obszernych, np. „Plama“, albo artystycznych, choćby z obcego życia cyrkowego. I jego miłość zawiedziona zrobiła poetą; zadziwił poezjami, wcale wytwornemi co do formy, tętniącemi głębokiem uczuciem, goryczą, rozczarowaniem i nieudanym bólem.

Z szeregu feljetonistów przeszedł na pole powieściopisarstwa Stefan Krzywoszewski („Zmierzch“, „Pani Julja“), niedarmo wyćwiczony na mistrzach stylu, na Francuzach; żywo odbija od naszej domorosłej szarzyzny werwa, giętkość, barwność jego prozy; nie wyszedł ponad francuski temat trójkątu małżeńskiego, ale obrobił go wcale nieszablonowo: figury artystycznej kolonji polskiej w Paryżu odżyły pod jego piórem, a umie też obserwować na domowym gruncie; i w dramacie („Małe dusze“) sił próbował; najbardziej podobała się jednoaktówka („Piękna ogrodniczka“), większe rzeczy („Małe dusze“, „Tęcza“) nie zdobyły stałego powodzenia; wkońcu wrócił autor do publicystyki (wydawca bardzo poczytnego „Świata“).

Właśnie od jego stylu odbija styl A. Konara, patrzącego na świat przez szary pesymizm i piszącego tak, jak widzi. Znamiennym rysem wspólnym jego kreacyj powieściowych jest opuszczanie się jego bohaterów a raczej bohaterek, nie ich proste sfilistrzenie, jak w „Fermentach“ Reymonta, lecz spadanie z wyżyn rojeń czy sukcesu nieraz aż na samo dno życia; tak ginie po dniach triumfu artystka-śpiewaczka w „Jesieni“, tak wszystkie trzy „Siostry Malinowskie“, gdy wyleniały z cudzych piórek, okazały się sroczkami, i dobrze jeszcze, kiedy po starciu ułudy młodości i sentymentu uczciwość i dbałość matki rodziny przeważy ich fochy i dąsy; tak „Panny“ staczają się w grób czy na ulicę. Konar Warszawę zna i z niej czerpie swe pesymistyczne motywy z zabarwieniem saty-

rycznem; z jej światka mieszczańskiego i w dramacie („Gąsienice") brał wzorki.

Od realistów co do obserwacji, romantyków co do fabuły, bardzo niewybrednych co do wysłowienia, czasem wręcz niepoprawnych, roją się odcinki po dziennikach i książki po czytelniach, nie należą oni jednak do literatury; rzeczy hr. Wincentego Łosia, pisane z przerażającą łatwością, sklecone byle jak, ciekawe tylko dla typów z wielkiego świata, do którego należy sam autor; więcej nierównie temperamentu i prawdy miały powieści Abgar Sołtana (Abgarowicza) z życia szlachty podolskiej, z dokładną znajomością tego wesołego, hulaszczego światka („Klub Nietoperzy"); Kazimierz Rojan spłodził w krótkim przeciągu czasu dziesiątek tomów z życia towarzyskiego, lwowskiego („Dusze artystyczne", z strasznie dowolną „psychologją", z „kawałami", na jakie dziś czytelnika właściwie się już nie bierze, np. w „Muszce").

Już to u nas zwykle, wszystko jest naopak: milczą ci, którzy mają coś do powiedzenia, taki Ignacy Dąbrowski lub Wacław Berent; po świetnych początkach, zarzucali obaj na długi czas pióro; **Wacław Berent** wystąpił z bardzo realistycznym „Fachowcem": bohater jego, student, dał się wziąć na lep utyskiwaniom nad brakiem wykształconego robotnika; rzuciwszy więc studja, poszedł do fabryki i, choć nie ma „gryfu", wytrwa przy warsztacie i z inteligenta stoczy się powoli na robotnika-pijaka; nadzwyczaj ciekawy i subtelny autoreferat psuje się chyba tem, że ostatnich jego kart taki robotnik nie mógł już dopisać. Po latach wypłynął Berent w „Chimerze" jako modernista najczystszej wody: jego „Próchno" samym tytułem oznacza sferę artystów-schyłkowców, muzyków, malarzów, dziennikarzów, aktorów, trapionych głodem sławy, sceny, kobiety, albo fizycznym, chorych na brak woli albo na suchoty, na nadmiar autoanalizy, rozdmuchiwanie swych uczuć; wykolejeni z równowagi umysłowej, jeden drugiego coraz bardziej pogrąża, straszy, dręczy; szydzą ze świata, z siebie, aż kończą samobójstwem — jest tu i Nietzsche i Przybyszewski, wszelakie grzechy miłości i wyuzdanie zmysłowe na tle alkoholicznem, są wizje i symbole, ale jest i nadzwyczajny wysiłek umysłowy, styl błyskotliwy, kontrasty i paradoksy rażące, świetne charakterystyki tych dekadentów, a całość przejęta głębokim bolem, szczerym własnym niepokojem — czuje się prawdę tych bolesnych wyrzutów, zgrzytów sumienia, namiętnych skarg. Potem znowu zamilkł autor na długo, spolszczając znakomicie Nietzschego, aż w r. 1911 wystąpił

z „Oziminą“, dziejami jednej nocy balowej w salonie warszawskim, cuchnącym zmysłowością najpodrzędniejszej marki, dostosowywaniem się wygodnem do „życia“, wyrzekaniem się przeszłości i przyszłości: satyra to równie a raczej o wiele więcej cięta na „tokowisko“ warszawskie, niż na ową cyganerję artystyczną. Jeden i drugi romans zepsuty przy końcu wstawkami o nirwanie i o Apollinie-Dionizosie, ale „Ozimina“ wyprowadza przynajmniej czytelnika z buduaru na orzeźwiającą przechadzkę w mroźny poranek do aresztu. W obu powieściach („Ozimina“ właściwie nią nie jest) okazał się autor, nadzwyczaj przytem kulturalny, (co u naszych literatów wcale nie tak zwykłe) mistrzem wysłowienia, który formę, u nas byle jak traktowaną, wycyzelował do niesłychanej w naszej prozie okazałości i jędrności i upiększył ją blaskiem i najwyszukańszym przepychem.

Ignacy Dąbrowski zwrócił uwagę „Śmiercią“, pamiętnikiem ostatnich dni suchotnika, ważącego się między bezbrzeżną rozpaczą a złudną nadzieją; znajdziemy tu opis tego, jakie go myśli trapią, jakiej „taktyki“ wobec lekarzów czy przyjaciół używa; studjum to psychologiczne, przejęte miłością i głęboko wstrząsające; potem dawał tylko krótkie rzeczy i jakby się od słowa całkiem odwrócił, w czynie altruistycznym zadowolenia moralnego jedynie szukając; wracał do nowel.

Ze znaczeniem Reymonta zrównał się szybko a wnet prześcignął go nieskończenie Stefan Żeromski. Sztuka jego bynajmniej nie jest epiczna; nigdy on nie wprawia mas w ruch, nawet najobszerniejsza kompozycja rozpada się u niego na szereg szkiców nastrojowych, nieraz tylko wybuchów liryzmu, nieposuwających naprzód opowiadania, przerywających je — nie przedstawia więc epicznej całości. Poprzedziły je nowele i szkice. O fabułę mało chodziło; autor nie opowiada, a opisuje z nadzwyczajną drobiazgowością — lecz nie byle co, tylko to, co charakterystyczne, przyrodę, nie dla niej samej, ale dla dostrojenia jej do stanu dusz swoich wybranych. Nie pogardzi realizmem, choćby najwstrętniejszym — ale czytelnika nigdy nim nie urazi, bo odczuwa się niezbędność tego rysu czy obrazu. Pesymista napozór straszny, zgorzkniały; znęca się nad swymi bohaterami, prześladuje ich, nielitościwy, ale i ten pesymizm nie razi, podkładem jego nie jest bowiem szyderstwo, nienawiść czy zawiść, lecz głęboka miłość bliźniego, ból nad rozdarciem tego świata, nad niemożliwością służenia zarazem ideałom i szczęściu własnemu, najbardziej jednak

trapi go nasz Obrzydłówek moralny, nasza „samoniewola“, zdająca się bez walki na łaskę i niełaskę wroga, tchórzliwa, tylko o całość skóry dbała. Autor jednak w imię swych ideałów nie uznaje żadnych kompromisów, im poświęci wszystko: wdzięczność i przywiązanie synowskie, miłość wybranego dziewczęcia. Doktor Piotr wrócił do kraju; stary ojciec dla niego jednego żył, nawet ludzi krzywdził, aby mu środków niezbędnych dostarczać, i jest teraz u szczytu szczęścia; ale w chwili, kiedy syn domyślił się, na czyj koszt się chował, rzucił próg gościnny i, obarczony przekleństwem ojcowskiem, wyjechał znowu zagranicę, aby jak najrychlej pieniądze te zwrócić. Doktor Judym, acz z sercem rozdartem, rzuci swe wielkie szczęście osobiste, bo wie, że krępowałoby go w spełnianiu obowiązków. Jakżeśmy dalecy od wszelkich idyl Kraszewskiego i Orzeszkowej, Jeża i Sienkiewicza!

Demokrata to z przekonania, nie napokaz tylko swe zasady noszący; mózg i serce już ma tak nastrojone, inaczej myśleć, czuć ani potrafi. Roznamiętnia go więc wszelki widok wyzysku, niesprawiedliwości, ucisku — ale nie wybucha krzykiem, skargami, wyrzutami: jego Piotr nie traci nawet słówka; żona poczmistrza („Ananke“) rzuca męża, idzie z dziećmi w świat na najstraszniejszą nędzę, bez gestu niemal, nie może ani chwili zostać przy spodlonym, choć on się tylko dla niej i dla tych dzieci spodlił, jej czysta dusza nie zniesie dotknięcia brudu, ucieka przed nim wdal; i Judym nie kwili żałośnie — z zaciśniętemi ustami, by rykiem nie zdradzić bolu, idą oni w świat, aby *pełnić obowiązek*. Żeromski uczy nas właśnie tego pełnienia *obowiązku*, bez handelków i szachrajstw ze szczęściem, światem i z sobą samym, prostego, bezmyślnego niemal, a nie uczył nas tego żaden powieściopisarz przed nim, nas, którym taka nauka więcej potrzebna, niż komukolwiek innemu, którzyśmy na wszystko stworzeni, tylko nie na Katonów, stałem pobłażaniem sobie i innym najbardziej sobie szkodzący. I dlatego, mimo bezbrzeżnego smutku, wiejącego na nas z tych kart wymownych, bije w nich źródło prawdziwego pokrzepienia serc; gorycz to, ale gorycz uzdrawiająca dla żołądków, zepsutych cukierkami wzajemnej admiracji, ustępstw, miłości, pobłażania.

Temat, jaki Ibsen opracował we „Wrogu Ludu“, obrał i Żeromski w „Ludziach bezdomnych“. Że prawdziwy przyjaciel ludu (inni powiedzą — kusiciel ludu, i pod tym też tytułem Świeżawski ludowców wprowadził na scenę) musi być człowiekiem bezdom-

nym, tego domyślił się bohater Ibsenowski na końcu swej karjery; gdy już za późno, gdy omotany jest swą rodziną na rękach i nogach, woła *post festum*: człowiek musi być sam; doktor Judym od tego hasła zaczyna, nie zrazi go zdziwienie i sarkazmy kolegów, prowadzi walkę w zakładzie kąpielowym, a gotuje się do nowej w kopalni. Anioł, nie kobieta, przechodzi przez jego drogę, miłość usypia w nim na chwilę czujne sumienie; gotowe ono do kompromisu, ale przypadek je budzi; odkąd zaś p. dyrektora kopnął nogą do stawu, niema już dla Katona powrotu, i myśmy dumni z tego, chociaż nie chce się nam wierzyć, że nas nietylko stać na mazgajów Płoszowskich i filistrów Połanieckich, ale że i lwy Judymy między nami się rodzą — a jeżeli nas wzrok nie myli, to i w Joasi dostrzegamy coś więcej, niż gąskę i trusię, niż Anielę i Marynię. Judym to jedyny prawdziwy ideał, jaki nasza najnowsza beletrystyka wydała, nie Borowiecki to, ani Połaniecki, ani Wokulski. Że go szewcowa rodzi — a któż z nas bez winy?

To co do zasad — a wykonanie? Słusznym jest zarzut, że budowę mają „Bezdomni“ całkiem luźną, że się rzeczy pozornie wcale nie wiążą, np. rozdziały o bracie i bratowej, albo ów pamiętnik Joasi, że się w innych opowiadanie wcale nie posuwa — ale pomimo to są to utwory takiej piękności, że żadnej nie poświęcilibyśmy dla planu i całości; pamiętnik, niestety, pisał Żeromski, nie zdobyłaby się na niego żadna Joasia. Wszystkie opisy przyrody są pierwszorzędnej piękności. Styl niesłychanej jędrności, daleki od rozlewności Reymonta i Sienkiewicza; jego refleksje, wybuchy, opowiadania i opisy to nie letnia woda naszych powieściopisarzów, lejąca się bez końca, to ekstrakt jakiś czy kwas siarczany, żre i pali, burzy, nie uspokaja; dla większej wyrazistości nie obawia się autor wprowadzać prowincjonalizmów, wzbogacać mowy, broniącej się napróżno od nowotworów. Ale o treści i formie powtórzyłbym to, co Mickiewicz powiedział o Goszczyńskim; znać wpływ Dostojewskiego i Tołstoja — największy jednak wywarło życie, posępne, naprowadzające na smutne myśli, lubujące się niemal w zgryzotach, okropnościach, znajdujące ukojenie poza ludźmi na łonie przyrody, w którą się wpatrzył i wsłuchał artysta, z której jedynie wydobywa niezmącone, jasne obrazy.

I w „Popiołach“, powieści historycznej z czasów legjonów, występują te same zalety. Pierwszorzędna siła opisowa: walka z krą na Wiśle czy z wilkiem, szturm do Saragosy, gdzie każdy

dom zmienia się w fortecę z zasadzkami i zdrajcami, zdobywanie Sandomierza, aż do rewji wileńskiej przed Napoleonem — każdy obraz wpija się w pamięć plastyką i barwnością słowa a choćby i przerażającą okropnością szczegółów. I tu znowu marnieją najlepsze siły i serca, zmiażdżone nieubłaganym losem, szydzącym z zabiegów i planów ludzkich; powieść historyczna przeistacza się w jedno wielkie oskarżenie tej historji, która każdy żar tylko w popioły przetwarza; głębokiej ironji autorskiej, nieubłaganej analizy jego nie ukołyszą, nie złudzą żadne triumfy, żadne chwilowe powodzenia. Całości epicznej jednak nie stworzył: opowiadanie zbyt rozpada się na szereg luźnych obrazów — bez właściwego bohatera, wątku, spójni; każdy z tych obrazów natomiast porywa i olśniewa. I w następnych dziełach nie zadowala całość. W „Dziejach grzechu“ i w „Urodzie życia“ pierwsze tomy, o zbudzeniu się miłości w Ewie a o zbudzeniu uczuć polskich w zruszczonym oficerze, należą do cudów; ale autor nie zadowolił się niemi i zamiast zlitowania się nad Ewą — choćby ją był nawet uśmiercił — splugawił ją błotem drugiego tomu, a że drugi tom „Urody“, wcale nie urodziwy („urodliwyj“ powiedziałby Rosjanin) ten sam autor, co i pierwszy, napisał, temu nie uwierzyłby żaden czytelnik, gdyby nie poświadczał tytuł, a i tu nadomiar ironji nie topi autor swego bohatera, lecz go Prusakom na głowę zrzuca. Gdy czytasz Żeromskiego, brzęczy ci w uszach niby mucha naprzykrzona: na świecie tylko świniom dobrze się żyje — słowa Gogola, które widocznie niesłusznie odnosił tylko do Rosji Mikołajowej; wszystko, co piękne, szlachetne, wzniosłe, albo marnie ginie, popioły z niego, albo spadla się i poniewiera okropnie. Sięgał autor i do dalszej przeszłości, w „Walgierzu Udałym“, którego u nas wybryk kronikarski z Akwitanji-Tanji do Tyńca sprowadził, i w „Dumie o hetmanie“ (cecorskiej), obdzielając bohaterów swoich swojem ukorzeniem się przed losem, krzywdą i przebaczeniem chrześcijańskiem i swojem gniewliwem sarkaniem na nierząd; w obu razach cuda nietylko językowe tworzył; podobnie własne ideały zmagania się z życiem wystawił w niedramatycznym dramacie o księciu Sułkowskim. Nierównie bardziej wstrząsnął nas „niescenicznym dramatem“, „Różą“ (wydanym przez „Katerlę“ podobnie, jak i inne niecenzuralne nowele pisywał „Zych“) przedstawiającym z niesłychaną siłą przejścia r. 1905, znęcanie się siepaczów rosyjskich, męczeństwo „przestępców-romantyków“ i podłość to szpiegów, to towarzystwa. Z każdego dzieła Żeromskiego prze-

mawia protest najsilniejszy przeciw krzywdzeniu człowieka, gorące żądanie czczenia człowieka i nikt nie pełnił tak służby „obywatelskiej“, jak ten głosiciel stałej walki z szatanem, wewnętrznym i zewnętrznym. Nie dorównał mu nikt w mocy słowa, zbogacanego z źródeł dawnych i gwary ludowej; w barwności obrazów przyrody; w kreśleniu najpiękniejszych sielanek miłosnych, czarujących urokiem niewinności, a potęgowanych do żaru namiętności. Niezrównany ten realista przerzuca się jednak w utopje społeczne; wierzy w jakieś machiny, które zapewnią zwycięstwo; przeładowuje powieść rozprawami i dyskusjami na temat społeczny i obniża temi słabostkami cudowne wrażenie swej sztuki. Z powieściopisarzów nikt mu nie dorównał, ani satyrze jego gryzącej, ani hymnom, wyśpiewanym na cześć męczenników idei i ideałów.

Dwiema powieściami, „Żywotem i myślami Zygmunta Podfilipskiego“ i „Sprawą Dołęgi“ zdobył Weyssenhoff ogólne uznanie, choćby już dla subtelnej ironji, tak niezwykłej u nas, przyzwyczajonych do grubszych efektów; w „Podfilipskim“ odczuwał tę ironję i gruboskórny czytelnik. Sam Podfilipski, założyciel do istniejących oddawna na świecie fakultetów nowego „polskiego“ (czytaj „Polaczków“), nie bawił się w pamiętniki, ale wielbiciel jego cichy za niego je spisał i oddał mu niedźwiedzią przysługę, bo oświecił postać, której zawdzięczaliśmy podniesienie towarzyskości, europeizmu, słowem, propagandę kultury między barbarzyńcami i wstecznikami; zaczynamy spoglądać na nią z podejrzeniem i niedowierzaniem; mimo to ujęlibyśmy się nawet za nim i nie chcemy go za autorem pomawiać o łajdactwa (z Falbanką i Kutyłowiczem). Otóż ta *fine fleur* kosmopolityzmu, tak godnie reprezentująca naród w Monaco i na bulwarach, rozsiewa tyle mądrości życiowej, tak dyskretnie filtruje w nasze tępe łby prawdziwe pojęcia o patrjotyzmie, sztuce, wierze, pracy społecznej, że uciekamy, zatykając nos i uszy.

W „Sprawie Dołęgi“ ironja jest mniej dotykalna; z Podfilipskim prędko się sprawisz, chociaż my się ceremonjujemy i z szujami, ale mniej łatwo z wielkiem towarzystwem, — do którego i sam autor należał a nie podpatrywał go tylko przez dziurki od klucza, jak inni, mniej dystyngowani śmiertelnicy to zwykli czynić, — z śmietanką warską i z augurem, hrabią Karolem na czele! Wszystko to „pustokwiaty“, jak jedną z heroin w „Wojnie i Pokoju“ nazwał Tołstoj; owocu z nich nie będzie, i próżno Dołęga — też *lucus a non lucendo* — do akcji ich wzywa; pochodzić około

własnych interesów albo pobawić się w dyplomację i dać się na dudków wystrychnąć, zmarnować życie z elegancją i szykiem, pozować we wszystkich postawach — oto ich dążenia, na nic innego się nie zdobędą. W tym tonie zabójczej ironji utrzymywana jest też cała powieść, i nie wiemy, dlaczego Weyssenhoff kończy ją dysonansem, owym figlem, jaki płatają nerwy rozigrane księciu Andrzejowi, wyciągającemu ręce do „ziemi", jakby Ślimak z „Placówki". A drugi figiel to owe odwiedziny księżniczki Halszki u Dołęgi, taki niesłychany wybryk przeciw wszelkiej *tenue*, że trzeba całej powagi pana inżyniera, aby tej scenie zachować choć pozory *correct'u;* jemu choć nerwy nie grają, bo mogłaby się zabawka gorzej skończyć, niż z Hellówną. Nie wiadomo, co w tej powieści więcej podziwiać, czy naturalność, niewymuszoność tonu, niedostępnego nietylko naszym literatom, ale i Ohnetom i Quidom *e tutti quanti,* wprowadzającym na scenę lub do powieści niemożliwych arystokratów i magnatów; czy bystrość obserwacji; czy sztukę nadzwyczaj dyskretnych cieniów i półcieniów, uwypuklających każdą postać; czy ową prawdziwość, zdzierającą zasłony zarówno z Podfilipskich, jak i z warskiego towarzystwa. Judymowi w czarnej, burzliwej nocy błyszczy gwiazdeczka — przed Karolami i Andrzejami tylko próżnia i nicość, Okopy świętej Trójcy leżą tutaj obok Waru. „Syn marnotrawny", pochodzący ze sfery pokrewnej, przebywający w Nicei i Monaco, nie osiągnął już jednak takiego powodzenia, chociaż powieść ta jest zakrojona na obszerniejsze rozmiary a niektóre jej postaci są znakomite; nie lepiej, owszem gorzej wiodło się i dalszym powieściom, osnutym na tle politycznem 1905 r.; do tych powieści należą „Dni polityczne" (pana Budzisza) i „Hetmani"; „Litwę", „Unję", „Gromadę" poświęcił autor zagadnieniu narodowościowemu i społecznemu (na temat: z szlachtą t. j. z dworem lud). Odnosił nowe triumfy, gdy bez wszelkich zachcianek politycznych jako zawołany myśliwy przeszedł do kreślenia obrazów przyrody polskiej w „Sobolu i Pannie" i w „Puszczy"; te oddawał z nadzwyczajnym odczuciem, z plastyką i barwnością żywiołową.

Przyroda, ale osobliwsza, bo syberyjska, i stosunek do niej wygnańców i skazańców nieszczęsnych przykuła uwagę do szkiców i nowel najpierw **Adama Szymańskiego**, potem i **Sirki (Wacława Sieroszewskiego)**. U obu temat jest niby ten sam, wykonanie najodmienniejsze; u Szymańskiego Sybir nie żyje własnem życiem; żyją nasi, Maćki, Mazury, Srule z Lubartowa, Hanusie na tle sy-

birskiem, pożerani tęsknotą za swoimi, za krajem, wojujący daremnie z Bogiem, z niemiłosierną przyrodą, z ludźmi jeszcze straszniejszymi, z własnym upadkiem, w tragedjach cichych, przejmujących na tem tle borealnem. Wypukłość opowiadania, głęboka sympatja ku nieszczęśliwym, nowość tematu zapewniły Szymańskiemu wielkie powodzenie, lecz zamilkł po dwu tomach „Szkiców", przeszedł do pedagogiki i wyjątkowo tylko wracał do tematów syberyjskich a w „Aksinji" popuścił wodze fantazji etnograficznej o rzekomym polskim podkładzie w naturze wielkoruskiej.

Talent Sieroszewskiego, silny, zrównoważony, nie zna nerwów i histerji; więc nawet rzucony między Jakutów, nie złamie się ani ugnie, spojrzy grozie w oczy, weźmie się z nią za bary i wyjdzie triumfujący. W długoletnim pobycie poznał Sieroszewski kraj i ludzi: etnograficzne dzieło „Dwanaście lat w kraju Jakutów", świadczy znakomicie o talencie spostrzegawczym poety-etnografa. Stąd zaczerpnął treści do swych nowel, „W matni", „Na kresach lasów", „Czukcze", „Brzask", i stworzył ową nowelę etnograficzną, której dotąd nie mieliśmy, ubodzy nawet w właściwe i własne opisy podróży, skoro lekarz warszawski, Tripplin, niegdyś najhojniejszy ich dostawca, czerpał nie z własnych, lecz z obcych źródeł.

W obrazach Sieroszewskiego i przyroda sybirska i tubylcy jej oddani są z epiczną dokładnością i przedmiotowością; nie ukrywa autor poza jej grozą, poza zabójczem tchnieniem jej mrozów, majestatyczności i piękności rozlanych jej wód, jej szumiących lasów, a z pod dzikiej pierwotności jej plemion, wobec spustoszeń ospy i głodu, z pod nieufności i nienawiści, przebijają się pędy ludzkiego uczucia, poświęcenia i miłości bez granic. Sieroszewski pozostał malarzem egzotycznej przyrody, w „Risztau" wprowadził nas na szczyty kaukaskie — a dokonał przytem, tak mimochodem, i krytyki ewangelji o pracy ręcznej i rolnej Tołstoja — i nie wytrzymała ona tej krytyki; w powieściach chińskich, koreańskich i japońskich zaznajamiał nas z światem, którego, po dziełach lwowianina Boyma, po odezwach polskich Bogdychana Do Imcp. Nicefora Czernichowskiego w Mandżurji i XVII wieku, pióro polskie nie tykało.

Na pierwszy plan wysuwa się w szkicach Sieroszewskiego zawsze sama przyroda, w nieskończonej odmienności widoków, od tundr zlodowaciałych do rozkosznych gajów kaukaskich; ludzie bywają i sztafażem tylko na oryginalnem tle egzotycznej przyrody. Lecz i oni nabierają osobliwszego znaczenia: nie zadowala się

autor naszkicowaniem ich pobieżnem, zgłębia i te głowy naiwne i te serca czułe pod korą barbarzyństwa, uprzedzeń, nieufności, usprawiedliwionej aż nadto, i uwydatnia nam dramaty wstrząsające w walce z przyrodą i ludźmi, różnice społeczne, burzliwe namiętności. Z tubylcami mieszają się jego rodacy; oddaje równie dosadnie to, co z tego zetknięcia wynika: jak ułudy humanitarne rozwiewa nieubłagana rzeczywistość, jak się myśl i serce przekształca. Pokazuje nam nakoniec rozmaite typy nasze, europejskie, jak się w najbliższem życiu między sobą modyfikują, jak odzywają się w nich tęsknoty, dążenia, których nie zaspokoi nigdy ani sama przyroda, ani praca ręczna, pozostawiająca ducha marzeniom, odrywającym coraz bardziej od idyli egzotycznej w świat myśli i ludzi czynu, między swoich. I w ostatniem większem dziele, „Beniowskim“ (1916), romansie historycznym, obrazy sybirskiej przyrody są najciekawsze, najmocniejsze.

Historycznej powieści nikt z nowszych nie zdołał wydźwignąć na wyżyny „Trylogji“, „Quo Vadis“ i „Krzyżaków“, a nawet „Faraona“. Potęga artyzmu i realizmu Sienkiewiczowego wlała wprawdzie nowe życie w formy, jak się zdawało, ostatecznie przestarzałe; wzrosło zamiłowanie do nich; dzieła, poczęte nawet samoistnie, jeszcze przed pochodem triumfalnym „Trylogji“, niezawisłe od niego, teraz dopiero na widok publiczny ukazać się odważyły.

W krótkich odstępach pojawiły się prace Kaczkowskiego, stawiającego nadto wysokie żądania, krytykującego w ich imię wcale ostro „Ogniem i Mieczem“; lecz jego własnym pracom, mimo sumienności i obszerności studjów przygotowawczych, mimo rozległości widoków, brakowało rozmachu epickiego, jawnej wizji przeszłości, porywających wyobraźnię i uczucie obrazów i konfliktów.

Najpłodniejsi byli na tem polu — **Adam Krechowiecki** i **Teodor Jeske-Choiński.**

Krechowiecki, redaktor „Gazety Lwowskiej“ i jej „Przewodnika naukowego i literackiego“, próbujący sił w dramacie i w biografjach, Norwida, którego nie docenił, i Kaczkowskiego, natura artystyczna, człowiek wysokiej kultury, opisywał sferę, którą zna z obserwacji i współżycia, „Naszych najmłodszych“, artystów i arystokratów, w „Jestem“ malarzów i innych; w romansie historycznym zaczął od wieku XVII („Starostą Zygwulskim“, t. j. Djabłem Stadnickim) i po wycieczkach w średniowiecze z Maćkiem Borkowicem („Szary Wilk“, z nadmiernie nagromadzonemi okropnościami) i „Fiat lux“ (rzeczą okolicznościową, o Jadwidze i Jagielle z po-

wodu jubileuszu ich uniwersytetu) do XVII wieku wrócił. Zamiast trylogji dał tetralogję, chociaż ani na Ukrainę ani w szwedzkie ani tureckie walki głęboko nie wstępował; całkiem pochłonęły go sprawy pruskie i wyznaniowe, Kalkstein i Łyszczyński, czasy Michała i Sobieskiego. Jak w „Krzyżakach“ zakon, tak w tetralogji jego („O tron“) wielki kurfirszt w Królewcu przedstawia ową potęgę, zagrażającą bytowi Rzeczypospolitej, konsekwentną, nieubłaganą, mściwą, kryjącą się z zamiarami do czasu. Łyszczyński, alumn niegdyś jezuicki, potem mniemany ateusz, jego siostra, jej niefortunny konkurent, mszczący się na Łyszczyńskich, wystudjowani są wcale głęboko; niektóre figury epizodyczne, drab-bohater lwowski, Atelmaier, tryskają życiem — mieszczańska to replika Zagłoby, bardzo udatna; lecz w całości przeważa historja, podlewana tylko owym sosem romantycznym; i sam temat główny, Kalkstein-Łyszczyński, nie jest fortunnie wybrany ani najlepiej związany.

Choiński od krytyki przeszedł do romansów. Najwymowniejszy to i najbezwzględniejszy rzecznik konserwatyzmu a przeciwnik pozytywizmu — możeby go nawet czynił odpowiedzialnym za silne mrozy czy niski stan Wisły, wynika to przynajmniej ze „Złotego Runa“: bohater jego to podlec, póki w Büchnera wierzy, chociaż przyczyn podłości należy upatrywać nie w Büchnerze, tylko w „Polaczku“.

W szkicach i krytykach rozbijał w puch (wraz z Ładą-ks. Gnatowskim) pozytywistów, ich literaturę i ich ideały; w romansach i dramatach przedstawiał własne, bez osobliwszego powodzenia, nawet ze świata żydowskiego, coś na modłę „Uriela Akosty“; aż rzucił dzieje społeczne i poświęcił się dawnym oraz obcym. Powziął bądź co bądź myśl niezwykłą; zamierzał, współzawodnicząc z cyklami Kraszewskiego czy Freytaga, przedstawić przełomowe chwile dziejów ludzkości europejskiej, od przejawów chrześcijaństwa na tle rzymskiem aż do nowszych czasów. Wykonał kilka ustępów owej epopei: „Gasnące słońce“ zapowiada upadek starożytności, uginanie się jej nazewnątrz pod strasznym naciskiem barbarzyństwa, a rozsadzanie wewnątrz przez nową wiarę; z dziejów rzymskich zaczerpnął też treść „Ostatnich Rzymian“; potem w nagłym nieco przeskoku ze stulecia V w XI napisał „Tiarę i Koronę“ o Canossie, o Grzegorzu i Henryku; potem, bliżej, stworzył nowele prowansalskie z czasów i motywów trubadurskich. Autor studjuje owe epoki wcale sumiennie, opowiada nieraz zaj-

mująco, lecz nie umie wyzyskać efektów, ślizga się po powierzchni tonów właściwych z materjału nie dobywa, do rozmaitości sytuacji i osób dostroić się nie zdoła — głównie zaś nie udaje się mu wiązać należycie fabuły powieściowej z historją; toczą się one obok siebie, historja przeważa zupełnie nad powieścią.

Gorliwie opracowywał Wacław Gąsiorowski czasy napoleońskie, które u nas, mimo „Pana Tadeusza“, stale pomijano. Zaczął zawód beletrystyczny pod pseudonimem Jana Mieroszewicza rzeczami satyrycznemi („Zginęła głupota“, później „Zięć firmy Fajnbund i Sp.“), oryginalnemi, jak „Pamiętnik nowonarodzonego“ albo fachowem studjum o „Pigularzu“; po nowelach i obszernych powieściach („Rok 1809“) doszedł do „Huraganu“; wystudjował czasy owe aż do drobiazgów i z rozmachem epickim, po romantycznemu wikłając fabułę, je przedstawiał, lecz nie szło mu o Korsykanina, lecz o Poniatowskiego, Raszyn, hrabinę Walewską.

Bliższe czasy traktują powieściopisarze wyjątkowo; nowsze katastrofy nieraz dostarczają motywów, ale opracowanie bywa mało albo wcale nieliterackie; najnowsze stosunki, stan umysłów młodzieży galicyjskiej odtwarzali Alfred Nossig i Wilhelm Feldman; unieśmiertelniono nawet ugodowców warszawskich i ich akcję w dziełach „Sclavusa“; w „Podniebiu“ E. Paszkowski przedstawił propagandę ideową publicystów warszawskich, ludzi z poddasza, z wielką werwą, acz nieco stronniczo. Inne rodzaje powieści nie kwitną; dla powieści symbolicznej czy alegorycznej chwytają się wierszów. Humorystycznej powieści nikt umyślnie nie uprawia, nawet nowele humorystyczne należą u nas do rzadkich; przeważa satyra u Zygmunta Niedźwiedzkiego, nienawidzącego filistrów, przedrzeźniającego ich nielitościwie (choćby wtedy, gdy opisuje skrofulicznego redaktora i jego frazesy wobec kobiet Zulów, tryskających zdrowiem i siłą), wyładowującego zawody i żale swe w cięgach po grubej skórze i po odpowiedniej moralności „mydlarskiej“, przypominającego nieco Guy de Maupassanta.

Niezmąconą pogodą ducha, płynącym stąd humorem i nieodstępnym odeń optymizmem górował nad wszystkimi jedyny malujący w „słońcu“, **Sewer** ⟨**Ignacy Maciejowski**⟩. Bardzo późno zabrał się do literatury; rozpoczął „Obrazami Anglji“, gdzie przebywał długie lata, nim osiadł w Krakowie, a raczej na wsi pod Krakowem; dramaty z życia angielskiego („Pojedynek szlachetnych“, jedna z naszych pierwszych prac konkursowych) zjednały mu sławę, do tematów angielskich wracał nieraz i w ostatnich nowe-

lach. Ani Londyn ani Kraków nie były jego terenem; nowele, obszerne powieści, poświęcone ludowi krakowskiemu, żydkom nawet „nad Rudawą“, jego dramat, „Marcin Łuba“, jeden z najlepszych całego repertuaru „sielskiego“, okazały, że on potomek nieodrodny tych, których stary Bielski próżno nakłaniał do życia miejskiego. W dramacie przedstawił wstrząsający konflikt: do walki przeciw ojcu wyzyskiwaczowi stanie własny syn, wykształcony ludowiec, w obronie gminy pokona ojca kutwę, który się sam zabije; syn jednak nie zyska, a raczej postrada ufność tych, którym względy synowskie poświęcił. Lecz już „Dla świętej ziemi“, inny obrazek dramatyczny, wypadł pogodniej, chociaż namowy bogacza mogły poskutkować, a Antek wróciłby i bez pieniędzy; ta nuta wesoła, pogodna brzmi coraz donośniej w prozaicznych powieściach; Sewer widzi nędzę i nieszczęście i występki; cóż z tego, on wybiera same tematy „bajecznie kolorowe“. Lud i przyrodę ukochał i przeciw minorowym tonom spółczesnej literatury ujmował życie ze strony godów, nie pogrzebów.

Obok chłopka nęcili go artyści — wydawał przecież przez kilka kwartałów „Życie“ krakowskie dla naszych modernistów; więc, w „U progu sztuki“ i w innych przypatrywał się po Szutkiewiczu i Reymoncie i wędrownym komedjantom. Od ludowego i artystycznego tematu wyjątkowo w dalsze się sfery wymykał, gdy opisywał koleje Żyzmy, swego żydka z nad Rudawy, ale w kantorach i redakcjach było mu nieswojsko, stąpał po gruncie obcym wcale niepewnym krokiem. Głęboko wstrząsnęły nim przejścia ciężkie, zawody i katastrofy przyjaciela, Szczepanowskiego, i z innej strony, niż Gruszecki („Dla miljona“), w wielkim romansie „Ponad siły“ wystawił nieznużonego pracownika-idealistę na owem tle „naftowem“, poświęcającego wiedzę, siłę, środki dla stworzenia krajowi olbrzymich, zyskownych przedsięwzięć i upadającego pod brzemieniem nad siły. I to romans „historyczny“ — przewijają się w nim ciągle znane osobistości, od ministra-prezydenta do parlamentarjuszów i geszefciarzów. Postać to nadzwyczaj sympatyczna, właśnie z powodu tego optymizmu dalekiego od wszelkiej sentymentalności, podbijającego urokiem świeżości, młodości, ufnej w siły, w szczęście, wierzącej w ideały — chyba w szkole angielskiej, życiowej raczej, niż literackiej (bo Dickensa i innych wcale nie naśladuje), pozbył się pesymizmu, autoanalizy, stanowych przesądów; czasami jednak idealną strunę aż nadto przeciągnął, np. w dramacie „Duch Czasu“, wystawiając bohaterkę egzaltowaną,

raczej Judymowi do pary, niż poczciwemu, ale niedalekiemu, „dziedzicowi Będzińskiemu“, co do swej hrabiny powróci.

Obok tych głównych przedstawicieli powieści roi się, właśnie na jej polu, jako najdostępniejszem, od coraz nowych. Niepodobna przemilczeć Tadeusza Jaroszyńskiego, artysty-malarza, który zasłużył na uznanie „Chimerą“ (sztuką-wizją, której artysta barbarzyńca, Ordon, nie podoła, nie ucieleśni wymykającej się wykonaniu, technice) i „Miastem“ (tytuł zbyt obszerny dla fiasko erotycznego szanownego lekarza); postaci i sceny występują jak żywe. Jan Augustynowicz w „Księdzu Procie, historji ludzkiej“ przekroczył kardynalną zasadę naszą (Głupcze, o księżach dobrze mów — wołał jeszcze Słowacki) i wystawił sylwetki duchowieństwa parafjalnego wcale niebudujące, ale od tego starannego obrazka dalsze „Pociągnięcia pendzlem“ nie odbijały się korzystnie. Irzykowski wystąpił z pretensjonalnym, niby na umiejętnej psychologji (doświadczalnej) opartym „Pałubą“ i znużył czytelnika. Dalej zanotować należy Orsyda, kochającego się w nadto nierównych tonach; Orwicza, kreślącego z zamiłowaniem artystów (jak i Tetmajer lub Zbierzchowski); Grubińskiego i innych.

Starych torów powieściowych, idealizujących, romantycznych, szlacheckich, trzymają się nie autorowie, lecz autorki; w powieści jest o wiele znaczniejszy ich udział, niż w dramacie i poezji. Obok Konopnickiej i Zapolskiej, Orzeszkowej i Morzkowskiej, staje długi szereg nazwisk i pseudonimów: od przedwcześnie zgasłej Kazimiery Chłędowskiej, natury wysoce artystycznej, nerwowej, nerwowe bohaterki kreślącej z wielkim kunsztem, aż do również przedwcześnie zgasłej Marji Paprockiej lub Ludwiki Godlewskiej, poprzez nowele i powieści Kowerskiej, Suszczyńskiej, Walewskiej, Estei, Hajoty, Ostoi, Wandy Grot-Bęczkowskiej, Wójcickiej, Jeleńskiej. Mimo rozmaitości talentów i kierunków skupienie ich osobne nie jest przypadkowe ani dowolne. Mniejsza z tem, że nie pisują historycznych romansów, że przeważnie uprawiają nowele; wspólne mają zbyt łatwe idealizowanie, mianowicie bohaterów; świat męski znają za mało i nie mogą się weń wmyśleć; autor mężczyzna maluje kobiety trafniej, przyznają to panie same, do charakterów zaś mężczyzn, kreślonych przez nasze autorki, my się rzadziej przyznawać możemy. Wpadają więc łatwiej w przesadę; grzeszą nieraz patosem, deklamacją, sentymentalnością; główna ich wada — jednostronność: amory, erotyzm, uwicie gniazdka rodzinnego, na tem kończy się ich świat, zaczyna męski. Niedbałość w kompozycji,

rozwlekłość i wielomówność, brak artyzmu, nieraz i nadzwyczajna banalność, powszedniość fabuły i wystawienia — bywają ich pierworodnym grzechem. Na pociechę naszą stwierdzamy, że w innych literaturach bywa gorzej, że do tych braków przybywają inne, gorsze, np. wyuzdany cynizm.

A pociesza nas i jeszcze coś innego: autorki nasze, jakby wstępując w ślady Orzeszkowej, chociaż nieraz „Połanieccy“ u nich dominują, bronią najskuteczniej haseł rodzimych, tradycji i ogniska; nawet „feministki“ nie burzą niczego, nie hołdują żadnej „emancypacji“; to nie ich wina, że dochodzą tylko do wyznań, np. w takim rodzaju: „demoralizowaliśmy i ogłupialiśmy anioły-kobietki przez wieki, a teraz one nas demoralizują i ogłupiają... dla człowieka wyższego, który w teorji przyznaje kobietkom człowieczeństwo, są w praktyce kurki, koliberki, kotki“; że z słów tych brzmi nietylko „silna nuta rewindykacji“ jakiejś osobliwszej „etyki żeńskiej“, dowodzi fakt, że w całej Europie i u mężczyzn budzi się sumienie wobec dotychczasowego upodlenia kobiety.

Celniejsze miejsce w szeregu autorek zajmuje **Marja Rodziewiczówna**, niewyczerpana w pomysłach, produkująca z nadzwyczajną łatwością, okupująca braki stylu i kompozycji „tendencją“. Żywi kult silnych natur, trudu i obowiązku, i jej „Dewajtis“, Litwin wrosły w ziemię, jak dąb-olbrzym, zjednał jej odrazu serca. Podobnie wyidealizowała bohatera „Szarego Prochu“, zniemczałego napoły Litwina-Australczyka; nim ostatecznie zerwie z rodziną, jeszcze raz ją odwiedzi pan Lorenz, na ten szary proch z politowaniem patrząc, lecz budzą się instynkty przynależności, poświęcenia i ofiarności, i pozostanie Wawrzys między swoimi, jako jeden z ich przodowników. Satyry używa rzadko: najbardziej rozsrożyła się nad obywatelstwem galicyjskiem we „Lwie w sieci“.

Nie sprzyja emancypacji, owemu wywracaniu świata naopak, nadmiernej żądzy wiedzy u kobiet, mających strzec świętego ogniska domowego, rodzinnego (ciocia Skarszewska w „Kądzieli“). Poczciwość tendencji przebija w tych i wielu innych powieściach, gdzie obok mężczyzny, pełniącego obowiązek społeczny, wynoszącego znowu na wierzch ziemię, tonącą mu już pod nogami, kreśli obraz kobiecej miłości, cichej, pokornej, zrezygnowanej, wkońcu triumfującej, naśladując niby Zacharyasiewicza („Ona“, „Róża Jerychońska“, „Klejnot“). Że jej bohaterowie i bohaterki (ekonomówna Kazia z „Wrzosu“ z wiejskiej dziewczynki we wzór *grande dame* warszawskiej odrazu przeobrażona), dokazują i doświadczają

cudów, mniej razi, póki, jak Dewajtis i inni, trzymają się ziemi, stykają się z ludźmi i rzeczami znanemi, na gruncie poleskim i litewskim, imają się oburącz wytrwałej pracy około zagród i serc, wyrażają się swoją mową, ze wszelkiemi jej prowincjonalizmami. Lecz zmysł rzeczywistości opuszcza Rodziewiczównę, skoro się przenosi w sfery wielkopańskie i rozprawia o „Błękitnych“, o „Magnacie“, „Kwiecie Lotosu“ albo o awanturach ultraromantycznych (w „Ryngrafie“). Właściwą jej dziedziną pozostanie na zawsze wioska litewska z tradycyjnem w niej życiem, z pielęgnowaniem dawnych cnót i haseł, jakich nie zastąpią żadne modne; wycieczki w stosunki i światy fantastyczne, snucie niesłychanych awantur nigdy się jej nie udaje; nawet z konfliktu w „Nieoswojonych Ptakach“ (niedobranej parze z artystą cyganem) dobrze nie wybrnęła.

Najdzielniej władała piórem Ostoja. Styl jej w noweli jędrny, męski; nie bawi się w idealizacje, pesymistycznie nastrojona nie łudzi kolorowemi obrazkami, patrzy prawdzie życiowej śmiało w oczy, kreśli realistyczne i naturalistyczne szkice różnych zmarniałych ludzi, doli zwichniętej, w „Królowej“, samobójstwem opłacającej iluzje, niepogodzonej z losem. Daleko pozostają za nią Esteja i Hajota, ciekawe chyba wtedy, gdy obce ziemie (afrykańskie nowele Hajoty, romanse amerykańskie Estei) z wrażeń własnych odtwarzają, niewznoszące się ponad banalność na własnej niwie, chociaż Esteja w kilku większych powieściach, „Mgławicach“ i in., dorównywała i męskim talentom. Obszerne powieści Kowerskiej, Suszczyńskiej i Walewskiej okupywały tendencją braki, konwencjonalność fabuły i stylu; Walewska przypomina Gruszeckiego traktowaniem rzeczy aktualnych, stosunków polsko-niemieckich, życia służących. Z życia nauczycielek wydobył „Jan Świerk“ powieść spółczesną „Z szarej przędzy“: w pamiętniku nauczycielki wyłożono bardzo sympatycznie, ciekawie, pouczająco doświadczenia jej we wsi ruskiej, zacofanej strasznie, i podkrakowskiej, napełnionej już ludem fabrycznym, nieufność, jaką tu i tam musi zwalczać, dzieje tego, jak zaskarbia miłość powszechną; i tu doplątała się jednak sentymentalno-egzaltowana miłość dziedzica, odepchnięta przez nauczycielkę; stosunki z księdzem, dworem, z radą szkolną okręgową, z towarzyszami pracy przedstawiała autorka bardzo realnie.

Exterus (L. Godlewska) całkiem się oddała miłosnym przygodom, chociaż ostrej krytyki się nie wyrzekła, szczególniej w „Dobranych Parach“ szydząc z mężczyzn, łapiących się na

„Siostry Malinowskie“ tem bardziej, im więcej sami wykształceni i do wyższego życia dążą, pokutujących ciężko za zawód czy nieposłuszeństwo instynktowi, jakim się kierują różni najpośledniejszego gatunku epuzerowie, którzy najlepiej na tem wychodzą; najwymowniej wykazuje krótkozwroczność tych, co zadowalają się owem fatalnem trojakiem b *(belle, bonne, bête)* u kobiety i albo piekło sobie gotują, albo, ustępując, zsuwając się coraz niżej bez wiedzy i woli, wszelkich zasad i ideałów się wyprzysięgając, zagrzęzną w błocie. Marja Paprocka, zmarła jeszcze przedwcześniej, kreśliła przejścia panny, z pensjonatu czy klasztoru w świat wstępującej, jej złudzenia i rozczarowania. Najwyżej stanęła pani Z. Rygier-Nałkowska, autorka „Kobiet“, „Księcia“ i innych powieści z typami kobiety spółczesnej, intelektualistki, pragnącej się wyżyć jak najpełniej i najsamoistniej, nie wedle odwiecznego szablonu odaliski, kochanki, matki; wytworna natura autorki wyraża się równie wytwornym stylem; lecz górujący nad wszystkiem intelekt, jedynie uznawany i ceniony, nie udziela pełnego życia, krwi bujnej, jej bohaterkom i jej utworom.

Około powieściopisarzów pierwszorzędnych, Żeromskiego, Reymonta, Berenta, i drugorzędnych, Weyssenhoffa, Orkana, Sieroszewskiego, skupiło się nieprzejrzane grono mężczyzn i pań, uprawiających powieść, budzących nieraz pierwszym występem zaciekawienie i nadzieje, później niezisziczone (np. St. A. Mueller „Henrykiem Flisem“ z Drohobycza niby małej Łodzi wyniesionym i in.). Nie przeżyła się zupełnie nawet dawna powieść wierszowana; uprawiał ją np. Włodzimierz Wysocki, kijowianin, niby epigon ukrainizmu, a niby za Syrokomlą Józef Wierzbicki w Mińsku. Wysocki śpiewał o „Laszce“, bojach tatarskich i o tem, jak się pan Zdzisław z Tymkiem Czatym o jej rękę ubiegali; o „Oksanie“ i jej przerwanym romansie z „paniczem“ i o tem jak Oksana odda ostatnią przysługę skazańcowi; ale obok tego chłostał satyrą szlachtę. Wierzbicki, Podolanin, był krewnym obydwóch Rolle, ojca-lekarza i syna, którzy z nadzwyczajnym pietyzmem kreślili z niemałem powodzeniem obrazki kresowe, heroin i targowiczan, bałagułów i krzemieńczan; z archiwów rodzinnych i z tradycji miejscowej śpiewał i Wierzbicki o Podolu realistycznie po „chłopomańsku“ w „Hance“, w „Rajgrodzkim“ zaś przedstawił cichą tragedję, upadek starego domku, którego Rajgrodzki nie przeżyje, na zgliszczach zginie; w poezjach poruszał i zagadnienia społeczne; wkońcu, bez pożytku dla poezji, przerzucił się do Rapsodów

o walkach Słowian pomorskich z Germanami. Leopold Starzeński w „Gawędach starego myśliwca“ wyśmiewał nowomodnych strzelców i sporty, ale zarazem wyszydzał i porządki galicyjskie, wierszem i prozą, ujmując rodzimością tonu; kreślił znakomicie uciechy łowieckie i obrazy przyrody. W ten sposób była reprezentowana każda dzielnica prozą powieściową; prusko-polskie stosunki odmalowywał nadpłodny Maciej Wierzbiński, który jak i Sewer przybył z Anglji; Edward Paszkowski opisywał życie ukraińskie, podolskie; Kazimierz Zdziechowski wprowadzał Litwę, sam i współpracując z Orzeszkową.

Rewolucja 1905 r. znalazła swego epika w Andrzeju Strugu (Tadeuszu Gałeckim). I przed nim kreślili różni, Perzyński i in., obrazy socjalistów, robotników, ale raczej mimochodem; w „Hetmanach“ charakteryzował Weyssenhoff cały ruch jako intrygę żydowsko-bankierską a siebie samego grubo ośmieszył owem widmem-Piastem, snującym się w biały dzień po bruku warszawskim Dopiero Strug w nowelach i powieściach (od r. 1908 „Ludzie podziemni“, „Jutro“, „W twardej służbie“, „Dzieje jednego pocisku“ i in.) na zawsze odwojował zapomnieniu tych skazańców, męczenników idei, bezimiennych bohaterów, otoczył głęboką czcią i sympatją, pokazał przykłady niezrównanej tężyzny moralnej, pogardy śmierci i życia byle jak, poświęcenia nadludzkiego, mąk fizycznych i duchowych, trapiących jak zmora; wyidealizował t. j. zaświadczył prawdę o chłopach, robotnikach, inteligentach, idących na śmierć z bohaterstwem dawnych świętych. „Dzieje jednego pocisku“, wyrobionego w Paryżu przez „anarchistę“, przeznaczonego dla p. Skałłona na zamku, a kończącego najniefortunniej, bo najspokojniej w nurtach Wiślanych, możnaby pojąć i jako alegorję, ale Strug sam daleki jest od takiego pesymizmu; instynkt mu podpowiada, że te pociski-ofiary niestracone i wiara w ostateczne zwycięstwo tchnie z jego kart, malujących same katastrofy, zdrady, śledztwa, tortury umysłowe, obłęd więzienny, nieudałe pościgi, wstrząsających nerwami, imponujących. Sięgnął i do przeszłości, do „Ojców naszych“, do ofiar 1863 r. na Sybirze i w kraju; mimo szczegółów drastycznych czy wzruszających nie wzniósł się tak wysoko, jak w owych scenach warszawskiego podziemia i walki jego ze zdradą, szubienicą i zaprzaństwem; nikt mu nie dorównał na tem polu, chyba Żeromski-Katerla w luźnych scenach „Róży“, bez jej melodramatycznych pomysłów. Co za przestrzeń dzieli bohaterów Struga od staropolskiej tężyzny, niedalekiej

umysłowo, tem bardziej krzepkiej, szlacheckiej, wystawianej z nie małem powodzeniem w nowelach Zygm. Bartkiewicza.

Ale imię powieściopisarzów — to legjon i nie sposób ich wyczerpać, nawet trudno wymienić wszystkie prawdziwe talenty. Całkiem inaczej było na polu scenicznem, tu występów znacznie mniej, a zawodów znacznie więcej, bo to, co obiecywało, stale nie dopisywało, z różnych przyczyn.

Daniel Zgliński zamilkł rychło po „Jakóbie Warce“, zbyt bogatym w melodramatyczne efekty, niejasnym nieco, Ibsenowskim; Tadeusz Konczyński zainteresował „Otchłanią“, niesłusznie posądzano go o zużytkowanie świeżej wtedy katastrofy finansowej lwowskiej: była to rzecz przypadku, nieumyślna. „Otchłań“ pochłania Podosockiego, cynika, polującego na bank, na zagarnięcie wszelkich wpływów, ujęcie w swoje ręce steru spraw, finansów, polityki może i dyskredytującego wielkie dążenia niecnemi, podłemi środeczkami, oddającego się przytem cynicznej rozpuście, zdemaskowanego przez Katona-Hanusza, własnego teścia. Epizody doskonałe, dialogi krótkie, charakterystyczne; całości szkodzą nierówności w głównym charakterze, melodramatyczność wielu scen, teatralne nadto „czarne“ osoby i ich pognębienie. Następny dramat, „Kajetan Orug“, wcale nie był postępem; Orug to niby Wokulski, jest i Lalka, chociaż rzecz kończy się inaczej, wcale nie lepiej, zdradzając miejscami naiwność nadmierną. Ciekawszą była powieść, „Śladem tęsknoty“, studjum natury artystycznej, zachowującej się niby Goethe w Sessenheim; wkońcu zeszedł autor na dostawcę jednodniówek scenicznych i powieściowych. Stefan Krzywoszewski po powodzeniu „Ogrodniczki“ probował większych rzeczy („Małe dusze“). Maciej Szukiewicz próbował tematów Sudermannowskich w „Ułudzie“, lecz zwrócił się, spaliwszy na ołtarzu Maeterlincka tajemniczo-nastrojowy „Kwiat pleśni“, jak Tetmajer „Sfinksa“ albo Rydel „Matkę“, ku dramatowi symboliczno-alegorycznemu w „Arfie“. Arf to pochód wybranych ku ideałom, przerywany — zawsze na chwilę, nigdy na zawsze — odstępstwem od drogi, zwabieniem się na szatańskie ułudy zmysłowe; myśl sama dosyć pospolita, od Fausta wszystkich trapiąca, w mniej pospolite, lecz niebardzo wyraźne kształty odziana; zmysł dla motywów i scen ludowych wykazywał już fantastyczny „Śnieg“ z Mrozem i Zawieruchą, Szymonem i Magdą.

Powszechną uwagę zwrócił J. Kisielewski dwoma dramatami z światka krakowskiego, artystycznego i studenckiego, w zetknięciu

ich z filisterją. „W Sieci“ wystawił Julkę, młodziutką malarkę, talent oryginalny, kompromitującą całą swą przyszłość wyjściem zamąż za kochającego ją wprawdzie, zresztą dla jej sztuki najobojętniejszego „mydlarza“: ona zrzeka się ideałów, nie będzie już o głodzie i chłodzie marzyć i tworzyć obok ukochanego Jerzego, poety w duszy i życiu, nie wstanie, aby wydobyć się z sieci, którą w domu oplątała ją przezorna mamunia; spotyka się z Jerzym na maskaradzie, aby z nim przez czasy i liczby odmieniać *es war so schön gewesen, es hat nicht sollen sein;* pyszne tu typy epizodyczne; interesuje energiczny protest młodości i sztuki przeciw banalnej prozie życiowej i starczej zgryźliwości.

Inną katastrofę przedstawił w „Karykaturach“: młody Relski zawiązał sobie nieopatrznie życie; jego ułuda trwa krócej jeszcze, niż u Kiryłły Szukiewicza (w „Ułudzie“), bo też kontrast tu jeszcze większy między człowiekiem wykształconym, pełnym wyższych pragnień, a dziewczyną najprostszą — lecz, jak Kiryłło, pozostanie on sam na sam ze zwichniętym na zawsze losem; karykaturami są zarówno i koledzy jego i on sam, i tohu-wabohu schadzek studenckich, nadludzi, ludowców, artystów *in spe*, oddane przepysznie, jak i drugi okaz mieszczańskiej rodziny — mydlarzów. Lecz „Sonata Cierpienia“ nie powiodła się: taki tu stek okropności, coś niby z „Upiorów“ — córka śpiewaczka traci tu głos, jak tam syn rozum — powikłanych jeszcze zbrodniami z „Rosmersholmu“, nieszczęściami zewsząd, że widocznie przeibsenował autor, który niebawem zamilkł na zawsze.

Mniejszą jest sztuka Zofji Wójcickiej, kroczącej w „Dyletantach“ i „Psyche“ torami Kisielewskiego, przedstawiającej ten sam światek pseudoartystyczny w walce z otoczeniem i brakiem rzeczywistego talentu, ukrytego tam, gdzie go nikt nie dostrzegał, wydmuchiwanego napróżno u innych, światek początkujących nawet gimnazistów. Również dramat Kaweckiego, poczęty z najbliższej obserwacji, dał karykaturalne niemal udramatyzowanie anegdotki życiowej („Dramat Kaliny“): pomysł sam był świetny (budowanie dramatu życiowego dla sztucznego), lecz miejscami nadto naiwnie przeprowadzony; następne sztuki, wymęczone, nie miały życia scenicznego.

Ze starszych dramatyków należy również do dwu literatur lwowianin, **Alfred Nossig**, który dziełami dramatycznemi i powieściowemi porywał młodzież szczególniej postępową, póki nie wysunął się na czoło syjonizmu. Człowiek to nadzwyczajnej wielo-

stronności: publicysta, ekonomista (dla „rewizji“ socjalizmu nienawistny doktrynerom socjalistycznym), rzeźbiarz; oddawna po niemiecku pisuje, lecz stosunków z literaturą i z krajem naszym (pracując w sprawie żydowskiej w nowej Polsce) nie zerwał. Nawiązał je niegdyś deklamacyjną „Tragedją Myśli“ (Giordano Bruno i inkwizycja), napastowaną acz bez skutku przez c. k. prokuratorję; dramatem historycznym żydowskim, „Bar Kochbą“ (tu spotkał się z bardziej poetycznym, mniej scenicznym dramatem Faleńskiego), wolnym jeszcze zupełnie od zakusów syjonistycznych; najbardziej zaś powieścią lwowską (za przybycia cesarza do Lwowa w r. 1880), „Janem Prorokiem“, z szerokim rozmachem epicznym kreślącą życie młodzieży akademickiej i artystycznej i nurtujące tam prądy.

Na czoło produkcji dramatycznej, historyczno-narodowej, wysunął się **Adolf ‹Neuwert› Nowaczyński**, autor, zapowiadający się pierwotnie jako nadzwyczajnej siły i zarazem bezwzględności pamflecista i satyryk, nicujący w „sielankach“ i „facecjach sowizdrzalskich“ niemiłosiernie wszystko i wszystkich, literatów, publicystów, burżujów, w wycieczkach aż nadto osobistych, karykaturalnych, groteskowych. Poważniejsze były jego studja literackie, nieraz głębokie i trafne, o swoich i obcych modernistach, pisane świetnie, acz nie bez przesady i maniery („Wczasy literackie“). Od nowel i szkiców (w „Zwierciadle małpiem“), gdzie się i nad kawiarnianemi „kwiatami“ znęcał, przechodził do jednoaktówek kostycznych, pieprznych, zaczerpniętych z błotka galicyjskiego, — gdy nagle przerzucił się do przeszłości, pokolei na deski sceniczne wprowadzał Reja, (w szkicu i komedji babińskiej), Djabła Łańcuckiego, Węgierskiego, Samozwańca i t. d. Miał znaczne powodzenie, bo okazywał się w dramatach temperament silny, niewahający się przed żadnym środkiem; styl żywy, czasem aż nadto jaskrawy; wprawna ręka i oko dla efektów scenicznych; dziwne spoufalenie z ludźmi i czasami, przedstawianemi stale w zupełnym dezabilu, nie w pozie akademickiej, zawsze sztywnej; mniej szczęśliwy był w samym wyborze tematów, z których nie mógł wycisnąć tragicznej grozy czy ciekawej intrygi, bo jej nie było w założeniu. Najbardziej imponuje język, archaizujący szczęśliwie, aż nadto rubaszny, to znowu błyskotliwy, dowcipny, chociaż nie brak mu czasem i prostego przedrzeźniania. Od neurastenicznej produkcji pseudohistorycznych dramatów dramaty Nowaczyńskiego odcinają się werwą i stylem; żyłki satyrycznej nie utracił autor i w „historjach“, — tem one ciekawsze.

Jego „Car Samozwaniec“, „Wielki Fryderyk“, „Bóg Wojny“ nie mają wprawdzie wcale albo bardzo mało — akcji, bywają „Kroniką“ tylko, ale obrazy i dialogi tryskają życiem, autor wczuł i wmyślił się w te postacie i oddał ich ruchy, smak, mowę jak najtrafniej i najdosadniej; przepyszne to ilustracje ciekawych, ważnych dusz i działaczów dziejowych. Jak znakomicie wystylizował świat bojarski, jego służalczość, obłudę, głupotę a przeciwstawił im drapieżność i lekkomyślność polskich konkwistadorów, marzących o Doradzie moskiewskim dla złota i zbytku; nie jego to wina, że i tu i tam było głucho o „ideałach“. Ale autor nauczył się sam zbyt lekko traktować wszelkie ideały, gardzić niemi wobec prozy życiowej, poniżać je i wyśmiewać, np. w „Cyganerji Warszawskiej“, gdzie potępił wszelkie romantyczne zakusy owego kiwania palcem w bucie na Paszkiewicza i jego system i wysławiał jakieś niejasne wytrzeźwienie z czadu poezji. Wyraźniej wypowiedział się w „Nowych Atenach“, gdzie wykpił niemiłosiernie rodzinne gniazdo, jego uczonych (którzy przechodzą z okulistyki na sanskryt, bo ta katedra właśnie jest opróżniona), polityków, inteligentów, jego mądrość i moralność, i Amerykaninowi, p. Szelągowi (-Money — o to chodzi, to jedyny prawdziwy ideał!) ogromnie ułatwił zwycięstwo, ukoronowane obrzędowem amerykańskiem ucałowaniem chorągwi narodowej.

Talent to nadzwyczajny, ale nadużywa swych środków, mianowicie owych łamańców językowych, owego przekręcania stałego wszelakich wyrazów najpocieszniejszego z początku, wkońcu nużącego. Satyryk to pierwszej siły, lecz niezawsze trafnie obierał przedmiot satyry, a ten, co, zdawało się, wypowie zażartą walkę wszelkiemu filisterstwu, chyba już na dobre sam sfilistrzał, wyparł się własnych ideałów. Ciętem piórem ściga wszystko i wszystkich, którzy zasłużyli czemkolwiek na jego niełaskę.

Obok Kisielewskiego, Nowaczyńskiego, Zapolskiej, odbierających największe hołdy, stawali do konkursów dramatycznych coraz liczniejsi, lecz z wyjątkiem Rittnera i Perzyńskiego nie utrzymywali się na zdobytem wstępnym bojem stanowisku. Tadeusz Rittner, niegdyś napoły wiedeńczyk i pisujący dobrze w obu językach (naprzekór teorji, przeczącej temu), miewał pomysły ibsenowskie, np. „W małym domku“, gdzie żonobójcę sąd przysięgłych uwolnił a, sąd sumienia własnego skazał na śmierć; nie gardził początkowo grubemi efektami („Sąsiadka“, śmierć głodowa, nachodząca biedaków), w „Maszynie“ przedstawił zmorę biurokratyzmu,

potępiającą genjalnego poetę; najwyżej wzniósł się w „Głupim Jakóbie“, jedynym uczciwym między wszystkimi „mądrymi“ a w „Człowieku z budki suflera“ odarł z ułud poetę; wszystko, pisane gładko, dowcipnie i trafnie, w misternym nieraz dialogu, zawsze zajmie, nigdy nie porwie ani głębiej nie wzruszy. Perzyński przeciwnie działa samemi efektami; humorysta to prawdziwy, chociaż czasami humor jego gwałtownie jest naciągnięty, ale jakżeż wysoko wzniósł się ponad naiwności Wicka i Wacka i tym podobnych „pereł“ naszej domowej komedji! Pisuje i powieści („Michalik“ z Pepeesów i i.), pisywał i liryki niegdyś, ale na największe powodzenie słusznie zasłużył komedjami z pół- i całego świata, „Aszantką“ (dla temperamentu „afrykańskiego“ tak nazwaną — bardzo słusznie wobec chłodu Polek), „Siostrą lekkomyślną“, „Dziejami Józefa“ (starotestamentowego w buduarach bankierówien), „Idealistami“ (w sanatorjum, których tęgi „kąpielowy“ wyprowadza z ambarasu) i t. d. o sytuacjach nieraz nadzwyczaj dramatycznych. Nierównie mniejszy jest talent komiczny B. Gorczyńskiego, który nie wzniósł się ponad „Bagienko“ z życia studenterji warszawskiej, albo W. Grubińskiego, który uprawia wcale wyszukane tematy, spotykając się z Wedekindem. Perzyński zwycięża samym śmiechem, piętnuje nim „burżujów“, tamci są poważniejsi.

Wszyscy należą do najmłodszych, ale ilużby można wyliczyć tych starszych, którzy się na scenie nie utrzymali; W. Feldman z komedjami i dramatami, „Cień“ i i. (nawet z włoskiego odrodzenia); Krechowiecki, który po dramacie artystycznym napisał i socjalistyczny, „My“, a w nim w Hirze sportretował Daszyńskiego, za co socjaliści nie dopuścili do wykonania scenicznego (podobnie napisał Swieżawski „Kusicieli ludu“); Wł. Rabski po „Ascecie“, zwalczającym celibat księży, i po „Zwyciężonym“, którego piękne oczy zmusiły do kompromisów przeciw sumieniu własnemu, przeszedł z Poznania, gdzie bronił postępu przeciw klerykałom, do Warszawy, gdzie w „Kurjerze Warszawskim“ zawładnął berłem krytycznem. Krytycy dramatyczni miewają za sobą jeden lub więcej dramatów, niewystawionych na scenie, i mimowoli zbyt surową miarę stosują do innych autorów i dzieł.

Wytwórczości literackiej nie dotrzymywała kroku krytyczna; dopiero w ostatnich czasach oddają się jej powołane talenty, np. A. Siedlecki; Lorentowicz stale na szeroką skalę jej nie uprawia, chociaż w szkicach p. t. „Młoda Polska“ (trzy tomiki) trafne i piękne

kreślił sylwetki, zdradzające wzory i wpływy paryskie; krytyka literacka, z którą historja literatury nic nie ma wspólnego, winna sama być twórczą, być dziełem sztuki i smaku, nie zaś uczoności krytycznej. Tak pojęty całokształt literatury współczesnej, o co się różni kusili (A. Potocki, T. Grabowski przynajmniej co do poezji), stworzył jedyny Wilhelm Feldman którego nadmierna praca przedwcześnie zawiodła do grobu. Szóste wydanie jego „Współczesnej literatury polskiej“ (1919), poczynającej od r. 1863, pozostanie dla trafności sądu, piękności wysłowienia, szerokości poglądu najtrwalszym i najcenniejszym nabytkiem naszej literatury krytycznej na większą skalę, obejmującej całe epoki, nieograniczonej jednem dziełem czy pisarzem. Określił Feldman bystro, krótko, wzorowo: wpływy i wzory obce, podścielisko domowe, tło przemian politycznych i społecznych, ścieranie się idei i prądów, indywidualne właściwości pisarzów, stopę ich siły i talentu. Sam piastując wysokie ideały, wymaga ich od twórców i zdziera wszelki szych, frazeologje, pustotę; tępi wszelkie zakusy obskurantyzmu, zmurszałego konserwatyzmu, wyłączności stanowej; hołduje prawdziwemu postępowi; wytyka literaturze wzniosłe cele i niemiłosiernie smaga próżność, małostkowość, ale przedewszystkiem brak prawdziwego talentu.

Na krytyka na wielką skalę zapowiadał się wcześnie zmarły St. Brzozowski, który, podobnie jak i Feldman, nie z większem powodzeniem i jako powieściopisarz występował, kreśląc „Płomienie“ rewolucjonistów rosyjskich, których podziwiał, stawiał za wzór, nie godząc się na ekstowjańczyków ani na żadne mrzonki a pragnąc czynu; „Sam śród ludzi“ rozegrywa się w czasach polskiego hegeljaństwa. Ale krytykę uprawiał tylko w pierwszych występach literackich, pisząc o Wyspiańskim, Żeromskim, o współczesnej powieści i krytyce literackiej w Polsce. Z dzieła o największym rozgłosie, „Legendy Młodej Polski“, 1909, nie dowie się czytelnik niczego o tej Młodej Polsce; niema tam treści, jest tylko apoteoza nadzwyczaj wymowna, nieraz mglista, ręcznej pracy i budowanie nowego poglądu na świat, opartego o tę pracę. Talent to wielki; świadczą o tem i niektóre karty powieściowe, ale zbyt rychło się strawił w najprzykrzejszych warunkach życiowych i w ciągłej, niespokojnej pogoni za nowemi „przygodami“ myślowemi, niezrównoważony. Krytykę literacką uprawiali dorywczo wszyscy: i wytworni znawcy, jak Wł. Bogusławski, redaktor odnowionej po r. 1890 „Bibljoteki Warszawskiej“ (co za świetne studjum o „Bez Dogmatu“ lub

o „Podfilipskim“ i in.; najpoważniejszy to zarazem krytyk sceny warszawskiej), filologowie i historycy literatury, profesorowie i pedagogowie, Br. Chlebowski (w „Książce“ i gdzie indziej) G. Bem, Mazanowski (piorunujący na Młodą Polskę) i in.

Wyróżniał się między nimi przedewszystkiem obrazami z literatur obcych Ign. Matuszewski, autor „Swoich i obcych“; „Słowackiego i nowej sztuki“ — on pierwszy nas pouczył o „modernizmie“ Słowackiego — „Twórczości i twórców“; sięgał i do tematów wcale odległych, o których się wiele mówi a mało wie, jak „Djabeł w poezji“, „Czarnoksięstwo i medjumizm“. Jabłonowski najszerzej uwzględniał tę literaturę, o której się publicznie nigdy, z zasady, nie mówiło, a która tem silniej oddziaływała na duszę młodzieży polskiej w Królestwie, t. j. literaturę rosyjską i przed jej rozkładowemi wpływami przestrzegał a głęboko i trafnie określał różnicę między kulturą i umysłowością wschodnią i zachodnią. („Dookoła Sfinksa“; „Dwie Kultury“, „Maksim Gorkij“). O wpływach tych opowiada Marjan Zdziechowski. („Wpływy rosyjskie na duszę polską“, 1920), który — uczeń Łamańskiego prof. uniwersytetu petersburskiego — zaczął rozległą pracę literacką od studjum porównawczego o mesjanistach i sławianofilach, gdzie pierwszy od czasu panującego najpłytszego pozytywizmu w ocenie a raczej w litościwem potępianiu „obłędu“, „psychozy“ naszych wieszczów do głębszego wniknięcia nawrócił, co rozwinął dalej w „Byronie i jego wieku“. W tem dziele uwzględniał jeszcze formę dzieła, ale zczasem o tem zupełnie zapomniał, wyłącznie zajęty ideą; nie krytyk to już, lecz moralista, wyznawca i głosiciel neochrystjanizmu, omawiający z literatury angielskiej, francuskiej i włoskiej tylko dzieła treści pokrewnej, wielbiciel teologa-filozofa Sołowiowa i Tołstoja, gorący czciciel Towiańskiego, dążący do ideału moralnego; dzieła obce służą mu tylko do snucia własnych myśli o spójni z Bogiem, jedynie stanowiącej o wielkości człowieka — więc i Krasińskiego ceni nadewszystko („Wizja Krasińskiego“); w dwutomowem dziele: „Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa“ przedstawił szereg myślicieli-apostołów nowej Prawdy; nastrój autora coraz bardziej religijny, chociaż niekrępowany żadną prawowiernością. Tego religijnego żywiołu niema u Artura Górskiego, zachwyconego heroizmem duszy Mickiewiczowej i wysuwającego go na czoło narodu w entuzjastycznym hymnie „Monsalwatu“ (1908), opiewającym wielkość poety, który przeczuł inne czasy z ducha i nakreślił nowe tory pracy całej ludzkości, nie-

tylko wychodźtwu. Przez całe dzieje polskie („Ku czemu Polska szła") przyświeca, według Górskiego, humanitaryzm jako owa gwiazda przewodnia, a dowodzi tego nawet kosztem prawdy naukowej, marzenia i życzenia własne podstawiając zamiast faktów, nie licząc się z tłumem, wpatrzmy w ideę-ideał, wcielający je i w własną twórczość dramatyczną, w dialogi nieliczne i nieliczące się z życiem — zawsze wymowny, gorący poszukiwacz wyższej, jedynej prawdy. O krytyce literackiej niema u niego już i mowy; on buduje, jak Szczepanowski, nową Polskę, nowych ludzi dla czynu-natchnienia, wzorując się na Mickiewiczu-mistyku.

Innym rodzajem odstępstwa od krytyki literackiej jest krytyka impresjonistyczna, najbardziej subjektywna, podsuwająca własne wrażenia i uczucia omawianemu dziełu, snująca swe wizje piękna i prawdy około niego; wiele tu dowolności, ale i wiele wnikliwości; krytyk przemienia się w twórcę czy spółtwórcę i należy tylko żałować, że z górną jego fantazją niezawsze ściśle licuje dzieło — podkład owych fantazyj. Takimi bywali: Jan Sten (L. Bruner), Ostap Ortwin (również pseudonim), St. Lack; Cezary Jellenta, (Napoleon Hirszband), który, podobnie jak Górski Mickiewicza, tak on Słowackiego-druida sobie „skonstruował" t. j. wymarzył, gdy tamci najwięcej kusili się o Wyspiańskiego, dodając do jego zagadek własne.

Krytyk uwzględnia nietylko teorje estetyczne, winien znać przedewszystkiem i literatury obce; ogół znał je dawniej zbyt mało. Cofnęliśmy się nawet poza Rosjan, którzy w latach sześć- i siedemdziesiątych gorączkowo niemal przyswajali sobie wszelkich obcych wielkich poetów, między nimi i Mickiewicza. Lata 1890—1914 dopiero obfitują w tłumaczenia; znaczenie Miriama (Zenona Przesmyckiego) polega nie na jego własnej poezji, lecz na tem, że pierwszy zaznajomił ogół z Maeterlinckiem, z nową poezją francuską, począwszy od Baudelaire'a, z Poem, z kosmopolitami Czechami, Vrchlickim i Zeyerem. Roi się w tym czasie od przekładów, które pod względem techniki daleko za sobą pozostawiają wszelkie dawniejsze. Do najcelniejszych tłumaczów należą lwowski romanista, Ed. Porębowicz, tłumacz Dantego, „Don Juana" Byrona i nieskończonego szeregu głównie romańskich utworów, przeważnie ludowych, i lwowski teraz profesor literatury porównawczej, Kasprowicz, który znakomicie spolszcza i Greków i Anglików (Szekspira i i.); Porębowicz daje nie same przekłady, ale i głębokie a piękne studja o Św. Franciszku z Asyżu, o Dantem, o wpływie

baroku na naszą literaturę u A. Morsztyna, pisze w „Dziejach literatury powszechnej“ o literaturach romańskich, począwszy od XV wieku. A u nas dzieł podobnych bardzo niewiele; jedno z najpiękniejszych to Szaroty „Współczesna poezja francuska“ (1917), dalej Lorentowicza „Nowa Francja literacka“; nad wszystkiemi góruje wielotomowe dzieło Kazimierza Morawskiego o dziejach literatury rzymskiej; Morawski, dziś prezes naszej Akademji, mógłby podjąć wydawnictwo, które czeska zamierzyła: systematycznego przekładu literatury starożytnej, do czego przyczynił się własnemi, oryginalnemi przekładami z Sofoklesa; jemu zawdzięczamy i pomnikowe dzieje uniwersytetu Jagiellowego, głównie jego pierwszego wieku. Najwięcej tłumaczą u nas Francuzów, szczególnie nowych; dawnych, Moliera i i., spolszcza znakomicie Boy (Tadeusz Żeleński), wsławiony sztuką kabaretową, której w krakowskim Zielonym Baloniku pierwszy utworzył przybytek, a za sobą wywołał istną ich epidemję, grasującą do dziś.

Mniej tłumaczą Niemców, najczęściej Heinego, najmniej wartościowych Rosjan (nie mówimy o szopkach Gorkiego i Andrejewa); Królestwo czytało ich w oryginale, Galicja i Poznańskie pomijało, wystawiając w ten sposób sobie świadectwo ubóstwa umysłowego. O Włochach, Hiszpanach, Amerykanach bywa u nas zupełnie głucho. Na całem tem polu bardzośmy jeszcze zacofani; systematyczne bibljoteki dzieł literatury światowej prędzej czy później okażą się niezbędne. Lange pokusił się o wydawnictwo Eposu wszelkich czasów, od staroindyjskich począwszy, które dał w znacznem skróceniu; Homera (po Odyssei Siemieńskiego i i.) Iljadę Rydel tłumaczył, a Wyspiański nie w duchu homerowym, lecz podkrakowskim ilustrował.

Po pierwszym okresie literatury, Polski państwowej, drugi, literatury Polski rozbiorowej, zakończył się w roku 1914, a po przerwie czteroletniej rozpoczyna się trzeci, nowej Polski państwowej.

Rzeczywistość przewyższa najśmielsze marzenia. Gdy cesarstwa rozbiorowe stanęły do walki samobójczej, przewidywała logika, że będą zwycięzcy i zwyciężeni; rzeczywistość zmiotła przeciwnie, odrazu i na zawsze, wszystkie trzy cesarstwa i powstała Polska, acz nie w granicach 1772 r., zwężona, zato bardziej jednolita. W nowem państwie przypadnie literaturze pięknej nowy udział: już nie ona jedyna będzie na straży jedności narodowej, nie ona jedyna będzie podtrzymywała i wyrażała ducha; nie ona tylko będzie szukała, jak dotąd, wyjścia z ciemnicy na jaśnie, nie ona jedyna będzie dążyła do ocalenia plemienia i jego przyszłości. Wyzwolona od dotychczasowej troski o byt i życie, może spełniać właściwe swe posłannictwo i w tym też duchu wypowiedział się Żeromski w głośnym artykule „Literatura a życie polskie“ (1916 r.), którym wywołał rozprawy innych na ten sam temat.

Ale literatura piękna służbę obywatelską zawsze pełnić będzie. Za czasów świata starożytnego pełniła ją sama nauka-wiedza; utożsamiano je niemal z moralnością i etyką, mądry nie mógł być złym, ani zły mądrym. Gdy się jednak wiedza pogłębiła, rozszerzyła, zróżniczkowała, rozeszły się drogi jej i etyki, i dziś nic nie mają wspólnego. Lecz literatura piękna zachowała dawny przywilej; skoro nie nadużywa się jej dla tendencji partyjnej, dla podrażnienia zmysłowości, dla pustego śmiechu i trwonienia czasu (a prawdziwa literatura do tego wszystkiego się nie przyznaje), działa ona wprost uszlachetniająco, bo podnosi poziom umysłowy, bo wskazuje zawsze ideał, bo odwraca wzrok od wyłącznej niskiej troski codziennej, bo przypomina człowiekowi, że nietylko jest

ciałem, bo budzi tęsknotę choćby zaświatową, w nieskończoność, bezmiar. Im znaczniejsze dzieło sztuki, tem silniej wyłania się w niem ten pierwiastek niby transcendentalny, metafizyczny. A która sztuka starała się więcej przeanielić zjadaczów chleba niż właśnie polska, która z swej natury i z natury rzeczy nie mogła się nigdy zadowolić tem, co jest, nie uznawała tego, liczyła siły na zamiary. Mimo tego szczytnego posłannictwa poruszyć tu należy inne pytanie: dlaczego mianowicie ta literatura tak mało u innych znana jest i ceniona, jeśli nie u Czechów ani nie u Rosjan, to wogóle, w świecie pozasłowiańskim? I różnie na to odpowiadano, nie przecząc samemu faktowi. Cudzoziemca interesuje Mickiewicz, „Nieboska", „Irydjon", Sienkiewicz i Orzeszkowa; Słowacki jest mu obcy, obojętny — Wyspiański niezrozumiały — i co do uznania w świecie, ukochania, wpływu, nasza literatura współzawodniczyć z rosyjską w żaden sposób nie może. Przyczynę tego przypisują jej wyłączności narodowej; obcy byli niby przekonani, że poezja polska to polityka zakapturzona, więc omijali ją; nowego jej słowahasła nie rozumieli, widzieli tylko naśladownictwo form ustalonych, nie pytali o ducha, mniej ciekawi literatury narodu bez własnej państwowości. Nie da się zaprzeczyć, że literatura nasza raczej tylko wyjątkowo wychylała się za granice plemienne, ale te granice są tak szerokie, że o żadnej małostkowości nie może być mowy; z rosyjską nie było inaczej, a raczej nawet gorzej jeszcze. Czech, taki Vrchlicki, Zeyer, Brzezina, jeżeli nie chce ugrzązć w samych drobiazgach, musi szczupły swój kraik, co przez dwa wieki własnych dziejów się wyrzekał opuścić — Polak tego nie potrzebuje, bo jego Polska rozmiarami w przestrzeni i czasie wszelkim innym jest równa i nie ogranicza się etnograficznem podłożem. Właśnie w XIX wieku powtórzyło się widowisko z XVIII, jakto okrainy najlepszemi siłami wzmagały ruch umysłowy; unja lubelska zwyciężyła właśnie na polu literatury narodowej. Czego nie przyniosła Litwa i Ruś? Czy Litwa nie etnograficzna — bo ta do dzisiejszego dnia nie wydała żadnego większego talentu, ma tylko wierszorobów i dostawców tuzinkowych powieści (jedyny wybitny liryk, Iurgis Baltruszaitis, należy wyłącznie do literatury rosyjskiej) — ale Litwa czarno- i białoruska nie wydała Mickiewicza, Kondratowicza i tylu innych aż do Orzeszkowej; a Wołyń i Podole? Malczewski, Zaleski, Czajkowski, Goszczyński, Sowiński i tylu innych właśnie z tych okrain pochodzą. W XVIII i początkach XIX w. ziemia mazowiecka i wielkopolska, zdawało się, trzymają się

ak w poprzednich, niby na uboczu i tylko Małopolska odegrywa rolę w ruchu umysłowym, ale właśnie w ciągu XIX w. odwojowała Warszawa a za nią Wielkopolska wybitne stanowisko, zacierając wszelkie różnice dzielnicowe. Czerpie więc literatura soki i siły żywotne zewsząd, a czyż nie przyświeca ludzkości jej pęd heroiczny, nieuznawanie gwałtu, niepoddawanie się jarzmu? Gdzież bardziej sławiono poświęcenie, bohaterstwo a potępiano wszelkie zaprzaństwo? I któraż inna literatura takie służby oddała swemu narodowi, jak nasza? Dochowała przecież do pomyślniejszych czasów światło poczucia narodowego; uchroniła je przed zagaśnięciem; podniecała je własnym żarem; walką na pióro, gdzie siła brutalna nie rozstrzyga, zastąpiła walkę inną, nierówną, orężną: to był jej cel i zadanie, wypełnione świetnie. Dziś, kiedy mroki niewoli na zawsze się rozsunęły, możemy ocenić doniosłość tej służby obywatelskiej. Ona stanowi podkład i cechę i naszej nowej literatury; nie chodziło o samą estetyczną rozrywkę ani o bezinteresowne hołdy, składane pięknu, przepojona duchem patrjotycznym, wypełniała literatura obowiązki, jakie w szczęśliwszych społeczeństwach nie ciężą wyłącznie na jej barkach. Odmiennie pojmowano często tory pracy narodowej — ale cel przyświecał wszystkim jednaki.

Po utracie bytu politycznego, nie wyrobiwszy wielkiej literatury narodowej przedtem, póki państwo narodowe istniało, stworzyliśmy ją dopiero teraz. Utraty owego bytu nie zrównoważyła wprawdzie żadna literatura, sztuka, umiejętność; ta strata utrudniała nadzwyczaj pracę, stawiała nas zgóry w warunki najniekorzystniejsze. Ale chociaż w gronie politycznem narodów nie zabieraliśmy głosu, nie mieliśmy w niem odrębnych przedstawicieli, mimo to podnosił się głos nasz coraz donośniej na szerszej arenie. Zawdzięczaliśmy to naszej sztuce — o której w tej książce nie było mowy — i naszej literaturze, której rozwój staraliśmy się przedstawić.

Niezrażona żadnemi przeciwnościami, podjęła ta literatura pracę wieków ubiegłych; zasilona nowemi sokami, wydała z siebie niebawem pędy olbrzymie, strzelające ku romantycznemu niebu, nieśmiertelnie wielkie i piękne. Pragnienia jej i proroctwa mesjanistyczne zawodziły — nie u nas zresztą jedynych — rozwój świata toczył się innemi torami; mimo to nie utraciły znaczenia jej ideały i jej służba tym ideałom. W niej wyrosła nasza górna literatura, a cechą jej najbardziej znamienną jest płomienny patrjotyzm. I nie zatarła się ta cecha ani później, gdy romantyzm i mesjanizm

ustąpiły nowym prądom, gdy w zmienionych warunkach powstawała najnowsza literatura.

Znamionuje ją nadzwyczajna ilość, wartość, blask talentów; nawet tak ekskluzywne literatury, jak francuska i włoska, i tak dalekie, jak amerykańska, wcielają coraz obficiej płody jej między własne. Znamionuje ją nietylko świetność, lecz i czystość jej szat: nie zdołały jej zabrukać nawet szały erotyzmu modernistycznego, przeszczepionego na nasz grunt; czystość ta z pruderją niewczesną nic niema spólnego, nie wyklucza bynajmniej realizmu i naturalizmu. Znamionuje ją służba gorliwa ideałom społecznym i narodowym, miłość bliźniego, podporządkowanie interesów osobistych ogólnym, okupywanie dawnych błędów i grzechów. Znamionuje ją coraz silniejsze przejmowanie się sprawami, już nie narodowemi tylko, lecz ludowemi, demokratyzacja idei i ludzi. Jako najswobodniejszą, najzupełniejszą wyrazicielkę naszej spólnej pracy umysłowej, cenimy literaturę wyżej, niż inne narody, a za służbę niepokalaną winniśmy jej wdzięczność, której wyrazem, niezupełnym i nieudolnym, jest i ta książka.

KONIEC.

DODATEK BIBLJOGRAFICZNY.

I. Poezja i proza beletrystyczna XIX. wieku celuje tylu wydaniami, luźnemi i zbiorowemi, nawet zagranicznemi (Brockhausa w Lipsku „Bibljoteka Polska"), że niesposób ich wyliczać. Wystarczy wskazać, że posiadamy mniej lub więcej zupełne zbiory pism niemal każdego wybitniejszego nieco pisarza, od Anczyca począwszy (Życie i pisma, 6 tomów, 1908 r.) a skończywszy na Pismach Zebranych C. Norwida, wydawanych z nadzwyczajnym pietyzmem i niesłychaną u nas starannością co do objaśnień zagadek Norwidowych przez odkrywcę jego, Zenona Przesmyckiego, który pierwszy ciężko od ludzi i losu skrzywdzonemu sprawiedliwość wymierzył. Takie jednak wydania bywają (Norwidowe jeszcze końca nie dobiegło) białym krukiem; przeważną ich część puszcza w obieg zwykła spekulacja księgarska, zestawiająca nieraz byle jak pisma Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, W. Pola, Syrokomli, Brodzińskiego, Felińskiego i t. d., rzadko dbająca o zupełność a jeszcze rzadziej o poprawność tekstu; nawet wydania Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa nie przekraczają granic najpospolitszej przeciętności. Tylko z dziełami wielkich wieszczów narodowych (oprócz Wyspiańskiego, oczekującego napróżno od lat na zbiorowe wydanie) ma się rzecz inaczej, lepiej i tylko o nich wspomnimy osobno.

Monumentalnego wydania Mickiewicza podjęło się lwowskie Towarzystwo Literackie imienia poety, lecz dotąd go nie dokonało, mamy tylko 6 pierwszych tomów; z wydań popularnych przewyższa wszystkie inne wydanie prof. Kallenbacha, 1911—1913 u Westa w Brodach. Słowacki doczekał się wydania jubileuszowego w 10 tomach, dokonanego przez B. Gubrynowicza i W. Hahna (Lwów 1909). Dr. H. Biegeleisen zasłużył się bardzo wydaniami Mickiewicza i Słowackiego z obfitemi zestawieniami głosów współ-

czesnych, tłumaczeniami i t. d. Wydanie jubileuszowe pism Z. Krasińskiego (1912), dokonane po wydaniu T. Piniego przez znakomitego znawcę, nieznużonego J. Czubka, najstaranniejszego z naszych wydawców (wydał również Konopnicką, korespondencję Filomatów i in.) objęło całość twórczości Krasińskiego wraz z utworami francuskiemi (z ich przekładem polskim). Wymienimy jeszcze dla zupełności i staranności wydanie zbiorowe Goszczyńskiego przez Z. Wasilewskiego, Kasprowicza przez L. Bernackiego (Lwów 1911).

Z antologij poetyckich zapisujemy tylko najnowsze, oprócz „Albumu współczesnych poetów polskich“ Kasprowicza (1897) jako najlepszy „Wybór poezyj Młodej Polski 1886—1918“ Wilhelma Feldmana (nowe przerobione wydanie w 1918).

Nadzwyczaj cenne wydawnictwo warszawskie, dotąd w ośmiu tomach, „Wiek XIX. Sto lat myśli polskich“ (1906—1913) nie ogranicza się jedynie do poezji, daje prócz najstaranniej opracowanych wstępów (np. znakomite B. Chlebowskiego o trzech wieszczach naszych) wzory z pism wierszem i prozą, a nawet z prac naukowych. Obok tej „chrestomatji“, która niejedno niesłusznie zapomniane, oprócz rzeczy ogólnie znanych, znowu w obieg puszcza, należy wymienić zbiorowe wydawnictwa luźnych utworów autorów naszych we wszelakich „bibljotekach“, począwszy od najskromniejszej, naśladującej znaną lipską Reklama „Bibljoteki Powszechnej“ W. Zukerkandla w Złoczowie (redaktor prof. A. Zipper), która przekroczyła numer tysiączny. „Arcydzieła polskich i obcych pisarzy, z objaśnieniami i wstępami“ dla młodzieży szkolnej liczą kilkadziesiąt numerów, wydawane są w Brodach przez F. Westa i mają tę zasługę, że niejedno niedrukowane dawniej (np. „Puławy“ Niemcewicza i in.) wydobyły. Różni się od nich krytycznością tekstu, obfitością objaśnień i znakomitemi wstępami, zbogacającemi dzieje literatury, „Bibljoteka Narodowa“, wydawana przez Krakowską Spółkę Wydawniczą pod redakcją prof. Stan. Kota; wyszło dotąd kilkadziesiąt tomików, opracowanych przez najlepszych znawców danego autora; „Bibljoteka Narodowa“ dała nawet wybór z pism A. Towiańskiego i in., ale przeważnie drukuje dzieła całkowite.

II. Z powodzi dzieł o dziejach literatury, o autorach i pismach, zaznaczamy również tylko najważniejsze. Dwa tomy Encyklopedji Polskiej, wydawanej przez Akademję Krakowską, tom XXI i XXII całości, objęły „Dzieje literatury pięknej w Polsce“ pióra kilkunastu spółpracowników, gdzie pomieszczono i bibljografię zupełną,

którą dopełnia znakomite dzieło p. G. Korbuta, dwutomowe, „Literatura Polska od początków do powstania Listopadowego“; w Encyklopedji rozbito jednak wykład na działy o poezji, powieści, dramacie, tak, że cierpi przez to stale profil pisarski, który składać należy z owych działów. Do pokrewnego działu należy tom IV i V „Historji literatury polskiej“, wykładów uniwersyteckich R. Pilata, wydawanych przez uczniów jego (Lwów 1908—1911); tomy czwarty, piąty i olbrzymi szósty wykładów krakowskich St. Tarnowskiego (Kraków 1903 do 1907); drugie wydanie „Historji literatury polskiej“ P. Chmielowskiego (wydał St. Kossowski, Lwów 1914—1916). Dzieła o nowej epoce, po r. 1863, A. Potockiego, T. Grabowskiego o poezji wyłącznie, przewyższa nieskończenie „Współczesna literatura polska, 1864 do 1917“ Wilhelma Feldmana, wydanie szóste (Warszawa — Kraków 1919), odznaczające się najtrafniejszem ujęciem rzeczy i najwymowniejszem jej przedstawieniem; jest tu i wyczerpująca bibljografja.

Z monografji wymieniamy tylko najnowsze i najważniejsze, odsyłając po obfitsze szczegóły do Encyklopedji, Korbuta i Feldmana. A więc z olbrzymiej literatury Mickiewiczowej wymieniamy tylko drugie wydanie znakomitego dzieła Józefa Kallenbacha „Adam Mickiewicz“ (Poznań 1918, dwa tomy), pomijając dzieła Chmielowskiego, Tretiaka (o młodości poety), czterotomowy pomnik biograficzny pióra syna, Władysława, dzieło rosyjskie Pogodina. O Słowackim, po znakomitej monografji A. Małeckiego, pierwszej podobnej pracy u nas (trzecie jej wydanie dopełnił B. Gubrynowicz), polemicznej Tretiaka, biograficznej F. Hösicka i in. wymieniamy dzieje twórczości jego, skreślone najdokładniej i najpiękniej przez prof. Jul. Kleinera (dotąd dwa tomy: „Dzieje twórczości“ — I „Twórczość młodzieńcza“ — II „Od Balladyny do Lilli Wenedy“; Warszawa 1920). O Krasińskim, po pracy Józefa Kallenbacha o młodości poety (do r. 1837) i monografji Tarnowskiego o życiu i pismach (drugie wydanie r. 1912), Jul. Kleinera „Dzieje myśli“ jego (Lwów 1912). O Zaleskim mamy trzytomową bardzo staranną i wyczerpującą monografję na tle obszernem pióra J. Tretiaka, (Kraków 1911 do 1914). O Brodzińskim („Życie i dzieła“, część pierwsza 1791—1821) napisał Br. Gubrynowicz, Lwów 1918; o Winc. Polu M. Mann (dwa tomy, Kraków 1904—1906). Nierównie wyżej stoi dzieło Ign. Chrzanowskiego, „O Komedjach Aleksandra Fredry“ (Kraków 1917); profesor ten krakowski wydaje zbiór wybranych studjów uczniów swego seminarjum p. t. „Prace historyczno-literackie“, dotąd 14 numerów, z których między innemi parępoświęcono i kilku zapomnia-

nym pisarzom (Skarbkowi, Chodźce, Mostowskiej). Po długiem zapomnieniu wskrzesiły pamięć M. Mochnackiego, „republik jedynaka syna“ trzy dzieła, które ukazały się w jednym roku (1910): Śliwińskiego, Kucharzewskiego (apoteozujące) i Szpotańskiego; nie wyczerpały one działalności jego literackiej, głównie zajęte polityczną. Z biografij Lelewela dotąd jeden tom lata przedpowstaniowe objął. Bol. Trentowskiemu, zakapturzonemu z polska Heglowi (boć obaj obrali sobie za cel tępienie wszelkiej teologji w najdalszych jej kryjówkach), poświęcił obszerną księgę Horod yski. Osobno przypomnieć należy Chmielowskiego, — „Nasi powieściopisarze“ (obszerne prace o Rzewuskim, Sztyrmerze i in.) i „Autorki polskie“ — tudzież jego dzieło o Kraszewskim (dozorował on też wcale trafnego wyboru z pism tegoż w 10 tomach). Osobne pole uprawia prof. Marjan Szyjkowski; gdy inni wyławiają luźne pomysły, zaczerpnięte przez naszych autorów u obcych (np. prof. St. Windakiewicza „W. Scott i Byron w odniesieniu do polskiej poezji romantycznej“, 1914 r.), on bada wpływy znakomitych dzieł czy autorów na obszerniejszej przestrzeni. Zaczął od Chateaubrianda i Génie du christianisme, przeszedł do Rousseau, Osjana, Younga, Schillera; ostatnie jego dzieło, „Dzieje nowożytnej tragedji polskiej, typ pseudoklasyczny 1661—1831“ (1920 r.) śledzi właściwie wpływy Zair, Merop, Brytanników na Osińskich, Felińskich i Wężyków; żałować jednak wypada, że autor nie dociąga swych studjów, przerywa je nieraz w punkcie rozwoju niemal początkowym, przy Schillerze np. nie wykracza poza r. 1840 i t. p. Zdziechowskiego „Byron i jego wiek“ objął, rzecz u nas niesłychana, oprócz polskiej i inne słowiańskie piśmiennictwa, rosyjskie i czeskie. Wpływy obcych pisarzów wymagają przedstawienia takiego, jakiego dokonał w ślicznym szkicu „Czem był Wirgiljusz dla Polski“ Chrzanowski; w najdrobniejsze szczegóły wchodzą prace prof. Tad. Sinko, „Antyk Wyspiańskiego“ (1916 r.); nierównie mniejszą rolę odegrał „Hellenizm Słowackiego“ (1909). Do ogólniejszych rzeczy należy jeszcze Smolarskiego o poezji legjonów i o poezji powstania listopadowego; dopełnia je Lorentowicza „Polska pieśń niepodległa“ (1916).

INDEKS OSOBOWY

(Cyfry arabskie przed II oznaczają tom pierwszy, po II tom drugi).

Abramow — 442
Abstemjusz — 85
Abgarowicz Kajetan — II 447
Adam z Bochni — 12
Addison Józef — 440, 443
Agrykola Rudolf — 79
Akielewicz Mikołaj — II 218
Aksakow Konst. S. — II 262
z Akwinu Tomasz — 361
Alanus ab Insulis — 14, 40
d'Albert m-elle — 430
Albert (wójt) — 20, 21
Albertrandi Jan — 412, 441, II 8, 9, 38
Albrecht (pruski) — 64, 101, 187
Aldona — 26
Alejato Jan — II 190
Aleksander I — 451
Aleksander (Francuz) — 43
Aleksandrowicz Tomasz Walerjan — 386
Aleksiej (car) — 206
d'Alembert J. — 442
Alwar E. — 198, 221, 319, 445, II 11
Ambroży (doktór kościoła) — 24
Ambroży św. — 25
Amuret — 16
Anakreont — 183, 338, 424
Anczyc Władysław Ludwik — II 252, 347
Andersen Jan Krzysztof — II 293
Andriejew Leonidas — II 472
Androcjusz Fulwjusz — 178
Andrzej (kapelan) — 41
Angelico Fra — 326
Anna Jagiellonka — 151
Anna z Jarosławia — 87
Anonim Protestant — 171, 174, 175
Antoni J. p. Rolle
Antonowicz Władysław — II 321
Apuchtin A. L. — II 437
Apulejusz L. — 340
Arciszewscy — 210
Areopagita Grek — II 112
Aretino Piotr — 40
Argiropulus — 39
Ariosto Ludwik — 166, 235, 292, 294, 307, 402, 403, 458, II 149, 152, 231
Arnsztajnowa Franciszka — II 407, 420
Artemij — 144
Artomjusz Piotr (Krzesichleb) — 119
Arystofanes — II 339, 432
Arystoteles — 33, 88, 89, 123, 133, 248, 353, II 11
Arzacjusz — 106
Askenazy Szymon — II 439
Asnyk Adam — II 319, 322, 323, 325, 332, 343, 348, 400, 401, 406
Aspis Bogumił — II 325
z Asyżu Franciszek — 91, 351, II 471
Attelmaierowie — 225
Augier Emil — II 343
August II — 270, 303, 356, 373, 377, 378
August III — 376, 396, 449
Augustyn św. — 24, II 184
Augustyn (Pseudo) — 87
Augustynowicz Jan — II 459
Auszpurger Kazimierz — 271, 313
Awentyn Jan (Thurmayr) — 71
de Aqua Viva Franciszek — 38
Azeglio M. T. — II 293

Bacciarelli Marceli — 398
Bachowski Feliks — 315
Bacon R. — II 204
Badecki Zygmunt — 463
Badeni Jan — II 275
Badeni Kazimierz — II 304
Baka Józef — 216, 254, 355, 357-359, 364, II 221
Balcer Oswald — II 40, 302
Baliński Hieronim — 255
Baliński Karol — II 240, 290, 293
Baliński Michał — II 217, 312
Baltruszajtis Jurgis — II 474
Balzak Honorjusz — 349, II 131, 257, 287, 397
Bałucki Michał — II 346, 347
z Bambergu Otton p. Otton z Bambergu
Bandtkie Jan Wincenty — II 40, 159, 205
Bandtkie Jerzy Samuel — 257, II 11, 12, 204
Bandtkowie — II 47
Baralet — 161
Barancewicz Kazimierz — II 315
Baranowicz Łazarz — 215, 217, 246
Baranowski — II 102
Barącz Sadok — II 207
Barbara — 98, 194
Bardziński Jan Alan — 314
Barklaj J. — 251, 315, 324
Barlecjusz M. — 153
z Barlina Jan — 34
Barszcz Fr. (Barss) — 437
Barszczewski Jan — II 217
Barszewiccy — 181
Bartas Wilhelm — 235, 315
Bartkiewicz Zygmunt — II 464
Bartoszewicz Juljan — II 206, 214
Bartusówna Marja — II 325
Baryka Piotr — 244, II 30
Barzykowski Stanisław — II 190
Batory — 66, 133, 134, 136, 151, 168, 170, 192, 193, 198, 203, 264, 352, 356, II 309
Baudelaire P. K. — II 406, 471
Baudot M. — 430
Baudouin de Courtenay Jan — II 314
Bayle Piotr — 437
Bazylik Cyprjan — 141, 153, 167, 206
Bączyk ks. — II 293
Bączek Norbert — II 211
Beaumarchais P. A. C. — 427
Bebel Henryk — 71
Bécu August — II, 4, 101
Bécu Salomea (z Januszewskich) — II 130, 131
Becque Henryk — II 348
Bederman Tomasz — 72
Beethoven Ludwik — II 246
Behr — 354
Belmont Leo — II 388, 436
Belarmin Robert — 133
Belcikowski Adam — II 254, 339, 340
z Bełżyc Jakób — 67
Bełżycki Aleksander — 296
Bem Antoni Gustaw — II 313, 470
Bembo Piotr — 69
Bembus Mateusz — 315
Benisławska Konstancja — 423
Bentkowski Feliks — II 11, 42, 204
Bernard św. — 25
Bernoulli Jan — 409
Berent Wacław — II 447, 462
Bernacki Ludwik — II 478
Bernatowicz Feliks — II 33, 34, 36
Berruyer Józef I. — 366
Berwiński Ryszard — II 212, 235, 236, 238, 326, 361
Bestużew — II 64
Betmanowie — 65, 228
Beyle Henryk — II 257
Bęczkowska-Grot Wanda — II 459
Białobocki Jan — 300
Białobrzeski Marcin — 126, 159, 164, 222
Bianchi — 199
Bieganowski Mikołaj — 270
Biegeleisen Henryk — II 477
Bielawski Tomasz — 159, 262, 416, 424, 425, II 249
Bielecki Marcin — 225

Bieleński Daniel — 119
Bielejowski Jeremjasz — 247
Bielowski August — II 200, 202, 207, 438
Bielscy — 68
Bielski Jan — 386
Bielski Joachim — 60, 79, 147, 184, 198, 412
Bielski Marcin — 91, 146, 151, 160, 171, 173, 180, 181, 424, 457, 458, 461, II 458
Biernacki M. — II 326
Biernat z Lublina — 63, 82, 85, 89, 90, 97, 154
Bieżanowski Stanisław Józef — 225, 257, 337, 376
Birkenmajer Ludwik — II 439
Birkowski Fabjan — 204, 218, 219, 306, 463
Bismarck Otto — II 360, 364
Bitterfeld Henryk — 25
Bizardière Michał D. — 258
Björnson B. — II 176
Blanc Ludwik — II 194
Blandrata Jerzy — 111
Bliziński Józef — II 343-346
Blumauer A. — 366, II 18
Błażewski Marcin — 300
Błażowski — 256, 333
Błońscy — 117
Bobowski Wojciech — 270
Bobrowicz — 462, II 42
Bobrowski Tadeusz — II 311, 315,
Bobrzyński Michał — II 299
Boccacio G. — 43, 236, 271, 273, 325, 346
z Bochni Adam p. Adam z Bochni
Boczyłowie Jakób — 246
Bodinus J. — 274
Bodzantowicz K. S. p. Suffczyński
Bogdański p. Wiśniowiecki Janusz
Bogdychan — II 454
Bogedajn Bernard — II 211
Bogucki Józef Symeon — II 283
Bogumił z Czarnkowa — 23
Bogusławski Edward — II 283
Bogusławski Władysław — II 469
Bogusławski Wojciech — 429, 430, II 2, 5, 11, 338
Bohomolec Franciszek — 387, 394, 412, 413, 424, 425, 427, 440, 453, 459, II 17
Boileau M. — 318, 383, 391, 401, 402, 413, 443, II 13
Bolesławita p. Kraszewski Józef Ignacy
Bolestraszycki Samuel — 212
Bolesław Chrobry — 8, 9, 11, 12, 20
Bolesław Krzywousty — 12, 13
Bolesław Śmiały — 20
Bolesławowie — 17
Bolesławczyk Klemens — 246
Bolzoni — 344
Boner Jan — 111, 143
Bonerowie — 227, 228
Bona — 76, 77, 98, 101, 187, 226, 431
Bonawentura św. — 85
Bonamik z Padwy — 76
Bopp Franciszek — II 39
Borch Michał — II 216
Borejko Wacław — II 274
Borkowski Jan — 222
Borkowski Józef — II 201, 202
Borkowski Leszek — II 201, 202, 223
Borkowski Stanisław — II 208
Born Ignacy — 442
Borowski Leon — II 5, 57
Borsza — 266
Borzymoski Marcin — 309
Bosjusz — 256
Bossuet J. B. — 447
Botero Jan — 256
Bośniacka Elżbieta — II 347
Boufflers Stanisław — 423
Bourget P. — 349
Boym Piotr — 215, II 454
Boymowie — 246
Bozdarzewski Celestyn — 245
Boy p. Żeleński
Böcklin Arnold — II 426
Böhme Jakób — II 112
Braniccy — 382, 399
Branicki Adam — 384, 417, 419, 432
Bratkowski Daniel — 317

Braun Dawid — 392, 412
Brehm A. E. — II 442
Bremer Fryderyka — II 293
Brencjusz — 106
Brjusow — II 420
Brockhaus F. A. — II 477
z Brodni Wacław p. Wacław z Brodni
Brodziński Andrzej — II 17, 50
Brodziński Kazimierz — 421, II 11, 35, 50, 52, 54, 56, 58, 81, 85, 88, 92, 96, 125, 127, 200, 212, 241, 283, 477, 479
Broscjusz Jan — 125, 224, 249, 275, 461
Bronikowski Antoni — II 37
z Brudzewa Wojciech p. Wojciech z Brudzewa
Bruner Leopold — II 471
Bruni L. — 40
Brunner Henryk — II 215
Brunon św. — 9, 11, 12
Brückner Aleksander — 461
Brückmann — 158
Brygida św. — 25
z Brzezin Grzegorz Paweł p. Grzegorz Paweł z Brzezin
Brzezina — II 474
Brzeziński Andrzej — 337
z Brzozowa Walenty p. Walenty z Brzozowa
Brzozowscy — II 420
Brzozowski Karol — II 238, 342, 361, 420
Brzozowski Stanisław — II 469
Buchanan I. — 169, 182
Buckle Henryk Tomasz — II 308, 309
Budny Bieniasz — 183, 272
Budny Szymon — 117, 118, 143, 200, 201, 316
Budzyński Wincenty — II 193
Buffon J. L. L. — 434, 437, 441
Bujnicki Kazimierz — II 216, 285
Bukar Seweryn — 450
Bukowiecki Stanisław — II 318
Bullinger Henryk — 106
Bulwer Edward — II 390
Buława p. Tarnowski Władysław
Bułharyn Tadeusz — II 36, 64, 218
Bunyan Jan — 354
Burke E. — 455
Burlej W. — 88
Burnicki Antoni — 270
Burns Robert — II 226
Burski Adam — 249
Busbequius A. G. — 188
Büchner Fryderyk — II 308, 360
Bürger Gottfryd A. — II 58
Büsching Antoni F. — 442
Bykowski Ignacy — 431
Bylica Marcin — 34, 66
Byron Jerzy — II 11, 49, 63, 65, 66, 68, 70, 74-76, 80, 83, 98, 111, 120, 130, 133, 145, 148, 149, 170, 174, 231, 232, 239, 246, 253, 265, 293, 301, 406, 472, 480
Bystrzonowski Wojciech — 363

Calderon de la Barca P. — II 148, 154, 155, 293, 322, 339
de Calprenède G. — 272
Camões Ludwik — 443
Castiglione Baltazar — 180, 182
Caümont Karolina — 430
Cavour K. B. — II 121
Cebes z Teb — 159, 183
Cecylja Renata — 345
Cedrowski Stanisław — 354
Cegielski Hipolit — II 208
Celichowski Zygmunt — 305
Celiński — II 93
Celtes Konrad — 29, 39, 40
Cenowa Florjan Stanisław — 158, II 212
Cerenowicz Szymon J. — 361
Cerioli Furjusz — 187
Cervantes M. — 430, 431
Cetysowie — 227
Cezar — 10, 188, 266
Cezary Franciszek — 257
Chałubiński Tytus — II 400
Charles Edmond p. Chojecki Karol Edmund
Chateaubriand F. R. A. — II 131, 480

Chądzyński Jan — 223
Chełczycki — 458
Chęciński Jan — II 252
Chlebowski Bronisław — II 312, 470, 478
Chłędowscy — II 12
Chłędowski Kazimierz — II 201, 302, 307, 459
Chmielnicki Bogdan — 215, 328
Chmielowski Benedykt — 275, 363,
Chmielowski Piotr — 461, 462, II 312, 313, 479, 480
Chodakowski-Dołęga Zorjan p. Czarnocki Adam
Chomętowski Stanisław — 373
Chochlik p. Zagórski Włodzimierz
Chodkiewicz Aleksander — II 64
Chodkiewicz Jan Hieronim — 111, 153
Chodkiewicz Jan Karol — 191, 193
Chodkiewiczowie — 116, 126, 306
Chodźko Aleksander — II 60, 65, 121, 138
Chodźko Ignacy — II 196, 262, 275, 276, 284, 311, 480
Choiński-Jeske Teodor — II 456
Chojecki Karol Edmund — II 194, 213, 234
Chołoniewski Stanisław — II 94, 100, 260, 270, 272, 275
Chomiakow Aleks. — II 117, 262
Chopin Fryderyk — II 92, 246
Chotomski Ferdynand — 366, II 18
Chrapowicki Ignacy — II 217
Chrapowicki Jan Antoni — 267
Chreptowicz Joachim — 444
z Chrościechowa Lutosław p. Lutosław z Chrościechowa
Chrościński Wojciech Stanisław — 294, 314, 315, 365-368, 381
Chrystjan (biskup) — 12
Chrysztoporski Mikołaj — 55
Chrzanowski Ignacy — 2, 461, 463, II 479, 480
Chrząstowski Jędrzej — 119, 125, 133, 211
Chwalczewski Stanisław — 79
Chwalibogowski Jan — 175
Chwalibogowski Krzysztof — 175
Chyliczkowski Jan — II 3
Chyliński Samuel B. — 218
Cicero M. T. — 80, 135, 183, 185
Cichocki p. Sawicki
Cichowjusz p. Cichowski Mikołaj
Cichowski Mikołaj — 208, 209, 215
Ciechoński Jakób — II 18
Ciekliński Piotr — 181, 182, 322
Cieńciała Andrzej — II 211, 306
Ciesielski Andrzej — 190
Cieszkowski August — II 181, 182, 185, 187, 210, 305
Cikowski Stanisław — 255
Cłołek Stanisław — 34, 44, 71, 97
Ciszewski p. Czartoryski Adam Kazimierz
Comestor Piotr — 47
Comte August — II 308, 319
Condillac St. B. — 445, II 48
Contareni G. — 181
Conring Herman — 251
Corneille Piotr — 340, 386, 393, II 13, 431
Courrier Paweł L. — II 349
Cousin Wiktor — II 110
Cyboni Krzysztof Jan — 225
Cynerski-Rachtamowicz Jan — 225
Czachrowski Adam — 177
Czacki Michał — 451
Czacki Tadeusz — 431, II 8, 9, 36, 74, 77, 191
Czajkowski Antoni — II 238
Czajkowski Michał — 92, 118, 191, 193, 311, 474
Czaplic Jan — 343
Czarnocki Adam — II 40, 51, 200
z Czarnkowa Bogumił p. Bogumił z Czarnkowa
z Czarnkowa Janko p. Janko z Czarnkowa
Czarnkowski Stanisław — 194
Czarny Mikołaj — 97
Czartoryska Marja — 422
Czartoryski Adam Jerzy — 443, 451, 456, II 41, 92, 110, 116
Czartoryski Adam Kazimierz — 417, 421, 424, 426, 427, 431, 441, 444

Czartoryscy — 68, 240, 332, 376, 385, 399, 412
Czech łacinnik — 21
Czechowic Marcin — 52, 53, 117, 118, 143, 157, 158
Czeczot Jan — II 58, 64, 217
Czekanowski Sylwester — 123
Czelakowski Franciszek Ładysław — II 51
Czermińska Karolina — 430
Czernichowski Nicefor — II 434
Czerni — 168
Czerny Jan — 90
Czernyszewskij Mikołaj — II 195
Czerwieński Bolesław — II 325
Czesław dominikanin — 17
Czosnowski Ignacy — 386
Czubek Jan — 462, II 478
Czyński Jan — II 111, 135, 189, 190, 191
Ćwikliński Ludwik — 461

Dachnowski Jan — 245
Dalfusowie — 380
Dambrowski Samuel — 212, 213
Damineus Krzysztof — 186
Daniecki Jan — 211, 272
Danielewicz Konstanty — II 171, 186
Daniłowski Gustaw — II 418
Daniłowiczowie — 293
Dante — 149, 291, 361, 420, II 94, 131, 142-144, 148, 173, 174, 183, 195, 196, 293, 322, 359, 433, 471
Dantyszek Piotr — 74, 76, 77, 402
Dantyszek p. Czartoryski Adam Kazimierz
Darasz Wojciech — II 190
Dargodzki-Grodzicki Maciej — 247, 288,
Darwin Karol — II 308
Dauksza Mikołaj — 126
Dawizon Bogumił — II 338
Dąbkowski Przemysław — II 40
Dąbrowski Henryk — 448
Dąbrowski Ignacy — II 447, 448
z Dąbrówki Jan p. Jan z Dąbrówki
Decjusz Justus — 65, 67, 69, 79, 101, 224
Decjuszowie — 65
Dekert Jan — 438, 448
Delille Jakób — 401, 422, II 13-15
Delpacowie — 227
Dembowska Aniela — II 238
Dembowski Antoni — 392
Dembowski Edward — II 27, 215
Dembowski Leon — II 190
Demetrykiewicz Włodzimierz — II 305
Deotyma p. Łuszczewska Jadwiga
Derdowski H. — II 306
Descartes René — 210
Destouches Filip — 425, 426
Dębicki Ludwik — II 300
Dębołęcki Wojciech — 208
Dębowski Andrzej — 154, 183
Dickens Karol — II 293, 377, 458
Diderot Denis — 101, 391
Diplic Gelazjusz — 214
Djamentowski Wacław — 266
Długosz Jan — 24, 25, 29, 31, 34-36, 38, 44, 60, 76, 78, 79, 138, 152, 184, 189, 250, 257, 259, 411, II 214, 339, 393
Dmochowski Franc. Ksaw. — 439, 442, 443, 459, II 8, 9, 43, 86, 212
Dmochowski Franciszek Salezy — II 43, 70, 85
D-moll p. Wolska Maryla
Dmuszewski Ludwik Adam — II 11
Dobiecki Wojciech — 450
Dobiński Stanisław — 358
Dobracki-Gutterer Maciej — 446
Dobrawa — 9, 10
Dobrolubow Mikołaj A. — II 195
Dobrowiejski Gabrjel — 360
Dobrowski Józef — II 39
Dobrzański Jan — II 206, 218, 361
Dobrzański Stanisław — II 347
Dogiel Maciej — 412
Dołęga p. Jurkiewicz Jakób
Domaniewski Józef — 209, 436
Domejko Ignacy — II 98, 100, 122
Doritej — 169
Dorohostajski Krzysztof — 127, 276

Dostojewskij F. M. — II 377, 424, 450
Dowgalewski Mitrofan — 243
Dowkont Szymon — II 218
Drekseljusz Jeremjasz — 206, 275, 321
Dresner Tomasz — 249
Drzewiecki Józef — 450
Drzewiecki Karol — II 252
Drobiszewski Herman — 293, 302
Drużbacka Elżbieta — 270, 365, 381, 383, 392, 423, II 293
Drużbicki Kacper — 220, 275
Dubois Jan Chrzciciel — 444, II 42
Ducis Jan Franciszek — II 53
Duchińska Seweryna (Pruszakowa) — II 292, 293
Dudycz Andrzej — 190
Dudziński Michał — 446
Duhn — 223
Dulfus Jan Feliks — 448
Dumas Aleksander (ojciec) — 268, II 383
Dumas Aleksander (syn) — II 343
Duninowa — 360
Duńczewski Stanisław — 364
Durini Anioł Marja — 229
Dyczkowski Stanisław — 246
Dygasiński Adolf — II 441, 442
Dymitr Samozwaniec — 262, 264, 266
Działyński Michał — 374
Działyński Stanisław — 272, 370
Działyński Tytus — II 42, 208
Dziama Leszek Marja — 461
Dzianotowie — 227
Dzieduszycki Jerzy — 270
Dzieduszycki Maurycy — 462, II 207
Dzieduszycki Wojciech — II 188, 325
Dzickoński Józef Bohdan — II 238, 283, 316
Dzielowski Franciszek — 217, 275
Dzierożyński Damazy — II 212
Dzierzkowscy — 99
Dzierzkowski Józef — II 202, 282, 283
Dzierżanowski Andrzej — 164
Dzierżawin Gabrjel — II 39, 111
Dzierżkówna Natalja — II 459
Dzwonowski Jan — 235

Ebers Jerzy Maurycy — II 379
Eckius Walenty — 79
Ehrenberg Gustaw — II 237
Ejsymont Jerzy — 395, 412, 453
Elger Jerzy — 217
Elsner Józef — II 18
El—y p. Asnyk Adam
Elżbieta Jagiellonka — 44, 84, 98
Emeryk — 79
Enjusz Kwintus — 149
Epikur — 147, 374
Epiktet p. Bachowski
Essenwein August — II 302
Esteja p. Kisielnicka Józefa
Estreicher Kazimierz — 2, 461, II 301
Estreicher Stanisław — 461
Etienne Karol Wilhelm — II 13
Eurypides — 164, II 148
Exterus p. Godlewska Ludwika
Ezop — 85, 88, 151, 333, 367, 462

Faleński Felicjan — II 319, 322, 323, 466
Falibogowski Krzysztof — 262
Falimirz Stefan — 89, 91
Falkenberg Jan — 47
Fałat Juljan — II 304
Falęcki Hilarjon — 360
Favart Karol — 427
Fedrus — 443
Feldman Wilhelm — II 407, 457, 469, 477-479
Felińska Ewa — II 287
Feliński Alojzy — 416, II 11, 15, 16, 23, 29, 76, 340, 477, 480
Fenelon Franciszek — 432
Ferdynand (węgierski) — 98
de Fiano Franciszek — 40
Fichte Jan — II 181
Fielding Henryk — 430, II 37
Fietzek J. A. — II 211
Fijałek Jan Nepomucen — II 439
Filelfo Francesco — 38

Filipowski Hieronim — 143
Filleborn Seweryn — II 238
Finkel Ludwik — II 302
Firleje — 168
Fischart Jan — 233
Fisz Zenon — II 219, 272
Flaszyńscy — 379
Flaubert Gustaw — II 359
Fletcher Giles — 265
Fleury Klaudjusz — 447
Florjan Jan Piotr — II 58
Folengo — 75
Foltyn — 154
Fontaigne Mikołaj — 354
Fontenelle Bernard — 442
Forster Jan — 445
a san Francisko Cyryl — 275
Franciszek I — 187
Franciszek Salezy — 354
Franke Jan Nepomucen — 461
Frangepani — 251
Frankonjusz Daniel — 79, 207
Fredro Aleksander — II 11, 19, 26, 27, 30-33, 247, 248, 301, 343, 344, 389, 470
Fredro Andrzej Maks. — 139, 252 — 254, 270, 276, 407, 457, II 26
Fredro Jan Aleksander — II 347
Fredro Jan Maksymiljan — II 31
Freytag Gustaw — II 358, 456
Frischwoter — 65
Frowin Jan — 21, 23
Fryc Andrzej (Modrzewski) — 80, 93, 99, 100, 136, 137, 141-143, 149, 153, 183, 187, 192, 206, 247, 461, 462, II 203, 310
Fryderyk II — 388, 398, 418, 440

Gaboriau Emil — II 357
Gabryela p. Żmichowska Narcyza
Gadomski Jan — II 342
Galasiewicz Jan Kazimierz — II 347,
Galatowski Joanniki — 215, 217, 246
Galileusz Galileo — 224
Gallus — 7
Gałecki Tadeusz — II 463
Gałka Jędrzej — 29, 32, 36
Gandulić Jan — 458
Gamratowie — 99
Garczyński Stefan (wojewoda) — 384
Garczyński Stefan — II 22, 101, 115, 121, 135, 136, 220
Garczyszewski Jan — II 12
Gassendi Piotr — 210
Gasztołdowie — 32, 68
Gasztowt Wacław — II 102, 317
Gaszyński Konstanty — II 92, 101, 129, 173, 190, 194, 220
Gawalewicz Marjan — II 445
Gawatowic Jakób — 241
Gawiński Jan — 169, 229, 282, 303, 317, 324, 338, 461
Gawłowicki Szymon — 310-312, 458
Gawroński Jędrzej — 444
Gawroński-Rawita Franciszek — II 311
Gąsiorowski Wacław — II 441, 457
Gdacjusz Adam — 212, 213, 219
Gedyminowicze — 68
Gejza — 9
Gejżanowscy — 210
Gellert Chrystjan — 372, 425, 443, II 47
Genlis Stefanja Felicyta — 35
Gentilis Jan Walenty — 111
Gerson Jan — 59
Gessner Salomon — 401, 413, 443, II 17, 47, 50
Giedrojcie — 32, 68
Giedrojć Jan Stefan — 418
z Gielniowa Władysław p. Władysław z Gielniowa
Gieorgiewits Bartłomiej — 82
Gierman (Giermański Stanisław) — 263
Giersz — II 211
Giller Agaton — II 325
Gilowski Paweł — 118, 119
Gizel Innocenty — 217, 240
Gizewjus Herman M. G. — II 211
Głaber Andrzej — 70, 88, 89, 90
Gliczner Erazm — 99, 118, 133, 135, 183, 211, 300
Glińscy — 68

Gliński Kazimierz — II 217, 325, 336, 342
Gloger Zygmunt — 46, II 314
Głogowczyk Henryk — 20, 72
Głowacki Aleksander — II 312, 377, 380, 439, 477
Głuchowski Jan — 77, 300
Gnapheus A. — 78, 88
Gnatowski Jan — II 456
Godebski Cyprjan — II 2, 16
Godlewska Ludwika — II 459, 461
Goethe Jan Wolfgang — 47, 345, II 47, 49, 50, 53, 58, 60, 94, 98, 119, 122, 150, 174, 215, 283, 315, 352, 406, 433, 464
Gogol Mikołaj — II 31, 94, 260, 386, 451
Golański Filip — 446
Goldoni Karol — II 27
Goldsmith Oliwer — II 37
Goliński Marcin — 267, 271
Golicyn Wasyl — 154
Golicyni — 68
Goljan Krzysztof — 154
Golljusz — 271
Gołębiowski Chryzostom — 219
Gołębiowski Łukasz — II 3, 10, 37, 212
Gołubski p. Sawicki
Gołuchowski Agenor — II 297
Gołuchowski Józef — II 5
z Goniędza Piotr p. Piotr z Goniędza
Gonzaga (książę) — 276
Gorajscy — 180
Gorajski Zbigniew — 127
Gorczyn Jan Aleksander — 263, 377
Gorczyński Adam — II 341
Gorczyński Bolesław — II 468
Gorecki Antoni — II 15, 17, 112, 128
Gorkij Maksymiljan — II 472
Górecki Leonard — 184
Górka Łukasz — 111, 143
z Górki Katarzyna — 88
Górkowie — 99, 108
Górnicki Łukasz — 90, 139, 162, 163, 180-183, 189, 201, 228, 247, 462, II 8
Górski Artur — II 470, 471
Górski Jakób — 135, 158, 164, 187, 200
Górski K. M. — 461
Górski Stanisław — 140, 187
Gosiewski Wincenty Aleksander — 367
Gosławski Maurycy — 164, 177, II 72-74, 139, 220
Gostomscy — 120
Gostomski Anzelm — 200
Goszczyński Seweryn — 421, II 27, 32, 73, 76, 78, 81, 84, 86, 88, 92, 97, 126, 127, 134, 200-202, 232, 247, 273, 301, 316, 320, 400, 450, 474, 478
Gościcki Franciszek — 373
Goślicki Wawrzyniec — 184, 186
Gottsched Jan Krzysztof — 446, II 47
Grabbe Chrystjan Dietrich — II 324
Grabianka Tadeusz — II 311
Grabowiecki Sebastjan — 176, 458
Grabowscy — 417
Grabowski Ambroży — II 205, 302, 413
Grabowski Bronisław — II 342
Grabowski Michał — II 75, 78, 80, 86, 149, 195, 218, 231, 232, 270, 273-276
Grabowski Piotr — 186
Grabowski Tadeusz — 462, II 469, 479
Granowski Tymoteusz — II 117
Grassi Józef — 398
Graybner Stanisław — II 348
z Grenady Ludwik p. Ludwik z Grenady
Gresset Jan Chrzciciel L. — 443
Gribojedow Aleksander — II 252
Grimmowie — II 217
Grocholski Kazimierz — II 297
Grochowski Jan — 158
Grochowski Stanisław — 49, 177, 178, 199, 201, 265, 316, 394, 462
Groddeck Ernest — II 4, 47, 57, 110

Grodzicki Stanisław — 126, 211
Grodziecki Adam — 283, 285, 287, 355
Grodecki Jan — 110
Grodzieński Mikołaj — 263
Groicki Bartosz — 201
Grotjusz Hugo — 210
Grotkowski Jan — 293, 339, 340
Grotto Luigi — 176, 458
Grottger Artur — II 247, 329
Groza Aleksander — II 232, 273
Grubiński Wacław — II 459, 468
Grudziński Mikołaj — 269
Grudziński Stanisław — II 366
Gruszczyński Kośmidr — 44
Gruszczyński Stanisław — 177
Gruszecki Artur — II 440, 441, 458, 461
Gryf Albert p. Marcinkowski
Grzegorz (doktór kościoła) — 24
Grzegorz Paweł z Brzezin — 116, 167
Grzegorz z Sanoka — 29, 38, 44, 66
Grzymała Wojciech — II 91, 190
Grzymałowie — 11
Guarini Jan Chrzciciel — 176, 292
Gubrynowicz Bronisław — II 477, 479
Guicciardini Franciszek — 274
Guillemin — 414
Guliński Jan — 240
Gundeljusz Filip — 79
Gurowski Adam — II 91, 135, 190, 214
Gurowski Rafał — 447
Gustaw Adolf — 264, 283
Günter Gabrjela — II 287
Gwagnin Aleksander — 184, 256

Haase Th. — 119
Habsburgowie — 64, 82, 326
Haeckel Ernest — II 309
Hahn Wiktor — II 477
Hajota p. Szole-Rogozińska Helena
Haller Albrecht — II 47, 50
Haller Jan — 72, 88
Hammer-Purgstall Józef — II 65
Hanka Wacław — II 39, 152
Hardenberg J. Fryderyk — II 420
Hauptmann Gerhardt — II 242, 334, 348, 413, 433
Haur Jakób Kazimierz — 276
Heck Juljusz Korneli — 461
Hegel Jerzy Wilhelm F. — II 93, 120, 121, 181, 205, 260, 480
Hegendorf Krzysztof — 72, 100
Heidenstein Reinhold — 147, 184, 186, 188, 193, 413
Heine Heinrich — II 293, 323, 325, 328, 472
Helcel Antoni Zygmunt — II 203-205, 298
Helinand — 17
Heljodor — 125, 271, 324
Helmod — 256
Heltman Wiktor — II 190
Henryk Pobożny — 17
Henryk (pruski) — 451
Herbest Benedykt — 117, 120, 132
Herburt Szczęsny — 139, 181, 184, 223, 249, 257, 334, 462, II 203
Herburtowie — 136
Herder Jan Gottfryd — II 50, 52, 56, 406
Herodot — 451
Herszteinowie — 65
Hertz Benedykt — II 421
Herzen Aleksander — 243, II 34, 99, 116, 117, 349
Hettner Herman — II 311
Heyse Paweł — II 328
Heweljusz Jan — 275
Hezjod — 443
Hieronim z Pragi — 42
Hieronim z Wiednia — 87
Hieronim (doktór kościoła) — 24
Hildebert z Tours — 14
z Hildesheimu Jan — 47
Hipokrates — 20
Hirszband Napoleon — 471
Hochfelder Kacper — 73
Hoene-Wroński Józef — II 181, 182, 320
Hoffmann E. T. A. — II 238, 257, 286
Hoffman Karol — II 92, 191, 192, 197

Hoffmanowa (z Tańskich) Klementyna — 348, II 35, 56, 101, 130, 192, 199, 269
Holtorp Bernard — 79
Hołowacki Jakób — II 201
Hołowiński Ignacy — II 218, 234, 271, 275, 293
Homer — 443, II 108, 148, 332, 444, 472
Hondemjusz — 246
Honter Jan — 66
Horacy — 44, 176, 183, 221, 315, 338, 374, 401, 404, 414, 415, 441, 443, II 13, 17, 52, 202, 393
Horodyski Władysław — II 480
Hozjusz Stanisław — 70, 75, 84, 113, 115, 122-124, 133, 134, 141, 142, 145, 190, 222, 402
Hösick Ferdynand — II 479
Hube Romuald — 446, II 11, 40, 215
Hufeland Krzysztof Wilhelm — II 47
Hugo Wiktor — II 121, 165, 170, 253, 257, 322, 339, 400
Hugon Herman — 394
Hulewicz Benedykt — II 72, 310
Humboldt Aleksander — II 41
Hunjady Jan — 66
Hunjady Maciej — 66
Hurko Józef — II 437
Hus Jan — 87, 153, 458, II 247
Husarzewski Tomasz — II 4
z Husowa Mikołaj p. Mikołaj z Husowa
Husowczyk p. Mikołaj z Husowa
Huyssen Henryk — 257

Iberski Janusz (z Andaluzji) — 255
Ibsen Henryk — II 345, 348, 434, 449, 450, 464
Ilnicka Marja — II 292, 293
z Iłży Jakób p. Jakób z Iłży
Inez Wojciech — 222, 229, 263, 317
Irving Washington — II 170
Irzykowski Karol — II 459
Isior p. Łaszcz
Isokrates — 135, 183
Iwan Groźny — 68
Iwanowskij — 5
Iwiński Laurynas — II 218
Izak z Trok — 67
Izdbieński Benedykt — 70
Izrael Jerzy — 119

Jabłonowska Anna — 448
Jabłonowski Aleksander — II 309
Jabłonowski Dymitr — II 71
Jabłonowski Jan Kajetan — 367
Jabłonowski Jan Stanisław — 259, 367, 375, 392, II 7
Jabłonowski Józef Aleks. — 367, 368
Jabłonowski Stanisław — 367
Jabłonowski Władysław — II 470
Jabłonowscy — 356, 365, 367, 368, 382, 390, 404
Jabłoński Henryk — II 206, 247, 361
Jacek (dominikanin) — 17
Jadwiga (królowa) — 17, 24-28, 42, 44, 309
Jadwiga św. — 46
Jagodowic Marcin — 242
Jagodyński Stanisław — 266, 315-317, 325, 334
Jagiełło — 26, 28, 29, 42, 46, 64, 68, 309
Jagiellonowie — 29, 63, 66
Jakliński 380
Jakób z Iłży — 100
Jakób z Paradyża — 31, 32, 355
Jakób syn Parkoszów — 31
Jakubowski Adam — 441, 443
Jan św. apostoł — 59
Jan (bakałarz) — 54
Jan III — 203, 290, 343, 404
Jan z Dąbrówki — 31
Jan Kanty — 355
Jan (karmelita) — 275
Jan Kazimierz — 226, 247
Jan z Kijan — 235, 238
Jan z Koszyczek — 87, 89-91
Jan z Ludziska — 33, 38
Jan ze Lwowa — 106, 126
Jan Olbracht — 38, 58
Jan z Oświęcimia — 39, 69, 72

Jan Polak — 43
Jan ze Śliwna — II 218
Jan z Wielunia — 90
Jan z Wiszni — 131, 276
Jan z Wiślicy — 71, 73, 75
Jan z Wychylówki — 235
Janicjusz p. Janicki Klemens
Janicki Klemens — 63, 71, 74-76, 79, 83, 84, 93, 165, 189, 190, 457, 461, II 228
Janko z Czarnkowa — 23
Januarius Sowizdralius — 235
Janik Michał — 461
Janiszewski Leon — II 247
Jankowski Placyd — II 285
Janocki (Jähnisch) Jan Daniel — 378, 392
Januszowski Jan — 16, 140, 187, 200, 262
Jański Bohdan — II 92, 93, 112, 191
Jaraczewska Elżbieta — II 35
Jarmundowicz Kazimierz — 366
z Jarosławia Anna p. Anna z Jarosławia
Jarochowski Kazimierz — II 210
Jaroński Feliks — II 48
Jaroszewicz Józef — II 217
Jarzemski Adam — 257
Jasieńczyk Marjan p. Karczewski
Jasieński Walerjan — 359
Jasiński Jakób — 424
Jasiński Jan — II 11
Jasiński Hieronim — II 315
z Jassowic Jędrzej p. Jędrzej z Jassowic
Jazłowicki — 264
Jazłowiccy — 136
Jaroszyński Tadeusz — II 459
z Jassowic Jędrzej — 46
Jean Paul p. Richter
Jedlicz Józef — II 402
Jellenta Cezary p. Hirszband Napoleon
Jełowicki Aleksander — II 191
Jemiołowski Mikołaj — 267
Jenicke Ludwik — II 293
Jensen — II 413
Jerlicz Joachim — 267
Jeske-Choiński Teodor — II 455
a Jesu Maria Jan — 275
Jewłaszewski Fedor — 453
Jezierski J. — II 171
Jezierski Franciszek Salezy — 382, 418, 432, 438, 440
Jezierski Jacek — 437
Jeżowski Józef — II 58
Jędrzej z Jassowic — 46
Joanicy Gabrjel — 249
Jocher Adam Benedykt — II 217
Jolanta — 17
Jonston Jan — 275
Jordan p. Wieniawski Juljusz
Jucewicz Ludwik Adam — II 218
Jundziłł Stanisław — 4
Juniewic Mikołaj — 357, 358
Junosza Klemens p. Szaniawski
Jurkiewicz Jakób — II 219
Jurkowski Jan — 233, 235, 243, 261
Jurgiewicz Andrzej — 143
Juszyński Hieronim — 414, 419, II 3, 42, 204
Juwenal D. J. — 401, 404, 411
Jeż T. T. p. Miłkowski Zygmunt

Kaczkowski Karol — II 190
Kaczkowski Zygmunt — II 32, 190, 200, 202, 256, 262, 276-281, 354, 389, 455, 477
Kadłubek p. Wincenty mistrz
Kagnimir — II 37
Kajsiewicz Hieronim — II 93, 112, 191
Kalinowscy — 293
Kaliński Jan Damascen — 378
Kalinka Walery — II 195, 196, 298-300, 310
z Kalisza Wojciech p. Wojciech z Kalisza
Kallenbach Józef — II 301, 477, 479
Kallimach Filip — 29, 38-40, 67, 230, 296, 310, 377, 411
Kalwin Jan — 101, 111, 143, 291
Kamieński Henryk — II 185
Kamiński Jan Nepomucen — II 12, 32, 70, 87
Kanon Andrzej — 222

Kant Imanuel — II 181
Kantemir Antyoch D. — 442
Kanut Wielki — 9
Kapistran Jan — 49, 67
Kapostas Andrzej — 448
Karamzin Mikołaj — 412, II 39
Karczewski Wacław — II 348
Karczowski Jan — 152
Karłowicz Jan — II 313
Karmanowski Olbracht — 209, 211, 286, 295, 307, 317, 333
Karnkowski Stanisław — 190, 203, 356, 385
Karol XII — 359
Karol Luksemburczyk — 20, 22, 23
Karpiński Franciszek — 76, 169, 399, 420-422, 449, 456, 461, II 50, 53
Karwat Seweryn — 222
Karwicki Stanisław — 384
Kasprowicz Jan — II 401, 404, 407-410, 413, 415, 420, 424, 433, 471, 477, 478
Kaszewski Kazimierz — II 293
Kaszowski Piotr — 199
Katarzyna II — 101, 418, 423, 431
Katon — 66
Kaulfus Jan Samuel — II 47
Kawecki Zygmunt — II 465
Kawiclin Konstanty D. — II 315
Kazimierz Sprawiedliwy — 13
Kazimierz Wielki — 21-23, 26-29, 33, 78, 397, 407
Kacki — 394
à Kempis Tomasz p. Tomasz à Kempis
Kępski Adam — 360, 361
Kiciński Bruno — II 11
z Kijan Jan p. Jan z Kijan
Kiliński Jan — 448, 450
Kimbar — 131
Kinga — 16, 17, 20, 24, 25, 94
Kippling Ruduyard — II 441
Kirchmajer Tomasz — 103, 150
Kisielewski Jan August — II 405, 464, 465, 467
Kisielnicka (ze Skórzewskich) Józefa — II 459, 461.
Kiszka Lew — 68, 207, 215
Kitowicz Andrzej — 448, 449, II 268
Klaczko Juljan — II 129, 195, 196, 243, 266, 300, 317, 334
Klaudjan — 315
z Klecka Stanisław p. Stanisław z Klecka
Kleiner Juljusz — II 479
Kleist Ewald — II 17, 47
Klonowic Sebastjan — 134, 168, 171, 174, 178, 180, 182, 185, 198, 199, 229, 233, 316, 457
Klonowice — 185
Kłodziński Adam — II 201
Kłos Tomasz — 91
Kłosowiczowie — 225
Kmita Jan Achacy — 70, 75, 155, 182, 183, 255, 256
Kmitowie — 76
Knapjus p. Knapski Grzegorz
Knapski Grzegorz — 160, 220, 240
Kniaźnin Dionizy — 421-423, 453, 456
Kniaziewicz Karol — 444
Kobiernicki Marcjan — 159
Kobierzycki Stanisław — 252, 258, 303, 453
Kochanowscy — 93, 229, 292, 461
Kochanowski Jan Karol — II 439
Kochanowski Jan — 43, 50, 77, 116, 140, 155, 157, 158, 164-172, 174-178, 180, 182, 183, 189-191, 193, 194, 198, 199, 201, 213, 217, 220, 222, 229, 233, 235, 250, 251, 261, 262, 264, 281, 286-288, 292, 295, 299, 301, 304, 305, 316, 322, 324, 330, 334, 335, 337, 339-341, 348, 357, 379, 387, 391, 401, 408, 411, 420, 446, 456, 458-463, II 8, 34, 58, 101, 128, 131, 144, 200, 245, 300, 312, 313, 322
Kochanowski Jędrzej — 182
Kochanowski Mikołaj — 183
Kochanowski Piotr — 307, 308, 329, 340, 402, 443, 461, II 62, 131, 200, 312

Kochowski Wespazjan — 171, 216, 237, 258, 268, 274, 278, 282, 295, 303, 307, 317, 320, 323, 330, 334, 336-341, 358, 391, 411, 458, 461-463, II 87, 292
de Kock Paul — II 257
Kognowicki Kazimierz — 413
Kojałowicz Wijuk — 152, 221, 263
Kolberg Oskar — II 305
Kolcow Aleksy — II 241
Kollar Jan — II 51
de Koloff Mitzler Wawrzyniec — p. Mitzler de Koloff
Kołaczkowski Klemens — II 190
Kołłątaj Hugo — 433, 437-439, 444, 450, 461, II 4, 6, 39, 181, 310
Komeński Jan Amos — 275
Komierowski Jan — II 293
Komornicka Marja — II 407
Komorowski Bronisław — II 243, 325
Konar Alfred — II 446
Konarski Stanisław — 141, 361, 384-390, 395, 432, 433, 444, 447, 455, 456
Konarski Szymon — II 254
Konczyński Tadeusz — II 464
Kondratowicz Ludwik — II 226, 229, 231, 233, 234, 241, 244, 259, 293, 328, 366, 376, 462, 474, 477
Koniecpolski Zygmunt Stefan — 256
Konopczyński Władysław — II 439
Konopnicka Marja — II 326, 329-331, 333, 334, 361, 368, 371, 376, 401, 402, 459, 477
Kontrym Kazimierz — II 6
Kopczyński Onufry — 446
Kopeć Józef — 448, II 129, 287
Kopera Feliks — II 205
Kopernik Mikołaj — 31, 224, 352, 447, II 7-9, 215, 283, 339
Koperszmider — 65
Kopitar Bartłomiej — II 208
Korbut Gabrjel — 461, II 479
Korczewski Wit — 105
Korczyński Adam — 293, 310
Kordecki Augustyn — 267
Korsak Juljan — II 232, 293
Korsak Rajmund — II 18
Korwinus p. Rabe Antoni
Koryciński Andrzej — 250
Korytkowski Jan — II 305
Korytyński Onufry — 373
Korzeniowski Józef — II 194, 219, 249-252, 256, 261, 264-266, 268, 286, 318, 354, 380, 397, 440, 477
Korzon Tadeusz — II 309, 310
Kossakowski Jan Nepomucen — II 39
Kossakowski Józef — 432, 448, 451
Kossow Sylwester — 217
Kossowski Stanisław — II 479
Kostomarow Mikołaj — II 386
Kostrzewski Franciszek — II 226
Kostyn Miron — 302
Kosy — 144
Koszucki Stanisław — 135, 183, 200
z Koszyczek Jan p. Jan z Koszyczek
Koszyrski Korybut — 76
Kościelski Józef — II 342
Kościuszko Tadeusz — 440, 444, II 310
Kot Stanisław — 461, II 478
Kotarbiński Józef — II 312, 435
Kotficki Benedykt — 371
Kotlarewski Jan — II 18
Kotwicz Mikołaj — 44
Kotzebue August — II 27, 29, 32, 47
Kowalewski — II 215
Kowerska Zofja — II 459, 461
Kosiakiewicz Wincenty — II 444, 446
Koziebrodzki Władysław — II 347
Kozłow Jan — II 69
Kozłowski Stanisław — II 342
Koźmian Andrzej — II 66
Koźmian Jan — II 209
Koźmian Kajetan — 182, 451, II 10, 13, 14, 16, 17, 52, 63, 65-67, 71, 89
Koźmian Stanisław — II 206, 209, 297, 304, 305
z Koźmina Wielkiego Łukasz p. Łukasz z Wielkiego Koźmina
Körner Teodor — II 122, 220
Kraiński Krzysztof — 212
Krajewski Jan (1) — 300

Krajewski Jan (2) — II 293
Krajewski Michał Dymitr — 431, II 266
Krakowczyk Maciej — 42
Krakowowa Paulina — II 212, 287
Krapotkin Piotr — II 406
Krasicki Ignacy — 75, 171, 279, 319, 323, 329, 330, 357, 383, 401-403, 405, 407, 408, 410, 411, 413, 414, 416, 417, 421, 422, 426, 427, 429, 432, 440, 443, 447, 455, 461, 462, II 6, 8, 14, 20, 22, 23, 25, 38, 42, 43, 111, 128, 200, 300, 357
Krasicki Ksawery — II 224
Krasińska Róża — 394
Krasiński Adam — II 169
Krasiński Adam Stanisław — II 315
Krasiński Gabrjel — 301
Krasiński Jan — II 169
Krasiński Jan Andrzej — 184
Krasiński Michał — II 169
Krasiński Walerjan — 209
Krasiński Wincenty — II 33, 169
Krasiński Zygmunt — II 14, 37, 55, 92, 94, 96, 101, 115, 118, 129, 130, 137, 140-143, 145, 146, 150, 151, 153, 154, 157, 165, 166, 169-177, 179-186, 190, 192, 194, 196, 199, 270, 301, 316, 330, 348, 386, 408, 470, 477, 478
Krasnohorska Elżbieta — II 102
Kraszewski Józef Ignacy — 152, 448, 450, II 27, 127, 195, 202, 216-218, 252, 254, 256-260, 262-265, 267, 271, 273, 281, 286, 313, 314, 325, 339, 354-359, 361, 365, 366, 371, 372, 376, 380-382, 384, 390, 393, 397, 440, 449, 456, 480
Kraushar Aleksander — II 310
Krechowiecki Adam — II 455, 468
Kremer Józef — II 181, 205, 302
Krepowiecki Tadeusz — II 91, 190
Krefei Szymon — 158
Krekus Korneljusz — 96
Kremer Marcin — 70, 75, 105, 122, 123, 137, 138, 141, 145, 183, 184, 190, 196, 206, 222, 253, 402, II 87, 203
Kronenberg Leopold — II 263
Kropidło Jan — 76
Kropiński Ludwik — 421, II 17, 33, 34, 36
Krowicki Marcin — 109, 112, 113, 116, 118, 121, 122, 136, 139
z Krosna Paweł p. Paweł z Krosna
Król Marcin — 34
Królikowie — 225
Królikowski Józef Franciszek — II 18
Krukowiecki Jan — II 25
Krupiński Franciszek — II 319
Krupski — 275
Krusiński Tadeusz — 270
Krüdener Barbara Julja — II 60
Kryłow Jan — 407
Kryński Ad. Ant. — II 313
Kryski Stanisław — 189
Krzycey — 76, 84, 99
Krzycki Andrzej — 71, 74-77, 80, 93, 165, 340, 457, 462
Krzywoszewski Stefan — II 446, 464
Krzyżanowski Hieronim — 139
Kubala Ludwik — II 302, 381
Kucharski Andrzej — II 40
Kucharzewski Jan — II 480
Kuchler — 79
Kuczwarewicz Marcin — 300
Kukat Krzysztof — II 112
Kulczycki Tomasz — II 201
Kuligowski Mateusz — 263, 313, 317
Kulisz Pantalejmon — II 386
Kulwa Abraham J. — 102
Kuncewicz Józefat — 214
Kurbski Andrzej — 131
Kurdwanowski Wojciech — 358, 379
Kuropatnicka Katarzyna — 430
Kurzeniecki Marcin — 362, 447
Kuszewicz Samuel Kazimierz — 258, 303
Kürzbach Henryk — 119
Kwiatkowski Marcin — 135, 159
Kwiatkowski Piotr — 380

Labiche Eugenjusz — II 31
Lack Stanisław — II 471
Lacki Kacper — 283, 394
Lacordaire Jan Chrzciciel — II 191
Lafontaine Jan — 333, 367, 401, 406, 407, 443, II 23, 421
Laharpe Jan Franciszek — II 85
Lam Jan — II 367
Lamennais Feliks R. — II 94, 95, 121, 177, 191
Lamprecht Karol — II 215
Lange Antoni — II 407, 419, 420, 435, 472
Laskowski Kazimierz — II 420, 428
Lasocki Stanisław — 143
Laterna Maciej — 126, 127
Latolscy — 99
de Lavalle — 459
Leibniz Gottfryd Wilhelm — 248
Lechowicz Andrzej — 189
Le Laboureur Jan — 345
Lelewel Joachim — 413, II 5, 11, 14, 25, 40-42, 57, 92, 207, 209, 210, 261, 310, 438, 480
Lemański Jan — II 421
Lembakowie — 65
Lemka Jerzy — 254
Lenard z Urzędowa — 183
Lenartowicz Teofil — II 196, 241, 243, 244, 328, 402, 420
Lenczycjus Paweł — 256
Lengnich Gottfryd — 392, 412
Leonard (biskup) — 102
Leopold (cesarz) — 270
Leopolita p. Jan ze Lwowa
Lepszy Leonard — II 205
Lessing Gotthold E. — 429, II 47, 49, 108
Leszczyńscy — 108, 193, 212, 287
Leszczyński Andrzej — 297
Leszczyński Edward — II 421
Leszczyński Rafał (ojciec króla) — 270
Leszczyński Rafał (wojewoda bełzki) — 283, 285, 315, 345
Leszczyński Rafał (wojewoda brzesko-kujawski) — 193
Leszczyński Samuel — 301, 303
Leszczyński Stanisław — 361, 362, 375-377, 383, 385, 389, 390, 399, 408, 412, 432, 436, 447
Leszek Czarny — 20
Lesznowski Antoni — II 216
Leśmian Bolesław — II 421
Lewandowski Kazimierz — II 421
Lewestam Henryk — II 195, 215, 216
Lewko — 28
Lermontow Michał — II 134, 315
Libelt Karol — II 181, 203, 209
z Libentalu Wietor p. Wietor z Libentalu
Liberjusz Hyjacent — 260
Libicki Jan — 315
Licinjusz Jan — 188
Lieder Wacław — II 420
z Lignicy Maciej p. Maciej z Lignicy
Likowski Edward — II 305
Limanowski Bolesław — II 318
Limprechtówna Anna — II 459
Linde Samuel — 439, II 9, 11, 39, 41, 47, 313
Lipiński Karol — II 85, 212, 312
z Lipnicy Szymon p. Szymon z Lipnicy
Lipowski Blasius p. Fredro Andrzej Maksymiljan
Lippiner Zygfryd — II 102
Lippomano Alojzy — 143
Lipsjusz Justus — 191, 255
Lipski Tadeusz — 312, 324, 425, II 30
Liricjusz Hipolit — 177
Liske Ksawery — II 302
Lismanin Franciszek — 101, 110, 113
Liwjusz — 38, 187, 293, 315, 323, 324, 401
Lobewein Jan Andrzej — II 4
Locci — 344
Locher Jakób — 78, 88
Locke Jan — 437, II 204
Loechjus p. Lechowicz Andrzej
Lombard Piotr — 123
Lompa Józef — II 211
Londzin Józef — II 306

Loredano Franciszek — 273
Lorentowicz Jan — II 468, 472, 480
Lorichjus Reinhard — 135, 148, 183
Löwenfeld Rafał — 461
Łubecki-Drucki Franciszek — II 45
Lubelczyk Biernat — 150
Lubelczyk Jakób — 106, 122
Lubieniecczy — 117, 208, 350, II 302
Lubieniecki Andrzej — 286
Lubieniecki Stanisław — 156, 207, 209, 312
Łubieniecki Zygmunt — 269, 270, 287
z Lublina Biernat p. Biernat z Lublina
Lubomirscy — 337, 356, 365
Lubomirski Jerzy — 203, 292
Lubomirski Stanisław Herakljusz — 249, 253, 254, 272, 273, 286, 293, 294, 313, 333, 337, 362, 365, 367, 380, II 181
Lubomirski Tadeusz — II 309
Lubowski Edward — II 343, 345
Lubrański Jan — 39, 72
Ludgarda — 60
Ludolf (Sas) — 354
Ludwik (węgierski) — 64
Ludwik z Grenady — 125
z Ludziska Jan p. Jan z Ludziska
Lukan — 299, 306, 314
Lukjan — 183, 319, 323, 409
Luksemburgowie — 20
Lumir — II 395
Luten — 123
Luter Marcin — 85, 100, 101, 103, 106, 108, 111, 112, 136, 144, 145, 158
Lutomirski Stanisław — 118
Lutosław z Chrościechowa — 61
Lutosławski Wincenty — II 300
Lwow-Jarosławskij — 345
ze Lwowa Jan p. Jan ze Lwowa
ze Lwowa Łukasz p. Łukasz ze Lwowa
ze Lwowa Stanisław p. Stanisław ze Lwowa
Lytton Bulwer — 176
Lada p. Gnatowski Jan
Łaguna Stosław — II 310
Łamański Włodzimierz — II 470
Łasicki Jan — 118, 120
Łaskarz (biskup) — 44, 60
Łascy — 75, 79, 84, 99, 116
Łaski Hieronim — 83, 96, 101
Łaski Jan (arcybiskup) — 16, 72, 73, 80
Łaski Jan (reformator) — 101, 110, 113, 116, 118, 123, 136, 144, 145, 153
Łaski Stanisław — 79, 80, 83, 187
Łaszcz Marcin — 222
Łazarz Andrychowic — 140, 355
Łazarzowic Jan p. Januszowski
Łepkowski Ludwik — II 205, 302
Lętowski Ludwik Stanisław — II 205
Łodzia Jan — 23
Łojko Feliks — 412
Łomonosow Michał — 446
Łopaciński Ignacy — 449
Łopeski Jan — 236
Łopuchowski — 49, 53
Łoski Franciszek — 358, 360
Łoś Jan — 461
Łoś Wincenty — II 447
Łoziński Walery — II 283
Łoziński Władysław — II 303, 438
Łubieński Stanisław — 258, 364
Łubieniecki Stanisław — 208
Łukasz z Koźmina Wielkiego — 42
Łukasz ze Lwowa — 134
Łukasz z Przeworska — 134
Łukaszewicz Józef — II 208, 209
Łukaszewicz Lesław — II 204
Łuskina Stefan — 440
Łuszczewska Jadwiga — II 17, 291, 292
Łuszczkiewicz Włodzimierz — II 205, 302

Mably Garbjel B. — 433
Machiavelli M. — 39, 141, 310
Maciej mistrz — 49, 63
Maciej z Lignicy — 42

Maciejewski Samuel — 72, 76, 84, 98, 99
Maciejowski Ignacy — II 457, 458, 463
Maciejowski Wacław Aleksander — II 11, 40, 213, 215
Macterlinck Maurycy — II 407, 412, 419, 424, 434, 464, 471
Magnuszewski Dominik — II 201, 202, 253, 254
de Maistre Józef — 139
Majchrowicz Szymon — 447
Majer Józef — II 204, 300
Majeranowski Kajetan — II 37
Majkowski A. — II 306
Majorkiewicz Jan — II 215
Makowiecki Stanisław — 302, 303
Makowski Adam — 221
Makulski Franciszek Jakszyc — 431
Malcherowa Katarzyna — 186
Malczewski Antoni — II 46, 73-76, 78, 83, 145, 164, 250, 310, 474
Malecki Hieronim — 90, 106
Malecki — 102
Malewski Franciszek — II 58, 64, 167, 218
Malherbe Franciszek — 443
Malinowski Lucjan — II 303
Malinowski Mikołaj — II 217, 274
Małachowski Stanisław — 357, 438
Małecki Antoni — II 203, 208, 210, 254, 293, 301, 340, 438
Maniecki Franciszek — 361, 362
Maniewski — II 401
Mann Maurycy (1) — II 206
Mann Maurycy (2) — II 479
Mańkowski Aleksander — II 217, 348, 388
Marc-Girardin Franciszek August — II 172
Marchocki Mikołaj Ścibor — 266
Marchocki Ścibor — II 72
Marcin z Zamokła — 45
Marcinkiewicz W. — II 102
Marcinkowski Karol — II 13, 209, 218, 219
Marcinkowski-Nowosielski Ant. — II 218
Marczyński Wawrzyniec — II 72
Marek ks. — 424, 451, II 310, 394
Marcin z Opawy — 113
Marek z Opatowca — 43
Marini Jan Chrzciciel — 176, 235, 292-294, 315, 339, 340, 368, 458
Marinius — 251
Marja Kazimiera — 226, 272, 280, 399
Marja Ludwika — 25, 226, 267, 270, 287, 345, 347, 399
Marlińskij Aleksander — II 193
Marmontel Jan Franciszek — 431
Marrené-Morzkowska Walerja — II 367, 368, 459
Martialis M. W. — 317, 335, 339
Marycjusz Szymon — 72, 142
Maskiewicz Samuel — 266
Massalski Tomasz — II 38
Matejko Jan — II 304, 396, 425, 427
Matjasewicz Jakób — 380
Matlakowski Władysław — II 400, 405
Matuszewicz Marcin — 374, 376, 389, II 315
Matuszewski Ignacy — II 470
de Maupassant Guy — II 457
Mauss — II 200
Mazanowski Antoni — II 470
Mazepa — 243
Mazzini Józef — II 121
Mażwid — 52, 102
Mądrzecki — 437, 438
Mecherzyński Karol — II 204
Medeksza Stefan — 267
Melanchton Filip — 69, 84, 100, 125
Mellerowa Zofja — II 348
Melsztyńscy — 36
Meretić — II 102
Mesgnien Franciszek — 446
Mianowski Józef — II 311
Miarka Karol — II 306
Miaskowski Kacper — 173, 199, 250, 269, 270, 334, 458
Michał Anioł — II 320
Michał Korybut — 203, 204, 226
Michałowski Jakób — II 205

Miciński Tadeusz — II 417, 433
Mickiewicz Adam — 415, II 14, 22, 25, 43, 52, 53, 56, 60, 62-65, 67-70, 73, 74, 80, 85, 87, 92-99, 110, 112, 114-119, 121, 122, 124, 127-135, 141, 148, 149, 155, 162, 164-168, 170, 172, 177, 181, 183, 186, 190, 191, 193, 194, 196, 214, 218, 220, 237, 249, 253, 257, 281, 293, 301, 304, 313, 334, 360, 376, 400, 401, 407, 408, 429, 432, 433, 450, 470, 474, 477
Mickiewicz Ignacy — 431
Mickiewicz Władysław — II 317, 479
Micowski — II 274
Miczyński Sebastjan — 255
Miechowita Maciej — 78, 79, 91, 184
Mieleszko — 453
Mielecey — 126
Mier — II 201
Mierosławski Ludwik — II 190, 196
Mieroszewicz Jan — II 457
Mierz Edma p. Ostrowska Bronisława
Mierzyński Antoni — II 210, 314
Mieszko I — 8-11, 35
Mieszko Stary — 14
Mijakowski Jacynt — 219
Miklosich Franciszek — II 39, 303
Mikołaj brat — 20
Mikołaj z Husowa 71, 74, 75, 462
Mikołaj z Poznania — 43
Mikołaj z Wilkowiecka — 161, 258, 357
Miljusz — 125
Milton Jan — 361, 443
Miłkowski Zygmunt — II 318, 360-363, 365, 374, 380, 397, 449
z Miłosławia Piotr p. Piotr z Miłosławia
Mimer — 88
Minasowicz Józef Epifani — 67, 371, 392, 419, 423, 431, 440, 441, II 7, 42, 207
Minasowicz (ojciec) — 379
Miniszewski Józef — II 216
Miński Stanisław — II 288
Mirandolla p. Pick Franciszek
Miriam p. Przesmycki Zenon
Miron-Michaux Aleksander — II 325
Mitzler de Kolof Wawrzyniec — 411, 440, II 42
Mizerski Ludwik — II 102
Młodzianowski Tomasz — 217, 219, 221
Młoszowski Sambor — 335
Mniszkowie — 265
Mochnacki Maurycy — II 27, 75, 80, 85, 86, 88, 92, 190, 480
Mohiło Piotr — 214, 217, 243
Mojecki Przecław — 255, 258
Mokowie — 380
Moleschott Jakób — II 308
Molière Jan Baptysta — 381, 383, 387, 401, 424, 425, 427, II 11, 27-29, 132, 336, 472
Moller Cyrjak — 113
Mołski Marcin — II 13
Moniuszko Stanisław — II 60, 236, 239
Montaigne Michał — 254
Montalembert Karol — II 95, 121, 191
Montelupi — 199
Montemajor Jerzy — 305
Monteskjusz Karol Ludwik — 441, 443
Moore Tomasz — II 65, 232, 295
Moraczewski Jędrzej — II 41, 209, 210
Morawski Franciszek — 370, II 66, 80, 86, 102, 234, 405
Morawski Kazimierz — 461, II 472
Morawski Marjan — II 300
Morelowski Józef — 456
Morgenbesser Aleksander — II 337
Morski Tadeusz — 443
Morsztyn Andrzej — 171, 279, 286, 287, 292, 293, 295, 296, 298, 332, 333, 338-340, 345, 391, 458, 462, 472
Morsztyn Hieronim (Jarosz) — 176, 282, 287, 289, 290, 293, 295-297, 309, 338, 381
Morsztyn Samuel — 209

Morsztyn Stanisław — 341, 345
Morsztyn Tobjasz — 209
Morsztyn Zbigniew — 209, 232, 286, 290, 297, 298, 341, 346
Morsztynowie — 117, 227, 228, 278, 284, 325, 338, 416
Moskorzewscy — 208
Mostowska Anna — II 35, 140, 480
Mostowski Tadeusz — 439, II 8, 65
Moszyński Jerzy — 188
z Mościsk Melchior — 134
Mowiński Michał p. Krasicki Ignacy
Mörs Juljan z Poradowa p. Bośniacka Elżbieta
M-ski Adam p. Trzeszczakowska Julja
Muczkowski Józef — II 42, 204, 210
Mueller St. A. — II 462
Munch Edward — II 422
Mundjus Łukasz — 119
Muratowicz Alojzy — 67, 379
Muret Marek Ant. Franc. — 185
Murner Tomasz — 71
Murmeljusz — 112
Murzynowski-Suszycki Stanisław — 102-104
Muskata Jan — 20
Musset Alfred — II 293, 325
Muśnicki Nikodem — II 14
Münich Burchard Krzysztof — 364, 388
Mycielski Jerzy — II 298, 302
Mycielski Stanisław — II 425
Myszkowski Piotr — 167, 168, 194

Nabielak Ludwik — II 201
Naborowski Daniel — 211, 285, 289, 295, 296, 331, 332, 334
Nalepiński Tadeusz — II 421
Nałęczowie — 11
Naogeorgus p. Kirchmajer Tomasz
Napoleon — II 320
Narbut Teodor — II 217, 314
Narbutowa Anna — 430
Naruszewicz Adam — 36, 258, 394, 401, 406, 407, 410-417, 420, 422, 424, 427, 429, 433, 440, 441, 445, 447, 453, 455, 462, II 6-9, 111, 207
Narzymski Józef — II 343, 345
Nawojka — 46
Nawrocki Władysław — II 421
Nawrotowski Piotr — 359
Negri Ada — II 327
Negri Franciszek — 111
Nehring Władysław — 461, II 306
Neothebel Walenty — 157
Nestor (kronikarz) — II 202
Nidecki Patrycy — 134, 135, 145, 184, 461, II 87
Niebuhr Bartold Jerzy — II 94
Niedźwiedzki Ursyn — 198
Niedźwiedzki Zygmunt — II 313, 457
Niegoszewski Stanisław — 164, 176
Niemcewicz Juljan Ursyn — 406, 419, 428-432, 444, 449, 450, 456, II 9, 19, 21-26, 33, 34, 59, 76, 77, 86, 99, 104, 119, 136, 222, 243, 293, 371, 438, 442, 478
Niemirycz Krzysztof — 333, 363, 367, 447
Niemiryczowa Antonina — 365, 370
Niemojewski Andrzej — II 413-415, 417
Niemojewski Stanisław — 265, 266, 300
Niemojewski Jan — 117
Niemojewski Jakób — 117
Niemojewski Bonawentura — II 92
Niesiecki Kacper — 152, 364, II 42, 234
Niesiołowski Kazimierz — 377
Nietzsche Fryderyk — II 406, 422, 447
Niewiarowski Aleksander — 216
Niewiarowski (ksiądz) — II 191
Niewieski Stanisław — 364
Nikodem — 68
Nikorowicz Józef — II 246
Norwid Cyprjan — II 316, 408, 455, 477
Norwid Ludwik — II 316
Nossig Alfred — II 457, 465
Nowaczyński Adolf — II 405, 435, 466, 467
Nowicki Franciszek — II 401

Nowiński Józefat — II 342, 366
Nowomiejski Wojciech — 103
Nowopolczyk Wojciech — 142, 145
Novalis p. Hardenberg

Ochorowicz Juljan — II 308, 312
Ocicski Jan — 187
Ochino B. — 101, 111, 113, 144
Ochocki Jan Duklan — 450
Odraniec — 20
Odrowąż Stanisław — 80
Odymalski Walenty — 310, 312
Odyniec Antoni Edward — II 60, 69, 85, 98, 139, 196, 219, 220, 253, 293
Ogińscy — 376
Ogiński Kazimierz — 369, 370
Ogiński Michał Kazimierz — 406, 419, 426, 440
Ogiński Michał Kleofas — 448, II 2
Ohnet Jerzy — II 391, 453
Ohryzka Józefat — II 219
Okolski Szymon — 152, 221, 263, 319, 325, 363, 364
Okraszewski Stanisław — II 18
Okrzyc p. Orzechowski Stanisław
Okuń Edward — II 404
Olah Mikołaj — 153
z Oleska Wacław p. Zaleski
Oleski Jan — 235
Oleszewski Jan — 375
Oleszkiewicz Józef — II 94, 100
Oleśniccy — 102, 112
Oleśnicki Zbigniew — 16, 33, 35, 38, 40, 44, 143, 347
Olszewski p. Wiśniowiecki Janusz
Olizar Gustaw — II 270
Olizarowjusz p. Olizarowski Aaron Aleksander
Olizarowski Aaron Aleksander — 275
Olizarowski Tomasz August — II 231
Oloff — 412
Ołszowski Andrzej Innocenty — 248
Onoszko Jan — II 18
Opalińscy — 126, 252, 253, 254, 270 276, 287, 365, 374
Opaliński Andrzej — 193
Opaliński Krzysztof — 260, 267, 278, 317-319, 321, 374, II 207
Opaliński Łukasz — 225, 229, 250, 251, 261, 272, 282, 283, 292, 305, 310, 317-319, 321, 339, 351, 386, II 181
z Opatowca Marek p. Marek z Opatowca
z Opatówka Stefan p. Giller Agaton
z Opawy Marcin p. Marcin z Opawy
Opec Balcer — 85-87, 91, 93, 97, 105, 220, 357
Opitz Marcin — 398
Oppman Artur — II 336, 420
Ordon-Szancer Władysław — II 325
Ordyniec Jan Kazimierz — II 85
Orgelbrand Maurycy — II 313
Orkan Władysław — II 401, 433, 462
Orlik Filip — 375
Or-ot p. Oppman Artur
Ortwin Ostap — II 471
Orsyd Anna p. Limprechtówna Anna
Orwicz Jerzy p. Dzierżkówna Natalja
Orzechowski Stanisław — 80, 81, 83, 93-95, 97-101, 120-122, 134, 136-142, 147, 149, 166, 180, 183, 185, 186, 190, 201, 252, 413, 457, 460, 462, II 43, 303
Orzelski Stanisław — 147, 184, 188, 291, 295
Orzeszkowa Eliza — II 344, 368-377, 380, 438, 442, 449, 459, 460, 463, 474, 477
Orzeszkowski Fabjan — 59
Osjan-Macpherson — 421, 456, 462, II 48, 86, 148, 480
Ossolińscy — 297
Ossoliński Hieronim — 196
Ossoliński Jerzy — 270, 283, 413, II 303
Ossoliński Józef Maksymiljan — 462, II 3, 43, 204

Osiński Ludwik — II 9-11, 13, 14, 16, 27, 63, 66, 86, 89, 480
Osowski — II 210
Ostoja p. Sawicka Józefa
Ostroróg Jan — 29, 37, 133, 295, II 309
Ostrorogowie — 108
Ostrogscy — 68
Ostrogska Halszka — 181, 349
Ostrogski Konstanty — 131-133, 191, 214
Ostrogórscy — 73
Ostrowska Bronisława — II 405, 407
Ostrowski Jan Danejkowicz — 364
Ostrowski Józefat Bolesław — II 92, 190, 191, 328
Ostrowski Władysław Tomasz — 421
Oświęcim Stanisław — 270
z Oświęcimia Jan p. Jan z Oświęcimia
Otto (cesarz) — 9
Otton z Bambergu — 12
Otwinowscy — 117
Otwinowski Erazm — 156, 157, 188, 375
Otwinowski Samuel — 208
Otwinowski Walerjan — 208, 314, 399
Ouida p. Ramée Ludwika
Owen John — 222, 391
Owidjusz — 40, 175, 183, 208 272, 314, 338, II 72, 146
Overbeck Fryderyk — II 260
Ozierow Władysław — II 72

Pac Mikołaj — 158
Pac Krzysztof — 269
Padniewski Filip — 167, 168, 184, 187, 195
Padurra Tomasz — II 78, 84, 201, 203, 217
z Padwy Bonamik p. Bonamik z Padwy
Pajgiert Adam — II 247
Pajgiert Józef — II 202
Palaprat Jan — 427
Palingenjusz Marcellus — 147, 150-180, 231
Palmotić J. — 458
Paprocka Marja — II 459, 462
Paprocki Bartosz — 151, 152, 173, 175, 176, 185, 187, 188, 199, 221, 263, 363, 364
z Paradyża Jakób p. Jakób z Paradyża
Parkoszów syn Jakób p. Jakób syn Parkoszów
Paruta — 199
Pasek Jan — 76, 268, 269, 274, 279, 329, 347, 391, 450, 457, II 194, 208, 222, 223, 254, 268, 312, 339, 393
Pastorjus Joachim — 258
Paszkiewicz Jan F. — II 467
Paszkowski Edward — II 457, 463
Paszkowski Józef Edmund — II 293
Paszkowski Marcin — 256
Pateryk — 217
Pauli Żegota — II 200, 298
Paulin p. Łaszcz
Paweł z Krosna — 73, 75, 457, 462
Pawiński Adolf — II 309
Pawlicki Stefan — II 300, 307
Pawlikowski Tadeusz — II 435
Paxillus Adam — 160
Percy Tomasz — II 22
Perna — 199
Perzyński Włodzimierz — II 406, 463, 468
Petöfi Aleksander — II 293
Petrarka Franciszek — 154, 166, 235, 292, 315 II 65, 293, 322
Petrycy Innocenty — 254, 257
Petrycy Sebastjan — 248, 249, 257, 315
Persjusz Fl. — 315
Pęski Walenty — 251, 256, 364
Philibert — 246
Piasecki Paweł — 222, 258
Piastowie — 63, 90
Piccolomini Eneasz Silwjusz — 154, 250
Pick Franciszek — II 420
Piekarski Krzysztof — 221, 222, 273, 274

Piekosiński Franciszek — II 300, 304
Pielgrzymowski Eljasz — 269, 299
Pietrzycki Jan — II 406
Piętkiewicz Antoni — II 364, 366
Pikulski Gaudenty — 447
Pilat Roman — II 304, 479
Pilc Erazm — II 315
Pileccy — 85
Piłsudski Józef — II 432
Pindar — 164, 229, II 13, 58
Pini Tadeusz — II 478
Piniński Aleksander — II 421
Piotr z Goniędza — 112, 116, 117
Piotr z Miłosławia — 42, 44
Piotr z Poznania — 90
Piotr z Raciąża — 42
Piotrowski Jan — 193
Piotrowski Łukasz — 221
Piotrowski Gracjan — 172, 378, 406,
Piramowicz Grzegorz — 67, 445-447
Piskorzewski Maciej — 164 410, 414, 424, 447, 449
Plater Adam — II 216
Plater Stanisław — II 318
Platon — 133, II 156, 300
Plaut T. M. — 181, 182, II 359
Plebański Jan Tadeusz — II 309, 312
Plenkiewicz Roman — II 313
Plutarch — 183, 186, 316, 401, 409
Płachta Marcin — 135
Pług Adam p. Piętkiewicz Antoni
Pociej Hipacy — 133, 215
Poczobut Odolanicki Jan Władysław — 267
Poczobut-Odolanicki Marcin — 445
Podberski Romuald — II 216, 218,
Podczaszyński Michał — II 190
Podlodowski Stanisław — 194
Podoski Franciszek — 431
Podworzecki p. Łazarzowic Jan
Poe Edgar A. — II 293, 471
Poggio Bracciolini — 76, 317, 325
Pogodin Michał — II 479
z Pokiewa Ludwik p. Jucewicz
Poklatecki p. Radzewski
Pol Wincenty — II 32, 92, 200, 202, 206, 219-227, 229, 231, 233, 234, 244, 262, 266, 276, 315, 477, 479
Polewoj Mikołaj — II 64, 70
Ponętowski Jan — 157
Poniatowski Kazimierz — 376
Poniatowski Stanisław (ojciec) — 375, 384, 385
Poniński Adam — 418, 438, 443
Poniński Antoni — 378, 443
Pontan Jakób — 178
Pope Aleksander — 441, 443, II 49
Poplińscy (bracia) — II 208
Popliński Antoni — II 209
Popławski Antoni — 434, 446
Porębowicz Edward — II 471
Porębski Stanisław p. Anonim Protestant
Poszakowski Jan — 364
Potkański Karol — II 439
Potoccy — 117, 339, 347, 375, 376, 385, 399
Potocka Delfina — II 310
Potocka Klaudja — II 105
Potocki Antoni — II 469, 479
Potocki Ignacy — 439, 456
Potocki Jan — 451
Potocki Paweł — 259, 312, 367
Potocki Stanisław (1) — 347
Potocki Stanisław (2) — 439, 443, II 8, 10, 11, 19, 43
Potocki Szczęsny — 439
Potocki Szymon — 169, 217
Potocki Wacław — 152, 156, 157, 171, 175, 203, 208, 209, 226, 237, 263, 274, 275, 279, 280, 287, 293, 303, 306, 311, 313-315, 318, 322, 323, 325, 327-330, 335, 340, 341, 343, 347-349, 353, 357, 365, 371, 374, 381, 383, 391, 392, 403, 411, 413, 453, 457, 458, 460-463, II 87, 207
Potulicki Jan Jakób — 373
Powodowski Hieronim — 135, 222
z Poznania Mikołaj p. Mikołaj z Poznania
z Poznania Piotr p. Piotr z Poznania
Pöllnitz Karol Ludwik — 376

z Pragi Hieronim p. Hieronim z Pragi
Prawdzic Niedrwił p. Jurkowski
Prażmowski Mikołaj — 264, 268
Prądzyński Ignacy — II 190
de Préchac — 45, 270, 273
Prokosz — II 37
Propercjusz Sekstus Aur. — 166
Protasowicz Jan B. — 159
Protzler Paweł p. Paweł z Krosna
Proudhon Piotr Józef — II 194
Prowana — 199
Prus Bolesław p. Głowacki Aleksander
Pruszcz Piotr Jacek — 257, II 225
z Przasnysza Wawrzyniec p. Wawrzyniec z Przasnysza
Przechacki Krzysztof — 112
Przecławski Józef — II 218, 258
Przemysław — 18
Przesmycki Zenon — II 316, 406, 407, 419, 435, 471, 475
z Przeworska Łukasz p. Łukasz z Przeworska
Przeździecki Aleksander — II 102, 212, 214, 217, 274, 339, 438
Przyborowski Józef — II 210
Przybylski Jacek — 431, 443, II 405
Przybylski Zygmunt — II 346, 347
Przybyszewski Stanisław — II 342, 349, 404, 407, 422-424, 435, 439, 447
Przyjemski — 252
Przyłęcki Stanisław — II 207
Przyłuski Jakób — 187, 247
Przypkowski Samuel — 208, 211, 341
Pszczółka Mikołaj — 34, 43
Pszonka Jakób — 192
Ptaszycki Stanisław — 463
Ptolemeusz — 353
Puccitelli Virgilio — 344
Pudłowski Malcher — 154, 171, 173,
Puffke Emma — II 210
Pułaski (ks.) — II 190
Puszkin Aleksander — II 64, 66, 67, 69, 99, 111, 120, 121, 128, 134, 135, 218, 315, 360
Rabe Antoni — 39, 44, 106
Rabelais Franciszek — 233
Rabski Władysław — II 468
Racine Jan — 341, 345, 384, 441, 443, II 13, 16, 49, 85, 293
z Raciąża Piotr p. Piotr z Raciąża
Raczyński Edward — 448, II 208
Radcliffe Anna — 451
Radomski Jan — 102
Radymiński Marcin — 258
Radzewski Franciszek — 384
Radziwiłłowie — 68, 98, 111, 112, 114, 116, 126, 191, 211, 227, 281, 300, 332, 350, 365, 393
Radziwiłł Bogusław — 271
Radziwiłł Janusz — 267, 282
Radziwiłł Karol — 365, 399
Radziwiłł Krzysztof — 157, 191
Radziwiłł Mikołaj — 195, 196
Radziwiłł Olbrycht — 267, 271, 275, 345
Radziwiłł Sierotka — 188, 191, 193, 202
Radziwiłł Udalryk — 331, 356, 392
Radziwiłłowa Barbara — 369
Radziwiłłowa Franciszka Urszula — 356, 365, 377, 380, 381, 393, 394, 423
Radziwiłłowski Antoni — 217
Rakowiecki Ignacy Benedykt — II 39
Ramée Ludwika — II 453
Rapacki Wincenty — II 341, 342
Rapagalan Stanisław — 102
Rastawiecki Edward — II 214
Rautenstrauchowa Łucja — II 35
Raynouard Franciszek J. M. — II 53
Reeve Henryk — II 171, 175
Regnard Jan Franciszek — 401, 425, 426
Rehbronn — II 102
Reitzenheim Józef A. — II 92
Rej Andrzej — 270
Rej Mikołaj — 58, 63, 70, 71, 76, 83, 84, 86, 93-98, 103, 104, 106-108, 112, 118, 119, 122, 126, 135, 146, 147-153, 156, 159, 163, 164, 168, 169, 171, 173-175, 177, 178, 180,

181, 191, 194, 195, 197, 199, 212, 235, 243, 250, 261, 263, 276, 298, 299, 316, 323, 326, 329, 330, 337, 366, 416, 446, 457, 458, 460-463, II 211, 301, 312
Reklewski Wincenty — II 17, 50
Rembowski Wincenty — II 309, 310
Renan Ernest — II 300, 308, 415
Repnin Bazyli — 388
Repnin Mikołaj — 418
Reszka Stanisław — 133, 134, 141
Reuter Fritz — II 251, 412
Rewera p. Potocki Stanisław
Reymont Wł. St. — II 443-446, 448, 458, 462
Ricaut Paweł — 270
Richelieu Armand J. — 315
Richter Jan Paweł — II 58, 119, 257, 406
Rimbaud Artur — II 419
Ringeltaube Sylwester W. — 412
Ritter Karol — II 41
Rittner Tadeusz — II 467
Rodoć p. Biernacki M.
Rodziewiczówna Marja — II 437, 460, 461
Rogaliński Józef — 444
Rogosz Józef — II 367
Rojan Kazimierz — II 447
Rojzjusz Piotr — 72, 75, 110, 112, 143, 163, 164, 171, 462
Rolle Antoni Józef — II 310, 462
Rolle Michał — II 462
Romagnesi J. A. — 427
Roman (halicki) — 60
Romanowski Mieczysław — II 233, 234, 244, 247
Romski p. Zdziechowski
Romuald św. — 11
Ronenberg — 207
Ronsard Piotr — 166, 172, 200, 235
Rościszewski Wojciech — 222
Rossowski Stanisław — II 415, 420
Rostafiński Józef — 462
Rostand Edmund — II 348
Rother Jeremjasz — 446
z Rotterdamu Erazm — 69, 84, 88, 93, 101, 103, 111, 145, 255, 326
Rotundus Augustyn — 115, 119, 122, 137, 142, 143, 152, 153, 190
Rousseau Jan Chrzciciel — 383, 391, 394, 443, II 13
Rousseau Jan Jakób — 433, 434, 436, 437, 441, 462, II 33, 48, 412, 480
Rożniatowski Abraham — 310, 311
Röppel Ryszard — 413, II 42, 357
Różycki — 296
Ruar Marcin — 210
Rubinkowski Jakób Kazimierz — 377
Rudawski Jan Wawrzyniec — 258, 320
Rudnicki Dominik — 240, 380
Ruggieri Fulwjusz — II 87
Rulhière Klaudjusz K. — 450, II 148
Rutka Bogumił — 215
Rurykowicze — 10, 412
Rybiński Jan — 165, 176
Rychłowski Franciszek — 216
Rydel Lucjan — II 313, 401, 412, 413, 420, 426, 464, 472
Rygier-Nałkowska Zofja — II 462
Rylejew Konrad — II 23, 64
Rymsza Andrzej — 214
Rypiński Aleksander — II 217
Rysiński Salomon — 86, 282, 304, 326
Rysiński — II 18
Rywocki Maciej — 189
Rzeczycki Andrzej — 188
Rzeszowski Jan — 38
Rzewuscy — 424
Rzewuski Seweryn — 438
Rzewuski Henryk — 152, II 64, 69, 72, 100, 108, 195, 216, 218, 219, 223, 225, 256, 260, 262, 264, 267, 268, 270-274, 276, 277, 281, 286, 311, 313, 357, 360, 382, 480
Rzewuski Wacław — 381, 388, 393, 394, 419, 458
Rzeżawski Franciszek — 358

Saady — 208
Sabowski Władysław — II 364
Sadowski Jan Nep. — II 305

Sadyk-basza p. Czajkowski
Saint-Martin Ludwik — II 112
Sakowicz Kajetan — 214
Sakran p. Jan z Oświęcimia
Samarin Jerzy F. — 223
Samborczyk Grzegorz — 163
Samborzecki — 288
Samuel Andrzej — 100, 401
Sand George — II 86, 98, 109, 121, 131, 186, 209, 287, 288
Sanguszkowa z Duninów Barbara — 368, 400, 430
Sanguszkowie — 68
z Salisbury Jan — 14
Salomea św. — 17
Sannazaro Jakób — 279, 292
z Sanoka Grzegorz p. Grzegorz z Sanoka
Sapieha Aleksander — II 8, 38
Sapieha Jan Fryderyk — 394
Sapieha Jan Piotr — 266
Sapieha Kazimierz Nestor — 444
Sapieha Leon — II 203
Sapieha Lew — 269, 300
Sapieha Paweł — 111
Sapiehowie — 68, 191, 365, 376, 413, II 92
Saracinelli Ferdynand — 344
Sarbiewski Maciej — 220-222, 229, 251, 380, 457
Sardou Wiktoryn — II 348
Sarmat Albert p. Turski
Sarnicki Stanisław — 116, 118, 136, 184, 185, 187
Sarnecki Zygmunt — II 345, 413
Saroński — 379
Sas Berlicz p. Strutyński
Sasi — 311, 351, 352, 371, 383, 389, 390, 393, 397-399, 404, 426, 433, 440, 442, 447
Sawa Jan p. Konopnicka Marja
Sawicka Józefa — II 459, 461
Sawicki Kasper — 126, 222, 223
z Sącza Jan p. Malecki
Scharffenbergowie — 88
Schedel Hartman — 71
Scheffel Józef Wiktor — II 326
Schelling Fryderyk — II 97, 181
Schiller Fryderyk — 444, II 11, 17, 29, 47, 49, 50, 53, 58, 62, 66, 118-220, 249-251, 269, 293, 315, 339, 343-406, 480
Schillingowie — 65
Schlegel August Wilhelm — II 65
Schlözer August Ludwik — 412
Schönflisjusz Andrzej — 212, 213
Schonaeus Andrzej — 163, 198
Schotten Herman — 135, 148
Schroteus Adam — 189
Schulze Ernest K. F. — II 83
Schüpli — 345
Scott Walter — II 11, 34, 35, 102, 103, 170, 274, 383, 393, 480
Scudéry Magdalena — 272
Seklucjan Jan — 43, 90, 91, 93, 102, 103, 105, 106, 109, 118, 120, 200, 458, 461
Semeneńko Piotr — II 93, 191
Semkowicz Aleksander — II 302
Seneka L. A. — 148, 164, 180, 183, 341, 374
de Serponti Zuzanna — 430
Serwet Michał — 111
Sewer p. Maciejowski Ignacy
Sękowski Józef — II 214, 218
Shelley Percy B. — II 147
Sheridan R. B. — 429
Siarczyński Franciszek — II 12, 22, 42
Sibenejcher Jakób — 122
Siciński Władysław — 250, 304, 335, 352
Siedlecki-Grzymała Adam — II 468
Siemek Kacper — 249, 254
Siemieński Lucjan — II 200, 202, 206, 234, 254, 260, 293, 472
Siemiątkowska Katarzyna — 347
Sieniawscy — 337
Sieniutowie — 303
Sienkiewicz Henryk — 268, 301, II 193, 217, 280, 312, 313, 376, 380, 382-386, 388, 389, 391-393, 396, 397, 439, 444, 449, 450, 455, 474, 477
Sienkiewicz Karol — II 92, 191, 197

Siennicki Mikołaj — 117, 123, 193, 433
Sienieński Jan — 182
Siennik Marcin — 86, 149, 154
Sierakowski Lampart — 282, 295
Sieroszewski Wacław — II 453, 454, 462
Sierpiński Seweryn Zenon — II 283
Sikorski — 366
Simowicz Mikołaj — 337
Sinko Tadeusz — II 480
Sirko p. Sieroszewski Wacław
Skaliger Józef Justus — 164
Skałłon — II 463
Skarbek Fryderyk — II 11, 37, 480
Skarga Piotr — 94, 99, 126-128, 130-133, 140, 143, 178, 181, 199, 208, 211, 214, 218, 222, 240, 436, II 56, 99, 460-463
Skarga Sebastjan — 160
Skarszewski Stanisław — 292
Skarszewski Wojciech — 441
Skiba p. Sabowski Władysław
Skiccy — 321
Skimborowicz Hipolit — II 195, 215
Skorochód-Majewski Walenty — II 39
Skoryna Franciszek — 68
Skórski Jan — 371
Skrzetuscy — 446, II 9
Skrzetuski — 440, II 7
Skuminowie — 300
Skupieński — 214
Słoński Edward — II 420
Słota — 54
Słończewski Leonard — 101
Słowacki Euzebjusz — II 5
Słowacki Juljusz — 421, 460, II 60, 72, 88, 92, 93, 101, 102, 107, 111, 112, 123, 124, 127, 129, 130, 132-141, 143, 146-148, 151, 153, 155-158, 161-167, 169, 175, 180, 181, 185-187, 192, 193, 195, 196, 199, 234, 244, 254, 269, 279, 281, 287, 288, 293, 301, 303, 316, 317, 323, 325, 327, 334, 338, 340, 377, 397, 400, 418, 422, 424-428, 431, 433, 434, 435, 459, 470, 471, 474, 477, 479, 480
Słupski p. Łaszcz
Smalcjusz Walenty — 208
Smolarski Mieczysław — II 480
Smoleński Władysław — 462, II 309, 310
Smolik Jan — 76, 171, 176, 183, 286, 292, 296, 317, 458
Smolik Piotr — 272
Smolka Stanisław — II 299, 309
Smotrycki Melecjusz — 214
Sobiescy — 269, 314, 352
Sobieski Jan — 254, 272, 302, 307, 344, 352, 371, II 205, 271, 281, 386, 456
Sobieski Jakób — 258, 306, 324, 365
Sobieski Marek — 224
Sobolewski Jan — II 217
Socyn Faustus — 118, 133, 144, 209
Socyn Leljusz — 144
Sofokles — II 162, 472
Sokolnicki Mikołaj — 51, 91
Sokołowski Marjan — II 205, 302
Sokołowski Stanisław — 134, 164
Solikowski Jan Dymitr — 138, 180, 184, 188-190, 364, 462
Solms hr. — 191
Sołowiew Włodzimierz — II 470
Sołtan Abgar p. Abgarowicz
Sołtyk Stanisław — II 7
Sołtykowicz Józef — II 12
Sommerfeld Jan (starszy) — 39
Sowa Antoni p. Żeligowski Antoni
Sowiński Leonard — II 319-322, 474
Spasowicz Władysław — II 315
Spazier Ryszard Otto — II 102
Spencer Herbert — II 311
Spiczyński Hieronim, 87, 91, 93
Spinoza Benedykt — II 416
Stachiewicz Piotr — II 445
Stacjusz P. P. — 315
Stadniccy — 102, 136
Stadnicki Kazimierz — II 207
Stadnicki Stanisław — 249, 264, II 303
Stadtschreiber Mateusz — 25, 27, 31
de Staël Anna L. G. — II 47, 50

Staff Leopold — II 342, 405, 406, 417
Stalmach Piotr — II 211
Stanisław August — 368, 392, 397, 398-400, 412, 416, 422, 431, 454, 455, 462
Stanisław z Klecka — 45
Stanisław ze Lwowa — 108
Stanisław z Szczordkowic — 105
Stanisław św. — 17, II 433
Stanisławska Anna — 280, 347
Stanisławski — II 232
Stankar Franciszek — 102, 112, 118, 123, 136, 139
Stanko Jan — 34, 47
Stańczyk — 44
Starowolscy — 374
Starowolski Szymon — 206, 251, 259-262, 275, 295, 317, 319, 322, II 382
Starzeński Leopold — II 463
Starzyński Stanisław — II 18, 72, 310
Staszczyk — II 347
Staszic Stanisław — 433, 434, 436, 437, 438, 441-443, 449, II 6, 8, 17, 19-22, 38, 44, 45, 51, 57, 181, 310
Statorjusz Piotr — 112, 116, 118, 210
Stawski Albrecht — 76, 236, 353
Stebelski Włodzimierz — II 326
Stecki Jerzy Tadeusz — II 218
Steczyński — II 400
Stefani Jan — 430
Stefanko — 154
Stegman Joachim — 210
Sten Jan p. Bruner L.
Stendhal p. Beyle Henryk
Sterling Kazimierz — II 417
Sterne Wawrzyniec — II 37
Sternacki — 180
Stoiński Jan — 112, 210, 446
Stojek — 23
Stok Jan — 154
Stopka Andrzej — II 402
Strada Fomiano — 256
Strauss Dawid Fryderyk — II 308, 415,
Strindberg August — II 349, 406, 422, 423
Strojnowski Hieronim — 434
Strubicz Maciej 187
Strug Andrzej p. Gałecki
Strutyński Juljusz — II 366
Struwe Henryk — II 309, 435
Stryjkowski Matys — 60, 151, 152, 199, 206, 217, 424
Sturm Jan — 198
Stwosz Wit — 65
Suchodolski Rainold — II 134
Sudermann Herman — II 348, 464
Sudrowjusz — 110, 119
Suffczyński Kajetan — II 366
Sulimierski Filip — II 312
Sulistrowski Józef — 373
Sumarokow Aleksander — 459
Surowiecki Karol — II 43
Surowiecki Wawrzyniec — 439, 442, 448, II 39
Suso Henryk — 85
Suszczyńska — II 459, 461
Suzin Adam — II 64
Sygietyński Antoni — II 440
Sygonjusz K. — 184
Sykst Erazm — 249
Sylwan Jan — 42
Syrenjusz Szymon — 154, 249
Syrokomla p. Kondratowicz Ludwik
Suszycki Remigjusz — 359
Swajpolt Fiol — 69, 72
Swedenborg Emanuel — II 113, 156
Swift Jonatan — 430, II 6
Szabrański Antoni Józef — II 212
Szafarzyk Paweł — II 39
Szafraniec Krzysztof — 60, 71, 143, 193, 197
Szafrańcowie — 136, 138
Szajnocha Karol — II 202, 207, 298, 303, 339, 393, 438
Szamotulski Wacław — 76
z Szamotuł Jan Paterek — 85, 86
Szandlerowski Antoni — II 436
Szaniawski Józef — II 9, 47
Szaniawski Klemens — II 442, 443
Szarota Jan — II 472
Szarzyński-Sęp Mikołaj — 163, 171, 175, 199, 201, 340, II 322
Szaszkiewicz Marcjan — II 201

Szczekna — 42
Szczeniowski Tytus — II 285
Szczepanowski Stanisław — II 188, 300, 458, 471
Szczepański Ludwik — II 407
Szczerbatow Michał — 408
z Szczordkowic Stanisław p. Stanisław z Szczordkowic
Szczuka Antoni Stanisław — 375
Szekspir William — 186, 426, 429, 431, II 48, 53, 86, 97, 130, 132, 133, 140, 144, 145, 195, 234, 250, 293, 322, 338, 339, 343, 386, 406, 433, 471
Szenoa August — II 362
Szembek Stanisław — 207
Szembek-Pięknorzycki Fryderyk — 207, 275
Szembekowie — 227, 228
Szemiot Stanisław Samuel — 293
Szewczenko Taras — II 125, 320
Szlichtyn — 360
Szlichtyng Jan — 209
Szlichtyng Jerzy — 176, 208, 209, 211, 338, 343
Szlichtyngowie — 228, 343
Szmalcowie — 65
Szmitt Henryk — II 41, 207, 261
Szolc-Rogozińska Helena — II 459, 461
Szpitznagel Ferdynand — II 4
Szpotański Stanisław — II 480
Sztitny — 458
Sztyrmer Ludwik — II 218, 286, 313, 480
Szujski Józef — II 214, 297-299, 339, 340, 425, 438
Szukiewicz Maciej — II 464, 465
Szutkiewicz Jan — II 347, 458
Szyjkowski Marjan — 462, II 480
Szylarski Walenty — 446, II 7
Szymanowski Józef — 423, 431, 443
Szymanowski Wacław — II 8, 216, 272, 342
Szymański Adam — II 453, 454
Szymon brat — 232
Szymon z Lipnicy — 53
Szymonowic Szymon — 67, 93, 164, 177, 178, 181, 198, 222, 227-229, 231-233, 278, 316, 317, 349, 357, 461, II 312
Szyrma Lach — II 82, 92, 200
Szyrwid Konstanty — 217
Szyszkowski Marcin 134, 238
Ścibor — 61
Ślązak Anioł — II 112
Śliwiński Artur — II 480
ze Śliwna Jan p. Jan ze Śliwna
Ślizień Stefan Jan — 302
Śmiglecki Marcin — 118, 191, 208
Śniadeccy — 444, II 10
Śniadecki Franciszek — 236, 443, 445
Śniadecki Jan — 443, 445, II 4, 6, 8, 48
Śniadecki Jędrzej — II 4, 6
Średziński — 181
Świątkowski — 380
Świderski Leopold — II 347
Świdziński Karol — II 325
Świdziński Konstanty — II 214
Świerad Andrzej
Świeżawski Ernest — II 468
Świątkowic Paweł — 243
Świętochowski Aleksander — II 307, 308, 312, 318, 348-351, 426
Świnka Adam — 44
Świnka Jakób — 19
Świrski — 182
Świtkowski Piotr — 441, 454

Tacyt C. — 231, 393, 411, 443, II 390, 393
Tadeusz (pijar) — 365
Taranowski Andrzej — 188
Tarnowscy — 68, 168
Tarnowski Jan (1) — 98, 138, 186, 187, 191, 197, 413
Tarnowski Jan (2) — II 3
Tarnowski Stanisław — 461, 462, II 111, 297, 298, 300, 312, 479
Tarnowski Władysław — II 325
Tarło Adam — 376
Tasso Torquato — 229, 235, 292, 306, 307, 340, 345, 404, II 62, 77, 149, 164

Taszycki Mikołaj — 247
Tennyson Alfred — II 417
Temberski Stanisław — 257, 259
Teokryt — 175, 229
Terencjusz — 73, 181
Terpiłowska Julja — 325
Tetmajer Józef — 126
Tetmajer-Przerwa Kazimierz — II 401, 410-412, 415, 420, 459, 464
Tęczyńscy — 68, 168
Tęczyński Andrzej (1) — 60
Tęczyński Jan (2) — 98, 188
Tęczyński Jan — 307
Tęczyński Stanisław — 93
Thackeray William M. — II 293
Thierry Jakób M. A. — II 207
Tilmar z Magdeburga — 9
Tokarski — 271
Tołstoj Lew — II 359, 374, 406, 422, 450, 452, 454, 470
Tomasz a Kempis — 178, 394
Tomaszewski Dyzma — 439, II 14, 36, 76, 310
Tomiccy — 84
Tomicki Piotr — 72, 75, 187
Toporowie — II
Towiański Andrzej — II 112-116, 120, 127, 143, 157, 187, 470, 478
Traugutt Romuald — II 376
Trembecki Jakób — 296, 298, 338, 344, 462
Trembecki Stanisław — 171, 340, 406, 415-419, 422, 423, 425, II 13, 38, 57-59, 118, 119, 206
Trentowski Bolesław — II 181, 260, 480
Trepka Nekanda — 228
Trepka Ostafi — 102, 106, 113, 368
Treter Tomasz — 188
Tretiak Józef — 461, II 301, 479
Tripplin Teodor — II 454
Troz Abraham Michał — 390
z Trok Izak p. Izak z Trok
Trzebieński — 394
Trzecieski Andrzej — 97, 101, 102, 107, 111, 112, 122, 138, 155, 160, 163, 168, 169, 199
Trzeszczkowska Zofja — II 407
Tuan — 324
Tucholczyk Jan — 73
Turgeniew Jan — II 372
Turnowski Jan — 114, 119, 133
Turowski Kazimierz — 461, 462
Turski Wojciech — 442
Turzonowie — 66
Twardowski Kacper — 234, 295
Twardowski Samuel — 130, 172, 211, 261, 269, 278, 302-306, 318, 320, 324, 373, 461, 462, II 312
Tworzydło p. Łaszcz
Tybullus — 166
Tylkowski Wojciech — 220, 275
Tylor Edward — II 311
Tymieniecki Konstantyn — 421
Tymowski z Kantorbery — II 17
Tyszkiewicze Eustachy i Konstanty — II 217
Tyszyński Aleksander — II 195, 212, 215
Tytłowski Maciej — 266
Tyzenhaus Antoni — 398

Uchański Jakób — 70, 71, 110, 190, 223, 250
Uhland Jan Ludwik — II 84
Ujejski Kornel — II 161, 202, 223, 244-247, 280
Ujejski Paweł — 296
Ulfilas — 159
Urbański Aureli — II 342
d'Urfé Honorjusz — 251, 272
Ungler Florjan — 88, 89
Unrug Zygmunt — 353
Ursinus Jan — 39
Ungler Lenard p. Lenard z Urzędowa
Ustrzycki Jędrzej Wincenty — 315

Vadé — 423
Vadianus Joachim — 79
Vauban Sebastjan — 270
Verlaine Paweł — II 406
Verdizotti — 333
Vertot René Aubert — 373, 394
Veuillot Ludwik — II 360
Vida Marek Hieronim — II 58

de Vigny Alfred — II 109, 131
Vogt Karol — II 308
Volckmar Mikołaj — 446
Volkeljusz Jan — 208
Volney Konstanty Franciszek — 447, 451, II 20
Voltaire Franciszek Marja — 381, 394, 401, 425, 441, 443, II 11, 57, 249, 293, 349, 351
de Voragine Jakób — 46
Vrchlicky Jarosław — II 407, 471, 474

Wacław (ubogi) — 46
Wacław z Brodni — 52
Wacław Przemysłowic — 20
Wadowski Józef — 294, 313, 354, 366
Waga Teodor — 412, II 159
Wagner Ryszard — II 404, 432
Wahilewicz Iwan — II 201
Waitz Jerzy — II 309
Walawski — 373
Waldes — 106
Walenty z Brzozowa — 106
Walewska Cecylja — II 457 459, 461
Walewski Antoni — II 299
Walezy Henryk — 252
Wapowski Biernat — 78, 79, 146, II 207
Warcisław (pomorski) — 18
Warmiński ks. dr. — 461
Warneńczyk — 36, 81, 307
Warszewiccy — 181, 199
Warszewicki Krzysztof — 176, 185-187, 259
Warszewicki Stanisław — 125, 135, 185
Warszycki — 264
Wasilewski Edmund — II 237-239, 435, 477
Wasserberg Eberhard — 258, 345
Wawrzyniec z Przasnysza — 200
Wawrzyńcowic Stanisław — 158
Wazow J. — II 362
Wazowie — 326, 352
Wcisłowski — 358
Wedekind Frank — II 468
Wegjusz Maffeo — 182
Weichardt — 431
Weiss Albert — II 102
Wereszczyńscy — 185
Wereszczyński Józef — 149, 153, 185
Wergerjusz — 106, 113, 135
Wergiljusz — 170, 182, 208, 229, 236, 299, 306, 323, 443, II 13, 15, 19, 144, 408
Wessel Teodor — 418
West Feliks — II 478
Weyssenhoff Jan — 448, 450
Weyssenhoff Józef (1) — 439, 448, 450
Weyssenhoff Józef (2) — II 452, 453, 462
Węclewski Zygmunt — II 210, 293
Węgierski Kajetan — 156, 257, 340, 416, 417, 420, 423, 431, 440, II 466
Węgłowski — 367
Wężyk Franciszek — II 13, 16, 17, 36, 204, 247, 480
Wiazemskij Piotr — II 64, 70
Wielewicki Jan — 171, 258
Wielhorski Michał — 433, 434
Wielopolscy — 365
Wielopolski Aleksander — II 263
Wielopolski Karol Gonzaga — 394
z Wielunia Hieronim p. Hieronim z Wielunia
z Wielunia Jan p. Jan z Wielunia
Wieniawski Juljusz — II 366
Wieruszewski Kazimierz — 364
Wierzbicki Józef — II 462
Wierzbiński Maciej — II 463
Wierzbowski Stanisław — 267
Wierzbowski Tadeusz — 462
Wietor z Libentalu — 87-89
Wigand Mikołaj — 42
Wiklef Jan — 37
Wilczyński Albert — II 283, 284
Wilde Oskar — II 406, 410
Wilhelm (arcybiskup) — 256
Wilkońska Paulina — II 210, 287, 365
Wilkoński August — II 238, 283

z Wilkowiecka Mikołaj p. Mikołaj z Wilkowiecka
Wilkowiecki p. Mikołaj z Wilkowiecka
Wilkowski Kacper — 202, 207
Willegas — 255
Wincenty mistrz — 7, 13, 14, 19, 31, 257, II 41
Winckelmann Jan Joachim — II 94
Windakiewicz Stanisław — 462, II 301, 480
von Winzen Henryk — 21
Wirtemberska (z Czartoryskich) Marja — 421, 431, II 33, 34, 293
Wirzbięta Maciej — 112, 157, 355
Wirzing — 22
Wisłocki Władysław — II 298
Wisłouch — 425
Wiszeński p. Jan z Wiszni
z Wiszni Jan p. Jan z Wiszni
Wiszniewski Michał — II 203, 213, 228
Wiszowaci — 208, 210
Wiszowata Anna — 287
Wiszowaty Jędrzej — 208, 209
Wiszowaty Sandjusz — 209
z Wiślicy Jan p. Jan z Wiślicy
Wiśniewski Antoni — 364
Wiśniowski Józef — II 421
Wiśniowieccy — 214, 265, 303, 365, 366
Wiśniowiecki Janusz — 366
Wiśniowiecki Michał — 365
Witelon — 20
Witkiewicz Stanisław — II 400
Witkowski Stanisław — 316
Witold — 38, 81, 356
Witwicki Stanisław — 276
Witwicki Stefan — II 55, 60, 65, 70, 81, 85, 92, 100, 112, 127, 128, 149, 191, 246
Władysław z Gielniowa — 29, 49, 52, 58, 59, 91
Władysław Laskonogi — 14
Władysław Łokietek — 20, 21, 26
Władysław IV — 209, 226, 247, 250, 283, 398
Włodkowicz Paweł — 31
Włodzimierz (kijowski) — 10
Wodzicki Stanisław — II 205
Wodzisławczyk Adam — 234
Wojciech z Kalisza — 134, 180
Wojciech z Brudzewa — 31, 34, 39
Wojciechowski Tadeusz — II 205, 299
Wojkowska Julja — II 209, 235, 287
Wojkowski Antoni — II 209
Wojciech św. — 11-13, 16, 72
Wojewodka Biernat — 102, 122
Wojsznarowicz Jan Kazimierz — 224
Wolan Andrzej — 99, 120, 133, 136, 137, 143, 160, 181, 183, 211, II 217
Wolff Krystjan — 390
Wolicki — 431
Wolska Maryla — II 407
Wolski p. Bielski
Wolski Mikołaj — 450
Wolski Piotr Dunin — 227
Wolski Włodzimierz — II 238-240, 316
Wolzogen — 210
Wołkow Teodor — 459
Wołonczewski Maciej Kazimierz — II 218
Wołowiczówna Balbina — 371
Wołowski Michał — II 340, 342
Wołucki — 264
Woronicz Jan Paweł — 456, II 10, 18-22, 37, 38, 50, 51, 96
Woroniecki — 76, 236
Woyna — 446
Wójcicka Zofja — II 465
Wójcicki Kazimierz Władysław — II 37, 200, 201, 213, 232, 238, 305, 339
Wrotnowski Feliks — II 195
Wróbel Walenty — 88, 91, 93
Wróblewski Walerjan — II 261
Wuchaljusz — 126
Wujek Jakób — 99, 107, 119, 126, 127, 131, 199, 211, 460
Wundt Wilhelm — II 309
Wybicki Józef — 434, 438, 447, 448, 450, II 2

z Wychylówki Jan p. Jan z Wychylówki
Wydżga Jan Stefan — 219, 267
Wyrwicz Karol — 364, 412, 441, II 7
Wysław — 18
Wysocki Szymon — 222, 347
Wysocki Władysław — II 462
Wyspiański Stanisław — II 237, 301, 313, 397, 400, 409, 425, 431-433, 435, 436, 444, 471, 472, 474, 477, 480
Wyszyński Walery — 276, 371

Young Edward — 419, 443, 462, II 78, 480

Zabłocki Franciszek — 418, 420, 426, 427, 429, 431, 462, II 28, 31
Zabłocki Tadeusz Łada — II 247
Zaborowski Stanisław — 80, 87
Zaborowski Tymon — II 18, 72
Zacharyasiewicz Jan — II 364-367, 380, 460
Zacher — 5
Zagórski Włodzimierz — II 326, 411
Zahorowski Tomasz — 223
Zajączek Józef — 448
Zajączkowski Liberat — II 326
Zakrzewski Wincenty — II 300
Zaleski (pamiętnikarz) — 450
Zaleski Józef Bohdan — II 76, 81, 82, 83, 85, 86, 88, 92, 93, 99, 100, 112, 116, 122-124, 126, 127, 130, 167, 189, 193, 232, 237, 241, 243, 273, 293, 301, 316, 334, 353, 400, 474, 479
Zaleski Wacław — II 200, 235
Zalewicz — II 314
Zalewski Kazimierz — II 345, 347
Załuscy — 365, 390
Załuska Marja — 365, 367
Załuski Andrzej Chryzostom — 242, 346, 354, 362, 365, 390, 402, 447
Załuski Józef Andrzej — 2, 377, 378, 390, 392-394, 411, 424, II 7, 42, 130
Załuski Paweł — 370
z Zamiechowa Stach p. Starzyński
z Zamokła Maciej p. Marcin z Zamokła
Zamoyska z Zaborowskich Antonina — 369, 371
Zamoyscy — II 92
Zamoyski Andrzej — 398, 418, 432, 484, 455, II 190
Zamoyski Jan — 127, 143, 151, 168, 170, 184, 191, 193, 194, 198, 203, 211, 227, 229, 249, 266, 413, 434, 435, 446
Zamoyski Marcin — 379
Zamoyski Sarjusz — 152
Zan Tomasz — II 58, 62, 336
Zankier Dawid — 377, 378
Zapawska Anna — 347
Zapolja — 207
Zapolja Jan Zygmunt — 66
Zapolska Gabrjela — II 352, 376, 439, 442, 459, 467
Zaruski Marjusz — II 421
z Zatora Paweł — 42
Zatorski 372
Zawadzki Kazimierz — 254, 259
Zawicki Jan — 182, 197
Zawistowska Kazimiera — II 407
Zawistowski — 425
Zawisza Czarny — 44
Zawisza Krzysztof — 245, 267, 315, 369
Zawiszówna Marja — 365, 369
Zbarascy — 303
Zbaraski Jerzy — 264
Zbąscy — 36
Zbierzchowski Henryk — II 459
Zborowscy — 111, 136, 138, 170
Zborowski Marcin — 195, 196
Zborowski Samuel — 138
Zbylitowski Andrzej — 164, 176-178, 198, 316
Zbylitowski Piotr — 315
Zdziechowski Kazimierz — II 463
Zdziechowski Marjan — II 301, 373, 408, 470, 480
Zebrzydowski Mikołaj — 190, 204
Zeyer Juljusz — II 407, 471, 474

Zgliński Daniel — II 464
Zieliński Gustaw — II 212, 232, 233, 271
Ziemięcka Eleonora — II 215, 290
Ziemięcki Mikołaj — 223
Zimorowice — 229
Zimorowic Bartłomiej — 230, 231, 232, 233, 257, 461, II 209
Zimorowic Szymon — 338
Zienkowicz Leon — II 127, 190, 191, 204
Zipper A. — II 478
Zlatarić — 458
Zmorski Roman — II 238, 240, 361
Zola Emil — II 352, 391, 439, 440
Zubrzycki Dionizy — II 209
Zuckerkandel Wilhelm — II 478
Zwingli Ulrich — 111, 143
Zygmunt August — 56, 98, 138, 143, 192, 196, 198, 204, 206, 300, 420
Zygmunt Stary — 13, 17, 47, 64, 65, 69-71, 79, 85, 90, 91, 94, 97, 151, 259, 352, 389, 396, 409
Zygmunt III Waza — 133, 240, 207, 212, 226, 249, 283, 292
Zygrowjusz Jan — 211

Żaba Tadeusz — 394
Żabczyc Jan — 211, 286, 330
Żarnowczyk Grzegorz — 119, 133, 156
Żebrowski Jakób — 222, 314
Żegota Pauli — II 214
Żeleński Tadeusz — II 472
Żeligowski Antoni — II 255
Żera Karol — 365
Żeromski Stefan — II 435, 438, 445, 448-451, 462, 463, 469, 473
Żmichowska Narcyza — II 195, 266, 279, 287, 289, 290, 313
Żółkiewski Stanisław — 227, 249, 266, 340
Żółkowski Alojzy — II 11
Żórawieński Stanisław — 295
Żukowskij Wasyl — II 127
Żuławski Jerzy — II 416
Żydowin Józef (Flavius) — 183, 184, II 415
Żydowski Andrzej — 349
Żygliński Franciszek — II 237, 240

SPROSTOWANIE WAŻNIEJSZYCH OMYŁEK DRUKU.

		Jest:	Powinno być:
Str.	25 w. 6	*długosz*	*Długosz*
„	93 „ 23	*Szymonowicz*	*Szymonowic*
„	122 „ 11	*Sibenejchera i innych*	*Sibenejchera, i innych*
„	134 „ 8	*Klonowicz*	*Klonowic*
„	164 „ 14	*Szymonowicz*	*Szymonowic*
„	164 „ 36	*Szymonowicz*	*Szymonowic*
„	168 „ 32	*Klonowicz*	*Klonowic*
„	171 „ 8	*Klonowicz*	*Klonowic*
„	174 „ 3	*Klonowicz*	*Klonowic*
„	213 „ 13	*Klucsborski*	*kluczborski*
„	451 „ 11	*Józefa Potockiego*	*Jana Potockiego*
„	451 „ 37	*Radeliffe*	*Radcliffe*
„	461 „ 23	*Brorcjusz*	*Broscjusz*
„	462 „ 8	*Yonga*	*Younga*
„	462 „ 36	*Husarczyk*	*Husowczyk*
„ II	17 „ 29	*Antoni Górecki*	*Antoni Gorecki*
„ II	112 „ 22	*Górecki*	*Gorecki*
„ II	128 „ 8	*Górecki*	*Gorecki*
„ II	252 „ 27	*Świbojedowa*	*Gribojedowa*
„ II	453 „ 19	*Quidam*	*Ouidam*

S P I S R Z E C Z Y

Str.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. KLASYCYZM WARSZAWSKI.

Nowy wiek i jego widoki. Oznaki życia. Puławy. Wilno; Śniadeccy. Krzemieniec; Czacki. Warszawa; Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Kierunki i przedstawiciele literatury: w poezji (Koźmian) i w dramacie (Feliński); Woronicz. Niemcewicz. Fredro. Romans. Historja; sympatje słowiańskie; Lelewel; historja literatury. Istotne zasługi „klasyków" 1

ROZDZIAŁ JEDENASTY. ROMANTYZM.

Brodziński. Mickiewicz w Kownie i Wilnie; ballady i romanse; Dziady. Sonety. Konrad Wallenrod. Naśladowcy. Szkoła ukraińska: Gosławski, Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Padurra. Walka z klasycznością 47

ROZDZIAŁ DWUNASTY. WIELKA POEZJA NARODOWA. ADAM MICKIEWICZ.

Wychodźtwo. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego. Dziadów część trzecia. Pan Tadeusz. Towiański i Towiańszczyzna. Znaczenie Mickiewicza. Otoczenie jego; Garczyński, Zaleski, Goszczyński, Witwicki 90

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. JULJUSZ SŁOWACKI.

Dzieła młodzieńcze. Na wychodźtwie w Szwajcarji, Włoszech i Paryżu; tragedje i „Beniowski". Mesjanizm i „Król Duch". Znaczenie . . 129

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Próby młodzieńcze, „Nieboska" i „Irydjon". Filozofja „Przedświtu" i „Psalmów przyszłości". Inni pisarze emigracyjni; publicyści; Hoffmanowa; Czajkowski; Gaszyński. Młodsza generacja; Chojecki; Kalinka; Klaczko 168

Str.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. LITERATURA W KRAJU (1831—1863). TŁO JEJ. POEZJA.

Stan umysłowy i warunki rozwoju w Galicji, w Poznańskiem, w Królestwie i w Krajach zabranych. Ożywienie badań historycznych i ludoznawczych. Wybitni poeci; epicy: Pol, Syrokomla; liryey: Lenartowicz, Ujejski 198

ROZDZIAŁ SZESNASTY. DRAMAT I POWIEŚĆ (1831—1863).

Dramatycy: Fredro, Magnuszewski, Romanowski. Powieściopisarze: Korzeniowski i Kraszewski, Rzewuski i Chodźko, Kaczkowski. Autorki: Gabrjela i Deotyma. Tłumacze. Wyniki 248

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY. REALIZM LAT 1863 — 1890. POEZJA I DRAMAT.

Rozwój umysłowy w Galicji, w Poznańskiem i w Królestwie. Epigonowie romantyzmu. Sowiński, Asnyk, Faleński, Konopnicka. Warunki rozwoju dramatu. Dramat historyczny; Szujski i Bełcikowski. Komedja. Świętochowski 296

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. POWIEŚĆ.

Na wychodźtwie: Kraszewski i Jeż. W kraju: powieść społeczna i tendencyjna. Zacharyasiewicz i Pług. Lam. Orzeszkowa. Prus. Sienkiewicz 354

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY. MŁODA POLSKA (1890—1914).

Symbolizm i nowy romantyzm w Europie i u nas. Liryka — Przybyszewski — Wyspiański 398

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY. LITERATURA POTOCZNA.

Tło i działacze. Powieść i dramat. Krytyka. Tłumacze. Rok 1914. Zakończenie 437

DODATEK BIBLJOGRAFICZNY 477

INDEKS OSOBOWY 481

SPROSTOWANIE WAŻNIEJSZYCH OMYŁEK DRUKU . . . 517

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 590
590